



NO S4 A2

JOE
HILL

O książce

Na swoje ósme urodziny Victoria McQueen dostaje od rodziców rower pozwalający jej dotrzeć w miejsca, w których znajduje zagubione przedmioty. Wystarczy, że wjedzie na zniszczony stary most, i trafia tam, gdzie pragnie się znaleźć. Jak się okazuje, nie jest jedyną osobą przemierzającą ten most. Bibliotekarka Maggie, poznana podczas jednej z takich wypraw, opowiada jej o porywającym dzieci Upiorze, który zabiera je na przejażdżkę rolls-royce'em z 1938 r., po czym wysysa z nich dusze i pozbawia ludzkich uczuć.

Po raz ostatni Victoria przemierza stary most jako siedemnastolatka. Po kłótni z matką wyrusza na poszukiwanie kłopotów. I, oczywiście, je znajduje, trafia bowiem do domu Upiora. Kiedy chce pomóc chłopcu zamkniętemu w starym rolls-roycie z rejestracją NOS4A2 – Nosferatu – okazuje się, że jest on wampirem. Zanim udaje jej się uciec, staje twarzą w twarz z Charliem Manxem – Upiorem we własnej osobie.

W dorosłym życiu próbuje zatrzeć w pamięci tamte wydarzenia, ale Charlie Manx już się o to postara, żeby o nich nie zapomniała.

JOE HILL

NOS4A2

Z angielskiego przełożyła
MARIA FRĄC



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

Wydanie elektroniczne

JOE HILL

Amerykański pisarz urodzony w 1972 r., debiutował w 1997 r. opowiadaniem *The Lady Rests*. Jego pierwsza książka, zbiór opowiadań **Upiory XX wieku**, która ukazała się w 2006 r., została entuzjastycznie przyjęta zarówno przez czytelników, jak i krytykę i zdobyła prestiżowe Bram Stoker Award oraz British Fantasy Award. Bram Stoker Award przyznano również Hillowi za jego pierwszą powieść, **Pudełko w kształcie serca**. Prawa do jej ekranizacji zakupił Warner Bros, zanim została wydana w 2007 r. Kolejna powieść Hilla, **Rogi** (2008 r.), liczne opowiadania oraz wydane w USA 2013 r. **NOS4A2** ugruntowały jego niekwestionowany status mistrza horroru i mrocznego fantasy nowego pokolenia.

www.joehillfiction.com

Tego autora

UPIORY XX WIEKU
W WYSOKIEJ TRAWIE
NOS4A2

Tytuł oryginału:
NOS4A2

Copyright © Joe Hill 2013
All rights reserved

Published by arrangement with HarperCollins Publishers
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2014
Polish translation copyright © Maria Frąć 2014

Redakcja: Beata Kołodziejska
Zdjęcie na okładce: cclickclick/Getty Images
Ilustracje: © Gabriel Rodriguez
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-055-6

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



*Dla mojej mamy - oto nędzna maszyna
dla królowej opowieści*



Die Todten reiten schnell.
Zmarli bowiem podróżują szybko.
LENORA, GOTTFRIED BÜRGER

PROLOG WESOŁYCH ŚWIĄT GRUDZIEŃ 2008



Zakład karny Englewood, Kolorado

Parę minut przed ósmą pielęgniarka Thornton weszła na oddział dla osób w stanie wegetatywnym, niosąc worek ciepłej krwi dla Charliego Manxa.

Funkcjonowała tak, jakby sterował nią autopilot, i wcale nie myślała o pracy. Wreszcie zdecydowała, że kupi swojemu synowi Josiahowi upragnione Nintendo DS, i obliczała, czy po dyżurze zdąży do sklepu z zabawkami Toys

„R” Us przed zamknięciem.

Przez kilka tygodni sprzeciwiała się temu pomysłowi z powodów natury filozoficznej. Naprawdę jej nie obchodziło, że wszyscy koledzy syna mają konsole gier wideo. Nie podobało jej się, że dzieciaki wszędzie je ze sobą noszą. Nie podobało jej się, że mali chłopcy zatapiają się w rozjarzonych ekranach, porzucając rzeczywisty świat dla jakiegoś wyimaginowanego królestwa, gdzie zabawa zastępuje myślenie, a wymyślanie nowych kreatywnych sposobów zabijania urasta do rangi sztuki. Marzyła o tym, żeby jej dziecko uwielbiało książki i grało w scrabble, a także chodziło z nią na wyprawy w raketach śnieżnych. Śmiechu warte.

Ellen i tak długo zwlekała, ale wczoraj po południu przyłapała Josiaha, jak siedział na swoim łóżku i udawał, że stary portfel jest konsolą Nintendo DS. Wyciął obrazek przedstawiający Donkey Konga i wsunął go do przejrzystej plastikowej przegródki na zdjęcia. Wciskał wyimaginowane klawisze i wydawał odgłosy imitujące eksplozje. Zabolą ją serce, gdy patrzyła, jak jej syn wyobraża sobie, że bawi się czymś, co wierzył, że dostanie w ten Wielki Dzień. Ellen mogła mieć swoje teorie na temat tego, co jest, a co nie jest zdrowe dla chłopców, lecz Święty Mikołaj wcale nie musiał ich podzielać.

Zaabsorbowana tymi myślami, nie zauważyła zmian, jakie zaszły u Charliego Manxa, dopóki nie obeszła jego łóżka, żeby podłączyć kroplówkę. Akurat wtedy Manx westchnął ciężko, jakby się zbudził, a ona spojrzała na niego i zobaczyła, że na nią patrzy. Tak bardzo ją zaskoczył widok jego otwartych oczu, że podrzuciła worek z krwią i o mało go nie upuściła.

Był okropnie stary, a poza tym wyglądał odrażająco. Jego wielka łysa czaszka przypominała globus odwzorowujący jakiś obcy księżyc, na którym plamy wątrobowe i sine mięsaki tworzyły kontynenty. Spośród wszystkich mężczyzn na tym oddziale – znanym również jako Warzywnik – Charlie Manx z otwartymi oczami miał w sobie o tej porze roku coś

wyjątkowo strasznego. Manx lubił dzieci. Sprawił, że w latach dziewięćdziesiątych znikwały dziesiątkami. Miał dom poniżej Flatirons, gdzie robił z nimi, co chciał, zabijał je i ku ich pamięci wieszał ozdoby choinkowe. Gazety nazwały ten dom Saniami Mikołaja.

W pracy Ellen na ogół potrafiła wyłączyć matczyną część swojego umysłu i nie myśleć o tym, co Charlie Manx prawdopodobnie robił z małymi dziewczynkami i chłopcami, których napotkał na swojej drodze, z dziećmi w wieku jej Josiaha. Nie zastanawiała się nad tym, co zrobili jej podopieczni, jeśli tylko mogła tego uniknąć. Pacjent leżący po drugiej stronie pokoju związał swoją dziewczynę i jej dwoje dzieci, po czym podpalił dom i zostawił ich, żeby spłonęli żywcem. Aresztowano go w barze przy tej samej ulicy, gdy pił whisky Bushmills i oglądał spotkanie White Soxów z Rangersami. Ellen doszła do wniosku, że roztrząsanie tych spraw nie przyniesie jej żadnych korzyści, dlatego nauczyła się myśleć o swoich pacjentach jako o przedłużeniach aparatury i worków, do których byli podłączeni: cielesne urządzenia peryferyjne.

Przez cały okres zatrudnienia w Englewood, na szpitalnym oddziale więzienia o zaostrzonym rygorze, nigdy nie widziała Charliego Manxa z otwartymi oczami. Pracowała tutaj od trzech lat, a on w tym czasie znajdował się w stanie śpiączki. Był najślabszym z jej pacjentów, nic tylko kości obciążone cienką skórą. Kardiomonitor błyskał w tempie najwolniej nastawionego metronomu. Lekarz powiedział, że jego mózg jest aktywny mniej więcej jak puszka kukurydzianego puree. Nikt nigdy nie określił wieku Manxa, ale wyglądał starzej niż Keith Richards. Był nawet trochę do niego podobny - do łysego Keitha Richardsa z ustami pełnymi drobnych brązowych zębów.

Na oddziale przebywało trzech innych pacjentów w śpiączce, zwanych przez personel bejotami, ponieważ Bóg jeden wie, co im dolega. Kiedy człowiek miał z nimi do czynienia przez dłuższy czas, zaczynał zauważać, że każdy bejot ma swoje dziwactwa. Don Henry, który spalił żywcem

swoją dziewczynę i jej dzieci, czasami „chodził na spacer”. Rzecz jasna, nie wstawał, ale jego stopy poruszały się lekko pod prześcieradłami. Niejaki Leonard Potts od pięciu lat był pogrążony w śpiączce, z której się nigdy nie zbudzi – inny więzień przebił mu czaszkę śrubokrętem i poważnie uszkodził mózg – ale czasami chrząkał i krzyczał: „Wiem!”, jakby był małym dzieckiem, które chce odpowiedzieć na pytanie nauczyciela. Ellen pomyślała, że może otwieranie oczu jest dziwactwem Manxa, a ona po prostu nigdy wcześniej nie widziała, żeby to robił.

– Dzień dobry, panie Manx – powiedziała odruchowo. – Jak się pan dzisiaj czuje?

Posłała mu nic nieznaczący uśmiech i zawahała się, wciąż trzymając worek z krwią o temperaturze ciała. Nie spodziewała się odpowiedzi, ale pomyślała, że postąpi taktownie, dając mu chwilę na zebranie nieistniejących myśli. Kiedy nic nie odrzekł, wyciągnęła rękę, żeby zamknąć mu oczy.

Chwycił ją za nadgarstek. Krzyknęła – nie mogła się powstrzymać – i upuściła worek z krwią. Uderzył w podłogę i eksplodował w szkarłatnych bryzgach, ciepłe krople zmoczyły jej stopy.

– Och! – krzyczała. – Och! Och! O Boże!

Krew pachniała jak świeżo wylane żelazo.

– Twój chłopak, Josiah... – powiedział do niej Charlie Manx zgrzytliwym, szorstkim głosem. – Jest dla niego miejsce w Gwiazdkowej Krainie, wśród innych dzieci. Mogę dać mu nowe życie. Mogę dać mu ładny nowy uśmiech. Mogę dać mu ładne nowe zęby.

Gdy usłyszała imię syna z jego ust, było to gorsze niż ręka na jej nadgarstku czy krew na stopach. (Czysta krew, powtarzała sobie w duchu, czysta). Słuchanie, jak ten człowiek, ten skazany za morderstwo pedofil wypowiedzi imię jej syna, przyprawiło ją o zawroty głowy, prawdziwe zawroty głowy, jakby stała w szklanej windzie pędzącej w niebo, a świat uciekał jej spod nóg.

– Puść – szepnęła.

- Jest miejsce dla Josiaha Johna Thorntona w Gwiazdkowej Krainie i jest miejsce dla ciebie w Domu Snu - powiedział Charlie Manx. - Człowiek w Masce Przeciwigazowej będzie wiedział, co z tobą zrobić. Poczęstuje cię dymem piernikowym i nauczy, jak masz go kochać. Nie możesz zabrać się z nami do Gwiazdkowej Krainy. W zasadzie mógłbym cię wziąć, ale Człowiek w Masce Przeciwigazowej będzie dla ciebie lepszy. Człowiek w Masce Przeciwigazowej jest ucieleśnieniem miłosierdzia.

- Ratunku! - krzyknęła Ellen, tyle że z jej ust wcale nie wydobył się krzyk. Był to zaledwie szept. - Pomocy. - Jakby straciła głos.

- Widziałem Josiaha na Cmentarzu Tego, Co Może Się Wydarzyć. Josiah powinien wybrać się na przejażdżkę Upiorem. Byłby szczęśliwy w Gwiazdkowej Krainie. Tam świat go nie zniszczy, ponieważ kraina nie leży w tym świecie. Znajduje się w mojej głowie, a w mojej głowie wszyscy są bezpieczni. Śniłem o niej, wiesz. O Gwiazdkowej Krainie. Śniłem o niej, ale idę i idę, i nie mogę dojść do końca tunelu. Słyszę śpiewające dzieci, lecz nie mogę do nich dotrzeć. Słyszę, jak do mnie wołają, ale tunel nie ma końca. Potrzebuję Upiora. Potrzebuję mojego pojazdu.

Wysunął język, brązowy, lśniący, obleśny, zwilżył nim suche wargi i w końcu ją puścił.

- Pomocy - szepnęła. - Pomocy. Pomocy. Pomocy.

Dopiero po kilkukrotnym powtórzeniu tego słowa mogła wypowiedzieć je na tyle głośno, żeby ktoś ją usłyszał. Wypadła przez drzwi na korytarz, biegnąc w miękkim płaskim obuwiu i wrzeszcząc co sił w płucach. Zostawiała za sobą czerwone ślady stóp.

Dziesięć minut później dwóch strażników więziennych w ryszunku bojowym przypięło Manxa pasami do łóżka, na wypadek gdyby otworzył oczy i próbował wstać. Lekarz, który w końcu przyszedł zbadać pacjenta, kazał go uwolnić.

- Ten facet leży w łóżku od dwa tysiące pierwszego. Trzeba go przekładać cztery razy dziennie, żeby nie dostał odleżyn. Nawet jeśli nie byłby bejotem, jest za słaby, żeby dokądś

pójść. Wątpię, czy po siedmiu latach atrofii mięśni mógłby samodzielnie usiąść.

Ellen słuchała, stojąc tuż obok drzwi – gdyby Manx znowu otworzył oczy, zamierzała być pierwszą osobą, która ucieknie z pokoju – ale po słowach lekarza podeszła do niego na sztywnych nogach i podciągnęła rękaw, pokazując ślady w miejscu, gdzie zaciskała się ręka Manxa.

– Czy to wygląda na siniaki zrobione przez faceta, który jest za słaby, żeby usiąść? Myślałam, że wyrwie mi ramię ze stawu.

Stopy piekły ją niemal równie mocno jak posiniaczona ręka. Ściągnęła przesiąknięte krwią rajstopy, po czym myła nogi parzącą wodą i mydłem bakteriobójczym tak długo, że zaczęły boleć. Teraz miała tenisówki. Tamte buty trafiły do kosza na śmieci. Nawet gdyby dało się je uratować, nie przypuszczała, że mogłaby jeszcze kiedyś je włożyć.

Lekarz, młody Hindus o imieniu Patel, obrzucił ją zmieszanym, przepraszającym spojrzeniem, pochylił się, żeby błysnąć latarką w oczy Manxa. Zrenice się nie rozszerzyły. Patel przesuwał latarkę, ale oczy Manxa wpatrywały się w punkt tuż za lewych uchem badającego. Lekarz klasnął w dłoń dwa centymetry od nosa pacjenta. Manx nawet nie mrugnął. Patel delikatnie zamknął mu powieki i przejrzał wydruki z EEG.

– Nie widzę tu niczego, co różniłoby się od ostatnich dziesięciu odczytów EEG. Suma punktów na skali Glasgow wynosi dziewięć, pacjent wykazuje spowolnioną aktywność fal alfa odpowiadającą tej, która jest charakterystyczna dla śpiączki. Sądzę, siostró, że po prostumówi przez sen. Zdarza się to nawet takim bejotom jak on.

– Miał otwarte oczy – powiedziała. – Patrzył prosto na mnie. Zna moje imię. Zna imię mojego syna.

– Czy kiedyś rozmawiała pani przy nim z innymi pielęgniarkami? Nie wiadomo, co może wychwycić podświadomość kogoś takiego. Mówi pani koleżance: „Słuchaj, mój syn zaczął literować słowo »osa«”. Manx słyszy i bezmyślnie powtarza to przez sen.

Pokiwiała głową, ale pomyślała: Wypowiedział drugie imię mojego syna. Była pewna, że nie rozmawiała o tym z nikim w szpitalu. „Jest miejsce dla Josiaha Johna Thorntona w Gwiazdkowej Krainie - powiedział jej Charlie Manx - i jest miejsce dla ciebie w Domu Snu”.

- Nie podałam mu krwi - oznajmiła. - Od paru tygodni cierpi na niedokrwistość. Dostał infekcji układu moczowego od cewnika. Przyniosę nowy worek.

- Mniejsza z tym. Ja podam krew staremu wampirowi. Proszę posłuchać. Paskudnie się pani wystraszyła. Niech się pani od tego oderwie, wróci do domu. Ile pani zostało? Godzina dyżuru? Proszę wziąć sobie wolne, i jutro też. Ma pani do zrobienia jakieś świąteczne zakupy, które odkładała na ostatnią chwilę? Niech się pani tym zajmie. Niech pani przestanie myśleć o dzisiejszym incydencie i porządnie wypocznie. Mamy Boże Narodzenie, siostró Thornton - powiedział lekarz i mrugnął do niej. - Czy pani nie wie, że to najcudowniejsze dni w roku?

KRÓTSZA DROGA 1986-1989



Haverhill, Massachusetts

Szkrab miała osiem lat, kiedy po raz pierwszy przejechała przez kryty most, który spinał brzegi pomiędzy Zgubionym i Znalezionym.

Tak to się stało: Dopiero co wrócili znad Jeziora i Szkrab była w swojej sypialni, zajęta rozwieszaniem plakatu z

Davidem Hasselhoffem - stał z rękami skrzyżowanymi na piersi przed KITT-em, ubrany w czarną skórzaną kurtkę, z szerokim uśmiechem i dołeczkami w policzkach - kiedy z sypialni rodziców napłynął zduszony, zszokowany ni to szloch, ni to krzyk.

Szkrab stała z jedną nogą na wezglowiu łóżka i piersią przyciskała plakat do ściany, przyklejając narożniki brązową taśmą. Zamarła i przekrzywiła głowę, nad słuchując, nie z trwogą, po prostu z ciekawością, co tym razem zdenerwowało jej matkę. Wyglądało na to, że coś zgubiła.

- ...miałam, wiem, że miałam! - krzyczała.

- Sądysz, że zdjęłaś ją nad wodą? Zanim weszłaś do jeziora? - zapytał Chris McQueen. - Wczoraj po południu?

- Już ci mówiłam, że nie poszłam pływać.

- Ale może zdjęłaś, gdy się smarowałaś emulsją do opalania.

Powtarzali te teksty raz za razem. Szkrab uznała, że na razie może ich zignorować. Mając osiem lat, Szkrab - Victoria dla nauczycielki drugiej klasy, Vicki dla swojej mamy, ale Szkrab dla ojca i w swoim sercu - dawno temu wyrosła z przejmowania się histerycznymi wybuchami matki. Huragany śmiechu i przesadne okrzyki rozczarowania Lindy McQueen stanowiły ścieżkę dźwiękową jej codziennego życia i tylko od czasu do czasu warte były zainteresowania.

Wygladziła plakat, przykleiła ostatni róg i odsunęła się, żeby podziwiać swoje dzieło. David Hasselhoff, taki super. Patrzyła spod ściągniętych brwi, próbując ocenić, czy plakat nie wisi krzywo, kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi i kolejny udręczony krzyk - znowu matki - a później głos ojca.

- Czy nie wiedziałem, że do tego dojdzie? - zapytał. - Jak na zawołanie.

- Zapytałam, czy sprawdziłeś łazienkę, a ty potwierdziłeś. Powiedziałeś, że zabrałeś wszystko. Sprawdziłeś w łazience czy nie?

- Nie wiem. Nie. Raczej nie. Ale to nie ma znaczenia, Lindo, ponieważ nie zostawiłaś jej w łazience. Wiesz, skąd wiem, że nie zostawiłaś swojej bransoletki w łazience? Bo

wczoraj zostawiłaś ją na plaży. Obie z Reginą Roeso wylegiwałyście się na słońcu i wyłopałyście kubek margaryty. Tak się wyluzowałaś, że zapomniałaś o córce i zapadłaś w drzemkę. A kiedy się ocknęłaś, uprzytomniłaś sobie, że jesteś spóźniona o godzinę, żeby odebrać ją z półkolonii...

- Wcale nie byłam spóźniona o godzinę.

- ...i odjechałaś w panice. Zapomniałaś o emulsji do opalania, zapomniałaś o ręczniku, zapomniałaś o swojej bransoletce i teraz...

- Wcale nie byłam pijana, jeśli to właśnie sugerujesz. Nie wożę naszej córki po pijanemu, Chris. To twoja specjalność...

- ...i teraz zaczynasz swoje zwykłe zasrane zagrywki i próbujesz zwalić winę na kogoś innego.

Szkrab prawie nie zdawała sobie sprawy, że się porusza, gdy wędrowała przez ciemny korytarz ku sypialni rodziców. Przez uchylone drzwi dostrzegła kawałek łóżka i leżącą na nim walizkę. Ubrania były wyciągnięte i porozrzucane po podłodze. Szkrab wiedziała, że jej mama, powodowana silnymi emocjami, zaczęła wyszarpywać rzeczy i rozrzucać je, szukając zgubionej bransoletki: złotego kółka z siedzącym na nim motylem z lśniących błękitnych szafirów i skrzących się brylancików.

Matka krążyła po pokoju, więc co parę sekund pojawiała się w polu widzenia.

- To nie ma nic wspólnego z wczoraj. Mówiłam ci, że nie zgubiłam jej na plaży. Nie zgubiłam. Dziś rano leżała obok umywalki, z moimi kolczykami. Jeśli nie ma jej w recepcji, w takim razie wzięła ją któraś z pokojówek. Tak właśnie robią, w ten sposób uzupełniają sobie dochody. Biorą bez skrępowania wszystko, co zostawiają letnicy.

Po chwili milczenia ojciec Szkraba powiedział:

- Jezu... Jaką koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku. I pomyśleć, że mam z tobą dzieciaka.

Szkrab się wzdrygnęła. Piekące ciepło wzniosło się do tego miejsca za oczami, ale nie zapłakała. Jej zęby odruchowo ścisnęły wargę, przygryzały ją mocno, powodując ostre

ukłucie bólu, który powstrzymał łzy.

Matka zachowała się mniej powściągliwie i wybuchła płaczem. Znowu pojawiła się w polu widzenia, z ręką przyciśniętą do policzka, z drżącymi ramionami.

Szkrab nie chciała, żeby rodzice ją zobaczyli, dlatego odsunęła się od drzwi sypialni. Minęła swój pokój, przemierzyła korytarz i wyszła z domu. Nagle myśl o pozostaniu w domu wydała się nie do zniesienia. Wewnątrz powietrze było zbyt stęchłe. Klimatyzator zepsuł się przed tygodniem. Wszystkie rośliny powędły i pachniały śmiercią.

Nie wiedziała, dokąd zmierza, dopóki tam nie dotarła, choć od chwili, gdy usłyszała, jak ojciec zadaje najcięższy cios – „Jaką koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku” – cel jej wędrówki był nieunikniony. Przez boczne drzwi weszła do garażu i zabrała swój rower.

Rower marki Raleigh Tuff Burner, który dostała w maju na urodziny, był dla niej najwspanialszym prezentem wszech czasów... wtedy i zawsze. Nawet w wieku trzydziestu lat, gdy syn ją zapytał o najfajniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek dostała, natychmiast pomyślała o jaskrawoniebieskim rowerku z żółtymi jak banany obręczami i grubymi oponami. Był to jej ulubiony prezent, lepszy niż kula Magic 8, zestaw KISS Colorforms, a nawet konsola ColecoVision.

Wypatrzyła go na witrynie Pro Wheelz, w centrum, trzy tygodnie przed urodzinami, kiedy wyszła z tatą, i na widok roweru westchnęła z zachwytem. Ojciec, rozbawiony, wszedł do sklepu i poprosił sprzedawcę, żeby pozwolił jej pojeździć po salonie wystawowym. Sprzedawca usilnie namawiał ją do obejrzenia innych rowerów, bo uważał, że tuff burner jest dla niej za duży, nawet z maksymalnie opuszczonym siodelkiem. Nie mogła zrozumieć, o czym ten facet mówi. Przecież to było jak czary, mogłaby latać na miotle, bez wysiłku rozcinając halloweenowe ciemności trzysta metrów nad ziemią. Ojciec jednak udawał, że się zgadza ze sprzedawcą, i usłyszała, że może dostać coś takiego, kiedy będzie starsza.

Trzy tygodnie później rower stał na podjeździe z wielką

srebrną kokardą na kierownicy. „Jesteś już starsza, prawda?” – powiedział ojciec i mrugnął.

Vic wśliznęła się do garażu, gdzie tuff burner opierał się o ścianę, na lewo od motoru ojca, czarnego harleya-davidsona shovelhead rocznik 1979, którym wciąż latem jeździł do pracy. Ojciec był pirotechnikiem, pracował w ekipie drogowców ścinających nawisy, wyrównujących skały za pomocą materiałów wybuchowych, głównie ANFO, czasami zwykłym TNT. Pewnego razu powiedział córce, że trzeba być sprytnym człowiekiem, żeby czerpać zyski z takich złych skłonności. Kiedy zapytała, o co mu chodzi, odparł, że większość facetów, którzy lubią odpalać bomby, kończy w kawałkach albo za kratkami. W jego wypadku podkładanie bomb przynosiło sześćdziesiąt tysięcy rocznie, a co więcej, gdyby kiedyś udało mu się wysadzić w powietrze samego siebie, miał nadzwyczajnie wysoką polisę na życie. Za sam mały palec dostałby dwadzieścia tysięcy, jeśli go stracił wskutek wybuchu. Na jego motocyklu widniała wymalowana aerografem przesadnie seksowna blondynka w bikini o barwach amerykańskiej flagi, siedząca okrakiem na bombie, na tle płomieni. Vic uważała, że jej ojciec jest pokrecony. Inni tatusiowie budują różne rzeczy. Jej tata wysadzał coś w powietrze i odjeżdżał na harleyu, ćmiąc papierosa, którego używał do zapalenia lontu. Spróbujcie to przebić!

Szkrab miała pozwolenie na jazdę po drózkach Lasu Pittman Street, jak nieoficjalnie nazywano dwanaście hektarów porośniętych sosnami wirginijskimi i brzoza, leżące tuż za płotem. Mogła jeździć do rzeki Merrimack i krytego mostu, i tam musiała zawrócić.

Za mostem – znanym jako Most Krótsza Droga – też rósł las, ale nie było jej wolno przechodzić na drugą stronę rzeki. Most miał siedemdziesiąt lat, prawie sto metrów długości i zaczynał zapadać się pośrodku. Ściany nachylały się w kierunku, w którym płynęła rzeka, i cała konstrukcja wyglądała tak, jakby miała runąć podczas pierwszej porządnej wichury. Wejście zagradzała druciana siatka, choć dzieciaki zerwały ją w jednym rogu i przychodziły tu się

obściskiwać i palić trawkę. Znak na siatce informował: UWAGA! GROZI ZAWALENIEM. POLICJA HAVERHILL. Było to miejsce w sam raz dla przestępców, włóczęgów i obłąkanych.

Vic już tam była, rzecz jasna (do której kategorii należała? - bez komentarza), nie zwracając uwagi na ostrzeżenia ojca ani na znak. Ośmieliła się prześliznąć pod siatką i przejść dziesięć kroków, bo nigdy nie potrafiła odrzucić wyzwania, nawet gdy rzucała je samej sobie. Zwłaszcza wtedy, gdy rzucała je samej sobie.

Na moście było o pięć stopni chłodniej, a w deskach ziały szczeliny, przez które widać było wodę, marszczoną przez wiatr trzydzieści metrów niżej. Dziury w czarnym krytym papą dachu wpuszczały snopy światła, w których tańczyły drobiny kurzu. W ciemności popiskiwały nietoperze.

Sama myśl o wejściu do tego długiego, cienistego tunelu, biegnącego nie tylko nad rzeką, ale wręcz nad samą śmiercią, zapierała jej dech w piersi. Vic miała osiem lat i wierzyła, że jest szybsza niż wszystko, nawet zarywający się most. Jej wiara nieco osłabła, kiedy naprawdę zaczęła dreptać jak małe dziecko po starych, spękanych, skrzypiących deskach. Postanowiła zrobić nie dziesięć, ale dwadzieścia kroków. Przy pierwszym głośnym trzasku stchórzyła, pierzchła z powrotem i prześliznęła się pod siatką z wrażeniem, że niemal dusi ją własne serce.

Teraz przemknęła na rowerze przez podwórko za domem i w następnej chwili pędziła z grzechotem w dół wzgórza, po korzeniach i kamieniach przez las. Uciekła od domu prosto w jedną ze swoich opatentowanych wymyślonych opowieści z serii *Nieustraszony*.

Osadziła akcję w *Nieustraszonym 2000*. Jechała z Michaelem Knightem, unosząc się bez wysiłku pod konarami drzew, gdy letni dzień przechodził w cytrynowy zmierzch. Ich misja polegała na odzyskaniu mikrochipu zawierającego dane o rozmieszczeniu wszystkich amerykańskich wyrzutni pocisków raketowych. Chip został ukryty w bransoletce matki jako element wysadzanego klejnotami motyla,

przemysłnie zamaskowany w postaci brylantu. Przejęli go najemnicy i zamierzali sprzedać informacje temu, kto da najwięcej: Iranowi, Rosjanom, może Kanadzie. Vic i Michael Knight boczną drogą zbliżali się do kryjówki najemników. Michael chciał, żeby mu obiecała, że nie będzie niepotrzebnie ryzykować, nie będzie głupim dzieciakiem, a ona pokpiwała z niego i przewracała oczami, ale oboje rozumieli, że w pewnym momencie będzie musiała zachować się jak głupie dziecko, narażając życie ich obojga i zmuszając ich do desperackich manewrów, aby uciec czarnym charakterom. Takie były wymogi scenariusza.

Tylko że fabuła nie była satysfakcjonująca. Przede wszystkim Vic wcale nie siedziała w samochodzie. Jechała na rowerze, podskakując na korzeniach, pedałowując szybko, na tyle szybko, że komary trzymały się z dala. Poza tym nie mogła się odprężyć i fantazjować jak zwykle. Bez przerwy myślała: Jezu, jaką koszmarne brzydką osobą jesteś w środku. Nagle opadła ją skręcająca żołądek myśl, że kiedy wróci do domu, ojca w nim już nie zastanie. Pochyliła głowę i pedałowowała jeszcze szybciej. Był to jedyny sposób, żeby zostawić tę straszną myśl za sobą.

Pomyślała, że jedzie nie na rowerze, ale na harleyu z tatą. Obejmowała go rękami i miała kask, który jej kupił, czarny, na całą głowę. Czuła się w nim tak, jakby była na wpół ubrana w skafander kosmiczny. Jechali nad jezioro Winnepesaukee po bransoletkę mamy; chcieli zrobić jej niespodziankę. Mama krzyknie z zaskoczenia, gdy zobaczy ją w ręce taty, a on wybuchnie śmiechem i obejmie mamę w talii, pocałuje ją w policzek i już więcej nie będą się na siebie wściekać.

Szkrab mknęła w migoczącym świetle słońca pod zwieszonymi konarami. Była dość blisko trasy 495, żeby słyszeć hałas pojazdów: zgrzytliwy ryk zwalniającej wielkiej ciężarówki, pomruk samochodów osobowych i – tak – nawet dudniący warkot motocykla jadącego na południe.

Kiedy zamknęła oczy, sama znalazła się na autostradzie, jadąc w dobrym tempie, ciesząc się uczuciem nieważkości,

gdy rower pochylał się na zakrętach. Nawet nie zauważyła, że w wyobraźni jedzie na motorze, większa, dość duża, żeby samodzielnie przekreślać manetkę.

Uciszy oboje rodziców. Znajdzie bransoletkę, wróci do domu i rzuci ją na łóżko pomiędzy nimi, po czym wyjdzie bez słowa. Zostawi ich, patrzących na siebie z zakłopotaniem. Ale przede wszystkim wyobrażała sobie motocykl, jazdę na łeb na szyję, gdy resztki dziennego światła umykały z nieba.

Wyjechała z pachnącego żywicą mroku na szeroką drogę gruntową, która biegła do mostu. Miejscowi zwali go Krótsządrogą, jednym słowem.

Gdy zbliżyła się do mostu, zobaczyła, że siatka została zerwana ze słupków i leży na ziemi. Wlot - szeroki ledwie na tyle, by zmieścić się samochód - był oprawiony w płataninę bluszczu kołyszącego się łagodnie w prądach powietrza płynących z rzeki. Wewnątrz biegł prostokątny tunel, ciągnący się do kwadratu niewiarygodnej jasności, jakby drugi koniec otwierał się na dolinę złotej pszenicy, a może nawet złota.

Vic na chwilę zwolniła. Wpadła w rowerowy trans, ukryta głęboko we własnej głowie, i kiedy raz postanowiła jechać dalej, po siatce i w ciemność, zbyt nie kwestionowała podjętej decyzji. Gdyby teraz się zatrzymała, byłoby to potwierdzeniem jej tchórzostwa, a na to nie mogła sobie pozwolić. Poza tym wierzyła w prędkość. Jeśli deski zaczną pękać pod kołami, po prostu będzie pedałowala co sił w nogach, uciekając od spróchniałego drewna, zanim ustąpi pod jej ciężarem. Jeśli ktoś tam jest - jakiś bezdomny, który chciałby dostać w swoje ręce małą dziewczynkę - Vic przemknie obok, zanim on zdąży się poruszyć.

Myśl o pękającym starym drewnie albo czyhającym w tunelu włóczędze zamiast ją zatrzymać, przepełniła jej pierś rozkosznym przerażeniem, i Vic stanęła na pedałach, żeby jechać jeszcze szybciej. Pomyślała także ze spokojną satysfakcją, że jeśli most runie do rzeki, dziesięć pięter niżej, a ona zostanie zmiażdżona w rumowisku, to będzie wina jej rodziców - bo przecież ich kłótnia wypędziła ją z domu - i

dostaną porządną nauczkę. Będą straszliwie za nią tęsknić, będą chorować z rozpaczy i poczucia winy, i właśnie to ich czeka, oboje.

Siatka zachręściła pod kołami. Vic wpadła w jakby podziemną ciemność, która cuchnęła nietoperzami i zgnilizną.

Zaraz za progiem, na ścianie po lewej stronie, zobaczyła słowo wypisane zieloną farbą w sprayu. Nie zwolniła, żeby przeczytać, ale odniosła wrażenie, że napis brzmi: Terry's, co uznała za dziwne, bo zwykle wstępowali na lunch do lokalu właśnie o takiej nazwie, Terry's Primo Subs w Hampton, w New Hampshire, nad morzem. Zatrzymywali się tam, wracając do domu znad Winnepesaukee, w połowie drogi pomiędzy Haverhill i jeziorem.

Wewnątrz krytego mostu dźwięki brzmiały inaczej. Szkrab słyszała rzekę, ale odgłos przypominał nie tyle szum płynącej wody, ile biały szum, zakłócenia w radiu. Nie patrzyła w dół, bała się zobaczyć rzekę przez trafiające się tu i ówdzie szczeliny pomiędzy deskami. Wpatrywała się w wylot.

Przejeżdżała przez migające smugi białego światła. Kiedy przecięła jedną z tych cienkich jak opłatek płacht bieli, poczuła ból w lewym oku, coś w rodzaju stłumionego pulsowania. Miała nieprzyjemne wrażenie, że podłoga ustępuje pod kołami roweru. Teraz prześladowała ją tylko jedna myśl, długa na dwa słowa: „Prawie już, prawie już”, powtarzana w rytm pedałowania.

Kwadrat jasności na drugim końcu mostu szybko się poszerzał, a światło nasilało. W miarę jak się zbliżała, z wylotu płynęło coraz bardziej intensywne, niemal brutalne ciepło. Z niewiadomej przyczyny czuła zapach emulsji do opalania i smażonych krążków cebuli. Nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanawiać, dlaczego także po drugiej stronie mostu nie ma siatki.

Vic McQueen, zwana również Szkrabem, wciągnęła potężny haust powietrza i wypadła z Krótszej Drogi w światło słońca, opony ze stukotem zjechały z drewna na asfaltową nawierzchnię. Syk i ryk białego szumu nagle ucichł, jakby

naprawdę do tej pory słuchała zakłóceń i ktoś właśnie wyłączył radio.

Przejechała jeszcze kilka metrów, zanim zobaczyła, gdzie jest. Serce zamarło jej w piersi, potem ręce sięgnęły do dźwigni hamulców. Wyhamowała tak gwałtownie, z taką siłą, że tylne koło zarzuciło, ślizgając się po asfalcie i wzbijając tumany kurzu.

Znajdowała się za parterowym domem, na brukowanej uliczce. Pod ceglany murem po lewej stronie stał kontener na śmieci z kolekcją towarzyszących mu pojemników. Wylot uliczki zamykał wysoki parkan. Po drugiej stronie biegła droga. Vic słyszała przejeżdżające samochody, usłyszała urywek płynącej z jednego z nich piosenki: *Abra-abrakadabra... wyciągnę rękę i cię złapię...*

Vic od razu się zorientowała, że trafiła w niewłaściwe miejsce. Wiele razy była przy Krótszej Drodze i patrzyła z wysokiego brzegu Merrimacku na drugą stronę dość często, żeby wiedzieć, co tam jest: zalesione wzgórze, zielone, chłodne i ciche. Żadnych dróg, sklepów, uliczek. Odwróciła głowę i o mało nie wrzasnęła.

Most Krótsza Droga wypełniał wylot uliczki za jej plecami. Był wciśnięty pomiędzy parterowy ceglany dom i pięciopiętrowy budynek z bielonego betonu i szkła.

Most nie spinał brzegów rzeki, był wpasowany w przestrzeń, która z ledwością go mieściła. Vic zadrżała gwałtownie na ten widok. Kiedy spojrzała w ciemność, po drugiej stronie ujrzała dalekie szmaragdowe cienie Lasu Pittman Street.

Zsiadła z roweru. Nogi jej się trzęsły ze zdenerwowania. Podeszła do kontenera i oparła o niego ramię. Stwierdziła, że brakuje jej odwagi, by myśleć o Krótszej Drodze.

Cuchnęło smażonym jedzeniem psującym się na słońcu. Brakowało jej świeżego powietrza. Minęła siatkowe drzwi, zaglądając do hałaśliwej, pełnej pary kuchni, i podeszła do wysokiego drewnianego płotu. Otworzyła furtkę i znalazła się na dobrze znanym wąskim chodniku. Stała na nim zaledwie parę godzin temu.

Kiedy spojrzała w lewo, zobaczyła długi pas plaży i ocean, zielone grzywacze lśniły w słońcu tak jaskrawo, że patrzenie na nie sprawiało ból. Chłopcy w kąpielówkach rzucali sobie frisbee i robili efektowne podskoki, po czym przewracali się na wydmy. Samochody jechały bulwarem, zderzak w zderzak.

Szkrab na niepewnych nogach przeszła za róg i zajrzała w okno

Terry's Primo Subs Hampton Beach, New Hampshire

Vic minęła rząd stojących motocykli z chromem płonącym w popołudniowym słońcu. Przy okienku w kolejce stały dziewczyny w topach i króciutkich szortach, śmiejąc się perliście. Vic z miejsca znienawidziła ten ich chichot, który w jej uszach brzmiał jak trzask tłuczonego szkła. Weszła do lokalu. Mosiężny dzwonek zabrzączał nad drzwiami.

Okna były otwarte, a za ladą wirowało sześć stojących wentylatorów, dmuchając powietrze w kierunku stolików. Mimo to wewnątrz było za gorąco. Z sufitu zwisały długie paski lepu na muchy, falujące w podmuchach. Szkrabowi nie spodobał się ten widok. Nie chciała na nie patrzeć, na owady, które się szamotały i ginęły, podczas gdy wprost pod nimi ludzie opychali się hamburgerami. Nie zauważyła tych lepów, kiedy wcześniej tego dnia jadła tu lunch z rodzicami.

Kręciło się jej w głowie, jakby w sierpniowym skwarze biegała z pełnym żołądkiem. Przy kasie stał wielki mężczyzna w białym podkoszulku. Ramiona miał owłosione i szkarłatne od poparzeń słonecznych, wzdłuż jego nosa biegła biała kreska maści cynkowej. Na przypiętym do koszulki plastikowym identyfikatorze widniało imię PETE. Był tu przez całe popołudnie. Dwie godziny temu Vic stała obok

swojego taty, gdy płacił temu mężczyźnie za burgery i koktajle mleczne. Rozmawiali o drużynie Red Soxów, która miała dobrą passę. Wyglądało na to, że może w 1986 wreszcie przerwą ciąg porażek. Clemens kosił przeciwników. Chłopak miał już w kieszeni nagrodę dla najlepszego miotacza, Cy Young Award, a został jeszcze miesiąc do końca rozgrywek.

Vic odwróciła się w stronę Pete'a w zasadzie tylko dlatego, że go rozpoznała. Później po prostu stała, mrugając i nie mając pojęcia, co powiedzieć. Wentylator mruczał za jego plecami i prosto w jej twarz płynął wilgotny męski zapach. Nie, zdecydowanie nie czuła się zbyt dobrze.

Była bliska płaczu, owładnięta nieznanym poczuciem bezradności. Jest tutaj, w New Hampshire, choć przecież nie powinna tu być. W uliczce na tyłach tkwi Most Krótsza Droga i w jakiś sposób ona ponosi za to winę. Jej rodzice się kłócili i nie mieli pojęcia, jak daleko od nich uciekła. Musi to wszystko powiedzieć. Musi zadzwonić do domu. Musi zadzwonić na policję. Ktoś musi pójść zobaczyć most w uliczce. Nie mogła zebrać myśli i aż ją od tego mdliło. Wnętrze jej głowy stało się złym miejscem, ciemnym tunelem pełnym drażniącego hałasu i wirujących nietoperzy.

Wielki mężczyzna zaoszczędził jej kłopotu kombinowania, od czego powinna zacząć. Na jej widok z namysłem ściągnął brwi.

- Jesteś. Zastanawiałem się, czy cię jeszcze zobaczę. Wróciłaś po zgubę, prawda?

Vic patrzyła na niego w osłupieniu.

- Wróciłam...?

- Po bransoletkę. Tę z motylem.

Przekręcił klucz i szuflada kasy wysunęła się z brzękiem. W głębi leżała bransoletka mamy. Kiedy Vic ją zobaczyła, przez jej nogi przebiegła kolejna fala dreszczy i odetchnęła spazmatycznie. Po raz pierwszy, odkąd wypadła z Krótszej Drogi i w nieprawdopodobny sposób znalazła się w Hampton Beach, odczuła coś w rodzaju zrozumienia.

W wyobraźni udała się na poszukiwanie bransoletki mamy i

jakimś cudem ją odnalazła. Wcale nie pojechała na rowerze. Jej rodzice pewnie wcale się nie pokłócili. Obecność mostu wciśniętego w uliczkę można wyjaśnić tylko w jeden sposób. Wróciła do domu opalona i zmęczona, z brzuchem pełnym mrożonego koktajlu mlecznego, padła na łóżko i teraz po prostu śniła. Uznała, że będzie najlepiej, jeśli zabierze bransoletkę mamy i wróci przez most, a potem prawdopodobnie się zbudzi.

Znowu poczuła tępe pulsowanie za lewym okiem. Tam tkwiły korzenie bólu głowy. Paskudnego bólu głowy. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wniosła do snu ból głowy.

- Dziękuję - powiedziała, gdy Pete wyciągnął rękę nad ladą i podał jej bransoletkę. - Mama naprawdę się martwiła. Jest wiele warta.

- Naprawdę się martwiła? - Pete wetknął mały palec w ucho i kręcił. - Przypuszczam, że ma wielką wartość sentymentalną.

- Nie. To znaczy tak. Należała do jej babci, mojej prababci. Ale poza tym jest również bardzo cenna.

- Aha - mruknął.

- Jest zabytkowa - wyjaśniła Szkrab, nie do końca pewna, skąd ta potrzeba przekonania go o wartości biżuterii.

- Jest zabytkowa tylko wtedy, jeśli jest coś warta. Jeśli jest nic niewarta, to tylko stara błyskotka.

- Brylanty - powiedziała z naciskiem. - Brylanty i złoto.

Pete się zaśmiał: krótkie, zjadliwe szczenięcie.

- Naprawdę - oświadczyła stanowczo.

- Nie. To sztuczna biżuteria. Czy te kamyczki wyglądają jak brylanty? To cyrkonie. I spójrz, po wewnętrznej stronie wyłazi srebro. Złoto nie schodzi. To, co dobre, zostaje dobre niezależnie od tego, jakie cięgi zbiera. - Zmarszczył czoło w wyrazie niespodziewanego współczucia. - Dobrze się czujesz? Nie wyglądasz zbyt zdrowo.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Za długo byłam na słońcu. - Taka odpowiedź wydawała się bardzo dorosła.

Chociaż wcale nie czuła się dobrze. Miała zawroty głowy,

nogi się jej trzęsły. Chciała wyjść, uciec od woni Pete-potu zmieszanej z zapachem krążków cebuli i wrzącego tłuszczu. Chciała, żeby ten sen wreszcie się skończył.

- Jesteś pewna, że nie chcesz niczego zimnego do picia? - zapytał Pete.

- Dzięki, wypiliśmy koktajl mleczny, gdy byłam tu na lunchu.

- Jeśli piłaś koktajl, to nie tu. Może w McDonalddie. My serwujemy frappe.

- Muszę iść - oznajmiła.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Zdawała sobie sprawę, że poparzony przez słońce Pete patrzy na nią ze szczerą troską, i była mu za to wdzięczna. Pomyślała, że chociaż cuchnie i jest opryskliwy, zalicza się do dobrych ludzi, martwiących się o małe dziewczynki, które wyglądają na chore i samotnie wędrują wzdłuż Hampton Beach. Ale nie śmiała powiedzieć mu nic więcej. Krople potu zwilżały jej skronie i górną wargę, a utrzymanie się na drżących nogach wymagało wielkiego skupienia. Lewe oko znowu tętniło, tym razem mniej delikatnie. Trwanie w przekonaniu, że tylko wyobraża sobie tę wizytę w Terry's, że przedziera się przez wyjątkowo realny sen, było równie trudne jak próba utrzymania w ręce śliskiej żaby.

Vic wyszła na zewnątrz i szybkim krokiem przemierzała pas gorącego betonu, mijając zaparkowane pochyłone motocykle. Otworzyła drzwi w wysokim parkanie i weszła w uliczkę za Terry's Primo Subs.

Most się nie przeniósł. Zewnętrzne ściany przylegały do budynków po obu stronach. Patrzenie wprost na niego sprawiało jej ból. Raniło lewe oko.

Kucharz albo pomywacz - ktoś, kto pracował w kuchni - stał w uliczce przy kontenerze. Miał fartuch brudny od tłuszczu i krwi. Osoba, która miałaby okazję przyjrzeć się temu fartuchowi, na pewno darowałaby sobie lunch u Terry'ego. Niewysoki mężczyzna o szpeceniastych policzkach i żylastych, wytatuowanych przedramionach patrzył na most z miną pośrednią między oburzeniem a strachem.

- Co jest, psiamać? - wymamrotał. Spojrzał zdezorientowany na Vic. - Widzisz to, mała? Chodzi mi o... co to jest, psiamać?

- Mój most. Niech się pan nie przejmuję. Zabiorę go ze sobą - odparła, choć w zasadzie nie miała pewności, co przez to rozumie.

Złapała kierownicę, obróciła rower i ruszyła w stronę mostu. Przebiegła dwa kroki i przerzuciła nogę przez siodełko.

Przednie koło podskoczyło na deskach i wjechała w syczącą ciemność.

Dźwięk, ten obłąkańczy ryk zakłóceń, zabrzmiał w chwili, gdy tylko raleigh wniósł ją na most. W czasie jazdy w tamtą stronę Vic była przekonana, że słyszy rzekę, ale to wcale nie był szum wody. W ścianach ciągnęły się długie szczeliny i kiedy przemykały obok niej, po raz pierwszy na nie spojrzała. Zobaczyła w nich migoczącą białą jasność, jakby po drugiej stronie znajdował się największy telewizor świata nastawiony na nieaktywny kanał. Wokół przekrzywionej, rozlatującej się konstrukcji szalała burza, śnieżycy światła. Szkrab czuła, jak most lekko się kołysze pod naporem tej nawałnicy.

Zamknęła oczy, nie chciała widzieć niczego więcej, stanęła na pedałach i pędziła ku drugiej stronie. Jeszcze raz wypróbowała swoją podobną do modlitwy mantrę - prawie już, prawie już - ale była zbyt wyczerpana i chora, żeby przez dłuższy czas koncentrować uwagę na jednej myśli. Słyszała tylko własny oddech i ryk, ten wściekły szum zakłóceń, ten niekończący się wodospad dźwięku, coraz głośniejszy, nie do zniesienia, a potem narastający jeszcze bardziej, aż w końcu chciała krzyknąć „dość tego”, słowa pęczniały jej w ustach, „dość tego, dość tego”, płuca już nabierały powietrza, gdy nagle rower wpadł z powrotem do

Havervill, Massachusetts

Huk ucichł z miękkim elektrycznym pyknięciem. Poczwała to pyknięcie w głowie, w lewej skroni, niewielką, ale wyraźną eksplozję.

Jeszcze zanim otworzyła oczy, wiedziała, że jest w domu – no, może nie w domu, ale przynajmniej w swoim lesie. Poznała, że to jej las, po zapachu sosen i chłodnym, jakby wyszorowanym do czysta powietrzu, które kojarzyła z Merrimackiem. Słyszała rzekę, daleki, łagodny, kojący szmer, który w niczym nie przypominał białego szumu.

Otworzyła oczy, uniosła głowę, odgarnęła włosy z twarzy. Przedwieczne słońce mrugało w nieregularnych błyskach, przesiane przez liście nad jej głowę. Zwolniła, nacisnęła hamulce i postawiła jedną nogę na ziemi.

Obejrzała się, żeby ostatni raz spojrzeć przez most na Hampton Beach. Zastanawiała się, czy zobaczy jeszcze kucharza w brudnym fartuchu.

Nie mogła go zobaczyć, ponieważ Most Krótsza Droga zniknął bez śladu. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się wejście na most, stała barierka. Tuż za nią zaczynała się porośnięta zielskim stroma skarpa, która kończyła się przy głębokim, błękitnym korycie rzeki.

Ze wzburzonej, spienionej wody sterczały trzy poszczerbione betonowe podpory z wierzchołkami w kształcie nawiasów. To było wszystko, co pozostało z Krótszej Drogi.

Vic nie mogła tego pojąć. Przecież właśnie przejechała przez most, czuła zapach starego, próchniejącego, spieczonego przez słońce drewna zmieszanego z cuchnącą wonią moczu nietoperzy; przecież słyszała deski skrzypiące pod kołami.

Lewe oko pulsowało. Zamknęła je, mocno potarła dłonią, otworzyła i przez chwilę myślała, że most nadal tam jest. Zobaczyła, a przynajmniej tak się jej zdawało, coś w rodzaju powidoku, biały blask w kształcie mostu, sięgający do przeciwległego brzegu.

Ale powidok nie trwał długo, łzy zalały lewe oko i była za bardzo zmęczona, żeby roztrząsać, co się stało z mostem.

Nigdy, ani razu w swoim życiu tak bardzo nie pragnęła znaleźć się w domu, w swoim pokoju, w swoim łóżku, w szeleszczących fałdach pościeli.

Wsiadła na rower, lecz poddała się po przejechaniu ledwie kilku metrów. Zsiadła i szła ze spuszczoną głową, z włosami zwisającymi po obu stronach twarzy. Zgubiona przez mamę bransoletka kołysała się na jej spoconym nadgarstku. Prawie nie zwracała na nią uwagi.

Vic poprowadziła rower po żółknącej trawie na podwórku za domem, obok placzyku zabaw, na którym już się nie bawiła; łańcuchy huśtawek pokrywała warstwa rdzy. Rzuciła rower na podjazd i weszła do domu. Chciała pójść do swojego pokoju, chciała położyć się i odpocząć. Ale kiedy usłyszała cichy brzęk w kuchni, zmieniła kurs, żeby zobaczyć, kto tam jest.

Tata stał tyłem do niej, z puszką piwa Stroh's w ręce. Drugą rękę trzymał pod lejącą się z kranu zimną wodą, mocząc kostki palców.

Vic nie miała pewności, jak długo nie było jej w domu. Zegar na tosterze niewiele jej pomógł. Mrugał, pokazując dwunastą, jakby właśnie został zresetowany. Światła były zgaszone, w kuchni zalegały chłodne popołudniowe cienie.

- Tato - powiedziała głosem, którego prawie nie rozpoznała - która godzina?

Spojrzał na kuchenkę, potem lekko pokręcił głową.

- Niech mnie licho, jeśli wiem. Światło zgasło jakieś pięć minut temu. Chyba cała ulica jest bez... - Popatrzył na nią, pytająco unosząc brwi. - Co się stało? Nic ci nie jest? - Zakręcił wodę i złapał ścierkę, żeby wytrzeć mokrą dłoń. - Nie wyglądasz zbyt zdrowo.

Roześmiał się, był to wymuszony dźwięk bez odrobiny wesołości.

- Tak właśnie powiedział Pete. - Vic miała wrażenie, że jej głos płynie z daleka, z drugiego końca długiego tunelu.

- Jaki Pete?

- Z Hampton Beach.

- Vic...

- Nic mi nie jest. - Spróbowała przełknąć ślinę i nie dała rady. Dokuczało jej nieznośne pragnienie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyła ojca z chłodnym napojem w ręce. Na chwilę zamknęła oczy i zobaczyła zroszoną szklanę soku z różowych grejpfrutów, a wyobrażenie sprawiło, że każda komórka jej ciała boleśnie skręciła się z pragnienia. - Tylko chce mi się pić. Mamy jakiś sok?

- Przykro mi, mała. Lodówka jest zupełnie pusta. Mama jeszcze nie była w sklepie.

- Leży?

- Nie wiem - odparł. Nie dodał: „Nie obchodzi mnie”, ale właśnie takie słowa brzmiały w jego tonie.

- Aha - mruknęła Vic. Zsunęła bransoletkę z ręki i położyła ją na kuchennym stole. - Kiedy wyjdzie, powiedz, że znalazłam jej bransoletkę.

Zatrzasnął drzwi lodówki i odwrócił się. Przeniósł spojrzenie na bransoletkę, potem znowu na nią.

- Gdzie...

- W samochodzie. Między siedzeniami.

Pokój pociemniał, jakby słońce zniknęło za wielkim masywem chmur. Vic się zachwiała.

Ojciec przyłożył do jej twarzy grzbiet ręki, tej, w której trzymał piwo. Zauważyła, że o coś otarł kostki.

- Chryste, Szkrabie, jesteś rozpalona. Hej, Lin?

- Nic mi nie jest - powtórzyła Vic. - Tylko muszę na chwilę się położyć.

Nie zamierzała kłaść się tu i teraz. Miała zamiar pójść do swojego pokoju i wyciągnąć się pod swoim fantastycznym plakatem z Davidem Hasselhoffem - ale nogi się pod nią ugięły. Ojciec złapał ją, zanim upadła na podłogę. Wziął ją na ręce, jedną rękę trzymając pod kolanami, drugą pod plecami, i wyniósł na korytarz.

- Lin? - zawołał.

Linda wyszła z sypialni, z wilgotną myjką przyłożoną do kącika ust. Puszyste kasztanowe włosy miała rozczochrane, a oczy nieprzytomne, jakby rzeczywiście spała. Jej spojrzenie

się wyostrzyło, gdy zobaczyła Vic w ramionach męża.

Spotkała się z nimi przy drzwiach pokoju córki. Smukłymi palcami odgarnęła jej włosy z czoła, przycisnęła do niego dłoń. Dotyk gładkiej, chłodnej dłoni spowodował drżenie, które było skutkiem choroby i przyjemności. Rodzice już się na siebie nie wściekali i gdyby Szkrab wiedziała, że wystarczy zachorować, żeby ich pogodzić, mogłaby sobie darować jazdę przez most po bransoletkę i zamiast tego po prostu wetknąć palce do gardła.

- Co jej się stało?

- Zemdląca - odparł Chris.

- Wcale nie - zaprzeczyła Vic.

- Ma trzydzieści osiem stopni gorączki i pada z nóg, a chce się ze mną wyklócać - skomentował ojciec z niewątpliwym podziwem.

Matka opuściła szmatkę, którą przykładała do kącika ust.

- Udar słoneczny. Najpierw trzy godziny w samochodzie, później jazda na rowerze bez czapki i nic do picia przez cały dzień z wyjątkiem tego dziadowskiego koktajlu u Terry'ego.

- Frappe. U Terry'ego mówią frappe - powiedziała Vic. - Zraniłaś się w usta, mamo.

Linda oblizwała kącik opuchniętych ust.

- Przyniosę szklankę wody i ibuprom. Obie zażyjemy.

- Gdy będziesz w kuchni, może weźmiesz swoją bransoletkę? - powiedział Chris. - Leży na stole.

Linda zrobiła dwa kroki, zanim dotarło do niej znaczenie słów męża. Chris McQueen stanął w drzwiach pokoju, trzymając córkę w ramionach. Vic widziała nad łóżkiem Davida Hasselhoffa - uśmiechał się do niej i wyglądał tak, jakby z trudem się powstrzymywał od puszczenia oka: Sprawiałaś się, mała.

- Była w samochodzie - dodał Chris. - Nasz Szkrab ją znalazł.

Dom

Vic spała.

Jej sny były niespójnymi migawkami statycznych obrazów: maska przeciwgazowa na cementowej podłodze, martwy pies z roztrzaskaną głową na poboczu, las niebosiężnych sosen obwieszonych ślepyimi białymi aniołami.

Ten ostatni obraz był tak żywy i tajemniczo straszny – mroczne, wysokie na prawie dwadzieścia metrów drzewa kołysały się na wietrze jak naćpani uczestnicy jakiegoś pogańskiego obrzędu – że chciała krzyczeć.

Próbowała krzyknąć, ale jej gardło nie mogło wydać najcichszego dźwięku. Uwięzła pod duszącą lawiną czegoś ciemnego, pod zwalistą stertą jakiegoś miękkiego materiału, który nie przepuszczał powietrza. Walczyła, żeby się wydostać, pchając z desperacją, wymachując rękami z całą płynącą ze złości siłą, gdy nagle stwierdziła, że jest w łóżku, mokra od potu. Tata siedział obok niej na brzegu materaca, trzymając ją za nadgarstki.

- Vic, uspokój się – poprosił. - Przed chwilą uderzyłaś mnie tak mocno, że o mało głowa mi się nie obróciła dokoła. Połóż się. To ja, twój tata.

- Aha - szepnęła. Puścił ją i jej ręce opadły bezwładnie. - Przepraszam.

Chwycił w palce swój podbródek i poruszył zuchwą.

- W porządku. Pewnie tak miało być.

- Czemu?

- Nie wiem. Bez względu na powód, każdy dostaje to, na co zasłużył.

Pochyliła się i pocałowała go w zarośnięty podbródek, a on się uśmiechnął.

- Gorączka ustąpiła - powiedział. - Lepiej się czujesz?

Wzruszyła ramionami. Przypuszczała, że czuje się zupełnie dobrze, teraz, gdy wydostała się spod wielkiego stosu czarnych koców i z tamtego mrocznego lasu złowrogich choinek.

- Byłaś nieźle zamoczona - dodał tata. - Żałuj, że sama siebie nie słyszałaś.

- Co mówiłam?

- W pewnym momencie krzyczałaś, żeby nietoperze wyniosły się z mostu - odparł. - Sądzę, że chodziło ci o dzwonnice.

- Tak. To znaczy... nie. Nie, pewnie mówiłam o moście. - Vic dopiero teraz przypomniała sobie o Krótszej Drodze. - Co się stało z mostem, tato?

- Z mostem?

- Z Krótszą Drogą. Z tym starym krytym mostem. Wszystko zniknęło.

- A, tak. Słyszałem, że jakiś dureń chciał przejechać tamtędy samochodem i spadł. Zabił się i pociągnął za sobą prawie cały most. Resztę rozebrali. Dlatego zawsze ci mówiłem, żebyś się nie zapuszczała na to cholerstwo. Powinni je rozebrać dwadzieścia lat temu.

Zadrzała.

- Spójrz na siebie - powiedział ojciec. - Rozchorowałaś się nie na żarty.

Pomyślała, jak w gorączce śniła o psie z roztrzaskaną głową, i świat najpierw pojaśniał, a zaraz potem ściemniał.

Kiedy przetarło się jej w oczach, zobaczyła, że tata przyciska gumowe wiaderko do jej piersi.

- Jeśli masz co wykrztusić - rzekł - staraj się trafić do kubka. Chryste, nigdy więcej nie zabiorę cię do tego pieprzonego Terry'ego.

Przypomniała sobie zapach Pete-potu i paski lepu na muchy pokryte martwymi owadami. Zwymiotowała.

Ojciec wyszedł z wiaderkiem wymiocin. Wrócił ze szklanką wody z lodem.

Wypiła połowę trzema łykami. Woda była taka zimna, że Vic znowu dostała dreszczy. Tata okrył ją kocami, położył rękę na jej ramieniu i siedział z nią, czekając, aż atak minie. Nie poruszał się, nie mówił. Sama jego obecność, możliwość dzielenia z nim tego spokojnego, pewnego siebie milczenia działała na nią kojąco i nie minęło wiele czasu, gdy zaczęła zapadać w sen. Ześlizgiwać się w objęcia snu... a może zjeżdżać. Z zamkniętymi oczyma miała wrażenie, prawie, że jedzie na rowerze i bez wysiłku sunie w ciemną, odprężającą

ciszę.

Kiedy ojciec się podniósł, aby wyjść z pokoju, była jeszcze na tyle przytomna, że to zauważyła. Wymamrotała coś na znak protestu i wyciągnęła rękę. Opadła z powrotem na łóżko.

- Odpocznij, Vic - szepnął. - Ani się obejrzysz, jak znowu będziesz szaleć na rowerze.

Zasnęła.

Jego głos napłynął z daleka.

- Szkoda, że rozebrali Krótszą Drogę - dodał.

- Myślałam, że jej nie lubisz - szepnęła, układając się na boku, pozwalając mu odejść, rezygnując z jego towarzystwa.

- Myślałam, że się bałeś, że spróbuję wjechać tam na rowerze.

- Zgadza się. Bałem się. Chodzi mi o to, że zabrali się do mostu beze mnie. Żałuję, że nie zlecili mi odpalenia ładunków, skoro zamierzali wysadzić go w powietrze. To cholerstwo od zawsze było śmiertelną pułapką. Wszyscy wiedzieli, że pewnego dnia kogoś zabije. Cieszę się, że nie zabiło ciebie. Śpij, mikrusie.

Różne miejsca

Po kilku miesiącach zdarzenie z zagubioną bransoletką w znacznej mierze popadło w niepamięć, a kiedy się przypominało, Vic była przekonana, że faktycznie znalazła zgubę w samochodzie. Nie myślała o Krótszej Drodze, jeśli tylko mogła tego uniknąć. Wspomnienie jazdy przez most było fragmentaryczne i miało cechy halucynacji, nierozzerwalnie związane ze snem o mrocznych drzewach i martwych psach. Rozpamiętywanie go nie przynosiło jej nic dobrego, dlatego zamknęła je w kasie pancерnej swojego umysłu, poza zasięgiem wzroku, i wyrzuciła z pamięci.

W podobny sposób postąpiła ze wszystkimi innymi

incydentami.

Ponieważ były inne zdarzenia, inne podróże na rowerze przez nieistniejący most, żeby znaleźć coś, co zginęło.

Kiedyś jej przyjaciółka Willa Lords zgubiła Pana Pentacka, przynoszącego szczęście sztruksowego pingwina. Pewnego dnia rodzice posprząтали jej pokój, gdy spała w domu Vic, i Willa była przekonana, że Pan Pentack trafił do śmieci wraz z jej komórką z Dzwoneczkiem i tablicą Lite Brite, która już nie działała. Willa była niepokieszona, do tego stopnia zdruzgotana, że nazajutrz nie poszła do szkoły – i następnego dnia też nie.

Vic rozwiązała problem. Okazało się, że Willa przyniosła Pana Pentacka na nocleg. Vic znalazła go pod swoim łóżkiem, wśród kotów z kurzu i zapomnianych skarpetek. Koniec tragedii.

Vic zdecydowanie nie wierzyła, że znalazła Pana Pentacka, gdy wsiadła na rower i pojechała przez Las Pittman Street do miejsca, gdzie kiedyś stał Most Krótsza Droga. Nie wierzyła, że most tam na nią czekał ani że widziała na ścianie wypisany zielonym sprayem napis:

KRĘGIELNIA FENWAY →

Nie wierzyła, że most wypełnił się rykiem zakłóceń, że tajemnicze światła błyskały i pomykały za jego sosnowymi ścianami.

A jednak miała w głowie scenę, jak wyjeżdża z Krótszej Drogi prosto do zaciemnionej kręgielni, pustej o siódmej rano. Kryty most, nedorzeczne, przebijał ścianę i wychodził na tory. Vic znała to miejsce. Dwa tygodnie wcześniej była tu na przyjęciu urodzinowym, zresztą razem z Willą. Sosnowy parkiet lśnił, nawoskowany, i rower ślizgał się po nim jak masło po rozgrzanej patelni. Vic przewróciła się i stukła sobie łokieć. Pan Pentack leżał za ladą w koszu na rzeczy znalezione, pod półkami z butami.

Uznała, że to tylko bajka, którą opowiedziała sobie w nocy

po znalezieniu Pana Pentacka pod swoim łóżkiem. Tej nocy się rozchorowała, była gorąca i lepka od potu, wymiotowała na sucho, a jej sny były żywe i nienaturalne.

Zadrapanie na łokciu zagoiło się w parę dni.

W wieku dziesięciu lat znalazła portfel ojca między poduszkami kanapy - nie na budowie w Attleboro. Jej lewe oko pulsowało przez wiele dni po odnalezieniu zguby, jakby ktoś ją uderzył.

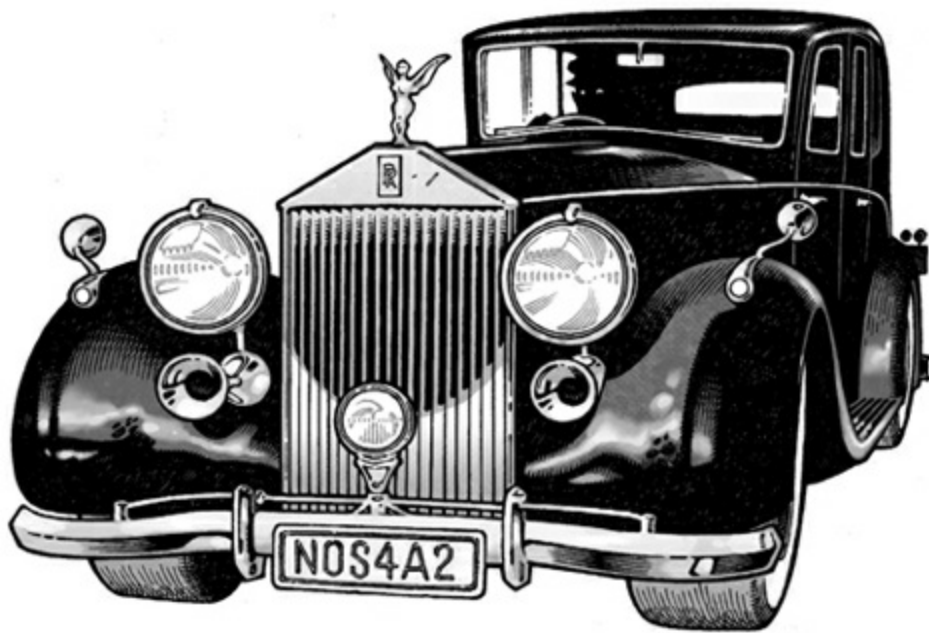
Kiedy miała jedenaście lat, państwu de Zoetom, którzy mieszkali po drugiej stronie ulicy, zginął kot. Taylor, wychudzony stary kocur, biały w czarne łaty, zniknął tuż przed letnim oberwaniem chmury i więcej się nie pokazał. Nazajutrz rano pani de Zoet chodziła tam i z powrotem po ulicy, ćwierkając jak ptak, wykrzykując imię kota. Pan de Zoet, żywy strach na wróble, który zawsze nosił muszki i szelki, stał na podwórku z grabiami, niczego nie grabiąc, z wyrazem beznadziei w wyblakłych oczach.

Vic bardzo lubiła pana de Zoeta, który mówił z zabawnym akcentem Arnolda Schwarzeneggera i miał w biurze makietę pola bitwy. Pachniał jak świeżo zaparzona kawa i dym fajkowy i pozwalał jej malować swoich małych plastikowych żołnierzy piechoty. Vic lubiła też Taylora. Kiedy mruczał, w piersi mu terkotało, jakby miał tam stare zębate kółka, które z hałasem budzą się do życia.

Nikt więcej nie zobaczył Taylora... choć Vic opowiedziała sobie bajkę, że przejechała przez Most Krótsza Droga i znalazła starego kota oblepionego skrzepniętą krwią i rojem much w mokrym zielsku przy autostradzie. Biedaczysko zwlekło się z jezdni po tym, jak samochód przetrącił mu grzbiet. Szkrab zobaczyła plamy krwi na nawierzchni.

Zaczęła nienawidzić szumu zakłóceń.

PIKANTNE ZAGROŻENIE 1990



Sugarcreek, Pensylwania

Ogłoszenie znajdowało się na jednej z ostatnich stron magazynu „Pikantne zagrożenie” z sierpnia 1949 roku, okładka przedstawiała wrzeszczącą naguszkę zamrożoną w lodowym bloku (*Przyjęła go chłodno... więc się zrewanżował*

i zamienił ją w sopel lodu!). Była to tylko jedna kolumna pod znacznie większą reklamą biustonoszy Adola Brassieres (*Podkreślają Twoją figurę!*). Bing Partridge zauważył je dopiero po długim, pełnym namysłu spojrzeniu na panią z reklamy Adola, kobietę z bladymi, kremowymi piersiami mamusi, podtrzymywanymi przez stanik o stożkowatych miseczkach z metalicznym połyskiem. Miała zamknięte oczy i lekko rozchylone usta, więc wyglądała tak, jakby spała i miała słodkie sny. Bing fantazjował, że budzi ją pocałunkiem.

- Bing i Adola siedzą na drzewie - zanucił. - PIER-DO-LE-NIE-eeeeee.

Siedział w swoim zacisznym kąciku w piwnicy, ze spuszczonej spodniami, gołym tyłkiem na zakurzonej betonie. Jego wolna ręka znajdowała się mniej więcej tam, gdzie można się domyślać, ale jeszcze nie był szczególnie zajęty. Przeglądał czasopismo, wypatrując najlepszych kawałków, kiedy natknął się na niewielkie ogłoszenie w dolnym lewym rogu strony. Bałwan w cylindrze wskazywał zgiętą ręką na linijkę druku obramowaną płatkami śniegu.

Czy **WIERZYSZ** w miejsce zwane
GWIAZDKOWĄ KRAINĄ??

CO
 Jesteś gotów
 zrobić,
 żeby Twoje
ZYCIE
 upłynęło tam,
 gdzie każdy
 poranek jest
 porankiem
BOŻEGO
NARODZENIA,
 a smucenie się
 jest sprzeczne
 z prawem?!?



NIE
REZYGNUJ
Z
CUDÓW!

NIE
REZYGNUJ
ZE
SWOICH
MARZEŃ!

Poszukujemy **PRZEBOJOWYCH OSÓB,**
 które **KOCHAJĄ DZIECI**
 i nie boją się **PRZYGODY!**
 O szczegóły oferty proszę pytać
 w naszym wydziale ochrony.

To nie tylko praca...
TO ŻYCIE!
GWIAZDKOWA KRAINA czeka...
NA CIEBIE!

Bing lubił ogłoszenia na ostatnich stronach szmatławców: reklamy blaszanych kuferków pełnych ołowianych żołnierzyków (*Odtwórz emocje spod Verdun!*), reklamy sprzętu z drugiej wojny światowej (*Bagnety! Karabiny! Maski przeciwgazowe!*), reklamy książek, które ci powiedzą, jak sprawić, żeby pragnęły cię kobiety (*Naucz ją mówić „KOCHAM CIĘ!”*). Często wycinał formularze zamówień, na przykład wykrywacza metali albo farmy mrówek, i wysyłał

należność w bilonie albo brudnych banknotach. Całym sercem pragnął tego, co obiecywały wydrukowane słowa – *Zadziwisz swoich przyjaciół!* i *Wprawisz w zdumienie swoich bliskich!* – i nie miało znaczenia, że jego przyjaciółmi byli trzej ograniczeni umysłowo dozorczy z ekipy, którą kierował w zakładach NorChemPharm, a najbliżsi krewni spoczywali na cmentarzu za kościołem New American Faith Tabernacle. Bing ani razu nie wziął pod uwagę, że należąca do ojca kolekcja miękkiej pornografii – pleśniejąca w tekturowym pudle w jego cichym pokoju – jest starsza niż on i że większość firm, do których wysyłał pieniądze, przestała istnieć dawno temu.

Ale reklama miejsca zwanego Gwiazdkową Krainą, przeczytana dwa razy, spowodowała reakcję emocjonalną zupełnie innego rodzaju. Nieobrzezany, lekko pachnący drożdżami penis zwiotczał w jego lewej dłoni, popadając w zapomnienie. Jego dusza stała się wieżą, w której nagle rozdzwoniły się wszystkie dzwony.

Nie miał pojęcia, gdzie ani czym jest Gwiazdkowa Kraina, nigdy o niej nie słyszał. A jednak natychmiast poczuł, że przez całe życie pragnął się tam znaleźć... chodzić po brukowanych uliczkach, spacerować pod latarniami w kształcie cukierkowych laseczek w biało-czerwone paski i patrzeć, jak dzieci piszczą na reniferowej karuzeli, która obraca się bez końca.

Co jesteś gotów zrobić, żeby Twoje życie upłynęło tam, gdzie każdy poranek jest porankiem Bożego Narodzenia?! – krzyczało ogłoszenie.

Bing miał za pasem czterdzieści dwa Boże Narodzenia, ale kiedy pomyślał o świątecznym poranku, tylko jedno miało znaczenie i wystarczało za całą resztę. W jego wspomnieniach Gwiazdki matka wysuwała z piekarnika blachę pełną posypanych cukrem ciasteczek w kształcie choinek i cały dom pachniał wanilią. Było to całe lata przed tym, nim długi gwóźdź utkwiał w płacie czołowym Johna Partridge'a, i tego ranka ojciec siedział z Bingiem na podłodze, patrząc w skupieniu, jak syn otwiera prezenty.

Bing najlepiej pamiętał ostatni prezent: duże pudełko zawierające gumową maskę przeciwgazową i wgnieciony hełm, zardzewiały w miejscach, gdzie złuszczyła się farba.

- Patrzysz na ekwipunek, który pozwolił mi przeżyć w Korei - powiedział ojciec. - Teraz należy do ciebie. Ta maska przeciwgazowa jest ostatnią rzeczą, którą widziało trzech żołdków.

Bing naciągnął maskę i spojrzał na ojca przez przejrzyste plastikowe okulary. Oglądany w ten sposób pokój wydawał się małym światem uwięzionym w automacie z kulkami gumy do żucia. Ojciec włożył mu hełm na głowę i zasalutował. Bing z powagą powtórzył jego gest.

- Teraz jesteś jednym z nas - oznajmił ojciec. - Małym żołnierzem, o którym mówią wszyscy mężczyźni. Pan Niepowstrzymany, Szeregowiec z Jajami. Czy to prawda?

- Tak jest, Szeregowiec z Jajami melduje się na służbę - zawołał Bing.

Matka parsknęła łamiącym się nerwowym śmiechem i powiedziała:

- John, licz się ze słowami. Jest Boże Narodzenie. Nie wypada tak mówić. Tego dnia witamy na ziemi naszego Zbawiciela.

- Te matki... - mruknął John Partridge do syna, gdy mama zostawiła ich z ciasteczkami i wróciła do kuchni po kakao. - Jeśli im na to pozwolisz, do końca życia nie odstawią cię od cycka. Z drugiej strony, gdy się nad tym zastanowić... co w tym złego? - I mrugnął.

Na dworze sypał śnieg, wielkie, puszyste płatki, i przez cały dzień nie wychodzili z domu. Bing nosił swój hełm i maskę przeciwgazową, bawił się w wojnę i co chwilę strzelał do swojego taty, a John Partridge co chwilę umierał, upadając na fotel przed telewizorem. Raz Bing wziął na cel mamę, która posłusznie zrobiła zezę, zwiotczała i leżała trupem przez większą część przerwy na reklamy. Nie ożyła, dopóki nie zdjął maski przeciwgazowej, żeby pocałować ją w czoło. Wtedy się uśmiechnęła i powiedziała:

- Niech cię Bóg błogosławi, mały Bingu Partridge. Kocham

cię nade wszystko w świecie.

Co byś był gotów zrobić, żeby czuć się tak codziennie? Czuć się tak, jakby właśnie wstał poranek Bożego Narodzenia i prawdziwa maska przeciwwgazowa z czasów wojny w Korei czekała na niego pod choinką? Żeby zobaczyć, jak matka znowu powoli uchyla powieki i mówi: „Kocham cię nade wszystko w świecie”? W zasadzie pytanie brzmiało inaczej: Czego by nie zrobił?

Powłóczęgając nogami, Bing ruszył w stronę drzwi, dopiero po kilku krokach podciągnął spodnie.

Jego matka wzięła na siebie jakieś sekretarskie obowiązki w kościele, kiedy ojciec nie mógł dłużej pracować, i w szafce w holu wciąż stała jej elektryczna maszyna do pisania Olivetti. Zniknęła litera o, ale wiedział, że może ją zastąpić zerem. Wkręcił arkusz papieru i zaczął pisać:

DrOdzYXXXXX, SzanOwni Właściciele GwiazdkOwej Krainy!

OdpOwiadam na Wasze OgłOszenie w magazynie „Pikantne ZagrOżenie”. Czy chciałbym pracOwać w GwiazdkOwej Krainie? JASNE! Mam 18 lat stażu w NOrChemPharm w Sugarcreek, Pensylwania, i Od 12 lat jestem XXXX kieOwnikiem ekipy dOzOrców. Mam dOzór nad różnymi gazami, takimi jak tlen, wOdór, hel i sewOfluran. Zgadnijcie, ile wypadków miałO miejsce na mOjej zmianie? ANI JEDEN!

CO bym zrObił, żeby cOdziennie ObchOdzić BÓże NarOdzienie? KOgO mam zabić, ha ha ha! W NOrChemPharm wykOnywałem najczarniejszą rObOtę. Czyściłem sedesy zapchane dO pełna i wytrułem setki szcurów. Szukacie kOgOś, ktO się nie bOi ubrudzić sObie rąk? Wasze pOszukiwania dObiegły kOńca!

Jestem człOwiekiem, któregO szukacie: przebOjOwym, kOchającym dzieci i niebOjącym się przygOdy. Nie chcę niczegO więcej z wyjątkiem dObregO miejsca pracy. OdpOwiadałabymi pOsada OchrOmiarza. Będę szczery: kiedyś miałem nadzieję służyć mOjemu dumnemu narOdowi w mundurze, jak mój tata pOdczas wOjny w KOrei, ale parę grzechów młOdOści i smutna tragedia rOdzinnami tO uniemOżliwiły. NO dObra! Żadnych skarg! PrOszę mi wierzyć, gdybym mógł nOsić mundur OchrOny GwiazdkOwej Krainy, czułbym się zaszczycOny! KOlekcjOnuję pamiątki wOjskOwe. Mam własny pistOlet i umiem gO używać.

Na zakOńczenie pOzwOlę sObie wyrazić nadzieję, że skOntaktujecie się ze mną, pisząc na pOniższy adres. Jestem lOjalny aż dO przesady i Oddałbym życie za tę wyjątkOwą Okazję. Nie ma NIC, czegO bym nie zrObił, żeby zasłużyć na miejsce w personelu Gwiazdkowej Krainy.

XXXXX Wes0łych Świąt!
BING PARTRIDGE
25 BLOCH LANE
SUGARCREEK, PENSYLVANIA 16323

Wyciągnął kartkę z maszyny i przeczytał, poruszając ustami. Wysilek koncentracji sprawił, że jego nieforemne ciało w kształcie ziemniaka stało się mokre od potu. Uznał, że przedstawił informacje na swój temat w sposób jasny i autorytatywny. Trochę się martwił, że wzmianka o „grzechach młodości” i „smutnej tragedii rodzinnej” była błędem, ale w końcu uznał, że szefostwo Gwiazdkowej Krainy prawdopodobnie dowie się o jego rodzicach bez względu na to, czy sam cokolwiek powie, czy nie, i że lepiej wspomnieć o tym jak gdyby nigdy nic, niż postąpić tak, jakby miał coś do ukrycia. Wszystko to zdarzyło się dawno temu, a po zwolnieniu z zakładu poprawczego - zwanego Kubłem - był przykładowym pracownikiem i nie opuścił ani jednego dnia pracy w NorChemPharm.

Złożył list, potem zajrzał do szafki, szukając koperty. Zamiast tego znalazł pudełko czystych kartek świątecznych. Chłopczyk i dziewczynka w nocnych strojach zerkali zza rogu, ze zdumieniem patrząc na Świętego Mikołaja, który stał w mroku przed ich choinką. Klapka piżamy dziewczynki była częściowo odpięta, odsłaniając pulchny pośladek. John Partridge kiedyś powiedział, że bez instrukcji wypisanej na obcasie jego syn nie umiałby wylać wody z buta, i może tak wyglądała prawda, ale mimo to Bing umiał na pierwszy rzut oka poznać się na tym, co dobre. Wsunął list w kartkę świąteczną, a kartkę w kopertę ozdobioną liśćmi ostrokrzewu i lśniącymi owocami żurawiny.

Zanim wrzucił list do skrzynki na końcu ulicy, pocałował kopertę jak ksiądz, który schyla głowę i całuje Biblię.



Nazajutrz czekał przy skrzynce o wpół do trzeciej, kiedy ulicą przejeżdżał listonosz w swojej śmiesznej białej

furgonetce. Foliowe kwiaty wiatraczki w ogródku obracały się leniwie z ledwo słyszalnym terkotem.

- Bingu - odezwał się listonosz - nie powinienes być w pracy?

- Mam nocną zmianę - odparł Bing.

- Czyżby zaczęła się wojna? - zapytał listonosz, wskazując jego strój.

Bing miał na sobie musztardowy mundur polowy, który wkładał zawsze wtedy, kiedy chciał poczuć się szczęśliwy.

- Jeśli tak, będę gotowy - powiedział.

Nie dostał odpowiedzi z Gwiazdkowej Krainy, ale jak mógłby się jej spodziewać? Przecież wysłał kartkę zaledwie wczoraj.



Nazajutrz też nic nie przyszło.



Ani dzień później.



W poniedziałek był pewien, że wreszcie dostanie odpowiedź, i czekał na progu pół godziny przed porą przyjazdu listonosza. Nad szczytem wzgórza, za wieżą kościoła New American Faith Tabernacle, piętrzyły się czarne, brzydkie chmury burzowe. Trzy kilometry dalej i pięć tysięcy metrów wyżej rozległ się stłumiony grzmot. Był to nie tyle hałas, ile wibracje, które wstrząsnęły Bingu do szpiku kości, wstrząsnęły kośćmi otulonymi warstwami tłuszczu. Foliowe wiatraczki wirowały histerycznie z odgłosem przypominającym terkotanie rowerów, na których gromada dzieciaków pędzi w dół zbocza, zupełnie nie mając nad nimi kontroli.

Pomruki i trzaski wprawiały Binga w głębokie zaniepokojenie. Było nieznośnie gorąco i burzowo tamtego dnia, kiedy wypalił pistolet do wbijania gwoździ (tak właśnie

o tym myślał – nie jak o dniu, kiedy zastrzelił swojego ojca). Ojciec poczuł lufę przyciśniętą do lewej skroni i spojrzał z ukosa na stojącego nad nim syna. Łyknął piwa, cmoknął i powiedział: „Bałbym się, gdybym sądził, że masz jaja”.

Bing pociągnął za spust, a potem siedział ze swoim starym i słuchał, jak deszcz bębni o dach garażu. John Partridge leżał na podłodze z wykręconą stopą i plamą moczu rosnącą w kroku spodni. Bing siedział, aż jego matka weszła do garażu i zaczęła wrzeszczeć. Wtedy przyszła kolej na nią – choć nie na pistolet do wbijania gwoździ.

Teraz Bing stał na podwórku i patrzył, jak chmury zasnuwają niebo nad kościołem na szczycie wzgórza, gdzie jego matka pracowała do ostatniego dnia swojego życia... nad kościołem, do którego sumiennie uczęszczał co niedziela, jeszcze zanim nauczył się chodzić czy mówić. Jedno z jego pierwszych słów brzmiało „Luja!” – co było najwierniejszą wersją „Alleluja”, jaką umiał wypowiedzieć. Później przez lata matka nazywała go Lujem.

Obecnie nikt się tam nie modlił. Pastor Mitchell uciekł z pieniędzmi i poślubił jakąś kobietę, a bank przejął nieruchomość. W niedzielne poranki jedynymi grzesznikami w New American Faith Tabernacle były gołębie, które mieszkały na strychu. Bing trochę się bał tego miejsca – przerażała go jego pustka. Wyobrażał sobie, że kościół nim gardzi za to, że go porzucił i odszedł od Boga. Wyobrażał sobie, że czasami budowla pochyla się na fundamentach, żeby patrzeć na niego gniewnie swoimi witrażowymi oczami. Były dni – dni takie jak ten – kiedy las przepęłniało obłąkańcze brzęczenie letnich owadów, powietrze drgało z gorąca i kościół zdawał się unosić nad ziemią.

Grom huknął po południu.

– Deszczu, deszczu, nieboże – szepnął Bing do siebie – przyjdź o innej porze.

Pierwsza ciepła kropla rozbryznęła się na jego czole. W jej ślad poszły następne, lśniąc jasno w skośnych promieniach słońca, które padały z przestworu błękitnego nieba na zachodzie. Deszcz miał temperaturę prysznicu krwi.

Listonosz się spóźnił i gdy w końcu nadjechał, Bing był przemoczony i kulił się pod krytym gontem daszkiem przy drzwiach frontowych. Pobiegł przez ulewę do skrzynki. Kiedy do niej sięgnął, zygzak błyskawicy smagnął chmury i spadł z trzaskiem gdzieś za kościołem. Bing wrzasnął, gdy świat zamigotał, stał się niebiesko-biało-niebieski. Był pewien, że zaraz zostanie porażony, spłonie żywcem, dotknięty palcem bożym za to, że zastrzelił ojca z pistoletu do wbijania gwoździ, i za to, co później zrobił matce na podłodze w kuchni.

W skrzynce znalazł rachunek za media, ulotkę reklamującą nowy sklep z materacami i nic więcej.



Dziewięć godzin później zbudziły go drżące tony skrzypiec i śpiew mężczyzny, który miał głos tak gładki i słodki jak polewa waniliowa do ciasta. Śpiewał jego imiennik, Bing Crosby. Pan Crosby marzył o białym Bożym Narodzeniu, dokładnie takim jak te, które kiedyś przeżył.

Bing podciągnął koce pod brodę, wsłuchując się pilnie. Piosence towarzyszyło ciche zgrzytanie igły sunącej po płycie.

Wstał z łóżka i podkraść się do drzwi. Podłoga ziębiła jego bose stopy.

W salonie tańczyli rodzice. Ojciec, tyłem do niego, był ubrany w swój musztardowy mundur polowy. Matka wspierała głowę na jego ramieniu, oczy miała zamknięte, usta rozchylone, jakby tańczyła we śnie.

Pod przysadzistą, niezbyt ładną, obwieszoną lametą choinką czekały prezenty: trzy duże zielone powgniatane butle sewofluranu, przyozdobione szkarłatnymi kokardami.

Rodzice powoli się odwrócili i wtedy Bing zobaczył, że ojciec ma maskę przeciwgazową, a matka jest naga. I że naprawdę śpi. Stopami wlekła po deskach. Ojciec obejmował ją w talii, zamykając dłonie w rękawicach na krzywiźnie jej białych pośladków. Goły tyłek matki jaśniał jak ciało niebieskie, blady jak księżyc.

- Tato? - odezwał się Bing.

Ojciec tańczył, obracał się, zabierał matkę coraz dalej.

- WYJDŹ, BINGU! - ryknął niski, dudniący głos z taką siłą, że zagrzechotała porcelana w kredensie. Bing zadygotał z zaskoczenia, serce zamarło mu w piersi. Igła zazgrzytała po płycie, przeskoczyła blisko końca piosenki. - WYJDŹ! ZOBACZ, JAK WCZEŚNIE W TYM ROKU PRZYSZŁO BOŻE NARODZENIE! HO, HO, HO!

Bing chciał uciec do swojego pokoju i zatrzaskać drzwi. Jednocześnie chciał zakryć oczy i uszy, ale na to też zabrakło mu siły woli. Struchlał na samą myśl o zrobieniu następnego kroku, a jednak stopy same niosły go do przodu, obok choinki i butli sewofluranu, obok ojca i matki, w głąb korytarza i do drzwi frontowych. Otworzyły się, zanim położył rękę na gałce.

Foliowe wiatraczki w ogródku obracały się łagodnie na nocnym wietrze. Dostawał je co roku, po jednym - upominki dla dozorców, wręczone na dorocznym przyjęciu świątecznym w NorChemPharm.

Za ogródkiem czekała Gwiazdkowa Kraina. Saneczkowa kolejka górską dudniła i huczała, dzieci piszczały i wyciągały ręce w lodowatą noc. Ogromny diabelski młyn, Oko Arktyczne, obracał się na tle nieznanymi konstelacjami gwiazd. Na choince wysokiej jak dziesięciopiętrowy budynek i szerokiej jak dom Binga paliły się wszystkie świece.

- WESOŁYCH CHOLERNYCH ŚWIĄT, BING, TY WARIACIE! - zagrzemiał ten potężny dudniący głos.

Kiedy Bing spojrzał w niebo, zobaczył, że księżyc ma twarz. Jedno wytrzeszczone czerwone oko wycierało z wygłodzonej twarzoczaszki, pejzażu kraterów i kości. Usta szczyrzyły się w szerokim zębatym uśmiechu.

- BING, TY POMYŁONY SUKINKOCIE, JESTEŚ GOTÓW NA PRZEJAZDŹKĘ ŻYCIA?!

Bing usiadł w łóżku, serce łomotało mu w piersi - tym razem naprawdę się budził. Był tak bardzo śliski od potu, że piżama w stylu militarnym przykleiła mu się do skóry. Z roztargnieniem zauważył, że fiut mu zeszywniał aż do bólu,

wypychając spodnie piżamy.

Łapczywie zassał powietrze, jakby się nie zbudził, tylko wypłynął na powierzchnię po długim czasie spędzonym pod wodą.

Jego pokój zalewała chłodna, blada, kościana poświata zwyczajnego księżyca, bez twarzy.

Bing łykał powietrze prawie przez pół minuty, zanim sobie uprzytomnił, że wciąż słyszy *White Christmas*. Piosenka przywędrowała za nim ze snu. Płynęła jakby z daleka i cichła z chwili na chwilę, i wiedział, że jeśli nie wstanie, żeby sprawdzić, piosenka niebawem przypadnie i jutro będzie przekonany, że ją sobie wyobraził. Wstał, podszedł na chwiejnych nogach do okna i wyjrzał na podwórko.

Na końcu kwateru zobaczył stary samochód, czarnego rolls-royce'a z wysuniętymi progami i chromowanymi elementami karoserii. Tylne światła zamrugały czerwono i oświetliły tablicę rejestracyjną: NOS4A2. Samochód skręcił za róg i zniknął, zabierając ze sobą radosny hałas Bożego Narodzenia.

NorChemPharm

Bing wiedział, że człowiek z Gwiazdkowej Krainy nadciąga, jeszcze zanim Charlie Manx się zjawił i zaprosił go na przejażdżkę. Wiedział też, że człowiek z Gwiazdkowej Krainy nie będzie taki jak inni ludzie i że praca w ochronie Gwiazdkowej Krainy nie będzie taka jak inne prace, i pod tym względem się nie rozczarował.

Wiedział to dzięki snom, które wydawały się bardziej żywe i rzeczywiste niż wszystko, co go spotykało na jawie. W tych snach ani razu nie wszedł do Gwiazdkowej Krainy, ale widział ją przez okna i drzwi. Czuł zapach mięty i kakao, widział świece palące się na dziesięciopiętrowej choince, słyszał wózki terkoczące i dudniące na starej drewnianej

kolejce górskiej. Słyszał też muzykę i krzyki dzieci. Ktoś mógłby pomyśleć, że są zarzynane.

On wiedział, że jest inaczej, dzięki snom, a także z powodu samochodu. Następnym razem zobaczył go w pracy, przy rampie załadunkowej. Na tyłach budynku jakieś dzieciaki namalowały farbą w sprayu wielkiego czarnego kutasa z jajami, tryskającego czarną spermą na parę wielkich czerwonych kul, które mogły być cyckami, ale w jego oczach wyglądały jak bombki choinkowe. Bing wyszedł na zewnątrz w swoim gumowym kombinezonie ochronnym i przemysłowej masce przeciwigazowej, z wiaderkiem rozcieńczonego ługu, żeby drucianą szczotką wyszorować ścianę.

Uwielbiał używać ługu, uwielbiał patrzeć, jak rozpuszcza farbę. Denis Loory, autystyczny chłopak, który pracował na porannej zmianie, powiedział, że ług rozpuszcza ludzkie ciało w łój. Pewnego dnia razem włożyli do wiadra z ługiem martwego nietoperza i nazajutrz rano zobaczyli, że zostały z niego tylko na wpół przejrzyste kości.

Bing odsunął się od muru, żeby z podziwem spojrzeć na swoje dzieło. Jaja prawie zniknęły, odsłaniając gołą czerwoną cegłę; zostały tylko wielki czarny kutas i cycki. Patrząc na mur, nagle dostrzegł na nim swój cień, wyraziście zarysowany na szorstkich ceglach.

Okręcił się na pięcie, żeby spojrzeć za siebie. Po drugiej stronie siatkowego ogrodzenia stał czarny rolls, jego umieszczone wysoko i blisko siebie reflektory patrzyły prosto na niego.

Można przez całe życie obserwować ptaki i nie odróżniać wróbla od kosa, ale na pierwszy rzut oka rozpoznać łabędzia. Podobnie jest z samochodami. Możesz nie odróżniać firebirda od fiero, ale kiedy zobaczysz rolls-royce'a, od razu wiesz, na co patrzysz.

Bing uśmiechnął się na widok auta. Poczuł, jak potok krwi wypełnia jego serce, i pomyślał: Teraz. Kierowca otworzy drzwi i powie: „Ty jesteś tym młodym człowiekiem, Bingiem Partridge'em, który napisał do nas w związku z pracą w Gwiazdkowej Krainie?”, i wtedy zacznie się moje życie. Moje

życie wreszcie się rozpocznie.

A jednak drzwi się nie otworzyły... nie wtedy. Mężczyzna za kierownicą - Bing nie widział jego twarzy, oślepiony blaskiem reflektorów - nie zawołał go ani nie opuścił szyby. Błysnął światłami na znak sympatycznego powitania i zatoczył szerokie półkole, ustawiając samochód tyłem do budynku NorChemPharm.

Bing zdjął maskę przeciwgazową, włożył ją pod pachę. Był zarumieniony i chłodne, cieniste powietrze przyjemnie muskało odsłoniętą skórę. Słyszał płynącą z samochodu świąteczną muzykę, *Joy to the World*. Tak, właśnie to odczuwał, radość.

Zastanawiał się, czy mężczyzna za kierownicą chce, żeby do niego podszedł. Żeby zostawił maskę i wiadro ługu, prześliznął się za ogrodzenie i usiadł w fotelu pasażera. Ale gdy tylko zrobił krok, samochód ruszył.

- Czeka! - krzyknął Bing. - Nie odjeżdżaj! Zaczeka!

Był wstrząśnięty, kiedy zobaczył, że rolls go zostawia - że tablica rejestracyjna NOS4A2 stopniowo maleje w dali.

W stanie oszalałającego podniecenia, niemal paniki, wrzasnął:

- Widziałem! Widziałem Gwiazdkową Krainę! Proszę! Daj mi szansę! Proszę, wróć!

Błysnęły światła hamowania. Rolls zwolnił na chwilę, jakby kierowca go usłyszał - a potem odjechał.

- Daj mi szansę! - powtórzył Bing. Po chwili wrzasnął ile sił w płucach: - Tylko daj mi szansę!

Rolls skrzył za róg i zniknął, zostawiając zarumienionego, zlanego potem Binga z sercem walącym w piersi.

Wciąż tam stał, gdy na rampę wyszedł brygadzysta, pan Paladin, żeby zapalić.

- Hej, Bing, na ścianie został kawałek kutasa - zawołał. - Pracujesz czy jesteś na wakacjach?

Bing ze smutkiem patrzył w głąb ulicy.

- Mam urlop świąteczny - powiedział, ale tak cicho, że pan Paladin go nie usłyszał.



Nie widział rollsa przez tydzień. Zmienili mu grafik i musiał pracować na dwie zmiany, od szóstej do osiemnastej. W magazynach panował piekielny upał, było tak gorąco, że metalowe zbiorniki ze sprężonym gazem parzyły, gdy człowiek się o nie otarł. Bing złapał ten co zwykle autobus, żeby jechać do domu, czterdzieści minut jazdy, z wentylatorów płynęło cuchnące powietrze, a na domiar złego jakiś malec wydzierał się przez całą drogę.

Wysiadł na Fairfield Street i przemierzył na piechotę trzy ostatnie przecznice. Powietrze ze stanu gazowego przeszło w stan ciekły - ciecz bliską wrzenia. Wzbijało się znad rozmiękczonego asfaltu i zniekształcało widok. Szereg domów przy końcu kwartału falował jak odbicia w sadzawce niespokojnej wody.

- Skwarze, skwarze, niebożę - podśpiewywał Bing - usmaż mnie o innej...

Rolls stał po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko jego domu. Mężczyzna wychylił się przez okno po prawej stronie i przekręcił głowę, żeby na niego spojrzeć. Uśmiechnął się, jak stary przyjaciel do przyjaciela. Skinął dłonią o długich palcach: Pospiesz się.

Ręka Binga sama z siebie wystrzeliła w powietrze i nerwowo pokiwała w odpowiedzi. Ruszył ulicą podrygującym truchtem grubasa. W pewien sposób wstrząsnął nim widok zaparkowanego tu rollsa. Z jednej strony wierzył, że człowiek z Gwiazdkowej Krainy w końcu po niego przyjechał, z drugiej zaś zaczął się martwić, że sny i pojawiający się od czasu do czasu samochód są jak wrony krążące nad czymś chorym i bliskim śmierci: jego umysłem. Z każdym krokiem w kierunku NOS4A2 nabierał coraz większego przekonania, że samochód ruszy, żeby znowu odpłynąć i zniknąć. Tak się nie stało.

Mężczyzna wcale nie siedział w fotelu pasażera, ponieważ oczywiście rolls-royce był angielskim samochodem i

kierownica znajdowała się po prawej stronie. Mężczyzna, kierowca, uśmiechnął się życzliwie. Bing Partridge na pierwszy rzut oka poznał, że choć wygląda na jakieś czterdzieści lat, jest znacznie starszy. Jego oczy cechował łagodny, zmatowiały połysk szkła morskiego; były to stare oczy, niewyobrażalnie stare. Jego pociągła, udreńczona twarz wyrażała mądrość i życzliwość, choć miał przodozgryz i trochę krzywe zęby. Bing przypuszczał, że niektórzy opisaliby ją jako szczurzą, ale jego zdaniem również z profilu prezentowałaby się pięknie na monecie.

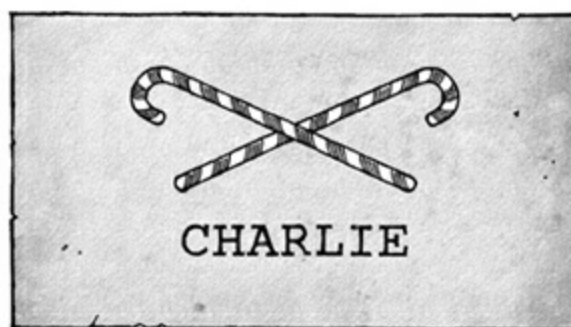
- Oto i on! - krzyknął mężczyzna za kierownicą. - Oto gorliwy młody Bing Partridge! Człowiek dnia! Musimy przeprowadzić zaległą rozmowę, młody Partridge'u! Założę się, że będzie to najważniejsza rozmowa twojego życia!

- Przyjechał pan z Gwiazdkowej Krainy? - zapytał Bing ściszym głosem.

Stary, a może wiecznie młody mężczyzna przyłożył palec do nosa.

- Charles Talent Manx Trzeci do twoich usług, mój drogi! Dyrektor naczelny przedsiębiorstwa Gwiazdkowa Kraina, prezydent zabawy! Również Jego Eminencja, król kupy gnoju, choć tego nie przeczytasz na mojej wizytówce. - Pstryknął palcami i wyczarował wizytówkę.

Bing wziął kartonik i spojrzał.



- Jeśli ją polizesz, poczujesz smak tych cukrowych lasek - powiedział Charlie.

Bing po chwili przeciągnął szorstkim językiem po

kartoniku. Smakował papierem i tekturą.

- Żartowałem! - krzyknął pan Manx i trzepnął go w ramię.
- Jak sądzisz, kim jestem, Willym Wonką? Chodź! Wsiadaj! Dlaczego, synu, masz taką minę, jakbyś miał zamiar roztopić się w kałużę soku Bingowego? Postawię ci butelkę napoju z bąbelkami. Mamy coś ważnego do omówienia.
- Pracę? - zapytał Bing.
- Przyszłość - odparł Charlie.

Autostrada 322

- Nigdy nie jechałem ładniejszym samochodem - powiedział Bing Partridge, gdy sunęli autostradą numer 322, a rolls wchodził w zakręty gładko jak kulka z nierdzewnej stali w łożysku.

- To rolls-royce wraith, Upiór, z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, jeden z czterystu egzemplarzy wyprodukowanych w Bristolu. Rzadki okaz, podobnie jak ty, Bingu Partridge.

Bing przeciągnął ręką po ziarnistej skórze. Deska rozdzielcza z wypolerowanego wiśniowego drewna i gałka dźwigni zmiany biegów lśniły.

- Czy pańska tablica rejestracyjna coś oznacza? - zapytał Bing. - En-o-es-four-a-two?

- Nosferatu - odparł Charlie Manx.

- Nosfer-co-kto?

- To jeden z moich żarcików - wyjaśnił Manx. - Moja pierwsza żona kiedyś mi zarzucała, że jestem Nosferatu. Nie użyła dokładnie tego słowa, ale podobnego. Oparzyłeś się kiedyś sokiem trującego bluszczu, Bingu?

- Tak, dawno temu. Kiedy byłem mały, dziadek zabrał mnie przed śmiercią na biwak i...

- Gdyby zabrał cię na biwak po śmierci, mój chłopcze, dopiero wtedy miałbyś o czym opowiadać! Posłuchaj, o co mi

chodzi: moja pierwsza żona była jak wysypka po dotknięciu trującego bluszczu. Nie mogłem jej ścierpieć, ale też nie mogłem się powstrzymać, żeby jej nie dotykać. Była jak swędzące miejsce, które rozdrapywałem do krwi, a potem jeszcze bardziej! Pańska praca wydaje się niebezpieczna, panie Partridge!

Zmiana tematu nastąpiła tak nagle, że Bing był kompletnie zaskoczony i potrzebował chwili, żeby zrozumieć, iż teraz on powinien coś powiedzieć.

- Tak?

- Wspomniał pan w swoim liście, że zajmuje się sprężonym gazem - powiedział Manx. - Czy praca z helem i tlenem nie jest niebezpieczna? Czy nie dochodzi do wybuchów butli?

- Tak, jasne. Parę lat temu pewien facet ukradkiem zapalił papierosa w magazynie, obok zbiornika azotu z otwartym zaworem. Butla wystartowała jak rakieta, z ogłuszającym rykiem. Uderzyła w drzwi z taką siłą, że wyrwała je z zawiasów, a drzwi pożarowe zrobione są z żelaza. Ale wtedy nikt nie zginął. Odkąd zostałem szefem, w mojej ekipie nie doszło do wypadku. No... było prawie bezwypadkowo. Denis Loory kiedyś się nawdychał piernikowego dymu, ale to tak naprawdę się nie liczy. Nawet się nie porzygał.

- Piernikowego dymu?

- To aromatyzowana mieszanka sewofluranu, którą wysyłamy do gabinetów dentystycznych. Może być bezwonna, ale dzieciaki lubią zapach starego piernikowego dymu.

- Tak? To jakiś narkotyk?

- Sprawia, że człowiek nie ma pojęcia, co się z nim dzieje, tak. Ale nie zasypia. Można powiedzieć, że wie tylko to, co ktoś mu mówi. I traci intuicję. - Bing parsknął śmiechem, nie mogąc się powstrzymać, po czym niemal przeproszającym tonem dodał: - Powiedzieliśmy Denisowi, że czas na disco, i wtedy zaczął dymać powietrze jak John Travolta w tamtym filmie. Konaliśmy ze śmiechu.

Pan Manx otworzył usta, pokazując drobne brązowe zęby w brzydkim, a zarazem pociągającym uśmiechu.

- Lubię ludzi z poczuciem humoru, panie Partridge.
- Może pan mówić mi po imieniu, panie Manx.

Spodziewał się, że zaproponuje mu to samo, ale pan Manx tego nie zrobił.

- Przypuszczam, że większość ludzi, którzy tańczyli do muzyki disco, była pod wpływem jakichś narkotyków. To jedyne wyjaśnienie. Co nie znaczy, że uważam takie głupie wygibasy za jakąś formę tańca. Prędzej za przejaw kompletnej głupoty!

Upiór wtoczył się na ziemny parking przy Franklin Dairy Queen. Na asfalcie zdawał się płynąć jak żaglówka z wiatrem od rufy. Bingowi towarzyszyło wrażenie swobodnego, niewymagającego wysiłku, milczącego ruchu. Na ziemi odczuwało się masę, pęd i ciężar: wóz pancerny ugniatający glinę pod gąsienicami.

- Może kupię coca-colę i przejdziemy do konkretów? - zaproponował Charlie Manx. Odwrócił się, trzymając chudą rękę na kierownicy.

Bing otworzył usta, żeby odpowiedzieć, i stwierdził, że tłumi ziewnięcie. Długa, spokojna, rozkołysana jazda w popołudniowym słońcu sprawiła, że zrobił się senny. Źle sypiał już od miesiąca, a tego dnia był na nogach od czwartej rano i gdyby Charlie Manx nie pokazał się przed jego domem, urządziłby sobie kolację przed telewizorem i wcześniej wskoczył do łóżka. Ta myśl przypomniła mu o czymś innym.

- Śniłem o tym - powiedział. - Przez cały czas miałem sny o Gwiazdkowej Krainie. - Roześmiał się, speszony. Charlie Manx uzna go za głupka.

Tyle że wcale tak nie było. Charlie Manx uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Śniłeś o księżycu? Czy księżyc do ciebie mówił?

Nagle całe powietrze uciekło mu z płuc. Bing wlepił w kierowcę zdumione i może trochę przerażone oczy.

- Śniłeś o tym, ponieważ tam jest twoje miejsce, Bingu - wyjaśnił Manx. - Ale jeśli chcesz się tam znaleźć, musisz na to zasłużyć. I mogę ci powiedzieć jak.



Parę minut później pan Manx odwrócił się od okienka. Usadowił szczupłe ciało za kierownicą i podał Bingowi zimną, zroszoną butelkę coca-coli. Było słychać, jak napój musuje. Bing pomyślał, że nigdy nie widział, żeby butelka z czymkolwiek wyglądała tak zachęcająco.

Zadarł głowę i wlał colę do gardła, przełykając szybko, jeden haust, drugi, trzeci. Kiedy opuścił butelkę, brakowało w niej połowy zawartości. Odetchnął głęboko, a potem beknął. Dźwięk był ostry, urywany, głośny, jakby ktoś darł prześcieradło.

Bing poczerwieniał, ale Charlie Manx tylko się zaśmiał wesoło i powiedział:

- Lepsze to niż wymioty, tak zawsze mówię swoim dzieciom!

Bing się rozluźnił i uśmiechnął zawstydzony. Beknięcie miało zły smak, jak coca-cola, ale też dziwnie aspirynowy.

Manx przekręcił kierownicę i wyjechali na drogę.

- Pan mnie obserwował - zauważył Bing.

- Owszem, obserwowałem - przyznał Charlie. - Prawie od chwili, gdy otworzyłem twój list. Przyznaję, że byłem zaskoczony, kiedy go dostałem. Od wielu lat nie otrzymywałem żadnych odpowiedzi na moje stare ogłoszenie w czasopiśmie. A jednak miałem przecucie, zaraz po przeczytaniu twojego listu, że jesteś jednym z moich ludzi. Kimś, kto natychmiast zrozumie ważność mojej pracy. Z drugiej strony przecucie jest dobre, ale znacznie lepsza jest wiedza. Gwiazdkowa Kraina to szczególne miejsce i wielu ludzi miałyby zastrzeżenia co do pracy, jaką dla niej wykonuję. Dlatego jestem bardzo wybredny w doborze pracowników. Tak się składa, że szukam człowieka, który mógłby zostać moim nowym szefem ochrony. Potrzebuję hum hum hum do hum hum hum.

Dopiero po długiej minucie Bing uprzytomnił sobie, że nie słyszał końcówki wypowiedzi Charliego Manxa. Dźwięk słów zaginął w szmerze opon na asfalcie. Już zjechali z autostrady,

sunąc pod jodłami przez chłodne żywiczne cienie. Kiedy Bing dostrzegł w przelocie różowe niebo – nawet nie zauważył, kiedy słońce opadło tuż nad zachodni horyzont – zobaczył księżyc, biały jak cytrynowy lód, dryfujący w czystej pustce.

- Co pan powiedział? – zapytał, zmuszając się do wyprostowania ramion i szybko mrugając. Miał niejasne przeczucie, że za chwilę zaśnie. Cola z kofeiną, cukrem i orzeźwiającymi bąbelkami powinna go rozbudzić, ale wydawało się, że wywiera przeciwny skutek. Wypił ostatni łyk, resztki na dnie butelki były gorzkie i skrzywił się z niesmakiem.

- Świat pełen jest brutalnych, głupich ludzi, Bingu – odparł Charlie. – I wiesz, co jest najgorsze? Niektórzy z nich mają dzieci. Niektórzy z nich się upijają i biją swoje maleństwa. Biją je i wyzywają. Tacy ludzie nie powinni mieć dzieci, ja tak to widzę! Można by ustawić ich w szeregi i każdemu z nich wpakować kulkę w łeb, to by mi pasowało. Kulka w łeb każdemu... albo gwóźdź.

Bing poczuł, jak wywracają mu się wnętrzności. Zrobiło mu się tak słabo, że musiał położyć rękę na desce rozdzielczej, żeby nie paść na twarz.

- Nie pamiętam, jak to robiłem – skłamał cichym i tylko odrobinę drżącym głosem. – To było dawno temu. – Po chwili dodał: – Dałbym wszystko, żeby to odwrócić.

- Dlaczego? Żeby twój ojciec miał szansę zabić ciebie? W gazetach pisali, że zanim go zastrzeliłeś, uderzył cię tak mocno, że doznałeś pęknięcia czaszki. Że twoje ciało było pokryte siniakami, przy czym niektóre pochodziły sprzed wielu dni! Mam nadzieję, że nie muszę ci wyjaśniać różnicy między zabójstwem i walką o życie.

- Mamę też skrzywdziłem – szepnął Bing. – W kuchni. Ona nic mi nie zrobiła.

Ta uwaga nie wywarła na panu Manxie większego wrażenia.

- Gdzie była, kiedy ojciec zadawał ci cios za ciosem? Wygląda na to, że nie podjęła heroicznej próby, żeby osłonić cię własnym ciałem! Dlaczego ani razu nie wezwała policji?

Nie mogła znaleźć numeru w książce telefonicznej? – Manx westchnął ze zmęczeniem. – Szkoda, Bingu, że nie miałeś nikogo do obrony. Ognie piekielne nie są dość gorące dla tych, którzy krzywdzą własne dzieci. Ale tak naprawdę bardziej interesuje mnie nie karanie, lecz zapobieganie. Byłoby najlepiej, gdyby coś takiego po prostu nigdy nie spotkało żadnego z was! Gdyby twój dom był domem bezpiecznym. Gdybyś każdego dnia miał Boże Narodzenie, Bingu, zamiast codziennej niedoli i zgryzoty. Sądzę, że obaj możemy się z tym zgodzić.

Bing spojrział na niego mętным wzrokiem. Czuł się tak, jakby nie spał od kilku dni i z minuty na minutę toczył walkę, żeby nie wtulić się z powrotem w skórzany fotel i nie pogrążyć w stanie nieświadomości.

– Chyba zaraz zasnę – wymamrotał.

– Nie krępuj się, Bingu – zachęcił go Charlie. – Droga do Gwiazdkowej Krainy jest wybrukowana snami!

Skądś płynęły białe płatki, muskając przednią szybę. Bing patrzył na nie z tępym zadowoleniem. Było mu ciepło, czuł się dobrze i spokojnie, i polubił Charliego Manxa. „Ognie piekielne nie są dość gorące dla tych, którzy krzywdzą własne dzieci”. To były piękne słowa, miały wydźwięk moralnej pewności. Charlie Manx jest człowiekiem, który zna się na rzeczy.

– Humma hum hum hum – powiedział Charlie Manx.

Bing pokiwał głową, bo również w tej wypowiedzi pobrzmiwała mądrość i moralna pewność, a potem wskazał deszcz płatków na szybie.

– To śnieg!

– Ha! – parsknął Charlie Manx. – To nie jest śnieg. Daj odpocząć oczom, Bingu Partridge. Daj odpocząć oczom, a coś zobaczysz.

Bing Partridge zrobił, co mu kazano.

Zamknął oczy wcale nie na długo, tylko na chwilę. Ale była to chwila, która zdawała się trwać bez końca, rozciągając się w spokojną wieczność, relaksująca senna cisza macona tylko przez szmer opon na drodze. Bing się odprężył. Bing

odetchnął. Bing otworzył oczy i podskoczył, bo przed przednią szybą rozwijała się

Droga do Gwiazdkowej Krainy

Dzień pierzchnął i reflektory Upiora wwiercały się w zamarznąłą ciemność. W blasku pomykały białe cętki, łagodnie muskając szybę.

- Teraz to jest śnieg! - zawołał Charlie Manx za kierownicą.

Bing w jednej chwili otrząsnął się ze snu i w pełni oprzytomniał, jakby świadomość miała włącznik, którym ktoś pstryknął. Miał wrażenie, że nagle cała jego krew naraz wpływa do serca. Nie byłby bardziej zszokowany, gdyby po przebudzeniu znalazł granat na kolanach.

Połowę nieba zasnuwały chmury, ale druga połowa była obficie ocukrzona gwiazdami, wśród których wisiał księżyc, ten księżyc z haczykowatym nosem i ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu. Księżyc przypatrywał się drodze, wodząc po niej żółtym skrawkiem oka widocznego pod opadającą powieką.

Wzdłuż drogi rosły zdeformowane jodły. Bing musiał spojrzeć dwa razy, zanim zrozumiał, że to wcale nie są jodły, tylko drzewa żelkowe.

- Gwiazdkowa Kraina... - szepnął.

- Nie - zaprzeczył Charlie Manx. - Przed nami długa droga. Co najmniej dwadzieścia godzin jazdy. Ale Kraina czeka, na zachodzie. I raz w roku, Bingu, kogoś tam zabieram.

- Mnie? - zapytał Bing drżącym głosem.

- Nie, Bingu - zaprzeczył Charlie łagodnym tonem. - Nie w tym roku. Wszystkie dzieci są mile widziane w Gwiazdkowej Krainie, ale dorośli to zupełnie inna sprawa. Najpierw musisz pokazać, na co cię stać. Musisz udowodnić swoją miłość do dzieci i poświęcenie, z jakim będziesz je chronić i służyć

Gwiazdkowej Krainie.

Minęli bałwana, który pomachał ręką z patyka. Bing odruchowo uniósł dłoń i odwzajemnił pozdrowienie.

- Jak? - szepnął.

- Musisz ocalić wraz ze mną dziesięcioro dzieci, Bingu. Musisz ocalić je przed potworami.

- Przed potworami? Jakimi potworami?

- Ich rodzicami - oznajmił Manx z powagą.

Bing odsunął twarz od lodowatej szyby po stronie pasażera i popatrzył na Charliego Manxa. Kiedy przed chwilą zamknął oczy, światło słońca rozjaśniało niebo, a pan Manx miał na sobie skromną białą koszulę i spodnie z szelkami. Teraz miał frak i ciemny kapelusz z czarnym skórzanym otokiem. Frak z podwójnym rzędem mosiężnych guzików wyglądał jak mundur oficera z jakiegoś obcego kraju, porucznika gwardii królewskiej. Bing spojrzał na siebie i zobaczył, że on też ma nowe ubranie: wykrochmalony biały marynarski mundur swojego ojca i czarne buty wypucowane do połysku.

- Czy ja śnię? - zapytał.

- Przecież mówiłem, że droga do Gwiazdkowej Krainy wybrukowana jest snami. To stare auto może wymknąć się z codziennego świata na tajemne drogi myśli. Sen jest tylko rampą wjazdową. Kiedy pasażer drzemie, mój Upiór zostawia drogę, którą jechał, i wślizguje się na Aleję Świętego Mikołaja. Razem uczestniczymy w tym śnie. To twój sen, Bingu, ale moja jazda. Chodź, chcę ci coś pokazać.

Gdy mówił, samochód zwalniał i skręcał w stronę pobocza. Śnieg chrząścił pod oponami. Reflektory oświetliły jakąś postać stojącą nieco dalej po prawej stronie drogi. Z daleka wyglądała jak kobieta w białej powłóczystej sukni. Stała zupełnie nieruchomo, nie spojrzała w światła Upiora.

Manx pochylił się i otworzył skrytkę nad kolanami Binga. Bing zobaczył zwyczajną zbieraninę map drogowych i papierów, a także latarkę z długą chromowaną rączką.

Ze schowka wyturlała się pomarańczowa buteleczka z lekarstwem. Bing chwycił ją jedną ręką. Widniał na niej napis: HANSOM, DEWEY - WALIUM 50 MG.

Manx wyjął latarkę, wyprostował się i odrobinę uchylił drzwi.

- Stąd możemy podejść pieszo.

Bing podniósł buteleczkę.

- Czy pan... czy pan dał mi coś, żebym zasnął, panie Manx?

Manx zamrugął.

- Nie miej mi tego za złe, Bingu. Wiedziałem, że chcesz jak najszybciej znaleźć się na drodze do Gwiazdkowej Krainy, a mogłeś ją zobaczyć dopiero po zaśnięciu. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

- Chyba nie - odparł Bing i wzruszył ramionami. Znowu popatrzył na buteleczkę. - Kim jest Dewey Hansom?

- Był tobą, Bingu. Był moim przed-Bingiem. Dewey Hansom prowadził castingi w Los Angeles, specjalizował się w promowaniu aktorów dziecięcych. Pomógł mi ocalić dziesięcioro dzieci i zasłużył na miejsce w Gwiazdkowej Krainie. Och, dzieci z Gwiazdkowej Krainy uwielbiały Deweya, Bingu. Schrupały go z kosteczkami! No, chodź!

Bing otworzył drzwi i wysiadł w nieruchome mroźne powietrze. Noc była bezwietrzna i płatki śniegu spadały w powolnych spiralach, całując jego policzki. Jak na staruszka (Dlaczego wciąż myślę, że jest stary? - zastanawiał się Bing. - Przecież wcale nie wygląda staro), Charles Manx dziarsko drałował poboczem, jego buty popiskiwały. Bing powłókł się za nim, skulony w cienkim mundurze galowym.

Była to nie jedna kobieta w białej sukni, ale dwie, stojące po obu stronach czarnej żelaznej bramy. Wyglądały identycznie: damy wyrzeźbione ze szklistego marmuru. Obie się pochylały, rozkładając ramiona, a ich powłóczyste, białe jak kość suknie wydymały się za plecami, rozchylone jak skrzydła aniołów. Cechowały je pogodne piękno, pełne wargi i ślepe oczy posągów klasycznych. Usta miały rozchylone, jakby chwytaly powietrze, a kąciki uniesione w sugestii uśmiechu - albo krzyku bólu. Rzeźbiarz przedstawił je w taki sposób, że ich biust napierał na materiał sukien.

Manx przeszedł przez czarną bramę między damami. Bing przystanął z wahaniem, jego prawa ręka uniosła się jakby

sama i pogłaskał jedną z tych gładkich, zimnych piersi. Zawsze chciał dotknąć takiej piersi, jędrnej, pełnej piersi mamusi.

Kamienna pani uśmiechnęła się szerzej i Bing odskoczył z krzykiem rodzącym się w gardle.

- Chodź już, Bingu! Zajmijmy się naszymi sprawami! Jesteś za cienko ubrany na takie zimno! - ponaglił go Manx.

Bing już miał zrobić krok do przodu, gdy spojrzał na łuk nad otwartą żelazną bramą.

CMENTARZ TEGO, CO MOŻE SIĘ WYDARZYĆ

Ściągnął brwi, zaintrygowany tym tajemniczym napisem, ale pan Manx znowu zawołał, więc Bing pospieszył za nim.

Cztery kamienne stopnie, lekko oprószone śniegiem, prowadziły w dół na płaską tafłę czarnego lodu. Lód przykrywała biała warstwa z niedawnego opadu, ale tak cienka, że szurnięcie butem odsłaniało gładką powierzchnię. Po zrobieniu dwóch kroków Bing spostrzegł przez mętny lód, że coś jest w nim uwięzione, na głębokości niespełna dziesięciu centymetrów. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak płytki talerz.

Bing się pochylił i spojrzał przez lód. Charlie Manx, który wyprzedzał go tylko o kilka kroków, odwrócił się i skierował latarkę w miejsce, gdzie patrzył Bing.

W snopie światła ukazała się twarz dziecka, piegowatej dziewczynki z włosami związanymi w kucyki. Na jej widok Bing wrzasnął i cofnął się niepewnie.

Była blada jak marmurowe posągi strzegące wejścia na Cmentarz Tego, Co Może Się Wydarzyć, ale jej ciało nie było zbudowane z kamienia. Z ust otwartych w milczącym krzyku wypłynęło kilka zamarzniętych bąbelków powietrza. Ręce miała uniesione, jakby sięgała do niego. W jednej trzymała pęk zwiniętej czerwonej linki - Bing rozpoznał skakankę.

- To dziewczynka! - krzyknął. - W lodzie jest martwa dziewczynka!

- Nie martwa, Bingu - poprawił Manx. - Jeszcze nie. Być

może ma przed sobą lata życia. – Manx obrócił latarkę i snop światła padł na biały kamienny krzyż wyrastający z lodu.

LILY CARTER
15 Fox Road
Sharpsville, PA
1980—?

Matka ją pchnęła na ścieżkę grzechu,
A gdyby był przy niej ktoś inny,
Wiodłaby szczęśliwe dzieciństwo
Na łonie Gwiazdkowej Krainy!

Manx oświetlił latarką to, co jak Bing teraz zobaczył, było zamrażanym jeziorem z rzędami krzyży: cmentarz wielkości Arlington. Śnieg oprószał pomniki, cokoły, pustkę. W księżycowej poświacie jego płatki wyglądały jak srebrne trociny.

Bing przeniósł spojrzenie na dziewczynkę u swoich stóp. Patrzyła przez mętny lód – i nagle zamruwała.

Znowu wrzasnęła, odskakując chwiejnie. Uderzył nogami w kolejny krzyż, odwrócił się, stracił równowagę i upadł.

Stojąc na czworakach, spuścił wzrok. Manx skierował latarkę na twarz innego dziecka, chłopca o wrażliwych, zadumanych oczach ocienionych jasnymi rzęsami.

WILLIAM DELMAN
42B Mattison Avenue
Asbury Park, NJ
1981—?

Billy tylko chciał się bawić,
Ale ojciec go zostawił,
Matka poszła sobie precz,
Została mu jedna rzecz.
Prochy, noże, żal i strach,
Nie miał wyjścia – trach, trach, trach!

Bing spróbował się podnieść, zatańczył komicznie na lodzie

i znowu upadł, kawałek dalej w lewo. Snop światła latarki Manxa wyłowił kolejne dziecko w łodzie, małą Azjatkę ściskającą pluszowego misia w tweedowym kubraczku.

SARA CHO
39 Fifth Street
Bangor, ME
1983—?

Sara żyje w tragicznym śnie,
Trzyście lat – powiesi się.
Tylko jazda z panem Manxem
Może dać jej życiu szansę.

Bing zabełkotał z przerażenia. Dziewczynka patrzyła na niego z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku. Została pochowana w łodzie ze sznurem na białym okręconym wokół szyi.

Charlie Manx złapał go za łokieć i pomógł mu wstać.

- Przykro mi, Bingu, że musiałeś to wszystko zobaczyć - powiedział. - Żałuję, że nie mogłem ci tego oszczędzić. Ale musisz zrozumieć powody mojej pracy. Chodźmy do samochodu. Mam kakao w termosie.

Pan Manx poprowadził Binga po łodzie, mocno ściskając jego ramię, żeby się znów nie przewrócił.

Rozdzielili się przy masce samochodu i Charlie podszedł do drzwi po stronie kierowcy. Bing przez chwilę się wahał, po raz pierwszy zauważając ornament na chłodnicy: szeroko uśmiechnięta pani z chromu stała z rozłożonymi ramionami, a jej suknia spływała do tyłu jak skrzydła. Rozpoznał ją na pierwszy rzut oka - wyglądała tak samo jak anioły miłosierdzia, które strzegły bramy cmentarza.

Kiedy wsiedli, Charlie Manx sięgnął pod siedzenie i wyjął srebrny termos. Zdjął nakrętkę, nalał do kubka gorącego kakao i podał Bingu. Bing zamknął naczynie w rękach i sączył parzącą słodycz, podczas gdy Charlie Manx zawrócił szerokim, zamaszystym łukiem. Ruszył drogą, którą tu przyjechali, oddalając się od Cmentarza Tego, Co Może Się

Wydarzyć.

- Niech mi pan opowie o Gwiazdkowej Krainie - poprosił Bing drżącym głosem.

- To miejsce nie ma sobie równych. Z całym należnym szacunkiem dla pana Walta Disneya, Gwiazdkowa Kraina jest prawdziwym najszcześniejszym miejscem na świecie. Chociaż... z innego punktu widzenia, pewnie można by powiedzieć, że jest najszcześniejszym miejscem nie na tym świecie. W Gwiazdkowej Krainie codziennie jest Gwiazdka i dzieci nigdy nie odczuwają smutku. Nie, ujmę to inaczej: dzieci nawet nie rozumieją pojęcia smutku czy nieszczęścia! Tam jest tylko zabawa. To istny raj, tylko że oczywiście dzieci żyją! Żyją wiecznie, na zawsze pozostaną dziećmi i nigdy nie będą zmuszone wysilać się, pocić i poniżać jak my, biedni dorośli. Odkryłem to miejsce czystego snu wiele lat temu i pierwszymi maleństwami, które tam zamieszkały, były moje własne dzieci. Ocaliłem je, zanim mogła je zniszczyć ta żalosna zła jędza, którą z czasem stała się ich matka.

Manx życzliwie spoglądał na Binga.

- Tam naprawdę codziennie dzieją się rzeczy niemożliwe. Ale to miejsce dla dzieci, nie dla dorosłych. Wolno tam mieszkać tylko kilku pełnoletnim osobom. Tylko tym, które wykazały się poświęceniem dla wyższej sprawy. Tylko tym, które są chętne poświęcić wszystko dla dobra i szczęścia wrażliwych maleństw. Ludziom takim jak ty, Bingu.

Po chwili milczenia podjął:

- Pragnę całym sercem, żeby wszystkie dzieci na świecie znalazły drogę do Gwiazdkowej Krainy, gdzie zaznałyby poczucia bezpieczeństwa i niewyobrażalnego szczęścia. Och, chłopcze, to byłoby dopiero coś! Niestety, niewielu dorosłych zgodziłoby się wysłać swoje dzieci z człowiekiem, którego nie znają, do miejsca, którego nie mogą odwiedzić. Wiesz, uznaliby mnie za pedofila i porywacza najbardziej haniebnego pokroju. Dlatego sprowadzam tylko jedno dziecko na rok, czasami dwoje, i zawsze są to dzieci, które widziałem na Cmentarzu Tego, Co Może Się Wydarzyć, grzeczne, skazane na cierpienie z rąk własnych rodziców. Ty

sam zostałeś okrutnie skrzywdzony w dzieciństwie, dlatego na pewno rozumiesz, jak ważne jest udzielenie im pomocy. Cmentarz pokazuje mi dzieci, którym, jeśli nic nie zrobię, rodzice ukradną dzieciństwo. Będą bite łańcuchami, karmione kocią karmą, sprzedawane zboczeńcom. Ich dusze przemienią się w lód i niewinne maleństwa wyrosną na zimnych, wyzutyk z uczuć ludzi, którzy będą niszczyć własne dzieci. Jesteśmy ich jedyną nadzieją, Bingu! W ciągu lat opieki nad Gwiazdkową Krainą ocaliłem około siedemdziesięciorga dzieci i gorąco pragnę ocalić setkę więcej, zanim skończę.

Samochód pędził przez zimną, przepastną ciemność. Bing poruszał ustami, licząc bezgłośnie.

- Siedemdziesiąt - mruknął. - Myślałem, że ratuje pan jedno dziecko rocznie. Może dwoje.

- Owszem - potwierdził Manx. - To się zgadza.

- W takim razie... ile pan ma lat?

Manx uśmiechnął się do niego krzywo, pokazując ostre brązowe zęby.

- Praca pozwala mi zachować młodość. Dopij kakao, Bingu.

Bing przełknął ostatni gorący, słodki haust, potem zakręcił resztką napoju. Na dnie kubka został mleczny żółty osad. Przez chwilę Bing się zastanawiał, czy połknął jakiś inny specyfik z apteczki Deweya Hansoma. Dewey, przed-Bing Charliego Manxa, ocalił dziesięcioro dzieci i poszedł po swoją wieczną nagrodę do Gwiazdkowej Krainy. Jeśli Charlie Manx ocalił siedemdziesięcioro dzieci, to w takim razie ilu było przed-Bingów? Siedmiu? Szczęściarze.

Usłyszał dudnienie: trzask, grzechotanie i zawrodożenie dwunastocylindrowej wielkiej ciężarówce, która nadjeżdżała z tyłu. Obejrzał się - dźwięk z każdą chwilą stawał się głośniejszy - ale niczego nie zdołał zobaczyć.

- Słyszyc pan to? - zapytał, nie zauważając, że pusty kubek wysliznął się z jego nagle ścierpniętych palców. - Słyszyc pan, że coś się zbliża?

- Nadciąga ranek - odparł Manx. - Szybko nas dopędza. Nie patrz teraz, Bingu, nadchodzi!

Ryk narastał i nagle ciężarówka zrównała się z nimi. Bing spojrział w noc i całkiem wyraźnie zobaczył wielką boczną ścianę naczepy, oddaloną najwyżej o pół metra. Widniało na niej wymalowane zielone pole, czerwona zagroda, kilka krów i jasne uśmiechnięte słońce wstające nad wzgórzami. Promienie oświetlały wysoki na trzydzieści centymetrów napis: DOSTAWA.

Przez chwilę ciężarówka zasłaniała ziemię i niebo i całe pole widzenia Binga wypełniła DOSTAWA WSCHODU SŁOŃCA. Potem ciężarówka ich wyprzedziła, wlokąc za sobą koguci ogon kurzu, i Bing aż się wzdrygnął na widok niemal boleśnie błękitnego porannego nieba, nieba bez chmur, bez granic, i przymrużył oczy, patrząc na

Wieś w Pensylwanii

Charlie Manx sprowadził Upiora na pobocze spękanej, piaszczystej wiejskiej drogi i stanął. Żółknące zielsko rosnęło tuż przy karoserii. Brzęczały owady. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Mogła być najwyżej siódma rano, ale Bing już czuł przez przednią szybę nadciągający piekielny skwar.

- A niech mnie! - krzyknął Bing. - Co się stało?

- Wzeszło słońce - odparł Manx łagodnym tonem.

- Spałem?

- Sądzę, Bingu, że tak naprawdę byłeś w pełni świadomy. Być może po raz pierwszy w życiu.

Manx się uśmiechnął, a Bing poczerwieniał i zrewanżował się niepewnym uśmiechem. Nie zawsze rozumiał Charliego Manxa, ale ów stan rzeczy tylko ułatwiał mu uwielbianie tego człowieka, otaczanie go czcią.

W wysokich chwastach unosiły się ważki. Bing nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Na pewno nie w Sugarcreek. Gdzieś na jakiejś bocznej drodze. Kiedy spojrział przez okno pasażera, w przymglonym złotym świetle zobaczył

wzniesiony na wzgórzu dom w stylu kolonialnym z czarnymi okiennicami. Na podjeździe pod akacją stała dziewczynka w szkarłatnej luźnej sukience w kwiatki. Trzymała w ręce skakankę, ale nie skakała, nie bawiła się, tylko spoglądała na nich z wielkim zdziwieniem. Bing przypuszczał, że nigdy dotąd nie widziała rolls-royce'a.

Przymrużył oczy, patrząc na nią, i lekko uniósł rękę w geście powitania. Nie odpowiedziała tym samym, jedynie przekrzywiła głowę, przyglądając się im badawczo. Mysi ogonek opadł na jej prawe ramię i wtedy Bing ją rozpoznał. Podskoczył ze zdziwienia i uderzył kolaniem w spód deski rozdzielczej.

- To ona! - krzyknął. - To ona!

- Kto, Bingu? - zapytał Charlie Manx takim tonem, jakby doskonale znał odpowiedź.

Bing patrzył na nią, a ona odpowiadała spojrzeniem. Nie byłby bardziej wstrząśnięty, gdyby zobaczył zmartwychwstawanie. W pewien sposób właśnie to oglądał.

- Lily Carter - przytoczył nazwisko. Zawsze miał dobrą pamięć do fragmentów wierszy i zacytował: - *Matka ją pchnęła na ścieżkę grzechu, a gdyby był przy niej ktoś inny, wiodłaby szczęśliwe dzieciństwo na łonie...*

Jego głos przycichł, gdy na werandzie otworzyły się ze skrzypnięciem siatkowe drzwi i wychyliła z nich głowę filigranowa, drobnokoścista kobieta w oprószonym mąką fartuchu.

- Lily! - krzyknęła. - Dziesięć minut temu mówiłam, że śniadanie czeka. Chodź tutaj!

Lily Carter nie odpowiedziała. Zaczęła powoli iść tyłem podjazdem, oczy miała duże i zafascynowane. Nie przestraszone. Po prostu... zaciekawione.

- To matka Lily - powiedział Manx. - Zebrałem informacje o małej Lily Carter i jej matce. Pracuje nocami, obsługując bar w pobliskim zajeździe. Wiesz, jakie są kobiety pracujące w barach.

- Jakie? - zapytał Bing.

- To dziwki - odparł Manx. - Prawie wszystkie.

Przynajmniej dopóki jako tako wyglądają, a w wypadku matki Lily Carter uroda szybko przeminie. Wtedy, jak się obawiam, przestanie być dziwką i zostanie stręczycielką. Stręczycielką własnej córki. Ktoś musi zarabiać na chleb, a Evangeline Carter nie ma męża. Nigdy nie wyszła za mąż. Pewnie nawet nie wie, kto jej zmaisztował dzieciaka. Och, mała Lily ma tylko osiem lat, ale dziewczynki... dziewczynki dojrzewają znacznie szybciej niż chłopcy. A niech mnie, spójrz, jaka z niej idealna mała dama. Jestem pewien, że matka drogo sprzeda niewinność swojego dziecka!

- Skąd pan wie? - zapytał szeptem Bing. - Skąd pan wie, że to wszystko naprawdę się stanie? Jest pan... jest pan pewien?

Charlie Manx uniósł brew.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Stanąc z boku i zostawić Lily pod opieką matki. Może powinniśmy zajrzeć do niej za parę lat, zobaczyć, ile matka każe nam zapłacić za numerkę z jej córką. Może zaproponuje nam promocję, dwa w cenie jednego!

Lily doszła tyłem do werandy.

Jej matka znów krzyknęła szorstkim, pełnym złości głosem. Bing Partridge miał wrażenie, że słucha wrzasków skacowanego pijaka. Głos brzmiał zgrzytliwie, wulgarnie.

- Lily! Chodź tu natychmiast, bo inaczej dam twoje jajka cholernemu psu!

- Suka - szepnął Bing Partridge.

- Jestem skłonny się z tobą zgodzić, Bingu - powiedział Manx. - Kiedy jakaś dziewczynka przybywa ze mną do Gwiazdkowej Krainy, z matką też trzeba zrobić porządek. Jest naprawdę lepiej, gdy matka i córka znikają razem. Nie zabiorę panny Carter do Gwiazdkowej Krainy, ale może ty będziesz miał z niej jakiś pożytek. Choć przychodzi mi na myśl tylko jedno, do czego może się przydać. W każdym razie to nie moja sprawa. Matka Lily po prostu ma zniknąć na zawsze. I kiedy weźmie się pod uwagę, co pewnego dnia zrobi swojej córce, jeśli będzie miała możliwość... cóż, ja nie uronię nad nią ani jednej łzy!

Serce Binga biło szybko i lekko za mostkiem. Zaszło mu w

ustach. Niezdarnie sięgnął do klamki.

Charlie Manx chwycił go za rękę jak wtedy, gdy pomagał mu przejść po lodzie na Cmentarzu Tego, Co Może Się Wydarzyć.

- Dokąd się wybierasz, Bingu?

Bing spojrział na niego dzikim wzrokiem.

- Na co czekamy? Chodźmy tam. Chodźmy tam teraz i ocalmy dziewczynkę!

- Nie - sprzeciwił się Charlie. - Nie teraz. Trzeba się przygotować. Nasza chwila nadejdzie, już niedługo.

Bing spojrział na Charliego Manxa ze zdumieniem... i z pewną dozą szacunku.

- Tak - mruknął Charlie Manx. - Poza tym, Bingu, matki potrafią narobić straszego harmidru, kiedy myślą, że ktoś zabiera im córkę, nawet bardzo złe matki, jak panna Carter.

Bing pokiwał głową.

- Jak sądzisz, dasz radę załatwić nam trochę sewofluranu ze swojego miejsca pracy? - zapytał Manx. - Może też przyniesiesz broń i maskę przeciwgazową. Jestem pewien, że się przydadzą.

**BIBLIOTEKARKA
1991**



Haverhill, Massachusetts

„Nie wychodź z domu”, przykazała jej matka, i Vic nie wyszła – wybiegła, walcząc ze łzami. Zanim znalazła się na dworze, usłyszała, jak tata mówi: „Och, przestań, ona już czuje się dość paskudnie”, co tylko pogorszyło sprawę. Vic złapała kierownicę roweru, przebiegła kilka kroków, na skraju podwórka przerzuciła nogę przez siodełko i runęła w chłodny, słodko pachnący cień Lasu Pittman Street.

Vic nie myślała o tym, dokąd jedzie. Jej ciało wiedziało, kierując raleigha w dół po stromym zboczu na drogę gruntową u podnóża, z prędkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Dotarła do rzeki. Rzeka była na swoim miejscu. Most również.

Tym razem zginęła fotografia, pomięte czarno-białe zdjęcie puciołowatego chłopca w dużym kapeluszu kowbojskim, trzymającego za rękę młodą kobietę w sukience w groszki. Kobieta wolną ręką przytrzymała dół sukienki, bo silny wiatr próbował podnieść rąbek. Ten sam wiatr rzucił kosmyki jasnych włosów na jej zarozumiałą, skrzywioną, lecz niemal ładną twarz. Chłopiec celował z pistoletu zabawki w aparat fotograficzny. Tym pulchnym małym rewolwerowcem z pustką w oczach był Christopher McQueen, wiek siedem lat. Kobieta była jego matką i w czasie robienia tego zdjęcia już umierała na raka jajników, który miał zakończyć jej życie w jakże podeszłym wieku trzydziestu trzech lat. Zdjęcie było jedyną pamiątką, która mu po niej została, i gdy Vic zapytała, czy może zabrać je do szkoły na plastykę, Linda się sprzeciwiła. Chris McQueen uchylił decyzję żony. Powiedział: „Słuchaj, niech Vic ją narysuje. W ten sposób będą mogli spędzić ze sobą trochę czasu. Tylko je przynieś z powrotem, Szkrabie. Nie chcę zapomnieć, jak wyglądała”.

W wieku trzynastu lat Vic była gwiazdą zajęć plastycznych prowadzonych przez pana Ellisa. Wybrał jej akwarelę *Kryty most* na doroczną szkolną wystawę w ratuszu, gdzie była jedyną pracą uczennicy siódmej klasy wśród obrazów ósmoklasistów, obejmujących dzieła od złych po jeszcze gorsze. (Złe: niezliczone bohomy przedstawiające

bezkształtne owoce w pokrzywionych miskach. Gorsze: portret skaczącego jednoroźca z tęczą wybuchającą z zady, jak sraczka w technicolorze). Kiedy w „Haverhill Gazette” zamieszczono artykuł o wystawie, zgadnijcie, który obraz pokazano na zdjęciu? Nie jednoroźca. Gdy *Kryty most* wrócił do domu, ojciec Vic wybulił na brzożową ramkę i powiesił go na ścianie w miejscu, gdzie kiedyś pysznił się plakat z *Nieustraszonego*. Vic przed laty rozstała się z Davidem Hasselhoffem. Uznała, że Hoff jest ofiarą losu, a pontiac trans am to kupa złomu na kółkach. Nie tęskniła za nim.

Ostatnie zadanie w siódmej klasie polegało na „rysowaniu z natury” i nauczyciel poprosił uczniów o przyniesienie zdjęcia osoby, która była dla nich kimś wyjątkowym. W gabinecie ojca nad biurkiem było miejsce na obraz i Vic bardzo chciała, żeby gdy uniesie głowę, mógł zobaczyć swoją mamę – w kolorze.

Obraz pojawił się w domu wczoraj, w ostatni dzień szkoły, po tym, jak Vic opróżniła swoją szafkę. Jeśli nawet ta ostatnia akwarela nie dorównywała *Krytemu mostowi*, Vic była przekonana, że udało jej się uchwycić cechy kobiety ze zdjęcia: sugestię kościstych bioder pod suknią, zmęczenie i roztargnienie w uśmiechu. Ojciec przez długi czas patrzył na obraz, jednocześnie zadowolony i trochę smutny. Kiedy Vic zapytała, co sądzi, odparł krótko: „Masz jej uśmiech, Szkrabie. Nigdy dotąd tego nie zauważyłem”.

Obraz trafił do domu, ale nie zdjęcie. Vic nie wiedziała, że go nie ma, dopóki mama nie zaczęła dopytywać się o fotografię w piątkowe popołudnie. Najpierw pomyślała, że ma ją w plecaku, potem, że leży w sypialni. O piątej wieczorem doszła do skręcającego żołądek wniosku, że nie ma ani fotografii, ani pojęcia, co się z nią stało. W sobotę rano – pierwszego cudownego dnia wakacji – mama doszła do takiego samego wniosku. Uznała, że zdjęcie przepadło na zawsze, i w stanie granicznym z histerią wykrzyzczała, że fotografia była znacznie ważniejsza niż jej zasrane szkolne malowanki. Wtedy Vic ruszyła w trasę, musiała się stąd wynieść, musiała uciec z obawy, że jeśli będzie stała

nieruchomo, sama też zostanie małą histeryczką, a takich emocji nie mogłaby znieść.

Kłuło ją w piersi, jakby jechała przez kilka godzin, nie minut, i oddychała z wysiłkiem, jakby pedałowiała pod górę, a nie poruszała się po równym gruncie. Ale kiedy zobaczyła most, ogarnęło ją coś w rodzaju spokoju. Nie. Coś lepszego niż spokój: poczuła, że jej świadomy umysł się wyłącza, oddziela od całej reszty, pozostawiając tylko ciało i rower, żeby robiły, co do nich należy. Zawsze odbywało się to w ten sposób. W ciągu pięciu lat ponad dziesięć razy przejechała przez most i zawsze było to nie tyle doświadczenie, ile wrażenie. Nie chodziło o to, co robiła, ale co czuła: senna świadomość szybowania, dalekie wrażenie szumu zakłóceń. Przypominało to zapadanie w drzemkę, pogrążanie się w objęciach snu.

Gdy koła zaczęły podskakiwać na deskach, już w wyobraźni układała prawdziwą historię znalezienia fotografii. Ostatniego dnia szkoły pokazała zdjęcie swojej przyjaciółce Willi. Potem się zagadały i musiała biec, żeby zdążyć na autobus. Dopiero po ich rozstaniu Willa spostrzegła, że wciąż ma zdjęcie, więc po prostu je zatrzymała, żeby oddać później. Kiedy Vic wróci do domu z rowerowej przejażdżki, będzie miała zdjęcie w ręku i gotową opowieść; tata ją przytuli i powie, że wcale się nie martwił, a mama będzie miała taką minę, jakby chciała splunąć. Vic nie umiała powiedzieć, czyjej reakcji nie może się doczekać.

Tylko że tym razem było inaczej. Tym razem, kiedy wróciła do domu, jednej osoby nie zdołała przekonać, gdy opowiedziała swoją prawdziwą-lecz-nie-rzeczywistą historię o znalezieniu fotografii. Osobą tą była ona sama.

Vic wyłoniła się z tunelu i pozęglowała w głąb szerokiego, ciemnego korytarza na piętrze Cooperative School. Przed dziewiątą rano pierwszego dnia wakacji była to mroczna, rozbrzmiewająca echem przestrzeń, tak pusta, że aż trochę przerażająca. Nacisnęła hamulec i rower wyhamował z przenikliwym jękiem.

Musiała się obejrzeć. Nie mogła się powstrzymać. Nikt

nigdy nie może się temu oprzeć.

Most Krótsza Droga przebijał się przez ceglaną ścianę, wchodząc na trzy metry do holu, szeroki jak sam duży korytarz. Czy pozostała część znajduje się na zewnątrz, wisząc nad parkingiem? Vic sądziła, że raczej nie, ale bez włamania się do jednej z sal lekcyjnych nie mogła wyrzeć przez okno i sprawdzić. Bluszcz przysłaniał wlot mostu, zwisając w wiotkich zielonych pękach.

Widok Krótszej Drogi przyprawił ją o umiarkowane mdłości i na chwilę szkolny korytarz wokół niej wybrzuszył się jak kropla wody rosnąca na gałązce. Zrobiło jej się słabo, ale wiedziała, że jeśli nie ruszy z miejsca, może zacząć myśleć, a myślenie nie wróży niczego dobrego. Fantazje o podróżach przez dawno nieistniejący kryty most w czasie, kiedy miała osiem czy dziewięć lat, to jedno, ale w wieku trzynastu to zupełnie inna sprawa. Wtedy śniła na jawie. Teraz miała urojenia.

Wiedziała, że tu przybędzie (tak było napisane zieloną farbą na drugim końcu mostu), ale wyobrażała sobie, że wyjedzie na parterze, blisko sali plastycznej pana Ellisa. Zamiast tego wyskoczyła na piętrze, kilka kroków od swojej szafki. Wczoraj, kiedy zabierała swoje rzeczy, rozmawiała z koleżankami. Panował wielki harmider – krzyki, śmiechy, bieganina – ale przecież dokładnie sprawdziła wnętrze szafki, zanim po raz ostatni zamknęła drzwiczki. Była pewna, całkowicie pewna, że zabrała wszystko. A jednak: most doprowadził ją tutaj, a on się nigdy nie mylił.

Nie ma żadnego mostu, pomyślała. Willa wzięła zdjęcie. Zamierza mi je oddać, gdy tylko się zobaczymy.

Vic oparła rower o szafki, otworzyła swoją, spojrzała na beżowe ścianki i zardzewiałą podłogę. Nic. Pomacała na półce, piętnaście centymetrów nad głową. Też nic.

Skrecało ją w brzuchu ze zmartwienia. Chciała już mieć zdjęcie, chciała stąd wyjść, żeby móc jak najszybciej zapomnieć o moście. Ale skoro zguby nie było w szafce, nie wiedziała, gdzie szukać. Zaczęła zamykać drzwi, potem znieruchomiła, stanęła na palcach i jeszcze raz przeciągnęła

ręką po półce. Nawet wtedy mało brakowało, a nie wykryłaby zguby. Róg zdjęcia zahaczył o tył półki, więc kartonik stał pionowo, przyciśnięty do tylnej ścianki. Musiała sięgnąć do samego końca szafki, żeby go dotknąć, i maksymalnie wyciągnąć rękę, żeby go złapać.

Zahaczyła zdjęcie paznokciami, poruszając nim to w jedną, to w drugą stronę, i w końcu się udało. Opadła na pięty, zarumieniona z zadowolenia.

- Tak! - powiedziała i zatrzasnęła drzwi szafki.

W połowie korytarza stał woźny, pan Eugley. Zastygł z mopem zanurzonym w wielkim żółtym kubie na kółkach, patrząc przez korytarz na nią, na jej rower i Most Krótsza Droga.

Pan Eugley, stary i zgarbiony, w muszce i w okularach ze złotą oprawką bardziej wyglądał na nauczyciela niż niejeden nauczyciel. Pracował również jako przewodzący i w przeddzień ferii wielkanocnych częstował żelkami każde dziecko, które go mijalo. Kursowała plotka, że pan Eugley przyjął tę robotę, żeby przebywać wśród dzieci, ponieważ jego dzieci przed laty zginęły w pożarze domu. Niestety, plotka mówiła prawdę i pomijała fakt, że pan Eugley sam zaprószył ogień, gdy zasnął pijany z zapalonym papierosem w ręce. Teraz zamiast dzieci miał Jezusa, a zamiast baru ulubione spotkania AA. Nawrócił się i wytrzeźwiał w więzieniu.

Vic patrzyła na niego. Odpowiadał spojrzeniem, jego usta otwierały się i zamykały jak pyszczek złotej rybki. Nogi mu się trzęsły.

- Ty jesteś córką McQueena - powiedział z silnym akcentem mieszkańców wybrzeża stanu Maine, niewymawiających „r”: ty jesteś córką McQueena. Oddychał z trudem i przykładał rękę do gardła. - Co takiego tkwi w ścianie? Na Jezusa, czyżbym zwariował? To wygląda jak Krótszadroga, nie widziałem tego mostu od lat. - Zakasłał raz i drugi. Był to wilgotny, dziwny, zduszony dźwięk i miał w sobie coś przerażającego. Był to odgłos człowieka w kleszczach fizycznego cierpienia.

Ile ma lat? – pomyślała Vic. Dziewięćdziesiąt. Pomyliła się prawie o dwadzieścia, ale siedemdziesiąt jeden wystarczy, żeby dostać ataku serca.

– Wszystko w porządku – zapewniła. – Nie... – zaczęła, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Nie co? Niech pan nie krzyczy? Niech pan nie umiera?

– Dobry Boże, Boże... – jęknął woźny. Jego prawa ręka dygotała jak szalona, gdy ją uniósł, żeby zakryć oczy. Usta się poruszały. – Dobry Boże... Pan jest moim pasterzem. Nie brak mi niczego...

– Panie Eugley... – spróbowała jeszcze raz.

– Precz! – wrzasnął. – Po prostu odejdz i zabierz ze sobą swój most! To się nie dzieje naprawdę! Ciebie tu nie ma!

Zasłaniając ręką oczy, znowu poruszał ustami. Vic go nie słyszała, ale z układu warg poznała, co mówi: Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć...

Vic zawróciła rower. Nacisnęła pedały. Jej nogi nie były zbyt pewne, lecz po chwili koła zadudniły na moście, niosąc ją w syczącą ciemność i smród odchodów nietoperzy.

Raz się obejrzała, w połowie drogi. Pan Eugley wciąż stał w korytarzu, z głową schyloną w modlitwie, z jedną ręką na oczach, w drugiej ściskając kij mopa.

Vic jechała dalej, ze zdjęciem w spoconej dłoni, i wypadła z mostu w ruchliwe, żywe cienie Lasu Pittman Street. Wiedziała, jeszcze zanim rzuciła okiem przez ramię – poznała po melodyjnym chichocie rzeki w dole i szumie wiatru w koronach sosen – że Krótsza Droga zniknęła.

Pedałowała dalej w ten pierwszy dzień lata, jej serce dziwnie kołatało. Przez całą drogę powrotną towarzyszył jej przenikliwy ból, jaki powodowały złe przecucia.

Dom McQueenów

Dwa dni później Vic wychodziła z domu, żeby pojechać na rowerze do Willi – miała ostatnią okazję, żeby zobaczyć się ze swoją najdroższą przyjaciółką przed wyjazdem na sześciotygodniowe rodzinne wczasy nad jezioro Winnepesaukee – kiedy usłyszała, że w kuchni mama mówi coś o panu Eugleyu. Jego nazwisko spowodowało nagły, niemal paraliżujący atak osłabienia i Vic z trudem się utrzymała na nogach. Przez cały weekend z determinacją starała się nie myśleć o woźnym, co zresztą wcale nie było trudne; w sobotę wieczorem dostała migrenowego bólu głowy, który ją nękał z taką siłą, że zbierało się jej na wymioty. Ból był szczególnie nasilony za lewym okiem. Miała wrażenie, że oko wyskakuje z oczodołu.

Weszła po schodach i stanęła przy kuchni, słuchając, jak mama plotkuje ze swoją przyjaciółką, nie była pewna z kim. Stała i podsłuchiwała jednostronną rozmowę prawie przez pięć minut, ale Linda nie wspomniała więcej o panu Eugleyu po nazwisku. Powiedziała: „No tak, straszna sprawa” i „Biedny człowiek”.

Wreszcie Vic usłyszała stuknięcie odkładanej słuchawki, potem brzęk naczyń i plusk wody w zlewie.

Nie chciała wiedzieć. Bała się wiedzieć. Jednocześnie nie mogła się powstrzymać. To było takie proste.

– Mamo? – odezwała się, wysuwając głowę zza futryny. – Mówiłaś coś o panu Eugleyu?

– Co? – Linda pochyliła się nad zlewem, stojąc plecami do córki. Brzękały rondle. Bańka mydlana zadrzała w powietrzu i pękła. – A, tak. Znowu zaczął zaglądać do kieliszka. Wczoraj wieczorem przed szkołą darł się jak opętany. Przez trzydzieści lat był trzeźwy. Odkąd... cóż, odkąd zdecydował, że nie chce dłużej być pijakiem. Biedny facet. Dottie Evans mi powiedziała, że dziś rano był w kościele, szlochał jak dziecko i powtarzał, że rzuci robotę. Mówił, że nigdy więcej tam nie wróci. Żałosne. – Linda spojrzała na Vic i troska pobruździła jej czoło. – Dobrze się czujesz, Vicki? Wciąż nie wyglądasz najlepiej. Może powinnaś zostać w domu.

– Nie – odparła Vic dziwnym, głuchym głosem, jakby

płynącym z wnętrza pudełka. - Chcę wyjść, złapać trochę świeżego powietrza. - Po chwili wahania dodała: - Mam nadzieję, że nie odejdzie. To naprawdę miły gość.

- Owszem. I uwielbia was, dzieciaki. Ale ludzie się starzeją, Vic, i potrzebują opieki. Części się zużywają. Ciało i umysł.

Jazda przez miejski las oznaczała nadrobienie drogi - znacznie krótsza trasa do domu Willi prowadziła przez Bradbury Park - ale Vic, jeszcze zanim wsiadła na rower, zdecydowała, że musi trochę pojeździć i pomyśleć, nim z kimkolwiek się spotka.

W głębi duszy czuła, że lepiej by było nie rozmyślać o tym, co zrobiła, co mogłaby zrobić z tym nieprawdopodobnym, zdumiewającym, należącym wyłącznie do niej darem. Ale pies już zerwał się ze smyczy i hulał samopas; wiedziała, że nie da się go tak od razu złapać. Wyśniła na jawie dziurę w świecie i przejechała przez nią rowerem - czysty obłąd. Tylko szalenięc wyobraża sobie, że coś takiego jest możliwe - tyle że pan Eugley ją widział i z tego powodu coś w nim pękło. To zdarzenie przerwało jego okres życia w trzeźwości i sprawiło, że bał się wrócić do szkoły, gdzie przepracował ponad dziesięć lat i gdzie był szczęśliwy. Pan Eugley - dobry, stary, załamany pan Eugley - był żywym dowodem, że Krótsza Droga jest rzeczywista.

Vic nie chciała żadnych dowodów. Nie chciała o nich wiedzieć.

Stało się inaczej. W tej sytuacji żałowała, że nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać i kto by ją zapewnił, że jest normalna, że nie jest wariatką. Pragnęła znaleźć kogoś, kto mógłby wyjaśnić, jak to się dzieje, że most istnieje tylko wtedy, kiedy go potrzebuje, i że zawsze zabiera ją tam, gdzie trzeba.

Zjechała ze wzgórza i wpadła w kieszeń chłodnego, wartkiego powietrza.

Nie tego chciała. Chciała znaleźć most, znów go zobaczyć. Miała jasno w głowie i była pewna siebie, mocno zakorzeniona w teraźniejszości. Była świadoma każdego wstrząsu i drżenia, gdy raleigh podskakiwał na korzeniach i

kamieniach. Znała granicę między fantazją a rzeczywistością i widziała ją wyraźnie, i wierzyła, że kiedy dotrze do starej drogi gruntowej, nie zobaczy Mostu Krótsza Droga...

Tyle że zobaczyła.

- Nie jesteś prawdziwy - powiedziała na jego widok, nieświadomie powtarzając słowa pana Eugleya. - Spadłeś do rzeki, kiedy miałam osiem lat.

Most trwał uparcie.

Zahamowała i spojrzała na niego z bezpiecznej odległości pięciu metrów. Rzeka Merrimack pędziła pod nim spieniona.

- Pomóż mi znaleźć kogoś, kto mi powie, że nie jestem wariatką - poprosiła, postawiła stopy na pedałach i powoli pojechała w kierunku mostu.

Gdy się zbliżyła do wjazdu, zobaczyła znajomą zieloną farbę na ścianie po lewej stronie.

HERE →

Pomyślała, że most kieruje ją w dziwne miejsce. Przecież czy już nie jest *here*, czyli tutaj?

Za każdym razem, gdy korzystała z Mostu Krótsza Droga, jechała w swego rodzaju transie, automatycznie i bezmyślnie naciskając na pedały, jakby wraz z łańcuchem i przerzutkami stanowiła po prostu element roweru.

Tym razem zmusiła się do wolnej jazdy i rozglądała się w trakcie, mimo że całym swoim jestestwem pragnęła zjechać z mostu, gdy tylko się na nim znalazła. Zwalczyła to pragnienie, pokonała impuls nakazujący pośpiech i jazdę w takim tempie, jakby most się pod nią zarywał. Chciała zapamiętać szczegóły dotyczące tego miejsca. Na wpół wierzyła, że jeśli przyjrzy się Mostowi Krótsza Droga, przyjrzy się mu naprawdę pilnie, to on się pod nią rozpuści.

I co wtedy? Gdzie się znajdzie, jeśli most zamigocze i zniknie? To nie miało znaczenia. Most trwał bez względu na to, jak pilnie mu się przyglądała. Drewno było stare, zniszczone i spękane. Gwoździe w ścianach przeżerała rdza.

Vic czuła, jak deski uginają się pod ciężarem roweru. Krótsza Droga za nic nie chciała się rozpląnąć w nicość pod wpływem siły jej woli.

Jak zawsze słyszała biały szum, grzmiący ryk wibrował w jej zębach. Widziała go, widziała burzę zakłóceń przez szczeliny w nachylonych ścianach.

Nie miała odwagi się zatrzymać, zsiąść z roweru, podejść i dotknąć ściany. Była przekonana, że jeśli zsiądzie, to już nigdy nie wróci. W głębi duszy wierzyła, że istnienie mostu całkowicie zależy od ruchu do przodu i powstrzymywania się od nadmiernego myślenia.

Most wygiął się, znieruchomiał, znowu się wygiął. Z krokwi posypał się kurz. Czy kiedyś widziała tam przelatującego gołębia?

Uniosła głowę i zobaczyła, że na stropie wisi mnóstwo nietoperzy, ze skrzydłami przyciśniętymi do drobnych, porośniętych sierścią tułowi. Poruszały się nieznacznie, ale bez przerwy – wierciły się, układały skrzydła. Kilka wykręciło głowę, żeby spojrzeć na nią z góry krótkowzrocznymi ślepkami.

Wszystkie były takie same i każdy miał jej twarz. Wszystkie twarze były pomarszczone, skurczone i różowe, ale rozpoznała siebie. Wyjątek stanowiły oczy, które połyskiwały czerwono, jak krople krwi. Na ich widok poczuła, że cienka srebrna igła bólu wnika przez jej lewą gałkę oczną do mózgu. Wysokie, piskliwe, niemal ultradźwiękowe krzyki nietoperzy przebijały się przez szum i trzaski lawiny zakłóceń.

Nie mogła tego znieść. Chciała wrzasnąć, ale wiedziała, że jeśli to zrobi, nietoperze oderwą się od stropu, zaczną wirować wokół niej i taki będzie jej kres. Zamknęła oczy i z całej siły nacisnęła na pedały, pędząc na drugi koniec mostu. Coś dygotało wściekle. Nie umiałyby powiedzieć co: most, rower czy ona sama.

Jadąc z zamkniętymi oczami, nie wiedziała, kiedy most się skończy. Wreszcie koła podskoczyły na progu. Poczuła, że otacza ją ciepło i światło – ani razu nie spojrzała, żeby

zobaczyć, dokąd jedzie, i usłyszała krzyk: „Uważaj!”. Otworzyła oczy w chwili, gdy rower uderzył w niski betonowy krawężnik w

Here, Iowa

I przewróciła się na chodnik, ścierając prawe kolano.

Przetoczyła się na plecy, złapała za nogę.

- Au! - jęknęła. - Au au AU au.

Jej głos wznosił się i opadał, przez kilka oktaw, jak brzmienie instrumentu, na którym ktoś ćwiczy gamy.

- O kurde... Nic ci nie jest? - Głos dobiegał z blasku południowego słońca. - Powinnaś bardziej uważać, gdy tak wyskakujesz nie wiadomo s-skąd.

Vic przymrużyła oczy i dostrzegła w świetle chudą dziewczynę niewiele starszą od siebie - miała może dwadzieścia lat - w miękkim filcowym kapeluszu na fluorescencyjnych fioletowych włosach. Nosiała naszyjnik zrobiony z zawleczek puszek po piwie i kolczyki z płytek scrabble; jej stopy tkwiły w trampkach Chuck Taylor Converse bez sznurowadeł. Wyglądała jak Sam Spade, gdyby Sam Spade był dziewczyną i miał weekendowy występ poprzedzający kapełę grającą w stylu ska.

- Nic mi nie jest. Tylko się podrapałam - odparła Vic, ale dziewczyna jej nie słuchała.

Patrzyła na Krótszą Drogę.

- Wiesz, zawsze chciałam, żeby tu był most - powiedziała. - Nie mógłby s-spaść w lepsze miejsce.

Vic podniosła się na łokciach i spojrzała na most, który teraz spinał brzegi szerokiej, hałaśliwej brązowej rzeki. Jej szerokość prawie dorównywała Merrimackowi, choć brzegi były znacznie niższe. Tłoczyły się na nich kępy brzoź i stuletnich dębów, a woda płynęła może ze dwa metry poniżej piaszczystej, kruszącej się skarpy.

- Czy tak właśnie zrobił? Czy mój most opadł? Jakby z nieba?

Dziewczyna wciąż na niego patrzyła. Miała nieruchome, ostępiałe spojrzenie, które Vic kojarzyła z paleniem trawki i fanami grupy Phish.

- Mmm... nie. Bardziej przypominało to ukazywanie się zdjęcia zrobionego polaroidem. Widziałas, jak to s-s-się dzieje?

Vic skinęła głową, wyobrażając sobie, jak brązowy prostokąt wysunięty z aparatu powoli jaśnieje, jak wyłaniają się szczegóły, nasycają się kolory, a przedmioty nabierają kształtu.

- Twój most pojawił się tam, gdzie rośło kilka starych dębów. Zegnajcie, dęby.

- Sądzę, że twoje drzewa powrócą, kiedy stąd odejdę - powiedziała Vic, choć gdy się nad tym zastanowiła, musiała w duchu przyznać, że nie ma pojęcia, czy tak istotnie będzie. Czowała, że tak, ale nie mogła przyjąć tego za pewnik. - Nie wydajesz się zbyt zaskoczona widokiem mojego mostu. - Dobrze pamiętała pana Eugleya, jak się trząsł, zasłaniał oczy i krzyczał, żeby odeszła.

- Wypatrywałam cię. Nie miałam pojęcia, że zrobisz takie zajebiste wejście, ale wiedziałam, że nie dostaniesz ssss... - Niespodziewanie dziewczyna w kapeluszu przestała mówić, urwała w połowie zdania. Usta miała rozchylone, ale nie padło z nich żadne słowo. Krzywiła się z wysiłku, jakby próbowała podnieść coś ciężkiego: fortepian albo samochód. Oczy miała wytrzeszczone, policzki jej poczerwieniały. Zmusiła się do wydechu i potem równie nagle podjęła: - Nie dostaniesz s-się tu jak normalna osoba. Przepraszam, ale ss-się jąkam.

- Wypatrywałaś mnie?

Dziewczyna pokiwała głową, znowu patrząc na most. Powolnym, rozmarzonym głosem spytała:

- Twój most... nie prowadzi na drugą stronę rzeki Cedar, prawda?

- Nie.

- Więc dokąd prowadzi?

- Do Haverhill.

- To tu, w Iowa?

- Nie. W Massachusetts.

- O rany, przebyłaś daleką drogę. Jesteś teraz w Pasie Kukurydzianym. Jesteś w regionie, gdzie wszystko jest płaskie z wyjątkiem kobiet.

Przez chwilę Vic była całkiem pewna, że widzi pożądliwy błysk w jej oczach.

- Wybacz, ale... czy możemy wrócić do tego, że mnie wypatrywałaś?

- Ha! Czekałam na ciebie od wielu miesięcy. Nie sądziłam, że kiedykolwiek się pokażesz. Jesteś Szkrab, prawda?

Vic otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Jej milczenie było wystarczającą odpowiedzią, a zaskoczenie sprawiło wyraźną przyjemność dziewczynie, która się uśmiechnęła i założyła za ucho kosmyk fluorescencyjnych włosów. Z zadartym nosem i lekko szpiczastymi uszami przypominała elfa, choć prawdopodobnie skojarzenie było skutkiem ubocznym scenerii. Stały na trawiastym wzgórzu w cieniu zielonych dębów, między rzeką i wielkim budynkiem, który od tyłu wyglądał na katedrę albo gmach uniwersytetu: forteca z betonu i granitu z białymi wieżyczkami i wąskimi szczelinami okien, idealnymi do wypuszczania strzał.

- Myślałam, że będziesz chłopcem. Spodziewałam się jakiegoś szczeniaka, który nie cierpi sałaty i dłubie w nosie. Co sądzisz o sałacie?

- Nie przepadam.

Dziewczyna zacisnęła drobne ręce i potrząsnęła pięściami nad głową.

- Wiedziałam! - Rozluźniła dłonie i ściągnęła brwi. - Dłubiesz w nosie?

- Wydmuchuj, nie pokazuj - odparła Vic. - Mówicie tak w Iowa?

- Jasne!
- Gdzie w Iowa?
- Here - odparła dziewczyna w kapeluszu. Tutaj.
- No tak - zaczęła Vic, czując rodzącą się irytację - tak, wiem, ale chodzi mi o to, gdzie tutaj?
- Tutaj, w Iowa. Tak się nazywa miasto. Tutaj. Stoisz na drodze do pięknych Bystrzy Cedrowych przy Bibliotece Publicznej w Here. I dobrze wiem, dlaczego przybyłaś. Masz mętlik w głowie z powodu swojego mostu i próbujesz co nieco zrozumieć. Rany, to twój szczęśliwy dzień! - Klasnęła w ręce. - Znalazłaś bibliotekarkę! Mogę ci pomóc w rozgryzieniu problemu i przy okazji podsunę trochę dobrej poezji, skoro o tym mowa. Właśnie tym się zajmuję.

Biblioteka

Dziewczyna przesunęła do tyłu staromodny kapelusz.

- Jestem Margaret - przedstawiła się. - Jak w książce *Jesteś tam, Boże? To ja, Margaret*, tyle że nie cierpię, gdy ludzie tak się do mnie zwracają.

- Margaret?

- Nie. Boże. I bez tego mam wystarczająco rozbuchane ego. - Uśmiechnęła się szeroko. - Margaret Leigh. Możesz mówić mi Maggie. Jak sądzisz, czy twój most tu zostanie, jeśli wejdziemy do środka? Dam ci plaster i kubek herbaty.

- Tak. Chyba tak.

- W porządku. Super. Mam nadzieję, że będzie na ciebie czekać. Z pewnością mogłybyśmy wyprawić cię do domu bez mostu... mogłybyśmy zorganizować zbiórkę pieniędzy albo coś... ale może będzie lepiej, jeśli wrócisz tak, jak przybyłaś. Po prostu nie będziesz musiała wyjaśniać rodzicom, w jaki sposób znalazłaś się w Iowa. To znaczy, byłoby nieźle, gdybyś została na jakiś czas! Mam łóżko w Poezji Romantycznej. Kimam tam czasami. Mogłabyś tam spać, a ja

koczowałabym z wujem w przyczepie, przynajmniej do czasu uzbierania forsy na bilet autobusowy.

- W Poezji Romantycznej?

- Półki od osiemset dwadzieścia jeden kropka dwa do osiemset dwadzieścia jeden kropka sześć. Nie powinnam s-s-sypiać w bibliotece, ale panna Howard przymyka oko, jeśli nocuję tylko od czasu do czasu. Lituje się nade mną, bo jestem s-ss-sierotą i trochę dziewczicą. Nic nie szkodzi. Nie mam nic przeciwko. Ludzie uważają, że strasznie jest być obiektem litości, ale ja mówię: Hej! Sypiam w bibliotece i czytam k-k-książki po nocach! Gdyby nie litość, co by ze mną było? Jestem absolutnie pożalowania godną siksą!

Złapała Vic za rękę i pomogła jej wstać. Pochyliła się, podniosła rower i oparła go o ławkę.

- Nie musisz zakładać zamka. Nie sądzę, by ktoś w tym mieście miał na tyle wyobraźni, żeby cokolwiek ukraść.

Vic poszła z nią w górę ścieżki przez srebrny park do tylnej ściany wielkiej kamiennej świątyni książek. Bibliotekę zbudowano na zboczu, więc mogły wejść przez ciężkie żelazne drzwi do pomieszczeń, które, jak Vic się domyślała, znajdują się w piwnicach. Maggie przekręciła klucz wystający z zamka i pchnęła drzwi, a Vic weszła bez wahania. Nawet nie wpadło jej do głowy, żeby nie ufać Maggie, żeby się zastanawiać, czy starsza dziewczyna nie prowadzi jej do mrocznego lochu z grubymi kamiennymi ścianami, gdzie nikt nie usłyszy jej krzyku. Vic intuicyjnie czuła, że dziewczyna, która nosi kolczyki z płytek scrabble i nazywa się pożalowania godną siksą, nie stanowi większego zagrożenia. Poza tym chciała znaleźć kogoś, kto jej powie, czy zwariowała, a nie kogoś, kto jest obłąkany. Nie miała powodu bać się Maggie, chyba że dopuści taką ewentualność, iż Most Krótsza Droga rozmyślnie doprowadził ją w niewłaściwe miejsce, a na jakimś poziomie świadomości wiedziała, że to przecież niemożliwe.

W pomieszczeniu po drugiej stronie żelaznych drzwi było o dziesięć stopni chłodniej niż w parku. Vic węchem rozpoznała rozległą przestrzeń pełną książek, jeszcze zanim

cokolwiek zobaczyła, ponieważ oczy potrzebowały czasu, żeby przywyknąć do gęstego mroku. Odetchnęła głęboko, czując zapach butwiejącej beletrystyki, rozpadającej się historii i zapomnianej poezji, i po raz pierwszy zauważyła, że magazyn pachnie jak deser: słodka przekąska z fig, wanilii, kleju i pomysłowości. Za Maggie i Vic zamknęły się żelazne drzwi. Ich ciężar wstrząsnął futryną.

- Gdyby książki były dziewczynami, a czytanie p-p-piepieprzeniem, to byłby największy burdel w hrabstwie, a ja byłabym najbardziej bezlitosnym s-s-sutenerem, jakiego kiedykolwiek spotkałaś. Tłucz dziewczyny po tyłkach i wysyłaj do klientów tak szybko i często, jak tylko można.

Vic parsknęła śmiechem, potem poderwała rękę do ust, przypominając sobie, że bibliotekarze nie lubią hałasu.

Maggie poprowadziła ją przez mroczny labirynt magazynu, wzdłuż wąskich korytarzy ze ścianami z wysokich regałów.

- Jeśli kiedykolwiek będziesz musiała ewakuować się w pośpiechu - powiedziała - jakby goniły cię gliny, pamiętaj: trzymaj się prawej strony i zbiegaj po schodach. To najszybszy sposób ucieczki.

- Myślisz, że będę musiała uciekać z Biblioteki Publicznej w Here?

- Nie dzisiaj - odparła Maggie. - Jak masz na imię? Na pewno ludzie czasami wołają na ciebie inaczej niż Szkrab.

- Victoria. Vic. Jedyłą osobą, która nazywa mnie Szkrabem, jest mój tata. To taki jego żart. Znasz moje przezwisko, ale nie imię. Skąd? I co miałaś na myśli, gdy powiedziałaś, że się mnie spodziewałaś? Jak mogłaś się mnie spodziewać? Jeszcze dziesięć minut temu nawet nie wiedziałam, że wybiorę się na spotkanie z nieznaną osobą.

- Racja. Zaraz to wszystko wyjaśnię, ale najpierw opatrzę ci kolano. Potem będzie czas na pytania i odpowiedzi.

- Sądzę, że pewne rzeczy są ważniejsze niż moje kolano - powiedziała Vic. Po chwili wahania, z uczuciem niezwyklej nieśmiałości, wyznała: - Przestraszyłam kogoś swoim mostem. Miłego starszego pana. Możliwe, że naprawdę spałam mu życie.

Maggie spojrzała na nią, jej oczy lśniły jasno w ciemnościach. Uważnie zmierzyła ją wzrokiem.

- Wcale nie mówisz jak sz-sz-szkrab. Mam wątpliwości co do twojego przezwiska. - Kąciki jej ust uniosły się w leciutkim uśmiechu. - Jeśli kogoś zdenerwowałeś, to na pewno nieumyślnie. I wątpię, czy spowodowałeś trwałe szkody. Ludzie mają gumowe mózgi, potrafią znieść niezłe manto. Chodź, plaster i herbata czekają. I odpowiedzi. Już niedaleko.

Wyszły spomiędzy regałów do chłodnego przestronnego pomieszczenia z kamienną posadzką, czegoś w rodzaju zapuszczonego biura. Vic pomyślała, że bardziej to wygląda na biuro prywatnego detektywa z czarno-białego filmu niż bibliotekarki z punkową fryzurą. Wypatrzyła pięć rekwizytów pasujących do siedziby detektywa: stalowoszare biurko, przestarzały kalendarz z dziewczynami, stojący wieszak, zlew z rdzawymi plamami i rewolwer kalibru .38 o krótkiej lufie, przyciskający jakieś papiery pośrodku biurka. Było tam również akwarium, duże, wypełniające długą na półtora metra ścienną wnękę.

Maggie zdjęła szary kapelusz i rzuciła go na wieszak. W miękkim świetle z akwarium jej metalicznie fioletowe włosy jarzyły się jak tysiące płonących rurek neonowych. Gdy nalewała wody do czajnika elektrycznego, Vic podeszła do biurka, żeby obejrzeć rewolwer. Okazało się, że to brązowy przycisk do papieru z inskrypcją na gładkim uchwycie: WŁASNOŚĆ A. CZECHOWA.

Maggie wróciła z plastrami i ruchem ręki kazała jej usiąść na brzegu biurka. Vic posłuchała i oparła stopę na podniszczonym drewnianym krześle. Zgięte kolano zapiekło i to zaprzątnęło jej myśli. Zaraz potem napłynęło głębokie, paskudne pulsowanie bólu w lewej gałce ocznej. Miała wrażenie, że stalowe zęby jakiegoś instrumentu chirurgicznego chwyciły i ściskają oko. Potarła je dłonią.

Maggie oczyściła jej kolano chłodną, wilgotną szmatką, usuwając piasek z zadrapania. W pewnym momencie zapaliła papierosa, z którego snuł się słodki, przyjemny dym.

Zajmowała się nogą sprawnie i ze spokojem, jak mechanik sprawdzający poziom oleju.

Vic obrzuciła długim, badawczym spojrzeniem duże akwarium w ścianie. Było wielkości trumny. W zbiorniku apatycznie pływał samotny karp koi z długimi wąsami, które nadawały mu mądry wygląd. Vic musiała spojrzeć dwa razy, zanim jej oczy zrozumiały, co leży na dnie akwarium: nie kamyki i skały, lecz mnóstwo białych płytek scrabble, całe setki, ale tylko cztery litery: RYBA.

Przez rozmigotaną, zielonkawą i zniekształcającą widok wodę Vic zobaczyła, co jest po drugiej stronie akwarium: wyłożona dywanem biblioteka dziecięca. Kilkoro dzieci z matkami skupiało się w luźnym półkolu przed kobietą w schludnej tweedowej spódnicy. Bibliotekarka siedziała na krześle o wiele dla niej za małym i trzymała tekturową książeczkę w taki sposób, żeby dzieci widziały obrazki. Czytała, choć Vic nie słyszała jej przez kamienną ścianę i bulgotanie pompki w akwarium.

- Zdążyłaś akurat na godzinę bajek - powiedziała Maggie.
- Godzina bajek jest najlepszą porą dnia. Jedyna godzina, na jakiej mi zależy.

- Podoba mi się twoje akwarium.

- K-ku-kurewsko ciężko się je czyści - powiedziała Maggie i Vic musiała zacisnąć usta, żeby powstrzymać się od śmiechu.

Maggie wyszczerzyła zęby i w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Z tą swoją puciołowatą buzią i jasnymi oczami była mniej lub bardziej urocza. Jak punkrockowy elf Keebler.

- Ja włożyłam płytki. Mam świra na punkcie tej gry. Teraz dwa razy w miesiącu muszę je wyciągać i myć. To boli bardziej niż rak odbytnicy. Lubisz grać w scrabble?

Vic znów spojrzała na jej kolczyki i dopiero teraz zauważyła, że na jednym jest litera F, a na drugim U, *fuck you*.

- Nigdy nie grałam. Masz fajne kolczyki. Nigdy nie wpadłaś przez nie w jakieś tarapaty?

- Nie. Nikt nie przygląda się bibliotekarce zbyt uważnie. Ludzie się boją, że oślepną od blasku tak wielkiej s-s-

ssskompresowanej wiedzy. Pomyśl, mam dwadzieścia lat i należę do najlepszych scrabblistów w całym stanie. Pewnie to mówi więcej o Iowa niż o mnie. - Przykleiła plaster na otarte kolano Vic i poklepała je. - Znacznie lepiej.

Maggie zgasiła papierosa w blaszanej puszcze do połowy napełnionej piaskiem i odeszła, żeby zaparzyć herbatę. Wróciła po chwili z dwoma wyszczerbionymi kubkami. Na jednym widniał napis: BIBLIOTEKA: TAM DZIEJE SIĘ CIISZYSZA, a na drugim: NIE ZMUSZAJ MNIE, ŻEBYM UŻYŁA MOJEGO GŁOSU BIBLIOTEKARKI. Kiedy Vic wzięła swój kubek, Maggie wysunęła szufladę. Była to szuflada, w której prywatny detektyw trzymałby butelkę gorzały. Maggie wyjęła z niej stary fioletowy woreczek ze sztucznego aksamitu, z płowiejącymi złotymi literami, które układały się w słowo SCRABBLE.

- Pytałaś, skąd o tobie wiedziałam. Skąd wiedziałam, że przybędziesz. Sss-ss-sss... - Jej policzki zaczęły czerwienić z wysiłku.

- Scrabble? Czy ma to związek ze scrabble?

Maggie skinęła głową.

- Dzięki, że dokończyłaś za mnie zdanie. Wielu jakałów nie cierpi, kiedy inni robią to za nich. Ale jak już ustaliłyśmy, cieszę się, że jestem obiektem litości.

Vic poczuła rumieniec na policzkach, chociaż w tonie Maggie nie wykryła cienia sarkazmu. W pewien sposób to tylko pogorszyło sprawę.

- Przepraszam.

Maggie jakby nie słyszała. Usadowiła się przy biurku na krześle z prostym oparciem.

- Przejechałaś na swoim rowerze. Czy możesz bez niego przebyć kryty most?

Vic pokręciła głową.

Maggie ponownie skinęła.

- Nie możesz. Używasz własnego roweru, żeby wyśnić na jawie most, powołać go do istnienia. Później używasz mostu, żeby znajdować różne rzeczy, zgadza się? Rzeczy, których potrzebujesz? I bez względu na to, gdzie coś się zapodziało,

ty zawsze znajdujesz to po drugiej s-ss-stronie mostu?

- Tak. Zgadza się. Ale nie wiem, dlaczego mogę to robić, i czasami mam wrażenie, że tylko wyobrażam sobie moje podróże przez most. Czasami czuję się tak, jakbym traciła rozum.

- Nie jesteś wariatką! Jesteś kreatywna! Jesteś bardzo kreatywna! Ja też. Ty masz swój rower, ja mam swoje płytki z literami. Kiedy miałam dwanaście lat, zobaczyłam s-stare ss-scrabble na wyprzedaży garażowej, wycenione na dolara. Były rozłożone, pierwsze słowo już grało. Od razu wiedziałam, że muszę je mieć. Musiałam je mieć bez względu na cenę i gdyby nie były na sprzedaż, złapałabym je i uciekła. Samo przebywanie w pobliżu tej planszy sprawiło, że rzeczywistość jakby się zachybotła. Elektryczna kolejka włączyła się i wykoleiła. Alarm samochodowy rozjazgotał się w głębi ulicy. W garażu grał telewizor, a kiedy s-spojrzałam na sss-ss-scrabble, zaczął wariować. Zaczął ogłuszająco SZSZSZ...

- Szumieć - podsunęła Vic, zapomniawszy o danym sobie ledwie przed chwilą słowie, że nie będzie kończyć zdań za Maggie bez względu na to, jak strasznie ta będzie się jąkać.

Maggie nie miała nic przeciwko.

- Tak.

- Znam coś takiego - powiedziała Vic. - Kiedy przejeżdżam przez most, słyszę wokół siebie szum zakłóceń.

Maggie pokiwała głową, jakby uznała to za najmniej zaskakującą rzecz w świecie.

- Parę minut temu zamrugwały tu wszystkie światła. Zabrakło prądu w całej bibliotece. Stąd wiedziałam, że się zbliżasz. Twój most jest krótkim spięciem w rzeczywistości. Tak jak moje płytki. Ty znajdujesz różne rzeczy, a moje płytki mówią mi różne rzeczy. Powiedziały mi, że dziś się zjawisz, dlatego tam czekałam. Powiedziały mi, że Sz-Szkrab przejedzie przez most. Gadały o tobie od wielu miesięcy.

- Możesz mi pokazać, jak to działa? - zapytała Vic.

- Chyba muszę. Chyba po części dlatego tu jesteś. Być może moje płytki chcą ci coś powiedzieć.

Rozwiązała sznureczek, sięgnęła do woreczka, wyjęła kilka płytek i cisnęła je na biurko.

Vic się odwróciła, żeby na nie spojrzeć, ale zobaczyła tylko rozrzucone literki.

- Czy coś ci to mówi?

- Jeszcze nie. - Maggie się pochyliła i zaczęła przesuwając litery małym palcem.

- Czy coś powiedzą?

Bibliotekarka przytaknęła.

- Bo są zaczarowane?

- Nie sądzę, żeby było w nich coś magicznego. Do nikogo innego nie przemawiają. Płytki są tylko moim nożem. Czymś, czego mogę użyć, żeby wybić dziurkę w rzeczywistości. Myślę, że zawsze musi być to coś, co kochasz. Ja zawsze uwielbiałam s-ss-słowa i scrabble dały mi okazję, żeby się nimi bawić. Wyślij mnie na turniej, a ktoś odejdzie ze zmasakrowanym ego.

Przesuwała litery, które w końcu ułożyły się w słowa: RANO SZKRAB MOŻE ZEŻLIĆ APU.

- Co oznacza A-P-U? - zapytała Vic, przekręcając głowę, żeby zobaczyć płytki ułożone do góry nogami.

- Nie wiem, za cholerę. Jeszcze tego nie rozgryzłam - odparła Maggie, ściągając brwi i przekładając płytki.

Vic napiła się herbaty. Gorącej i słodkiej, ale jeszcze zanim przełknęła, poczuła łaskotanie chłodnego potu na czole. Wyimaginowane stalowe zęby ściskające jej lewe oko trochę się rozluźniły.

- Wszyscy żyją w dwóch światach - powiedziała Maggie z roztargnieniem, przyglądając się literkom. - Jest świat realny ze wszystkimi swoimi wkurzającymi faktami i zasadami. W realnym świecie istnieją rzeczy, które są prawdziwe, i rzeczy, które nie s-s-są. W większości świat realny jest do bani. Ale każdy mieszka również w świecie we wnętrzu własnej głowy. *Toinscape*, pejzaż wewnętrzny, świat m-mm-myśli. W świecie złożonym z myśli, w pejzażu wewnętrznym, każde pojęcie jest faktem. Emocje są równie prawdziwe jak siła ciężenia. Sny są równie potężne jak historia. Twórczy ludzie, jak

pisarze, a także Henry Rollins, spędzają wiele czasu na włóczędze po swoich światach. Wybitnie k-kk-kreatywne osoby mogą użyć noża, żeby przeciąć szwy między dwoma światami, potrafią je połączyć. Twój rower. Moje płytki. To są nasze noże.

Znowu pochyliła głowę i zdecydowanymi ruchami przesuwiała płytki. Teraz oznajmiały: ŻENIĆ SZKRABA A LEŻ PO ROZUM.

- Mogę ewentualnie wyjść za męża, a nie się ożenić - zauważyła Vic.

- Poza tym jesteś na to trochę za młoda - dodała Maggie. - Trudna sprawa. Szkoda, że nie mam jeszcze jednego essss-s-s.

- Więc mój most jest wyobrażeniem.

- Nie wtedy, kiedy jedziesz na rowerze. Wtedy jest rzeczywisty. To wewnętrzny pejzaż wciągnięty do normalnego świata.

- Ale twój woreczek do scrabble to tylko woreczek. Nie jest taki jak mój rower. Nie robi niczego niereal...

Maggie podniosła woreczek, rozwiązała sznurki i wsunęła do niego dłoń. Płytki grzechotały, klekotały i chrzęściły, jakby sięgała do pełnego wiadra. Jej nadgarstek, łokieć i ramię wsunęły się w ślad za dłonią. Woreczek miał może piętnaście centymetrów głębokości, ale po chwili ręka zniknęła w nim po ramię, ani trochę nie wybrzuszając sztucznego aksamitu. Vic słyszała, jak Maggie sięga coraz głębiej między płytki, które grzechotały tak, jakby ich były tysiące.

- Aaa! - krzyknęła Vic.

Po drugiej stronie akwarium bibliotekarka czytająca dzieciom rozejrzała się czujnie.

- Wielka stara dziura w rzeczywistości - powiedziała Maggie. Teraz wyglądało to tak, jakby jej ręka została amputowana przy samym barku i kikut z jakiegoś powodu został opatrzony woreczkiem scrabble.

- Sięgam po płytki do mojego pejzażu wewnętrznego. Nie do woreczka. Kiedy mówię, że twój rower albo moje płytki s-

są nożem do przecinania szwów między rzeczywistością i myślą, wcale nie używam p-p-przeñośni.

Ciśnienie w lewym oku Vic wzrosło tak bardzo, że ją zemdliło.

- Możesz wyjąć rękę? - poprosiła.

Maggie drugą ręką ściągnęła fioletowy woreczek. Położyła go na stole i Vic usłyszała grzechot płytek.

- Przyprawia o ciarki. Wiem - powiedziała Maggie.

- Jak to robisz?

Maggie odetchnęła głęboko, prawie westchnęła.

- Dlaczego niektórzy ludzie umieją mówić w dziesięciu obcych językach? Dlaczego Pele umie robić przewrotkę? Masz, co masz, jak przypuszczam. Nawet jedna osoba na milion nie jest dość przystojna, dość utalentowana i ma za mało szczęścia, żeby zostać gwiazdą filmową. Jedna osoba na milion nie wie o słowach tyle, ile poeta Gerard Manley Hopkins. On wiedział o p-p-pejzażach wewnętrznych! Wymyślił to określenie. Niektórzy ludzie są gwiazdami fi-filmowymi, inni gwiazdami p-pi-piłki nożnej, a ty jesteś wybitnie k-k-kreatywna. Wydaje się dziwne, ale to trochę tak, jakbyś się urodziła z oczami o różnych k-k-kolorach. I nie jesteśmy jedyne. Są inni tacy jak my. Spo-spotkałam się z nimi. Płytki wskazały mi do nich drogę. - Maggie znów pochyliła się nad literkami i zaczęła je przesuwac. - Kiedyś poznałam dziewczynę, która miała wózek inwalidzki, piękny staroc z białymi oponami. Mogła go używac, żeby znikac. Wystarczyło, że cofnęła wózek w coś, co nazywała Krzywym Zaułkiem. To był jej pejzaż wewnętrzny. Mogła wjechać do tego zaułka i wyjechać z istnienia, ale wciąż widziała, co s-się dzieje w naszym świecie. Na ziemi nie ma kultury, która nie znałaby historii o ludziach takich jak ty i ja, o ludziach, którzy używają to-to-totemów, żeby uczynić wyrwę w rzeczywistości. Nawahowie... - Jej głos cichł, zamierał.

Vic zobaczyła, jak na jej nieszczęśliwej twarzy pojawia się zrozumienie. Patrzyła na swoje litery. Vic się pochyliła i też na nie spojrzała. Ledwo zdążyła przeczytać ułożone słowa, Maggie rozgarnęła płytki.

SZKRAB MOŻE ZNALEŹĆ UPIORA

- Co to znaczy? Co to jest Upiór?

Maggie spojrzała na nią z błyskiem w oczach, które wyrażały w równej mierze strach i przeprosiny.

- O kurde - mruknęła.

- Czy to coś, co zgubiłaś?

- Nie.

- Coś, co chcesz, żebym znalazła? Co to takiego? Mogę ci pomóc...

- Nie. Nie. Vic, chcę, żebyś mi obiecała, że nie pójdziesz go szukać.

- To facet?

- To kłopot. Najgorszy kłopot, jaki tylko możesz sobie wyobrazić. Ile masz lat? Dwanaście?

- Trzynaście.

- Dobra. W takim razie daj sobie s-s-ss-sss-sss... - Maggie utknęła w miejscu, nie mogła pójść dalej. Odetchnęła głęboko, niepewnie, przygryzła dolną wargę, zatopiła w niej zęby z taką dzikością, że Vic z trudem powstrzymała się od krzyku. Maggie wypuściła powietrze i bez śladu jękania podjęła: - W takim razie daj słowo.

- Ale dlaczego twój woreczek z płytkami chciał, żebyś wiedziała, że mogę go znaleźć? Dlaczego to powiedział?

Maggie pokręciła głową.

- Nie tak to działa. Płytki niczego nie chcą, tak samo jak niczego nie chce nóż. Możesz używać płytek, żeby zdobyć znajdujące się poza zasięgiem fakty, jak noża do listów, żeby otworzyć kopertę. A to... to jest jak otrzymanie listu z bombą. To sposób na wysadzenie w powietrze twojego małego jestestwa. - Maggie posłała dolną wargę, przesuwając po niej językiem.

- Ale dlaczego mam go nie szukać? Sama mówiłaś, że być może przybyłam tu po to, żeby twoje literki mogły mi coś powiedzieć. Dlaczego miałyby wyskakiwać z tym jakimś Upiorem, skoro nie powinnam go szukać?

Zanim Maggie miała szansę odpowiedzieć, Vic pochyliła się i przycisnęła rękę do lewego oka. Psychiczne stalowe zęby

ścisnęły tak mocno, że oko gotowe było pęknąć. Nie mogła się powstrzymać i cicho jęknęła z bólu.

- Wyglądasz ss-strasznie. Co się stało?

- Moje oko. Boli tak jak wtedy, gdy jadę przez most. Może dlatego, że siedzę tu z tobą zbyt długo. Zwykle wracam zaraz po znalezieniu zguby.

Z powodu jej oka i wargi Maggie rozmawianie nie służyło im obu.

- Pamiętasz, co ci mówiłam o tamtej dziewczynie? - zapytała Maggie. - Z fotelem inwalidzkim? Z początku, kiedy zaczęła go używać, była zupełnie zdrowa. Fotel należał do jej babci i po prostu lubiła się nim bawić. Ale gdy zbyt długo przebywała w Krzywym Zaułku, drętwiały jej nogi. Gdy ją poznałam, była sparaliżowana od pasa w dół. Używanie tych rzeczy kosztuje. Być może płacisz za utrzymywanie mostu na miejscu. Powinnaś oszczędnie z niego korzystać.

- Jaką cenę ty płacisz za używanie literek?

- Zdradzę ci p-p-pe-pewien sekret: Nie zawsze się jękałam!

- Uśmiechnęła się, rozciągając skrwawione wargi.

Vic po chwili się połapała, że tym razem jękanie było udawane.

- Chodź - powiedziała Maggie. - Powinnyśmy odstawić cię z powrotem. Jeśli posiedzimy tu dłużej, pęknie ci głowa.

- W takim razie lepiej mi powiedz o tym Upiorze, bo inaczej będziesz miała mózg rozbryźnięty po całym biurku. Nie ruszę się stąd, póki tego nie zrobisz.

Maggie otworzyła szufladę, wrzuciła do niej woreczek z literami, po czym zatrzęsnęła ją ze zbyteczną siłą. Kiedy się odezwała, w jej oczach po raz pierwszy brakowało śladu życzliwości.

- Nie zachowuj się jak cholerny... - Zawahała się albo zabrakło jej słów, albo utknęła na jednym.

- Szkrab? - podsunęła Vic. - Teraz moje przezwisko trochę bardziej pasuje, co?

Maggie powoli wypuściła powietrze, jej nozdrza się rozděły.

- Wcale się nie wygłupiam, Vic. Upiór jest kimś, od kogo

lepiej się t-t-trzymać z daleka. Nie każdy, kto po-po-potrafi robić to, co my, jest miły. Niewiele wiem o Upiorze poza tym, że to s-s-stary człowiek ze starym s-s-samochodem. I samochód jest jego nożem. Tyle że on używa swojego noża do p-pp-po-podcinania gardeł. Zabiera dzieci na przejażdżkę i coś im robi. Wykorzystuje je, jak wampir, żeby utrzymać się przy życiu. Zawozi je do własnego pejzażu wewnętrznego, do złego miejsca, które wymyślił, i tam je zostawia. Kiedy wysiadają z samochodu, już nie są dziećmi. Nie s-są nawet ludźmi. Są s-s-stworzeniami, które mogą żyć tylko w zimnym k-k-k-kosmosie wyobraźni Upiora.

- Skąd to wiesz?

- Z literek. Zaczęły mi mówić o Upiorze parę lat temu, po tym, jak po-porwał jakiegoś dzieciaka z LA. Wtedy pracował na Zachodnim Wybrzeżu, ale sytuacja się zmieniła i przeniósł się na wschód. Słyszałaś o tej małej Rosjance, która zaginęła w Bostonie? Ledwie parę tygodni temu? Zniknęła razem z matką?

Vic słyszała. W jej stronach przez kilka dni ta sprawa była głównym tematem w programach informacyjnych. Jej mama oglądała wiadomości z pełną przerażenia fascynacją; zaginiona dziewczynka była w wieku jej córki, ciemnowłosa, koścista, z zakłopotanym, ale miłym uśmiechem. Urocza kujonka. „Myślisz, że nie żyje?” - z tym pytaniem Lin zwróciła się do męża, a on odparł: „Jeśli miała szczęście”.

- Dziewczynka o nazwisku Gregorska - powiedziała Vic.

- Zgadza się. Kierowca limuzyny poszedł po nią do hotelu, ale ktoś go ogłuszył, po czym zabrał Martę Gregorską i jej matkę. To był on. To był Upiór. Wyssał dziewczynkę, a potem ją wyrzucił wraz ze wszystkimi dziećmi, które wykorzystał, do jakiegoś własnego fantastycznego świata. Do wewnętrznego pejzażu, którego nikt nigdy nie chciałby oglądać. Jak ten twój most, tylko większego. Znacznie większego.

- Co z matką? Czy ją też wyssał?

- Nie sądzę, żeby mógł się żywić dorosłymi. Interesują go tylko dzieci. Ma k-kk-kogoś, kto z nim współpracuje, kogoś

takiego jak Renfield Żywy Trup, kto mu pomaga w porwaniach i uwalnia od kłopotów, jakie mogliby sprawić dorośli. Wiesz, kto to Renfield?

- Pomagier Draculi czy coś w tym stylu?

- Mniej więcej. Wiem, że Upiór jest bardzo stary i miał gromadę takich Renfieldów. Karmi ich kłamstwami, nabija im głowy iluzjami, może wmawia, że są bohaterami, nie porywaczami. W końcu zawsze s-s-stają się kozłami ofiarnymi. To z nich największy pożytek. Kiedy jego zbrodnie wychodzą na jaw, może zrzucić winę na któregoś ze swoich starannie wybranych tępych dupków. Porywa dzieci od długiego czasu i jest dobry w ukrywaniu się w cieniach. Poskładałam wszystkie informacje o Upiorze, ale nie zdołałam dowiedzieć się o nim czegoś, co naprawdę pomogłoby mi go zidentyfikować.

- Nie możesz spytać literek, jak się nazywa?

Maggie zamrugła, a potem tonem, który łączył smutek z nutką rozbawienia, odparła:

- Takie są zasady gry. W s-s-scrabble nie wolno używać nazw własnych. Dlatego moje płytki mi powiedziały, że mam się spodziewać Szkraba, a nie Vic.

- Gdybym go znalazła, gdybym się dowiedziała, jak się nazywa albo jak wygląda, czy wtedy mogłybyśmy go powstrzymać?

Maggie plasnęła dłonią w blat biurka tak mocno, że podskoczyły kubki. Miała wściekłe oczy - i przerażone.

- No nie, Vic! Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Jeśli go znajdziesz, możesz zginać, a wtedy to będzie moja wina! Myślisz, że chcę cię mieć na sumieniu?

- A co z tymi wszystkimi dziećmi, które zabierze, jeśli nie kiwniemy palcem? Czy nie wyjdzie na to, jakbyśmy same wysyłały dzieci do... - Głos Vic przycichł, gdy zobaczyła minę Maggie.

Rysy Maggie stężały w wyrazie bólu i rozpacz. Ale sięgnęła do pudełka po chusteczkę higieniczną i podała ją Vic.

- Twoje lewe oko - powiedziała i podniosła zwilżoną

szmatkę. - Płaczesz, Vic. Chodź. Musisz wrócić. Natychmiast.

Vic bez sprzeciwu pozwoliła, żeby Maggie złapała ją za rękę, wyprowadziła z biblioteki i powiodła w dół ścieżki, w cieniu dębów.

Kolibier spijał nektar z poidelek wiszących na jednym z drzew, jego skrzydełka wirowały jak małe silniki. Ważki wznosiły się w prądach ciepła, ich skrzydła połyskiwały jak złoto w promieniach słońca, które chyliło się ku zachodowi.

Raleigh był tam, gdzie go zostawiły, oparty o ławkę. Dalej biegła wąska asfaltowa droga, kreśląca łuk na tyłach biblioteki, a za nią ciągnął się nadrzeczny pas trawy. Na brzegu wspierał się most.

Vic uniosła rękę, żeby złapać kierownicę, ale zanim to zrobiła, Maggie ścisnęła jej nadgarstek.

- Czy wjeżdżanie tam jest dla ciebie bezpieczne? W takim stanie jak teraz?

- Nigdy wcześniej nie stało się nic złego - odparła Vic.

- Ujęłaś to w niezbyt krzepiący sposób. Zawarliśmy umowę w sprawie Upiora? Jesteś za młoda, żeby go szukać. Stoi?

- Stoi - mruknęła Vic. - Jestem za młoda.

Ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, pomyślała o raleighu, przypominając sobie, jak go zobaczyła po raz pierwszy. Sprzedawca dowodził, że rower jest dla niej za duży, a tata przyznał mu rację, mówiąc jej, że może kupią go, kiedy będzie starsza. Trzy tygodnie później, w dniu jej urodzin, rower stał na podjeździe. „Cóż - powiedział tata. - Jesteś już starsza, prawda?”.

- Skąd będę wiedziała, czy przejechałaś przez most? - zapytała Maggie.

- Zawsze przejeżdżam - odparła Vic.

Światło było stalową szpilką, która naciskała na jej lewe oko. Świat się rozmazał. Maggie Leigh przez chwilę miała siostrę bliźniaczkę; kiedy znów się scaliła, Vic zobaczyła, że trzyma w ręku kartkę złożoną na czworo.

- Weź - powiedziała bibliotekarka. - Znajdziesz tu

wszystko, czego nie powiedziałam o pejzażach wewnętrznych i dlaczego możesz robić to, co robisz. Autorem wyjaśnień jest ekspert w tej dziedzinie.

Vic skinęła głową i schowała kartkę do kieszeni.

- Och! - zawołała Maggie. Pociągnęła za jedno ucho, potem za drugie i wcisnęła coś w rękę Vic.

- Co to? - zapytała Vic, patrząc na leżące na dłoni kolczyki z płytek scrabble.

- Zbroja - odparła Maggie. - A także zwięzły poradnik dla jakaś, jak sobie radzić ze światem. Kiedy następnym razem ktoś cię zawiedzie, załóż je. Poczujesz się twardsza. Maggie Leigh to gwarantuje.

- Dziękuję, Maggie. Za wszystko.

- Po to tu jestem. Źródło wiedzy to ja. Wróć, kiedy będziesz chciała, a s-s-spryskam cię moją mądrością.

Vic znów skinęła głową, czując, że nie zdoła wypowiedzieć już ani jednego słowa. Miała wrażenie, że pod wpływem dźwięku własnego głosu pęknie jej czaszka, jak żarówka pod wysokim obcasem. Dlatego w milczeniu ścisnęła rękę Maggie. Dziewczyna odwzajemniła uścisk.

Vic się pochyliła, nacisnęła na pedały i pojechała w ciemność, w druzgoczący ryk zakłóceń.

Haverhill, Massachusetts

Następną rzeczą, z jakiej zdała sobie sprawę, było to, że idzie pod górę przez Las Pittman Street z wrażeniem, że ma potłuczone wnętrzości i gorączkowo rozpaloną twarz. Słaniała się na nogach, wychodząc z lasu na podwórko.

Nie widziała na lewe oko. Czuła się tak, jakby zostało usunięte łyżką. Policzek miała lepki; być może oko pękło jak winogrono i ściekło na policzek.

Vic wpadła na jedną ze swoich huśtawek i odtrąciła ją z drogi, aż zagrzecotały zardzewiałe łańcuchy.

Ojciec wyprowadził harleya na podjazd i polerował go giemzą. Kiedy usłyszał grzechot łańcuchów, uniósł głowę i upuścił szmatkę, jego usta otworzyły się w bezgłośnym krzyku głębokiego zaskoczenia.

- Ja pierdolę... - wymamrotał. - Vic, nic ci nie jest? Co się stało?

- Jeździłam na rowerze - odparła. Uznała, że to wszystko wyjaśnia.

- Gdzie jest twój rower? - zapytał i spojrzał za nią, jakby się spodziewał, że rower leży gdzieś na drodze.

Wtedy Vic zrozumiała, że go nie przyprowadziła. Nie wiedziała, co się z nim stało. Pamiętała, że w połowie drogi przez most uderzyła w ścianę i spadła z roweru, pamiętała nietoperze popiskujące w ciemności i lecące ku niej, uderzające ją miękko jedwabistymi skrzydłami. Zaczęła dygotać.

- Przewróciłam się - odparła.

- Przewróciłaś się? Potrącił cię samochód? - Chris McQueen wziął ją w ramiona. - Jezu Chryste, Vic, jesteś cała we krwi. Lin!

Wówczas, jak wiele razy wcześniej, ojciec wziął ją na ręce i zaniósł do jej pokoju, a matka przybiegła do nich, po czym popędziła po wodę i tylenol.

Jednak tym razem ciąg dalszy wyglądał zupełnie inaczej, ponieważ Vic majaczyła przez dwadzieścia cztery godziny, z temperaturą dochodzącą do trzydziestu dziewięciu stopni. David Hasselhoff wciąż przychodził do jej sypialni z centówkami w miejscu oczu, w czarnych skórzanych rękawiczkach, łapał ją za nogę w kostce i próbował wywlec z domu do swojego samochodu, wcale nie KITT-a. Walczyła z nim, wrzeszczała, szamotała się i biła, a on głosem jej ojca mówił, że wszystko będzie dobrze, żeby spróbowała zasnąć, żeby się nie martwiła. Zapewniał, że ją kocha, ale jego twarz była pustą maską nienawiści, słyszała pracujący silnik samochodu i wiedziała, że to Upiór.

Kiedy indziej była świadoma, że dopytuje się o swojego raleigha. „Gdzie mój rower? - krzyczała, podczas gdy ktoś

trzymał ją za ramiona. – Gdzie on jest? Potrzebuję go, jest mi potrzebny! Nie mogę szukać bez mojego roweru!”. Ktoś całował ją po twarzy i uciszał. Ktoś płakał. Miała straszne wrażenie, że to jej matka.

Zmoczyła łóżko. Kilka razy.

Drugiego dnia wyszła nago na podwórko i błąkała się przez pięć minut, szukając roweru, aż pan de Zoet, sąsiad z naprzeciwka, zauważył ją i podbiegł do niej z kocem. Otulił ją i zaniósł do jej domu. Minął długi czas, odkąd ostatni raz poszła na drugą stronę ulicy, żeby pomagać panu de Zoetowi w malowaniu jego ołowianych żołnierzyków i słuchać jego starych płyt. W tym czasie zaczęła go uważać za zbikowanego, wścibskiego starego nazistę, który napuścił gliny na jej rodziców, kiedy się głośno kłócili. Teraz jednak sobie przypomniała, że go lubiła, lubiła bijący od niego zapach świeżej kawy i jego zabawny austriacki akcent. Kiedyś ją pochwalił, powiedział, że jest dobra w malowaniu, że mogłaby zostać artystką.

– Nietoperze są zaniepokojone – powiedziała panu de Zoetowi konfidencyjnym tonem, gdy przekazał ją w ramiona matki. – Biedactwa. Myślę, że niektóre wyleciały z mostu i nie mogą znaleźć drogi do domu.

Spała przez cały dzień, a potem leżała bezsennie przez pół nocy i raz po raz dopadał ją irracjonalny strach, przyprowadzający o szybkie bicie serca. Kiedy jakieś auto przejeżdżało obok domu i reflektory omiatały sufit, wciskała do ust kostki palców, żeby powstrzymać się od krzyku. Trzask drzwi samochodu na ulicy brzmiał równie strasznie jak strzał.

Trzeciej nocy wypłynęła z rozkołysanego oceanu gorączki i usłyszała rodziców rozmawiających w sąsiednim pokoju.

– Kiedy jej powiem, że nie mogę go znaleźć, wpadnie w czarną rozpacz. Kochała ten rower – mówił ojciec.

– Cieszę się, że to się skończy – powiedziała mama. – Już więcej nie będzie na nim jeździć i to będzie najlepsze, co wyniknie z tego wszystkiego.

Ojciec parsknął chrapliwym śmiechem.

- Jakaś ty wrażliwa.

- Słyszałeś, co mówiła o swoim rowerze tego dnia, gdy wróciła do domu? O przejażdżkach w poszukiwaniu śmierci? Sądzę, że właśnie to robiła w wyobraźni, kiedy była poważnie chora. Odjeżdżała od nas na rowerze do... sama nie wiem dokąd. Do nieba. Do życia pozagrobowego. Śmiertelnie mnie przeraziło to gadanie, Chris. Nie chcę nigdy więcej widzieć tego przeklętego grata.

Po chwili milczenia tata powiedział:

- Nadal uważam, że powinniśmy to zgłosić jako wypadek, którego sprawca zbiegł.

- Nie dostaje się takiej gorączki po potrąceniu przez samochód.

- Już wcześniej była chora. Mówiłaś, że wieczorem szybko się położyła. Że była blada. Do diabła, może po części to jest przyczyną. Może już wtedy miała gorączkę i wyjechała na jezdnię. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądała, gdy szła przez podwórko, krew ciekła jej z oka, jakby płakała krwawymi łzami... - Ojciec przycichł. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał inaczej, wyzywająco i niezupełnie miło. - Co?

- Tylko... nie wiem, dlaczego już miała plaster na lewym kolanie.

Przez chwilę było słycać tylko telewizor. Potem mama powiedziała:

- Sprawimy jej taki z dziesięcioma przerzutkami. I tak już pora na nowy rower.

- Będzie różowy - szepnęła do siebie Vic. - Jasne jak słońce, że kupi coś różowego.

Na jakimś poziomie świadomości wiedziała, że strata tuff burnera oznacza koniec czegoś cudownego, że przesadziła i straciła najlepszą rzecz w swoim życiu. To był jej nóż i w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że kolejny rower najprawdopodobniej nie będzie w stanie wyciąć dziury w rzeczywistości, żeby mogła wrócić do Mostu Krótsza Droga.

Vic wsunęła rękę między materac i ścianę, sięgnęła pod łóżko. Znalazła kolczyki i złożoną kartkę. Tamtego popołudnia, gdy wróciła do domu, zachowała przytomność

umysłu na tyle, żeby je ukryć, i od tej pory leżały pod łóżkiem.

W przeblysku intuicji niezwyklej u trzynastolatki zrozumiała, że niedługo będzie pamiętać wszystkie swoje podróże za most jedynie jako fantazje obdarzonego bogatą wyobraźnią dziecka. Rzeczywiste zdarzenia – spotkanie z Maggie Leigh, wizyta u Pete'a z Terry's Primo Subs, znalezienie Pana Pentacka w kręgielni Fenway – z czasem staną się dla niej snami na jawie, niczym więcej. Bez roweru zabierającego ją na wyprawy Krótszą Drogą zachowanie wiary w pojawiający się i znikający kryty most będzie niemożliwe. Bez raleigha jedynym i ostatnim dowodem poszukiwawczych wycieczek były kolczyki zamknięte w jej dłoni i złożona fotokopia wiersza Gerarda Manleya Hopkinsa.

Na kolczykach widniały literki F i U. Osiem punktów.

- Dlaczego nie możesz jechać z nami nad jezioro? – mówiła za ścianą mama, do jej głosu zakradały się jęklive nuty. Rodzice rozmawiali o letnim wyjeździe z miasta, czego Linda pragnęła bardziej niż kiedykolwiek z powodu choroby córki.

- Co niby masz do roboty?

- Mam pracę. Chcesz, żebym spędził trzy tygodnie nad jeziorem Winnepesaukee, to się przygotuj na mieszkanie w namiocie. Wynajęcie tego cholernego domku, na którym tak ci zależy, kosztuje tysiąc osiemset dolarów za miesiąc.

- Czy trzy tygodnie, które spędzę sama z Vic, będą wypoczynkiem? Trzy tygodnie samotnego rodzicielstwa, podczas gdy ty zostaniesz, żeby pracować przez trzy dni w tygodniu i robić to, cokolwiek robisz, kiedy dzwonię do biura i faceci mi mówią, że wyjechałeś w teren z rzeczoznawcą. Do tej pory musieliście obejrzeć każdy centymetr kwadratowy Nowej Anglii.

Ojciec niskim, brzydkim tonem powiedział coś, czego Vic nie zrozumiała, a potem podkręcił telewizor tak bardzo, że z pewnością słyszał go pan de Zoet po drugiej stronie ulicy. Drzwi trzasnęły z taką siłą, że w kuchni zabrzęczały szklanki.

Vic założyła nowe kolczyki i rozprostowała kartkę z wierszem, sonetem, którego ani trochę nie rozumiała i który

już pokochała. Przeczytała go w świetle płynącym z uchylonych drzwi, szeptem, recytując, jakby to była modlitwa – bo to była modlitwa – i niedługo później jej myśli uciekły daleko od nieszczęśliwych rodziców.

Rudzik w słońcu rudzieje, świtezianka świeci

*Rudzik w słońcu rudzieje, świtezianka świeci;
kamień, gdy w toń rzucony, w studni krągłej dzwoni;
strojna struna nie stroni od śpiewu;
zwieszony dzwon w swój ton imię wieści po szerokim
świecie;
każda żywa istota równo żywot plecie:
głosi, że to wśród tkanek tka się byt wrzecionem;
się – osobno jest; samo krzyczy, że stworzone,
by czynić i w tych czynach zawrzeć kształt swych rzeczy.*

*Powiem więcej: człek prawy sądzi sprawy mądrze;
dba o łaskę: to ona czyni go łaskawym;
żyje tak w oczach Boga, by Ten mógł w nim dojrzeć
Chrystusa – bo to Chrystus, w tysiącach pejzaży,
ukryty w cudzych ciałach, pośród nie swych spojrzeń,
wciąż objawia się Ojcu w rysach ludzkich twarzy^[1].*

GERARD MANLEY HOPKINS

ZNIKNIĘCIA 1991–1996



Różne miejsca

Mała Rosjanka, o której wspomniała Maggie Leigh, nazywała się Marta Gregorska i w stronach Vic jej porwanie

rzeczywiście przez kilka tygodni było głównym tematem w programach informacyjnych. Stało się tak częściowo dlatego, że Marta była gwiazdką w świecie szachów, uczennicą Kasparowa, i w wieku dwunastu lat zdobyła tytuł arcymistrzowski. Poza tym w pierwszych dniach po rozpadzie ZSRR, gdy świat powoli przyzwyczajał się do tej nowej rosyjskiej wolności, panowało przekonanie, że zniknięcie Marty Gregorskiej i jej matki powinno zostać uznane za incydent na skalę międzynarodową, za pretekst do kolejnej odsłony zimnej wojny. Dopiero po jakimś czasie zrozumiano, że były Związek Radziecki jest zbyt zajęty własnym rozpadem, żeby to zauważyć. Borys Jelcyn jeździł na czołgach, krzycząc, aż twarz mu czerwieniała. Byli agenci KGB prześcigali się w znajdowaniu dobrze płatnej pracy dla rosyjskiej mafii. Minęły tygodnie, zanim ktoś pomyślał o jawnym potępieniu dekadentckiego, przestępczego Zachodu, i potępienie wcale nie wzbudziło entuzjazmu.

Pracownica recepcji w hotelu Hilton Double Tree nad Charles River widziała, jak Marta i jej matka wychodzą przez obrotowe drzwi parę minut przed szóstą w ciepły, dżdżysty wieczór. Matka i córka miały jechać na kolację i czekał na nie samochód. Przez zroszone mżawką okno recepcjonistka zobaczyła, że najpierw Marta, a potem jej matka wsiadają do czarnego pojazdu. Pomyślała, że samochód musiał mieć wysunięte progi, ponieważ mała Rosjanka stanęła na stopniu, zanim usiadła z tyłu. Ale było już ciemno, a poza tym recepcjonistka rozmawiała przez telefon z gościem, który się wkurzał, że nie może otworzyć minilodówki, i na nic więcej nie zwróciła uwagi.

Jedna rzecz była pewna: matka i córka nie wsiadły do właściwego samochodu, nie do limuzyny, która została dla nich wynajęta. Ich szofer, sześćdziesięciodwuletni Roger Sillman, zaparkował po drugiej stronie zatoczki i nie mógł ich zabrać, ponieważ został ogłuszony; gdy się ocknął, dochodziła północ. Czuł się chory i skacowany, ale założył, że po prostu (choć było to wyjątkowo niezwykle) przysnął za kółkiem i klientki musiały złapać taksówkę. Dopiero rano,

kiedy skontaktowała się z nim policja, zaczął zachodzić w głowę, czy nie stało się coś więcej, co uniemożliwiło mu odebranie matki i córki spod hotelu.

Sillman został przesłuchany przez FBI dziesięć razy w ciągu dziesięciu tygodni, ale ani razu nie zmienił swojej wersji i nie podał żadnych wartościowych informacji. Powiedział, że zjawił się w wyznaczonym miejscu czterdzieści minut wcześniej i dla zabicia czasu słuchał wiadomości sportowych, kiedy ktoś zapukał do jego okna. Ktoś przysadzisty, w czarnym płaszczu, stojący w deszczu. Sillman opuścił szybę i wtedy...

Nic. Po prostu nic. Noc się roztopiła jak płatek śniegu na koniuszku języka.

Sillman miał dwie córki - i wnuczki - więc wyobrażanie sobie, że Marta i jej matka wpadły w ręce jakiegoś chorego Teda Bundy'ego-Charlesa Mansona, który będzie je pieprzyć, dopóki nie umrą, gryzło go do żywego. Nie mógł spać, a gdy zasnął, nękały go koszmary o dziewczynce grającej w szachy odciętymi palcami matki. Nie szczędził starań, żeby coś sobie przypomnieć, cokolwiek. Ale wypłynął tylko jeden szczegół.

- Pierniczki - szepnął do dziobatego śledczego, który nazywał się Peace, Pokój, ale wyglądał jak Wojna.

- Pierniczki?

Sillman spojrzał na niego bezradnie.

- Gdy straciłem przytomność, śniły mi się pierniczki, które piekła moja mama. Może ten facet, który zapukał w szybę, jadł pierniczka.

- Hm - mruknął Pokój-nie-Wojna. - Tak, to pomocna informacja. Wystawimy list gończy za Piernikowym Ludkiem. Ale nie sądzę, żeby to coś dało. Po ulicach krąży wieść, że nie można go złapać.



W listopadzie 1991 roku czternastoletni Rory McCombers, uczeń pierwszej klasy Gilman School w Baltimore, zobaczył rolls-royce'a na parkingu przy swoim internacie. Miał jechać na lotnisko, żeby wrócić do rodziny w Key West na Święto

Dziękczynienia, i był przeświadczony, że samochód został przysłany przez ojca.

W rzeczywistości szofer, którego wysłał po niego ojciec, stracił przytomność w swojej limuzynie kilkaset metrów dalej. Hank Tulowitzki zatrzymał się przy Nocnym Marku, żeby zatankować i skorzystać z łazienki, ale nie mógł sobie przypomnieć, co się stało po zatankowaniu. Zbudził się o pierwszej w nocy w bagażniku własnego samochodu, który stał na parkingu niedaleko Nocnego Marka. Łomotał i wrzeszczał przez pięć godzin, zanim rano usłyszał go mężczyzna uprawiający jogging i wezwał policję.

Pewien pedofil z Baltimore przyznał się do popełnienia przestępstwa i podał pornograficzne szczegóły molestowania Rory'ego przed uduszeniem go. Jednak twierdził, że nie pamięta, gdzie pogrzebał zwłoki, a ponadto nie zgadzała się reszta dowodów; nie tylko nie miał dostępu do rolls-royce'a, ale nawet nie posiadał ważnego prawa jazdy. W czasie, gdy policjanci doszli do wniosku, że pedofil zaprowadził ich w ślepy zaułek - po prostu mieli do czynienia ze zbrodnicem, chcącym bez przeszkód opisywać wykorzystywanie seksualne nieletniego, z kimś, kto z nudów przyznaje się do różnych rzeczy - doszło do kolejnych porwań, którymi należało się zająć, i śledztwo w sprawie McCombersa utknęło w martwym punkcie.

Tak Tulowitzkiemu, szoferowi Rory'ego, jak i Sillmanowi, szoferowi obu Gregorskich, pobrano krew dopiero na drugi dzień po porwaniach i badania nie wykazały żadnych pozostałości sewofluranu w ich organizmach.

Pomimo wszystkich wspólnych cech zniknięcie Marty Gregorskiej i porwanie Rory'ego McCombersa nigdy nie zostały powiązane.

Te dwie sprawy miały jeszcze jedną wspólną rzecz: uprowadzone dzieci zniknęły na zawsze.

Haverhill

Chris McQueen odszedł jesienią, kiedy Vic zaczęła naukę w liceum.

Od początku pierwszej klasy szło jej jak po grudzie, dostawała same tróje, z wyjątkiem zajęć plastycznych. Nauczycielka plastyki zamieściła komentarz na kwartalnym podsumowaniu osiągnięć, osiem pospiesznie nagryzmołonych słów - „Victoria jest utalentowana, ale nie umie się skoncentrować” - i postawiła jej czwórkę.

Vic z trudem przechodziła z klasy do klasy. Wytatuowała się niezmywalnymi pisakami, żeby rozzłościć matkę i wyrzucić wrażenie na chłopakach. Zrobiła streszczenie książki w formie komiksu, ku uciesze wszystkich innych dzieciaków, które siedziały z nią z tyłu klasy. Na piątkę z plusem potrafiła rozbawiać innych palaczy trawki. Miejsce raleigha zajął schwinn ze srebrno-różowymi kitkami na kierownicy. Miała go w dupie. Ani razu się nim nie przejechała. Wstydziła się tego roweru.

Kiedy Vic wróciła do domu po lekcjach i karnej odsiadce, zastała matkę w pokoju. Linda siedziała zgarbiona na pufie, z łokciami na kolanach i głową wspartą na rękach. Płakała... łzy wciąż ściekały z kącików jej zaczerwienionych oczu. W takich chwilach stawała się stara i brzydka.

- Mamo? Co się stało?

- Dzwonił twój ojciec. Nie wróci dzisiaj do domu.

- Mamo? - zająknęła się Vic, pozwalając, by plecak zsunął się z ramienia i upadł na podłogę. - Co to znaczy? Gdzie będzie?

- Nie wiem. Nie wiem gdzie i nie wiem dlaczego.

Vic patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Jak to nie wiesz dlaczego? - zapytała. - Nie wraca do domu przez ciebie, mamo. Ponieważ nie może cię znieść. Ponieważ tylko na niego narzekasz, stoisz i zrzedzisz, kiedy jest zmęczony i chce mieć trochę spokoju.

- Tak bardzo się starałam. Nie masz pojęcia, jak bardzo się starałam, żeby mu dogodzić. Kiedy późno wraca do domu, czeka na niego piwo w lodówce i ciepła kolacja. Ale nie mogę dłużej być na skinienie przez dwadzieścia cztery godziny na

dobę i właśnie tego we mnie nie lubi. Nie wiem, ile lat miała ta ostatnia, wiesz. – W głosie matki już nie było gniewu, tylko zmęczenie, nic więcej.

– Co to znaczy „ta ostatnia”?

– Ostatnia dziewczyna, z którą sypiał – wyjaśniła Linda. – Nie wiem, z kim jest teraz ani dlaczego zdecydował się do niej odejść. Nigdy nie postawiłam go w takiej sytuacji, że musiałby wybierać między mną a panienką na boku. Nie wiem, dlaczego tym razem jest inaczej. Na pewno jakaś śliczna podfruwajka zawróciła mu w głowie.

Kiedy Vic się odezwała, jej głos był stłumiony i drżący.

– Nie umiesz kłamać. Nienawidzę cię. Nienawidzę cię i jeśli on odejdzie, ja pójdę razem z nim.

– Ale, Vicki... – zaczęła matka dziwnym, załamującym się tonem skrajnego wyczerpania. – On cię nie chce. Nie tylko mnie zostawił. Zostawił nas obie.

Vic odwróciła się i uciekła, trzaskając drzwiami. Wybiegła w popołudnie wczesnego października. Przez korony dębów po drugiej stronie ulicy sączyły się skośne promienie słońca, złote i zielone. Uwielbiała ten widok. Na całym świecie nie ma takiego światła jak w Nowej Anglii wczesną jesienią.

Wsiadła na swój żenująco różowy rower i ruszyła, oddychając urywanie i płacząc, choć prawie nie zdawała sobie z tego sprawy. Za domem skręciła do lasu i jechała w dół zbocza, wiatr świszczął jej w uszach. Dziesięcioprzerzutkowiec nie był tuff burnerem, i czuła każdy kamień i korzeń pod wąskimi oponami.

Powtarzała sobie, że go odszuka, że chce z nim teraz być, że ojciec ją kocha i jeśli będzie chciała z nim zostać, to znajdzie dla niej jakiś kąt i ona nigdy nie wróci do domu, nie będzie musiała wysłuchiwać utyskiwań matki – że nosi czarne dżinsy, że ubiera się jak chłopak, że zadaje się z narkomanami – po prostu wystarczy zjechać ze wzgórza, a most będzie na nią czekać.

Ale nie czekał. Stara droga gruntowa kończyła się przy barierce na brzegu Merrimacku. W górze rzeki woda była czarna i gładka jak zadymione szkło. Poniżej rwała wartko,

roztrzaskując się na głazach białą pianą. Z Krótszej Drogi pozostały tylko trzy zabrudzone betonowe słupy, które wystawały z wody, na kruszących się wierzchołkach widać było zbrojenie.

Jechała do samej barierki, pragnąc, żeby most się pojawił. Tuż przed zderzeniem rozmyślnie się przewróciła i poszorowała po ziemi. Nie sprawdzając, czy nie zrobiła sobie krzywdy, poderwała się, złapała rower oburącz i przerzuciła go nad barierką. Uderzył w wysoką skarpe, odbił się, spadł z chrzęstem na płyciznę i tam już został. Jedno koło wystawało z wody i obracało się jak szalone.

Nietoperze pomykały w gęstniejącym zmroku.

Vic pokuśtykała na północ, wzdłuż rzeki, bez wyraźnego celu.

Wreszcie na nadrzecznym nasypie, pod trasą 495, padła na szczeciniastą trawę wśród śmieci. Chwyciła ją kolka. Samochody zawodziły i mruzczały nad nią, wprowadzając w harmoniczne drgania masywny most spinający brzegi Merrimacku. Czowała, jak przejeżdżają, czowała bezustanne, dziwnie kojące wibrowanie ziemi pod sobą.

Nie chciała tam spać, ale drzemała przez jakiś czas – może dwadzieścia minut, wprowadzona w stan sennej półświadomości przez grzmiący ryk motorów, które przemykały dwójkami i trójkami, cały gang motocyklowy wyprawiał się na przejażdżkę w ostatnią ciepłą noc jesieni i jechał tam, gdzie koła poniosą.

Różne miejsca

Wieczorem dziewiątego maja 1993 roku w Chesapeake w Wirginii lało jak z cebra, kiedy Jeff Haddon zabrał swoją springer spanielkę na codzienny spacer po kolacji. Żadne z nich nie chciało wychodzić, ani on, ani Garbo, jego pupilka. Ciężkie krople deszczu rozbryzgiwały się na betonowych

chodnikach i brukowanych podjazdach Battlefield Boulevard. Powietrze przyjemnie pachniało szałwią i ostrokrzewem. Jeff miał obszerną żółtą pelerynę i wiatr tarł ją wściekle. Garbo rozstawiła tylne łapy i przysiadła żałośnie, żeby się wysikać, jej kręcona sierść zwisała w mokrych kołtunach.

Trasa spaceru Haddona i Garbo wiodła obok wielkiego domu w stylu Tudorów, należącego do Nancy Lee Martin, zamożnej wdowy z dziewięcioletnią córką. Później Jeff powiedział śledczym z wydziału policji w Chesapeake, że spojrzał na jej podjazd, bo usłyszał świąteczną muzykę, ale trochę rozminął się z prawdą. Z początku wcale nie słyszał muzyki, nie w deszczu bębniącym o trotuar – po prostu zawsze przechodził obok tego domu i zawsze patrzył na podjazd, ponieważ podkochiwał się w Nancy Lee Martin. Miała czterdzieści dwa lata i była o dziesięć lat starsza od niego, jednak wciąż wyglądała jak cheerleaderka z Virginia Tech, którą kiedyś była.

Spojrzał na podjazd i zdążył zobaczyć, jak Nancy wychodzi z domu, a przed nią biegnie Amy, jej córka. Wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu trzymał nad nią parasol; dziewczyny miały seksowne sukienki i jedwabne apaszki. Jeff Haddon przypomniał sobie, jak jego żona mówiła, że Nancy Lee będzie zbierać fundusze dla George'a Allena, który niedawno ogłosił, że zamierza kandydować na urząd gubernatora.

Haddon prowadził salon samochodowy Mercedesa i znał się na samochodach, więc rozpoznał stary model rolls-royce'a, phantoma albo wraitha, jakiś model z lat trzydziestych.

Wykrzyknął słowa powitania i uniósł rękę. Nancy Lee Martin być może odwzajemniła pozdrowienie, nie był pewien. Gdy kierowca otworzył drzwi, z wnętrza wozu wylała się muzyka i Haddon mógłby przysiąc, że usłyszał chóralne wykonanie *Little Drummer Boy*. Dziwnie było słyszeć bożonarodzeniową piosenkę w środku wiosny. Być może nawet Nancy Lee uznała to za nienormalne, bo jakby się zawahała, zanim wsiadła. Ale mocno padało, więc nie wahała

się długo.

Haddon poszedł dalej, a kiedy zawrócił, samochodu już nie było. Nancy Lee Martin i Amy, jej córka, nie dotarły na imprezę połączoną ze zbiórką pieniędzy.

Szofer, który miał je zabrać, Malcolm Ackroyd, również zniknął. Jego samochód znaleziono przy Bainbridge Boulevard, nad wodą. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte. W krzakach leżała jego czapka, mokra od krwi.



Pod koniec maja w 1994 roku dziesięcioletni Jake Christensen z Buffalo w stanie Nowy Jork samotnie leciał z Filadelfii, gdzie uczył się w szkole z internatem. Na lotnisko wysłano szofera, Billa Blacka, ale doznał ataku serca i znaleziono go za kierownicą jego długiej limuzyny na podziemnym parkingu. Nigdy się nie dowiedziano, kto czekał na Jake'a na lotnisku - kto go zabrał.

Autopsja wykazała, że serce Billa Blacka zatrzymało się pod wpływem prawie śmiertelnej dawki gazu zwanego sewofluranem, ulubionego specyfiku dentystów. Odpowiednia dawka sprawia, że człowiek przestaje odczuwać ból i staje się bardzo podatny na sugestie - innymi słowy, przemienia się w zombie. Sewofluran niełatwo jest zdobyć - trzeba mieć uprawnienia lekarskie albo stomatologiczne - więc trop wyglądał obiecująco, ale przeprowadzone w całym stanie wywiady z chirurgami i ich personelem doprowadziły donikąd.



W 1995 roku Steve Conlon i jego dwunastoletnia córka Charlie (tak naprawdę Charlene, ale dla przyjaciół Charlie) wybierali się na konkurs tańca ojca z córką w Plattsburghu, stan Nowy Jork. Zamówili limuzynę, ale zamiast tego na podjeździe pojawił się rolls-royce. Matka Charlie, Agatha, pocałowała córkę w czoło, życzyła jej dobrej zabawy i nigdy więcej jej nie zobaczyła.

Zobaczyła jednak swojego męża. Znalezione jego ciało – zginął od strzału w lewe oko – za krzakami na parkingu przy trasie międzystanowej 87. Agatha nie miała kłopotów z identyfikacją zwłok, pomimo deformacji twarzy.

Kilka miesięcy później, parę minut po drugiej trzydziści nad ranem, w domu Conlonów zadzwonił telefon. Agatha odebrała na wpół przytomna. Usłyszała szum i trzask, jakby łączono rozmowę międzymiastową, a potem kilkoro dzieci zaczęło śpiewać *The First Noel*, ich wysokie, słodkie głosy drżały ze śmiechu. Agatha była przekonana, że słyszała głos swojej córki, i zaczęła wykrzykiwać jej imię: „Charlie, Charlie, gdzie jesteś?”. Córka nie odpowiedziała i w następnej chwili dzieci się rozłączyły.

Pracownicy firmy telekomunikacyjnej z uporem powtarzali, że o tej porze nikt nie dzwonił do jej domu, więc policja uznała zgłoszenie za nocne urojenia zrozpaczonej matki.



Co roku w Ameryce dochodzi do około pięćdziesięciu ośmiu tysięcy porwań dzieci dokonanych przez osoby spoza rodziny. Zniknięcia Marty Gregorskiej, Rory’ego McCombersa, Amy Martin, Jake’a Christensena, Charlene Conlon i dorosłych – przy udziale nielicznych świadków, w różnych stanach, w różnych okolicznościach – mające miejsce na początku lat dziewięćdziesiątych zostały powiązane dopiero po upływie długiego czasu. Długi czas po tym, co spotkało Vic McQueen z rąk Charlesa Talenta Manxa trzeciego.

Haverhill

Pewnego ranka pod koniec marca, gdy Vic chodziła do ostatniej klasy ogólniaka, matka zastała ją w sypialni z Craigiem Harrisonem. Nie przyłapała ich na bzykanku,

nawet się nie całowali, ale Craig przyniósł butelkę rumu Bacardi i Vic była niezłe wstawiona.

Craig wyszedł ze wzruszeniem ramion i uśmiechem – „Dobranoc, pani McQueen, przepraszam, że panią zbudziliśmy” – a Vic rano poszła na sobotnią zmianę do Taco Bell, nie zamieniwszy słowa z matką. Po pracy nie spieszyła się do domu i zdecydowanie nie była przygotowana na to, co tam zastanie, gdy wreszcie się zjawiała.

Linda siedziała na jej łóżku, na schludnie pościętym łóżku ze świeżą pościelą i wytrzepaną poduszką, jak w hotelu. Brakowało tylko miętówek.

Wszystko inne zniknęło: szkicownik, książki, komputer. Na biurku zostało parę drobiazgów, ale Vic nie od razu je zauważyła. Widok ogołoczonego pokoju pozbawił ją tchu.

- Co ty zrobiłaś?

- Możesz odzyskać swoje rzeczy, jeśli zasłużysz – oznajmiła Linda – jeśli będziesz przestrzegała moich zasad i nowej godziny policyjnej. Od tej pory będę cię zawozić do szkoły i do pracy, i wszędzie indziej, gdzie będzie trzeba.

- Nie masz... nie miałaś prawa...

- W jednej z szuflad znalazłam kilka drobiazgów – mówiła matka, jakby Vic wcale się nie odezwała. – Chciałabym usłyszeć wyjaśnienie.

Linda wyciągnęła rękę, wskazując na drugą stronę pokoju. Vic odwróciła głowę, tym razem dostrzegając przedmioty wyłożone na blacie biurka: paczka papierosów, pudełeczko po pastylkach miętowych, zawierające coś, co wyglądało jak czerwone i pomarańczowe cukierki walentynkowe, kilka buteleczek ginu i dwie fioletowe paczuszki prezerwatyw o zapachu bananowym. Opakowanie jednego kondomu było rozdarte i puste.

Vic kupiła prezerwatywy z automatu w hotelu Howard Johnson's i otworzyła jeden pakiecik, żeby nadmuchać gumkę i wyrysować na niej twarz. Nazwała swoje dzieło Kutafonem i rozbawiła dzieciaki w trzeciej klasie, prowadząc Kutafona po swojej ławce, gdy nauczyciel na chwilę wyszedł. Kiedy pan Jaffey wrócił z ubikacji, sala

lekcyjna tak mocno pachniała bananami, że zapytał, kto przyniósł placek bananowy, wskutek czego wszyscy pękali ze śmiechu.

Co do fajek, Craig zostawił paczkę pewnej nocy i Vic je przechowywała. Nie paliła (jeszcze nie), ale lubiła pstryknięciem wybijać papierosa z paczki i leżeć na łóżku, wachając słodki tytoń: zapach Craiga.

Tabletki ekstazy zażywała wtedy, gdy nie mogła zasnąć, bo myśli z wrzaskiem wirowały jej w głowie niczym stado oszalałych nietoperzy. W niektóre noce po zamknięciu oczu widziała Krótszą Droge, krzywy prostokąt otwierający się w ciemność. Czuła zapach mostu, amoniakowy smród szcryn nietoperzy, odór butwiejącego drewna. W ciemności na drugim końcu mostu mrugały dwa reflektory, dwa osadzone blisko siebie kręgi bladego światła. Były jasne i straszne i czasami widziała, że płoną przed nią nawet wtedy, gdy otworzyła oczy. Sprawiały, że chciała krzyczeć.

Mała pastylka z krzyżykiem czasami pomagała. Dzięki małemu x miała wrażenie, że szybuje, czując wiatr na twarzy. Tabletkę wprawiała świat w stan płynnego, subtelnego ruchu, jakby Vic siedziała z tyłu na motocyklu ojca, pochylając się na zakręcie. Po zażyciu ekstazy nie potrzebowała snu – była zbyt zakochana w świetle, żeby spać. Chciała dzwonić do koleżanek i mówić im, że je kocha. Chciała siedzieć do późna i szkicować wzory tatuaży, co pomogło jej wypełnić pustkę między przeciętną dziewczyną a wyuzdaną striptizerką. Chciała mieć silnik motocykla nad piersiami, żeby chłopcy wiedzieli, że można się na niej przejechać – nieważne i żałosne, że w wieku siedemnastu lat należała do wąskiego grona ostatnich dziewic w klasie.

Buteleczki ginu to pryszcz. Trzymała je pod ręką, żeby popijać ekstazy.

- Myśl sobie, co chcesz – powiedziała. – Mam to w dupie.

- Chyba powinnam się cieszyć, że przynajmniej się zabezpieczasz. Ale jeśli dorobisz się dzieciaka, nie licz na moją pomoc. Nie zamierzam mieć z nim do czynienia. Ani z tobą.

Vic chciała jej wygarnąć, że to całkiem dobry powód, żeby jak najszybciej zająć w ciążę, ale zamiast tego powiedziała:

- Nie spałam z nim.

- Kłamiesz. Czwarty września. Myślałam, że nocujesz u Willi. W twoim dzienniku jest napisane...

- Czytałaś mój pieprzony pamiętnik?

- ...że po raz pierwszy spałaś z Craigiem jak noc długa. Sądzisz, że nie wiem, co to znaczy?

To znaczyło, że spali razem - w ubraniach, pod kołdrą, na podłodze w piwnicy Willi, z sześcioma innymi dzieciakami. Ale kiedy się zbudziła, on przytulał się do niej na łyżeczkę, obejmując ją w talii. Czowała jego oddech na karku i pomyślała: Nie budź się, proszę, i przez kilka chwil była taka szczęśliwa, że wręcz nie mogła tego znieść.

- Tak. To znaczy, że się pieprzyliśmy, mamó - powiedziała cicho. - Bo zmęczyło mnie robienie mu laski. To już nie dla mnie.

Z i tak już bladej twarzy matki spłynęła reszta kolorów.

- Zatrzymam twoje rzeczy osobiste - oświadczyła stanowczo. - Nie obchodzi mnie, że masz prawie osiemnaście lat. Mieszkasz pod moim dachem i masz przestrzegać moich zasad. Jeśli dostosujesz się do tego nowego programu, wtedy za kilka miesięcy...

- Czy właśnie tak postąpiłaś, kiedy tata sprawił ci zawód? Zamknęłaś cipę na kilka miesięcy, żeby zobaczyć, czy dostosuje się do programu?

- Wierz mi, gdybym miała gdzieś w domu pas cnoty, kazałabym ci go nosić - warknęła matka. - Ty mała dziwko o niewyparzonej gębie.

Vic parsknęła śmiechem - był to dziki, udręczony śmiech.

- Jaką koszmarnie brzydką osobą jesteś w środku - rzuciła matce w twarz największą obelgę, jaka przyszła jej na myśl. - Wychodzę.

- Jeśli teraz odejdziesz, po powrocie zastaniesz zamknięte drzwi - przestrzegła matka, ale Vic nie słuchała, już wychodząc z sypialni.

Na zimnie

Szła.

Deszcz ze śniegiem przesiąkał przez marynarską bluzę i lód chrząścił w jej włosach.

Ojciec i jego przyjaciółka mieszkali w Durham, w New Hampshire. Vic mogłaby pojechać pociągiem MBTA – linią T do North Station, a tam się przesiąść na Amtrak – ale to kosztowałyby mnóstwo pieniędzy, których nie miała.

Mimo to poszła na stację T i kręciła się po niej przez jakiś czas, bo tam przynajmniej nie padało. Kombinowała, do kogo mogłaby zadzwonić, żeby pożyczyć na bilet. Potem pomyślała, że to pieprzy, zadzwoni do ojca i poprosi, żeby po nią przyjechał. Naprawdę nie rozumiała, dlaczego wcześniej na to nie wpadła.

W ubiegłym roku widziała go tylko raz i spotkanie wypadło fatalnie. Wdała się w kłótnię z jego dziewczyną, rzuciła w nią pilotem i trafił ją, że podbiła jej oko. Tego samego wieczoru ojciec odesłał ją do matki, nawet nie chciał wysłuchać jej wersji zdarzenia. Od tej pory Vic z nim nie rozmawiała.

Chris McQueen odebrał po drugim sygnale i powiedział, że zgadza się pokryć koszt rozmowy. Nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Głos miał chrapliwy. Ostatnim razem, gdy go widziała, miał we włosach o wiele więcej srebrnych nitek niż rok temu. Słyszała, że mężczyźni biorą sobie młodsze kochanki po to, żeby zachować młodość. W jego wypadku to nie zadziało.

- No tak – powiedziała i nagle musiała dołożyć wszelkich starań, żeby znowu się nie rozplakać. - Mama mnie wyrzuciła, tak samo jak ciebie.

Oczywiście było inaczej, ale uznała to za właściwy początek rozmowy.

- Hej, Szkrabie, gdzie jesteś? Nic ci nie jest? Twoja mama zadzwoniła z informacją, że wyszłaś z domu.

- Jestem na stacji kolejowej. Nie mam pieniędzy. Możesz po mnie przyjechać, tato?

- Mogę zamówić ci taksówkę. Mama zapłaci, kiedy wrócisz do domu.

- Nie mogę tam wrócić.

- Vic, dojazd zajmie mi godzinę, a dochodzi północ. Muszę być w pracy o piątej. Już powinienem być w łóżku, ale zamiast tego siedzę przy telefonie i zamartwiam się o ciebie.

Vic usłyszała w tle głos jego dziewczyny Tiffany:

- Ona tu nie przyjedzie, Chrissy!

- Musisz dogadać się z matką - powiedział. - Nie mogę stanąć po żadnej ze stron, Vic. Przecież wiesz.

- Ona tu nie przyjedzie - powtórzyła Tiffany ostrym, złym głosem.

- Powiesz tej piździe, żeby zamknęła swoją pierdoloną mordę? - wrzasnęła Vic.

Kiedy ojciec znów się odezwał, jego głos miał twardsze brzmienie.

- Nie. Biorąc pod uwagę, że ją pobiłaś, gdy byłaś tu ostatnim razem...

- Kurwa!

- ...i nie raczyłaś przeprosić...

- Nie tknęłam tej kretyńskiej dziwki.

- ...w porządku. Koniec rozmowy. Jeśli o mnie chodzi, możesz, kurwa, całą noc spędzić na deszczu.

- Uznałeś, że jest ważniejsza ode mnie - warknęła Vic. - Wybrałeś ją. Pierdol się, tato. Wyśpij się, żebyś rano był gotów wysadzać różne rzeczy w powietrze. To umiesz robić najlepiej.

Rozłączył się.

Przez jakiś czas Vic rozważała pomysł, czy się nie przespać na ławce na stacji. Doszła do wniosku, że o drugiej w nocy to raczej wykluczone. Było za zimno. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do matki na koszt abonenta z prośbą, żeby przysłała taksówkę, ale sama myśl o proszeniu jej o pomoc wydała się nie do zniesienia, dlatego Vic poszła piechotą, biorąc namiar na

Dom

Nawet nie próbowała otworzyć drzwi, przekonana, że będą zaryglowane. Okno jej sypialni znajdowało się trzy metry nad ziemią, nie wspominając o tym, że było zamknięte. Podobnie rzecz się miała z oknami na tyłach domu i rozsuwanymi szklanymi drzwiami. Ale było tam okienko piwniczne, uchylone na pół centymetra, niedomknięte od sześciu lat.

Vic znalazła rdzewiejący sekator, przecięła nim siatkę, pchnęła okienko i wczołgała się do piwnicy.

Pomieszczenie było duże, niewykończone, z rurami biegnącymi pod sufitem. W jednym kącie przy schodach stała pralka z suszarką, a w drugim znajdował się bojler. Resztę przestrzeni zajmowały pudła, foliowe worki pełne jej starych ubrań i leżak w szkocką kratkę. Leżała na nim akwarela przedstawiająca kryty most, oprawiona w szajsowatą ramkę. Vic jak przez mgłę pamiętała, że namalowała akwarelę w podstawówce. Obrazek był brzydki jak nieszczęście, zero wyczucia perspektywy. Przez jakiś czas zabawiała się rysowaniem stada kutasów na niebie, potem rzuciła bohomaz w kąt i maksymalnie rozłożyła leżak. W suszarce znalazła ubrania na zmianę. Chciała osuszyć tenisówki, ale wiedziała, że klekot urządzenia ściągnie na dół matkę, więc po prostu postawiła je na najniższym stopniu schodów.

W worku na śmieci znalazła puchowe kurtki i narzuciła je na siebie, gdy umościła się na leżaku. Nie był zupełnie płaski, więc przypuszczała, że nie zdoła zasnąć, ale w pewnej chwili zamknęła oczy i kiedy je otworzyła, za wąską szczeliną okienka jaśniał skrawek błękitnego nieba.

Zbudziło ją tupanie nad głową i oburzony głos. Matka rozmawiała przez telefon. Kroki sugerowały, że kręci się po kuchni.

- Dzwoniłam na policję, Chris - mówiła. - Usłyszałam, że wróci do domu, kiedy będzie gotowa. - I po chwili: - Nie! Nie, ponieważ nie jest zaginionym dzieckiem. Ma, kurwa,

siedemnaście lat, Chris. W tym wieku nie nazwą jej nawet uciekinierką.

Vic już miała się podnieść i pójść na górę, gdy nagle pomyślała: Pieprzyć ją. Pieprzyć ich oboje. I ułożyła się z powrotem na leżaku.

Zdawała sobie sprawę, że to zła decyzja, że postępuje okropnie źle, ukrywając się tu na dole, podczas gdy matka na górze odchodzi od zmysłów ze strachu. Ale przecież przeszukanie jej pokoju, przeczytanie pamiętnika, zabranie rzeczy, za które sama zapłaciła, też było złe. I jeśli nawet od czasu do czasu zażywała ecstasy, to tylko przez rodziców, bo przecież się rozeszli. Z winy ojca, bo bił matkę. Teraz wiedziała, że to robił. Nie zapomniała, jak obmywał knykcie nad zlewem. Jego wina, jeśli nawet ta wyszczekana, czepiająca się suka to sprowokowała. Vic żałowała, że nie ma przy sobie paru tabletek. Miała jedną w plecaku, schowaną w piórniku, ale plecak leżał na górze. Zastanawiała się, czy matka wyjdzie z domu jej szukać.

- Ale nie ty ją wychowujesz, Chris! Ja to robię! Robię wszystko zupełnie sama! - Linda prawie krzyczała.

Vic słyszała płacz w głosie matki i przez chwilę była skłonna zmienić zdanie. I tym razem się powstrzymała. Było tak, jakby nocny śnieg z deszczem wniknął przez skórę do jej krwi i jakoś ją oziębził. Pragnęła tego wewnętrznego chłodu, idealnego, lodowatego spokoju - chłodu, który błyskawicznie zamrozi wszystkie złe uczucia, wszystkie złe myśli.

Chciałaś, żebym się wyniosła, więc to zrobiłam, pomyślała.

Matka rzuciła słuchawkę na widełki, podniosła ją i trzasnęła jeszcze raz.

Vic skuliła się pod kurtkami, wtuliła się w nie, szukając ciepła.

Po pięciu minutach znów spała.

Piwnica

Obudziła się po południu i w domu było pusto. Zorientowała się w chwili, gdy otworzyła oczy, poznała po charakterze ciszy. Matka nie znosiła zupełnie cichego domu. Kiedy szła spać, włączała wentylator. Kiedy się budziła, włączała telewizor albo własną jadaczkę.

Vic wy dostała się z leżaka, przeszła przez pralnię i stanęła na jakiejś skrzynce, żeby wyrzucić przez okno od frontu. Nie zobaczyła datsuna, zardzewiałego rzecha matki. Poczowała złośliwe, podniecające zadowolenie. Miała nadzieję, że Linda jeździ po Haverhill jak oszalała, szukając jej w centrum handlowym, na bocznych ulicach, w domach koleżanek.

Mogłabym nie żyć, pomyślała. Gdyby powiedziała to na głos, jej ton brzmiałby głucho, złowroźnie. Zgwałcona i zostawiona martwa nad rzeką, i to byłaby wyłącznie twoja wina, ty apodyktyczna suko. Vic miała głowę pełną takich słów, jak „apodyktyczna” i „złowroźbny”. W szkole dostawała co najwyżej tróje, ale czytała Gerarda Manleya Hopkinsa i W.H. Audena – była o lata świetlne mądrzejsza niż oboje rodzice i dobrze o tym wiedziała.

Vic włożyła do suszarki wciąż wilgotne trampki i poszła na górę, żeby zjeść miskę płatków Lucky Charms przed telewizorem. Wygrzebała z piórnika awaryjną tabletkę ekstazy. Po dwudziestu minutach wszystko stało się gładkie i łatwe. Kiedy zamknęła oczy, czuła rozkoszne wrażenie ruchu, szybowania jak papierowy samolocik w prądzie wstępującym. Oglądała Travel Channel i za każdym razem, gdy widziała samolot, rozpościerała ręce jak skrzydła i udawała, że leci. Ekstazy była ruchem w pigułce, równie dobrym jak jazda w ciemności otwartym kabrioletem, tylko że nie trzeba wstawać z kanapy, żeby się udać na przejażdżkę.

Umyła miskę i łyżkę, wytarła je i odłożyła na miejsce. Wyłączyła telewizor. Po skośnych promieniach światła przebijających przez korony drzew poznała, że robi się późno.

Zeszła do piwnicy, żeby sprawdzić, czy buty wyschły. Nadal były wilgotne. Nie wiedziała, co ze sobą począć. Pod schodami znalazła starą rakietę tenisową i pojemnik z

piłkami. Przyszło jej na myśl, żeby przez jakiś czas poodbijać je o ścianę, ale najpierw musiała zrobić miejsce. Zaczęła przestawiać pudła i wtedy go znalazła.

Raleigh stał oparty o beton, ukryty za stosem pudeł przeznaczonych dla Armii Zbawienia. Vic z konsternacją patrzyła na swojego starego tuff burnera. Przecież miała jakiś wypadek i rower przepadł, straciła go bezpowrotnie. Pamiętała, jak rodzice o tym rozmawiali, kiedy sądzili, że ich nie słyszy.

Chyba że... Chyba że wcale nie słyszała tego, co, jak sądziła, słyszy. Przypomniała sobie, jak ojciec mówił, że Vic wpadnie w czarną rozpacz, kiedy się dowie, że tuff burner przepadł. Z jakiegoś powodu uznała, że rower zginął, że tata nie mógł go znaleźć. Matka wspomniała, że się cieszy, że rower zniknął, ponieważ Vic za bardzo fiksowała na jego punkcie.

I taka była prawda, rzeczywiście fiksowała. Miała cały worek fantazji, które dotyczyły jazdy tuff burnerem przez wymaginowany most do dalekich miejsc i fantastycznych krain. Pojechała na nim do kryjówki terrorystów i odzyskała zaginioną bransoletkę mamy, pojechała na nim także do pełnej księżek krypty, gdzie spotkała elfa, który zrobił jej herbatę i ostrzegwał przed wampirem.

Vic przeciągnęła palcem po kierownicy, zgarniając grubą, szarą warstwę kurzu. Przez cały czas rower stał tu na dole, gromadząc kurz, ponieważ rodzice nie chcieli, żeby na nim jeździła. Vic kochała ten rower, a on dawał jej tysiące opowieści, więc to oczywiste, że rodzice go zabrali.

Tęskniła za swoimi opowieściami o moście, tęskniła za dziewczynką, którą wtedy była. Wtedy była lepsza i o tym wiedziała.

Vic wpatrywała się w rower, gdy wkładała tenisówki (teraz przyjemnie ciepłe i jednocześnie śmierdzące).

Wiosna osiągnęła niemal idealną równowagę, w słońcu było ciepło jak w lipcu, w cieniu panował styczniowy chłód. Vic nie chciała iść drogą, żeby przypadkiem nie zobaczyła jej wracająca matka, dlatego skręciła na tyły domu i na ścieżkę

wiodącą przez las. Przełożenie nogi nad siodełkiem i ruszenie z miejsca wydawało się najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem.

Parsknęła śmiechem, gdy wsiadła na rower. Był dla niej o wiele za mały, niemal śmiesznie mały. Wyobraziła sobie klauna wciśniętego do maleńkiego samochodziku. Trącała kolanami kierownicę, pośladki nie mieściły się na siodełku. Ale kiedy stanęła na pedałach, wszystko było w porządku.

Zjechała w dół zbocza w cień, w którym panowała temperatura o dziesięć stopni niższa niż w słońcu, zima dyszała jej w twarz. Wpadła na korzeń i rower oderwał się od ziemi. Nie spodziewała się, że podskoczy w powietrze, i krzyknęła. Wydała piskliwy, radosny okrzyk zaskoczenia, i przez chwilę nie było różnicy między tym, kim jest, a tym, kim kiedyś była. Czuła się wyśmienicie, dwa koła wirowały pod nią, wiatr targał jej włosy.

Nie pojechała prosto nad rzekę, tylko podążyła wąskim szlakiem biegnącym w poprzek zbocza. Przejechała przez kępę krzewów i wyłoniła się wśród gromady chłopaków, którzy stali wokół ognia rozpalonego w koszu na śmieci. Podawali sobie jointa.

- Dajcie się sztachnąć! - krzyknęła, gdy podjechała, i wyciągnęła rękę, udając, że sięga po małego skręta.

Dzieciak z jointem, głupawy cherlak w koszulce z Ozzym Osbourne'em, był tak zaskoczony, że zakrztusił się trzymanym w płucach dymem. Vic uśmiechała się szeroko, kiedy odjeżdżała, dopóki chłopak nie złapał tchu i nie wrzasnął:

- Może jak przyjdiesz nam obciągnąć, pierdolona dziwko!

Jechała dalej przez chłód. Parlament wron siedzących w gałęziach grubej brzozy dyskutował o niej z wielką powagą, gdy przemykała pod nimi.

Może jak przyjdiesz nam obciągnąć, pomyślała, i przez jedną lodowatą chwilę siedemnastoletnia dziewczyna na dziecinnym rowerze wyobrażała sobie, że wraca do tych szczyli, zsiada z roweru i mówi: „W porządku. Który pierwszy?”. Matka już uważała ją za dziwkę. Vic nie

chciałaby jej rozczarować.

Po dłuższej chwili odzyskała dobre samopoczucie, pędząc po zboczach na swoim starym rowerze, ale zadowolenie się wypaliło i zostawiło po sobie rozrzedzoną, zimną złość. Tyle że już nie była całkowicie pewna, na kogo się złości. Jej złość nie miała określonego celu. Był to miękki terkot emocji dopasowany do miękkiego terkotu kół.

Pomyślała, że pojedzie do centrum handlowego, ale zirytowała ją sama myśl o uśmiechaniu się do dziewczyn w barze. Nie była w nastroju do spotykania się ze znajomymi i nie chciała, żeby ktoś dawał jej dobre rady. Nie miała pojęcia, dokąd jechać, wiedziała tylko tyle, że jest w nastroju do szukania kłopotów. Była pewna, że jeśli będzie jechać dostatecznie długo, w końcu na jakieś się natknie.

Według matki już wpadła w kłopoty, leżała gdzieś naga i martwa. Vic z przyjemnością rozważała ten pomysł. Żałowała, że wieczorem zabawa się skończy, i niemal pragnęła znaleźć jakiś sposób, żeby matka nigdy się nie dowiedziała, co się z nią stało, bo chciała zniknąć ze swojego życia, odejść i nigdy nie wrócić. Rozmyślała, jak fajnie byłoby zostawić rodziców, niech się zastanawiają, czy ich córka żyje, czy nie.

Rozkoszowała się myślą o wszystkich tych dniach i tygodniach, kiedy będą tęsknili za nią, dręczeni przez straszne wizje. Będą wyobrażać ją sobie w śniegu z deszczem, drżącą i żalowaną, z wdzięcznością wsiadającą do pierwszego samochodu, który się przy niej zatrzyma. Może wciąż żyje gdzieś w bagażniku tego starego auta (Vic nie zdawała sobie sprawy, że w jej wizji występuje stary samochód o nieokreślonej marce i modelu). I nigdy się nie dowiedzą, jak długo trzymał ją ten stary (Vic właśnie zdecydowała, że mężczyzna musi być stary, ponieważ ma stare auto) ani co z nią robił, ani gdzie porzucił zwłoki. To, że nigdy się nie dowiedzą, na jaką potworną osobę się natknęła, do jakiego odludnego miejsca ją zabrał i jaki spotkał ją koniec, będzie dla nich gorsze, niż gdyby sami umierali.

Na tym etapie rozmyślań Vic znalazła się na drodze

gruntowej, która wiodła na brzeg Merrimacku. Żołędzie pękały pod kołami. Słyszała już szum rzeki przelewającej się po skałach. Był to jeden z najpiękniejszych dźwięków świata i uniosła głowę, żeby nacieszyć się widokiem, ale zatarasował go Most Krótsza Droga.

Vic nacisnęła hamulce i raleigh powoli się zatrzymał.

Most był w jeszcze gorszym stanie, niż pamiętała, cała konstrukcja pochylała się w prawo i wyglądała tak, jakby pierwszy silny wiatr mógł ją zrzucić w toń Merrimacku. Splątany bluszcz okalał przekrzywiony wjazd. Vic czuła zapach nietoperzy. Po drugiej stronie dojrzała nikłą plamę światła.

Zadrżała z zimna i również z czegoś, co przypominało przyjemność. Z absolutną pewnością wiedziała, że coś jest nie w porządku z jej głową. Kiedy łykała ecstazy, nigdy nie miała halucynacji. Przypuszczała, że zawsze jest ten pierwszy raz.

Most czekał, żeby przez niego przejechała. Wiedziała, że kiedy to zrobi, spadnie w nicość. Zostanie na zawsze zapamiętana jako naćpana laska, która zjechała rowerem ze skarpy i skrzyła sobie kark. Ta perspektywa nie wzbudziła w niej strachu. To będzie prawie równie dobre, jak uprowadzenie przez jakiegoś strasznego starucha (Upiora) i zaginięcie bez wieści.

Jednocześnie, choć wiedziała, że przecież mostu nie ma, w głębi duszy bardzo ją ciekawiło, co teraz jest po drugiej stronie. Stała na pedałach i podjechała bliżej, na sam skraj, gdzie drewniana konstrukcja wspierała się na ziemi.

Wewnątrz na ścianie widniały dwa słowa wypisane zieloną farbą w sprayu.

SANIE MIKOŁAJA

1996



Haverhill

Vic podniosła kawałek łupku i rzuciła go na most. Spadł ze stuknięciem, prześliznął się i podskoczył. Powyżej coś się poruszyło. Nietoperze.

Halucynacja wydawała się dość silna. Choć może ten kawałek łupku też był przywidzeniem.

Vic doszła do wniosku, że są dwa sposoby sprawdzenia, czy most jest realny. Może przesunąć się do przodu o kolejne trzydzieści centymetrów, postawić na nim przednie koło. Jeśli go sobie wyobraziła, może zdąży rzucić się w tył, żeby nie spaść.

Albo może po prostu wjechać. Zamknąć oczy i pozwolić, by raleigh poniósł ją ku temu, co na nią czeka.

Miała siedemnaście lat, była nieustraszona i podobał jej się szum wiatru w bluszczu wokół wlotu mostu. Postawiła stopy na pedałach i ruszyła. Usłyszała, jak opony podskoczyły na progu, usłyszała klekoczące pod nimi deski. Nie doznała wrażenia spadania, lotu z wysokości dziesiątego piętra w arktyczny chłód rzeki Merrimack. Słyszała narastający ryk białego szumu. Czuła ukłucie bólu w lewym oku.

Sunęła przez znajomą ciemność, śnieg zakłóceń migotał w szparach między deskami. Pokonała już jedną trzecią drogi i na drugim końcu dostrzegła zaniedbany biały dom z dostawionym garażem. Sanie Mikołajaja, cokolwiek to było.

Nazwa nie miała dla niej znaczenia i wcale nie musiała go mieć. W jakimś abstrakcyjnym sensie wiedziała, ku czemu jedzie, jeśli nawet nie знаła konkretnego miejsca.

Szukała kłopotów, a Most Krótsza Droga nigdy jej nie zawiódł.

Po drugiej stronie mostu

Owady niczym piły brzęczały w wysokich krzakach. W New Hampshire wiosna była zimna i błotnista, ale tutaj – gdziekolwiek to było – powitało ją ciepłe, rześkie powietrze.

Vic kątem oka dostrzegła błyski światła, migotanie jasności na drzewach, ale w tych pierwszych chwilach nie poświęciła im jednej myśli.

Zjechała z mostu na twardo ubitą drogę gruntową. Zahamowała, postawiła nogę na ziemi. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć na most.

Krótsza Droga ulokowała się wśród drzew koło domu i biegła w głąb lasu. Kiedy Vic spojrzała przez most, po drugiej stronie zobaczyła Haverhill, zielone i cieniste w resztkach popołudniowego światła.

Biały parterowy dom ze spadzistym dachem stał samotnie na końcu długiego podjazdu. Na podwórzu rosła wysoka po pas trawa. Między drzewami rozpierały się krzewy sumaka, rosnąc w kępach, które prawie sięgały jej nad głowę.

Zasłony w oknach były zaciągnięte, moskitiery zardzewiałe i wybrzuszone, na podjeździe nie stał samochód i nic nie sugerowało, że ktokolwiek jest w domu, ale Vic natychmiast przestraszyła się tego miejsca i nie wierzyła, że nikogo tam nie ma. Sprawiało okropne wrażenie i jej pierwsza myśl była taka, że jeśli policja je przeszuka, znajdzie ciała pogrzebane na podwórzu za domem.

Kiedy wjechała na most, miała wrażenie, że szybuje swobodnie jak jastrzęb na wznoszących się prądach powietrza. Czowała, że szybuje i że nie może jej spotkać nic złego. Nawet teraz, choć stała w bezruchu, czowała się tak, jakby żeglowała przed siebie, ale wrażenie nie było już ani trochę przyjemne. Jakby jakaś siła ciągnęła ją ku czemuś, czego wcale nie chciała zobaczyć, o czym nie chciała wiedzieć.

Skądś płynął cichy dźwięk włączonego telewizora albo radia.

Vic jeszcze raz obejrzała się na most. Stał ledwie parę kroków dalej. Odetchnęła głęboko, powtarzając sobie, że jest bezpieczna. Jeśli ktoś ją zobaczy, wtedy szybko zawróci, wjedzie na most i zniknie, zanim ten ktoś będzie miał czas choćby krzyknąć.

Zsiadła z roweru i ruszyła w stronę domu. Z każdym cicho

chrześzczącym krokiem czuła się coraz bardziej pewna, że otoczenie jest prawdziwe, że nie jest halucynacją spowodowaną przez ecstazy. Dźwięk radia stawał się coraz głośniejszy.

Patrząc w stronę drzew, znowu dostrzegła migoczące błyski, skrawki jasności wiszące wśród gałęzi. Po chwili zrozumiała, co widzi, i kiedy zrozumiała, stanęła i wyteżyła wzrok. Jodły wokół domu obwieszane były świątecznymi ozdobami, setki ozdób zwisały z dziesiątków drzew. Duże srebrne i złote bombki oprószone brokatem kołysały się na gałęziach. Cynowe aniołki przykładały do ust milczące trąbki. Grube mikołaje przyciskały pulchne palce do warg, radząc jej zachować ciszę.

Gdy tam stała i patrzyła, niewyraźne dotąd dźwięki radia przeistoczyły się w szorstki baryton Burla Ivesa, który zachęcał cały świat do radosnego świętowania Bożego Narodzenia, choć przecież zaczął się już trzeci tydzień marca. Głos płynął z garażu, obskurnej przybudówki z podnoszoną bramą i czterema kwadratowymi oknami matowymi od brudu.

Vic zrobiła jeden małeńki krok, potem drugi, zbliżając się do garażu w taki sposób, jakby pełzła po wysokim gzymsie. Przy trzecim kroku spojrzała przez ramię, żeby się upewnić, czy most wciąż czeka i czy w razie potrzeby będzie mogła uciec. Stał na swoim miejscu.

Zrobiła kolejny krok, i piąty, a potem znalazła się dość blisko, żeby zajrzeć przez jedno z brudnych okien. Oparła ramię o ścianę przy dużych drzwiach garażowych.

Przycisnęła twarz do szyby. W garażu stał stary czarny samochód z małym tylnym oknem. Był to rols-royce, takie auto, z którego Winston Churchill zawsze wysiadał na fotografiach i w starych filmach. Mogła zobaczyć tablicę rejestracyjną: NOS4A2.

Jest. To wszystko, czego potrzebujesz. Policja może go tu wytropić, pomyślała. Teraz musisz wracać. Musisz uciekać.

Ale gdy już miała odejść, dostrzegła ruch za oknem starego samochodu. Ktoś siedzący na tylnej kanapie przesunął się

lekką, jakby chciał się usadowić w wygodniejszej pozycji. Przez brudne szkło Vic dostrzegła niewyraźny zarys małej głowy.

Dziecko. W samochodzie jest dziecko - chłopiec, pomyślała. Dzieciak miał chłopięcą fryzurę.

Jej serce biło teraz tak mocno, że drżały jej ramiona. On przetrzymuje dziecko w samochodzie. Przyszło jej na myśl, że jeśli wróci Krótszą Drogą, może władze dopadną właściciela tego starego auta, ale nie znajdą z nim dzieciaka, ponieważ w tym czasie chłopiec już będzie spoczywał gdzieś w ziemi.

Vic nie miała pojęcia, dlaczego dzieciak nie krzyczy albo nie próbuje wydostać się z samochodu i uciec. Może był oszołomiony narkotykami albo związany. Nie mogła tego wiedzieć. Niezależnie od przyczyny, mały nie wysiądzie, jeśli ona tam nie wejdzie i go nie wydostanie.

Odsunęła się od szyby i kolejny raz spojrzała przez ramię. Most czekał wśród drzew. Nagle wydał się bardzo daleki. Jak mógł się tak odsunąć?

Vic zostawiła rower, poszła obejrzeć boczną ścianę garażu. Spodziewała się, że boczne drzwi będą zamknięte, ale kiedy nacisnęła klamkę, otworzyły się. Ze środka wylały się drżące głosy, piskliwe jak po helu: Alvin i wiewiórki śpiewający swoją piekielną piosenkę bożonarodzeniową.

Serce jej zamarło na samą myśl, że ma tam wejść. Przystąpiła próg jedną nogą, z wahaniem, jakby wchodziła na lód na sadzawce, która być może jeszcze nie do końca zamarła. Stary samochód, czarny i lśniący jak obsydian, wypełniał prawie całe wnętrze garażu. Wokół niego znajdowało się zbiorowisko puszek z farbą, grabi, drabin, skrzynek.

Rolls miał przestronny tył z kanapą obitą koźlęcą skórą w kolorze ludzkiego ciała. Spał na niej chłopiec. Był ubrany w kurtkę z niegarbowanej skóry z kościanymi guzikami. Miał ciemne włosy i okrągłą, pulchną twarz ze zdrowym rumieńcem. Wyglądał tak, jakby śnił słodkie sny, może pełne łakoci. Nie był związany i nie wyglądał na nieszczęśliwego.

Vic przyszło do głowy, że jej zabiegi nie mają sensu: nic mu nie jest. Powinnaś odejść. Pewnie był tu ze swoim tatą, a gdy zasnął, ojciec pozwolił mu spokojnie wypoczywać. Powinnaś po prostu stąd odejść.

Vic wzdrygnęła się na tę myśl, zupełnie jakby usiadła na niej końska mucha. Z tą myślą było coś nie w porządku. Nie powinna powstać w jej głowie i nie wiedziała, skąd się wzięła.

Krótsza Droga przyprowadziła ją tutaj, żeby znalazła Upiora, złego człowieka, który krzywdzi ludzi. Wyruszyła na poszukiwanie kłopotów, a przecież most nigdy nie wskazał jej złej drogi. W ciągu paru minut w potężnym potoku wspomnień wróciło do niej wszystko to, co tłumiała przez wiele lat. Maggie Leigh była osobą z krwi i kości, nie tworem wyobraźni. Vic naprawdę pojechała do niej na rowerze i naprawdę znalazła bransoletkę swojej matki w Terry's Primo Subs; to nie iluzja, to fakt.

Postukała w szybę. Chłopiec ani drgnął. Był młodszy od niej, miał jakieś dwanaście lat. Nad jego górną wargą dostrzegła drobne ciemne włoski.

- Hej! - zawołała ściszym głosem. - Hej, mały.

Poruszył się, ale tylko po to, żeby położyć się na boku, tyłem do niej.

Vic sięgnęła do klamki. Drzwi były zamknięte od środka.

Kierownica znajdowała się po prawej stronie, szyba była prawie zupełnie opuszczona. Vic ostrożnie przesunęła się ku niej. Było niewiele miejsca między samochodem i gratami spiętrzonymi pod ścianą.

Kluczyki tkwiły w stacyjce, akumulator się rozładowywał. Panel radia miał jaskrawy odcień zieleni. Vic nie wiedziała, kto teraz śpiewa, jakiś stary goguś z Vegas, ale też o Bożym Narodzeniu. Boże Narodzenie prawie trzy miesiące temu zniknęło w lusterku wstecznym i lato zbliżało się wielkimi krokami. O tej porze roku świąteczna muzyka miała w sobie coś niesamowitego, jak klaun ze spływającym w deszczu makijażem.

- Hej, mały - szepnęła. - Mały, obudź się.

Chłopiec lekko się poruszył, a potem usiadł i odwrócił się w jej stronę. Vic zobaczyła jego twarz i musiała zdusić krzyk.

Nie taką twarz widziała przez tylne okno. Chłopiec wyglądał na bliskiego śmierci albo tak, jakby już przekroczył granicę życia. Twarz miał księżycowo bladą z wyjątkiem cieni pod oczami w kolorze siniaków. Pod skórą pełzły czarne, zatrute żyły, jakby wypełniał je atrament, nie krew, i rozgałęziały się chorobliwie w kącikach ust, oczu i na skroniach. Jego włosy miały barwę mrozu na szybie.

Zamrugał. Oczy miał lśniąco i zaciekawione i tylko one wydawały się w pełni żywe.

Wypuścił powietrze: biały dym. Jakby stał w chłodni.

- Kim jesteś? - zapytał. Każde słowo płynęło w obłoczku białej pary. - Nie powinno cię tu być.

- Dlaczego jesteś taki zimny?

- Wcale nie jestem. Powinnaś iść. Tu nie jest bezpiecznie.

Jego oddech parował.

- Boże, mały - szepnęła. - Zabierajmy się stąd. Chodź. Chodź ze mną.

- Nie mogę otworzyć drzwi.

- Więc przeleź na przedni fotel - poradziła.

- Nie mogę - odrzekł.

Mówił, jakby był pod wpływem środków uspokajających, i Vic przyszło na myśl, że został nafaszerowany jakimiś prochami. Czy prochy mogą obniżyć temperaturę ciała na tyle, że oddech zaczyna parować? Nie sądziła. Z jego nozdrzy wydobywały się smużki białego, zamrożonego powietrza.

- Nie mogę opuścić kanapy. Naprawdę nie powinnaś tu przebywać. On niedługo wróci.

Vic słyszała go dość wyraźnie, ale niewiele rozumiała, z wyjątkiem ostatniego zdania. On niedługo wróci - to miało sens. Oczywiście, że wróci - kimkolwiek jest (Upiorem). Nie zostawiłby samochodu z rozładowującym się akumulatorem, gdyby nie zamierzał szybko wrócić, i ona musi zniknąć, zanim to nastąpi. Oboje muszą zniknąć.

Niczego bardziej nie pragnęła, jak odejść, rzucić się do drzwi, powiedzieć dzieciakowi, że wróci z policją. Ale nie

mogła odejść. Jeśli ucieknie, zostawi nie tylko chore uprowadzone dziecko. Porzuci też najlepszą część samej siebie.

Sięgnęła przez okno, zwolniła blokadę i otworzyła przednie drzwi.

- Śmiało, złap mnie za rękę - poleciała.

Sięgnęła za fotel kierowcy, w głąb samochodu.

Chłopiec przez chwilę z zadumą patrzył na jej dłoń, jakby chciał odczytać z niej przyszłość albo jakby podawała mu czekoladę, a on się zastanawiał, czy na pewno ma ochotę na słodycze. Reagował niewłaściwie jak na ofiarę porwania i Vic o tym wiedziała, ale mimo to nie cofnęła ręki na czas.

Chwycił ją za nadgarstek i krzyknęła, czując dotyk jego palców. Jego ręka sparzyła jej skórę, jakby przycisnęła nadgarstek do gorącej patelni. Dopiero po chwili zrozumiała, że odczuwa nie gorąco, lecz lodowate zimno.

Ryknął klakson. W zamkniętej przestrzeni garażu hałas był prawie nie do zniesienia. Vic nie miała pojęcia, dlaczego się włączył. Przecież nie dotknęła kierownicy.

- Puść! Boli! - krzyknęła.

- Wiem.

Kiedy się uśmiechnął, zobaczyła, że jego usta są pełne małych haczyków, rzędów haczyków, cienkich i ostrych jak igły. Zdawało się, że sięgają w głąb gardła. Znowu zabrzmiał klakson.

- Panie Manx! - krzyknął chłopiec. - Panie Manx, złapałem jakąś dziewczynę! Niech pan przyjdzie zobaczyć!

Vic zapała się nogą o fotel kierowcy i odepchnęła z całej siły. Chłopiec szarpnął w swoją stronę. Nie sądziła, że ją puści - jego ręka wydawała się przyspawana do jej nadgarstka, jego skóra przymarzła do jej skóry. Ale kiedy przeciągnęła rękę na swoją stronę oparcia fotela, dzieciak puścił ją. Upadła na kierownicę i klakson znowu ryknął. Tym razem z jej winy.

Podeksytowany chłopiec podskakiwał na kanapie.

- Panie Manx! Panie Manx, niech pan przyjdzie zobaczyć, jaka ładna dziewczyna! - nawoływał, a para buchała z jego

nozdrzy i ust.

Vic wypadła przez otwarte drzwi na beton. Uderzyła ramieniem w stertę grabi i łopat do odśnieżania, które przewróciły się na nią z trzaskiem.

Klakson trąbił w seriach ogłuszających eksplozji.

Vic odepchnęła narzędzia. Kiedy podniosła się na kolana, spojrzała na rękę. Na nadgarstku widniało straszne, czarne oparzenie mniej więcej w kształcie dziecięcej dłoni.

Zatrzasnęła drzwi samochodu, ostatni raz rzuciła okiem na chłopca na tylnej kanapie. Twarz miał przejętą, lśniąca z podniecenia. Czarny język wysunął się z jego ust i oblizał wargi.

- Panie Manx, ona ucieka! - wrzasnął. Jego oddech zamarzył na szybie. - Niech pan przyjdzie!

Vic pozbierała się i zrobiła niezdarny, chwiejny krok do tyłu w kierunku bocznych drzwi na podwórko.

Ryknął silnik elektryczny i zagrzechotał biegnący pod sufitem łańcuch, podciągając drzwi garażu. Vic wzięła się w garść i starała się cofać, jak najszybciej mogła. Wielkie drzwi garażowe podnosiły się powoli, odsłaniając czarne trzewiki, srebrnoszare spodnie, i Vic pomyślała: Upiór, to Upiór!

Obiegła maskę. Dwa stopnie prowadziły do drzwi, za którymi, jak wiedziała, znajduje się właściwy dom.

Przekręciła gałkę. Drzwi otworzyły się w ciemność.

Vic weszła, zamknęła drzwi za sobą i ruszyła przez

Sień

gdzie porysowane, brudne linoleum było zadarte w jednym rogu.

Nigdy dotąd jej nogi nie wydawały się takie słabe, nigdy dotąd nie dzwoniło jej w uszach od wrzasku, który brzmiał tylko w jej głowie, ponieważ wiedziała, że jeśli naprawdę krzyknie, Upiór ją znajdzie i zabije. Nie miała co do tego

najmniejszych wątpliwości – zabije ją i zakopie na podwórzu, i nikt nigdy się nie dowie, co ją spotkało.

Przeszła przez drugie wewnętrzne drzwi na

Korytarz

który biegł prawie przez całą długość domu, wyłożony zieloną wykładziną o długim włosie.

Korytarz pachniał pieczonym indykiem.

Pobiegła, nie zwracając uwagi na drzwi po obu stronach, wiedząc, że za nimi znajdują się łazienki i sypialnie. Ścisnęła prawy nadgarstek, pojękując z bólu.

Po dziesięciu krokach korytarz rozszerzył się w niewielki hol. Po lewej stronie, tuż za schodami na piętro, znajdowały się drzwi prowadzące na podwórze przed domem. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające sceny myśliwskie. Wyszczerezeni rumiani mężczyźni trzymali w rękach pęki martwych gęsi, pokazując je golden retrieverom o szlachetnym wyglądem. Za wahadłowymi drzwiami po prawej stronie mieściła się kuchnia. Tu zapach pieczenia był silniejszy. Było także cieplej, wręcz gorąco.

Vic dostrzegła swoją szansę, wyraźnie ujrzała ją w wyobraźni. Człowiek zwany Upiorem wchodzi do garażu. Podąża za nią przez boczne drzwi do domu. Jeśli ona teraz wystartuje, przebiegnie przez podwórko od frontu, może zdąży dotrzeć do Krótszej Drogi.

Rzuciła się przez hol, biodrem potrącając stolik. Lampa z obszytym paciorkami abażurem zakołysała się i o mało nie spadła.

Vic chwyciła gałkę, przekreśliła i już miała pociągnąć, gdy przypadkiem spojrzała przez umieszczone obok drzwi okno.

Stał na podwórzu, jeden z najwyższych mężczyzn, jakich widziała, co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć. Był łysy i jego blada, pocięta siecią niebieskich żył czaszka miała w

sobie coś obscenicznego. Nosił płaszcz z innej epoki, o wydłużonych z tyłu połach i z podwójnym rzędem mosiężnych guzików. Wyglądał jak żołnierz, pułkownik w służbie jakiegoś obcego państwa, gdzie armia zwana jest legionem.

Stał lekko odwrócony, patrząc na most, więc widziała go z profilu. Stał przed wjazdem na Krótszą Drogę, jedną ręką trzymając kierownicę jej roweru.

Vic nie mogła się ruszyć. Było tak, jakby dostała zastrzyk ze środkiem paralizującym. Nie mogła nawet zmusić płuc do wciągnięcia powietrza.

Upiór przechylił głowę, zastygł w pozie psa myśliwskiego, który zwietrzył zwierzynę. Jego twarz łasicy zajmowała niewiele miejsca, mimo ogromnej czaszki. Miał cofnięty podbródek i przodozgryz, przez co wyglądał jak upośledzony umysłowo. Wyglądał jak ćwok, który wypowiada każdą sylabę osobno, mówiąc „ho-mo-szek-szu-al-ny”.

Przyglądał się długiemu mostowi ginącemu w lesie. Potem spojrział w stronę domu. Vic odsunęła twarz od okna i przycisnęła plecy do drzwi.

- Dzień dobry, kimkolwiek jesteś! - odezwał się. - Wyjdź i powiedz, jak się masz! Nie ugryzę!

Vic przypomniała sobie, jak oddychać. Oddychanie wymagało wysiłku, jakby jej klatkę piersiową opasywała taśma.

- Rzuciłaś rower na moim podwórku! - krzyknął Upiór. - Nie chcesz go odzyskać? - Po chwili dodał: - I wrzuciłaś na moje podwórko swój kryty most! Też możesz go odzyskać!

Roześmiał się. Było to przeciągłe końskie rzenie, ihaaaaaaa-aaa! Przemknęło jej przez głowę, że być może rzeczywiście jest upośledzony umysłowo.

Zamknęła oczy i przywarła sztywno do drzwi. Potem pomyślała, że od dłuższej chwili nic nie mówił i że może zbliża się do domu. Zasunęła rygiel, spróbowała założyć łańcuch. Dopiero za trzecim razem zdołała zrobić to, jak trzeba. Ręce miała śliskie od potu i łańcuch się wysuwał.

Ale gdy tylko zamknęła drzwi, Upiór znowu się odezwał i

po jego głosie poznała, że wciąż stoi na środku zarośniętego podwórka.

- Chyba wiem coś o tym moście. Większość ludzi byłaby wstrząśnięta, zniechęca widząc most przed swoim domem, ale nie pan Charles Talent Manx trzeci. Pan Charlie Manx jest człowiekiem, który zna się trochę na mostach i drogach pojawiających się tam, gdzie ich być nie powinno. Sam jeżdżę po nieistniejących w tym świecie autostradach. Jeżdżę od długiego czasu. Założę się, że byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, jak długo! Znam taką drogę, na którą mogę wjechać tylko swoim Upiorem. Nie ma jej na żadnej mapie, ale się pojawia, kiedy jej potrzebuję. Istnieje, kiedy wiozę pasażera, który jest gotów pojechać ze mną do Gwiazdkowej Krainy. Dokąd prowadzi twój most? Wyjdź z domu. Niewątpliwie wiele nas łączy. Założę się, że szybko się zaprzyjaźnimy!

Wtedy Vic podjęła decyzję. Każda chwila dalszego słuchania Upiora skracala czas, jaki jej został, żeby się ratować. Odepchnęła się od drzwi, przebiegła przez hol i otworzyła drzwi wahadłowe, za którymi mieściła się

Kuchnia

Było to niewielkie brudne pomieszczenie ze stołem o żółtym blacie z laminatu i z brzydkim czarnym telefonem, który wisiał na ścianie pod wyblakłymi dziecięcymi rysunkami.

Z sufitu zwisały zakurzone żółte wstęgi bibułki w czarne kropki, nieruchome w spokojnym powietrzu, jakby ktoś przed laty urządził tutaj przyjęcie urodzinowe i nigdy do końca nie posprzątał. Po prawej stronie znajdowały się otwarte metalowe drzwi, a za nimi spiżarnia z pralką i suszarką, paroma półkami, na których stały jakieś puszki i torebki, i wbudowaną w ścianę szafą z nierdzewnej stali. Przy

drzwiach stała wielka lodówka o obłych kształtach.

W kuchni zalegało ciepłe, gęste i stęchłe powietrze. W piekarniku grzało się gotowe danie. Vic mogła sobie wyobrazić pojemnik z plastrami indyka w jednej przegródce, tłuczone ziemniaki w drugiej i folię aluminiową zakrywającą deser. Na ladzie stały dwie butelki gazowanego napoju pomarańczowego. Były tam drzwi na podwórko za domem. Vic doskoczyła do nich w trzech susach.

Martwy chłopiec obserwował tyły domu. Teraz wiedziała, że jest martwy, albo gorzej niż martwy. Był dzieckiem tego Charliego Manxa.

Stał zupełnie nieruchomo w swojej kurtce z surowej skóry i dżinsach, na bosy. Nie naciągnął kaptura, więc widziała jego jasne włosy i czarne gałęzie żył na skroniach. W rozchylonych ustach jeżyły się rzędy ostrych jak igły zębów. Zobaczył ją i uśmiechnął się szeroko, ale nawet nie drgnął, gdy z krzykiem zasunęła rygiel. Zostawił za sobą szlak białych śladów, trawa zamarzła w kontakcie z jego stopami. Jego twarz cechowała szklista gładkość emalii. Oczy były lekko przymglone od szronu.

- Wyjdź - powiedział i z jego ust buchnęły kłęby pary. - Chodź tu i przestań się zachowywać jak głuptas. Razem pojedziemy do Gwiazdkowej Krainy.

Vic gwałtownie odsunęła się od drzwi. Uderzyła biodrem w kuchenkę. Odwróciła się i zaczęła wysuwać szuflady, szukając noża. Pierwszą szufladę zapełniały kuchenne ścierki. W drugiej były trzepaczki, łopatki i zdechłe muchy. Wróciła do tej pierwszej, chwyciła pęk papierowych ręczników, otworzyła piekarnik i rzuciła je na indyka. Zostawiła leciutko uchylone drzwiczki.

Na kuchence stała patelnia. Złapała ją za rączkę. Dobrze było mieć się czym zamachnąć.

- Panie Manx! Panie Manx, widziałem ją! Jest głupia! - zameldował chłopiec. Potem wrzasnął: - Ale zabawa!

Vic się odwróciła i przez wahadłowe drzwi wyszła do holu. Spojrzała przez okno w drzwiach frontowych.

Manx podprowadził jej rower bliżej mostu. Stał przed

wlotem, patrząc w ciemność z przekrzywioną głową: może nasłuchiwał. Wreszcie powziął jakąś decyzję. Pochylił się i mocno pchnął rower na most.

Raleigh przejechał po progu i zniknął w ciemności.

Niewidzialna igła wniknęła w jej mózg przez lewe oko. Vic załkała - nie mogła się powstrzymać - i zgięła się we dwoje. Igła się wysunęła i wbiła jeszcze raz. Vic chciała, żeby głowa jej pękła, chciała umrzeć.

Usłyszała pyknięcie, jakby bębny w uszach reagowały na zmianę ciśnienia, i dom zadygotał. Było tak, jakby odrzutowiec przeleciał nad głową, przekraczając barierę dźwięku.

W holu zaczął się snuć zapach dymu.

Vic uniosła głowę i spojrzała przez okno.

Krótsza Droga zniknęła.

Wiedziała, że tak będzie, kiedy tylko usłyszała ten przeraźliwie głośny trzask. Most zapadł się w siebie niczym umierające słońce, które przechodzi w nową.

Charlie Manx szedł w stronę domu, poły płaszcza łopotały. Nie było śladu humoru na jego ściągniętej, brzydkiej twarzy. Wyglądał jak głupek, który zamysła zrobić coś barbarzyńskiego.

Zerknęła ku schodom, ale wiedziała, że jeśli raz wejdzie na piętro, nie będzie miała odwrotu. Została tylko kuchnia.

Kiedy tam wróciła, chłopiec już stał przy tylnych drzwiach, przyciskając twarz do umieszczonej w nich szyby. Uśmiechnął się, z rozmysłem pokazując wewnątrz ust pełne drobnych haczyków, rzędów zakrzywionych kości. Jego oddech malował pióra srebrzystego mrozu na tafli szkła.

Zadzwoił telefon. Vic wrzasnęła, jakby ktoś ją zniecierpliwiony chwycił, spojrzała na aparat. Jej twarz musnęła żółte kropkowane wstęgi zwisające z sufitu.

Tylko że to wcale nie były wstążki, ale lepy na muchy, upstrzone dziesiątkami wysuszonych martwych owadów. Żółć podeszła jej do gardła. Miała słodko-kwaśny smak, jak zepsuty mrożony napój u Terry'ego.

Telefon znowu zadzwonił. Złapała słuchawkę, ale zanim ją

podniosła, jej spojrzenie przywarło do dziecięcego obrazka wprost nad aparatem. Papier był suchy, zbrązowiały i skruszały ze starości, taśma zżółkła. Obrazek przedstawiał las choinek i człowieka zwanego Charliem Manxem w czapce Świętego Mikołaja, pokazującego kły w szerokim uśmiechu. Towarzyszyły mu dwie dziewczynki. Dzieci na obrazku przypominały to coś, co stało tuż za drzwiami, to coś, co kiedyś było dzieckiem. Vic przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Pomocy! - krzyknęła. - Pomocy, proszę!
- Gdzie jesteś? - zapytał ktoś o dziecięcym głosie.



- Nie wiem! Nie wiem! Zgubiłam się!
- Już mamy tam samochód. Stoi w garażu. Wsiądź na tylne siedzenie, a nasz kierowca zawiezie cię do Gwiazdkowej Krainy. - Ktokolwiek z nią rozmawiał, zachichotał. - Zajmiemy się tobą, gdy już tam będziesz. Powiesimy twoje gałki oczne na naszej wielkiej choince.

Vic odwiesiła słuchawkę.

Usłyszała chrzęst za plecami, odwróciła się i zobaczyła, że chłopiec uderzył czołem w szybę w drzwiach. Pajęczna sieć spękała pokryła tafłę. Wyglądało na to, że dzieciakowi nic się

nie stało.

Usłyszała, że Manx siłą otwiera drugie drzwi, usłyszała grzechot łańcucha.

Chłopiec zadarł głowę i gwałtownie się pochylił, czołem uderzając w szybę. Posypały się odłamki szkła. Chłopiec parsknął śmiechem.

Z uchylonego piekarnika wysunęły się pierwsze żółte jęzory ognia, z dźwiękiem przypominającym łopot gołębich skrzydeł. Tapeta na prawo od kuchenki już się zwijała i czerniała. Vic nie pamiętała, z jakiego powodu postanowiła wzniecić pożar. Miało to jakiś związek z ucieczką w kłębach dymu.

Chłopiec wsunął rękę przez wybitą szybę i znalazł rygiel. Sterczące kawałki szkła zadrasnęły mu nadgarstek, zdarły skórę, popłynęła czarna krew. Wcale się tym nie przejmował.

Vic zamachnęła się patelnią. Włożyła w cios całą swoją siłę i aż się zatoczyła prosto na drzwi. Cofnęła się, potknęła i klapnęła na podłodze. Chłopiec wyszarpnął rękę. Zobaczyła, że trzy palce zostały zmiażdżone i groteskowo się wykrzywiły.

- Jesteś zabawna! - krzyknął i wybuchnął śmiechem.

Vic odpychała się piętami, sunąc na pupie po kremowych płytkach. Chłopiec wetknął głowę przez wybitą szybę i pokazał szary język.

Z piekarnika rzygnął w jej stronę czerwony płomień. Włosy się zapaliły i skręciły. Gwałtownie poklepała się po głowie. Strzeliły iskry.

Manx napał na drzwi. Łańcuch pękł z brzękiem, rygiel odpadł z głośnym trzaskiem. Usłyszała, jak drzwi uderzają w ścianę z hukiem, który wstrząsnął całym domem.

Chłopiec wsunął rękę przez okienko i otworzył tylne drzwi.

Wokół niej spadały płonące paski lepu na muchy.

Vic podniosła się z podłogi i odwróciła. Manx już był przy wahadłowych drzwiach, gotów wejść do kuchni. Wybałuszone oczy spojrzały na nią z pełną entuzjazmu fascynacją.

- Kiedy zobaczyłem twój rower, pomyślałem, że będziesz

młodsza - powiedział. - Ale jesteś prawie dorosła. Twoja strata. Gwiazdkowa Kraina nie jest zbyt dobrym miejscem dla wyrosniętych dziewczyn.

Drzwi za jej plecami się otworzyły... i wtedy całe gorące powietrze zostało wysrane z kuchni, jakby świat na zewnątrz zrobił wdech. Z otwartego piekarnika wystrzeliły czerwone płomienie, a wraz z nimi wirowały tysiące gorących iskieł. Buchnął czarny dym.

Kiedy Manx pchnął wahadłowe drzwi, idąc po nią, Vic się cofnęła, wymknęła spoza jego zasięgu i skoczyła obok masywnej lodówki do jedyne miejsce, które jej pozostało, a była nim

Spizarnia

Złapała metalowy uchwyt i zamknęła za sobą drzwi.

Były ciężkie i zgrzytały o podłogę, gdy je ciągnęła. Nigdy w życiu nie siłowała się z takimi ciężkimi drzwiami.

Nie miały żadnego zamka. Uchwyt w kształcie litery U był przymocowany śrubami do metalowej powierzchni. Vic złapała go oburącz i rozsunęła nogi, zapierając się stopami o futrynę. Chwilę później Manx szarpnął. Wygięła się, pociągnięta do przodu, ale usztywniła nogi i nie pozwoliła mu otworzyć drzwi.

Odpuścił, ale po chwili nagle szarpnął, raz i drugi, próbując ją zaskoczyć. Ważył co najmniej trzydzieści kilogramów więcej i miał długie ręce orangutana, jednak Vic stała w dobrej pozycji, ze stopami zapartymi o futrynę, i prędzej jej ręce wyskoczą ze stawów, niż nogi się ugną.

Manx przestał ciągnąć. Vic miała chwilę na to, żeby się rozejrzeć. Zobaczyła mopa z długim metalowym niebieskim trzonkiem. Stał na prawo od niej, w zasięgu ręki. Przepchnęła trzonek przez uchwyt i końce oparły się o futrynę.

Puściła drzwi, odsunęła się na rozdygotanych nogach i o mało nie usiadła. Musiała się oprzeć o pralkę, żeby nie upaść.

Manx znowu szarpnął drzwi i trzonek załomotał w futrynę.

Manx zmienił taktykę. Gdy następnym razem pociągnął drzwi, zrobił to delikatnie, jakby na próbę.

Vic usłyszała kasznięcie. Pomyślała, że słyszy szept dziecka. Trzęsły jej się nogi. Dygotały tak mocno, że wiedziała, że jeśli odsunie się od pralki, to upadnie.

- Znalazłaś się w sytuacji bez wyjścia, mała podpalaczko! - krzyknął Manx przez drzwi.

- Odejdź! - wrzasnęła.

- Trzeba mieć nie lada tupet, żeby się włamać do cudzego domu, a potem mówić właścicielowi, żeby się wynosił - powiedział dobrodusznym tonem. - Boisz się wyjść, jak przypuszczam. Gdybyś miała odrobinę rozumu, bardziej byś się bała zostać tam, gdzie jesteś!

- Idź sobie! - wrzasnęła. Nic innego nie przyszło jej na myśl.

Znowu zakasłał. W szczelinie pod drzwiami migotało czerwone światło ognia, widziała cienie nóg Charliego Manxa. Przez chwilę słyszała szeptanie.

- Dziecko - odezwał się do niej. - Bez jednej myśli pozwolę, żeby ten dom spłonął. Mam inne miejsca, a ta kryjówka i tak już jest spalona, w takim czy innym sensie. Wyjdź. Wyjdź, bo inaczej się udusisz i nikt nigdy nie zidentyfikuje twoich szczątków. Otwórz drzwi. Nie zrobię ci krzywdy.

Oparła się o pralkę, oburącz ściskając krawędź, jej nogi trzęsły się jak szalone, niemal komicznie.

- Szkoda - podjął. - Chciałbym poznać dziewczynę, która miała własny rower, taki, który może jeździć drogami myśli. Nieczęsto spotyka się takich jak my. Jesteśmy wyjątkowi. Powinniśmy uczyć się wzajemnie. No cóż. Dam ci lekcję, choć nie sądzę, byś była nią zachwycona. Zostałbym i mówił dłużej, ale tu robi się odrobinę za ciepło. Szczerze mówiąc, jestem człowiekiem, który woli chłodniejsze klimaty. Tak bardzo lubię zimę, że praktycznie można mnie uznać za

jednego z elfów Świętego Mikołaja! – Parsknął tym swoim przeciągłym końskim śmiechem: Ihaaaaaaa!

W kuchni coś się przewróciło. Upadło z trzaskiem tak potężnym, że Vic krzyknęła i omal nie wskoczyła na pralkę. Huk wstrząsnął całym domem i wprawił w drżenie płytki pod jej stopami. Przez chwilę myślała, że zaraz się zarwie podłoga.

Dźwięk, ciężar i siła uderzenia pozwoliły jej się domyślić, co zrobił. Złapał tę wielką starą lodówkę i przewrócił na podłogę, barykadując drzwi.



Vic przez długi czas stała oparta o pralkę, czekając, aż nogi przestaną się trząść.

Z początku niezupełnie wierzyła, że Manx odszedł. Czuła, że czeka, by rzuciła się na drzwi, tłukąc w nie pięściami i błagając, żeby ją wypuścił.

Słyszała, jak różne rzeczy pękają z trzaskiem w żarze. Tapeta płonęła z suchym skwierczeniem, jakby ktoś sypał garście sosnowych igieł do ogniska.

Vic przyłożyła ucho do drzwi, żeby lepiej słyszeć, co się dzieje w kuchni. Ale gdy tylko jej skóra zetknęła się z metalem, z krzykiem odsunęła głowę. Drzwi były gorące jak rozgrzana patelnia.

Przez szczelinę nad podłogą zaczął się wsączać brązowy dym.

Vic wyciągnęła trzonek mopa i odrzuciła go na bok. Złapała uchwyt, chciała pchnąć, zobaczyć, jak daleko zdoła przesunąć ciężar po drugiej stronie – ale natychmiast puściła i odskoczyła. Uchwyt był równie gorący jak drzwi. Pomachała ręką w powietrzu, żeby złagodzić piekący ból.

Wciągnęła do płuc pierwszy haust dymu. Cuchnął stopionym plastikiem. Smród był tak ohydny, że się zakrztusiła, zgięła wpool i kasłała mocno, niemal do wymiotów.

Obróciła się dokoła. W spiżarni było ciasno, dlatego w zasadzie nic więcej nie mogła zrobić.

Półki. Pudełka ryżu błyskawicznego. Wiaderko. Butelka amoniaku. Butelka wybielacza. Nierdzewna szafka albo szuflada wbudowana w ścianę. Pralka i suszarka. Żadnych okien. Żadnych innych drzwi.

W kuchni eksplodowało coś szklanego. Vic zauważyła, że powietrze staje się mniej przejrzyste, jakby stała w saunie.

Spojrzała w górę i zobaczyła, że biały tynk na suficie czernieje nad futryną drzwi.

Otworzyła suszarkę i znalazła w niej stare białe prześcieradło z gumką. Wyciągnęła je, zarzuciła na głowę i ramiona, okręciła tkaniną jedną rękę i podeszła do drzwi.

Ledwie mogła złapać metalowy uchwyt, nawet przez prześcieradło, i nie była w stanie długo przyciskać ramienia do drzwi. Ale rzuciła się na nie mocno, raz i drugi. Zadygotały na zawiasach i uchylły się może na centymetr – dość, żeby do spiżarni wpadły kłęby obrzydliwego brązowego dymu. Po drugiej stronie dym był tak gęsty, że niczego nie zdołała zobaczyć przez szczelinę, nawet płomieni.

Cofnęła się i trzeci raz rzuciła na drzwi. Uderzyła w nie z takim impetem, że aż się odbiła. Prześcieradło okręciło się wokół jej kostek i runęła jak długa. Krzyknęła w poczuciu niemocy, odrzuciła płachtę. Powietrze w spiżarni gęstniało od dymu.

Wyciągnęła ręce, jedną złapała się pralki, a drugą szafki z nierdzewnej stali. Gdy się podciągała, drzwiczki szafki opadły z jękiem zawiasów i znowu runęła, nogi się pod nią ugięły.

Przed ponowieniem próby chwilę odpoczywała, przyciskając czoło do chłodnego metalu pralki. Kiedy zamknęła oczy, poczuła, że matka przykłada chłodną rękę do jej rozpalonego czoła.

Vic stanęła na nogach, teraz chwiejnie. Puściła uchwyt szafki i sprężyna zatrzasnęła drzwiczki. Trujące powietrze szczypało ją w oczy.

Otworzyła drzwiczki szafki. Za nimi znajdował się zsyp na rzeczy do prania, ciemny, wąski, metalowy szyb.

Vic wsunęła głowę do otworu i spojrzała w górę. Trzy

metry, może trzy i pół metra wyżej niewyraźnie zobaczyła drugie małe drzwiczki.

On tam czeka, wiedziała.

Ale to nie miało znaczenia. Nie mogła zostać w zadymionej spiżarni.

Usiadła na otwartych drzwiczkach, które odchyłały się od ściany na napiętych sprężynach. Wcisnęła głowę i tułów do środka, podciągnęła nogi i znalazła się

W zsypie na pranie

Siedemnastoletnia Vic ważyła tylko dwadzieścia kilogramów więcej i była o niecałe osiem centymetrów wyższa niż wtedy, gdy miała lat dwanaście – była chuda jak patyk i sprawiała takie wrażenie, jakby składała się wyłącznie z nóg. Ale mimo to szyb okazał się bardzo ciasny. Zaparła się plecami o ścianę, z kolanami podciągniętymi do twarzy, przyciskając stopy do przeciwległej strony szybu.

Posuwała się do góry, odpychając się piętami, po piętnaście centymetrów naraz. Brązowy dym unosił się wokół niej i szczypał w oczy.

Ściągnęła podkolanowe piekły ją z bólu. Przesunęła plecy o kolejne piętnaście centymetrów, zgarbiona i skurczona w groteskowy sposób. Mięśnie pleców pulsowały z wysiłku.

Była w połowie drogi na piętro, gdy poczuła, że stopa się ześlizguje, wysuwa się spod niej. Pupa jej opadła, Vic poczuła rozdzierający ból w prawym udzie i wrzasnęła. Przez chwilę zdołała utrzymać się w miejscu, skulona, z uniesionym prawym kolaniem i zwisającą lewą nogą. Ciężar wsparty na prawej nodze okazał się zbyt wielki, a ból zbyt silny. Oderwała prawą stopę od ściany i poleciała na dół.

Wylądowała twardo, boleśnie. Walnęła w aluminiową podłogę szybu, prawe kolano uderzyło ją w twarz. Lewa noga pchnęła stalową klapę i wysunęła się do spiżarni.

Przez chwilę Vic była niebezpiecznie bliska paniki. Rozpłakała się i nawet nie próbowała się wspinać, tylko zaczęła skakać, chociaż kłapa znajdowała się daleko poza zasięgiem jej rąk, a w gładkim aluminiowym szybie nie było się czego złapać. Wrzasnęła. Krzyczała o pomoc. Dym kłębił się i zasnuwał jej oczy, i w połowie krzyku dostała ataku kaszlu - był to chrapliwy, suchy, bolesny kaszel. Kaszłała i kaszłała, aż uznała, że już nigdy nie przestanie. Kaszłała tak mocno, że zebrało się jej na wymioty i w końcu wypluła lepką ślinę o smaku żółci.

Nie przerażał jej dym ani ból z tyłu prawego uda, chociaż na pewno naderwała mięsień. Bała się nieuniknionej, rozpaczliwej samotności. Co matka wykrzyczała ojcu w twarz? „Nie ty ją wychowujesz, Chris! Ja to robię! Robię wszystko zupełnie sama!”. To było straszne, nagle znalazła się zupełnie sama w jakiejś blaszanej norze. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz obejmowała mamę, swoją wystraszoną, porywczą, nieszczęśliwą mamę, która stała przy niej i kładła chłodną rękę na jej czole za każdym razem, gdy Vic miała gorączkę. Przerazała ją myśl o tym, że tu umrze, nie mając szans niczego naprawić.

W końcu znowu ruszyła w górę szybu, oparta plecami o jedną ścianę, a stopami o drugą. Oczy wychodziły jej z orbit. Powietrze w zsypie zgęstniało, wokół niej płynął brązowawy, wzburzony potok dymu. Z prawą nogą było coś bardzo nie w porządku. Za każdym razem, gdy zapierała się stopami, żeby pchnąć się w górę, miała wrażenie, że mięsień się rozdziera.

Mrugała, kasłała, odpychała się i miarowo przesuwiała do góry. Metal za jej plecami zrobił się nieprzyjemnie ciepły. Pomyślała, że niedługo zacznie zostawiać skórę na ścianach, że zsyp zacznie parzyć. Tyle że to już nie był zsyp. Przemienił się w komin, z przydymionym żarem na dole, a ona była jak Święty Mikołaj, który gramoli się do góry. W jej głowie tłukła się ta kretyńska bożonarodzeniowa piosenka, wesołych, kurwa, świąt Bożego Narodzenia, powtarzająca się w nieskończoność. Nie chciała zostać upieczona żywcem ze świąteczną muzyką w głowie.

Gdy się zbliżyła do górnej kłapy zsypu, prawie nic nie widziała przez cały ten gęsty dym. Łzy ciekły jej z oczu i musiała wstrzymać oddech. Mięsień w prawym udzie dygotał bezsilnie.

Tuż nad stopami zobaczyła odwróconą literę U nikłego światła: wyjście na piętro. Paliło ją w płucach. Sapnęła, nie mogąc się powstrzymać, wciągnęła dym i zaczęła kaszleć. Kasłanie sprawiało ból. Czuła, jak pęka i drze się miękka tkanka w klatce piersiowej. Prawa noga poddała się bez żadnego ostrzeżenia. Vic wyrzuciła ręce, gdy spadała, sięgnęła do zamkniętej kłapy. Zdążyła pomyśleć: Nie otworzy się. Czymś ją zastawił, na pewno się nie otworzy.

Ręce uderzyły w klapę, wysunęły się w cudownie chłodne powietrze. Krawędź otworu znalazła się pod jej pachami. Nogi zwisały w szybie, kolana uderzyły w metalową ścianę.

Otworzenie kłapy sprawiło, że zsyp zassał powietrze i wokół niej wzniósł się śmierdzący podmuch. Kłęby dymu buchnęły nad jej głową. Nie mogła pohamować kaszlu i mrugania, kasłała tak mocno, że całe ciało się trzęsło. Czuła w ustach smak krwi, czuła krew na wargach. Zastanawiała się, czy nie wykasłała czegoś ważnego.

Przez długą chwilę wisiała, zbyt słaba, żeby się wciągnąć. Potem zaczęła wierzgać nogami, zapierać się palcami stóp o ścianę. Stopy łomotały w szybie. Nie mogła znaleźć dobrego punktu oparcia, ale też zbytnio go nie potrzebowała. Głowa i ramiona już wysunęły się ze zsypu i żeby z niego wyleźć, wystarczyło się podciągnąć.

Spadła na kosmaty dywan w korytarzu na piętrze. Powietrze smakowało rozkosznie. Leżała i chwytiała je jak ryba. Życie jest cudowne, jakkolwiek bolesne.

Musiała oprzeć się o ścianę, żeby wstać. Spodziewała się, że cały dom będzie pełen dymu i buzującego ognia, ale wcale tak nie było. Powietrze w korytarzu na górze było przymglone, lecz ani trochę tak paskudnie jak w zadymionym zsypie. Vic zobaczyła światło dnia po prawej stronie i pokuśtykała po grubym dywanie z lat siedemdziesiątych na podest u szczytu schodów. Zeszła po nich w smugach dymu

w sposób, który przypominał kontrolowany upadek.

Drzwi frontowe były na wpół otwarte. Z futryny zwisał łańcuch, a na nim metalowa płytką z otworkiem, o którą był zahaczony, wraz z długą drzazgą. Wpadające z zewnątrz powietrze było chłodne jak woda i Vic chciała się w nim zanurzyć, lecz tego nie zrobiła.

Nie mogła zajrzeć do kuchni, pełnej dymu i migoczącego ognia. Za otwartymi drzwiami znajdował się pokój. Tapeta w głębi już płonęła, odsłaniając tynk. Dywan się tlił. Wazon zawierał bukiet płomieni. Pomarańczowe wstęgi ognia pełzły po tandetnych białych nylonowych zasłonkach. Przypuszczała, że płonie cały tył domu, ale tutaj, od frontu, w holu, był tylko dym.

Vic wyjrzała przez okno przy drzwiach. Długi, wąski, ziemny podjazd odchodzący od domu nikał w lesie. Nie widziała samochodu, ale przecież z tego miejsca nie mogła dostrzec garażu. Być może Upiór siedzi tam i czeka, żeby zobaczyć, czy zdołała się wydostać. A może przycałił się na końcu podjazdu, żeby obserwować, czy tamtędy pobiegnie.

Za jej plecami coś pękło z żalonym jękiem i spadło z wielkim hukiem. Wokół niej nagle pojawił się dym. Gorąca iskra sparzyła ją w ramię. Przyszło jej na myśl, że nie ma się nad czym zastanawiać. Czy Upiór na nią czeka, czy nie, ona może pójść tylko

Na zewnątrz

Podwórze było zarośnięte, więc przypominało to bieg przez płataninę drutu. Trawa tworzyła sidła, które chwyciły jej kostki. Właściwie to nie było podwórze, tylko granicząca z lasem połać porośnięta zielskiem i krzakami.

Nie poświęciła jednego spojrzenia ani domowi, ani garażowi i nie pobiegła do podjazdu. Nie miała odwagi skorzystać z tej długiej prostej drogi - bała się, że może

Upiór gdzieś tam zaparkował i ją szpieguje. Pobieгла do lasu. Nie widziała skarpy, dopóki z niej nie spadła, prawie z wysokości metra.

Wylądowała twardo na palcach stóp, prawa noga ugięła się pod jej ciężarem. Z jękiem bólu wpadła na stertę suchych gałęzi, wygramoliła się z nich i przewróciła na plecy.

Piętrzyły się nad nią jodły, rozkołysane na wietrze. Wiszące na nich ozdoby dzwoniły i migotały. Widziała rozsiewane przez nie tęczowe błyski, jakby doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu.

Kiedy odzyskała oddech, odwróciła się, podniosła na kolana i spojrzała na podwórze.

Wielkie drzwi garażowe były otwarte, rolls-royce zniknął.

Była zaskoczona - niemal rozczarowana - że widzi tak mało dymu. Nad dachem wisiał uporczywy szary całun wznoszący się z tylnej części domu, a brązowe kłęby wylewały się z otwartych ust drzwi frontowych. Ale nie słyszała trzasku ognia i nie widziała płomieni. Spodziewała się, że dom będzie wyglądał jak wielkie ognisko.

Podniosła się i ruszyła przed siebie. Nie mogła biec, mogła tylko w miarę szybko kuśtykać. Płuca wydawały się upieczone i każdy krok powodował świeże uczucie darcia w prawym udzie. Była mniej świadoma licznych drobniejszych obrażeń, zimnego oparzenia na prawym nadgarstku, pulsującego kłującego bólu w lewym oku.

Szła równolegle do podjazdu, zachowując odległość piętnastu metrów, gotowa przypaść do krzaka albo pnia drzewa, gdyby zobaczyła rollsa. Wąska droga wiodła prosto jak strzelił od niewielkiego białego domu. Ani śladu starego samochodu, Charlesa Manxa czy martwego chłopca, który z nim podróżował.

Vic mozolnie kuśtykała wzdłuż drogi. Straciła poczucie czasu, nie miała pojęcia - wtedy ani później - jak długo wędrowała przez las. Każda chwila była najdłuższą chwilą jej życia, dopóki nie zaczęła się następna. Później miała wrażenie, że ta niesamowita ucieczka trwała równie długo jak całe jej dzieciństwo. Gdy zobaczyła autostradę, zostawiła

dzieciństwo daleko za sobą. Tliło się i wypaliło w nicość wraz z resztą Sań Mikołaja.

Nasyp autostrady był wyższy niż skarpa, z której spadła, i musiała się wspinać na rękach i kolanach, chwytając kęp trawy. Na szczycie nasypu usłyszała miarowe dudnienie, zawodzenie i ryk zbliżającego się motocykla. Nadjeżdżał z prawej strony, ale zanim się podniosła, już ją mijał, wielki facet w czerni na harleyu.

Autostrada biegła prosto przez las pod kłębowiskiem niskich burzowych chmur. Po lewej stronie Vic ujrzała wysokie błękitne wzgórza i po raz pierwszy odniosła wrażenie, że jest gdzieś wysoko. W Haverhill, w Massachusetts, rzadko myślała o wysokości, ale teraz rozumiała, że to nie chmury są niskie, ale ona sama znajduje się wysoko.

Wgramoliła się na asfalt i pobiegła za harleyem, krzycząc i wymachując rękami. Nie słyszy, pomyślała; niemożliwe, nie w ryku takiego silnika. Ale wielki mężczyzna obejrzał się przez ramię, przednie koło się zachybotowało. Zaraz potem wyrównał i zjechał na pobocze.

Zarośnięty grubas nie miał kasku i kędzierzawe brązowe włosy spadały mu na kark obfitą plerezą. Vic pobiegła w jego stronę, ból kłuł ją w udo przy każdym kroku. Kiedy dotarła do motocykla, bez chwili wahania czy wyjaśnień przerzuciła nogę przez siodełko i objęła kierowcę w pasie.

Miał zdumione, trochę przestraszone oczy. Nosił czarne rękawiczki bez palców i rozpiętą czarną skórzaną kurtkę, a pod nią koszulkę z wizerunkiem Weird Ala. Z bliska zobaczyła, że wcale nie jest dorosły, jak z początku sądziła. Skórę pod zarostem miał gładką i różową i okazywał emocje prawie jak dziecko. Mógł być niewiele starszy od niej.

- Ja cię! Nic ci nie jest? Miałaś wypadek?

- Muszę na policję... Pewien człowiek... chciał mnie zabić. Uwięził mnie w pokoju i podpalił dom. Ma małego chłopca. Był tam mały chłopiec, ledwo udało mi się uciec, a on zabrał chłopca ze sobą. Musimy jechać. On może wrócić. - Vic nie była pewna, czy jej słowa mają jakiś sens. Podawała

prawdziwe informacje, ale miała wrażenie, że paskudnie je poskładała.

Brodaty grubas spojrział na nią przez gogle z taką miną, jakby mówiła do niego w jakimś obcym języku – może w tagalskim albo klingońskim. Choć jak się później okazało, gdyby mówiła po klingońsku, Louis Carmody prawdopodobnie byłby ją w stanie zrozumieć.

- Pali się! - krzyknęła. - Pożar! - Dźgnęła palcem w kierunku drogi gruntowej.

Z autostrady nie widziała domu, a smużka dymu wznosząca się nad lasem mogła płynąć z czyjegoś komina albo ze stosu wypalanych liści. Ale ten widok wystarczył, żeby wyrwać motocyklistę z transu i skłonić do ruszenia z miejsca.

- Trzymaj się, kurwa! - krzyknął rwącym się, piskliwym głosem i tak przygazował, jakby zamierzał jechać na tylnym kole.

Żołądek podszedł jej do gardła i mocno objęła jego brzuch, aż czubki palców prawie się zetknęły. Myślała, że się wywróci; motor kołysał się niebezpiecznie, przód jechał w jedną stronę, tył zarzucał w drugą.

Ale wyrównał i środkowa biała linia zaczęła umykać w bardzo szybkim tempie, podobnie jak drzewa po obu stronach drogi.

Vic odważyła się raz rzucić okiem za siebie. Spodziewała się, że zobaczy stary czarny samochód wyskakujący z bocznej drogi, ale autostrada była pusta. Odwróciła głowę i przycisnęła policzek do pleców chłopaka. Zostawiali za sobą dom starego, jadąc ku błękitnym wzgórzom, byli daleko, bezpieczni. Już po wszystkim.

Nad Gunbarrel, Kolorado

W pewnej chwili motocykl zwolnił.

- Co robisz? - krzyknęła.

Przejechali niecały kilometr. Obejrzała się przez ramię. Wciąż widziała wylot drogi gruntowej prowadzącej do tego straszego domu.

- Ja cię - odezwał się chłopak. - Musimy znaleźć kogoś, kto nam pomoże. Tam mają telefon.

Zbliżali się do wyboistej, spękanej szosy asfaltowej odchodzącej w prawo. Przy rozjeździe stał wiejski sklep z kilkoma dystrybutorami od frontu. Chłopak podjechał pod samą werandę.

Motor zgasł w chwili, gdy chłopak rozłożył stopkę; nie zawracał sobie głowy wrzucaniem luzu. Vic chciała mu powiedzieć, że nie, nie tutaj, to za blisko domu tego faceta, ale on już zsiadł i podał jej rękę, żeby jej pomóc.

Potknęła się na pierwszym stopniu werandy i o mało nie upadła. Chwycił ją w ramiona. Odwróciła się i spojrzała na niego ze łzami w oczach. Dlaczego płakała? Nie miała pojęcia; wiedziała tylko, że szłocha bezradnie, zasysając powietrze w krótkich, zdławionych haustach.

Co dziwne, gruby chłopak, Louis Carmody, dwudziestolatek z szeregiem głupich wykroczeń na koncie - wandalizm, kradzieże sklepowe, palenie przed osiągnięciem pełnoletności - wyglądał tak, jakby zaraz sam miał się rozplakać. Dopiero teraz poznała jego imię i nazwisko.

- Słuchaj - powiedział - nie pozwolę, żeby spotkało cię coś złego. Wszystko będzie dobrze. Zabrałem cię stamtąd.

Chciała mu wierzyć, ale już rozumiała, na czym polega różnica między dzieckiem a dorosłym. Kiedy ktoś mówi, że powstrzyma zło, dziecko mu wierzy. Chciała uwierzyć temu chłopakowi, ale nie mogła, więc postanowiła dać mu buziaka. Nie teraz, później - później obdarzy go najwspanialszym pocałunkiem wszech czasów. Był puciołowaty, miał zaniedbane włosy i podejrzewała, że nigdy dotąd nie całowała go żadna dziewczyna. Ona sama nigdy nie zamierzała zostać modelką w katalogu bielizny, ale była niczego sobie. Poznała, że on też tak myśli, po tym, z jaką niechęcią puścił jej talię.

- Chodź, sprowadzimy całą armię glin - powiedział. - Co ty

na to?

- I straż pożarną - dodała.

- To też.

Lou wprowadził ją do sklepu spożywczego z podłogą z sosnowych desek. Na ladzie stał słój z żółtym płynem, w którym unosiły się marynowane jaja. Wyglądały jak krowie oczy.

Przed jedyną kasą stał krótki ogonek klientów. Mężczyzna za ladą trzymał w kąciku ust fajkę z kaczana kukurydzy. Z fajką, przymrużonymi oczami i wydatną szczęką bardziej niż trochę przypominał marynarza Popeye z kreskówki.

Na początku kolejki stał młody mężczyzna w wojskowym mundurze polowym, trzymając w garści kilka banknotów. Obok niego czekała żona z małym jasnowłosym dzieckiem w ramionach. Była najwyżej o pięć lat starsza od Vic, jasne włosy miała związane w kucyk elastyczną frotką. Niemowlęce śpioszki z Batmanem były poplamione z przodu sosem pomidorowym, co świadczyło o pożywnym lunchu a la makaron w sosie pomidorowym z puszki Chef Boyardee.

- Przepraszam - powiedział Lou swoim cienkim, piskliwym głosem.

Nikt nawet się nie obejrzał.

- Nie miałeś kiedyś krowiego mleka, Sam? - zapytał mężczyzna w mundurze polowym.

- Prawda - odparł facet o wyglądzie Popeye, wbijając klawisze na kasie. - Ale chyba nie chcesz znów słuchać o mojej byłej żonie.

Starsi mężczyźni skupieni w kącie wybuchli śmiechem. Blondynka z dzieckiem uśmiechnęła się pobłaźliwie i rozejrzała po sklepie. Zatrzymała spojrzenie na Lou i Vic. Troska zmarszczyła jej czoło.

- Słuchajcie! - wrzasnął Lou. Tym razem wszyscy się odwrócili i wlepili w nich oczy. - Musimy skorzystać z pańskiego telefonu.

- Hej, skarbie - blondynka zwróciła się do Vic. Po jej sposobie mówienia Vic poznała, że jest kelnerką i do każdego mówi „skarbie”, „kochanie” albo „laleczko”. - Nic ci nie jest?

Co się stało? Mieliście wypadek?

- Ma szczęście, że żyje - odparł Lou. - Jakiś człowiek, który mieszka niedaleko stąd przy bocznej drodze, zamknął ją w swoim domu. Chciał ją spalić żywcem. Dom wciąż płonie. Ledwie się stamtąd wydostała. Skurczybyk porwał jakiegoś dzieciaka.

Vic pokręciła głową. Nie - nie do końca tak wyglądała prawda. Dzieciak nie był przetrzymywany wbrew swojej woli. Dzieciak już nawet nie był dzieciakiem. Stał się czymś innym, czymś tak zimnym, że samo jego dotknięcie sprawiało ból. Ale nie mogła wymyślić, jak poprawić słowa Lou, więc się nie odezwała.

Blondynka patrzyła na Lou Carmody'ego, gdy mówił, a kiedy przeniosła oczy z powrotem na Vic, jej spojrzenie uległo subtelnej zmianie. Było teraz skupione i chłodne, gdy dokonywała oceny - wyraz, który Vic doskonale знаła z twarzy matki. W taki sposób Linda oceniała zranienie, punktowała je na skali powagi, decydowała o sposobie leczenia.

- Jak masz na imię, kochanie?

- Victoria - odparła Vic, choć nigdy tak nie mówiła, nigdy nie podawała swojego całego imienia.

- Już wszystko w porządku, Victorio - zapewniła blondynka. Jej głos był taki miły, że Vic zaczęła szlochać.

Blondynka objęła dowodzenie nad wszystkimi obecnymi w sklepie, nie podnosząc głosu ani nawet nie przekazując malca mężowi. Kiedy później Vic się zastanawiała, jakie cechy najbardziej lubi u kobiet, zawsze przychodziła jej na myśl żona żołnierza, jej pewność siebie i spokojne poczucie obowiązku. Myślała o macierzyństwie, które tak naprawdę oznacza również matkowanie, pomoc w chwili potrzeby i przejmowanie się tym, co spotyka drugą osobę. Pragnęła mieć taką pewność siebie, taką ogromną wrażliwość, jaką widziała u żony żołnierza, i pomyślała, że chciałaby stać się taką kobietą: matką o głęboko zakorzenionej kobiecej świadomości, co należy zrobić w sytuacji kryzysowej. Pod pewnymi względami w tamtej chwili został poczęty jej syn,

Bruce, choć miała go nosić pod sercem dopiero za trzy lata.

Vic usiadła na jakichś skrzynkach przy ladzie. Mężczyzna, który przypominał jej Popeye, już dzwonił, prosząc centralę o połączenie z policją. Głos miał spokojny. Nikt nie reagował ze zbytnią przesadą, ponieważ blondynka zachowała spokój, a inni podporządkowali się jej wskazówkom.

- Jesteś stąd? - zapytała żona żołnierza.

- Z Haverhill.

- To w Kolorado? - zapytał żołnierz, Tom Priest. Był na dwutygodniowym urlopie i tego wieczoru miał wyruszyć do Fort Hood, żeby wrócić do Arabii Saudyjskiej.

Vic pokręciła głową.

- W Massachusetts. Muszę zadzwonić do mamy. Nie widziała mnie od paru dni.

Od tej chwili Vic nie zdołała znaleźć drogi do czegoś, co choć trochę byłoby zbliżone do prawdy. Zniknęła z Massachusetts na dwa dni. Trafiła do Kolorado i uciekła człowiekowi, który zamknął ją w swoim domu i następnie próbował spalić żywcem. Nie wspomniała słowem o uprowadzeniu, ale wszyscy doszli do wniosku, że właśnie o to chodzi.

Taka wersja wypadków stała się nową prawdą nawet dla niej samej, na podobnej zasadzie, na jakiej zdołała sobie wmówić, że znalazła bransoletkę matki w rodzinnym kombi, a nie w barze Terry's Primo Subs w Hampton Beach. Łatwo było mówić kłamstwa, ponieważ ani trochę nie przypominały kłamstw. Kiedy policjanci ją zapytali, w jaki sposób znalazła się w Kolorado, odparła, że nie pamięta jazdy samochodem Charliego Manxa, a wtedy wymienili smutne, współczujące spojrzenia. Gdy ją naciskali, powiedziała, że było ciemno. Ciemno, jakby zamknięto ją w bagażniku? Tak, możliwe. Ktoś spisał jej zeznanie. Podpisała, nie zwracając sobie głowy czytaniem.

- Gdzie mu uciekłaś? - zapytał żołnierz.

- Tam przy drodze - odparł Louis Carmody, bo Vic nie mogła wykrztusić słowa. - Kilkaset metrów stąd. Mogę was tam zaprowadzić. To w lesie. Ja cię, jeśli nie ściągną szybko

straży pożarnej, połowa wzgórze stanie w ogniu.

- To dom Świętego Mikołaja - powiedział Popeye, odsuwając słuchawkę od ust.

- Świętego Mikołaja? - powtórzył żołnierz, wstając.

- Znam to miejsce - wtrącił otyły mężczyzna w koszuli w czerwono-białą kratkę. - Znam tę okolicę. Byłem tam na polowaniu. Dziwne miejsce. Drzewa jak rok długi obwieszane są świątecznymi ozdobami. Ale nikogo tam nie widziałem.

- Ten facet sam podpalił własny dom i odjechał? - zapytał żołnierz.

- I wciąż ma ze sobą dzieciaka - powiedział Lou.

- Jaki ma samochód?

Vic otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle przez szybę w drzwiach dostrzegła ruch na zewnątrz. Upiór podjeżdżał do dystrybutorów, jakby wezwany tym pytaniem. Nawet z daleka i przez zamknięte drzwi słyszała świąteczną muzykę.

Sam's Gas & Sundries

Vic nie mogła krzyknąć, nie mogła mówić, ale wcale nie musiała. Żołnierz dostrzegł jej minę i odwrócił głowę, żeby sprawdzić, na co patrzy. Zobaczył, co się zatrzymało przy dystrybutorach.

Kierowca wysiadł i obszedł samochód, żeby zatankować.

- Ten facet? - zapytał żołnierz. - Szofer limuzyny?

Vic pokiwała głową.

- Nie widzę z nim dzieciaka - zauważył Lou, wykręcając szyję, by spojrzeć przez okno.

W sklepie zapadła grobowa cisza, gdy wszyscy wyciągali wnioski, co to może oznaczać.

- Ma broń? - zapytał żołnierz.

- Nie wiem - odparła Vic. - Nie widziałam.

Żołnierz ruszył ku drzwiom.

Żona popatrzyła na niego ostro.

- Co ty wyprawiasz?

- A jak sądzisz?

- Niech policjanci się tym zajmą, Tommy.

- Jasne. Kiedy tylko się tu zjawią. Ale póki to nie nastąpi, ten facet nigdzie nie pojedzie.

- Idę z tobą, Tommy - oznajmił zwalisty mężczyzna w czerwono-białej kraciastej koszuli. - W każdym razie powinienem być z tobą. Jestem tu jedynym człowiekiem z odznaką w kieszeni.

Popeye opuścił słuchawkę, zakrył mikrofon ręką i powiedział:

- Alan, jest na niej napisane: „Strażnik łowiecki” i wygląda tak, jakby pochodziła z pudełka chrupek.

- Nie pochodzi z pudełka chrupek - zaprzeczył Alan Warner, poprawiając niewidzialny krawat i unosząc krzaczaste srebrne brwi z miną udawanego oburzenia. - Musiałem napisać do wielce szanowanej instytucji, żeby ją dostać. Z tego samego miejsca mam pistolet na wodę i prawdziwą piracką przepaskę na oko.

- Skoro się upierasz, żeby tam pójść - powiedział Popeye, sięgając pod ladę - weź ze sobą to. - Położył obok kasy wielki automatyczny pistolet kalibru .45 i przesunął go w stronę strażnika.

Alan Warner skrzywił się, patrząc na broń, i lekko pokręcił głową.

- Lepiej nie. Nie wiem, ile jeleni położyłem, ale nie chciałbym celować do człowieka. Tommy?

Żołnierz Tom Priest po chwili wahania podszedł do lady i podniósł czterdziestkępiątkę. Obrócił ją, żeby sprawdzić bezpiecznik.

- Thomasie - odezwała się jego żona. Kołysała maleństwo w ramionach. - Masz półtoraroczne dziecko. Co zrobisz, jeśli tamten mężczyzna wyciągnie broń?

- Zastrzelę go - odparł Tom.

- Cholera - mruknęła głosem ledwie trochę głośniejszym od szeptu. - Cholera jasna.

Uśmiechnął się... i kiedy to zrobił, wyglądał jak dziesięciolatek szykujący się do zdmuchnięcia świeczek na urodzinowym torcie.

- Cady, muszę to zrobić. Jestem żołnierzem służby czynnej armii amerykańskiej, upoważnionym do egzekwowania prawa federalnego. Właśnie usłyszeliśmy, że ten facet przewiózł niepełnoletnią przez granicę stanu wbrew jej woli. To porwanie. Mam obowiązek posadzić go na dupie i zatrzymać, żeby przekazać w ręce władz cywilnych. Ale wystarczy tego gadania.

- Może po prostu zaczekamy, aż tu wejdzie, żeby zapłacić za benzynę? - zapytał Popeye.

Tom i strażnik leśny Alan już szli razem do drzwi.

Alan się obejrzał.

- Nie wiemy, czy nie odjedzie bez płacenia. Przestań się przejmować. To będzie zabawa. Nie przylałem nikomu od ogólniaka.

Lou Carmody z trudem przełknął ślinę.

- Popieram - powiedział i ruszył za dwoma mężczyznami.

Śliczna blondynka, Cady, złapała go za ramię, zanim zdążył zrobić trzy kroki. Prawdopodobnie ocaliła mu życie.

- Dość zrobiłeś. Masz tu zostać. Być może za minutę będziesz musiał podejść do telefonu i opowiedzieć policji, co się stało - oznajmiła głosem niedopuszczającym sprzeciwu.

Lou westchnął ciężko i ramiona mu opadły. Na jego twarzy malowała się ulga, wyglądał tak, jakby chciał się położyć i zdrzemnąć. Vic pomyślała, że go rozumie - heroizm to wyczerpująca sprawa.

- Panie - odezwał się Alan Warner, kiwając głową do Cady i Vic, gdy je mijał.

Tom wyszedł pierwszy i zamknął drzwi, mosiężny dzwoneczek zadzwieczał. Vic obserwowała ich przez okno, podobnie jak wszyscy inni.

Priest i Warner szli po asfalcie. Żołnierz szedł pierwszy, niosąc pistolet przy prawym udzie. Rolls stał po drugiej stronie dystrybutorów, kierowca był odwrócony plecami do obu mężczyzn. Nie obejrzał się, gdy podchodzili, zajęty

napełnianiem zbiornika.

Tom Priest nie czekał ani nie próbował niczego tłumaczyć. Położył rękę na plecach Manxa i przycisnął go do boku samochodu. Wbił mu w plecy lufę pistoletu. Alan zatrzymał się w bezpiecznej odległości między dwoma dystrybutorami, pozwalając żołnierzowi załatwić sprawę.

Charlie Manx próbował się wyprostować, ale Priest znów pchnął go na samochód. Rolls, wyprodukowany w roku 1938 w bristolskich zakładach, które niedługo później zaczęły produkować czołgi dla brytyjskiej piechoty morskiej, tylko leciutko zakołysał się na resorach. Opalona twarz Toma Priesta była sztywną, nieprzyjazną maską. Sugestia dzieciennego uśmiechu przepadła bez śladu; w wojskowych butach i z blaszką nieśmiertelnika na szyi wyglądał jak wściekły twardziel. Cichym głosem wydał rozkaz i Manx powoli, bardzo powoli uniośł ręce i położył je na dachu rolls-royce'a.

Tom wsunął wolną rękę do kieszeni czarnego płaszcza Manxa i wyjął trochę drobnych, mosiężną zapalniczkę i srebrny portfel. Położył to wszystko na dachu samochodu.

W tym momencie coś huknęło albo trzasnęło z tyłu auta tak potężnie, że cały pojazd zakołysał się na resorach. Tom Priest spojrział na Alana Warnera.

- Alanie - zaczął Tom tak głośno, że słyszeli go wszyscy w sklepie - wyjmij kluczyki ze stacyjki. Zobaczmy, co jest w bagażniku.

Alan skinął głową i zaczął obchodzić maskę, wyciągając chusteczkę, żeby wydmuchnąć nos. Podszedł do drzwi po stronie kierowcy, gdzie szyba była opuszczona na jakieś dwadzieścia centymetrów, i sięgnął po kluczyki. Wtedy wszystko zaczęło iść źle.

Szyba się uniosła. Nikt nie siedział w samochodzie, nie było tam nikogo, kto mógłby przekręcić korbkę. Ale szyba podniosła się gładko, niespodziewanie, przyciskając rękę Alana Warnera i unieruchamiając go. Alan wrzasnął, szarpnął głową i zamknął oczy, z bólu stając na palcach.

Tom Priest na chwilę oderwał spojrzenie od Charliego

Manxa - na krótką chwilę - i wtedy otworzyły się drzwi pasażera. Uderzyły żołnierza w prawy bok, pchnęły go na dystrybutor i na wół obróciły. Pistolet zagrzecotał na asfalcie. Wydawało się, że drzwi otworzyły się same. Z miejsca, gdzie stała Vic, wyglądało to tak, jakby nikt ich nie dotknął.

Odruchowo przypomniła sobie *Nieustraszonego*, serial, którego nie oglądała od dziesięciu lat, jak lśniący trans am Michaela Knighta sam się prowadził, myślał, wyrzucał ludzi, których nie lubił, otwierał drzwi dla tych, których lubił.

Manx opuścił lewą rękę i podszedł, trzymając wąż dystrybutora. Metalową końcówką trzasnął Toma w prosto w nos i jednocześnie nacisnął dźwignię, więc benzyna chlusnęła w twarz żołnierza, spłynęła po mundurze.

Tom Priest wydał zduszony krzyk i zakrył oczy rękami. Manx uderzył go pistoletem w czubek głowy, jakby chciał rozłupać mu czaszkę. Jasna, przejrzysta benzyna płynęła, pieniąc się na głowie żołnierza.

Alan znów zaczął krzyczeć. Samochód ruszył, wlokąc go za rękę.

Priest rzucił się na Manxa, ale wysoki mężczyzna już się cofnął i odsunął na bok, więc Tom upadł na ręce i kolana. Manx polał mu plecy benzyną, jakby podlewał trawnik ogrodowym szlauchem.

Przedmioty leżące na dachu samochodu - monety, zapalniczka, portfel - zsunęły się na ziemię, gdy rolls powoli się toczył. Manx wyciągnął rękę i chwycił mosiężną zapalniczkę w locie, jak pierwszy bazowy sięgający po leniwą piłkę.

Ktoś pchnął Vic - Lou Carmody - i zatoczyła się na blondynkę. Cady wykrzykiwała imię męża, zgięta niemal we dwoje pod wpływem siły własnego wrzasku. Dziecko w jej ramionach krzyczało: „Tata! Tata!”. Drzwi się otworzyły. Mężczyźni wybiegli na werandę, na chwilę zasłaniając widok.

Potem Vic zobaczyła, że Manx odsunął się od dystrybutora i pstryknął zapalniczką. Rzucił ją na plecy żołnierza i błękitny ogień wybuchł na nim tak potężnie, że w sklepie

zagrzechotały okna.

Upiór toczył się niespiesznie, wlokąc ze sobą bezradnego strażnika zwierzyny Alana Warnera. Otyły mężczyzna ryczał, tłukąc w drzwi wolną ręką, jakby mógł biciem je zmusić, żeby go puściły. Trochę benzyny spryskało bok samochodu, tylna opona po stronie pasażera była płonąca obręczą.

Charlie Manx odsunął się o kolejny krok od wijącego się w płomieniach żołnierza. Jeden z klientów uderzył go od tyłu, chudy starzec z szelkami. Obaj upadli. Lou Carmody przeskoczył nad nimi, ściągając kurtkę, żeby zarzucić ją na płonące ciało Toma Priesta.

Szyba po stronie kierowcy nagle się opuściła, uwalniając Alana Warnera, który upadł na asfalt, pod koło samochodu. Rolls podskoczył, gdy po nim przejechał.

Sam Cleary, właściciel sklepu, który wyglądał jak marynarz Popeye, przemknął obok Vic, trzymając gaśnicę.

Lou Carmody coś krzyczał, uderzając kurtką Toma Priesta. Wyglądało to tak, jakby tłukł w stos płonących gazet, bo wielkie czarne płatki popiołu płynęły w powietrzu. Dopiero po chwili Vic zrozumiała, że to płatki spalonej skóry.

Berbeć w ramionach Cady zabębnił pulchną rączką w szybę.

- Gojacio! Gojacio taty!

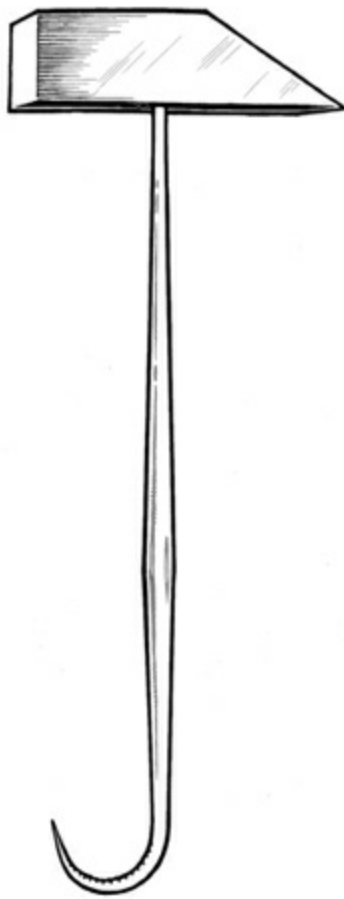
Cady jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej dziecko ogląda tę straszną scenę. Obróciła się na pięcie i zabrała je w głąb sklepu, z dala od okna, szlochając w biegu.

Rolls przejechał jeszcze ze sześć metrów i stanął, uderzając zderzakiem w słup telefoniczny. Płomienie ogarnęły cały tył i gdyby w bagażniku znajdowało się jakieś dziecko, toby się udusiło albo spłonęło, ale w bagażniku nikogo nie było. Leżała tam tylko torebka, własność niejakiej Cynthii McCauley, która zniknęła trzy dni temu na lotnisku JFK wraz ze swoim synem Bradem. Nikt więcej nie zobaczył ani jej, ani chłopca. Nikt też nie zdołał wyjaśnić dudnienia, które zdawało się płynąć z tyłu samochodu - ani tego, jak okno się podniosło albo drzwi otworzyły, żeby uderzyć Toma Priesta, jakby samochód miał własny rozum i wolę.

Sam Cleary dobiegł do szamoczących się mężczyzn i użył gaśnicy, oburącz waląc nią Charliego Manxa w twarz. Niespełna trzydzieści sekund później użył jej drugi raz, próbując ugasić Toma Priesta, ale w tym czasie Tom już nie żył na dobre.

 Nie wspominając, że był dobrze wypieczony.

**INTERLUDIUM:
DUCH EKSTAZY
2000-2012**



Gunbarrel, Kolorado

Kiedy Vic McQueen po raz pierwszy odebrała telefon z Gwiazdkowej Krainy, była niezamężną matką mieszkającą ze swoim chłopakiem w domu na kółkach, a w Kolorado padał śnieg.

Całe dotychczasowe życie spędziła w Nowej Anglii i sądziła, że zna się na śniegu, ale tutaj, w Górach Skalistych, był on zupełnie inny. Śnieżyce były inne. Tutejsze burze śnieżne nazywała w myślach „błękitną pogodą”. Śnieg padał szybko, gęsto i jednostajnie, a w świetle było coś niebieskiego, więc czuła się jak uwięziona w tajemnym świecie pod lodowcem: w świecie zimy, gdzie wiecznie jest Wigilia.

Wychodziła na dwór w mokasynach i jednej z wielkich koszulek Lou (których używała jako koszuli nocnej), żeby stać w niebieskawym mroku i słuchać padającego śniegu. Szemrał w gałęziach sosen jak zakłócenia, jak biały szum. Stała i wdychała słodki zapach żywicy i dymu z płonącego drewna, próbując sobie wyobrazić, jak to, do licha, się stało, że wylądowała z obolałymi suttkami i bez pracy trzy tysiące kilometrów od domu.

Najlepsze wytłumaczenie, jakie zdołała wymyślić, mówiło, że jest tu na misji zemsty. Po ukończeniu ogólniaka w Haverhill przyjechała do Kolorado, żeby studiować w akademii sztuk pięknych. Chciała pójść do tej szkoły, bo matka była temu przeciwna, a ojciec stanowczo oświadczył, że nie będzie płacić chesnego. Matka padłaby trupem, gdyby usłyszała, co córka tam wyprawia, a ojca ani trochę by to nie interesowało: Vic paliła marychę, urywała się z zajęć, żeby jeździć na nartach, obściskiwała się z dziewczynami, żyła na kocią łapę z grubym facetem, który ją wyrwał ze szponów Charliego Manxa, zaszła w ciążę, nie zwracając sobie głowy zawieraniem małżeństwa. Linda zawsze mówiła, że nie zamierza mieć nic wspólnego z nieślubnym dzieckiem, więc Vic nie zaprosiła jej po narodzinach syna, a kiedy matka sama zaproponowała przyjazd, Vic powiedziała jej, że sobie tego nie życzy. Nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby wysłać zdjęcie dziecka swojemu ojcu.

Wciąż pamiętała o swoim dobrym samopoczuciu, gdy spojrzała Lou Carmody'emu w oczy nad kubkami kawy w pewnej japiszońskiej kawiarni w Boulder, po czym uprzejmym tonem bez ogródek powiedziała: „No to chyba powinnam cię przelecieć za uratowanie mi życia, no nie? Przynajmniej to mogę zrobić. Chcesz dopić kawę czy od razu się zmywamy?”.

Po ich pierwszym razie Lou, czerwony z wysiłku i zakłopotania, wyznał, że nigdy dotąd nie spał z dziewczyną. Prawiczek po dwudziestce. Kto powiedział, że na tym świecie cuda się nie zdarzają?

Czasami gardziła Lousem za to, że nie wystarcza mu sam seks. Kochał ją. Równie mocno, jak na uprawianiu seksu, a może nawet bardziej, zależało mu na tym, żeby z nią rozmawiać; chciał ją wyręczać, kupować jej różne rzeczy, zabierać na przejażdżki, mieć takie same tatuaże jak ona. Czasami gardziła sobą za to, że pozwoliła mu się osaczyć i została jego przyjaciółką. Wydawało jej się, że zamierzała być silniejsza: prześpi się z nim raz czy dwa – żeby mu pokazać, że jest dziewczyną, która umie okazać wdzięczność facetowi – a potem go rzuci i dla odmiany znajdzie sobie kochankę, laskę z różowym pasemkiem we włosach i paroma kolczykami w języku. Problem polegał na tym, że bardziej niż dziewczyny lubiła facetów, a Lou lubiła bardziej niż większość facetów, bo ładnie pachniał, poruszał się powoli i był skłonny do wybuchów gniewu mniej więcej tak, jak bohater ze Stumilowego Lasu. Był też mięciutki i puszysty jak bohater ze Stumilowego Lasu. Drażniło ją, że lubi go dotykać, lubi się do niego przytulać. Jej ciało wciąż ją zdradzało, zaspokajając własne bezcelowe zachcianki.

Lou otworzył warsztat za pieniądze, które dostał od swoich rodziców, i zamieszkali w przyczepie na tyłach, trzy kilometry od Gunbarrel, tysiąc kilometrów od wszystkiego innego. Vic nie miała samochodu i spędzała w domu jakieś sto sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Dom pachniał zasikanyymi pieluchami i częściami silnika, a zlew zawsze był pełen.

Z perspektywy czasu Vic mogła tylko się dziwić, że nie zwariowała wcześniej. Była zaskoczona, że młode matki nie odchodzą od zmysłów. Czy kobieta może zachować zdrowie psychiczne, gdy jej cycki przemieniają się w stołówkę, a na ścieżkę dźwiękową jej życia składa się histeryczny płacz i obłąkańczy śmiech?

Niekiedy korzystała ze swojego luku ratunkowego. Ilekroć padał śnieg, zostawiała Wayne'a pod opieką Lou, pożyczła od niego samochód pomocy drogowej z wózkiem holowniczym i mówiła, że jedzie do miasta na espresso i po jakieś czasopismo. To była wymówka. Vic nie chciała, żeby jej mężczyźni poznali prawdę. Jej rzeczywiste zamiary wydawały się dziwnie prywatną, może nawet wstydliwą sprawą.

Pewnego dnia wszyscy razem tkwili w przyczepie jak w więzieniu: Wayne tłukł łyżką w zabawkowe cymbałki, Lou przypalał naleśniki, telewizor ryczał, nastawiony na *Dora poznaje popierdolony świat*. Vic wyszła na podwórko zapalić. Na zewnątrz było niebiesko i padający śnieg szemrał w drzewach. Gdy niedopałek american spirit sparzył ją w palce, wiedziała, że musi się wybrać na przejażdżkę.

Pożyczyła kluczyki od Lou, włożyła bluzę z kapturem Colorado Avalanche i poszła do warsztatu, nieczynnego w ten lodowaty błękitny niedzielny poranek. Wnętrze pachniało metalem i rozlanym olejem, zmieszane wonie przypominały zapach krwi. Wayne tak pachniał przez cały czas i serdecznie tego nienawidziła. Jej syn, Bruce Wayne Carmody (Bruce dla dziadka ze strony ojca, Wayne dla niej i oba imiona na cześć Batmana - Bruce'a Wayne'a - dla Lou), przez większą część dnia gaworzył do siebie w bezpiecznym kojcu z opony przeznaczonej do monster trucka. Właśnie coś takiego służyło za kojec. Ojciec jej dziecka był człowiekiem, który miał tylko dwie pary gaci i Jokera wytatuowanego na biodrze. Było nie lada wyczynem, przeżyć wszystko to, co doprowadziło ją do tego miejsca na wysokiej skale, do bezkresnych śniegów i beznadziejności. Nie do końca pojmowała, jak to się stało, że tu jest. Przecież zawsze była

taka dobra w znajdowaniu miejsca, do którego chciała dotrzeć.

W garażu przystanęła z nogą na stopniu ciężarówki. Lou zaczął malować motocykl dla któregoś kumpla. Położył matowy czarny podkład na bak, który teraz wyglądał jak broń, jak jakaś bomba.

Na podłodze obok motoru leżał arkusz papieru transferowego z płonąca czaszką i wypisanymi poniżej słowami HARD CORE. Vic rzuciła okiem na dzieło Lou i od razu poznała, że spieprzy robotę. I co ciekawe, prymitywizm obrazka i oczywiste błędy sprawiły, że poczuła się chora z miłości do niego. Chora i winna. Już wtedy w jakimś zakamarku umysłu wiedziała, że pewnego dnia go zostawi. Już wtedy w jakimś zakamarku serca czuła, że Lou - Lou i Wayne - zasłużyli na kogoś lepszego niż Vic McQueen.

Droga schodziła kręto do odległego o trzy kilometry Gunbarrel, gdzie znajdowały się kawiarnie, sklepy ze świeczkami i centrum odnowy biologicznej, w którym robiono maseczki z serka śmietankowego. Jednak daleko przed miasteczkiem Vic skręciła z autostrady w boczną drogę gruntową, która opadała wśród sosen w głąb krainy lasów.

Zapaliła reflektory i wcisnęła pedał gazu. Miała wrażenie, że spada z urwiska. Że popełnia samobójstwo.

Wielki ford przedzierał się przez krzaki, podskakiwał w koleinach i kołysał się na nierównościach. Jechała z niebezpieczną prędkością, aż zarzucało ją na zakrętach, a spod kół tryskały gejzery śniegu i kamieni.

Czegoś szukała. Wpatrywała się pilnie w wycinaną przez światła reflektorów dziurę w padającym śniegu, biały korytarz. Śnieg pomykał do tyłu, jakby jechała przez tunel zakłóceń.

Vic czuła, że jest blisko, że Most Krótsza Droga czeka tuż poza zasięgiem świateł. Czuła, że wszystko zależy od prędkości. Jeśli rozwinie odpowiednią prędkość, siłą woli powoła go do istnienia i z pociętej koleinami drogi przeskoczy na stare deski mostu. Ale ani razu nie ośmieliła

się przekroczyć prędkości, która oznaczałaby utratę kontroli nad pojazdem, i nigdy nie dotarła do Krótszej Drogi.

Może gdyby miała swój rowerek. Może gdyby było lato.

Może gdyby nie była na tyle głupia, żeby zająć w ciążę. Nienawidziła tego, że ma dziecko. Teraz była udupiona. Za bardzo kochała Wayne'a, żeby wcisnąć gaz do deski i polecieć w ciemność.

Dawniej uważała, że miłość ma coś wspólnego ze szczęściem, ale jak się okazało, te dwie rzeczy nie są ani trochę spokrewnione. Miłość jest bliższa potrzebie, niewiele się różni od konieczności jedzenia, oddychania. Kiedy Wayne zasypiał, tuląc gorący policzek do jej piersi, z ustami pachnącymi mlekiem z jej ciała, czuła, że to ona zaspokoila głód.

Może nie zdoła wyczarować mostu, ponieważ nie ma już czego szukać. Może znalazła wszystko, co świat miał jej do zaoferowania – ta myśl przyprawiała o rozpacz.

Macierzyństwo wcale nie było dobre. Chciała stworzyć stronę internetową, rozpocząć kampanię na rzecz świadomości społecznej, opublikować biuletyn z wiadomością, że jeśli jesteś kobietą i będziesz miała dziecko, to stracisz wszystko, staniesz się zakładnikiem miłości: zadowolisz terrorystę tylko wtedy, kiedy oddasz mu całą swoją przyszłość.

Droga kończyła się przy zwirowni. Jak wiele razy wcześniej, Vic zawróciła z bólem głowy.

Nie. Nie z bólem głowy. To nie był ból w głowie. To był ból w lewym oku. Powolne, łagodne pulsowanie.

Wjechała do garażu, podśpiewując pod nosem, wtórując Kurtowi Cobainowi. Kurt Cobain rozumiał, jak smakuje utrata magicznego mostu, środka transportu do rzeczy, których się potrzebuje. Smakowało to jak lufa pistoletu – może jak Gunbarrel w Kolorado.

Zaparkowała i siedziała za kierownicą w zimnie, obserwując obłoczki własnego oddechu. Może nie ruszyłaby się z miejsca, gdyby nie zadzwonił telefon.

Wisiał na ścianie obok drzwi biura, z którego Lou nigdy nie

korzystał. Był stary i miał wysłużoną mosiężną tarczę, jak aparat w domu Charliego Manxa.

Vic ściągnęła brwi.

Telefon był podłączony do innej linii niż ten w domu. Dla śmiechu nazywali ją linią biznesową. Jeszcze nikt nigdy nie zadzwonił pod ten numer.

Zsunęła się z fotela, ponad metr nad betonową podłogą. Podniosła słuchawkę po trzecim sygnale.

- Carmody's Car Carma - powiedziała.

Słuchawka była lodowata. Jej dłoń zostawiła jasne ślady na oszronionym plastiku.

Usłyszała syk, jakby ktoś telefonował z dużej odległości. W tle brzmiały kolędy i słodkie dziecięce głosy. Trochę na to za wcześnie - połowa listopada.

- Hm - mruknął jakiś chłopiec.

- Słucham? W czym mogę pomóc?

- Hm. Tak. Jestem Brad. Brad McCauley. Dzwonię z Gwiazdkowej Krainy.

Imię i nazwisko chłopca brzmiało znajomo, ale z początku nie mogła go skojarzyć z niczym konkretnym.

- Brad, w czym mogę ci pomóc? Mówiłeś, że skąd dzwonisz?

- Z Gwiazdkowej Krainy, idiotko. Wiesz, kim jestem. Byłem w samochodzie - wyjaśnił rozmówca. - W domu pana Manxa. Pamiętasz. Mieliśmy zabawę.

Lód ścisnął jej piersi. Nie mogła złapać tchu.

- Pierdol się, mały - warknęła. - Pierdol się razem ze swoim chorym, kurwa, żartem.

- Dzwonię - podjął - bo wszyscy robimy się głodni. Od wieków nie mamy nic do jedzenia. Jaki jest sens posiadania wszystkich tych zębów, jeśli nie można ich używać?

- Zadzwoń jeszcze raz, a naślę na ciebie gliny, ty obłąkany pojebie - powiedziała Vic i z trzaskiem odwiesiła słuchawkę.

Uniosła rękę do ust, z których popłynął ni to szloch, ni to krzyk wściekłości. Skulona, trzęsła się w lodowatym garażu.

Kiedy doszła do siebie, wyprostowała się, podniosła słuchawkę i spokojnie zadzwoniła na centralę.

- Może mi pani podać numer, spod którego przed chwilą tutaj telefonowano? - zapytała. - Rozmowa została przerwana. Chciałabym oddzwonić.

- Na linię, z której pani dzwoni?

- Tak. Rozmowa została przerwana przed chwilą.

- Ostatnie połączenie miało miejsce w piątek po południu z numerem o prefiksie osiemset. Mam połączyć?

- Ktoś dzwonił przed chwilą. Chcę wiedzieć kto. Telefonistka umilkła. Vic słyszała przytłumione głosy innych operatorów.

- Przykro mi, w rejestrze nie ma żadnych połączeń z tym numerem od piątku.

- Dziękuję - rzuciła Vic i odwiesiła słuchawkę. Siedziała na podłodze pod telefonem, obejmując się rękami, gdy znalazł ją Lou.

- Siedzisz tu od dłuższego czasu - powiedział. - Przynieść ci koc, zdechłego tauntauna czy może coś innego?

- Co to jest tauntaun?

- Coś w rodzaju wielbłąda. A może wielkiej kozy. To chyba nie ma znaczenia.

- Co robi Wayne?

- Ucina sobie drzemkę. Jest super. Co ty tu robisz? Rozejrzał się w ciemności, jakby myślał, że może nie jest sama. Musiała mu coś powiedzieć, wymyślić jakieś wyjaśnienie, dlaczego siedzi na podłodze w zimnym, ciemnym garażu. Skinęła w stronę motocykla.

- Rozmyślałam nad motorem, nad którym pracujesz. Przyjrzał się jej przymrużonymi oczami. Wiedziała, że nie uwierzył.

Ale potem spojrział na motocykl i leżący obok niego papier.

- Martwię się, że spieprzę - powiedział. - Myślisz, że wyjdzie dobrze?

- Nie. Przykro mi. Spojrział na nią z zaskoczeniem.

- Serio?

Uśmiechnęła się blado i pokiwała głową. Westchnął ciężko.

- Możesz mi powiedzieć, co zrobiłem źle?

- „Hardcore” to jedno słowo, nie dwa. I twoje „e” wygląda

jak ósemka. Poza tym musisz napisać na odwrot. Kiedy przykleisz papier i zrobisz odbitkę, „hardcore” będzie napisane wspak.

- Aha. O cholera. O ja cię... Ale ze mnie idiota. - Lou obrzucił ją pełnym nadziei spojrzeniem. - Ale przynajmniej moja czaszka ci się podoba, prawda?

- Szczerze?

Wbił oczy w podłogę.

- Chryste... Miałem nadzieję, że Tony B. odpali mi pięćdziesiąt dolców za porządną robotę. Gdybyś mnie nie powstrzymała, pewnie to ja musiałbym mu wybulić za spapranie motoru. Dlaczego w niczym nie jestem dobry?

- Jesteś dobrym tatą.

- To żadna sztuka.

Wcale nie, pomyślała Vic. To bardzo trudne.

- Chcesz, żebym to poprawiła? - zapytała.

- Malowałaś kiedyś motor?

- Nie.

Pokiwał głową.

- No tak. Dobra. Jeśli spieprzysz, powiemy, że to moja sprawka. Nikt nie będzie zaskoczony. Ale jeśli dasz radę, powiemy ludziom, kto naprawdę to namalował. Może dzięki temu zyskamy więcej zamówień. - Spojrzał na nią z namysłem, szacując ją wzrokiem. - Na pewno nic ci nie jest? Czy nie przyszłaś tutaj, żeby się pogrążyć w ponurych babskich myślach, jak to ty potrafisz?

- Nie.

- Czy nigdy nie wpadło ci do głowy, że może nie powinnaś przerywać terapii? O ja cię, przeżyłaś trochę gówna. Może powinniśmy o tym pogadać. O nim.

Niedawno to zrobiłam, pomyślała. Odbyłam krótką miłą pogawędkę z ostatnim dzieciakiem, którego porwał Charlie Manx. Teraz gówniarz jest zimnokrwistym wampirem, przebywa w Gwiazdkowej Krainie i marzy, żeby coś zjeść.

- Dość gadania - powiedziała i chwyciła wyciągniętą rękę Lou. - Wezmę się do malowania.

Sugarcreek, Pensylwania

Na początku lata 2001 roku do Binga Partridge'a dotarła wiadomość, że Charlie Manx jest ciężko chory. Bing miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata i od pięciu lat ani razu nie włożył swojej maski przeciwgazowej.

Dowiedział się o wszystkim z artykułu w internecie, do którego miał dostęp dzięki wielkiemu czarnemu komputerowi Dell, podarunkowi od NorChemPharm za trzydzieści lat pracy. Codziennie szukał w sieci wiadomości z Kolorado o panu Manxie, ale przez całe wieki niczego nie znalazł. Dopiero teraz: Charles Talent Manx III, wiek nieznany, odbywający karę za morderstwo w ZK Englewood, podejrzewany o uprowadzenie dziesiątków dzieci, został przeniesiony na oddział szpitalny, kiedy stało się niemożliwe wybudzenie go ze śpiączki.

Manxa zbadał wybitny neurochirurg z Denver, Marc Sopher, który opisał jego stan jako kwalifikujący się do zaprezentowania w książkach medycznych.

„Pacjent, jak się zdaje, cierpi na progerię, rzadko spotykany zespół Wernera – powiedział Sopher. – Krótko mówiąc, zaczął bardzo szybko się starzeć. Miesiąc oznacza dla niego więcej niż rok. Rok jest bliski dziesięcioleciu. I warto nadmienić, że pacjent od początku nie był młodzieniaszkiem”.

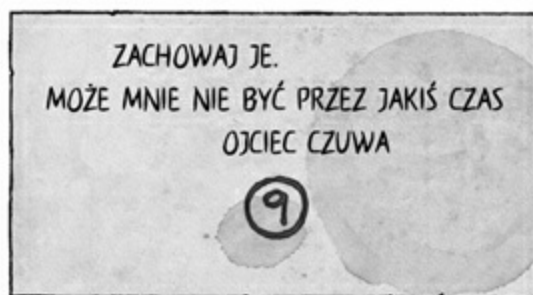
Doktor oświadczył, że niepodobna stwierdzić, czy istnieje związek obecnego stanu Manxa z jego nieprzewidzianym zachowaniem, które doprowadziło do brutalnego zamordowania starszego szeregowego Thomasa Priesta w roku 1996. Ponadto nie nazwał stanu Charlesa Manxa śpiączką.

„Nie spełnia wszystkich warunków [śpiączki]. Jego mózg jest aktywny jak w fazie snu REM. Po prostu nie może się zbudzić. Jego ciało jest zbyt zmęczone. W zbiorniku zabrakło paliwa”.

Bing często myślał o tym, żeby napisać do pana Manxa, powiadomić go, że wciąż jest mu wierny, że wciąż go kocha, że zawsze będzie go kochać, będzie mu służyć do dnia śmierci. Ale choć może nie był najjaśniejszą żarówką na choince – ha, ha – był dość rozsądny, żeby zdawać sobie sprawę, iż pan Manx wściekłby się na niego za pisanie, i

słusznie. Taki list z pewnością doprowadziłby do tego, że ludzie w garniturach zapukaliby do jego drzwi, ludzie w okularach słonecznych, z pistoletami w kaburach na szelkach. „Witamy, panie Partridge, czy mógłby pan odpowiedzieć na kilka pytań? Czy możemy wbić szpadel w pańskiej piwnicy i trochę pokopać?”. Dlatego nigdy nie napisał, a teraz było już na to za późno, i ta myśl sprawiała, że czuł się chory.

Kiedyś pan Manx przekazał mu wiadomość, choć Bing nie wiedział, jak tego dokonał. Dwa dni po tym, jak pan Manx został skazany na dożywocie w Englewood, Bing znalazł na progu paczkę bez adresu zwrotnego. Wewnątrz były dwie tablice rejestracyjne - NOS4A2/KANSAS - i karteczka na płytce z kości słoniowej, z wytłoczonym bożonarodzeniowym aniołkiem.



Bing schował tablice w ziemiance, gdzie pogrzebał całą swoją resztę życia z Charliem Manxem: puste skradzione butle sewofluranu, czterdziestkępiątkę taty i szczątki kobiet, matek, które przywiózł do domu po wielu misjach ratunkowych z panem Manxem... łącznie było ich dziewięć.

Brad McCauley był dziewiątym dzieckiem, które ocalili, żeby następnie wysłać do Gwiazdkowej Krainy. Jego matka, Cynthia, była ostatnią dziwką, z którą Bing się rozprawił w cichym pokoju na dole. W pewien sposób też została ocalona, zanim zmarła: Bing nauczył ją kochać.

Planowali, że ocalą jeszcze jedno dziecko, latem 1997 roku, a potem Bing miał pojechać z panem Manxem do Gwiazdkowej Krainy, żeby żyć tam, gdzie nikt się nie

starzeje, gdzie smucenie się jest sprzeczne z prawem, gdzie mógłby jeździć na wszystkich karuzelach, pić kakao i codziennie rano otwierać świąteczne prezenty. Kiedy myślał o kosmicznej niesprawiedliwości - o tym, że pan Manx został mu odebrany, zanim mógł w końcu otworzyć przed nim na oścież bramę Gwiazdkowej Krainy - czuł się wewnętrznie rozbity, jakby nadzieja była wazonem, który spadł z wysoka i roztrzaskał się na kawałki.

Jednak najgorsza była nie utrata pana Manxa czy Gwiazdkowej Krainy. Najgorsza była utrata miłości. Utrata mamusi.

Ostatnia z nich, pani McCauley, okazała się najlepsza. Prowadzili długie rozmowy w piwnicy, pani McCauley naga, opalona i w doskonałej kondycji, przytulona do jego boku. Miała czterdzieści lat, ale była wysportowana, dobrze umięśniona dzięki temu, że trenowała drużynę siatkarek. Jej skóra emanowała ciepłem i zdrowiem. Gładziła siwiejące włosy na jego piersi i zapewniała, że kocha go bardziej niż swoją matkę czy ojca, bardziej niż Jezusa, bardziej niż własnego syna, bardziej niż kociątka, bardziej niż blask słońca. Przyjemnie było słuchać, jak mówi: „Kocham cię, Bingu Partridge. Kocham cię tak bardzo, że to mnie spala. Jestem w środku cała rozpalona. Miłość do ciebie spala mnie żywcem”. Jej oddech słodko pachniał dymem piernikowym; była taka sprawna fizycznie i taka zdrowa, że musiał co trzy godziny podawać jej aromatyczną mieszankę sewofluranu. Kochała go tak bardzo, że sama podcięła sobie żyły, kiedy jej powiedział, że nie mogą żyć razem. Kochali się po raz ostatni, gdy się wykrwawiała - wykrwawiała na niego.

- Czy to boli? - zapytał.

- Och, Bingu, Bingu, ty głuptasie - wymruczała. - Od wielu dni płonę z miłości. Parę takich małych skaleczeń to drobiazg.

Była taka ładna - miała idealne cycki mamusi - że polał ją ługiem dopiero wtedy, gdy zaczęła brzydko pachnieć. Nawet z muchami we włosach była ładna, naprawdę piękna. Muchy połyskiwały jak szlachetne kamienie.

Bing odwiedził z panem Manxem Cmentarz Tego, Co Może Się Wydarzyć i wiedział, że gdyby nie ich interwencja, Cynthia McCauley zabiłaby syna w ataku szału spowodowanym przez sterydy. Ale na dole w cichym pokoju Bing nauczył ją dobroci i miłości, i porządnego obciągania fiuta, więc przynajmniej skończyła swoje życie w dobrym tonie.

O to właśnie chodziło: o branie czegoś okropnego i przemianę w coś dobrego. Pan Manx ocalał dzieci, a Bing ratował mamusię. Teraz jednak mógł zapomnieć o mamusiach. Pan Manx przebywał pod kluczem, a maska przeciwigazowa wisiała na haczyku na drzwiach od 1996 roku. Bing przeczytał artykuł o tym, że pan Manx zasnął - zapadł w sen, w głęboki, niekończący się sen, dzielny żołnierz, na którego rzucono zły urok - a potem go wydrukował, złożył i postanowił się trochę nad nim pomodlić.

W pięćdziesiątym trzecim roku życia Bing Partridge znów zaczął chodzić do kościoła, wrócił do New American Faith Tabernacle w nadziei, że Bóg pocieszy jedno ze swoich najbardziej samotnych dzieci. Modlił się, żeby pewnego dnia usłyszeć płynącą z podjazdu piosenkę *White Christmas*, a po odsunięciu płóciennej zasłony zobaczyć pana Manxa za kierownicą Upióra: szyba się opuszcza i Dobry Człowiek na niego spogląda. „Chodź, Bingu! Wybierzmy się na przejażdżkę! Czeka na nas numer dziesiąty! Złapmy jeszcze jednego dzieciaka i zaraz potem pojedziesz do Gwiazdkowej Krainy! Bóg świadkiem, że na to zasłużyłeś!”.

Bing wspinał się na strome wzgórze w dokuczliwym skwarze czerwcowego popołudnia. Foliowe wiatraczki w ogródku przed domem - dwadzieścia dziewięć - były nieruchome i milczące. Nienawidził ich. Nienawidził również błękitnego nieba i nieznośnego, doprowadzającego do szału trzeszczenia cykad w gałęziach drzew. Brnął pod górę z artykułem w jednej ręce (*Morderca zapadł na rzadką chorobę*) i ostatnim listem od pana Manxa w drugiej (*Może mnie nie być przez jakiś czas. Ojciec czuwa*), żeby pomówić z Bogiem o tych sprawach.

Kościół stał na hektarze pofałdowanego, spękanego asfaltu, ze szczelin wyrastały źdźbła bladej trawy, która sięgała mu do kolan. Mocny łańcuch i kłódka strzegły drzwi frontowych. Nikt z wyjątkiem Binga nie modlił się tam od piętnastu lat. Kiedyś Tabernacle należało do Boga, ale teraz stało się własnością banku; tak informował przypięty do drzwi wyblakły na słońcu papier w przejrzystej foliowej koszulce.

Cykady trzeszczały w głowie Binga jak szalone.

Przy wejściu na teren stała wielka tablica z rodzaju takich, jakie stawia się przed barem sieci Dairy Queen albo placem z używanymi samochodami. Informowała wiernych, które pieśni będą śpiewać tego dnia: W BOGU JEDYNA NADZIEJA, ALLELUJA, JEZUS ZMARTWYCHWSTAŁ i BÓG CZUWA NAD NAMI. Modlitwy były przewidziane na pierwszą. Na tablicy były te same pieśni od czasu drugiej kadencji Reagana.

W niektórych witrażach widniały dziury wybite kamieniami rzucanymi przez dzieciaki. Bing nie szedł w tamtą stronę. Obok kościoła stała szopa na wpół ukryta przez zakurzone topole i sumaki. Przed drzwiami leżała butwiejąca sznurkowa wycieraczka. Pod nią schowano jasny mosiężny klucz.

Klucz otwierał kłódkę na nachylonych drzwiach piwnicy z tyłu budynku kościoła. Bing zszedł na dół. Przemierzył chłodne podziemne pomieszczenie, brodząc w zapachu starego kreozotu i butwiejących ksiąg, i wyszedł do dużego otwartego teatru kościoła.

Zawsze lubił kościół, już w czasach, kiedy przychodził tu z matką. Lubiał, jak słońce wpadało przez wysokie na sześć metrów witrażowe okna, napełniając wnętrze ciepłem i kolorem, i podobało mu się, jak ubierały się mamusie, w białe koronki, pantofle na obcasach i mlecznobiałe pończochy. Bing uwielbiał białe pończochy i uwielbiał słuchać kobiecego śpiewu. Wszystkie mamusie, które gościł w swoim Domu Snu, śpiewały przed udaniem się na swój ostatni odpoczynek.

Ale po ucieczce pastora z kasą parafialną i zamknięciu kościoła przez bank Bing stwierdził, że to miejsce budzi w

nim niepokój. Nie podobał mu się sposób, w jaki cień wieży zdawał się sięgać do jego domu pod koniec dnia. Gdy zaczął zabierać mamusię do swojego domu - który pan Manx nazwał Domem Snu - stwierdził, że ledwie może znieść samo patrzenie na szczyt wzgórza. Kościół wznosił się złowieszczo, cień wieży stał się oskarżycielskim palcem, który sięgał w dół zbocza i wskazywał na podwórko przed jego domem: **TUTAJ MIESZKA ŚMIERTELNIE GROŹNY ZABÓJCA! W JEGO PIWNICY SPOCZYWA DZIEWIĘĆ MARTWYCH KOBIET!**

Bing próbował sobie wmówić, że jest niemądry. On i pan Manx byli prawdziwymi bohaterami; wykonywali chrześcijańskie dzieło. Gdyby ktoś napisał o nich książkę, czytelnik uznałby ich za porządnych facetów. Nieważne, że wiele matek nawet pod wpływem sewofluranu nie chciało się przyznać, że zamierzają skurwić swoje córki albo zabić synów, że kilka z uporem twierdziło, iż nigdy nie brało narkotyków, nie nadużywało alkoholu i nie popełniło żadnego wykroczenia. Te sprawy należały do przyszłości, do nieszczęsnej przyszłości, której obaj z panem Manxem ze wszystkich sił usiłowali zapobiec. Bing czuł, że gdyby kiedyś trafił za kratki - ponieważ oczywiście żaden prawnik nie zdołałby pojąć wagi i szlachetności ich pobudek - mógłby z dumą mówić o swojej pracy. Nie wstydził się niczego, co zrobił z panem Manxem.

A jednak od czasu do czasu patrzenie na kościół było dla niego trudne.

Powiedział sobie, gdy wychodził po schodach z piwnicy, że jest niemądry, że wszyscy ludzie są mile widziani w Domu Bożym i że pan Manx potrzebuje jego modlitwy - teraz bardziej niż kiedykolwiek. Sam nigdy nie czuł się taki samotny czy opuszczony. Kilka tygodni temu pan Paladin go zapytał, co będzie robić po przejściu na emeryturę. Nie kryjąc zdumienia, wstrząśnięty Bing zapytał, dlaczego miałby odchodzić na emeryturę. Lubił swoją pracę. Pan Paladin zamrugał i powiedział, że po czterdziestu latach pracy zmuszą go do odejścia. W tej sprawie nie ma wyboru. Bing nigdy o tym nie myślał. Założył, że długo przed tym czasem

będzie popijać kakao w Gwiazdkowej Krainie, rano otwierać prezenty, a wieczorem śpiewać kolędy.

Tego popołudnia przestronne puste wnętrze świątyni wcale go nie uspokoiło – wręcz przeciwnie. Wciąż stało tam kilka ławek, choć oczywiście już nie w schludnych rzędach, tylko poprzesuwanym w jedną i drugą stronę, pokrzywionym jak zęby pana Manxa. Po podłodze walały się okruchy szkła i kawałki tynku, które chrzęściły pod nogami. Wnętrze cuchnęło amoniakiem, ptasimi odchodami. Ktoś urządził sobie tutaj popijawę. Butelki i puszki po piwie zaśmiecały ławki.

Szedł dalej, przemierzając pomieszczenie. Jego obecność spłoszyła jaskółki pod dachem. Łopot ich skrzydeł odbijał się echem, odgłos przypominał szmer kart przerzucanych w powietrzu przez magika.

Światło padające skośnie przez okna było zimne, niebieskie, w snopach promieni tańczyły drobiny kurzu, jakby kościół był wnętrzem szklanej kuli, w której właśnie zaczynał osiadać śnieg.

Ktoś – nastolatki, bezdomni – urządził ołtarz we framudze jednego z głęboko osadzonych okien. Zdeformowane czerwone świece tkwiły w stwardniałych kałużach wosku, a za świeczkami stało kilka zdjęć Michaela Stipe’a z zespołu R.E.M., wychudłego geja o jasnych włosach i jasnych oczach. Na jednym ze zdjęć ktoś czerwoną szminką nabazgrał TRACĘ WIARĘ. Bing osobiście uważał, że w muzyce rockowej nie ma czego słuchać od czasów *Abbey Road*.

Położył kartkę od pana Manxa i wydruk artykułu z „Denver Post” pośrodku tego prowizorycznego ołtarza, po czym zapalił kilka świeczek w intencji Dobrego Człowieka. Zrobił nieco miejsca na podłodze, odsuwając nogą kawałki tynku wraz z brudną parą majtek w serduszka – w rozmiarze odpowiednim dla dziesięciolatki – i padł na kolana.

Chrząknął. W rozległym, rozbrzmiewającym echem wnętrza chrząknięcie zabrzmiało jak strzał z pistoletu.

Jaskółka zatrzepotała skrzydłami, szybując od jednej krokwi do drugiej.

Rząd gołębi wyciągał szyje, żeby patrzeć na niego błyszczącymi, wściekle czerwonymi ślepiami. Obserwowały go z fascynacją.

Zamknął oczy, złożył ręce i zwrócił się do Boga:

- Cześć, Boże. Tu Bing, ten stary dureń. O Boże. O Boże, Boże, Boże, proszę, pomóż panu Manxowi. Pan Manx zasnął i nie chce się zbudzić, i jest z nim źle, i nie wiem, co robić, i jeśli mu się nie poprawi i nie wróci do mnie, nigdy nie odbędę podróży do Gwiazdkowej Krainy. Nie szczeniłem starań, żeby zrobić coś dobrego ze swoim życiem. Nie szczeniłem starań, żeby ratować dzieci i dopilnować, by miały kakao, karuzele i inne rzeczy. Nie było łatwo. Nikt nie chciał, żebyśmy je ratowali. Ale nawet kiedy mamusie krzyczały i obrzucały nas strasznymi wyzwiskami, nawet kiedy ich dzieci płakały i się moczyły, kochałem je. Kochałem te dzieci i kochałem ich mamusie, nawet jeśli były złymi kobietami. A najbardziej ze wszystkich kocham pana Manxa. Wszystkie jego działania mają na celu uszczęśliwienie innych. Czy rozdawanie szczęścia nie jest najlepszą rzeczą, jaką można zrobić? Proszę, Boże, jeśli uczyniliśmy trochę dobra, pomóż mi, daj mi znak, powiedz mi, co mam robić. Proszę, proszę, proszę, pro...

Zadarł głowę z otwartymi ustami, gdy nagle coś gorącego uderzyło go w policzek i poczuł słono-gorzki smak. Wzdrygnął się, jakby ktoś się na niego spuścił. Otarł usta i spojrzał na palce pokryte białawozieloną mazią, lepką rozwodnioną paćką. Dopiero po chwili zrozumiał, że to gołębie łajno.

Jęknął raz i drugi. Usta miał pełne słonawo-śmietankowego smaku ptasiego łajna. Paćka na jego dłoni wyglądała jak wykrztuszona flegma. Jęk narósł do krzyku i Bing rzucił się do tyłu, kopiąc nogami tynk i szkło, i oparł rękę na czymś wilgotnym i lepkim, miękkim i gładkim jak cienka folia do pakowania. Spojrzał w dół i zobaczył, że położył rękę na zużyтым, pełnym mrówek kondomie.

Ze grozą, z obrzydzeniem poderwał rękę. Prezerwatywa przylepiła mu się do palców, potrząsnął nimi raz i drugi,

wreszcie się odkleiła i wylądowała na jego włosach. Wrzasnął. Ptaki wzbiły się w powietrze z krokwi.

- Co? - krzyknął. - Co? Przyszedłem tu na kolanach! PRZYSZEDŁEM NA KOLANACH! A ty co robisz? CO?

Złapał kondom i szarpnął, przy okazji wydzierając garść cienkich szpakowatych włosów (kiedy wszystkie posiwiały?). W świetle wirował kurz.

Bing Partridge, drżąc, truchtem zbiegł ze wzgórza, czując się skalany i chory... skalany, chory i wściekły. Zataczał się jak pijak, mijając foliowe wiatraczki w ogródku, i zatrzasnął za sobą drzwi.

Dwadzieścia minut później z domu wyszedł Człowiek w Masce Przeciwigazowej, z butelkami płynu zapalającego w rękach.

Zanim podpalił kościół, zabił deskami dziury w oknach, żeby ptaki nie mogły się wydostać. Spryskał płynem ławki i sterty połamanego drewna na podłodze: idealne, już przygotowane ogniska. Drugą butelkę wylał na figurę Jezusa wiszącego na krzyżu w apsydzie. Chrystus wyglądał tak, jakby marzył w skąpej opasce biodrowej, więc Bing zapalił zapałkę i ubrał go w szatę płomieni. Z fresku powyżej Maria ze smutkiem patrzyła na tę ostatnią zniewagę, która spotkała jej syna. Bing przyłożył dwa palce do pochłaniacza maski, posłał jej całusa.

Daj mi szansę na pochwycenie dziecka numer dziesięć z panem Manxem, pomyślał, a z chęcią potraktuję gazem i zabiję rodzoną matkę Chrystusa, byle tylko dorwać tego małego drania.

Poza tym Duch Święty nie zrobił w cipie Marii Panny niczego, czego Bing nie mógłby zrobić lepiej, gdyby był z nią trzy dni sam na sam w Domu Snu.

Gunbarrel, Kolorado

Dzieci nigdy nie dzwoniły, kiedy malowała.

Minęły miesiące, zanim Vic to zrozumiała, choć podświadomie zorientowała się prawie od razu. Kiedy nie malowała, kiedy nie zaprzętała jej praca twórcza, doskwierał jej narastający lęk, jakby stała pod wiszącym na dźwigu fortepianem; czuła, że sznury w każdej chwili mogą pęknąć i cały ten ciężar runie na nią ze zgubnym w skutkach łoskotem.

Dlatego przyjmowała każde zlecenie i spędzała siedemdziesiąt godzin tygodniowo w garażu, słuchając grupy Foreigner i malując pistoletem natryskowym motocykle dla mężczyzn o kryminalnej przeszłości i rasistowskich poglądach.

Vic malowała płomienie, pistolety, nagie laski, granaty, flagi Południa, flagi nazistowskie, Jezusa Chrystusa, białe tygrysy, gnijące upiory i jeszcze więcej nagich ciż. Nie uważała się za artystkę. Malowanie uciszało zew Gwiazdkowej Krainy i pozwalało płacić za pampersy. Wszystkie inne względy nie miały większego znaczenia.

Czasami jednak pracy brakowało. Czasami miała wrażenie, że pomalowała już wszystkie motocykle w Górach Skalistych i że możliwości zarobku się wyczerpały. W takich sytuacjach – kiedy tydzień, dwa tygodnie upływały bez malowania – przyłapywała się na tym, że czeka w ponurym nastroju. Że się przygotowuje.

I pewnego dnia telefon zadzwonił.

Zdarzyło się to we wrześniu, we wtorkowy poranek, pięć lat po tym, jak Manx trafił do więzienia. Lou wyszedł przed wschodem słońca, żeby wyciągnąć kogoś z rowu. Zostawił ją z Wayne'em, który chciał zjeść hot doga na śniadanie. Wszystkie te lata pachniały parującymi hot dogami i parującą dziecięcą kupką.

Wayne zaparkował przed telewizorem, a Vic wyciskała keczup do tanich bułek, kiedy zadzwonił telefon.

Spojrzała na słuchawkę. Było zbyt wcześnie, żeby dzwonił jakiś klient, a poza tym już wiedziała, kto to, ponieważ nie malowała niczego prawie od miesiąca.

Dotknęła słuchawki. Była zimna.

- Wayne - powiedziała.

Chłopiec uniósł głowę, z palcem w buzi, śliniąc przód koszulki z postaciami z *X-Men*.

- Słyszysz, że dzwoni telefon, Wayne? - zapytała.

Przez chwilę patrzył na nią bez wyrazu, bez śladu zrozumienia, potem pokręcił głową.

Kolejny dzwonek.

- Teraz - powiedziała. - Słyszałeś? Czy słyszałeś, jak dzwoni?

- Nie, Em - odparł i zakołysał głową z boku na bok.

Skierował uwagę z powrotem na telewizor.

Vic podniosła słuchawkę.

Dziecko - nie Brad McCauley, inne dziecko, tym razem dziewczynka - zapytało:

- Kiedy tatuś wróci do Gwiazdkowej Krainy? Co zrobiłaś z tatusiem?

- Nie jesteś prawdziwa - powiedziała Vic.

W tle słyszała, jak dzieci śpiewają kolędę.

- Ależ jestem - zapewniła dziewczynka. Biały obłoczek zamrożonego powietrza sączył się z dziurek w słuchawce. - Jesteśmy równie prawdziwi jak to, co dziś rano stało się w Nowym Jorku. Powinnaś to widzieć. To było ekscytujące! Ludzie skaczący w niebo! Ekscytujące i zabawne. Niemal tak zabawne, jak Gwiazdkowa Kraina.

- Nie jesteś prawdziwa - szepnęła Vic.

- Opowiadałaś kłamstwa o tatusiu. To było złe. Jesteś złą matką. Wayne powinien być z nami. Mógłby bawić się z nami przez cały dzień. Moglibyśmy go nauczyć zabawy w nożyczki dla włóczęgi.

Vic z trzaskiem odłożyła słuchawkę na widełki. Podniosła ją i trzasnęła jeszcze raz. Wayne spojrział na nią z trwogą w szeroko otwartych oczach.

Pomachała do niego ręką - nie przejmuj się - i odwróciła, walcząc z płaczem i urywanym oddechem.

Parówki do hot dogów się gotowały, woda kipiała z rondla, z sykiem ściekając na płomień palnika kuchenki. Nie

zwracając na to uwagi, Vic usiadła na podłodze i zakryła oczy. Powstrzymanie szlochu wymagało całej siły woli, ale musiała się pohamować, bo nie chciała przestraszyć Wayne'a.

- Em! - krzyknął chłopiec, a ona uniosła głowę, mrugając. - Coś się stało Oscarowi!

Oscarem nazywał *Ulicę Sezamkową*.

- Coś się stało i Oscar sobie poszedł.

Vic otarła załzawione oczy, odetchnęła z drzeniem i wyłączyła gaz. Niepewnym krokiem podeszła do telewizora. Emisja *Ulicy Sezamkowej* została przerwana, podawano wiadomości. W wieże World Trade Center w Nowym Jorku uderzyły wielkie samoloty. Kłęby czarnego dymu buchały w błękitne niebo.

Kilka tygodni później Vic wysprzątała i zamiotła małą sypialnię, robiąc sobie miejsce do pracy. Przeniosła tam sztalugę i przypięła do niej arkusz brystolu.

- Co robisz? - zapytał Lou, wsuwając głowę przez drzwi na drugi dzień po tym, jak się zainstalowała.

- Przyszło mi na myśl, że narysuję książeczkę z obrazkami - odparła. Miała już pierwszą stronę naszkicowaną niebieskim ołówkiem, niemal gotową do kolorowania.

Lou spojrzał nad jej ramieniem.

- Rysujesz fabrykę motocykli?

- Blisko. Fabrykę robotów. Bohaterem jest robot zwany Wyszukiwarką. Na każdej stronie musi przejść przez labirynt i znajdować różne ważne przedmioty. Baterie, tajne plany i tak dalej.

- Trzymam kciuki za twoją książkę z obrazkami. Niesamowita rzecz dla Wayne'a. Posika się z radości.

Vic pokiwała głową. Była zadowolona, że Lou myśli, że robi to dla małego. Ale nie miała złudzeń. Robiła to dla siebie.

Książeczka z obrazkami okazała się lepsza niż malowanie harleyów. Praca była stała, Vic nie musiała czekać na zlecenia.

Kiedy zaczęła rysować Wyszukiwarkę, dzwoniły tylko agencje kredytowe.

I gdy sprzedała książkę, agencje kredytowe przestały wydzwaniać.

Brandenburg, Kentucky

Michelle Demeter miała dwanaście lat, kiedy ojciec po raz pierwszy pozwolił jej się nim przejechać. Dwunastoletnia dziewczynka prowadziła rolls-royce'a wraitha z 1938 roku przez wysoką trawę w pierwszych dniach lata, z opuszczonymi szybami i płynącą z radia bożonarodzeniową muzyką. Michelle śpiewała na całe gardło silnym, szczęśliwym głosem, fałszując i nie nadążając za melodią. Kiedy nie знаła słów, wymyślała je na poczekaniu.

*Przybądźcie dziś, wierni, radośnie i z triii-umfem!
Przybądźcie dziś, wierni, śpiewać dla Pana.*

Samochód płynął przez trawę, czarny rekin tnący żółto-zielony ocean. Ptaki pierzchały przed nim, śmigając w cytrynowe niebo. Koła podskakiwały i dudniły na niewidocznych nierównościach.

Ojciec, już wstawiony i coraz bardziej pijany, siedział w fotelu pasażera z puszką ciepłego piwa między nogami, manipulując gałką strojenia. Jego zabiegi nie przynosiły żadnego efektu. Na wszystkich pasmach słyhać było tylko biały szum. Jedyna stacja, którą udało mu się złapać, nadawała tę cholerną świąteczną muzykę, ledwie przebijającą się przez trzask i syk zakłóceń.

- Kto puszcza to gównno w środku maja? - zapytał i beknął, potężnie i groteskowo.

Michelle zachichotała zachwycona.

Nie mógł wyłączyć ani nawet ściszyć radia. Na próżno kręcił gałką głośności.

- Ten samochód jest jak twój stary - powiedział. Sięgnął do

stojącego na podłodze sześciopaku po następną puszkę i ją otworzył. – Wrak dawnego siebie.

Po prostu lubił sobie poglądzić. Wcale nie był taki zły. Wynałazł jakiś zawór do boeinga i zarobił tyle, że mógł kupić trzysta akrów nad rzeką Ohio. Teraz jeździli po swoim terenie.

Samochód natomiast swoje najlepsze dni naprawdę miał dawno za sobą. Dywaniki zniknęły i tam, gdzie powinny leżeć, widniał goły brzęczący metal. Pod pedałami były dziury i Michelle widziała przez nie przemykającą trawę. Skóra na desce rozdzielczej się łuszczyła. Jedne z tylnych drzwi nie pasowały do pozostałych, niepomalowane i zardzewiałe. W tylnym oknie brakowało szyby. Nie było też kanapy, a okopcone wnętrze sugerowało, że ktoś kiedyś próbował rozpalić w nim ognisko.

Dziewczynka wprawnie naciskała stopą pedały sprzęgła, gazu i hamulca, zgodnie z naukami ojca. Przedni fotel został maksymalnie przesunięty do przodu, lecz mimo to musiała siedzieć na poduszce, żeby widzieć cokolwiek przez szybę nad wysoko umieszczoną deską rozdzielczą.

– Pewnego dnia popracuję nad tą bestią. Zakaszę rękawy i przywrócę tę starszą panią z powrotem do życia. Trzeba będzie kompletnie ją odnowić, żebyś mogła nią jechać na bal maturalny – powiedział ojciec. – Kiedy będziesz dość duża na bale.

– Tak. Doskonały pomysł. Z tyłu jest mnóstwo miejsca, żeby się obściskiwać – skomentowała, wykręcając szyję, aby spojrzeć przez ramię.

– Byłoby również miło zawieźć cię do klasztoru. Patrz na drogę, dobrze?

Machnął puszką piwa, wskazując falisty teren porośnięty trawą, krzakami i nawłocią bez drogi w zasięgu wzroku. Jedyнным znakiem ludzkiego istnienia była stojąca daleko stodoła widoczna w lusterku wstecznym i smugi kondensacyjne na niebie.

Michelle naciskała na poskrzypujące, zgrzytające pedały.

Jedyną rzeczą w tym samochodzie, która jej się nie

podobała, była statuetka na masce, przyprawiająca o gęsią skórę srebrna pani o ślepych oczach, ubrana w powłóczytą rozwianą szatę. Pochylała się ku chwastom i uśmiechała obłąkańczo, kiedy ją smagały. Ta srebrna pani powinna być magiczna i piękna, ale wrażenie psuł jej uśmiech. Miała uśmiech wariatki, która przed chwilą zepchnęła ukochanego w przepaść i miała zamiar podążać za nim ku wieczności.

- Jest okropna - stwierdziła Michelle, podbródkiem wskazując maskę. - Jak wampirzyca.

- *Bloofer lady*, piękna pani - mruknął ojciec, przypominając sobie coś, co kiedyś czytał.

- Kto? Ona się nie nazywa *bloofer lady*.

- Nie - odparł Nathan. - Nazywa się Duch Ekstazy. Jest klasyczna. Jest klasyczną częścią klasycznego samochodu.

- Ecstasy? Jak narkotyk? - zapytała Michelle. - Rany, ale odjechane. Wtedy też już ćpali?

- Nie. Nie jak narkotyk. Jak zabawa. Jest symbolem niekończącej się zabawy. Moim zdaniem jest ładna - dodał, choć w rzeczywistości uważał, że wygląda jak jedna z ofiar Jokera, bogata dama, która umarła ze śmiechem na ustach.

- Jechałam do Gwiazdkowej Krainy całymi dniami - zaśpiewała cicho Michelle. Przez chwilę z radia płynął tylko ryk zakłóceń i zawodzenia, więc mogła śpiewać bez konkurencji. - Na przejażdżkę Mikołajowymi saniami!

- Co to? Nie znam tego - zauważył ojciec.

- Tam jedziemy - odparła. - Do Gwiazdkowej Krainy. Właśnie podjęłam taką decyzję.

Niebo wypróbowało różne odcienie owoców cytrusowych. Michelle czuła się całkowicie spokojna. Czuła, że mogłaby jechać wiecznie.

Podniecenie i zachwyty złagodziły brzmienie jej głosu. Kiedy ojciec na nią spojrzał, dostrzegł kroplę potu na czole córki i rozmarzenie w jej oczach.

- To tam, tato - powiedziała. - W górach. Jeśli będziemy jechać, wieczorem dotrzemy do Gwiazdkowej Krainy.

Nathan Demeter przymrużył oczy i spojrzał przez zakurzoną szybę. Daleko na zachodzie piętrzyło się rozległe,

blade pasmo górskie z ośnieżonymi szczytami wyższymi niż Góry Skaliste, pasmo górskie, którego nie było rano ani dwadzieścia minut temu, kiedy wybrali się na tę przejażdżkę.

Szybko odwrócił wzrok, mrugając, żeby przejaśniało mu w oczach, potem znów spojrział – i pasmo górskie przemieniło się w wał chmur burzowych stłoczonych nad zachodnim horyzontem. Jeszcze przez chwilę serce kołatało mu w piersi.

– Wielka szkoda, że masz pracę domową. Nie dla ciebie Gwiazdkowa Kraina – powiedział, mimo że była sobota, a żaden tata pod słońcem nie zmusza swojej dwunastoletniej córki do odrabiania algebry w sobotę. – Pora wracać, skarbie. Tata też ma parę rzeczy do zrobienia.

Zgarbił się w fotelu i pociągnął piwa, ale już mu nie smakowało. W lewej skroni czuł pierwsze tępe dżgnięcie jutrzejszego kaca. Judy Garland w tragiczny sposób życzyła wszystkim *Merry Little Christmas* – co takiego, kurwa, pali ten didżej, że puszcza w maju *Have Yourself a Merry Little Christmas*?

Ale muzyka ucichła, gdy dotarli do zachwaszczonego skraju swojej posiadłości i Michelle z trudem zawróciła Upiora w kierunku domu. Gdy tylko rolls zatoczył półkole, radio straciło odbiór i znów emitowało tylko niski ryk białego szumu, szalonych zakłóceń.

Był rok 2006. Nathan Demeter na aukcji federalnej kupił sobie starego gruchota do naprawy, żeby majsterkować przy nim w wolnym czasie. Pewnego dnia naprawdę się do niego zabierze. Pewnego dnia przywróci staruszce dawny blask.

Nowy Jork (i wszędzie indziej)

Oto, co w „New York Times Book Review”, w dziale literatury dziecięcej i młodzieżowej, napisano o drugiej książce z cyklu *Wyszukiwarka* – jedyny raz, gdy recenzowano tam książkę Vic McQueen:

Drugi bieg Wyszukiwarki

Vic McQueen.

22 strony. HarperCollins Children's Books. \$16.95.

(Puzzle/książeczka z obrazkami; 6–12 lat)

Gdyby poproszono M.C. Eschera o wykonanie nowych ilustracji do książki Gdzie jest Wally?, mogłoby wyjść coś równie fascynującego i cieszącego się zasłużoną popularnością jak seria Wyszukiwarka panny McQueen. Tytułowy bohater, Wyszukiwarka – radosny mały robot, który przypomina skrzyżowanie C-3PO i harleya-davidsona – ściga Szaloną Wstęgę Möbiusa przez szereg oszałamiająco nieprawdopodobnych konstrukcji i surrealistycznych labiryntów. Jednej zagmatwanej zagadki nie sposób rozwiązać bez przyłożenia lusterka do krawędzi strony; kolejna łamigłówka wymaga zwinienia kartki w rulon, żeby utworzyć magiczny kryty most; w przypadku jeszcze innej trzeba wydrzeć kartkę i złożyć motocykl origami, żeby Wyszukiwarka mógł kontynuować swój pościg pełnym gazem. Młodzi czytelnicy, którzy ukończą Drugi bieg Wyszukiwarki, staną przed największą ze wszystkich zagadką: Kiedy ukaże się następna część?

ZK Englewood, Kolorado

Parę minut przed ósmą pielęgniarka Thornton weszła na oddział dla osób w stanie wegetatywnym z workiem ciepłej krwi dla Charliego Manxa.

Denver, Kolorado

W pierwszą niedzielę października 2009 roku Lou powiedział Victorii McQueen, że na pewien czas wyjedzie z synem do swojej matki. Z jakiegoś powodu oznajmił to szeptem, przy zamkniętych drzwiach, więc Wayne, siedzący w salonie, nie słyszał ich rozmowy. Lou się denerwował i jego okrągła twarz lśniła od potu. Często oblizywał wargi, gdy mówił.

Byli w sypialni. Lou siedział na brzegu łóżka, materac poskrzypywał, sięgając prawie do podłogi. Vic czuła się tutaj skrępowana. Wciąż spoglądała na telefon, który stał na szafce nocnej, przekonana, że lada chwila zadzwoni. Parę dni temu próbowała się go pozbyć, odłączyła aparat i

wepchnęła do dolnej szuflady, ale Lou jakoś się na niego natknął i z powrotem podłączył.

Lou mówił, że jest bardzo zmartwiony; że wszyscy się martwią. Niewiele do niej docierało. Całą uwagę koncentrowała na telefonie, obserwowała go, czekała na dzwonek. Wiedziała, że zadzwoni. Czekanie było straszne. Złościło ją, że Lou ściągnął ją tutaj, jakby nie mogli porozmawiać na tarasie. Jego postępowanie zachwiało jej wiarą w niego. Prowadzenie rozmowy w pokoju z telefonem po prostu nie było możliwe. Było tak, jakby z sufitu zwisał nietoperz. Nawet gdyby nietoperz spał, czy człowiek mógłby myśleć o czymś innym albo patrzeć na coś innego? Vic zdecydowała, że jeśli telefon zadzwoni, wyrwie go ze ściany, wyniesie na taras i wyrzuci przez poręcz. Kusiło ją, żeby nie czekać i po prostu zrobić to teraz.

Nie kryła zaskoczenia, gdy Lou powiedział, że może ona też powinna pojechać zobaczyć się z matką. Jej matka mieszkała w Massachusetts, szmat drogi stąd, i Lou wiedział, że się nie dogadują. Jedyną bardziej niedorzeczną sugestią byłoby to, żeby Vic pojechała zobaczyć się ze swoim ojcem, z którym nie rozmawiała od lat.

– Wolałabym pójść do więzienia, niż zatrzymać się u mamy. Jezu, Lou, czy wiesz, ile telefonów ma w domu moja matka?

Lou popatrzył na nią z rozpaczą i jednocześnie ze zmęczeniem w oczach. Vic pomyślała, że jego spojrzenie wyraża kapitulację.

– Gdybyś chciała pogadać... o czymkolwiek, mam przy sobie komórkę – powiedział.

Vic tylko parsknęła śmiechem, nie zwracając sobie głowy tłumaczeniem, że wczoraj rozebrała jego telefon komórkowy na części i wyrzuciła do śmieci.

Wziął ją w ramiona, zamknął w niedźwiedzim uścisku. Był wielkim mężczyzną, przygnębionym z powodu swojej nadwagi, ale pachniał lepiej niż wszyscy faceci, których kiedykolwiek знаła. Jego tors pachniał cedrem, olejem silnikowym i otwartą przestrzenią. Pachniał jak odpowiedzialność. W jego ramionach przypomniawszy sobie, jak to było, gdy czuła się szczęśliwa.

– Muszę lecieć – powiedział w końcu. – Czeka mnie długa droga.

– Dokąd? – zapytała zaskoczona.

Zamrugął.

– Znaczą się, Vic... ja cię... słuchałaś?

– Bardzo uważnie – zapewniła i tak wyglądała prawda. Słuchała, tylko nie jego. Nadśluchiwała telefonu. Czekala, aż zadzwoni.

Po wyjeździe Louisa i małego przeszła przez pokoje ceglanego domu przy Garfield Street, kupionego za pieniądze z honorarium za *Wyszukiwarkę* w czasach, kiedy jeszcze rysowała, zanim dzieci z Gwiazdkowej Krainy znowu zaczęły dzwonić, codziennie. Przyniosła nożyczki i przecięła przewody każdego aparatu.

Pozbierała telefony i zabrała je do kuchni. Włożyła do piekarnika na górną półkę i nastawiła regulator na pieczenie. Przecież udało się zeszłym razem, kiedy musiała walczyć z Charliem Manxem, prawda?

Gdy piekarnik zaczął się rozgrzewać, otworzyła okna i

włączyła wentylator.

Później siedziała w salonie w samych majtkach i oglądała telewizję. Najpierw włączyła wiadomości. Ale w studiu CNN było zbyt wiele dzwoniących telefonów, ten dźwięk ją denerwował. Przełączyła na SpongeBoba. Kiedy w restauracji Pod Tłustym Krabem zadzwonił telefon, znowu zmieniła kanał. Znalazła program o wędkarstwie sportowym. Wydawał się dość bezpieczny – w tego rodzaju programach nie ma telefonów – i tłem było jezioro Winnepesaukee, gdzie w dzieciństwie spędzała wakacje. Zawsze lubiła widok jeziora zaraz po wschodzie słońca, gładkie czarne lustro otulone białym jedwabiem porannej mgły.

Z początku piła whisky z lodem. Potem musiała pić czystą, ponieważ w kuchni panował zbyt wielki smród, żeby tam pójść po kostki lodu. Cały dom cuchnął palącym się plastikiem, mimo wentylatora i pootwieranych okien.

Vic McQueen patrzyła, jak rybak zмага się z pstrągiem, gdy gdzieś blisko jej stóp zaczął ćwierkać telefon. Spojrzała na zabawki rozrzucone po podłodze, kolekcję robotów Wayne'a: R2-D2, Dalek, transformery, kilka figurek Wyszukiwarki. Jeden z robotów był transformerem, czarny z pokaźnym torsem i czerwonymi soczewkami zamiast głowy. Wyraźnie zadrżał, gdy ćwierknął jeszcze raz.

Podniosła go, zaczęła składać ręce i nogi. Wcisnęła głowę w tułów. Zatrzasnęła połówki torsu i nagle trzymała w rękach plastikowy zabawkowy telefon komórkowy.

Plastikowy zabawkowy telefon komórkowy znów zadzwonił. Wcisnęła guzik ODBIERZ i podniosła go do ucha.

- Jesteś wielką tłustą kłamczuchą... - powiedziała Millicent Manx. - Tatuś się wścieknie, gdy się wydostanie. Wbiję ci widelec w oczy i wydlubię je jak korki.

Vic zaniósła zabawkę do kuchni i otworzył piekarnik. Buchnął toksyczny czarny dym. Telefony już się zwęgliły jak pianki wrzucone do ogniska. Położyła transformera na czubku brązowej roztopionej sterty i zatrzasnęła drzwiczki.

Smród był tak paskudny, że musiała wyjść z domu. Włożyła kurtkę motocyklową Lou i swoje buty, zabrała torebkę i

butelkę whisky. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. W tej samej chwili usłyszana buczenie czujnika dymu.

Przeszła kawałek ulicą i skręciła za róg, gdy zdała sobie sprawę, że nie włożyła niczego poza kurtką i butami. Wałęsała się po Denver o drugiej nad ranem w wypłowiałych różowych majtkach. Dobrze, że przynajmniej pamiętała o whisky.

Chciała pójść do domu i wciągnąć dzinsy, ale się zgubiła, próbując znaleźć drogę powrotną, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło. Trafiła na przyjemną ulicę, wzdłuż której stały dwupiętrowe ceglane domy. Noc pachniała jesienią i metaliczną wonią świeżo zmoczonej nawierzchni. Jakże uwielbiała zapach dróg: spieczony, miękki asfalt w środku lipca, drogi gruntowe uperfumowane pyłem i pyłkiem w czerwcu, wiejskie szosy doprawione na ostro zapachem zgniecionych liści w poważnym październiku, piaskowo-solny zapach autostrady, jak ujście rzeki, w lutym.

O tej porze nocy miała ulicę prawie dla siebie, choć w pewnym momencie przejechało trzech mężczyzn na harleyach. Zwolnili, gdy ją mijali, żeby się jej przyjrzeć. Nie należeli do gangu motocyklowego. Byli japiszonami, którzy prawdopodobnie wracali do żonek po chłopięcej nocy spędzonej w jakimś ekskluzywnym klubie ze striptizem. Rozpoznała ich po włoskich skórzanych kurtkach, niebieskich dzinsach ze sklepu Gap i motocyklach prosto z salonów wystawowych, bardziej się nadających do rozwożenia pizzy niż do brutalnego życia na drodze. A jednak. Przyglądali się jej przez dłuższy czas. Uniosła w ich stronę butelkę whisky i zagwizdała na nich na palcach, a wówczas przekręcili manetki i odjechali, z rurami wydechowymi między nogami.

Wylądowała przy księgarni, oczywiście zamkniętej. Była to mała prywatna księgarnia z jedną witryną zapełnioną jej książkami. Rok temu wygłosiła tutaj pogadankę. Wtedy miała spodnie.

Zaglądała spod przymrużonych powiek do ciemnego sklepu, pochylając się ku szybie, żeby zobaczyć, którą z jej

książek sprzedają. Czwartą. Już czwarta książka? Miała wrażenie, że wciąż nad nią pracuje. Straciła równowagę i uderzyła twarzą w szybę, wypinając tyłek.

Była zadowolona, że czwarta książka jest skończona. Były takie chwile, kiedy myślała, że nigdy jej nie skończy.

Kiedy Vic zaczęła rysować obrazki do książek, ani razu nie zadzwonił telefon z Gwiazdkowej Krainy. Właśnie z tego powodu zaczęła *Wyszukiwarkę*, ponieważ gdy rysowała, telefony milczały. Ale nagle w połowie trzeciej książki stacje radiowe, których lubiła słuchać, w środku lata zaczęły nadawać piosenki świąteczne i telefony się rozdzwoniły. Próbowała stworzyć wokół siebie ochronę fosę, fosę zalaną whisky Maker's Mark, ale tak naprawdę mogła zatopić się tylko w pracy.

Vic miała zamiar odepchnąć się od okna, gdy w księgarni zadzwonił telefon.

Widziała, jak błyska na biurku w głębi sklepu. W wietrznej, ciepłej ciszy nocy wyraźnie słyszała sygnał i wiedziała, że to oni. Millie Manx, Brad McCauley i inne dzieci Manxa.

- Przepraszam - powiedziała do księgarni. - Nie mogę odebrać telefonu. Jeśli chcesz zostawić wiadomość, masz cholernego pecha.

Odepchnęła się od witryny, trochę za mocno, i zatoczyła na chodnik. Potem chodnik się skończył, jej stopa zsunęła się z krawężnika i Vic upadła, klapnęła ciężko na wilgotny asfalt.

Zabolało, ale prawdopodobnie nie tak mocno, jak powinno. Nie była pewna, czy to whisky stłumiła ból, czy może przez zbyt długi czas była na diecie Lou Carmody'ego i teraz miała na tyłku dodatkową wyściółkę. Martwiła się, że upuściła i stłukła butelkę, ale nie, trzymała ją w ręce, bezpieczną i całą. Pociągnęła łyk. Smakował dębową beczką i słodkim samounicestwieniem.

Stanęła na nogi i wtedy zadzwonił kolejny telefon, w innym sklepie, w ciemnej kawiarni. Telefon w księgarni też wciąż dzwonił. Potem zabrzmiał następny, gdzieś na piętrze budynku po jej prawej stronie. I czwarty, i piąty w mieszkaniach nad nią, po obu stronach ulicy, z przodu i z

tyłu.

Noc wypełnił chór telefonów. Przypominało to rechot żab na wiosnę, nieziemskie kakofonia skrzeczenia, ćwierkania i pogwizdywania. Przypominało to dzwony bijące w poranek Bożego Narodzenia.

- Spierdalać! - wrzasnęła i rzuciła butelką w swoje odbicie w oknie sklepu po drugiej stronie ulicy.

Szyba eksplodowała. Wszystkie telefony umilkły w tej samej chwili, zszokowani imprezowicze uciszeni przez strzał z pistoletu.

Sekundę później w sklepie włączył się alarm, elektroniczny jazgot i błyskające srebrne światło. Blask oświetlił rowery wystawione w oknie.

Noc wstrzymała oddech i zamarła na jedną rozkosznie cichą chwilę.

W witrynie stał (oczywiście) raleigh, biały i prosty. Vic się zachwiała. Wrażenie zagrożenia opadło ją tak szybko, jakby ktoś pstryknął włącznikiem.

Przeszła przez jezdnię do sklepu rowerowego i gdy stłuczone szkło chrzęściło jej pod nogami, plan się krystalizował. Ukradnie rower i wyjedzie z miasta. Pojedzie na Dakota Ridge, w spowity nocą sosnowy las, i będzie pedałować, aż znajdzie Krótszą Drogę.

Most Krótsza Droga przeniesie ją nad murami więzienia o zaostrzonym rygorze na oddział szpitalny, gdzie leży Charlie Manx. To będzie niesamowity widok, trzydziestoletnia kobieta w bieliźnie o drugiej nad ranem pędząca na dziecięcym rowerku przez więzienny oddział dla osób w stanie wegetatywnym. Wyobraziła sobie, jak żeglujecie w ciemności między więźniami śpiącymi w łózkach. Podjedzie prosto do Manxa, postawi rower na nóżce, wyrwie temu plugawemu mordercy poduszkę spod głowy i go udusi. To na zawsze położy kres telefonom z Gwiazdkowej Krainy. Wiedziała, że tak będzie.

Vic sięgnęła przez potłuczoną szybę, chwyciła raleigha i wystawiła go na ulicę. Usłyszała pierwsze dalekie zawodzenie syreny, tęskny, udręczony dźwięk, który niósł się

daleko w ciepłej, wilgotnej nocy.

Była skończona. Alarm włączył się zaledwie pół minuty temu. Nie przypuszczała, że gliniarze zareagują tak szybko.

Ale to nie syrenę policyjną słyszała. To wóz straży pożarnej jechał w stronę jej domu, choć gdy przybył na miejsce, niewiele zostało do ratowania.

Radiowozy pojawiły się parę minut później.

Brandenburg, Kentucky

Nathan Demeter na koniec zostawił najtrudniejsze zadanie: w maju 2012 roku za pomocą wyciągarki łańcuchowej wyjął z rollsa silnik i zajmował się nim przez dwa dni, czyszcząc popychacze i wymieniając części zamówione w specjalistycznym sklepie w Anglii. Sześciocyldrowy silnik miał pojemność 4257 centymetrów sześciennych i na jego warsztacie wyglądał niczym wielkie mechaniczne serce – którym zresztą był, jak przypuszczał. Wiele ludzkich wynalazków – strzykawka, miecz, pióro, pistolet – było metaforycznymi penisami, ale silnik spalinowy z pewnością został skonstruowany przez człowieka, który widział ludzkie serce.

- Taniej byłoby wynająć limuzynę – zauważyła Michelle. – I nie pobrudziłbyś sobie rąk.

- Jeśli myślisz, że mi przeszkadza brudzenie sobie rąk, to chyba nie zwracałaś na mnie większej uwagi w ciągu ostatnich osiemnastu lat.

- To pewnie ma coś wspólnego z twoją nerwową energią.

- Kto tu jest nerwowy? – zapytał, ale ona tylko się uśmiechnęła i dała mu buziaka.

Czasami, po kilkugodzinnej pracy nad samochodem, siadał wygodnie na przednim fotelu, z nogą zwisającą z otwartych drzwi i puszką piwa w ręce, odtwarzając w myślach tamto popołudnie, kiedy wolno jechali po zachodnim polu, jego

córka za kierownicą, chwasty smagające boki rolls-royce'a.

Michelle zdała egzamin na prawo jazdy za pierwszym podejściem, w wieku zaledwie szesnastu lat. Teraz miała osiemnaście i własne auto, małą sportową jettę, którą zamierzała po maturze pojechać do Dartmouth. Myśl, że będzie sama na drodze, że będzie meldować się w podrzędnych motelach, obrzucana wzrokiem przez mężczyznę za kasą, przez kierowców ciężarówek w barze, przydawała mu nerwowej energii.

Michelle lubiła robić pranie i był z tego zadowolony, bo gdy znajdował w suszarce jej kolorową koronkową bieliznę z Victoria's Secret, zaczynał się martwić o takie rzeczy, jak niechciana ciąża i choroby weneryczne. Umiał z nią rozmawiać o samochodach. Lubił obserwować, jak manipuluje sprzęgłem, jak prowadzi. Czuł się wtedy jak Gregory Peck w filmie *Zabić drozda*. Ale nie umiał rozmawiać o mężczyznach czy o seksie i niepokoiło go wrażenie, że córka wcale nie potrzebuje jego rady w tych sprawach.

- Kto tu jest nerwowy? - zwrócił się pewnej nocy do pustego garażu i wzniosł toast do swojego cienia.

Sześć dni przed wielkim balem złożył silnik, zamknął maskę i cofnął się, żeby obejrzeć swoje dzieło: rzeźbiarz przypatrujący się aktowi, który kiedyś był blokiem marmuru. Miał za sobą zimę obfitującą w pocierane kostki palców, olej pod paznokciami i płatki rdzy w oczach: święty czas, ważny dla niego tak, jak przepisywanie świętego tekstu dla mnicha w klasztorze. Zależało mu, żeby należycie odremontować auto i przywrócić mu dawny wygląd.

Hebanowa karoseria lśniła jak torpeda, jak polerowana płyta szkła wulkanicznego. Tylne boczne drzwi, które były zardzewiałe i niedopasowane, zostały zastąpione przez oryginalne, przysłane przez pewnego kolekcjonera z jednej z byłych republik radzieckich. Dał tapicerkę z koźlęcej skóry, wymienił składane tacki i szuflady pod przednimi fotelami na nowe, z orzecha, ręcznie wykonane przez stolarza z Nowej Szkocji. Wszystko było oryginalne, nawet lampowe radio,

choć przez jakiś czas rozważał pomysł zainstalowania odtwarzacza CD, z subwooferem Bose w bagażniku. W końcu zdecydował, że tego nie zrobi. Kiedy masz *Monę Lisę*, nie domalowujesz jej sprayem czapki bejsbolówki.

Dawno temu w gorące, burzowe letnie popołudnie obiecał córce, że wyszykuje rollsa na jej bal maturalny, i oto był, w końcu gotowy, zaledwie tydzień przed terminem. Po balu go sprzeda, w pełni odrestaurowany Upiór pójdzie za ćwierć miliona dolarów na kolekcjonerskim rynku. Nieźle jak na auto, które kosztowało zaledwie pięć tysięcy dolarów, kiedy zostało wyprodukowane. W ogóle nieźle, gdy weźmie się pod uwagę fakt, że dziesięć lat temu zapłacił za nie tylko dwa razy więcej na aukcji FBI.

- Jak myślisz, do kogo należał przed tobą? - zapytała kiedyś Michelle, gdy wspomniał, skąd ma samochód.

- Przypuszczam, że do jakiegoś handlarza narkotyków - odparł.

- Rany, mam nadzieję, że nikogo w nim nie zamordowano.

Samochód prezentował się dobrze, ale sam dobry wygląd nie wystarczy. Nie przekaze go w ręce Michelle, nie wypuści jej samej na drogę, dopóki sam nie przejedzie kilkudziesięciu kilometrów i nie zobaczy, jak auto się sprawuje podczas szybkiej jazdy.

- Śmiało, piękna dziwko - powiedział do auta. - Zbudzimy cię i zobaczymy, co potrafisz.

Demeter wsiadł za kierownicę, zatrzasnął drzwi i przekreślił kluczyk.

Silnik zastartował głośno - był to urywany, niemal dziki wybuch hałasu - ale zaraz potem ścichł do niskiego, aksamitnego pomruku. Obity kremową skórą przedni fotel był wygodniejszy niż materac na łóżku Nathana. W czasach, kiedy złożono Upiora, przedmioty były tworzone jak czołgi, tworzone tak, żeby przetrwać długie lata. Nathan był pewien, że to auto go przeżyje.

Miał rację.

Jego komórka leżała na warsztacie i zamierzał zabrać ją ze sobą, nie chciał gdzieś utknąć bez pomocy, jeśli Upiór

odmówi posłuszeństwa albo wytnie mu jakiś inny zasrany numer. Sięgnął do klamki i wtedy spotkała go pierwsza niespodzianka tego popołudnia. Blokada drzwi opadła z trzaskiem tak głośnym, że o mało nie krzyknął.

Był tak zaskoczony – tak nieprzygotowany – że nie miał pewności, czy to się stało naprawdę. Ale potem zatrzasnęły się wszystkie inne zamki, jeden po drugim – trach, trach, trach – jakby ktoś strzelał z pistoletu, i sam już nie był pewien, czy sobie tego nie wyobraża.

– Co jest, do kurwy nędzy?

Pociągnął blokadę na drzwiach po stronie kierowcy, ale tkwiła jak przyspawana.

Samochód dygotał na jałowym biegu, chmura spalin wzbierała wokół karoserii.

Demeter się pochylił, żeby wyłączyć zapłon, i wtedy spotkała go druga niespodzianka tego dnia. Kluczyk nie chciał się przekręcić. Demeter szarpał go tam i z powrotem, potem uderzał, ale kluczyk tkwił w stacyjce i nie dawał się wyjąć.

Włączyło się radio, na cały regulator nadając *Jingle Bell Rock* – tak głośno, że rozbolały go uszy – piosenkę, która nie powinna być puszczana na wiosnę. Demeter zeszywniał i dostał gęsiej skórki. Dźgnął klawisz WYŁĄCZ. Wyczerpywała się jego zdolność do reagowania na niespodzianki i nie czuł się szczególnie zdumiony, kiedy nic to nie dało. Wcisnął klawisze, żeby zmienić stację, ale na każdym paśmie leciało *Jingle Bell Rock*.

Widział już w powietrzu mgłę spalin. Czuł jej smak, smród przyprawiał go o zawroty głowy. Bobby Helms zapewniał, że Gwiazdka jest idealną porą na przejażdżkę w jednokonnych saniach. Demeter wiedział, że musi wyłączyć to gówno, musi mieć trochę ciszy, ale kiedy pokręcił gałką głośności, nic się nie stało.

Mgła kłębiła się wokół reflektorów. Gdy odetchnął, wciągnął do płuc haust trucizny i dostał ataku kaszlu tak gwałtownego, że miał wrażenie, iż pęka mu tkanka w gardle. Jego myśli pomykały jak konie na puszczonej z zawrotną

prędkością karuzeli. Michelle wróci do domu najwcześniej za półtorej godziny. Najbliżsi sąsiedzi mieszkają ponad kilometr dalej - nikt nie usłyszy jego krzyku. Silnik nie chce się wyłączyć, zamki nie chcą współpracować... kurwa, to jak numery z filmu szpiegowskiego. Wyobraził sobie, jak wynajęty zabójca, zwany na przykład Wal Konia, steruje rolls-royce'em za pomocą pilota, ale to przecież czyste wariactwo. Sam rozłożył i złożył Upiora, więc doskonale wiedział, że nie ma w nim niczego, co komukolwiek dałoby władzę nad silnikiem, zamkami, radiem.

Gdy takie myśli przemykały mu przez głowę, macał rękami po desce rozdzielczej, szukając pilota do drzwi garażu. Jeśli do środka nie wpadnie świeże powietrze, lada moment straci przytomność. Przez pełną paniki chwilę nic nie czuł i pomyślał: nie ma, tu go nie ma, ale zaraz potem jego palce znalazły pilota za podniesionym garbem obudowy kierownicy. Chwycił go w garść, wycelował w drzwi garażu i wcisnął guzik.

Drzwi z grzechotem uniosły się ku sufitowi. Dźwignia zmiany biegów przesunęła się na wsteczny i Upiór skoczył ku drzwiom z piskiem opon.

Nathan Demeter wrzasnął, chwycił kierownicę - nie po to, żeby zapanować nad samochodem, ale po prostu chcąc się czegoś przytrzymać. Smukłe opony o białych bokach złapały przyczepność na żwirowym podjeździe, wyrzucane przez nie kamyczki bębniły o podwozie. Upiór wystrzelił tyłem jak wózek na jakiejś obłąkanej wstecznej kolejce górskiej, pędząc długim na prawie sto metrów podjazdem, który stromo schodził ku biegnącej w dole uliczce. Nathan miał wrażenie, że wrzeszczał przez całą drogę, choć w rzeczywistości przestał, zanim samochód znalazł się w połowie zbocza. Wrzask, który słyszał, tłukł się uwięziony w jego własnej głowie.

Upiór nie zwolnił, gdy się zbliżył do jezdni, tylko przyspieszył. Nathan pomyślał, że jeśli coś nadjedzie z jednej bądź drugiej strony, auto zostanie uderzone w bok przy prędkości ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Oczywiście, nawet gdyby nic nie nadjeżdżało, Upiór przeskoczy przez drogę w drzewa po drugiej stronie; Nathan założył, że wskutek odrzutu wyleci przez przednią szybę. W Upiorze, jak we wszystkich samochodach z tamtego okresu, nie było pasów bezpieczeństwa, nawet tych biodrowych.

Droga okazała się pusta i gdy tylne opony uderzyły w asfalt, kierownica obróciła się w jego rękach tak szybko, że sparzyła mu dłonie i musiał ją puścić. Upiór skręcił o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i Nathan Demeter przeleciał pod drzwi po lewej stronie, uderzając głową w żelazną futrynę.

Przez pewien czas nie miał pojęcia, czy odniósł poważne obrażenia. Leżał na przednim siedzeniu i mrugał, patrząc w sufit. Przez okno po stronie pasażera widział przedwieczorne niebo, ciemnobłękitne, z piórami cirrusów w wyższych warstwach atmosfery. Dotknął obolałego miejsca na czole i kiedy odsunął rękę, zobaczył krew na palcach. Flecista zaczął grać pierwsze takty piosenki *The Twelve Days of Christmas*.

Samochód jechał, samodzielnie zmieniając biegi aż do piątego. Nathan znał drogi wokół swojego domu i odgadł, że jadą na wschód trasą 1638 do autostrady Dixie. Jeszcze minuta, a dotrą do skrzyżowania i... i co? Wjadą, może zderzą się ze zmierzającą na północ ciężarówką i zostaną zgnieceni na miazgę? Przyszła mu do głowy taka możliwość, a jednak nie czuł strachu. Nie przypuszczał, by samochód ruszył na samobójczą misję. Oszołomiony, w pewien sposób pogodził się z faktem, że Upiór ma własny plan, ma swoje sprawy i chce je załatwić. Nie potrzebuje go, może nawet nie jest świadom jego obecności, nie bardziej niż pies jest świadom obecności kleszcza.

Niepewnie podniósł się na łokciu, jakoś zdołał usiąść i spojrzał na siebie w lusterku wstecznym.

Nosił czerwoną maskę z krwi. Kiedy znów dotknął czoła, znalazł długą na piętnaście centymetrów ranę. Obmacał ją ostrożnie i poczuł pod palcami gołą kość.

Upiór zaczął zwalniać przed znakiem stopu na

skrzyżowaniu z autostradą Dixie. Demeter patrzył zahipnotyzowany, jak dźwignia zmiany biegów przesuwana się z czwórki na trójkę, potem z trzaskiem przeskakuje na dwójkę. Znowu zaczął krzyżeć.

Przed nimi stało kombi. Z tyłu tłoczyła się trójka jasnowłosych, puciołowatych dzieciaków z dołeczkami w policzkach. Wszystkie wykręciły szyje, żeby spojrzeć na Upiora.

Nathan przycisnął ręce do szyby, rozsmarowując po niej czerwone smugi.

- POMOCY! - wrzasnął, gdy ciepła krew ściekała mu z czoła na twarz. - RATUNKU POMOCY POMÓŻCIE MI RATUNKU!

Dzieciaki z niewiadomego powodu wyszczerzyły zęby w uśmiechach, jakby był głupkiem wściekle machającym rękami. Zaczął wrzeszczeć bełkotliwie - muczał jak krowa w rzeźni, ślizgająca się w parującej krwi tych, które weszły przed nią.

Kombi pojechało w prawo, wskakując w pierwszą lukę między pojazdami. Upiór skręcił w lewo, przyspieszając tak bardzo, że Nathan Demeter miał wrażenie, jakby niewidzialna ręka wciskała go w fotel.

Mimo podniesionych szyb czuł czystą, późnowiosenną woń skoszonej trawy, czuł zapach dymu z grillów za domami i zielony aromat pączkujących drzew.

Niebo poczerwieniało, jak gdyby ono też krwawiło. Chmury wyglądały niczym naklejone na niebo strzępy złotej folii.

Nathan Demeter z roztargnieniem zauważył, że Upiór prowadzi się jak marzenie. Pomruk silnika nigdy nie brzmiał tak dobrze. Tak potężnie. Pomyślał, że śmiało można powiedzieć, że piękna dziewczka w pełni odzyskała zdrowie i urodę.



Był pewien, że drzemał, siedząc za kierownicą, ale nie przypominał sobie, żeby zasypiał. Wiedział tylko, że w pewnej chwili, zanim zupełnie się ściemniło, zamknął oczy, a

kiedy je otworzył, Upiór pędził przez tunel wirującego śniegu, tunel grudniowej nocy. Przednie szyby były pomazane jego krwią, ale widział przez nie wiry śnieżne tańczące na czarnym asfalcie dwupasmowej szosy, której nie rozpoznawał. Płachty śniegu poruszały się jak żywy jedwab, jak duchy.

Przez chwilę próbował przekonać samego siebie, że gdy spał, zajechali tak daleko na północ, że złapali jakąś nietypową wiosenną burzę śnieżną, ale uznał ten pomysł za idiotyczny. Patrzył w zimną noc i na nieznaną drogę, powtarzając sobie, że śni, lecz wcale w to nie wierzył. Dokonany z chwili na chwilę rachunek namacalnych doznań – pękająca głowa, napięta, lepka od krwi skóra twarzy, plecy sztywne od zbyt długiego siedzenia za kółkiem – dobitnie świadczył, że to nie sen. Samochód trzymał się drogi jak wóz pancerny, nie wpadając w poślizgi, nie kołysząc się, nie zwalniając poniżej dziewięćdziesiątki.

Z radia leciały piosenki: *All I Want for Christmas is You*, *Silver Bells*, *Joy to the World*, *It Came Upon a Midnight Clear*. Czasami Demeter słyszał muzykę. Czasami nie. Żadnych reklam, wiadomości, tylko święte chóry dziękujące Bogu i Eartha Kitt obiecująca, że może będzie bardzo grzeczną dziewczynką, jeśli Święty Mikołaj spełni życzenia z jej gwiazdkowej listy.

Kiedy zamknął oczy, mógł sobie wyobrazić swoją komórkę leżącą na warsztacie w garażu. Czy Michelle już go szuka? Jasne – gdy tylko wróciła do domu i zobaczyła otwarte drzwi garażu, a za nimi puste wnętrze. Na pewno odchodzi od zmysłów ze zmartwienia. Żałował, że nie ma telefonu, nie żeby zadzwonić po pomoc – był przeświadczony, że jemu już nikt nie pomoże – ale po prostu poczułby się lepiej, gdyby usłyszał głos córki. Chciałby zadzwonić i powiedzieć, żeby mimo wszystko pojechała na bal maturalny i spróbowała dobrze się bawić. Chciał jej powiedzieć, że się nie boi o jej przyszłość. Jeśli się bał, to tylko o siebie, że się zestarzeje i będzie bez niej samotny, chociaż nie sądził, by teraz musiał się o to martwić. Chciał jej powiedzieć, że była najlepszym,

co go w życiu spotkało. Ostatnio jej tego nie mówił, a i wcześniej robił to niezbyt często.

Po sześciu godzinach spędzonych w samochodzie nie odczuwał paniki, tylko swego rodzaju drętwe zdumienie. Na pewnym poziomie świadomości postrzegał swoją sytuację niemalże jako normalną. Prędzej czy później czarny samochód przyjeżdża po każdego. Przyjeżdża, zabiera cię od bliskich i już nigdy do nich nie wracasz.

Perry Como świergotał, że zbliża się Boże Narodzenie.

- Nie chrzań, Perry - burknął Nathan. Osunął się na drzwi po stronie kierowcy i chrapliwym, rwącym się głosem zaczął śpiewać. Śpiewał balladę Boba Segera, śpiewał o dawnym rock and rollu, który, jak wierzył, koi duszę. Ryczał jak najgłośniej, jedną zwrotkę i drugą, a kiedy umilkł, stwierdził, że radio się wyłączyło.

Dobrze. Oto gwiazdkowy prezent. Ostatni, jaki dostaniesz, pomyślał.



Kiedy następnym razem uniósł powieki, leżał z twarzą przyciśniętą do kierownicy, a samochód pracował na jałowym biegu. Jaskrawe światło raziło go w oczy.

Przymrużył powieki, świat był jaskrawoniebieską rozmytą plamą. W ciągu całej nocy głowa nie bolała go tak bardzo jak teraz. Ból w czaszce był tak silny, że zbierało mu się na wymioty. Tkwił gdzieś za oczami, żółty blask bólu. Całe to światło słoneczne było niesprawiedliwe.

Mruganiem przepędził łzy. Świat się wyostrzył, zaczął nabierać kształtów.

Przez szybę od strony kierowcy, przez czyste miejsca na poznanym krwawymi smugami szkle zaglądał do środka gruby mężczyzna w masce przeciwigazowej i mundurze polowym. Maską była stara, być może z czasów drugiej wojny światowej, musztardowozielona.

- Kim ty, kurwa, jesteś? - zapytał Nathan.

Zdawało się, że grubas podskakuje. Nathan nie widział jego twarzy, ale pomyślał, że facet podskakuje z podniecenia.

Blokada w drzwiach po stronie kierowcy wyskoczyła z głośnym, stanowczym dźwiękiem.

Grubas trzymał coś w ręce, jakiś cylinder - wyglądało to jak puszka aerozolu. ODSWIEŻACZ POWIETRZA O ZAPACHU PIERNIKÓW, informował napis, pod którym radosna pani domu w staroświeckim stylu wysuwała z piekarnika blachę piernikowych ludzików.

- Gdzie jestem? - zapytał Nathan Demeter. - Do cholery, gdzie?

Człowiek w Masce Przeciwgazowej nacisnął klamkę i otworzył drzwi na wonny wiosenny poranek.

- Tutaj. Tu, gdzie wysiadasz - odparł.

Centrum Medyczne Świętego Łukasza, Denver

Kiedy zmarł ktoś interesujący, Hicks zawsze robił mu zdjęcie.

Do kostnicy trafiła prezenterka wiadomości z lokalnej stacji, śliczna trzydziestodwulatka o wspaniałych blond włosach i jasnoniebieskich oczach; urzęnęła się i zadławiła na śmierć własnymi rzygami. Hicks wsunął się do kostnicy o pierwszej w nocy, wyciągnął ją z szuflady i posadził. Objął ją i pochylił się, żeby liznąć jej sutek, trzymając telefon komórkowy, gotowy do pstryknięcia fotki. Tak naprawdę wcale jej nie polizał. To byłoby wulgarne.

Był tam również gwiazdor rocka - w każdym razie pomniejszy gwiazdor. Facet należał do zespołu, który grał hit z filmu ze Stallone'em. Zmarł na raka i po śmierci wyglądał jak pomarszczona staruszka z pierzastymi brązowymi włosami, długimi rzęsami i szerokimi, w pewien sposób kobiecymi ustami. Hicks wyjął go z szuflady i ułożył jego dłoń w diabelskie rogi, sam wyprostował mały i wskazujący palec,

po czym zrobił im wspólne zdjęcie. Nieboszczykowi opadły powieki, więc wyglądał sennie i spokojnie.

Dziewczyna Hicksa, Sasha, powiedziała, że w kostnicy leży słynny seryjny zabójca. Sasha była pielęgniarką na oddziale dziecięcym, osiem pięter wyżej. Uwielbiała jego zdjęcia ze znanymi martwymi ludźmi; zawsze jej pierwszej wysyłał je pocztą elektroniczną. Sasha uważała, że jest szalenie zabawny. Powiedziała, że powinien wystąpić w telewizyjnym programie satyrycznym *The Daily Show*. On też ją bardzo lubił. Miała klucz do szafki z lekami i w sobotnie noce zawsze podwędzała coś ekstra, trochę oksykodonu albo kokainy o pierwszej klasie czystości. W wolnej chwili znajdowali pustą izbę porodową, a tam Sasha zdejmowała luźne spodnie, sadowiła się na fotelu i wsuwała stopy w strzemiona.

Hicks nigdy nie słyszał o tym facecie, więc Sasha skorzystała z komputera w dyżurce pielęgniarek, żeby przeczytać o nim kilka artykułów. Zdjęcie było paskudne, przedstawiało łysego faceta o pociągłej twarzy z ustami pełnymi ostrych, zakrzywionych zębów. Oczy miał jasne, okrągłe i głupawe, w głębokich oczodołach. Podpis identyfikował go jako Charlesa Talenta Manxa, który ponad dziesięć lat temu trafił do więzienia federalnego za spalenie żywcem jakiegoś żaloznego dupka na oczach tuzina świadków.

- Też mi! - parsknął Hicks. - Zabił tylko jednego gościa.

- Akurat. Jest gorszy niż John Wayne Stacy. Zabijał dzieciaki, bez względu na wiek i płeć. Miał dom, w którym to robił. Na drzewach wieszał aniołki, po jednym dla każdego dziecka, z którym się rozprawił. To niesamowite. Symbolika przyprawia o gęsią skórę. Małe gwiazdkowe aniołki. Nazwali to miejsce Saniami Mikołaja. Łapiesz, Hicks?

- Nie.

- Sanie Mikołaja, tak po prostu, ale też ssanie, z podtekstem seksualnym. Teraz kumasz?

- Nie. - Hicks nie miał pojęcia, co wspólnego ma Święty Mikołaj z facetem pokroju Manxa.

- Dom spłonął, ale ozdoby wciąż tam są, wiszą na

drzewach, na pamiątkę. - Szarpnęła tasiemki stroju pielęgniarce. - Seryjni zabójcy mnie podniecają. Mogę myśleć tylko o tym, co bym takiemu zrobiła, żeby mnie nie zabił. Idź, pstryknij fotkę i prześlij mi e-mailem. I powiedz, co zrobisz, jeśli się dla ciebie nie rozbiore.

Hicks nie widział powodu, żeby spierać się z taką logiką, a poza tym i tak musiał pójść na obchód. Co więcej, jeśli ten facet zabił wielu ludzi, może faktycznie warto pstryknąć fotkę i dodać ją do kolekcji. Już zrobił kilka zabawnych zdjęć, ale uznał, że dobrze będzie mieć takie z seryjnym zabójcą, żeby zademonstrować mroczniejszą, poważniejszą stronę swojej natury.

W windzie wycelował z rewolweru w swoje odbicie i powiedział:

- Co wolisz mieć w ustach, lufę czy mojego wielkiego pytona? - Ćwiczył, co powie Sashy.

Wszystko było dobrze, dopóki nie włączyła się jego krótkofalówka.

- Słuchaj, kretynie, baw się dalej bronią, a może palniesz sobie w łeb i będziemy mogli zatrudnić kogoś, kto naprawdę zna się na tej robocie - powiedział jego wuj.

Hicks zapomniał, że w windzie jest kamera. Na szczęście nie było ukrytego mikrofonu. Schował trzydziestkęósemkę do kabury i spuścił głowę, mając nadzieję, że rondo kapelusza skrywa jego twarz. Odczekał dziesięć sekund, walcząc ze złością i zakłopotaniem, potem wcisnął klawisz nadawania, mając zamiar wygarnąć coś naprawdę, kurwa, ostrego, żeby ten stary pryk natychmiast się zamknął. Ale zamiast tego wykrztusił „potwierdzam” cichym, piskliwym głosem, którego nienawdził.

Wuj Jim załatwił mu robotę w ochronie, tuszując fakt, że Hicks nie skończył szkoły i był aresztowany za pijaństwo w miejscu publicznym. Hicks pracował w szpitalu zaledwie od dwóch miesięcy i już dwa razy zasłużył na „wzmiankę pochwalną”, raz za spóźnienie, raz za to, że się nie zgłosił przez radio (w tym czasie była jego kolej w strzemionach). Wuj Jim już zapowiedział, że jeśli dostanie trzecie

upomnienie przed upływem roku, będą musieli się z nim pożegnać.

Wuj Jim miał nieskazitelne akta - prawdopodobnie dlatego, że jego jedyne zadanie polegało na sześciogodzinnym siedzeniu w biurze ochrony, gdzie jednym okiem patrzył na monitory, a drugim oglądał pornole w Skinemaxie. Pomyśleć tylko, trzydzieści lat oglądania telewizji za czternaście dolarów za godzinę plus pełen pakiet świadczeń. Hicksowi marzyła się taka posada, ale jeśli straci pracę w ochronie - gdy znowu dostanie naganę - być może będzie musiał wrócić do McDonalda. Byłoby paskudnie. Kiedy zatrudnił się w szpitalu, zrezygnował z nadzwyczaj prestiżowego stanowiska w okienku baru dla zmotoryzowanych i nie cierpiał samej myśli o starcie od najniższego szczebla. Co gorsza, najprawdopodobniej oznaczałoby to również rozstanie z Sashą, z jej kluczem do szafki z lekami i całą zabawą z zamienianiem się miejscami w strzemionach. Sasha leciała na jego uniform; nie przypuszczał, że zdoła ją zauroczyć dziwnym mundurkiem pracownika McDonald's.

Hicks zjechał na dół i wyszedł z windy nonszalanckim krokiem. Kiedy drzwi się zamknęły, odwrócił się, złapał za krocze i posłał im namiętny pocałunek.

- Poliż mi jaja, zboczona gruba dupo - mruknął. - Idę o zakład, że ci się spodoba!

O wpół do dwunastej w nocy w piwnicach szpitala niewiele się działo. Większość światel była zgaszona, jarzeniówki paliły się co piętnaście metrów w ramach wprowadzonych niedawno oszczędności. Od czasu do czasu z korytarza korzystali ludzie, którzy przychodzili tunelem z parkingu po drugiej stronie ulicy.

Na parkingu stała bezcenna własność Hicksa, czarny trans am z tapicerką w zebry i niebieskimi neonowymi lampami, które zamontowano w podwoziu, wskutek czego ryczący samochód pędzący drogą wyglądał jak UFO rodem z *E.T.* Jeśli straci tę robotę, z niego też będzie musiał zrezygnować. Nie da rady go spłacić, przewracając hamburgery. Sasha uwielbiała pieprzyć się z nim w tym

aucie. Miała fioła na punkcie zwierząt i fotele obite sztuczną skórą w zebnę ujawniały dziką stronę jej natury.

Hicks myślał, że znajdzie seryjnego zabójcę w kostnicy, ale jak się okazało, przewieziono go do prosektorium. Któryś z lekarzy rozpoczął sekcję, ale przerwał pracę, żeby dokończyć jutro. Hicks zapalił tylko światła nad stołami, więc resztę pomieszczenia spowijały ciemności. Zaciągnął zasłonkę na okienku w drzwiach. Nie było zasuw, więc wcisnął pod drzwi klin, jak najgłębiej, żeby nie wszedł tu jakiś nieproszony gość.

Lekarz, który zajmował się Charliem Manxem, przed wyjściem zakrył go prześcieradłem. Tej nocy było tu tylko jedno ciało, wózek stał pod tabliczką z napisem: *HIC LOCUS EST UBI MORS GAUDET SUCCURRERE VITAE*. Hicks postanowił, że pewnego dnia sprawdzi w Google, co to, do diabła, znaczy.

Ściągnął z Manxa prześcieradło, przyjrzał się zwłokom. Klatka piersiowa została rozcięta, a następnie zszyta szorstką czarną nicią. Cięcie miało kształt litery Y i sięgało od obojczyków do kości miednicy. Pyton Charliego Manxa był długi i chudy jak koszerna parówka Hebrew National. Truposz miał upiorny przodozgrzyz, zakrzywione brązowe zęby zachodziły na dolną wargę. Oczy były otwarte i Hicks odniósł wrażenie, że patrzą na niego z czymś w rodzaju tępej fascynacji.

Nie był tym zachwycony. Widział wielu nieboszczyków, ale zwykle mieli zamknięte oczy. A jeśli były otwarte, zasnuwała je mleczna błona, jakby coś się w nich ścięło – może samo życie. Oczy Manxa wydawały się jasne i czujne, jak oczy żywej osoby. Wyrażały żądną, ptasią ciekawość. Nie, Hicks ani trochę się tym nie przejmował.

W zasadzie nie bał się zmarłych. Nie bał się również ciemności. Trochę się bał wuja Jima i Sashy, gdy zapowiadała, że wetknie mu palec w dupę (upierała się, że będzie zadowolony). Miał nawracające koszmary o tym, że przychodzi do pracy bez spodni i błąka się po korytarzach z futem zwisającym między udami, a ludzie odwracają się i

wytrzeszczają oczy. To było mniej więcej wszystko, jeśli chodzi o jego lęki i fobie.

Zastanawiał się, dlaczego nie zapakowali Manxa do szuflady, ponieważ wyglądało na to, że skończyli z klatką piersiową. Ale kiedy go posadził – oparł o ścianę, układając długie chude ręce na podołku – zobaczył wyrysowaną markerem kropkowaną linię z tyłu czaszki. Z artykułu przeczytanego przez Sashę wiedział, że Manx ponad dziesięć lat spędził w śpiączce, z której czasami się wybudzał. Nic dziwnego, że lekarze chcieli pogrzebać w jego głowie. Poza tym kto nie chciałby zerknąć na mózg seryjnego zabójcy? Pewnie był przypadkiem na jakąś medyczną publikację.

Na wózku przy zwłokach leżały narzędzia do przeprowadzania sekcji – piła, kleszcze, kostotomy, młotek do kości. Z początku Hicks pomyślał, że wciśnie w rękę Manxa skalpel, który wyglądał naprawdę seryjniezabójczo, ale narzędzie było zbyt małe. Wiedział, że nie wypadnie dobrze na zdjęciu, które zrobi tym głównianym aparatem w swojej komórce.

Młotek kostny to zupełnie inna sprawa. Był duży, srebrny, z główką w kształcie cegły, z jednej strony spłaszczoną i ostrą jak tasak. Na końcu trzonka znajdował się haczyk służący do podważania krawędzi czaszki i ściągania jej jak kapsel z butelki. Młotek był hardcorowy.

Wpasowanie go do ręki Manxa zajęło mu minutę. Skrzywił się z obrzydzenia na widok ohydnych długich paznokci, rozszczepionych na końcach i żółtych jak krzywe zęby. Facet przypominał tego aktora z *Obcego*, Lance'a Henriksena – gdyby ktoś ogolił Henriksenowi głowę, a później kilka razy przywalił mu ciężkim kijem. Na domiar złego Manx miał różowobiałe, obwisłe cycki, które w koszmarny sposób przywodziły Hicksowi na myśl to, co jego matka ma pod biustonoszem.

Hicks wybrał dla siebie piłę do kości i objął ramiona Manxa. Manx się pochylił, jego duża łysa głowa opadła na pierś. W porządku. Teraz wyglądają jak kumple od kielicha po paru głębszych. Hicks wyłuskał komórkę z kieszonki u

pasa i odsunął ją od siebie. Przymrużył oczy, zrobił złowieszczy grymas i pstryknął.

Opuścił trupa i spojrział na ekran. Zdjęcie nie było porażająco dobre. Hicks chciał wyglądać groźnie, ale zbolący wyraz jego twarzy sugerował, że Sasha w końcu wwierciała mu palec w dupę. Postanowił zrobić powtórkę, gdy nagle usłyszał głosy płynące zza drzwi prosektorium. Przez krótką straszną chwilę myślał, że jednym z rozmawiających jest wuj Jim.

- Tego małego drania czeka paskudna niespodzianka. Nie ma pojęcia...

Hicks zakrył ciało prześcieradłem, serce waliło mu tak, jakby ktoś szybko strzelał z glocka. Rozmawiający zatrzymali się tuż za drzwiami i był pewien, że zaraz zaczną je pchać, żeby wejść do prosektorium. Ruszył do drzwi, chcąc wyciągnąć klin, gdy spostrzegł, że wciąż trzyma piłę. Drżącą ręką położył ją na wózku z narzędziami.

W połowie drogi do drzwi odzyskał nieco pewności siebie. Drugi mężczyzna się śmiał, a pierwszy mówił:

- ...kazał wyrwać wszystkie cztery trzonowce. Podali mu sewofluran i kiedy rwali zęby, nic nie czuł. Ale kiedy się ocknie, poczuje się tak, jakby dostał w gębę łopata...

Hicks nie wiedział, komu usunięto zęby, ale gdy przysłuchał się głosowi, poznał, że to nie wuj Jim. W korytarzu perorował jakiś stary sukinsyn o trzeszczącym głosie starego sukinsyna. Hicks zaczekał, aż mężczyźni odejdą, i dopiero wtedy wyjął klin. Policzył do pięciu i wysmyknął się z prosektorium. Musiał napić się wody i umyć ręce. Wciąż czuł się trochę roztrzęsiony.

Oddychając głęboko, wybrał się na długą, uspokajającą przechadzkę. Kiedy w końcu dotarł do męskiej toalety, chciał nie tylko się napić, ale też rozładować jelita. Wybrał kabinę dla niepełnosprawnych, żeby mieć więcej miejsca na nogi. Gdy zrzucał bomby, wysłał Sashy zdjęcie z Manxem i napisał: *Nachyl się i spusc spodnie tatus idzie jak zobaczy ze nie robisz co kaze szalona dziwko. Czeka na mnie w pokoju kary.*

Ale gdy pochylał się nad umywalką, hałaśliwie siorbiąc wodę, opadły go niepokojące myśli. Był tak wstrząśnięty brzmieniem głosów w korytarzu, że nie mógł sobie przypomnieć, czy ułożył zwłoki w takiej samej pozycji, w jakiej je zastał. Prześladowała go straszna myśl, że zostawił młotek w garści Charliego Manxa. Jeśli rano znajdą narzędzie, jakiś przemądrzały doktor będzie chciał wiedzieć, dlaczego zostało przełożone, i wtedy wuj Jim przemagluje cały personel. Hicks nie wiedział, czy da radę wytrzymać taki stres.

Postanowił wrócić do prosektorium i sprawdzić, czy zostawił wszystko w należyтым porządku.

Przystanął przed drzwiami, żeby zajrzeć przez okienko, ale przecież wcześniej zaciągnął zasłonkę. To jedna z rzeczy do poprawienia. Pchnął drzwi i zmarszczył czoło. Opuszczając w pośpiechu prosektorium, zgasił wszystkie światła – nie tylko te nad wózkiem, ale również światła bezpieczeństwa, które zawsze paliły się w kątach pomieszczenia i nad biurkiem. Wnętrze pachniało jodyną i benzaldehydem. Hicks pozwolił, żeby drzwi ze szmerem zamknęły się za jego plecami, i stanął w ciemności.

Przeciągał ręką po wyłożonej płytkami ścianie, szukając po omacku włączników światła, kiedy usłyszał pisk kółek i ciche brzęknięcie metalu.

Zamarł, żeby nadstawić ucha, i w następnej chwili poczuł, że ktoś pędzi w jego stronę. Nie uprzedził go dźwięk ani nic, co mógłby zobaczyć. Było to coś, co poczuł na skórze i w uszach, jakby zmieniło się ciśnienie. Zrobiło mu się niedobrze. Przestał szukać włącznika światła i sięgnął do kabury po rewolwer. Wyjął go do połowy, gdy nagle usłyszał świst, i coś, co przypominało aluminiowy kij do baseballu, uderzyło go w brzuch. Zgiął się wpół z przeciągłym jękiem. Rewolwer wsunął się z powrotem do kabury.

Pałka się odsunęła i wróciła. Trafiała go w lewą stronę głowy, nad uchem, z taką siłą, że obrócił się na pięcie i runął na podłogę. Poleciał do tyłu: wypadł z samolotu i szybował w dół przez zamarzniete nocne niebo, bez jednego dźwięku, z

powietrzem wyciśniętym z płuc.



Kiedy Ernest Hicks otworzył oczy, pochylał się nad nim jakiś mężczyzna z nieśmiałym uśmiechem. Hicks otworzył usta, żeby zapytać, co się stało, a wtedy ból zalał mu wnętrze czaszki. Przekręcił głowę i wyrzygał się na czarne mokasyny faceta. Jego żołądek wypompowywał kolację - kurczaka General Tso - w wonnym strumieniu.

- Przepraszam, stary - wymamrotał, gdy skończył wymiotować.

- Nic nie szkodzi, synu - powiedział lekarz. - Nie próbuj wstawać. Zabierzemy cię na erkę. Musimy sprawdzić, czy nie doznałeś pęknięcia czaszki.

Hicksowi zaczęło się przypominać, co się stało: mężczyzna w ciemności przywalił mu metalową pałką.

- Co jest, kurwa? - krzyknął. - Co, kurwa? Mój rewolwer...? Czy ktoś widział mój rewolwer?

Lekarz - na identyfikatorze widniało nazwisko SOPHER - położył rękę na jego piersi, nie pozwalając mu usiąść.

- Chyba zniknął, synu - odrzekł.

- Nie próbuj wstawać, Ernie - przykazała Sasha, stojąca metr dalej i patrząca na niego z przerażoną miną. Towarzyszyło jej kilka innych pielęgniarek, wszystkie blade i przemęczone.

- Boże... O mój Boże. Ukradli moją trzydziestkęósemkę. Zabrali coś więcej?

- Tylko twoje spodnie - odparł Sopher.

- Tylko moje... co? Kurwa, co?

Hicks wykręcił głowę, żeby spojrzeć, i zobaczył, że jest nagi od pasa w dół, z fiutem wywalonym na pokaz doktorowi, Sashy i pozostałym pielęgniarkom. Pomyślał, że zaraz znowu zwymiotuje. Było to jak zły sen, który czasami go nękał, ten o przychodzeniu do pracy bez spodni, gdy wszyscy się na niego gapią. Nagle przyszła mu do głowy koszmarna myśl, że ten chory kutas, który ściągnął mu spodnie, być może palcem spenetrował jego dupę, czym zawsze groziła mu Sasha.

- Dotykał mnie? Czy, kurwa, mnie macał?

- Nie wiemy - odparł lekarz. - Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie po prostu nie chciał, żebyś wstał i rzucił się za nim w pościg. Wykombinował, że na pewno tego nie zrobisz, jeśli będziesz na wpół nagi. Całkiem możliwe, że zabrał rewolwer tylko dlatego, że miałeś go w kaburze na pasku.

A jednak facet nie zabrał mu koszuli. Wziął wiatrówkę, lecz nie koszulę.

Hicks zaczął płakać. Pierdnął: przeciągłe, świszczące, jakby wilgotne pierdnięcie. Nigdy nie czuł się taki żalony.

- Boże, o mój Boże... Kurwa, co się dzieje z tymi ludźmi? - krzyknął.

Doktor Sopher pokręcił głową.

- Kto wie, co sobie myślał? Może czegoś się naćpał. Może to jakiś chory czubek, który chciał zdobyć jedyne w swoim rodzaju trofeum. Niech gliny się o to martwią. Ja chcę się skupić wyłącznie na tobie.

- Trofeum? - krzyknął Hicks, wyobrażając sobie swoje spodnie wiszące w ramie na ścianie.

- Tak, całkiem możliwe - potwierdził doktor Sopher, zerkając przez ramię na prosektorium. - To jedyny powód, jaki przychodzi mi na myśl, dlaczego ktoś chciałby tu przyjść i ukraść ciało słynnego seryjnego zabójcy.

Hicks obrócił głowę - gong zahuczał w mózgu, przepelniając jego czaszkę mrocznymi echemi - i zobaczył, że wózek został przetoczony na środek pomieszczenia. Ba, był pusty. Jęknął i zamknął oczy.

Usłyszał szybki stukot obcasów płynący z głębi korytarza i rozpoznał kacze człapanie swojego wuja Jima, wyrwanego z biurka i mocno z tego powodu niezadowolonego. Nie miał logicznego powodu bać się wuja. Na litość boską, przecież to on jest ofiarą, on został napadnięty. Ale osamotniony i żalony w swojej jedynej kryjówce - ciemności pod powiekami - czuł, że logika nie ma tu nic do rzeczy. Nadchodzi wuj Jim, a wraz z nim trzecie upomnienie, które spadnie na niego niczym srebrny młotek. Hicks dosłownie

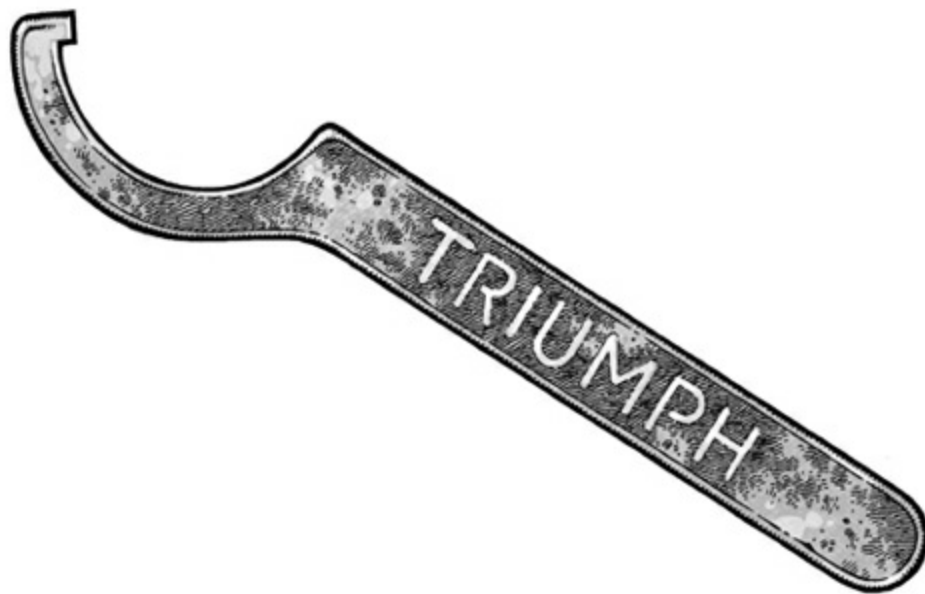
został przyłapany z opuszczonymi spodniami i wiedział, że przynajmniej w jednym znaczeniu tego wyrażenia już nigdy więcej nie wskoczy w spodnie ochroniarza.

Wszystko przepadło, wszystko zostało mu zabrane w tej jednej chwili w cieniach prosektorium: dobra praca, figlowanie z Sashą, strzemiona i poczęstunki z szafy medykamentów, a także zabawne zdjęcia ze zwłokami. Przepadł nawet jego trans am z tapicerką w zebkę, choć o tym miał się dowiedzieć dopiero za kilka godzin; chory kutas, który go ogłuszył, skorzystał ze znalezionych w kieszeni kluczyków i odjechał w siną dal.

Przepadło. Wszystko przepadło.

Odeszło wraz z martwym starym Charliem Manxem i już nigdy nie wróci.

ZŁA MATKA
16 GRUDNIA 2011–6 LIPCA 2012



**Ośrodek leczenia uzależnień
w Lamar, Massachusetts**

Lou przywiózł chłopaka w odwiedziny przed Bożym Narodzeniem, gdy Vic McQueen przebywała na odwyku, zaliczając zasądzone dwadzieścia osiem dni. W pokoju rekreacyjnym, gdzie stała choinka z drutu i lamety, wszyscy

troje jedli posypane cukrem pudrem pączki z supermarketu.

- Czy tu wszyscy są wariatami? - zapytał Wayne bez cienia nieśmiałości; nigdy nie był nieśmiały.

- Pijakami - odparła Vic. - Wariaci byli w poprzednim miejscu.

- Więc nastąpiła poprawa?

- Awans społeczny - powiedział Lou Carmody. - W tej rodzinie wszyscy awansujemy.

Haverhill

Vic opuściła ośrodek tydzień później, wolna od nałogu po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu. Wróciła do domu, gdzie przez długi czas patrzyła, jak jej matka umiera, jak podejmuje heroiczne próby, żeby się wykończyć.

Vic jej w tym pomagała: kupowała kartony Virginia slims, które mama lubiła, i paliła razem z nią. Linda ćmiła papierosy nawet wtedy, gdy zostało jej tylko jedno płuco. Obok łóżka stała poobijana zielona butla z tlenem, z napisem ŁATWOPALNE wydrukowanym nad symbolem czerwonych płomieni. Linda McQueen przykładała maskę do twarzy, żeby sztachnąć się tlenem, potem ją opuszczała i zaciągała się papierosem.

- W porządku, no nie? Nie martwisz się... - Linda znacząco skinęła kciukiem na butlę z tlenem.

- Co? Że wysadzisz w powietrze moje życie? - zapytała Vic.
- Za późno, mamó. Ubiegłam cię.

Od wyjazdu na dobre tamtego lata, gdy skończyła osiemnaście lat, Vic nie spędziła ani jednego dnia w tym domu ze swoją matką. W dzieciństwie nie zdawała sobie sprawy, jaki ciemny w środku jest jej dom. Stał w cieniu wysokich sosen i prawie nie docierało do niego naturalne światło, więc nawet w południe trzeba było palić lampy, żeby widzieć, dokąd, cholera, się idzie. Teraz śmierdział

papierosami, moczem i ekskrementami. Pod koniec stycznia rozpaczliwie pragnęła stamtąd uciec. Ciemność i brak powietrza przywodziły jej na myśl zsypanie na pranie w domu Charliego Manxa.

- Powinniśmy jechać gdzieś latem. Mogłybyśmy wynająć coś nad jeziorem, jak kiedyś. - Nie musiała mówić „nad jeziorem Winnepesaukee”. To zawsze było po prostu jezioro, jakby nie istniał inny zbiornik wodny godzien wzmianki. Podobnie jak „miasto” zawsze oznaczało Boston. - Mam pieniądze.

Prawdę mówiąc, niewiele. Udało jej się przepić znaczną część zarobków. Większość tego, czego nie przepiła, pochłonęły honoraria prawników i spłaty w różnych instytucjach kredytowych. A jednak zostało jej jeszcze dość, żeby być w lepszej sytuacji finansowej niż przeciętny wychodzący z nałogu alkoholik z tatuażami i kryminalną przeszłością. Będzie miała więcej pieniędzy, jeśli zdoła skończyć następną książkę z cyklu *Wyszukiwarka*. Czasami myślała, że jeśli weźmie się w garść, wytrzeźwieje i zabierze się do pracy, Bóg jej pomoże. Powinna to zrobić dla swojego syna, powinna być przy nim, ale nie była.

Linda uśmiechała się w przebiegły, senny sposób, który zdawał się mówić, iż obie wiedzą, że nie doczeka czerwca, że tego lata pojedzie na wakacje trzy przecznice dalej, na cmentarz, gdzie są pochowani jej rodzice i starsze siostry. Ale powiedziała:

- Jasne. Zabierz swojego chłopaka od Lou, weź go ze sobą. Chciałabym spędzić z małym trochę czasu... jeśli uważasz, że to mu nie zaszkodzi.

Vic nie podjęła tematu. Pracowała nad ósmym krokiem swojego programu i przyjechała do Haverhill, żeby się zmienić na lepsze. Przez długie lata nie chciała, żeby Linda poznała Wayne'a, żeby stała się częścią jego życia. Ograniczanie jej kontaktu z chłopcem sprawiało Vic przyjemność, czuła, że jej zadaniem jest ochrona syna przed Lindą. Teraz żałowała, że nie ma nikogo, kto chroniłby Wayne'a przed nią samą. Jemu też musiała wiele

wynagrodzić.

- Mogłabyś przedstawić wnuka swojemu ojcu, skoro o tym mowa - podjęła Linda. - Jest tutaj, wiesz, w Dover. Mieszka niedaleko jeziora. Wciąż się zajmuje wysadzaniem. Wiem, że z przyjemnością poznałby chłopaka.

Vic zbyła propozycję milczeniem. Czy Christopherowi McQueenowi też coś musi wynagrodzić? Czasami tak myślała, a potem sobie przypominała, jak mył pod zimną wodą otarte knykcie, i rezygnowała z pomysłu.

Przez całą wiosnę padało, deszcz więził Vic w domu w Haverhill z umierającą kobietą. Czasami lało tak mocno, że miała wrażenie, że jest zamknięta we wnętrzu bębna. Linda kasłała grudami czerwonej flegmy w gumowe korytko i oglądała program Food Network, nastawiony o wiele za głośno. Wyrwanie się z tego domu - ucieczka - zaczęło stawać się desperacką kwestią życia lub śmierci. Kiedy Vic zamykała oczy, widziała płaską tafłę jeziora o zachodzie słońca, ważki wielkości jaskółek sunące nad powierzchnią wody.

Ale nie zdecydowała się wynajść niczego, dopóki pewnego wieczoru Lou nie zadzwonił z Kolorado. Zasugerował, żeby Wayne i Vic razem spędzili lato.

- Dzieciak potrzebuje mamy - powiedział. - Nie sądzisz, że najwyższa pora?

- Chciałabym - odparła, starając się zachować spokojne brzmienie głosu. Oddychanie sprawiało jej ból. Minęły dobre trzy lata, odkąd rozstała się z Lou. Nie mogła znieść jego bezwarunkowej miłości i tak marnego jej odwzajemniania. Musiała wymierzyć sobie karę.

A jednak jedną rzeczą było zerwanie z Lou, a drugą rozstanie się z synem. Lou powiedział, że dzieciak potrzebuje matki, ale Vic pomyślała, że to ona bardziej potrzebuje Wayne'a. Perspektywa spędzenia z nim lata - rozpoczęcie na nowo, podjęcie kolejnej próby bycia matką, na jaką Wayne zasługiwał - budziła w niej niekiedy panikę. Ale również iskiereki olśniewającej, migoczącej nadziei. Nie lubiła takich intensywnych uczuć. Przypominały jej o obłędzie.

- Zgadzasz się? Powierzysz mi go? Po całym tym bajzlu, jakiego narobiłam?

- O ja cię - mruknął. - Jeśli jesteś gotowa wrócić na ring, on chętnie wskoczy tam razem z tobą.

Vic nie wspomniała Lou, że kiedy ludzie razem wchodzą na ring, to zwykle dają sobie wzajemnie ostro popalić. Może to nie była taka zła metafora. Bóg wie, że Wayne miał mnóstwo ważnych powodów, żeby chcieć zadać jej kilka solidnych sierpowych. Jeśli Wayne potrzebował worka treningowego, Vic była gotowa przyjąć ciosy. To będzie jej pokuta.

Uwielbiała to słowo. Podobało jej się jego brzmienie.

Rozpoczęła gorączkowe poszukiwania miejsca, w którym mogliby spędzić lato, takiego, żeby pasowało do jej wyobrażeń. Gdyby miała jeszcze swojego raleigha, mogłaby w ciągu kilku minut znaleźć drogę do idealnego miejsca, wystarczyłaby jedna szybka wyprawa Krótszą Drogą i z powrotem. Oczywiście, teraz wiedziała, że nigdy nie było żadnych podróży przez Most Krótsza Droga. Poznała prawdę o swoich ekspedycjach poszukiwawczych w szpitalu dla umysłowo chorych w Kolorado. Jej zdrowie psychiczne było delikatne jak motyl trzymany w złączonych dłoniach - nosiła go ze sobą wszędzie, bojąc się, co będzie, jeśli go puści albo niechcący zgniecie.

Bez Krótszej Drogi musiała zdać się na Google, jak robią wszyscy inni. Dopiero pod koniec kwietnia znalazła to, czego szukała, odosobniony domek na działce szerokości trzydziestu metrów, z własnym pomostem, tratwą i powozownią. Był parterowy, więc Linda nie będzie musiała chodzić po schodach. W tym czasie Vic w głębi duszy już wierzyła, że matka pojedzie z nimi, dzięki czemu będzie mogła coś naprawić. Z tyłu domu była nawet rampa dla wózka inwalidzkiego.

Pośrednik przysłał kilka broszur i Vic usiadła na łóżku matki, żeby je z nią obejrzeć.

- Widzisz powozownię? Wysprzątam ją i urządzę tam pracownię. Założę się, że cudownie pachnie - powiedziała Vic.

- Założę się, że pachnie sianem. Jak konie. Ciekawe, dlaczego nie przechodziłam przez fazę fascynacji końmi. Myślałam, że to obowiązkowe u rozpieszczonych dziewczynek.

- W zasadzie oboje z Chrisem nigdy cię nie rozpieszczaliśmy, Vicki. Ja się tego bałam. Obecnie nie sądzę, żeby rodzice mogli zepsuć dziecko. Zrozumiałam to dopiero wtedy, gdy stało się za późno, żeby cokolwiek zmienić. Jak się zdaje, nigdy za bardzo mnie nie pociągało wychowywanie dzieci. Tak się bałam, że zrobię coś złego, że mało kiedy robiłam cokolwiek właściwie.

Vic wypróbowała w głowie kilka różnych kwestii. „To się odnosi do nas obu”, tak brzmiała jedna. „Robiłaś, co w twojej mocy - czyli więcej, niż mogę powiedzieć o sobie” - tak brzmiała druga. „Kochałaś mnie na tyle mocno, na ile umiałaś. Dałabym wszystko, żeby cofnąć czas i kochać cię lepiej” - tak brzmiała trzecia. Ale coś ścisnęło ją za gardło, odebrało jej mowę, i chwila przeminęła.

- W każdym razie - podjęła Linda - nie potrzebowałaś konia. Miałaś swój rower. Szybka Maszyna Vic McQueen. Zabierała cię dalej, niż mógłby cię ponieść wierzchowiec. Szukałam go, wiesz. Parę lat temu. Myślałam, że ojciec wstawił go do piwnicy, i wpadłam na pomysł, że dam go Wayne'owi. Zawsze uważałam, że to rower dla chłopaka. Ale zniknął. Nie wiem, gdzie się podział. - Umilkła, na wpeł zamknęła oczy. Vic podniosła się z łóżka. Zanim doszła do drzwi, Linda dodała:

- Nie wiesz, co się z nim stało, prawda, Vic? Z twoją Szybką Maszyną? W jej głosie pobrzmiwały jakieś chytre, niebezpieczne nuty.

- Przepadł - odparła Vic. - To wszystko, co mi wiadomo.

- Podoba mi się domek - powiedziała matka. - Twój domek nad jeziorem. Znalazłaś dobre miejsce, Vic. Wiedziałam, że znajdziesz. Zawsze byłaś w tym dobra. W znajdowaniu różnych rzeczy.

Vic dostała gęsiej skórki na ramionach.

- Odpocznij, mamó - poradziła, ruszając do drzwi. - Cieszę

się, że podoba ci się to miejsce. Niebawem się tam wybierzemy. Gdy tylko podpiszę papiery, będzie nasz na całe lato. Powinniśmy go oswoić. Spędzić tam parę dni, tylko my dwie.

- Jasne - odparła matka. - A w drodze powrotnej zatrzymamy się w Terry's Primo Subs. Weźmiemy sobie koktajle mleczne.

Mroczny pokój pociemniał jeszcze bardziej, jakby chmura przysłoniła słońce.

- Frappe - poprawiła Vic głosem chrapliwym z emocji. - Jeśli chcesz koktajl, będziesz musiała pójść gdzie indziej.

Matka pokiwała głową.

- Zgadza się.

- W ten weekend - zdecydowała Vic. - Pojedziemy tam w ten weekend.

- Będiesz musiała zajrzeć do mojego terminarza - powiedziała Linda. - Może mam jakieś inne plany.

Nazajutrz rano deszcz przestał padać. W ten weekend, zamiast zabrać matkę nad jezioro Winnepesaukee, Vic zabrała ją na cmentarz i pochowała pod pierwszym tej wiosny gorącym, błękitnym niebem.



O pierwszej w nocy czasu Wschodniego Wybrzeża, a dwudziestej trzeciej czasu obowiązującego w rejonie Gór Skalistych, Vic zadzwoniła do Lou i zapytała:

- Jak myślisz, co będzie chciał robić? To dwa miesiące. Nie wiem, czy zdołam zapewnić mu rozrywkę choćby przez dwa dni.

Lou sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego pytaniem.

- Ma dwanaście lat. Łatwo się z nim dogadać i zajmowanie się nim jest równie łatwe. Jestem pewien, że lubi to, co ty. Co lubisz?

- Whisky Maker's Mark.

Lou zamruczał.

- Wiesz, myślałem o czymś takim jak tenis.

Kupiła rakiety tenisowe, choć nie wiedziała, czy Wayne umie grać. Sama nie grała od tak długiego czasu, że nawet nie mogła sobie przypomnieć zasad punktacji. Wiedziała tylko, że nawet wtedy, gdy człowiek nie ma niczego, zawsze zostaje miłość.

Kupiła stroje kąpielowe, japonki, okulary słoneczne, frisbee. Kupiła także emulsję do opalania, mając nadzieję, że nie będzie chciał zbyt wiele czasu spędzać na słońcu – z uwagi na siebie. Między pobytami w wariatkowie i odwykiem Vic przyzdobiła całe ręce i nogi tatuażami, a długotrwałe wystawianie się na słońce jest zabójcze dla tuszu.

Założyła, że Lou przyleci z nim na Wschodnie Wybrzeże, więc była zaskoczona, kiedy podał jej numer lotu Wayne'a i poprosił, żeby zadzwoniła, kiedy go odbierze.

- Latał już sam?

- W ogóle nie latał, ale ja bym się o to nie martwił – odparł Lou. - Ja cię, dzieciak umie o siebie zadbać. Robi to od jakiegoś czasu. Jest jak dwunastolatek, któremu niedługo stuknie pięćdziesiątka. Chyba jest bardziej podekscytowany samym lotem niż tym, że leci do ciebie. - Zapadło kłopotliwe milczenie. - Przepraszam. Ale ze mnie głupek.

- Nie ma sprawy, Lou - zapewniła.

Nie to ją trapiło. Ani Lou, ani Wayne nie mogli wiedzieć, co najbardziej ją martwi. Przeczowała, co nadchodzi. Przez wszystkie te lata nienawidzenia własnej matki nigdy sobie nie wyobrażała, że sama będzie gorsza.

- Poza tym w zasadzie nie będzie podróżować sam. Leci z Hooperem.

- Aha - mruknęła. - A co on je?

- Zwykle to, co leży na podłodze. Pilota. Twoją bieliznę. Dywanik. Jest jak żarłacz tygrysi w *Szczękach*. Ten, któremu Dreyfuss rozcina brzuch w piwnicy rybaka. Dlatego nazywamy go Hooper. Pamiętasz żarłacza tygrysięgo? Miał w żołądku tablicę rejestracyjną.

- Nie oglądałam *Szczęk*. Na odwyku widziałam jeden z sequeli. Ten z Michaeliem Caine'em.

Znowu zapadła cisza, tym razem pełna zakłopotania i

zdumienia.

- Jezu, nic dziwnego, że nasz związek nie przetrwał - skomentował Lou.

Trzy dni później o szóstej rano Vic stała przy oknie w holu lotniska Logana, patrząc, jak 727 kołuje na płycie i podchodzi do rękawa. Pasażerowie wyłonili się z tunelu i płynęli obok niej strumieniem, a ona starała się przepędzić niepokój - do diabła, gdzie jest Wayne? Czy Lou podał jej właściwe informacje dotyczące lotu? Wayne jeszcze nawet nie był pod jej opieką, a ona już spierdoliła sprawę... gdy nagle chłopak przymaszerował, tuląc w ramionach plecak jak ulubionego misia. Rzucił plecak i Vic go uściskała, posapywała przy jego uchu, skubała go zębami po szyi, aż krzyknął ze śmiechem, żeby go puściła.

- Podobał ci się lot? - zapytała.

- Tak bardzo, że zasnąłem zaraz po starcie i wszystko mnie ominęło. Dziesięć minut temu byłem w Kolorado, a teraz jestem tutaj. Czy to nie obłąd? Przeniosłaś się kiedyś z miejsca na miejsce w tak krótkim czasie?

- Fakt. Kompletny obłąd - zgodziła się.

Hooper, wielki bernardyn, siedział w transporterce wielkości dzieciennego łóżeczka i musieli połączyć siły, żeby go ściągnąć z karuzeli bagażowej. Ślina ciekła mu z pyska. W klatce wokół jego łap leżały szczątki książki telefonicznej.

- Co to było? - zapytała Vic. - Lunch?

- Lubi żuć różne rzeczy, gdy jest zdenerwowany - wyjaśnił.
- Tak samo jak ty.

Pojechali do domu Lindy na kanapki z indykiem. Hooper przekąsił karmę z puszki, jedną japonkę z nowej pary i rakietę tenisową Vic, jeszcze w foliowym opakowaniu. Mimo otwartych okien dom pachniał popiołem z papierosów, mentolem i krwią. Vic nie mogła doczekać się wyjazdu. Zapakowała stroje kąpielowe, arkusze brystolu, tusze i akwarele, psa i chłopca, którego kochała, ale którego, jak się obawiała, nie znała, na którego nie zasłużyła, i pojechali na północ, żeby razem spędzić lato.

Vic McQueen próbuje być matką, część druga, pomyślała.

Triumph czekał.

Jeziro Winnipesaukee

Rankiem tego dnia, kiedy Wayne znalazł triumpha, Vic siedziała na tarasie i rozplątywała żyłki. W szafie w domku odkryła wędki, popstrzone rdzą zabytki z lat osiemdziesiątych, i kłęb splątanych żyłek wielkości pięści. Przyszło jej na myśl, że w powozowni widziała skrzynkę ze sprzętem wędkarskim, więc posłała Wayne'a, żeby jej poszukał.

Siedziała na końcu pomostu, bez butów i skarpetek, ze stopami w wodzie, próbując rozplątać kłębek. Kiedy brała kokę - tak, to też przerabiała - mogłaby zмагаć się z tym kłębowiskiem przez szczęśliwą godzinę z przyjemnością równą tej, jaką dawał jej seks. Bawiłaby się tym węzłem jak Slash strunami gitary podczas wygrywania solówki.

Ale po pięciu minutach miała dość. Bez sensu. W skrzynce będzie nóż. Trzeba wiedzieć, kiedy próba rozplątania czegoś ma sens, a kiedy po prostu należy zastosować radykalne środki.

Poza tym słońce błyskające na wodzie raziło ją w oczy. Zwłaszcza w lewe oko. Lewe oko wydawało się twarde i ciężkie, jak zrobione z ołowiu, a nie z miękkiej tkanki.

Vic wyciągnęła się w ciepło, żeby czekać na powrót Wayne'a. Chciała się zdrzemnąć, ale za każdym razem, gdy odpływała, budziła się nagle, słysząc w głowie piosenkę wariatki.

Usłyszała tę piosenkę w szpitalu psychiatrycznym w Denver, dokąd trafiła po spaleniu własnego domu. Piosenka wariatki miała tylko cztery linijki, ale nikt - ani Bob Dylan, ani John Lennon, ani Byronn czy Keats - nigdy nie połączyli czterech wersów w taki wnikliwy i emocjonalnie bezpośredni wiersz:

*Śpiewam tę piosenkę, nikt oka nie zmruży!
Mijają godziny, noc się strasznie dłuży!
Vic chciałaby się przejechać na swoim starym rowerze
Równie dobrze może marzyć o jeździe na reniferze!*

Piosenka zbudziła ją pierwszego wieczoru w szpitalu. Śpiewała jakaś kobieta, gdzieś w pokoju pod kluczem. I śpiewała nie tylko dla siebie; była to serenada skierowana do Vic.

Wariatka wykrzykiwała-wywrzaskiwała swoją piosenkę trzy czy cztery razy w ciągu nocy, zwykle wtedy, gdy Vic zapadała w sen. Czasami śmiała się tak bardzo, że nie mogła dokończyć piosenki.

Vic też trochę wrzeszczała. Krzyczała, żeby ktoś kazał się tej piździe zamknąć. Inni pacjenci wyli, cały oddział zaczynał wyć, wszyscy wrzaskiem domagali się ciszy, chcieli spać, chcieli spokoju, niech to się wreszcie skończy. Vic wrzeszczała, zdzierając sobie gardło, aż przychodzili pielęgniarze, żeby ją unieruchomić i wbić jej igłę w ramię.

W ciągu dnia ze złością przyglądała się twarzom innych pacjentów, wypatrując oznak poczucia winy i wyczerpania. Ale wszyscy wyglądali na wyczerpanych i pełnych poczucia winy. Podczas sesji terapii grupowej pilnie słuchała współuczestników z myślą, że ochrypli głos zdradzi nocną śpiewaczkę. Ale wszyscy mówili chrapliwie z powodu ciężkich nocy, podłej kawy, papierosów.

W końcu nadszedł taki wieczór, kiedy Vic przestała słyszeć wariatkę z jej zwariowaną piosenką. Pomyślała, że przenieśli ją do innego skrzydła, robiąc ukłon w stronę innych pacjentów. Dopiero pół roku po wyjściu ze szpitala wreszcie rozpoznała głos i zrozumiała, kim była ta wariatka.

- Mamy motocykl w garażu? - zapytał Wayne. Zaraz potem, zanim miała czas przemyśleć pytanie, dodał: - Co śpiewasz?

Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że szepcze pod nosem. Nucona po cichu piosenka brzmiała znacznie lepiej niż wtedy, gdy wywrzaskiwała ją ze śmiechem w domu

wariatów.

Usiadła, pocierając twarz.

- Nie wiem. Nic.

Wayne obrzucił ją mrocznym, pełnym powątpiewania spojrzeniem.

Wszedł na pomost drobnym, zdradzającym wysiłek krokiem, z Hooperem człapiącym obok jak oswojony niedźwiedź. Dźwigał wielką poobijaną żółtą skrzynkę z narzędziami, oburącz trzymając za uchwyt. W jednej trzeciej drogi puścił ją i skrzynka upadła z hukiem. Pomost się zatrzęsł.

- Mam skrzynkę - oznajmił.

- To nie jest skrzynka wędkarska.

- Mówiłaś, żeby szukać brązowej skrzynki.

- Ta jest żółta.

- Miejscami brązowa.

- Miejscami zardzewiała.

- Tak? I co z tego? Rdza jest brązowa.

Otworzył zatrzaski, podniósł wieko, spojrzał na zawartość spod ściągniętych brwi.

- Łatwo się pomylić - przyznała.

- Może to służy do wędkowania? - zapytał i wyjął jakieś dziwne narzędzie. Wyglądało jak ostrze miniaturowej kosi, na tyle małe, żeby pasować do jego dłoni. - Jest w kształcie haczyka.

Vic wiedziała, co to jest, choć minęły lata, odkąd widziała coś takiego. Gdy Wayne wszedł na pomost, w końcu do niej dotarło, co powiedział.

- Pokaż mi tę skrzynkę - poleciła.

Odwróciła ją w swoją stronę i zobaczyła kolekcję płaskich zardzewiałych kluczy, przyrząd do pomiaru ciśnienia w oponach i stary klucz z prostokątną główką, z wybitym napisem TRIUMPH.

- Gdzie to znalazłeś?

- Na starym motocyklu. Czy został wynajęty razem z domem?

- Pokaż mi go - poleciła Vic.

Powozownia

Vic była w powozowni tylko raz, gdy po raz pierwszy oglądała nieruchomość. Rozmawiała z matką o wysprzątaniu tego miejsca i urzędzeniu tam pracowni, ale na razie jej ołówki i farby nie opuściły szafy w sypialni. Powozownia była zagracona tak samo jak w dniu ich przyjazdu nad jezioro.

W długim, wąskim pomieszczeniu panował taki bałagan, że nikt nie zdołałby przejść prosto od wejścia do tylnej ściany. Z boku wydzielono kilka boksów, w których kiedyś trzymano konie. Vic lubiła zapach tego miejsca, woń benzyny, ziemi, starego siana i drewna, spieczonego i starzejącego się od osiemdziesięciu lat.

Gdyby była w wieku Wayne'a, zamieszkałaby na stryszku wśród gołębi i latających wiewiórek. Ale wydawało się, że to nie w jego stylu. Wayne nie obcował z naturą. Robił zdjęcia swoim iPhone'em, potem pochylał się nad ekranem i je oglądał. Nad jeziorem najbardziej podobało mu się to, że w domu jest Wi-Fi.

Nie znaczy to, że chciał siedzieć pod dachem. Chciał siedzieć w swoim telefonie. Był to jego most, pozwalający uciec od świata, w którym jego mama była obłąkaną alkoholiczką, a tata ważącym ponad sto trzydzieści kilogramów mechanikiem samochodowym, który wyleciał z ogólniaka i nosił kostium Iron Mana na konwentach miłośników komiksów.

Motocykl stał w głębi powozowni, zakryty zbryzganą farbą plandeką, ale Vic rozpoznała rysujący się pod płachtą kształt. Dostrzegła go zaraz po przestąpieniu progu i zachodziła w głowę, jak mogła go nie zauważyć, gdy zajrzała tu poprzednim razem.

Ale zastanawiała się tylko przez chwilę. Nikt lepiej niż Vic McQueen nie wiedział, jak łatwo przeoczyć najważniejszą rzecz w wielkiej rupieciarni. Wnętrze powozowni wyglądało jak scena, którą mogłaby umieścić w jednej z książek o

Wyszukiwarce. Znajdź drogę do motocykla przez labirynt gratów - bez uruchamiania pułapek - i ucieknij! Niezły pomysł, naprawdę coś, co warto odłożyć na później i przemyśleć. Nie mogła sobie pozwolić na zignorowanie dobrego pomysłu. Kogo na to stać?

Wayne chwycił jeden róg plandeki, ona drugi i odrzucili ją do tyłu.

Motor pokrywała gruba na pół centymetra warstwa brudu i trocin. Z kierownicy zwisały festony pajęczyn. Reflektor wypadł z obudowy i wisiał na przewodach. Bak w kształcie łyży miał kolor żurawinowy i srebrny, z chromowanym napisem TRIUMPH.

Motor wyglądał jak wyjęty ze starego filmu o gangu motocyklowym - nie takiego pełnego gołych cycków, spłowiałych kolorów i Petera Fondy, ale jednego z tych starszych, grzeczniejszych, czarno-białych z mnóstwem pościgów i rozmów o Człowieku. Vic zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia.

Wayne przeciągnął ręką po siodełku, spojrzął na szary mech na dłoni.

- Zatrzymamy go?

Jakby chodziło o zbłąkanego kota.

Oczywiście nie mogli go zatrzymać. Nie należał do nich. Był własnością starszej pani, która wynajęła im dom.

A jednak.

A jednak Vic czuła, że w pewien sposób motocykl już należy do niej.

- Wątpię, czy jest na chodzie.

- I co z tego? - zapytał Wayne z beztroską dwunastolatka. - Naprawimy go. Tata może ci powiedzieć jak.

- Twój tata już mi powiedział jak.

Vic przez osiem lat starała się być dziewczyną Lou. Nie zawsze było dobrze i nigdy nie było łatwo, ale zdarzały się szczęśliwe dni w garażu, gdy Lou naprawiał motocykle, a ona je malowała. Z radia płynęły kawałki grupy Soundgarden, w lodówce chłodziło się piwo. Razem z nim pełzała wokół motorów, przytrzymując mu latarkę i zadając pytania.

Nauczył ją o świecach, linkach hamulcowych, przekładniach. W takich chwilach lubiła z nim być i niemal lubiła siebie.

- Więc myślisz, że możemy go zatrzymać? - zapytał Wayne.

- Należy do starszej pani, która wynajmuje nam ten dom. Mogę spytać, czy go sprzeda.

- Założę się, że się zgodzi - powiedział. Napisał słowo NASZ na zakurzonej baki. - Jakże starsze panie chcą ciągać dupy na takich motorach?

- Na przykład takie jak ta, która stoi obok ciebie - powiedziała Vic. Wyciągnęła rękę i starła słowo NASZ.

Kurz zawirował w snopie porannego światła, zamieć złotych płatków.

Poniżej miejsca, gdzie było słowo NASZ, Vic napisała MÓJ. Wayne podniósł iPhone'a i zrobił zdjęcie.

Haverhill

Codziennie po lunchu Sigmund de Zoet miał godzinę dla siebie i poświęcał ją na malowanie swoich ołowianych żołnierzyków. Słuchając Filharmoników Berlińskich wykonujących *Cloud Atlas Sextet*, malował Hunów w dziewiętnastowiecznych hełmach, płaszczach z wydłużonymi połami i w maskach przeciwgazowych. Na płycie sklejkowej o wymiarach dwa na dwa stworzył miniaturowy krajobraz, który miał wyobrażać okolice Verdun nad Mozą: połączyć krwawego błota, spalonych drzew, splątanych krzaków, drutu kolczastego i zwłok.

Sig był dumny ze swojej starannej pracy. Malował złote epolety, mikroskopijne mosiężne guziki na płaszczach, cętki rdzy na hełmach. Czuł, że kiedy jego żołnierzyki są dobrze pomalowane, zyskują napięcie, sugestię, że lada chwila mogą ruszyć i przypuścić szarżę na linię francuską.

Pracował nad nimi tego dnia, gdy wreszcie zaczęły się ruszać.

Malował rannego szwaba, człowieczka chwytającego się za pierś, z ustami otwartymi w milczącym krzyku. Sig miał kropelkę czerwieni na koniuszku pędzelka, zamierzał ją rozbryznąć wokół palców niemieckiego żołnierza, ale kiedy przybliżył pędzel, szwab się cofnął.

Sigmund wytrzeszczył oczy, przypatrując się wysokiemu na dwa i pół centymetra żołnierzowi w jasnym blasku lampy z przegubowym ramieniem. Znów sięgnął czubkiem pędzelka, a żołnierz znów się odsunął.

Sig spróbował po raz trzeci. Spokojnie, mały łajdaku, pomyślał – i chybił, nie był nawet blisko celu. Namalował szkarłatną ranę na kloszu lampy.

I nie tylko jeden żołnierz się poruszył. Wszyscy skoczyli jedni na drugich, chwając się jak płomyki świec.

Sigmund potarł ręką czoło, rozmazując gorący, śliski pot. Odetchnął głęboko i poczuł zapach pierniczków.

Udar, pomyślał. Mam udar. Pomyślał to po holendersku, bo w tej chwili zapomniał angielskiego, choć w tym języku mówił od czasu, gdy skończył pięć lat.

Wyciągnął rękę, chcąc chwycić brzeg stołu, żeby się podnieść na nogi – nie trafił i upadł. Upadł na orzechową podłogę i poczuł, że coś chrupnęło w prawym biodrze. Coś pękło jak suchy patyk pod niemieckim buciorem. Jego upadek wstrząsnął całym domem. Pomyślał – wciąż po holendersku – że to sprowadzi Giselle.

– *Hulp!* – krzyknął. – *Ik heb een slag. Nee. Nee.* – Nie brzmiało to właściwie, ale potrzebował chwili, żeby zrozumieć dlaczego. Holenderski. Przecież ona nie zna holenderskiego. – Giselle! Przewróciłem się!

Nie przyszła, w ogóle nie dała znaku życia. Próbował odgadnąć, co takiego robi, że go nie słyszy, potem zaczął się zastanawiać, czy nie wyszła na zewnątrz z serwisantem klimatyzacji. Serwisant, przysadzisty mężczyzna Bing Jakiśtam, stawiał się w zatłuszczonym kombinezonie, żeby w ramach gwarancji wymienić spiralę skraplacza.

Tu, na podłodze, trochę przejaśniało mu w głowie. Kiedy siedział na stołku, powietrze wydawało się gęste jak zupa,

nieruchawe, przegrzane i mdłe, przesycone zapachem pierników. Na dole było chłodniejsze i świat jakby znormalniał. Sig zobaczył śrubokręt, który zaginął wiele miesięcy temu, wtulony w koty kurzu pod warsztatem.

Był pewien, że złamał szyjkę stawu biodrowego. Czuł pęknięcie jak gorący drut wrażony pod skórę. Pomyślał, że jeśli zdoła się podnieść, oprze się na stołku jak na prowizorycznym balkoniku, żeby przejść przez pokój do drzwi na korytarz.

Może uda mu się dotrzeć do drzwi i przywołać faceta od klimatyzacji. Albo Vic McQueen po drugiej stronie ulicy. Ale nie. Vicki McQueen jest gdzieś w New Hampshire z tym swoim chłopakiem. Nie - jeśli zdoła się dostać do telefonu w kuchni, po prostu zadzwoni na pogotowie i będzie miał nadzieję, że Giselle go znajdzie, zanim ambulans wjedzie na podjazd. Nie chciał wstrząsnąć nią bardziej, niż potrzeba.

Sig wyciągnął chudą jak patyk rękę, chwycił stołek i podniósł się z trudem, wspierając ciężar ciała na lewej nodze. I tak bolało. Usłyszał chrzęst kości.

- Giselle! - krzyknął gardłowo. - *Gott dam*, Giselle!

Oparł się o stołek, trzymając go oburącz, i wziął długi, drżący oddech - i znów poczuł bożonarodzeniowy zapach piernika. Niemal się wzdrygnął, bo zapach był zbyt silny i czysty.

Udar, pomyślał. Tak się dzieje, kiedy masz udar. Mózg źle funkcjonuje i czujesz zapachy, których nie ma, podczas gdy świat wokół ciebie roztapia się niczym brudny śnieg w ciepłym wiosennym deszczu.

Odwrócił się twarzą do drzwi, odległych o niespełna dwanaście kroków. Drzwi do pracowni były szeroko otwarte. Nie miał pojęcia, dlaczego Giselle nie słyszała jego krzyku, jeśli była gdzieś w domu. Może stała na zewnątrz przy hałaśliwym klimatyzatorze, może poszła na zakupy albo umarła.

Jeszcze raz rozważył te możliwości - na zewnątrz przy hałaśliwym klimatyzatorze, na zakupach albo martwa - i się zaniepokoił, że trzecia możliwość nie była wcale taka

niedorzeczna.

Uniósł stołek nad podłogę, przesunął do przodu, postawił, pokuśtykał za nim. Teraz, gdy stał, znów zakreśliło mu się w głowie, jego myśli płynęły jak gęsie pióra na ciepłym wietrze.

Słyszał piosenkę, powtarzającą się jak w idiotycznej pętli. *Pewnego razu stara baba na obiad muchę zjada. Nikt nie wie dlaczego. Czy umrze od tego?* Tylko że piosenka brzmiała coraz głośniejsze, dźwięk narastał, jak gdyby wyrwał się z głowy w otaczające go powietrze, zdawał się płynąć w głąb korytarza.

- Potem połknęła pajaka, który w jej brzuchu się błąka.

Głos był wysoki, fałszujący i dziwnie głuchy, jakby dobiegał z daleka, przez szyb wentylacyjny.

Sig uniósł wzrok i zobaczył człowieka w masce przeciwigazowej, przechodzącego za otwartymi drzwiami. Mężczyzna trzymał Giselle za włosy i włókł ją w głąb korytarza. Giselle jakby nie miała nic przeciwko. Była ubrana w elegancką niebieską płócienną suknię i dopasowane niebieskie czółenka, ale gdy ją włókł, jeden but zsunął się jej z nogi. Człowiek w Masce Przeciwigazowej okręcił wokół dłoni jej długie kasztanowe włosy przetykane pasemkami bieli. Oczy miała zamknięte, na jej pociągłej, wymizerowanej twarzy malował się spokój.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej odwrócił głowę, spojrzał na niego. Sig nigdy nie widział niczego równie strasznego. To było jak w tym filmie z Vincentem Price'em, w którym naukowiec skrzyżował się z owadem. Jego głowa była gumową bulwą z lśniącymi soczewkami i groteskowym zaworem zamiast ust.

Sig doszedł do wniosku, że coś jest nie w porządku z jego mózgiem, że być może to coś gorszego niż udar. Czy udar może powodować halucynacje? Jeden z malowanych szwabów wymaszerował z makiety Verdun na tylny korytarz i porwał jego żonę. Może dlatego nie szczędził starań, żeby utrzymać się na nogach. Szwaby zaatakowały Haverhill i zbombardowały ulicę gazem musztardowym. Chociaż powietrze nie pachniało jak musztarda. Pachniało jak

ciastka.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej podniósł palec na znak, że niedługo wróci, po czym ruszył dalej, wlokąc Giselle za włosy. Znow zaczął śpiewać.

- Potem zjadła koziółka, który jej wpadł do gardziółka. Zachłanna suka!

Sig opadł na stołek. Jego nogi - nie czuł nóg. Podniósł rękę, żeby otrzeć twarz z potu, i dźgnął się w oko.

Buty zadudniły na podłodze pracowni.

Uniesienie głowy wymagało wielkiego wysiłku. Sig miał wrażenie, że balansuje na niej wielki ciężar, dziesięć kilogramów żelaza.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej stanął nad makietą Verdun, patrząc na równinę pełną lejów, ruin, zasieków. Trzymał ręce na biodrach. Sig wreszcie rozpoznał jego ubranie: poplamiony kombinezon serwisanta klimatyzacji.

- Ludziki, ludziki! - zawołał Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Uwielbiam ludziki! „Chodzimy po górach i trawiastymi dolinami, boimy się polować ze strachu przed ludzikami”. - Spojrzał na Siga i dodał: - Pan Manx mówi, że jestem demonem rymów. Ja mówię, że jestem poetą, tylko o tym nie wiem. Ile lat ma pańska żona?

Sig nie miał zamiaru odpowiadać. Chciał zapytać, co serwisant zrobił z Giselle. Ale zamiast tego powiedział:

- Poślubiłem ją w siedemdziesiątym szóstym. Moja żona ma pięćdziesiąt dziewięć lat. Jest piętnaście lat młodsza ode mnie.

- Ty psie, ty! Rajcował cię seks z młodszymi. Nie macie dzieci?

- *Neerr*. Nie. Mam mrówki w mózgu.

- To przez sewofluran - wyjaśnił Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Wpompowałem go przez klimatyzator. Od razu poznałem, że twoja żona jest bezdzielna. Ma twarde cycuszki. Ścisnąłem i mogę ci powiedzieć, że kobiety, które miały dzieci, nie mają takich cyców.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego tu jesteś? - zapytał Sig.

- Mieszkacie naprzeciwko Vic McQueen. I macie garaż na

dwa samochody, ale tylko jedno auto - odparł Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Kiedy pan Manx się zjawi, będzie miał gdzie zaparkować. Obracają się koła, obracają się koła jadącego Upiora. Obracają się koła, obracają się koła, od rana do wieczora.

Sig de Zoet słyszał powtarzające się odgłosy - syk, zgrzyt i łupnięcie. Nie wiedział, skąd pochodzą. Zdawało mu się, że brzmia w jego głowie, jak wcześniej piosenka Człowieka w Masce Przeciwigazowej. Miał je tam teraz, te syki, zgrzyty i łupnięcia, zamiast myśli.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej popatrzył na niego.

- Victoria McQueen wygląda tak, jakby miała prawdziwy komplet cycuszków mamusi. Widziałeś je na własne oczy. Co myślisz o jej cyckach?

Sig wbił w niego spojrzenie. Rozumiał, o co pyta Człowiek w Masce Przeciwigazowej, ale nie mógł wymyślić odpowiedzi na takie pytanie. Przecież Vic McQueen ma tylko osiem lat... W jego umyśle Vic znów stała się dzieckiem, dziewczynką z chłopięcym rowerkiem. Przychodziła od czasu do czasu malować figurki. Przyjemnie było obserwować ją podczas pracy - malowała ludziki w cichym skupieniu, przymrużając oczy, jakby patrzyła w głąb długiego tunelu i próbowała zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

- To jej dom po drugiej stronie ulicy, prawda? - zapytał Człowiek w Masce Przeciwigazowej.

Sig nie miał zamiaru mu mówić. Kolaborować. Właśnie to słowo przyszło mu do głowy, „kolaborować”, nie „współpracować”.

- Tak - usłyszał własny głos. Potem zapytał: - Dlaczego ci powiedziałem? Dlaczego odpowiadam na twoje pytanie? Nie jestem kolaborantem.

- To też sewofluran - odparł Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Nie uwierzyłybyś, jakie rzeczy ludzie mi mówią, gdy podam im trochę słodkiego piernikowego dymu. Pewna stara babcia, co najmniej sześćdziesiąt cztery lata, powiedziała mi, że doszła tylko jeden raz, gdy wzięła go w tyłek. Sześćdziesiąt cztery lata! A niech mnie! Czy będziesz

mnie potrzebował, czy będziesz od tyłu ładował, gdy skończę sześćdziesiąt cztery lata? – zaśpiewał i wybuchnął niewinnym, perlistym śmiechem dziecka.

– Czy to serum prawdy? – zapytał Sig. Wypowiedzenie pytania wymagało ogromnego wysiłku; każde słowo było wiadrem wody, które trzeba mozolnie wyciągnąć z głębokiej studni.

– Niezupełnie, ale na pewno przytępia intuicję. Otwiera umysł, czyni go podatnym na sugestie. Zaczekasz, dopóki żona nie zacznie przytomnieć. Będzie pożerać mojego fiuta jak głodny człowiek lunch. Będzie myślała, że tak trzeba! Nie martw się, nie każę ci patrzeć. Wtedy będziesz już martwy. Słuchaj: Gdzie jest Vic McQueen? Obserwowałem dom przez cały dzień. Wygląda na to, że nikogo tam nie ma. Nie wyjechała na lato, prawda? To dopiero byłby ból. Chociaż ból jest cool!

Ale Sigmund de Zoet nie odpowiedział. Był rozproszony. W końcu do niego dotarło, co słyszy, co oznaczają te syki, zgrzyty i łupnięcia.

Dźwięki nie brzmiały w jego głowie. To płyta, której słuchał, Filharmonicy Berlińscy grali *Cloud Atlas Sextet*.

Muzyka się skończyła.

Jeziro Winnipesaukee

Kiedy Wayne zaczął chodzić na półkolonie, Vic zabrała się do pracy nad nową książką – i triumphem.

Wydawca zasugerował, że może nadszedł czas na *Wyszukiwarkę* o tematyce świątecznej, uznawszy, że przygody bożonarodzeniowe mogą się dobrze sprzedawać. Z początku pomysł cuchnął jak zepsute mleko i Vic odruchowo się przed nim wzbraniała, przepełniona odrazą. Ale po paru tygodniach, gdy wszystko przemyślała, zdała sobie sprawę, że taka pozycja będzie się cieszyć ogromnym wzięciem. Poza

tym mogła sobie wyobrazić, jak elegancko będzie wyglądać Wyszukiwarka w czapce i szaliku w czerwono-białe paski. Nigdy nie przyszło jej na myśl, że robot wzorowany na silniku motocykla Vulcan będzie potrzebować szalika. Wypadnie doskonale. Była rysowniczką, nie mechanikiem; nie musi trzymać się realiów.

Zrobiła miejsce w kącie w głębi powozowni, żeby ustawić sztalugi i przystąpić do pracy. Pierwszego dnia przez trzy godziny niebieską kredką rysowała jezioro skute trzeszczącym lodem. Wyszukiwarka i jego mała przyjaciółka Bonnie podtrzymywali się wzajemnie na krze. Szalona Wstęga Mobiusa płynął na okręcie podwodnym w kształcie potwora morskiego, wyrzucając wokół nich macki. Przynajmniej myślała, że rysuje macki. Pracowała, jak zawsze, z włączoną muzyką i wyłączonym umysłem, jej twarz była gładka, bez jednej zmarszczki, jak buzia dziecka. I równie beztroska.

Rysowała, dopóki nie ścięła jej ręka, wtedy zrobiła sobie przerwę, przeciągając się z rękami nad głową, słuchając trzasków kręgosłupa. Poszła do domku po szklanekę mrożonej herbaty - nie zawracała sobie głowy lunchem, podczas pracy nad książką prawie nie jadła - i wróciła do powozowni, żeby pomyśleć o następnych stronach. Uznała, że nie zaszkodzi trochę pomajsterkować przy triumphie, gdy będzie się zastanawiała.

Zamierzała zajmować się motocyklem może przez godzinę, a potem wrócić do *Wyszukiwarki*. Zamiast tego pracowała trzy godziny i spóźniła się dziesięć minut z odebraniem Wayne'a z półkolonii.

Później przed południem pracowała nad książką, a popołudniami zajmowała się motorem. Nastawiała budzik, żeby zdążyć na czas po syna. Pod koniec czerwca miała cały stos z grubszą gotowych ilustracji, a triumpha rozebranego do silnika i nagiej metalowej ramy.

Podczas pracy śpiewała, choć nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Śpiewam tę piosenkę, nikt oka nie zmruży! Mijają

godziny, noc się strasznie dłuży! – śpiewała przy motocyklu.

– Tata woził nas do Gwiazdkowej Krainy na przejażdżki Mikołajowymi saniami. Tata woził nas do Gwiazdkowej Krainy, bawiliśmy się tam całymi dniami – śpiewała nad *Wyszukiwarką*.

Ale była to ta sama piosenka.

Haverhill

Pierwszego lipca Vic i Wayne zostawili jezioro Winnepesaukee w lusterku wstecznym i pojechali do domu jej matki w Massachusetts. Do jej domu. Ciągle zapominała.

Lou miał przylecieć do Bostonu, żeby spędzić Dzień Niepodległości z Wayne’em i pierwszy raz w życiu obejrzeć pokaz fajerwerków w wielkim mieście. Vic zamierzała poświęcić weekend na przeglądanie rzeczy matki i powstrzymywanie się od picia. Zamierzała jesienią sprzedać dom i wrócić do Kolorado. Będzie musiała porozmawiać o tym z Lou. Przecież nad *Wyszukiwarką* może pracować wszędzie.

Na drodze 495 panował koszmarne ruch. Utknęli w korku pod przyprawiającym o ból głowy niebem pełnym niskich, podobnych do dymu chmur. Vic czuła, że nikt nie powinien patrzeć na takie niebo, kiedy jest trzeźwy jak świnia.

– Nie martwią cię duchy? – zapytał Wayne, gdy stali na jałowym biegu, czekając, aż ruszą stojące przed nimi pojazdy.

– A bo co? Boisz się zostać na noc w domu babci? Jeśli jej duch wciąż tam jest, nie zrobi ci krzywdy. Ona cię kochała.

– Nie o to mi chodzi – powiedział Wayne obojętnym tonem.

– Wiem, że duchy do ciebie mówią.

– Już nie mówią.

W końcu samochody ruszyły i Vic mogła skrócić na pas zjazdu.

- I nigdy nie będą, mały. Twoja mama miała pokręcone w głowie. Dlatego musiałam pójść do szpitala.

- Nie były prawdziwe?

- Jasne, że nie. Martwi pozostają martwi. Przeszłość to przeszłość.

Wayne pokiwał głową.

- Kto to? - zapytał, patrząc na ogródek przed domem, gdy skręcili na podjazd.

Vic rozmyślała o duchach i nie zauważyła kobiety siedzącej na schodach. Gdy zaparkowała, kobieta się podniosła.

Miała niemodne dzinsy marmurki, wytarte do gołych nici na kolanach i udach. W jednej ręce trzymała papierosa, z którego snuła się jasna smużka dymu, a w drugiej teczkę. Cechowała ją chudość i nerwowość ćpunka. Vic wiedziała, że skądś ją zna, ale nie była pewna skąd. Nie miała pojęcia, kim ta kobieta jest, choć w pewien sposób czuła, że od lat spodziewała się jej wizyty.

- Znasz ją? - spytał Wayne.

Vic pokręciła głową. Na chwilę odjęło jej mowę. Przez większą część ostatniego półrocza kurczowo trzymała się trzeźwości i zdrowego rozsądku, jak staruszka ściskająca torbę z zakupami. Patrząc na ogródek, czuła, że dno torby zaczyna się rozdzierać i pękać.

Ćpunka w niezasnurowanych trampkach Chuck Taylor uniosła rękę w nerwowym, straszliwie znajomym geście.

Vic otworzyła drzwi samochodu i wysiadła, obeszła maskę, żeby stanąć między synem i tą kobietą.

- Mogę w czymś pomóc? - wychrypiała. Marzyła o szklance wody.

- Mam n-n-na-nadzieję... - Nieznajoma mówiła tak, jakby powstrzymywała się od kichnięcia. Twarz jej pociemniała. - On jest w-w-w-wolny - wykrztusiła.

- O czym pani mówi?

- Upiór - powiedziała Maggie Leigh. - Znowu ruszył w drogę. Chyba po-po-powinnaś s-s-skorzystać ze swojego mostu i s-s-spróbować go znaleźć, Vic.



Słyszała, jak za jej plecami Wayne wysiada z samochodu i zatraskuje drzwi. Otworzył klapę z tyłu i wypuścił Hoopera. Chciała mu powiedzieć, żeby wsiadł z powrotem, ale nie mogła tego zrobić bez okazywania strachu.

Kobieta uśmiechnęła się do niej. Jej twarz wyrażała naiwność i czystą życzliwość, którą Vic aż za dobrze kojarzyła z obłądem. Dość często widziała to w szpitalu psychiatrycznym.

- P-p-prze-przepraszam - wyjąkała kobieta. - Nie tak ch-ch-ch... - teraz brzmiało to tak, jakby się krztusiła - chchchciałam zacząć. Jestem m-mm-mm... o Boże. Mmma-mma-MMM-MAGGIE. Wredne jąkanie. Ogromnie prze-przepraszam. Kiedyś piłyśmy herbatę. Z-z-zraniłaś się w kolano. Dawno temu. Nie byłaś wiele s-s-s-starsza niż... - Urwała, odetchnęła głęboko, spróbowała jeszcze raz. - Ten dzieciak. Ale s-sssądzę, że m-musisz pamiętać.

Słuchanie, jak bardzo się stara mówić płynnie, było straszne - jak patrzenie na kogoś, kto nie ma nóg i wlecze się chodnikiem. Kiedyś nie było aż tak źle, pomyślała Vic, jednocześnie wciąż przekonana, że narkomanka jest obłąkaną i prawdopodobnie niebezpieczną obcą osobą. Stwierdziła, że może żonglować tymi dwiema koncepcjami bez poczucia sprzeczności.

Narkomanka dotknęła jej ręki, ale dłoń miała gorącą i wilgotną, więc Vic szybko się odsunęła. Spojrzała na jej ramię i zobaczyła pole bitewne dziobatych lśniących blizn: ślady po przypalaniu papierosem. Całe mnóstwo, niektóre jaskraworóżowe i świeże.

Maggie Leigh popatrzyła na nią z konsternacją, która graniczyła z bólem. Zanim Vic zdążyła się odezwać, Hooper wcisnął nos w krocze Maggie. Ta zaśmiała się i odepchnęła jego pysk.

- O rany, masz własnego yeti. Jest rozkoszny - powiedziała. Przeniosła spojrzenie z psa na chłopca. - A ty musisz b-b-być Wayne.

- Skąd wiesz, jak ma na imię? - zapytała Vic chrapliwym głosem, myśląc po wariacku: Przecież jej płytki scrabble nie mogą podawać imion.

- Dedykowałaś mu s-s-swoją pierwszą książkę - wyjaśniła Maggie. - Mieliśmy je wszystkie w bibliotece. Byłam taka p-po-po-podekscytowana, że ci się udało.

- Wayne? Zabierz Hoopera do domu.

Wayne zagwizdał, cmoknął i przeszedł obok Maggie, a pies począpał za nim. Wayne zatrzasnął za nimi drzwi.

- Zawsze myślałam, że będziesz pisać. Mmm-mówiłaś, że ch-chcesz. Zastanawiałam się, czy s-s-się odezwiesz po arestowaniu M-M-Mm-Manxa, ale potem doszłam do wniosku, że chcesz, by pozostał w przeszłości. Parę razy mało brakowało, żebym do ciebie napisała, ale m-m-mmartwiłam się, że twoja ro-ro-rrr... martwiłam się, że twoi bliscy będą o mnie dopytywać, a później uznałam, że m-mo- może o mnie też ch-chchcesz zapomnieć.

Spróbowała się uśmiechnąć i Vic zobaczyła, że brakuje jej zęba.

- Panno Leigh, chyba pani mnie z kimś pomyliła. Nie znam pani. Nie mogę pani pomóc - powiedziała.

Najbardziej przerażało ją uczucie, że jest dokładnie na odwrót. To nie Maggie miała mętlik w głowie - jej twarz promieniała obłąkańczą pewnością siebie. Jeśli ktoś był zbity z tropu, to właśnie Vic. Widziała to wszystko w wyobraźni: mroczny chłód biblioteki, pożółkłe płytki scrabble rozrzucone na biurku, brązowy przycisk do papieru w kształcie rewolweru.

- Skoro mnie nie znasz, skąd wiesz, jak się nazywam? Nie przedstawiłam się - zauważyła Maggie, jeszcze bardziej się zacinając. Wypowiedzenie tego zdania zajęło jej blisko pół minuty.

Vic uniosła rękę, nakazując milczenie. Zignorowała jej słowa, uważając je za absurdalną zagrywkę. Była pewna, że ta wariatka się przedstawiła, podała swoje nazwisko.

- Widzę, że pani sporo o mnie wie - powiedziała. - Rozumie pani, mój syn nie ma pojęcia o Charlesie Manxie. Nigdy nie

rozmawiałam z nim o tym człowieku. I nie pozwolę, żeby się o nim dowiedział od... od obcej osoby. - O mało nie powiedziała „od wariatki”.

- Oczywiście. Nie z-za-zza-zamierzałam cię s-straszyć ani t-t-t...

- Ale pani to zrobiła.

- A-a-ale, Vic...

- Proszę przestać mnie tak nazywać. Nie znamy się.

- Wolisz, żebym nazywała cię Szszsz-Szkrabem?

- Nie chcę, żeby pani w ogóle mnie nazywała. Proszę stąd iść.

- A-a-ale musisz wiedzieć o Mm-Mm-Mmm... - Zdawało się, że jęczy, próbując wykrztusić słowo.

- Manxie.

- Tak, dzięki. Musimy z-z-za-zadecydować, jak się z nim rozprawić.

- Z czym się rozprawić? Co to znaczy, że Manx znowu ruszył w drogę? Przecież może zostać zwolniony warunkowo dopiero w dwa tysiące szesnastym, a ostatnio, jak słyszałam, był w śpiączce. Gdyby nawet się wybudził i oni go zwolnili, miałby ze dwieście lat. Ale nie mogli tego zrobić, ponieważ w takim wypadku dostałabym powiadomienie.

- Nie jest aż taki stary. Prędeż sto i pi-pi-pi... - brzmiało to tak, jakby naśladowała pisk alarmu - piętnaście!

- Jezu Chryste... Nie muszę słuchać tych bredni. Masz trzy minuty, żeby się stąd zwinąć, droga pani. Jeśli po upływie tego czasu wciąż będziesz na moim trawniku, zadzwonię na policję.

Vic zeszła ze ścieżki na trawę, chcąc obejść Maggie w drodze do drzwi.

Nie udało się.

- Nie powiadomili cię o zwolnieniu, ponieważ wcale go nie zwolnili. Uważają, że zmarł. W mmmm-mmaju.

Vic stanęła jak wryta.

- Co to znaczy, uważają, że zmarł?

Maggie podniosła teczkę.

Na wewnętrznej stronie okładki napisała numer. Vic

zatrzymała na nim spojrzenie, ponieważ pierwsze trzy cyfry po numerze kierunkowym były datą jej urodzin, a po nich następowały litery, FUFU, swego rodzaju wulgarne jakanie.

Teczka zawierała kilka kserokopii artykułów z różnych gazet, na papierze z nadrukiem BIBLIOTEKA PUBLICZNA W HERE, IOWA. Kartki były poplamione wodą i pomarszczone, zapleśniałe na skrajach.

Pierwszy artykuł pochodził z „Denver Post”.

DOMNIEMANY SERYJNY ZABÓJCA
CHARLES MANX ZMARŁ,
POZOSTAWIAJĄC WIELE PYTAŃ

Poniżej zamieszczono małe zdjęcie policyjne: wychudła twarz z wytrzeszczonymi oczami i bladymi, niemal niewidocznymi wargami. Vic chciała przeczytać artykuł, ale pociemniało jej w oczach.

Przypomniała sobie zsypaną na pranie, załzawione oczy i płuca pełne dymu. Przypomniała sobie panikę na dźwięk melodii *A Holly Jolly Christmas*.

Skoczyły ku niej fragmenty artykułu: *wyniszczająca choroba podobna do choroby Parkinsona... przerywana śpiączka... podejrzewany o kilkanaście porwań... Thomas Priest... przestał oddychać o drugiej nad ranem.*

- Nie miałam pojęcia - powiedziała. - Nikt mnie nie powiadomił.

Była zbyt wytrącona z równowagi, żeby wciąż wylewać żółć na głowę Maggie. Bez przerwy myślała: On nie żyje. Nie żyje, możesz pozwolić mu odejść. Możesz zamknąć tę część swojego życia, bo on nie żyje.

Ta myśl nie niosła ze sobą radości, ale sugerowała coś lepszego, ulgę.

- Nie wiem, dlaczego nie zostałam poinformowana o jego śmierci - dodała.

- Idę o z-z-z-zakład, że bali się kompromitacji. Spójrz na następną stronę.

Vic ze męczeniem popatrzyła na Margaret Leigh,

przypominając sobie jej słowa, że Manx znowu ruszył w drogę. Podejrzewała, że do tego się sprowadzały, do wyjątkowego obłądu Maggie Leigh, do szaleństwa, które przywiodło ją z dalekiego Here w stanie Iowa do Haverhill w stanie Massachusetts, po prostu po to, żeby mogła podać jej tę teczkę.

Vic przewróciła kartkę.

ZWŁOKI DOMNIEMANEGO SERYJNEGO ZABÓJCY ZNIKNĘŁY Z KOSTNICY

WYDZIAŁ SZERYFA OBWINIA „CHORYCH WANDALI”

Przejrzała kilka pierwszych akapitów, potem zamknęła teczkę i chciała ją oddać.

- Jakiś czubek ukradł ciało - podsumowała.

- N-n-nie sędzę - wyjąkała Maggie. Nie przyjęła teczki.

Gdzieś w głębi ulicy ryknęła kosiarka. Vic dopiero teraz zauważyła, jak gorąco jest na trawniku przed domem. Słońce, choć ukryte za chmurami, prażyło w głowę.

- A zatem uważasz, że sfingował swoją śmierć. Zrobił to na tyle dobrze, żeby wyprowadzić w pole dwóch lekarzy. Jakoś. Mimo że już zaczęli sekcję zwłok. Nie. Czeka. Myślisz, że naprawdę umarł, a czterdzieści osiem godzin później wrócił do życia. Wysunął się z szuflady w kostnicy, włożył ubranie i wyszedł.

Twarz Maggie - jej całe ciało - odprężyło się z wyraźną ulgą.

- Tak. Przebyłam d-d-d-długą drogę, żeby się z tobą zobaczyć, Vic, ponieważ wiedziałam, po prostu wiedziałam, że mi u-u-u-uwierzysz. Teraz spójrz na następny artykuł. Jest o ppp... o pewnym facecie z Kentucky, który zniknął z domu w zabytkowym rolls-roysie. W rolls-roysie Mmmm-Mma-Manxa. W artykule nie jest napisane, że s-ssa-samochód należał do Manxa, ale spójrz na z-z-z-zdjęcie...

- Nie zamierzam niczego oglądać - burknęła Vic i rzuciła

teczkę w twarz Maggie. - Spierdalaj z mojego ogródka, obłąkana dziwko.

Maggie otworzyła i zamknęła usta jak duża stara ryba koi w akwarium, które stanowiło dominujący element jej małego biura w Bibliotece Publicznej w Here. Vic pamiętała biuro w najdrobniejszych szczegółach, mimo że przecież nigdy tam nie była.

W końcu wrzący gniew wybuchł i Vic chciała, żeby sparzył Maggie. Nie tylko dlatego, że Maggie zagradzała drogę do domu ani że jej obłąkańczy bełkot groził podkopaniem poczucia rzeczywistości Vic, z trudem wywalczonej równowagi psychicznej. Manx nie żyje, naprawdę nie żyje, ale ta wariatka nie pozwalała jej w to uwierzyć. Charlie Manx, który uprowadził Bóg jeden wie ile dzieci, który porwał, sterroryzował i niemal zabił ją - Charles Manx poszedł do piachu. Wreszcie przed nim uciekła. Tylko że ta popieprzona Margaret Leigh chce go sprowadzić z powrotem, wykopać go, sprawić, żeby znów się go bała.

- Zabierz ze sobą ten chłam, gdy będziesz odchodzić - burknęła.

Nastąpiła na kartki, wymijając Maggie w drodze do drzwi. Uważała, żeby nie postawić nogi na brudnym, splowiałym kapeluszu leżącym na najniższym stopniu.

- Z nim nie k-kk-koniec, Vic - powiedziała Maggie. - Dlatego chciałam... miałam nadzieję... mogłabyś spróbować go z-z-znaleźć. Wiem, gdy się p-p-poznałyśmy, mówiłam ci, żebyś nie próbowała. Ale wtedy byłaś za młoda. To się zmieniło. Teraz uważam, że tylko ty możesz go znaleźć. Ty możesz go p-p-po-powstrzymać. Wciąż wiesz, jak tego dokonać. Bo jeśli tego nie zrobisz, obawiam się, że on znajdzie ciebie.

- Jedyłą rzeczą, którą chcę znaleźć, jest telefon, żeby zadzwonić na policję. Na twoim miejscu nie byłoby mnie tutaj, kiedy zjawią się gliny - oznajmiła Vic. Odwróciła się i warknęła w twarz Maggie Leigh: - NIE ZNAM CIĘ. Zabieraj swoje wariackie wymysły gdzieś indziej.

- Ale, V-V-Vi-Vic - wyjąkała Maggie i uniosła palec. - Nie

pamiętasz? D-d-dałam ci te kolczyki.

Vic weszła do domu i zatrzasnęła drzwi. Wayne, który stał ledwie trzy kroki dalej i prawdopodobnie wszystko słyszał, podskoczył. Hooper, który stał tuż za nim, skulił się, zaskamlał cicho, odwrócił się i odszedł, szukając jakiegoś szczęśliwszego miejsca.

Vic wróciła do drzwi, oparła o nie czoło i odetchnęła głęboko. Minęło pół minuty, zanim była gotowa spojrzeć przez wizjer na podwórko przed domem.

Maggie właśnie się prostowała, z godnością wkładając na głowę swój brudny kapelusz. Obrzuciła drzwi domu ostatnim żalonym spojrzeniem, odwróciła się i poczłapała przez trawnik. Nie miała samochodu i czekał ją długi spacer pod skwarnym niebem do najbliższego przystanku autobusowego, sześć przecznic dalej. Vic odprowadzała ją wzrokiem, aż zniknęła z pola widzenia – patrzyła i z roztargnieniem gładziła kolczyki, ulubione od czasów dzieciństwa, dwie płytki scrabble: F i U.

Przy drodze

Kiedy pół godziny później Wayne wyszedł na spacer z Hooperem – nie, poprawka, kiedy uciekł od matki i jej utrzymującego się nastroju smutku – teczka wciąż leżała na najwyższym stopniu schodów, ze schludnie zapakowaną zawartością.

Spojrzał przez ramię, przez jeszcze otwarte drzwi. Mama była w kuchni, poza polem widzenia. Wayne zamknął drzwi. Pochylił się i podniósł teczkę, otworzył ją i rzucił okiem na cienki plik wydruków. *Rzekomy seryjny zabójca. Chorzy wandale. Zaginął inżynier Boeinga.*

Złożył kartki i schował je do tylnej kieszeni spodenek. Pustą teczkę wcisnął za żywopłot rosnący przed domem.

Nie był pewien, czy chce przeczytać artykuły. Miał

zaledwie dwanaście lat i jeszcze nie potrafił sobie uświadomić, że przecież już postanowił to zrobić, że podjął decyzję w chwili, gdy schował teczkę za żywoplotem. Przeszedł przez trawnik i usiadł na krawężniku. Miał wrażenie, że w tylnej kieszeni nosi nitroglicerynę.

Patrzył na drugą stronę ulicy, na trawnik porośnięty wędnącą, żółknącą trawą. Stary facet, który tam mieszkał, naprawdę zapuścił ogródek. Miał śmieszne nazwisko - Sig de Zoet - i pokój pełen małych żołnierzyków. Wayne zabłąkał się tam w dzień pogrzebu babci. Stary pokazał mu makietę i był miły. Powiedział, że kiedyś jego matka, Vic, pomalowała kilka figurek. „Twoja mama już wtedy miała rękę do malowania” - oznajmił z takim akcentem, jaki mają naziści. Potem jego miła stara żona zrobiła Wayne'owi szklanę mrożonej herbaty z plasterkami pomarańczy, smakującej po prostu niebiańsko.

Wayne pomyślał, że tam pójdzie, żeby obejrzyć żołnierzyki starego. Ucieknie z gorąca i zapomni o schowanych w kieszeni wydrukach, których zresztą prawdopodobnie nie powinien oglądać.

Już wstał z krawężnika i był gotów przejść przez ulicę, ale obejrzał się na swój dom i znowu usiadł. Mama nie byłaby zachwycona, gdyby jej nie powiadomił, dokąd się wybiera, a nie sądził, że może wrócić do domu i zapytać o pozwolenie. Dlatego został, patrząc na trawnik wysychający po drugiej stronie ulicy i tęskniąc za górami. Kiedyś widział lawinę, ledwie ubiegłej zimy. Pojechał z tatą nad Longmont, żeby podholować mercedesa, który zsunął się z drogi i ze skarpy. W samochodzie podróżowała rodzina. Wszyscy byli wstrząśnięci, ale na szczęście nikt nie został ranny. Normalna rodzina: mama, tata, dwoje dzieci. Mała dziewczynka miała jasne kucyki. Byli tacy normalni. Wayne potrafił poznać, tylko na nich patrząc, że mama nigdy nie wylądowała w wariatkowie, a ojciec nie trzymał w szafie pancerza szturmowca. Mógł powiedzieć, że dzieciaki mają normalne imiona, jak John i Sue, w przeciwieństwie do imion zaczerpniętych z komiksów. Na dachu mercedesa leżały

narty. Ojciec rodziny zapytał Lou, czy przyjmie kartę AmEx. Nie American Express. AmEx. Po paru minutach od spotkania Wayne pokochał całą rodzinę z irracjonalną zagorzałością.

Lou posłał go na dół z hakiem i linką, a gdy Wayne zbliżał się do samochodu, z wysoka napłynął dźwięk: suchy trzask, głośny jak strzał z pistoletu. Wszyscy spojrzeli na ośnieżone szczyty, poszarpane grzbiety Gór Skalistych widoczne nad świerkami.

Na ich oczach biała płachta śniegu, szeroka i długa jak boisko, oderwała się od zbocza i zaczęła się zsuwać. Działo się to kilkaset metrów dalej, więc nic im nie groziło. Po pierwszym trzasku zapadła niemal zupełna cisza. Słyszeli tylko przytłumiony pomruk dalekiego grzmotu. Chociaż Wayne czuł lawinę, rejestrował łagodne dudnienie ziemi pod nogami.

Wielka półka śniegu zsunęła się kilkaset metrów, uderzyła w granicę lasu i eksplodowała bielą, śnieżna fala przyprływu wysoka na dziesięć metrów.

Ojciec rodziny podniósł syna i posadził go na ramionach, żeby miał lepszy widok.

- Jesteśmy na dzikich terenach, mały - powiedział, podczas gdy pół hektara lasu na zboczu znikało pod sześciuset tonami śniegu.

- Niech mnie licho - mruknął Lou i spojrzął ze szczytu skarpy na Wayne'a. Jego twarz promieniała ze szczęścia. - Wyobrażacie sobie, że jesteście pod spodem? Możecie sobie wyobrazić, jak całe to gówno spada prosto na was?

Wayne potrafił sobie wyobrazić - i wyobrażał sobie bardzo często. Uznał, że to najlepszy sposób, żeby umrzeć: starty z powierzchni ziemi w lśniącym kłębowisku śniegu i światła, gdy świat ryczy dokoła i rozpada się na kawałki.

Bruce Wayne Carmody był nieszczęśliwy przez tak długi czas, że w końcu przestał zwracać na to uwagę. Czasami czuł, że ziemia od lat usuwa mu się spod nóg. Wciąż czekał, żeby pociągnęła go w dół, wreszcie go pogrzebała.

Jego matka przez jakiś czas była wariatką, słyszała

dzwoniący telefon, kiedy nie dzwonił, i rozmawiała z dziećmi, których nie było. Niekiedy uważał, że częściej rozmawiała z martwymi dziećmi niż z nim. Spaliła ich dom. Spędziła miesiąc w szpitalu psychiatrycznym, nie stawiała się w sądzie i zniknęła z jego życia na prawie dwa lata. Przez jakiś czas jeździła po kraju, promując swoją książkę, przed południem odwiedzając księgarnie, a wieczorami miejscowe bary. Przez sześć miesięcy mieszkała w LA, pracując nad animowaną wersją *Wyszukiwarki*, która nigdy nie powstała, i uzależniła się od kokainy. Potem rysowała kryte mosty na wystawę w galerii, na którą nikt nie przyszedł.

Jego tata miał dość pijaństwa Vic, włóczęg Vic i obłędu Vic i związał się z pewną panią, dziewczyną o imieniu Carol, która zrobiła większość jego tatuaży, miała burzę włosów i ubierała się tak, jakby wciąż żyła w latach osiemdziesiątych. Tylko że Carol miała drugiego chłopaka i razem z nim ukradła dokumenty Lou. Oboje uciekli do Kalifornii, gdzie na jego nazwisko zaciągnęli kredyt w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Lou wciąż się użerał z wierzycielami.

Bruce Wayne Carmody chciał kochać i lubić swoich rodziców i czasami się to udawało. Ale oni utrudniali sprawę. Dlatego wydruki z gazet w tylnej kieszeni przywodziły mu na myśl nitroglicerynę, bombę, która jeszcze nie wybuchła.

Przypuszczał, że na wypadek możliwej eksplozji powinien rzucić okiem na artykuły, ocenić potencjalne zniszczenia i zobaczyć, jak najlepiej ochronić się przed skutkami wybuchu. Wyjął kartki z kieszeni, ostatni raz ukradkiem zerknął na dom i rozłożył je na kolanie.

Pierwszemu artykułowi towarzyszyło zdjęcie Charlesa Talenta Manxa, martwego seryjnego zabójcy. Twarz Manxa wyglądała tak, jak gdyby się topiła. Miał wytrzeszczone oczy, koszmarny przodozgrzyz i łysą, jakby rozdętą czaszkę podobną do jaja dinozaura z kreskówki.

Ten człowiek, Charles Manx, został aresztowany w Gunbarrel prawie piętnaście lat temu. Był porywaczem, który przewiózł niewymienioną z nazwiska niepełnoletnią osobę przez granicę stanu, a potem spalił człowieka, który

próbował go zatrzymać.

Nikt nie wiedział, ile ma lat, kiedy go zamknęli. Niezbyt dobrze znosił pobyt za kratkami. W roku 2001 zapadł w śpiączkę i trafił do szpitalnego skrzydła więzienia o zastrzonym rygorze w Denver. Po jedenastu latach, nie odzyskując w pełni świadomości, zmarł w maju tego roku.

Poza tymi konkretnymi informacjami w artykule roiło się od krwiożerczych spekulacji. Manx miał domek myśliwski niedaleko Gunbarrel, a na okolicznych drzewach wisiały setki ozdób choinkowych. Prasa nazwała to miejsce Saniami Mikołaja, tworząc niezbyt udany kalambur. Artykuł sugerował, że Manx więził i zabijał dzieci przez lata. Tylko mimochodem wspomniano, że na terenie posesji nie znaleziono zwłok.

Co miało to wspólnego z Victorią McQueen, jego matką? Bruce Wayne Carmody nie mógł doszukać się żadnego związku. Może jeśli przeczyta pozostałe artykuły, w końcu to rozgryzie. Przełożył kartki.

Następny artykuł nosił tytuł *Rzekomy seryjny zabójca zniknął z kostnicy*. Ktoś włamał się do Centrum Medycznego Świętego Łukasza w Denver, ogłuszył ochroniarza i zwiął ze zwłokami starego Charliego Manxa. Porywacz świsnął też trans ama z parkingu po drugiej stronie ulicy.

Trzeci wycinek pochodził z gazety w Louisville w stanie Kentucky i nie miał nic wspólnego z Charlesem Manxem.

Nosił tytuł *Zaginął inżynier Boeinga; zagadka trapi miejscową policję i urząd skarbowy*. Dołączone zdjęcie przedstawiało opalonego, żyłastego mężczyznę z gęstymi czarnymi wąsami, opierającego się łokciami o maskę starego rolls-royce'a.

Bruce ze zmarszczonym czołem przeczytał artykuł. Zaginięcie Nathana Demetera zgłosiła jego nastoletnia córka, która po powrocie ze szkoły zastała otwarty dom i garaż, niedojedzony lunch na stole i brak zabytkowego rolls-royce'a ojca. W skarbowce uważano, że Demeter być może zwiął, żeby uniknąć kary za uchylanie się od płacenia podatku. Jego córka w to nie wierzyła; powiedziała, że albo

został porwany, albo nie żyje, ale na pewno nie uciekł, nie mówiąc jej ani słowa, dlaczego i dokąd się udaje.

Wayne nie rozumiał, jaki to ma związek z Charlesem Talentem Manxem. Pomyślał, że coś przeoczył, zastanawiał się, czy nie przeczytać wszystkiego jeszcze raz. Już miał wrócić do pierwszego wydruku, gdy zauważył, że Hooper kuca w ogródku po drugiej stronie ulicy, waląc w trawie klocki wielkości bananów. Miały też kolor bananów: zielonych.

- O nie! - krzyknął Wayne. - Fuj, stary!

Rzucił kartki na chodnik i ruszył przez jezdnię.

Najpierw pomyślał, żeby zabrać Hoopera z trawnika, zanim go ktoś zobaczy. Ale w domu po drugiej stronie ulicy poruszyła się zasłonka. Ktoś patrzył, ten miły staruszek albo jego żona.

Wayne uznał, że najlepiej będzie tam pójść i obrócić całe zdarzenie w żart, zapytać, czy mają torebkę, żeby mógł posprzątać. Staruszek z tym swoim holenderskim akcentem sprawiał wrażenie faceta, którego może rozśmieszyć byle co.

Hooper przestał się garbić, wyprostował zadnie łapy.

- Niedobry - syknął Wayne. - Niedobry pies.

Hooper zamerdał ogonem, rad, że przyciągnął jego uwagę.

Wayne miał zamiar wejść po schodach domu Sigmunda de Zoeta, kiedy zauważył cienie przesuwające się w szczelinie pod drzwiami. Spojrzał na wizjer i pomyślał, że dostrzegł mignięcie koloru i ruchu. Ktoś stał metr dalej, po drugiej stronie drzwi, i go obserwował.

- Halo? - zawołał, stojąc przy schodach. - Panie de Zoet?

Cień w szczelinie pod drzwiami się przesunął, ale nikt mu nie odpowiedział. Zaniepokoił go ten brak reakcji. Dostał gęziej skórki na ramionach.

Daj spokój, głupiejesz przez te straszne historie o Charliem Manxie. Weź się w garść i zadzwoń.

Wayne pozbył się niepokoju i zaczął wchodzić po ceglanych schodach, już wyciągając rękę do dzwonka. Nie zauważył, że gałka powoli się obraca, że ktoś po drugiej stronie drzwi szykuje się je otworzyć.

Po drugiej stronie drzwi

Bing Partridge stał przy wizjerze z lewą ręką na gałce drzwi. W prawej trzymał rewolwer kalibru .38, przywieziony przez pana Manxa z Kolorado.

- Chłopcze, chłopcze, niebożę - szepnął piskliwym, stłumionym z przejęcia głosem. - Przyjdź o innej porze.

Bing obmyślił plan, prosty, ale desperacki. Kiedy chłopiec wejdzie na schody, on otworzy drzwi i wciągnie go do domu. Miał w kieszeni puszkę dymu piernikowego i gdy tylko dzieciak znajdzie się za progiem, od razu go nim potraktuje.

A jeśli szczeniak zacznie się wydzierać? Jeśli będzie wrzeszczał i próbował się wydostać?

Kawałek dalej ktoś urządzał grilla przed domem, dzieciaki rzucały frisbee, dorośli pili, trochę za wiele, śmiali się ciut za głośno i dorabiali oparzeń słonecznych. Bing może nie zaliczał się do tych najbardziej lotnych, ale też nie był głupi. Uznał, że widok Człowieka w Masce Przeciwigazowej z bronią w ręce, zmagającego się z wrzeszczącym gówniarzem, może przyciągnąć uwagę. Do tego dochodził pies. A jeśli się na niego rzuci? To bernardyn, wielki jak niedźwiedź. Jeśli wpakuje swój wielki łeb w drzwi, za skarby świata nie da się go wypchnąć. To przypominałoby próbę zamknięcia drzwi przed stadem spłoszonego bydła.

Pan Manx wiedziałby, co zrobić, ale pan Manx spał. Spał od ponad doby, wypoczywając w sypialni Sigmunda de Zoeta. Kiedy się ocknie, będzie taki jak dawniej - dobry stary pan Manx! - chociaż czasami wyglądało na to, że nigdy się nie zbudzi. Powiedział, że mu się polepszy, gdy ruszy w drogę do Gwiazdkowej Krainy, i Bing wiedział, że taka jest prawda. Jednak po raz pierwszy zobaczył, że pan Manx jest taki stary, iż w czasie snu wygląda jak nieżywy.

I co potem, gdy już wciągnie chłopaka do domu? Bing nie był pewien, czy może zbudzić pana Manxa wtedy, gdy ma na to ochotę. Jak długo będą mogli się tu ukrywać, jeśli Victoria

McQueen wybiegnie na ulicę, nawołując swoje dziecko, jeśli gliniarze zaczną chodzić od drzwi do drzwi? Złe miejsce, zła pora. Pan Manx postawił sprawę jasno: na razie tylko obserwować, i nawet Bing, który nie grzeszył inteligencją, rozumiał dlaczego. Ta senna ulica nie była dość senna i mieli tylko jedno podejście do tej dziwki z jej dziwkarskimi tatuażami i niewyparzoną zakłamaną gębą. Pan Manx niczym mu nie zagroził, ale Bing wiedział, jakie to dla niego ważne, i rozumiał, jaka kara czeka go za spartaczenie roboty: nie pojedzie do Gwiazdkowej Krainy. Nigdy nigdy nigdy nigdy nigdy.

Chłopak wszedł na pierwszy stopień. I na drugi.

- Chciałbym dziś zobaczyć pierwszą gwiazdkę na niebie - szepnął Bing. Zamknął oczy i przygotował się do działania. - I wyrazić życzenie: spadaj stąd, pojebie. Nie jesteśmy gotowi.

Odetchnął powietrzem o smaku gumy i odciągnął kurek wielkiego rewolweru.

Nagle ktoś na ulicy krzyknął do chłopca:

- Nie! Wayne, nie!

Bing zadygotał ze zdenerwowania, broń niemal się wysliznęła z jego spoconej dłoni. Drogą sunął wielki srebrny samochód, od szprych w felgach odbijało się światło słoneczne. Auto zatrzymało się przed domem Victorii McQueen. Szyba była opuszczona. Kierowca wysunął potężną rękę i kiwał do dzieciaka.

- Hej! - krzyknął. - Hej, Wayne!

„Hej”, nie „nie”. Bing był taki podekscytowany, że się przesłyszał.

- Co kombinujesz, kolego? - ryknął grubas.

- Tata! - wrzasnął chłopak. Stracił zainteresowanie domem Sigmunda de Zoeta, zawrócił i popędził ścieżką z tym pieprzonym domowym niedźwiedziem u boku.

Bing miał wrażenie, że rozpuściły mu się wszystkie kości. Nogi dygotały z ulgi. Oparł się czołem o drzwi i zamknął oczy.

Kiedy je otworzył i spojrzał przez wizjer, dzieciak już był w

ramionach przybysza. Facet był makabrycznie gruby, wielki mężczyzna z ogoloną głową i nogami jak słupy telefoniczne. To na pewno Louis Carmody, ojciec, pomyślał Bing. Czytał o rodzinie w internecie i miał ogólne pojęcie, kto jest kim, ale nigdy nie widział zdjęcia tego mężczyzny. Był zdumiony. Nie wyobrażał sobie, jak Carmody i McQueen uprawiają seks – ta opasała bestia rozgniotłaby ją na placek. On sam nie był szczególnie szczupły, ale w porównaniu z Carmodym wyglądał jak gwiazda lekkoatletyki.

Przez chwilę się zastanawiał, czym ten facet ujął tę McQueen, że chciała uprawiać z nim seks. Może mieli układ finansowy. Nie byłby tym wcale zaskoczony. W końcu miał okazję przyjrzeć się tej kobiecie. Te jej tatuaże... Kobieta może sobie zrobić dowolny tatuaż, ale wszystkie mówią to samo. Są znakiem informującym JESTEM DO WZIĘCIA.

Wiatr porwał papiery, które przeglądał chłopak, i wdmuchnął je pod samochód grubasa. Kiedy Carmody postawił syna na ziemi, ten się rozejrzał i je zobaczył, ale nawet nie spróbował po nie sięgnąć.

Bing był zmartwiony tymi papierami. Coś oznaczały. Były ważne.

Przyniosła je chuda kobieta, która miała blizny i wyglądała jak narkomanka. Chciała dać te papiery McQueen. Bing obserwował ich spotkanie zza zasłonki w pokoju od frontu. Poznał, że Victoria McQueen nie lubi narkomanki. Krzyczała na nią i robiła brzydkie miny. Rzuciła w nią teczką z papierami. Ich głosy się niosły, niezbyt dobrze, ale usłyszał, jak któraś z nich powiedziała: „Manx”. Chciał zbudzić pana Manxa, lecz doszedł do wniosku, że przecież nie można go budzić, kiedy jest w takim stanie.

Ponieważ tak naprawdę nie śpi, pomyślał Bing. Zaraz potem odsunął od siebie tę przygnębiającą myśl.

Raz zajrzał do sypialni, żeby popatrzeć na pana Manxa, który leżał na łóżku w samych bokserkach. Na jego piersi widniało wielkie cięcie w kształcie litery Y, zszyte szorstką czarną nicią. Częściowo się zagoiło, ale sączyła się z niego ropa i różowa krew; wyglądało jak lśniący kanion w jego

ciele. Bing stał i nadśluchiwał przez parę minut, ale nie usłyszał jego oddechu. Usta pana Manxa były rozchylone, płynął z nich trochę mdły, trochę chemiczny smród formaldehydu. Oczy miał otwarte, mętne, puste, patrzące w sufit. Bing podkradł się blisko, żeby dotknąć jego ręki. Była zimna i sztywna, tak zimna i sztywna jak u trupa, i opadła go nieprzyjemna myśl, że pan Manx odszedł, ale zaraz potem oczy Manxa się poruszyły, leciutko, i skierowały prosto na niego. Bing odetchnął z ulgą, mimo że brakowało w nich świadomości.

Kryzys minął i Bing pozwolił, żeby drżące, słabe nogi poniosły go z powrotem do salonu. Ściągnął maskę przeciwgazową i usiadł z państwem de Zoetami, żeby obejrzeć telewizję. Potrzebował trochę czasu, żeby dojść do siebie. Trzymał panią de Zoet za rękę.

Oglądał teleturnieje i od czasu do czasu sprawdzał ulicę, mając oko na dom McQueen. Parę minut przed dziewiętnastą usłyszał głosy i trzaśnięcie drzwi. Wrócił do drzwi frontowych i popatrzył przez judasza. Niebo miało błądy odcień nektarynki. Chłopak i jego groteskowo gruby ojciec szli przez ogródek do samochodu z wypożyczalni.

- Będziemy w hotelu, gdybyś nas potrzebowała - krzyknął Carmody do Victorii McQueen, która stała na schodach.

Bingowi nie spodobało się to, że chłopak odjeżdża z ojcem. Chłopak i kobieta powinni być razem. Manx chciał mieć oboje - podobnie jak on. Chłopak był przeznaczony dla Manxa, a kobieta była nagrodą dla niego, żeby mógł się z nią zabawić w Domu Snu. Od samego patrzenia na jej chude, gołe nogi zasychało mu w ustach. Ostatnia zabawa w Domu Snu, a potem jazda do Gwiazdkowej Krainy z panem Manxem, na wieczne czasy do Gwiazdkowej Krainy.

Ale nie, nie ma powodu panikować. Przecież przejrzał pocztę w skrzynce Victorii McQueen i znalazł rachunek za półkolonie w New Hampshire. Mały został zapisany na sierpień. To prawda, Bing niekoniecznie miał wszystkie klepki na swoim miejscu, ale nie sądził, żeby ktoś zapisał dzieciaka na półkolonie, które kosztują osiemset dolarów za

tydzień, a potem po prostu machnął na to ręką. Jutro jest czwarty lipca. Ojciec prawdopodobnie przyjechał tylko po to, żeby zobaczyć się z synem w święto.

Ojciec i syn odjechali, zostawiając tę piekielną zjawę, Victorię McQueen. Papiery pod samochodem – te, na których obejrzeniu tak bardzo mu zależało – zostały porwane przez strumień powietrza i kotłowały się za buickiem.

Victoria McQueen też wyszła. Wróciła do domu, ale zostawiła otwarte drzwi i trzy minuty później pokazała się z kluczykami w jednej ręce i z torbami na zakupy w drugiej.

Bing patrzył za nią, dopóki nie zniknęła, potem przez jakiś czas obserwował ulicę i w końcu sam też wyszedł z domu. Słońce zaszło, zostawiając opromienioną pomarańczową mgiełkę na horyzoncie. Kilka gwiazd już wypalało dziurki na ciemnym firmamencie.

– Był sobie w masce gazowej mały facecik, który miał mały pistolecik – podśpiewywał cicho Bing, jak zawsze wtedy, gdy był zdenerwowany. – A kule były z ołowiu, ołowiu, ołowiu. Strzelił do Vic McQueen i utkwili w tułowiu, tułowiu, tułowiu.

Chodził wzdłuż krawężnika, lecz znalazł tylko jedną kartkę, zmiętą i poplamioną.

Nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie ksero artykułu o człowieku z Kentucky, który dwa miesiące temu przyjechał do jego domu Upiorem, dwa dni przed panem Manxem. Pan Manx zjawił się blady, wygłodzony, jasnooki i zakrwawiony, w trans amie z tapicerką w zębę i z wielkim srebrnym młotkiem na siedzeniu pasażera. W tym czasie Bing już przykręcił tablice NOS4A2 i Upiór był gotów do jazdy.

Człowiek z Kentucky, Nathan Demeter, spędził jakiś czas w niewielkim pomieszczeniu w piwnicy Domu Snu przed wyruszeniem w swoją ostatnią drogę. Bing wolał dziewczyny, ale Nathan Demeter wiedział, co robić ustami, i zanim Bing z nim skończył, odbyli wiele długich, poważnych, męskich rozmów o miłości.

Bing był przerażony, gdy znów zobaczył Nathana

Demetera, na zdjęciu towarzyszącym artykułowi pod tytułem *Zaginął inżynier Boeinga*. Rozbolał go brzuch. Pomimo usilnych starań nie potrafił wykombinować, dlaczego ćpunka przyszła z czymś takim do Victorii McQueen.

- O rany - szepnął, kołyszając się mimo woli. Nieświadomie zaczął znowu śpiewać: - Był sobie w masce gazowej mały facecik, który miał mały pistolecik. A kule były z ołowiu, ołowiu...

- Nie tak to idzie - powiedział ktoś piskliwym głosikiem za jego plecami.

Bing odwrócił głowę i zobaczył małą blondyneczkę na różowym rowerku z bocznymi kółkami. Przyjechała tu z grilla urządzanego przy końcu ulicy. Śmiech dorosłych niósł się w ciepłym, wilgotnym powietrzu wieczoru.

- Tata mi czytał - dodała. - Był sobie mały facecik i miał mały pistolecik. Strzelał do kaczek, prawda? Kto to jest facet w masce przeciwgazowej?

- Jest miły - odparł Bing. - Wszyscy go kochają.

- Ja go nie kocham.

- Pokochałabyś, gdybyś go znała.

Wzruszyła ramionami, zawróciła szerokim półkolem i ruszyła ulicą. Bing odprowadził ją wzrokiem, po czym wrócił do de Zoetów, ściskając artykuł o Demeterze, wydrukowany na papierze z jakiejś biblioteki w stanie Iowa.

Siedział przed telewizorem z de Zoetami godzinę później, kiedy zjawił się pan Manx, ubrany, w jedwabnej koszuli i butach ze szpiczastymi noskami. Jego wygłodzona, trupia twarz miała niezdrowy połysk w migoczących błękitnych cieniach.

- Bingu, czy nie mówiłem, żebyś umieścił pana i panią de Zoetów w pokoju gościnnym?

- Przecież nikomu nie szkodzą.

- Nie. Oczywiście, że nikomu nie szkodzą. Są martwi! Ale to nie jest powód, żeby plątali się pod nogami! Na litość boską, dlaczego tu z nimi siedzisz?

Bing wlepiął w niego oczy przez długi czas. Pan Manx był

najmądrzejszym i najbardziej spostrzegawczym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał, ale czasami nie pojmował najprostszycz rzeczy.

- Lepsze takie towarzystwo niż żadne - wyjaśnił.

Boston

Lou wynajął pokój na najwyższym piętrze Hiltona przy lotnisku Logana - jedna noc kosztowała tyle, ile zarabiał przez tydzień, i generalnie nie śmierdział groszem, ale pieprzyć to, był to przyjemny sposób wydawania - i tej nocy położyli się do łóżek dopiero po programie Lettermana. Dochodziła pierwsza i Lou sądził, że Wayne na pewno śpi, więc był zaskoczony, gdy syn się odezwał. Z ciemności popłynął donośny głos, tylko osiem słów, ale wystarczyło, żeby serce podskoczyło mu do gardła i tam utkwilo, jak kęs jedzenia, który zatrzymał się w drodze do żołądka.

- Ten facet, Charlie Manx, to jakaś poważna sprawa? - zapytał Wayne.

Lou walnął pięścią między swoje cycki tłuściocha i serce wróciło na swoje miejsce. Lou i jego serce nie byli w dobrej komitywie. Jego serce tak się męczyło, gdy musiał wejść po schodach. Wieczorem przemierzył z synem cały Harvard Square i nabrzeże i dwa razy musiał przystanąć, żeby złapać oddech.

Mówił sobie, że nie jest przyzwyczajony do życia nad morzem, że jego płuca i serce przywykły do górskiego powietrza. Ale nie był głupkiem. Wcale nie chciał tak utyć. To samo spotkało jego ojca. Facet przez ostatnie sześć lat życia jeździł po supermarkecie jednym z tych małych wózków golfowych dla ludzi, którzy są za grubi, żeby utrzymać się na własnych nogach. Lou wolałby piłą łańcuchową ściąć zbędne warstwy tłuszczu, niż wsiąść na któryś z tych pieprzonych skuterów.

- Mama coś o nim mówiła? - spytał.

Wayne westchnął i milczał przez chwilę: wystarczający czas, żeby Lou się zorientował, że niechcący odpowiedział na pytanie syna.

- Nie - odparł w końcu Wayne.

- Więc gdzie o nim słyszałeś?

- Dzisiaj w domu mamy była jakaś kobieta. Maggie Jakaśtam. Chciała porozmawiać o Charliem Manxie i mama naprawdę się wściekła. Myślałem, że skopie jej dupę.

- Aha - mruknął Lou, zastanawiając się, kim jest Maggie Jakaśtam i jak trafiła na sprawę Vic.

- Poszedł do więzienia za zabicie człowieka, prawda?

- Czy ta Maggie, która przyszła się zobaczyć z twoją mamą, powiedziała, że Manx kogoś zabił?

Wayne znowu westchnął. Przekręcił się w łóżku na bok, żeby spojrzeć na swojego tatę. Jego oczy lśniły w ciemności jak krople atramentu.

- Jeśli ci powiem, skąd wiem, co zrobił Manx, będę miał kłopoty?

- Nie z mojej strony - odparł Lou. - Sprawdziłeś w Google czy coś?

Wayne szeroko otworzył oczy i Lou zrozumiał, że syn nawet nie pomyślał o szukaniu informacji o Charliem Manxie w internecie. Ale teraz to zrobi. Lou miał ochotę trzasnąć się pięścią w czoło. Brawo, Carmody. Pięknie, kurwa, pięknie. Gruby i głupi.

- Ta kobieta zostawiła teczkę z paroma artykułami z gazet. Można powiedzieć, że je przeczytałem. Nie sędzę, żeby mama chciała, żebym przeczytał. Nie powiesz jej, prawda?

- Jakimi artykułami?

- O tym, jak umarł.

Lou pokiwał głową i pomyślał, że zaczyna rozumieć.

Manx zmarł niespełna trzy dni po śmierci matki Vic. Lou dowiedział się o tym tego samego dnia z wiadomości radiowych. Vic dopiero pięć miesięcy temu zakończyła terapię odwykową i przez całą wiosnę patrzyła, jak kona jej matka, dlatego nie chciał jej nic mówić. Bał się, że

przypominanie o Manxie spowoduje utratę z trudem odzyskanej równowagi psychicznej. Zamierzał jej powiedzieć, ale jakoś nie nadarzyła się sposobność, a później w pewnym momencie poruszenie tego tematu stało się niemożliwe. Po prostu czekał zbyt długo.

Maggie Jakaśtam musiała się dowiedzieć, że Vic była dziewczynką, która uciekła Charlesowi Manxowi. Jedyne dziecko, które mu uciekło. Może Maggie Jakaśtam była dziennikarką, a może pracowała nad książką o rzeczywistych zbrodniach. Przyszła po komentarz, a Vic zrobiła jeden: zdecydowanie nie do druku i prawdopodobnie o charakterze ginekologicznym.

- O Manxie nie warto myśleć. Nie ma z nami nic wspólnego.

- Ale dlaczego ktoś chciał rozmawiać o nim z mamą?

- O to musisz sam zapytać mamę. Naprawdę nie powinienem nic mówić. Jeśli powiem, wpadnę w kłopoty, wiesz?

Taka była umowa, jego układ z Victorią McQueen zawarty wtedy, gdy się dowiedziała o ciąży i postanowiła mieć dziecko. Pozwoliła, żeby on nadał mu imię, i obiecała, że z nim zamieszka; obiecała, że będzie zajmować się dzieckiem, a kiedy ono zaśnie, będą mogli się trochę zabawić. Obiecała, że będzie dla niego żoną pod każdym względem, tylko nie formalnym. Ale pod jednym warunkiem: chłopiec nie dowie się o Charliem Manxie, chyba że ona postanowi mu o nim powiedzieć.

Lou się zgodził, ten układ wydawał się wtedy dość rozsądny. Ale nie przypuszczał, że przez tę umowę jego syn nie usłyszy najlepszej rzeczy o własnym ojcu - że kiedyś jego tata pokonał strach i zdobył się na prawdziwy heroizm na miarę Kapitana Ameryki. Zabrał na swój motocykl piękną dziewczynę, chroniąc ją przed potworem. Kiedy potwór ich dopadł i podpalił człowieka, on pierwszy gasił płomień - za późno na uratowanie życia, ale miał serce na właściwym miejscu i działał bez jednej myśli o podejmowanym ryzyku.

Lou nie cierpiał myśleć, co zamiast tego wie o nim jego

syn: że jest chodzącą grubą karykaturą, że wiedzie marny żywot, wyciągając ludzi z zasp i naprawiając przekładnie, że nie zdołał zatrzymać przy sobie Vic.

Chciałby mieć jeszcze jedną szansę. Chciałby uratować kogoś innego i żeby Wayne to widział. Z radością użyłby swojego własnego grubego ciała, żeby powstrzymać kulę, byle tylko Wayne mógł to zobaczyć na własne oczy. Potem mógłby się wykrwawić w blasku chwały.

Czy jest pragnienie bardziej żałosne - albo gorętsze - niż pragnienie drugiej szansy?

Jego syn westchnął, padł na wznak.

- Opowiedz mi o wakacjach - poprosił Lou. - Co jak dotąd było najlepsze?

- Nikt nie poszedł na odwyk - odparł Wayne.

Nad zatoką

Lou czekał na wybuch - nadchodził, mógł nastąpić lada chwila - kiedy Vic podeszła z rękami wbitymi w kieszenie tej swojej wojskowej bluzy i zapytała:

- To krzesło dla mnie?

Spojrzał na kobietę, która nigdy nie była jego żoną, ale, nie do wiary, dała mu dziecko i nadała sens jego życiu. Myśl, że kiedyś trzymał ją za rękę, znał smak jej ust albo się z nią kochał, teraz wydawała się równie nieprawdopodobna jak pokąsanie przez radioaktywnego pająka.

Nie ulegało wątpliwości, że była chora umysłowo. Nie wiadomo, dla kogo ta schizofreniczka ściągnie majtki.

Wayne siedział na kamiennym murze od strony zatoki z paroma innymi dzieciakami. Cały hotel wyległ na pokaz sztucznych ogni i ludzie tłoczyli się na starych czerwonych ceglach nabrzeża z widokiem na Boston. Niektórzy siedzieli na leżakach z kutego żelaza. Inni spacerowali z kieliszkami szampana. Dzieciaki biegały z zimnymi ogniami, rysując

czerwone bazyliki na tle ciemności.

Vic patrzyła na swojego dwunastolatka z mieszaniną czułości i smutnej tęsknoty. Wayne jeszcze jej nie zauważył, a ona do niego nie podeszła, w żaden sposób nie dała mu znać, że tu jest.

- Zdążyłaś w samą porę, zaraz się zacznie - powiedział Lou.

Obok niego na wolnym krzeselku leżała jego kurtka motocyklowa. Podniósł ją i przełożył przez kolano, robiąc miejsce dla Vic.

Uśmiechnęła się, zanim usiadła - obdarzyła go tym swoim uśmiechem, unosząc tylko jeden kącik ust, jej mina sugerowała tyle samo ubolewania, ile szczęścia.

- Mój ojciec to robi - powiedziała. - Odpala fajerwerki w Dzień Niepodległości. Urządza niezłe widowisko.

- Myślałaś kiedyś, żeby wyskoczyć tam z Wayne'em, by mógł go poznać? To chyba nie więcej niż pół godziny jazdy od jeziora.

- Skontaktuję się z nim, gdy będę chciała wysadzić coś w powietrze - odparła. - Gdy będę potrzebować trochę ANFO.

- Info?

- ANFO. To materiał wybuchowy. Tata używa go do rozwalania karczów, głązów, mostów i tak dalej. Zasadniczo to tylko duży śliski worek końskiego gówna przeznaczony do niszczenia różnych rzeczy.

- Co? ANFO czy twój tata?

- Jedno i drugie. Już wiem, o czym chcesz pogadać.

- Może po prostu chciałem, żebyśmy razem, jako rodzina, spędzili Dzień Niepodległości. Czy to niemożliwe?

- Czy Wayne mówił coś o kobiecie, która wczoraj zjawiała się przed domem?

- Pytał mnie o Charliego Manxa.

- Cholera. Posłałam go do domu. Myślałam, że nie słyszy naszej rozmowy.

- Cóż, usłyszał. Całkiem sporo.

- Ile? O czym?

- To i owo. Dość, by rozbudziło to jego ciekawość.

- Wiedziałaś, że Manx nie żyje? - zapytała.

Lou wytarł wilgotne dłonie o spodenki turystyczne.

- O ja cię... Najpierw byłaś na odwyku, potem umierała twoja mama... nie chciałem dokładać ci kolejnej sprawy. Chciałem ci powiedzieć, z czasem. Szczerze. Nie lubię cię stresować. Przecież wiesz. Nikt nie chce, żeby... - Głos mu się załamał.

Znów obdarzyła go tym krzywym uśmiechem.

- Mi odwaliło?

Patrzył przez ciemność na ich syna. Wayne zapalił dwa sztuczne ognie. Machał rękami w górę i w dół, potrząsał dłońmi, gdy iskry strzelały. Wyglądał jak Ikar w chwili, gdy sprawy zaczęły iść źle.

- Chcę ci wszystko ułatwić, żebyś mogła być dla Wayne'a. Nie, źle się wyraziłem, wywołuję poczucie winy! - dodał szybko Lou. - Nie chcę ci przysparzać problemów... przysparzaniem problemów. Wayne i ja dobrze sobie radzimy, tylko we dwóch. Pilnuję, żeby szczotkował zęby, odrabiał lekcje. Razem pracujemy, pozwalam mu obsługiwać wyciągarkę. On to uwielbia. Siedzi w tym wszystkim po uszy. Po prostu uważam, że umie z tobą rozmawiać. A może ty umiesz słuchać. Sam nie wiem. To kwestia macierzyństwa. - Po chwili milczenia dodał: - Ale powinienem cię powiadomić o śmierci Manxa. Po prostu żebyś wiedziała, że mogą zjawić się reporterzy.

- Reporterzy?

- Tak. Ta pani, która przyszła do ciebie wczoraj... nie była reporterką?

Siedzieli pod niskim drzewem kwitnącym na różowo. Parę płatków spadło, uwięzło we włosach Vic. Lou czuł, że serce mu pęka ze szczęścia, i nie miało znaczenia, o czym rozmawiają. Jest lipiec, są razem, Vic ma płatki we włosach. To było romantyczne jak piosenka zespołu Journey, jedna z tych dobrych.

- Nie - odparła Vic. - To była wariatka.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś ze szpitala?

Vic ściągnęła brwi, chyba poczuła płatki we włosach, bo

machnęła ręką i je strzepnęła. I tyle, jeśli chodzi o romantyzm. Szczerze mówiąc, była mniej więcej tak romantyczna jak pudełko świec zapłonowych.

- W gruncie rzeczy nigdy nie rozmawialiśmy o Charliem Manxie - powiedziała. - Jak do niego trafiłam.

Rozmowa zmierzała w kierunku, który nie za bardzo mu się podobał. Nie rozmawiali o tym, jak trafiła do Charliego Manxa, ponieważ Lou nie chciał słyszeć, jak ten stary pojeb molestował ją seksualnie i przez dwa dni trzymał zamkniętą w bagażniku swojego samochodu. Poważne rozmowy zawsze przyprawiały go o nerwowe skurcze żołądka. Wolał beztroskie pogawędki o bohaterach komiksów, na przykład o Zielonej Latarni.

- Uznałem, że gdybyś chciała o tym pogadać, sama byś zaczęła.

- Nigdy o tym nie mówiłam, bo nie wiem, co się stało.

- To znaczy nie pamiętasz. Tak. Tak, rozumiem. Ja też zablokowałbym takie gównno.

- Nie. To znaczy nie wiem. Pamiętam, ale nie wiem.

- Ale... jeśli pamiętasz, to w takim razie wiesz, co się stało. Czy pamięć i wiedza to nie to samo?

- Nie, jeśli pamiętasz na dwa różne sposoby. W mojej głowie są dwie historie o tym, co mnie spotkało, i obie wydają się prawdziwe. Chcesz posłuchać?

Nie. Ani trochę.

Mimo wszystko pokiwał głową.

- W jednej wersji, tej, którą opowiedziałam prokuratorowi federalnemu, pokłóciłam się ze swoją mamą. Uciekłam. Trafiłam na stację kolejową późno w nocy. Zadzwoiłam do taty, żeby zapytać, czy mogę się u niego zatrzymać, a on kazał mi wracać do domu. Kiedy się rozłączyłam, poczułam pieczenie na tyłku. Odwróciłam się, w oczach mi pociemniało i upadłam w ramiona Manxa. Charlie Manx zamknął mnie w bagażniku swojego samochodu i przewiózł przez cały kraj. Zaglądał do mnie tylko po to, żeby podawać mi narkotyki. Byłam świadoma, jak przez mgłę, że jest z nim drugie dziecko, chłopiec, ale przez większość czasu byliśmy

rozdzieleni. Kiedy dotarliśmy do Kolorado, zostawił mnie w bagażniku i poszedł dokądś z tym chłopcem. Wydostałam się. Siłą otworzyłam kufer. Podpaliłam dom, żeby odwrócić jego uwagę, i pobiegłam do autostrady. Biegłam przez ten straszny las z drzewami obwieszonymi ozdobami choinkowymi. Biegłam do ciebie, Lou. Całą resztę już znasz. To moja pierwsza wersja, jak to pamiętam. Chcesz wysłuchać drugiej?

Lou nie był pewien, czy tego chce, ale zachęcił ją, kiwając głową.

- W innej wersji mojego życia miałam rower. Tata mi go dał, kiedy byłam mała. I mogłam używać tego roweru do znajdowania różnych zgubionych rzeczy. Wjeżdżałam na wymyślony kryty most, który zawsze doprowadzał mnie tam, gdzie musiałam trafić. Kiedyś moja mama zgubiła bransoletkę, a ja przejechałam przez most i trafiłam do New Hampshire, sześćdziesiąt kilometrów od domu. I bransoletka tam była, w restauracji o nazwie Terry's Primo Subs. Nadążasz?

- Wyimaginowany most, rowerek o supermocy. Jasne.

- W dzieciństwie wiele razy korzystałam z roweru i mostu, żeby znajdować różne rzeczy. Zawieruszone maskotki, zgubione zdjęcia, takie tam. Nie wyprawiałam się często na poszukiwania. Najwyżej raz, może dwa razy w roku. Gdy podrosłam, jeszcze rzadziej. To mnie przerażało, bo wiedziałam, że przecież to niemożliwe; że świat nie jest tak urządzony. Kiedy byłam mała, można to było uznać za wymysły. Ale później moje wyprawy zaczęły wydawać się urojeniami. Bałam się.

- Dziwię się, że nie użyłaś swojej wyjątkowej mocy, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby ci powiedzieć, że nie dzieje się z tobą nic złego - powiedział Lou.

Szerzej otworzyła oczy i zapłonęło w nich zaskoczenie. Lou zrozumiał, że właśnie tak zrobiła.

- Skąd... - zaczęła.

- Czytam wiele komiksów. To logiczny następny krok - odparł. - Odkryć magiczny pierścień, znaleźć Strażników

Wszechświata. Standardowa procedura operacyjna. Kto to był?

- Most zabrał mnie do pewnej bibliotekarki w Iowa.

- To miała być bibliotekarka.

- Dziewczyna, niewiele starsza od mnie, też miała wyjątkową moc. Mogła używać scrabble do ujawniania sekretów. Układała wiadomości z tamtego świata. Takie rzeczy.

- Wyimaginowana przyjaciółka.

Uśmiechnęła się do niego nieznacznie, ze strachem i przeproszająco, i pokręciła głową.

- To nie wydawało się wyimaginowane. Nigdy. Wydawało się prawdziwe.

- Nawet ta jazda na rowerze do Iowa?

- Przez Most Krótsza Droga.

- A ile trzeba czasu, żeby przejechać z Massachusetts do kukurydzianej stolicy Ameryki?

- Niewiele. Trzydzieści sekund? Najwyżej minutę.

- Popedałowanie z Massachusetts do Iowa zajęło ci trzydzieści sekund? I nie uważasz tego za wymysł?

- Nie. Pamiętam wszystko tak, jakby się stało naprawdę.

- Dobra. Rozumiem. Mów dalej.

- Więc jak mówiłam, ta dziewczyna z Iowa miała woreczek płytek scrabble. Wyciągała literki i układała wiadomości. Literki pomagały jej rozwiązywać tajemnice, tak jak mój rower pomagał mi w znajdowaniu zgubionych przedmiotów. Powiedziała, że są inni tacy jak my. Ludzie, którzy potrafią robić rzeczy niemożliwe, jeśli mają odpowiedni pojazd. Powiedziała o Charliem Manxie. Ostrzegła mnie przed nim. Powiedziała, że to zły mężczyzna ze złym samochodem. Używa tego samochodu, żeby wysysać życie z dzieci. Był kimś w rodzaju wampira... wampira drogowego.

- Mówisz, że wiedziałaś o Charliem Manxie, zanim cię porwał?

- Nie, wcale tego nie mówię. Ponieważ w tej wersji mojego życia Manx wcale mnie nie porwał. W tej wersji pokłóciłam się z mamą, a później pojechałam na rowerze szukać

kłopotów. Chciałam znaleźć jakieś kłopoty, i znalazłam. Przebyłam Most Krótsza Droga i wyjechałam przed domem Charliego Manxa. Nie szczędził starań, żeby mnie zabić, ale zdołałam się wymknąć, uciekłam i spotkałam ciebie. A historia, którą opowiedziałam policji, o napaści i zamknięciu w bagażniku... po prostu ją wymyśliłam, bo wiedziałam, że nikt nie uwierzy w prawdę. Mogłam opowiedzieć o Charliem Manxie taką historię, jaką tylko chciałam, bo wiedziałam, że rzeczy, które robił, są znacznie gorsze niż moje największe kłamstwo. Pamiętaj: w tej wersji mojego życia on nie jest sprośnym starym porywaczem, jest pieprzonym wampirem.

Nie płakała, ale oczy miała wilgotne i lśniąco, rozświetlone w taki sposób, że w porównaniu z nimi zimne ognie z okazji Dnia Niepodległości wydawały się tandetne i matowe.

- Więc wysysał życie z dzieci - powiedział Lou. - A co potem? Co się z nimi działo?

- Trafiały do miejsca zwanego Gwiazdkową Krainą. Nie wiem, gdzie to jest... nie jestem nawet pewna, czy leży w naszym świecie... ale mają tam telefony, bo wydzwaniały do mnie przez cały czas. - Vic spojrzała na dzieci stojące przy kamiennym murze, wśród nich Wayne'a, i szepnęła: - Zostały zniszczone w czasie, gdy Manx wysysał z nich życie. Nie pozostało w nich nic prócz nienawiści i zębów.

Lou zadrżał.

- Jezu...

W pobliżu grupka mężczyzn i kobiet wybuchła śmiechem i Lou spojrzał na nich gniewnie. Wydawało się to niewłaściwe, jakby ludzie w ich sąsiedztwie nie mieli prawa dobrze się bawić w tej szczególnej chwili.

Popatrzył na nią i powiedział:

- Więc podsumujmy: jest jedna wersja twojego życia, w której Charlie Manx, obleśny, stary, porąbany porywacz dzieci uprowadza cię ze stacji kolejowej, a ty o włos unikasz śmierci. To oficjalne wspomnienie. Ale jest też druga wersja, w której przejeżdżasz przez wymyślony most na rowerze napędzanym psychicznie i zupełnie sama tropisz Manxa w Kolorado. I to jest wspomnienie nieoficjalne.

Historia jak z *Behind the music* na kanale VH1.

- Tak.

- I oba te wspomnienia sprawiają wrażenie prawdziwych.

- Tak.

- Ale zdajesz sobie sprawę... - Lou przypatrywał się jej w skupieniu - że ta historia o Moście Krótsza Droga jest wyssana z palca. W głębi duszy jesteś przekonana, że sama ją sobie opowiedziałaś, żeby nie myśleć o tym, co naprawdę cię spotkało. Żebyś nie musiała myśleć o... o porwaniu i całej reszcie.

- Zgadza się - przyznała Vic. - Właśnie do takiego wniosku doszłam w szpitalu psychiatrycznym. Moja historia o magicznym moście jest klasyczną fantazją i konfabulacją. Nie mogłam znieść myśli, że jestem ofiarą, więc wyssałam z palca tę bujdę, żeby uczynić się bohaterką, wyposażoną w kompletny zestaw wspomnień o tym, co się nigdy nie stało.

Lou opadł na oparcie krzesła, z kurtką motocyklową złożoną na kolanie, i odprężył się, oddychając głęboko. No tak. Nie jest tak źle. Teraz rozumiał, co mu mówiła: przeżyła koszmar i skutek tego przez pewien czas była wariatką. Uciekła w świat fantazji - kto by tego nie zrobił! - ale teraz była gotowa odrzucić fantazje, żeby stawić czoło rzeczywistości.

- Cholera - mruknął po namyśle. - Trochę odeszliśmy od tego, o czym rozmawialiśmy. Co ten wątek ma wspólnego z kobietą, która wczoraj zjawiała się pod twoim domem?

- To Maggie Leigh - odparła Vic.

- Maggie Leigh? A kim ona jest, do licha?

- Bibliotekarką. Dziewczyną, którą poznałam w Iowa, kiedy miałam trzynaście lat. Wytropiła mnie w Haverhill, żeby mi powiedzieć, że Charlie Manx zmartwychwstał i po mnie przyjdzie.



Wyraz dużej, okrągłej, zarośniętej twarzy Lou był niemal śmiesznie łatwy do odczytania. Gdy Vic powiedziała, że

spotkała kobietę ze swojej wyobraźni, Lou otworzył oczy tak szeroko, że nieledwie wyskoczyły z orbit, upodabiając go do postaci z kreskówki, która właśnie pociągnęła potężny łyk z butelki oznaczonej XXX. Gdyby dym wystrzelił mu z uszu, obraz byłby kompletny.

Vic zawsze lubiła dotykać jego twarzy i z trudem się pohamowała, żeby teraz tego nie zrobić. To było tak kuszące, jak gumowa piłka jest kusząca dla dziecka.

Była dzieckiem, gdy pocałowała go po raz pierwszy. W zasadzie oboje byli dziećmi.

- Ja cię... Co jest, kurwa? Nie mówiłaś, że bibliotekarka była wymysłem? Jak ten twój kryty most?

- Tak. Do takiego wniosku doszłam w szpitalu. Że wszystkie te wspomnienia są wymyślone. Wyczelowana historyjka, którą stworzyłam, żeby się chronić przed prawdą.

- Ale... ona nie może być wytworem wyobraźni. Była w twoim domu. Wayne ją widział. Zostawiła teczkę. To z niej Wayne wyczytał o Manxie - powiedział Lou. Na jego szerokiej, wyrazistej twarzy odmalowała się konsternacja. - O ja cię... Nie miałem ci tego mówić. O teźce.

- Wayne do niej zajrzał? Cholera. Mówiłam jej, żeby ją zabrała. Nie chciałam, żeby Wayne zobaczył.

- Mówiłaś, że nie wolno dopuścić, żeby się dowiedział. - Lou uderzył pięścią w swoje słoniowe kolano. - Jestem do dupy, jeśli chodzi o dotrzymywanie sekretów.

- Jesteś prostolinijny, Lou. Między innymi dlatego cię kocham.

Uniósł głowę i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Tak, przecież wiesz - dodała. - To nie twoja wina, że zrobiłam taki paskudny burdel ze wszystkiego. Nie twoja wina, że jestem taką totalną porażką.

Luo spuścił głowę i przez chwilę rozważał jej słowa.

- Nie powiesz mi, że nie jestem aż taka zła? - zapytała.

- Mmm... nie. Myślałem jak każdy mężczyzna, który kocha gorącą dziewczynę z rejestrem popełnionych błędów. Ponieważ zawsze jest możliwe, że jednym z tych błędów jest on.

Uśmiechnęła się, położyła rękę na jego dłoni.

- Mam długi rejestr popełnionych błędów, Louisie Carmody, ale ty nie byłeś jednym z nich. Lou, jestem tak cholernie zmęczona tym życiem we własnej głowie. Zawalenie sprawy jest złe, a wymówki są jeszcze gorsze. To łączy obie wersje mojego życia, wiesz. Ta jedna rzecz. W pierwszej wersji jestem chodzącym nieszczęściem, bo mama mnie za mało przytulała, a tata nie nauczył mnie, jak puszczać latawce czy coś. W drugiej wersji wolno mi być porąbaną szajbuską...

- Sza. Przestań.

- ...rujnować życie twoje i Wayne'a...

- Przestań sobie dokopywać.

- ...bo wszystkie te wyprawy przez Most Krótsza Droga pomieszały mi w głowie. Bo od samego początku konstrukcja była niebezpieczna i za każdym razem, gdy ją przemierzałam, działało się coraz gorzej. Ponieważ ten most jest prawdziwy, ale istnieje również w mojej głowie. Nie spodziewam się, że moje słowa mają jakiś sens. Sama ledwie to ogarniam. Freud się kłania.

- Freud czy nie, mówisz tak, jakbyś to wszystko naprawdę przeżyła - powiedział Lou. Spojrzał w noc. Odetchnął powoli, głęboko, uspokajająco. - Więc jest prawdziwe?

Tak, pomyślała szybko Vic z bólem.

- Nie - odparła. - Nie może być prawdziwe. Nie chcę, żeby tak było. Lou, pamiętasz tego faceta, który zastrzelił członkinię Kongresu w Arizonie? Loughnera? Myślał, że rząd próbuje podporządkować sobie ludzkość przez kontrolowanie języka i gramatyki. On święcie wierzył, że właśnie tak jest. Zewsząd otaczały go dowody. Kiedy wyglądał przez okno i widział kogoś idącego z psem, był przekonany, że to szpieg, ktoś nasłany przez CIA, żeby go obserwować. Schizole przez cały czas wymyślają swoje wspomnienia: spotkania ze sławnymi ludźmi, porwania, heroiczne triumfy. Taka jest natura urojeń. Chemia zaburza ci całe poczucie rzeczywistości. Pamiętasz, jak wpakowałam do piekarnika wszystkie telefony i spaliłam nasz dom? Byłam święcie

przekonana, że martwe dzieci dzwonią do mnie z Gwiazdkowej Krainy. Słyszałam dzwoniące telefony, chociaż nikt inny ich nie słyszał. Słyszałam głosy, których nie słyszał nikt poza mną.

- Ale, Vic, Maggie Leigh była w twoim domu. Bibliotekarka. Tego sobie nie wyobraziłaś. Wayne też ją widział.

Vic zdobyła się na uśmiech, który wypadł bardzo blado.

- Zgadza się. Spróbuję wyjaśnić, jak to możliwe. To prostsze, niż sądzisz. Nie ma w tym żadnej magii. Mam wspomnienia o Moście Krótsza Droga i o rowerku, który zabierał mnie na poszukiwania. Tylko że to nie są wspomnienia, to urojenia, zgadza się? W szpitalu mieliśmy sesje grupowe, siadaliśmy i rozmawialiśmy o naszych obłąkańczych fantazjach. Mnóstwo pacjentów słyszało moją opowieść o Charliem Manxie i o Moście Krótsza Droga. Sądzę, że Maggie Leigh jest jedną z nich, jedną z wariatek. Podpięła się do mojej fantazji i po prostu ją sobie przywłaszczyła.

- Co masz na myśli, mówiąc, że sądzisz, że była jedną z pacjentek? Uczestniczyła z tobą w sesjach terapii grupowej czy nie?

- Nie pamiętam jej z tych sesji. Pamiętam, że poznałam Maggie w małomiasteczkowej bibliotece w stanie Iowa. Ale tak działają urojenia. Zawsze zapamiętuję różne rzeczy. - Vic uniosła palce i wyrysowała w powietrzu znaki zapytania, żeby podkreślić z gruntu niegodną zaufania naturę takich wspomnień. - Wspomnienia te po prostu do mnie przyszły, wszystkie naraz, idealnie uporządkowane jak rozdziały w tej obłądnej opowieści, którą napisałam w swojej wyobraźni. Ale oczywiście nie ma w nich niczego prawdziwego. Są wymyślone na poczekaniu. Moja wyobraźnia je podsuwa i jakaś część mnie decyduje, żeby je zaakceptować jako fakt w chwili, gdy napływają. Maggie Leigh mi powiedziała, że ją poznałam, kiedy byłam mała, i moje urojenia natychmiast podsunęły historię na poparcie jej słów. Lou, pamiętam nawet akwarium w jej biurze. Miała w nim jedną dużą rybę

koi, a na dnie zamiast kamyków leżały płytki scrabble. Widzisz, jakie wariackie omamy?

- Myślałem, że zażywałaś leki. Myślałem, że wyzdrowiałaś.

- Pigułki, które łykam, są słabe. Tylko tłumią fantazje, to wszystko. Ale fantazje wciąż tam są i przy każdym silnym wietrze czuję, jak grzechoczą, próbując się wydostać. - Spojrzała mu prosto w oczy i dodała: - Lou, możesz mi wierzyć, zamierzam o siebie zadbać. Nie tylko dla mnie samej. Dla Wayne'a. Jestem zdrowa. - Nie dodała, że tydzień temu skończył się jej lek Abilify, że ostatnie pigułki brała rzadziej, niż powinna, żeby uchronić się przed objawami nagłego odstawienia. Nie chciała go martwić bardziej niż to konieczne, a poza tym zamierzała jutro z samego rana poprosić o powtórzenie recepty. - Powiem ci jeszcze coś. Nie pamiętam spotkania z Maggie Leigh w szpitalu, ale to nic dziwnego. Pakowali we mnie tyle leków, że mogłabym zapomnieć o spotkaniu z Barackiem Obamą. I Maggie Leigh, niech Bóg ją błogosławi, jest obłąkana. Poznałam to na pierwszy rzut oka. Pachniała przytułkiem dla bezdomnych, na rękach miała blizny po zastrzykach albo po przypalaniu się papierosem, a może jedno i drugie. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Lou siedział obok niej ze zwieszoną głową, marszcząc czoło, pogrążony w myślach.

- A jeśli wróci? Wayne miał porządnego stracha.

- Jutro ruszamy do New Hampshire. Tam nas chyba nie znajdzie.

- Mogłabyś przyjechać do Kolorado. Nie musiałybyś mieszkać ze mną. Nie musielibyśmy mieszkać razem. Nie proszę o nic. Ale moglibyśmy znaleźć ci jakieś mieszkanie, gdzie pracowałabyś nad *Wyszukiwarką*. Dzieciak mógłby spędzać dni ze mną, a noce z tobą. W Kolorado też mamy drzewa i wodę, wiesz?

Wyprostowała się na krześle. Niebo było niskie i zadymione, chmury odbijały światła miasta i jarzyły się ciemnym odcieniem brudnego różu. W górach nad Gunbarrel, gdzie został poczęty Wayne, niebo było

przepastne, rozgwieżdzone, usiane tyłoma gwiazdami, ilu nigdy się nie zobaczy nad morzem. W tych górach istniały inne światy. Inne drogi.

- Chyba podoba mi się ten pomysł, Lou - odparła. - Wayne wróci do Kolorado we wrześniu, żeby pójść do szkoły. Przyjadę razem z nim, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Jasne, że nie. Odbiło ci?

Przez jedną chwilę, dość długą, by kolejny płatek osiadł jej na włosach, żadne z nich się nie odzywało. Potem wymienili spojrzenie i wybuchli śmiechem. Vic śmiała się tak głośno, tak swobodnie, że zabrakło jej tchu i zaczęła posapywać, zasysając powietrze.

- Przepraszam - wymamrotał Lou. - Pewnie nie najlepszy dobór słów.

Wayne, siedzący sześć metrów dalej na kamiennym murku, odwrócił się i na nich spojrzał. Trzymał w ręce wypalony zimny ogień. Snuła się z niego wstążka czarnego dymu. Pomachał do rodziców.

- Wrócisz do Kolorado i znajdziesz mi jakieś lokum - powiedziała Vic. Pokiwała ręką do syna. - Wayne przyleci pod koniec sierpnia, a ja z nim. Pojechałabym teraz, ale domek nad jeziorem jest wynajęty do końca sierpnia i mam opłacone jeszcze trzy tygodnie półkolonii.

- I musisz skończyć pracę nad motocyklem - dodał Lou.

- Wayne ci powiedział?

- Nie tylko powiedział. Przesłał mi zdjęcia z komórki. Trzymaj. - Lou rzucił jej swoją kurtkę.

Kurtka motocyklowa była wielka, ciężka, z jakiegoś materiału syntetycznego podobnego do nylonu, z naszytymi kościanymi plakietkami - teflonowa zbroja. Vic pomyślała, że to najfajniejsza kurtka na świecie, w chwili, gdy objęła ją rękami, szesnaście lat temu. Na piersi tłoczyły się spłowiałe, wystrzępione naszywki: ROUTE 66, SOUL, tarcza Kapitana Ameryki. Kurtka pachniała jak Lou, jak dom. Jak drzewa, pot, smar i czysty słodki wiatr, który świszczce na górskich przełęczach.

- Może uchroni cię przed śmiercią - powiedział Lou. - Noś

ją.

I w tej chwili ciemnoczerwony rozbłysk rozerwał niebo nad zatoką. Rakieta wybuchła z hukiem rozdzierającym bębunki w uszach. Niebiosa się otworzyły i spłynął z nich deszcz białych iskier.

Zaczęła się kanonada.

Międzystanowa I-95

Dwadzieścia cztery godziny później Vic wyruszyła z Wayne'em i Hooperem nad jezioro Winnepesaukee. Przez całą drogę padało, rzęsista letnia ulewa bębniła o asfalt i wymuszała jazdę poniżej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Vic przekroczyła granicę stanu i wjechała do New Hampshire, kiedy sobie uświadomiła, że zapomniała poprosić o powtórzenie recepty na abilify.

Obserwowanie drogi i trzymanie się właściwego pasa wymagało najwyższej koncentracji. Ale nawet gdyby spoglądała w lusterko wsteczne, nie zwróciłaby uwagi na samochód podążający za nimi w odległości dwustu metrów. W nocy jedna para świateł wygląda jak każda inna.

Jezioro Winnepesaukee

Wayne zbudził się w łóżku matki, na długo zanim się wyspał. Coś wyrwało go ze snu, ale nie wiedział co, dopóki się nie powtórzyło - delikatne stuknięcia w drzwi sypialni.

Oczy miał otwarte, ale jeszcze nie czuł się w pełni przytomny - ten stan umysłu miał się utrzymać przez cały dzień, więc wszystko, co zobaczył i usłyszał, miało magiczny

charakter marzeń sennych. Wszystko wydawało się hiperrealistyczne i przesycone tajemnym znaczeniem.

Nie pamiętał, jak to się stało, że zasnął w łóżku matki, ale nie był zaskoczony, gdy się tam obudził. Często zanosila go do swojego łóżka, gdy zasnął w jakimś przypadkowym miejscu. Pogodził się, że czasami jego towarzystwo jest konieczne, jak dodatkowy koc w zimną noc. Ale teraz jej nie było. Prawie zawsze wstawała przed nim.

- Kto tam? - zapytał, trąc oczy palcami.

Pukanie ucichło, a potem zaczęło się na nowo, urywane, niemal pytające: Puk? Puk? Puk?

- Kto tam? - powtórzył.

Pukanie ponownie ucichło. Drzwi sypialni uchyliły się na kilka centymetrów. Na tle ściany ukazał się cień, profil mężczyzny. Wayne zobaczył duży zakrzywiony nos i wysoką, gładką jak u Sherlocka Holmesa krzywiznę czoła Charliego Manxa.

Chciał krzyknąć. Chciał zawołać mamę. Ale z jego gardła wydobył się tylko dziwny świst, dziwne terkotanie, jakby pęknięta zębátka obracała się bezsensownie w jakiejś zepsutej maszynie.

Na zdjęciu policyjnym Charles Manx patrzył prosto w aparat, oczy miał wytrzeszczone, a zakrzywione górne zęby wysunięte na dolną wargę nadawały jego twarzy wyraz tępego zdumienia. Wayne nie znał go z profilu, a jednak wystarczył mu jeden rzut oka, żeby rozpoznać cień.

Drzwi się poruszyły. Znów zabrzmiało pukanie. Wayne starał się odzyskać oddech. Chciał coś powiedzieć - Pomocy! Proszę! - ale widok cienia odebrał mu głos, jak ręka zaciśnięta na ustach.

Wayne zamknął oczy, z desperacją nabrał powietrza i wykrzyknął:

- Odejdź!

Usłyszał, jak drzwi się otwierają, poskrzypując na zawiasach. Ręka oparła się ciężko na brzegu łóżka, tuż przy jego kolanie. Wayne jęknął piskliwie, prawie niesłyszalnie. Otworzył oczy i spojrzał - i zobaczył Hoopera.

Wielki, jasny pies wpatrywał się pilnie w jego twarz, oparty przednimi łapami o łożko. Jego wilgotne oczy były nieszczęśliwe, nawet zrozpaczone.

Wayne spojrział ku drzwiom, ale cień Manxa zniknął. Z jednej strony rozumiał, że nigdy go tam nie było, że jego wyobraźnia stworzyła profil z przypadkowych cieni. Z drugiej był pewien, że widział go tak wyraźnie, jakby został wyrysowany atramentem na ścianie. Przez uchylone drzwi roztaczał się widok na korytarz biegnący przez długość domu. Nikogo tam nie było.

A jednak był przekonany, że słyszał pukanie, tego na pewno sobie nie wymyślił. I gdy patrzył w głąb korytarza, znowu je usłyszał. Rozejrzał się i zobaczył, że Hooper wali krótkim, grubym ogonem w podłogę.

- Hej, piesku - powiedział, wsuwając palce w miękki puch za uszami Hoopera. - Przestraszyłeś mnie, wiesz. Co cię sprowadza?

Hooper ciągle się w niego wpatrywał. Gdyby ktoś poprosił Wayne'a o opisanie wyrazu wielkiego, brzydkiego pyska, rzekłby, że wyglądało to tak, jakby pies próbował powiedzieć, że jest mu przykro. Ale prawdopodobnie był głodny.

- Przyniosę ci coś do jedzenia. Masz jakieś szczególne życzenie?

Hooper sapnął na znak przeczenia, dźwięk bezzębego trybiku, który bezskutecznie próbuje połączyć się z maszyną.

Tylko że... nie. Wayne słyszał ten dźwięk wcześniej, przed chwilą. Myślał, że płynął z jego gardła. Ale nie on był jego źródłem, i nie Hooper. Odgłos dobiegał z zewnątrz, skądś z mroku wczesnego poranka.

A Hooper wciąż patrzył mu w twarz, jego oczy miały błagalny, żaloszny wyraz. Tak mi przykro, mówiły. Chciałem być dobrym psem. Chciałem być twoim dobrym psem. Wayne słyszał w głowie tę myśl, jakby Hooper ją wypowiedział, jak gadający pies z historyjki obrazkowej.

Wayne odepchnął Hoopera, wstał i wyjrzał przez okno na ogródek przed domem. Było jeszcze tak ciemno, że z

początku widział tylko własne odbicie w szybie.

A potem po drugiej stronie okna, niespełna dwa metry dalej, Cyklop otworzył jedno mętne oko.

Krew napłynęła chłopcu do serca i drugi raz w ciągu trzech minut poczuł, jak krzyk narasta mu w gardle.

Oko się otworzyło, powoli, duże, jakby Cyklop właśnie się budził. Płonęło brudnym odcieniem ni to moczu, ni to pomarańczowego napoju Tang w proszku. Zanim Wayne zdążył krzyknąć, zaczęło przygasać, aż w ciemności została tylko jarząca się tęcza. Chwilę później zupełnie zgasło.

Wayne z drzeniem wypuścił powietrze. Reflektor. To reflektor motocykla.

Jego matka podniosła się i odgarnęła włosy z twarzy. Widziana przez stare, nierówne szkło, wydawała się swoim własnym duchem, jakby tak naprawdę wcale jej tam nie było. Miała białą bluzkę wiązaną pod szyją, stare bawełniane spodnie i tatuaże. W ciemności nie można było rozróżnić szczegółów tatuaży i wyglądało to tak, jakby noc przywarła do jej skóry. Ale przecież Wayne wiedział, że mama zawsze była związana z jakąś własną ciemnością.

Hooper już był z nią, ocierał się o jej nogi, woda ściekała mu z futra. Najwyraźniej przed chwilą wyskoczył z jeziora. Wayne dopiero po chwili zarejestrował jego obecność przy matce, co nie miało sensu, bo przecież Hooper stał obok niego. Tyle że gdy się obejrzał, zobaczył, że jest sam.

Nie zastanawiał się nad tym długo. Wciąż był bardzo zmęczony. Może zbudził go pies, który mu się przyśnił. Może tracił rozum jak kiedyś jego mama.

Wayne wciągnął dżinsy z obciętymi nogawkami i wyszedł w chłód przedświt. Mama pracowała ze szmatą w jednej ręce, z jakimś dziwnym narzędziem w drugiej, z kluczem, który wyglądał jak hak albo zakrzywiony sztylet.

- Jak się znalazłem w twoim łóżku? - zapytał.

- Złe sny - odparła.

- Nie pamiętam.

- Nie ty je miałeś.

Ciemne ptaki pomykały we mgle, która pełzała po

powierzchni jeziora.

- Znalazłaś ten zepsuty trybik? - zapytał Wayne.

- Skąd wiesz, że ma zepsuty tryb?

- Nie wiem. Tak to brzmiało, kiedy próbowałaś zapuścić motor.

- Bywasz w warsztacie? Pracujesz ze swoim tatą?

- Czasami. Mówi, że się przydaję, bo mam małe ręce. Mogę sięgnąć i odkręcić to, czego on nie może. Jestem dobry w rozbieraniu różnych rzeczy na części. Mniej dobry w składaniu.

- Witaj w klubie.

Pracowali razem. Wayne nie był pewien, jak długo, ale gdy skończyli, zrobiło się gorąco i słońce wisiało wysoko nad czubami drzew. Niewiele rozmawiali podczas pracy. To mu odpowiadało. Nie było powodu psuć pełnej smaru i otartych palców zabawy, jaką było naprawianie motocykla, gadaniem o uczuciach, o tacie czy o dziewczynach.

W pewnym momencie Wayne przysiadł na piętach i spojrzał na mamę. Miała ręce usmarowane po łokcie i ciemną plamę na nosie, krwawiła ze skaleczeń na prawej dłoni. Wayne, który kłębkiem waty stalowej szorował upstrzoną przez rdzę rurę wydechową, przerwał pracę, żeby spojrzeć na siebie. Był równie brudny jak ona.

- Nie mam pojęcia, jak się pozbędziemy tego syfu - zauważył.

- Mamy jezioro - powiedziała, odrzucając włosy i kiwając głową. - Coś ci powiem. Jeśli pobijesz mnie w pływaniu, zjemy śniadanie w Greenbough Diner.

- A co będziesz miała, jeśli pobijesz mnie?

- Przyjemność udowodnienia, że starsza pani wciąż może prześcignąć małego neptka.

- Co to jest neptek?

- To...

Ale Wayne już wystartował i pędził, ściągając koszulę przez głowę, rzucając ją Hooperowi w pysk. Jego ręce i nogi poruszały się szybko i płynnie, bosa stopy sunęły po skrzęcej się od rosy wysokiej trawie.

Vic pojawiła się obok niego, wysuwając język, gdy się z nim zrównała. Jednocześnie wpadli na pomost. Ich bose stopy bębniły po deskach.

W połowie pomostu położyła rękę na jego ramieniu i go pchnęła. Wayne słyszał jej śmiech, gdy stracił równowagę, młóćąc rękami powietrze. Uderzył w wodę i zanurkował w mroczną zieleń. Usłyszał niski, głęboki plusk, kiedy chwilę później mama dała nura z końca pomostu.

Wynurzył się, parskając, i ruszył do tratwy zacumowanej sześć metrów od brzegu. Była to duża platforma z rozpadających się szarych desek na zardzewiałych beczkach po ropie, na pewno stanowiących zagrożenie dla środowiska. Hooper ujadął wściekle na pomoście za nimi. Z reguły nie pochwałał zabawy, chyba że sam w niej uczestniczył.

Wayne przebył większą część drogi do tratwy, kiedy zdał sobie sprawę, że jest sam w jeziorze. Woda wyglądała jak tafła czarnego szkła. Matki nigdzie nie było widać, z żadnej strony.

- Mamo? - zawołał. Nie bał się. - Mamo?

- Przegrałeś - oznajmiła niskim, głuchym, odbijającym się echem głosem.

Nabrał powietrza, zanurkował, wpłynął pod platformę.

Była tam, w ciemności, jej twarz lśniła od wody, włosy połyskiwały. Powitała go uśmiechem, gdy wynurzył się obok niej.

- Patrz - powiedziała. - Zaginiony skarb.

Wskazała drżącą pajęczynę, szeroką na więcej niż pół metra, ozdobioną tysiącami lśniących paciorków srebra, opali i brylantów.

- Pojedziemy na śniadanie?

- Tak - odparła. - Koniecznie. Zwycięstwo nad neptkiem wiele znaczy, ale nie jest zbyt sycące.

Żwirowy podjazd

Po południu matka znowu zajmowała się motocyklem.

Niebo miało kolor migreny. Raz zagrzmiało. Było to przeciągłe dudnienie, jakby ciężka ciężarówka przejeżdżała po żelaznym moście. Wayne czekał na deszcz.

Nie przyszedł.

- Czy kiedyś chciałaś adoptować harleya-davidsona zamiast urodzić dziecko? - zapytał ją.

- Byłby tańszy w utrzymaniu - odparła. - Podaj mi tę szmatę.

Podał.

Wytarła ręce i umieściła skórzane siodełko nad nowiutkim akumulatorem, po czym wsiadła na motor. W obciętych dżinsach i za dużych czarnych butach motocyklowych, z tatuażami na rękach i nogach ani trochę nie wyglądała na osobę, którą ktoś mógłby nazywać mamą.

Przekręciła kluczyk i włączyła zapłon. Cyklop otworzył oko.

Postawiła stopę na dźwigni rozrusznika, podskoczyła i nacisnęła całym ciężarem ciała. Silnik kichnął.

- Na zdrowie - powiedział Wayne.

Vic spróbowała jeszcze raz. Silnik zrobił wydech, wyrzucił z rur kurz i liście. Wayne'owi się nie podobało, jak mama całym ciężarem ciała naciska na dźwignię. Bał się, że coś pęknie. Niekoniecznie w motocyklu.

- Śmiało - zachęciła cichym głosem. - Oboje wiemy, dlaczego młody cię znalazł, więc miejmy to za sobą.

Znowu kopnęła w starter, i jeszcze raz, włosy opadły jej na twarz. Rozrusznik zagrzechotał, a silnik zdobył się na słabe, krótkie, dudniące pierdnięcie.

- Nic nie szkodzi, jeśli nie ruszy - powiedział Wayne. Nagle ten pomysł zupełnie przestał mu się podobać. Wydał się czymś, co widywał, kiedy był mały. Szalonym pomysłem obłąkanej matki. - Zajmiesz się nim później, dobrze?

Nie zwracała na niego uwagi. Podniosła się, postawiła but na dźwigni rozrusznika.

- Ruszajmy na poszukiwanie, suko - powiedziała i nacisnęła. - Mów do mnie.

Silnik zadudnił. Brudny dym wystrzelił z rur. Wayne o mało

nie spadł ze słupka ogrodzenia, na którym siedział. Hooper odskoczył i szczeptał ze strachu.

Matka dodała gazu i silnik ryknął. Hałas był przerażający. I ekscytujący.

- CHODZI! - krzyknął.

Pokiwała głową.

- CO MÓWI? - wrzasnął.

Spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

- POWIEDZIAŁAŚ, ŻEBY DO CIEBIE MÓWIŁ. CO MÓWI? NIE ZNAM JĘZYKA MOTOCYKLOWEGO.

- WIO, SILVER - odparła.



- DAJ MI MÓJ KASK! - ryknął Wayne.

- TY NIE JEDZIESZ.

Wrzeszczeli do siebie, żeby się słyszeć we wstrząsającym powietrzem dudnieniu silnika.

- DLACZEGO NIE?

- TO JESZCZE NIE JEST BEZPIECZNE. NIE POJADĘ DALEKO. WRÓCĘ ZA PIĘĆ MINUT.

- CZEKAJ! - krzyknął Wayne i podniósł palec. Odwrócił się i pobiegł do domu.

Słońce było zimnym białym krążkiem, prześwitującym przez warstwę niskich chmur.

Vic chciała jechać. Potrzeba ruszenia w drogę świerzbiła, doprowadzając ją do szaleństwa, trudna do zignorowania jak ukąszenie komara. Chciała wyjechać na autostradę, przekonać się, ile może wycisnąć z motoru. Co może znaleźć.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Jej syn wybiegł, niosąc kask i kurtkę Lou.

- WRÓĆ ŻYWA, DOBRZE?

- TAKI JEST PLAN - odkrzyknęła. Włożyła kurtkę i dodała:

- NIEDŁUGO WRÓCĘ. NIE MARTW SIĘ.

Pokiwał głową.

Świat wokół niej wibrował, wprowadzony w ruch mocą silnika: drzewa, droga, niebo, dom, wszystko trzęsło się

wściekle, zagrożone rozsypką. Już obróciła motocykl przodem w stronę drogi.

Włożyła kask na głowę. Nie zapięła kurtki.

Tuż przed zwolnieniem hamulca jej syn pochylił się przed motorem i podniósł coś z ziemi.

- CO? - zapytała.

Podał jej - klucz, który wyglądał jak zakrzywiony nóż, z wybitym słowem TRIUMPH. Skinęła głową na znak podziękowania i wsunęła go do kieszeni szortów.

- WRÓĆ - powiedział.

- BĄDŹ TUTAJ, GDY WRÓCĘ.

Potem uniosła nogi, wrzuciła jedynekę i pojechała.

W chwili, gdy ruszyła, świat przestał się trząść. Ogrodzenie z drągów przesunęło się po jej prawej stronie. Pochyliła się, gdy skręcała na drogę, czując się jak we wchodzącym w zakręt samolocie. Miała wrażenie, że koła nie stykają się z asfaltem.

Wrzuciła dwójkę. Dom został za nią. Ostatni raz rzuciła okiem przez ramię. Wayne stał na podjeździe, machając ręką. Hooper wybiegł na jezdnię, patrząc za nią dziwnie bezradnie.

Vic dodała gazu i wrzuciła trzeci bieg. Triumph skoczył i musiała mocno ścisnąć kierownicę, żeby nie spaść. Przez głowę przemknęła jej myśl, wspomnienie koszulki, którą miała przez jakiś czas: JEŚLI MOŻESZ TO PRZECZYTAĆ, LEPIEJ ODPADNIJ.

Rozpięta kurtka chwyciła powietrze i wydymała się wokół niej. Vic wpadła w niską mgłę.

Nie widziała pary blisko osadzonych reflektorów, jarzących się słabo we mgle.

Wayne też ich nie widział.

Droga numer 3

Drzewa, domy i ogródki przemykały - ciemne, rozmyte kształty ledwo rozpoznawalne we mgle.

Vic nie myślała o niczym. Jazda pozwoliła jej uciec od własnych myśli. Wiedziała, że tak będzie, wiedziała w chwili, gdy zobaczyła motor w powozowni. Wiedziała, że jest dość szybki i potężny, żeby mogła na nim uciec od najgorszej części siebie, od tej części, która próbowała zrozumieć.

Nacisnęła stopą dźwignię zmiany biegów, po chwili jeszcze raz, i triumph za każdym razem przyspieszał, połykając rozwijającą się pod nim drogę.

Mgła gęstniała, dmuchając jej w twarz. Była perłowa, ulotna, słońce prześwitujące gdzieś w górze po lewej stronie sprawiało, że cały świat wokół niej jarzył się jak napromieniowany. Vic czuła, że na tym świecie nie można liczyć na więcej piękna.

Wilgotny asfalt syczał pod oponami jak szum zakłóceń.

Łagodny, niemal delikatny ból pieścił jej lewe oko.

Zobaczyła stodołę w ruchliwej mgle, długą, wysoką i wąską, krytą dachówką. Gra światła w skłębionych oparach sprawiała, że budowla zdawała się stać pośrodku drogi, niespełna sto metrów dalej, choć Vic wiedziała, że za chwilę droga skręci w lewo i stodoła przemknie obok. Niemal się uśmiechnęła, bo stodoła wyglądała jak stary wyimaginowany most.

Pochyliła głowę i słuchała szmeru opon na mokrym asfalcie, dźwięku, który tak bardzo przypominał biały szum w radiu. Czego słuchasz, gdy z głośnika płynie biały szum? - zastanawiała się. Gdzieś czytała, że to promieniowanie tła, w którym skąpany jest cały wszechświat.

Czekała, aż droga skręci w lewo i poprowadzi ją wokół stodoły, ale biegła prosto. Ten wysoki, ciemny, kanciasty kształt wznosił się na wprost niej, aż w końcu znalazła się w jego cieniu. I wcale nie była to stodoła, i zrozumiała, że droga przebiega przez tę konstrukcję - zrozumiała to w chwili, kiedy było za późno, żeby skręcić. Mgła pociemniała i zrobiła się zimna jak woda w głębi jeziora.

Deski zagrzechotały pod oponami, gdy motor wniósł ją na

most. Vic zassała powietrze i poczuła smród nietoperzy.

Nacisnęła hamulec i zamknęła oczy. To nie jest prawdziwe, pomyślała, niemal szepnęła.

Dźwignia hamulca opadła do maksimum, trzymała przez chwilę, a potem się urwała. Upadła na deski z niskim, głuchym łoskotem. Wraz z nim poleciała z brzękiem nakrętka i zestaw podkładek.

Przewód smagnął jej nogę, tryskając płynem hamulcowym. Obcas buta zetknął się ze zniszczonymi deskami. Vic miała wrażenie, że włożyła palce stóp do jakiejś dziewiętnastowiecznej młockarni. Z jednej strony była przekonana, że ma halucynacje. Z drugiej czuła, jak but uderza w most, i zrozumiała, że halucynacje złamią jej kręgosłup, jeśli przewróci motor.

Miała czas spojrzeć w dół i do tyłu, próbując rozgryźć, co się dzieje. Skądś wystrzeliła uszczelka i poszybowała w powietrzu, kreśląc dziwaczny łuk. Przednie koło się kołysało. Świat rozmył się wokół niej, tylne koło ślizgało się na boki, podskakując szaleńczo na luźnych deskach.

Vic podniosła się z siodełka i przechyliła w lewo, panując nad motorem bardziej siłą woli niż siłą fizyczną. Sunął bokiem, grzechocząc na deskach. Wreszcie opony załapały, motocykl zatrzymał się z dygotem i prawie w tej samej chwili zaczął się przewracać. Opuściła stopkę i jakoś zdołała go utrzymać, zgrzytając zębami i zmagając się z nagłym ciężarem.

Jej urywany oddech tłukł się echem w podobnym do stodoły wnętrzu Mostu Krótsza Droga, niezmienionym od szesnastu lat, kiedy ostatni raz go widziała.

Drżała, zlane lepkiem potem w obszernej kurtce motocyklowej.

- Nie jest prawdziwy - szepnęła i zamknęła oczy.

Usłyszała cichy, suchy szelest nietoperzy nad głową.

- Nie jest prawdziwy - powtórzyła.

Za ścianami syczał łagodnie biały szum.

Vic skoncentrowała się na miarowym oddychaniu, powoli robiąc wdech, a potem wypuszczając powietrze przez

napięte usta. Zsiadła z motocykla i stanęła obok niego, trzymając za kierownicę.

Otworzyła oczy, ale nie uniosła wzroku. Widziała deski, stare, siwobrazowe, zniszczone. Widziała migotanie zakłóceń między deskami.

- Nie jest prawdziwy - powiedziała po raz trzeci.

Znowu zamknęła oczy. Zawróciła motocykl tam, skąd przyjechała. Ruszyła. Czuła, jak deski uginają się pod jej nogami, pod ciężarem metalu triumpfa bonneville. Płuca miała ściśnięte i trudno jej było odetchnąć pełną piersią. Czuła się chora. Będzie musiała wrócić do szpitala psychiatrycznego. Nie będzie matką Wayne'a. Na tę myśl żal ścisnął ją za gardło.

- To nie jest prawdziwe. Nie ma żadnego mostu. Nie biorę leków i mam omamy. To wszystko.

Zrobiła jeden krok, drugi i trzeci, a potem otworzyła oczy i stanęła z zepsutym motocyklem na drodze.

Kiedy odwróciła głowę i spojrzała przez ramię, zobaczyła tylko autostradę.

Dom nad jeziorem

Przedwieczorna mgła była peleryną, która się rozchyliła, żeby otulić Vic McQueen i jej zepsutą maszynę, a później się za nią zamknęła, pochłaniając nawet dźwięk silnika.

- Chodź, Hooper - powiedział Wayne. - Idziemy do domu.

Hooper stał na poboczu i patrzył na niego, nic nie rozumiejąc.

Wayne znów zawołał, kiedy już wszedł do domu. Przytrzymał otwarte drzwi, czekając na psa. Hooper odwrócił wielką kudłatą głowę i patrzył na drogę - nie tam, dokąd pojechała Vic, ale w drugą stronę.

Wayne nie miał pojęcia, na co patrzy Hooper. Kto wie, co widzą psy? Jakie kształty we mgle mają dla nich znaczenie?

Jakie dziwne, przesądne myśli przemykają im przez głowę? Wayne był pewien, że psy są równie przesądne jak ludzie. Może nawet bardziej.

- Jak chcesz - mruknął i zamknął drzwi.

Usiadł przed telewizorem z iPhone'em w ręce i przez parę minut korespondował ze swoim tatą:

Jesteś jeszcze na lotnisku?

Tak. Przesunęli mój lot na 3, więc posiedzę tu jakiś czas.

Do bani. Co zrobisz?

Skoczę do baru. Skoczę tak, że aż WRZAŚNIE.

Mama uruchomiła motor. Wybrała się na przejażdżkę.

Włożyła kask?

Tak, kazałem jej. Kurtkę też.

Dobry chłopak. Ta kurtka dodaje +5 do wszystkich pojazdów opancerzonych.

LOL. Kocham cię. Życzę bezpiecznego lotu.

Jeśli zginę w katastrofie lotniczej, pamiętaj, żeby zawsze przechowywać komiksy w foliowych kopertach z tekturkami. Ja też cię kocham.

Nie mieli nic więcej do powiedzenia. Wayne sięgnął po pilota, włączył telewizor, znalazł SpongeBoba. Jego oficjalne

stanowisko było takie, że wyrósł ze SpongeBoba, ale uznał, że podczas pobytu u mamy może zrezygnować z oficjalnego stanowiska i robić to, co lubi.

Hooper zaczął szczebrać.

Wayne wstał i podszedł do panoramicznego okna, ale nigdzie nie mógł zobaczyć bernardyna. Wielki pies zniknął w wodnistym białym oparze.

Słuchał pilnie, zastanawiając się, czy wraca motocykl. Mama miała wrócić po pięciu minutach; odnosił wrażenie, że minęło więcej czasu.

Skoncentrował się i zobaczył odbicie telewizora w szybie. SpongeBob miał szalik i rozmawiał ze Świętym Mikołajem. Mikołaj wbił mu w czaszkę stalowy hak i wrzucił go do swojego worka z zabawkami.

Wayne gwałtownie odwrócił głowę, ale SpongeBob rozmawiał z Patrickiem i nie było tam żadnego Świętego Mikołaja.

Szedł do kanapy, kiedy wreszcie usłyszał Hoopera pod drzwiami, jego ogon łomotał tak samo, jak nad ranem.

- Idę - powiedział. - Chwila moment.

Ale kiedy otworzył drzwi, okazało się, że to wcale nie Hooper. W progu stał niski, zarośnięty, gruby mężczyzna w dresie, szarym ze złotymi paskami, z podciągniętymi rękawami. Głowę miał pełną łysych placków, jakby miał parchy. Jego oczy wybrzuszały się po obu stronach szerokiego, spłaszczonego nosa.

- Cześć - odezwał się. - Mogę skorzystać z telefonu? Mieliśmy okropny wypadek. Przed chwilą potrąciliśmy psa naszym samochodem. - Zacinał się jak człowiek, który czyta swoją kwestię z kartki, ale ma kłopot ze zrozumieniem słów.

- Co? - zapytał Wayne. - Co pan powiedział?

Brzydki mężczyzna obrzucił go zmartwionym spojrzeniem.

- Cześć? Czy mogę skorzystać z telefonu. Mieliśmy okropny wypadek? Przed chwilą potrąciliśmy psa. Naszym samochodem! - Słowa były te same, ale akcentował zdania w innych miejscach, jakby nie był pewien, które z nich są pytające, a które oznajmiające.

Wayne spojrział przez otwarte drzwi. Na drodze zobaczył coś, co wyglądało jak brudna rolka białego dywanu leżąca przed samochodem. W bladym, snującym się dymie trudno było zobaczyć samochód i biały pagórek. Tylko że oczywiście to nie był dywan. Wayne dobrze wiedział, co to jest.

- Nie widzieliśmy go, stał na drodze. Uderzył go samochód - powiedział mężczyzna, wskazując ręką przez ramię.

W mgle stał drugi mężczyzna, wysoki. Pochylał się przy prawej przedniej oponie z rękami na kolanach i z namysłem spoglądał na psa, jakby się spodziewał, że Hooper wstanie.

Ten niski przez chwilę patrzył na swoją dłoń, potem uniósł wzrok i dodał:

- To był straszny wypadek. - Uśmiechnął się z nadzieją. - Możemy skorzystać z telefonu?

- Co? - powtórzył Wayne, choć doskonale słyszał jego słowa, choć dzwoniły mu w uszach. Poza tym facet powiedział to samo trzy razy, prawie bez żadnych zmian. - Hooper? Hooper!

Przecisnął się obok grubaska. Nie biegł, ale szedł szybkim, nierównym, sztywnym krokiem.

Hooper wyglądał tak, jakby położył się na boku i zasnął na drodze przed samochodem. Łapy miał wyciągnięte. Lewe oko było otwarte, patrzyło w niebo, zaciągnięte błonką i matowe, ale gdy Wayne się zbliżył, przesunęło się na niego. Jeszcze żył.

- O Boże, piesku... - jęknął Wayne. Osunął się na kolana. - Hooper...

W blasku reflektorów mgła wyglądała jak tysiące kropelek wody drżących w powietrzu. Zbyt lekkie, żeby opaść, płynęły jak deszcz, który nie chce padać.

Hooper grubym językiem zlizął kremową ślinę, która ciekła mu z pyska. Jego brzuch poruszał się w szybkim, zasapanym oddechu. Wayne nie dostrzegł krwi.

- Boże - odezwał się mężczyzna, który patrzył na psa. - To się nazywa pech! Tak mi przykro. Biedaczysko. Możesz się założyć, że nie wie, co go spotkało. Może to cię pocieszy!

Wayne stopniowo unosił wzrok, patrząc na mężczyznę

stojącego przed samochodem. Miał czarne buty z cholewami prawie do kolan i frak z podwójnym rzędem mosiężnych guzików. Wayne zobaczył też samochód - stary, ale jary, jak powiedziała by jego ojciec.

Mężczyzna trzymał w prawej ręce srebrny młotek wielkości drewnianego młotka do krokiet. Miał białą jedwabną koszulę, gładką i lśniącą jak świeżo nalane mleko.

Wayne spojrzał jeszcze wyżej. Charlie Manx przyglądał mu się z fascynacją w dużych oczach.

- Niech Bóg błogosławi psy i dzieci - powiedział. - Świat jest dla nich zbyt ciężki. Świat jest złodziejem, kradnie dzieciństwo wam i wszystkim najlepszym psom. Ale możesz mi wierzyć, on jest teraz w drodze do lepszego miejsca!

Charlie Manx wyglądał jak na policyjnym zdjęciu, choć był starszy - stary stawał się prastarym. Kilka cienkich pasemek siwych włosów przecinało jego plamistą, nagą czaszkę. Między rozchylonymi wąskimi wargami widniał okropnie bezkrwisty język, biały jak martwa skóra. Manx był wysoki jak Lincoln i równie nieżywy. Wayne czuł śmierć, smród rozkładu.

- Nie dotykaj mnie - mruknął.

Podniósł się na niepewnych nogach i cofnął o krok, wpadając na brzydkiego mężczyznę. Grubas chwycił go za ramiona, zmuszając do pozostania w miejscu, naprzeciwko Manxa.

Wayne wykręcił głowę, żeby się obejrzeć. Gdyby miał powietrze w płucach, wrzasnęłyby na całe gardło. Mężczyzna za nim miał nową twarz. Nosił gumową maskę przeciwigazową z groteskowym pochłaniaczem na wysokości ust i lśniącymi plastikowymi okienkami zamiast oczu. Jeśli oczy są oknami duszy, to z oczu Człowieka w Masce Przeciwigazowej wзираła absolutna pustka.

- Pomocy! - wrzasnął Wayne. - Pomóżcie mi!

- Właśnie to jest moim celem - oznajmił Charles Manx.

- Ratunku! - zawył Wayne.

- Ja krzyczę, ty wrzeszczysz, wołamy o lody, wszyscy chcemy lodów dla ochłody - powiedział Człowiek w Masce

Przeciwgazowej. - Krzycz. Przekonaj się, co dostaniesz. Jedna wypowiedź, mały: nie ma lodów dla krzykaczy!

- POMOCY! - ryknął Wayne.

Charlie Manx wsunął chude palce do uszu i zrobił zbolaną minę.

- Mnóstwo paskudnego hałasu.

- Chłopcy, którzy hałasują, na zabawki nie zasługują - zauważył Człowiek w Masce Przeciwgazowej. - Chłopcy, którzy głośno krzyczą, na ratunek niech nie liczą.

Wayne chciał wymiotować. Otworzył usta do krzyku, a Manx uniósł rękę i przycisnął palec do jego warg. Sza. Wayne się wzdrygnął, czując płynący od niego zapach, odór formaldehydu i krwi.

- Nie zrobię ci krzywdy. Nie skrzywdziłbym dziecka. Nie ma potrzeby wydzierać się jak kot. Mam sprawę do twojej matki. Z pewnością jesteś grzecznym chłopcem. Wszystkie dzieci takie są... przez jakiś czas. Ale twoja matka to zakłamany nicpoń, który złożył fałszywe świadectwo przeciwko mnie. To jeszcze nie wszystko. Mam własne dzieci, a ona od lat mnie do nich nie dopuszcza. Przez dziesięć lat nie widziałem ich uśmiechniętych buziek, chociaż często w snach słyszałem ich głosy. Słyszałem, jak mnie nawołują, i wiem, że zgłodniały. Nie masz pojęcia, jak to jest, gdy wiesz, że twoje dzieci są w potrzebie, a ty nie możesz im pomóc. To doprowadza normalnego człowieka do obłądu. Oczywiście, ktoś mógłby powiedzieć, że mnie nie trzeba daleko prowadzić!

Obaj mężczyźni się roześmiali.

- Proszę - jęknął Wayne. - Puśćcie mnie.

- Mam go potraktować gazem, panie Manx? Czy nadszedł czas na odrobinę piernikowego dymu?

Manx splótł ręce na piersi i zmarszczył czoło.

- Krótka drzemka może być najlepszym rozwiązaniem. Trudno przemówić do rozumu dziecku, które jest wykończone nerwowo.

Człowiek w Masce Przeciwgazowej zaczął ciągnąć Wayne'a wokół maski samochodu. Wayne teraz zobaczył, że to rolls-

royce, i natychmiast sobie przypomniał jeden z artykułów Maggie Leigh, ten o człowieku, który zaginął w Kentucky wraz z rollsem rocznik trzydziesty ósmy.

- Hooper! - wrzasnął.

Grubas przepychał go obok psa. Hooper wykręcił głowę, jakby chciał kłapać zębami na muchę, poruszając się bardziej żywo, niż Wayne uważał za możliwe. Ugryzł, zatapiając zęby w lewej kostce Człowieka w Masce Przeciwigazowej.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej pisnął i się potknął. Wayne przez chwilę myślał, że może zdoła się uwolnić, ale grubas miał zaskakująco długie, silne ręce, jak pawian, i złapał go za kark.

- Panie Manx - poskarżył się Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Gryzie! Ten pies gryzie! Wbił we mnie zęby!

Manx uniósł srebrny młotek i opuścił go na głowę Hoopera, jak człowiek, który w wesołym miasteczku uderza w siłomierz, żeby się przekonać, czy brzęknie dzwonek. Czaszka Hoopera pękła jak żarówka pod obcasem buta. Manx dla pewności uderzył go drugi raz. Człowiek w Masce Przeciwigazowej uwolnił stopę, odwrócił się i kopnął bernardyna.

- Paskudny pies! - krzyknął. - Mam nadzieję, że to bolało! Mam nadzieję, że bardzo bolało!

Kiedy Manx się wyprostował, na jego koszuli lśniła wilgotna krew mniej więcej w kształcie litery Y. Przesączała się przez jedwab z rany na jego piersi.

- Hooper... - szepnął Wayne. Chciał krzyknąć, ale ledwie sam siebie usłyszał.

Białą sierść Hoopera brudziła teraz czerwień. Wyglądało to jak krew na śniegu. Wayne nie mógł patrzeć na to, co się stało z głową psa.

Manx pochylił się nad Hooperem, wstrzymując oddech.

- No tak. Psiak pogonił swoje ostatnie stado gołębi.

- Zabił pan Hoopera - powiedział Wayne.

- Tak. Na to wygląda - zgodził się Manx. - Biedaczek.

Wielka szkoda. Zawsze chciałem być przyjacielem psów i dzieci. Spróbuję ci to wynagrodzić, młody człowieku. Jestem ci to winien. Zapakuj go do samochodu, Bing, i daj mu coś, co uwolni go od trosk.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej pchnął Wayne'a przed sobą, podskakując, odciążając prawą kostkę.

Tylne drzwi rolls-royce'a pyknęły i otworzyły się na całą szerokość. Nikt nie siedział w samochodzie. Nikt nie dotknął klamki. Wayne był zdezorientowany – nawet zdumiony – ale się nad tym nie zastanawiał. Wypadki rozgrywały się bardzo szybko i po prostu nie miał kiedy poświęcić im jednej myśli.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli zajmie miejsce w samochodzie, to nigdy więcej z niego nie wysiądzie. To będzie jak wskoczenie do własnego grobu. Ale Hooper próbował mu pokazać, co zrobić. Hooper próbował mu pokazać, że nawet wtedy, kiedy praktycznie nie masz żadnych szans, możesz jeszcze pokazać zęby.

Wayne przekręcił głowę i wbił zęby w przedramię grubasa, zacisnął szczęki i gryzł, aż poczuł smak krwi.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej wrzasnął.

- Boli! On mnie krzywdzi!

Jego ręka otworzyła się i zamknęła. Wayne z bliska zobaczył słowa wypisane czarnym flamastrem we wnętrzu dłoni:

**TELEFON
WYPADEK
SAMOCHÓD**

- Bing! - syknął pan Manx. - Ciszej! Zapakuj go do wozu i zamknij się!

Bing - Człowiek w Masce Przeciwigazowej - chwycił Wayne'a za włosy i szarpnął. Wayne miał wrażenie, że jest skalpowany, że owłosiona skóra głowy jest zdzierana jak stara wykładzina. Mimo to poderwał nogę, zaparł się o karoserię. Człowiek w Masce Przeciwigazowej jęknął i

uderzył go w ucho.

Było tak, jakby zapaliła się żarówka, tylko że zamiast białego światła błysnęła ciemność, gdzieś za oczami. Wayne opuścił nogę. Gdy pojaśniało mu w oczach, został wepchnięty do samochodu. Upadł na ręce i kolana za przednimi fotelami.

- Bing! - krzyknął Manx. - Zamknij drzwi! Ktoś nadchodzi! Nadchodzi ta okropna baba!

- Jesteś dziecią głupie i masz trawę na dupie - powiedział Człowiek w Masce Przeciwigazowej do Wayne'a. - Masz dupę porośniętą trawą, a ja jestem kosiarzem. Wykoszę ci dupę, a potem cię w nią przelecę. Przelecę cię prosto w dupę.

- Bing, słuchaj, co mówię!

- Mamo! - wrzasnął Wayne.

- Idę! - odkrzyknęła ze zmęczeniem, jej głos płynął z dali i nie zdradzał szczególnego pośpiechu.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej zatrasnął drzwi samochodu.

Wayne podniósł się na kolana. Czuł tętnienie w lewym uchu i pieczenie na policzku. W ustach miał paskudny posmak krwi.

Spojrzał nad przednimi fotelami przez przednią szybę.

Ktoś nadchodził drogą. Mgła płatała figle, zniekształcając i powiększając sylwetkę. Wyglądało to tak, jakby groteskowy garbus pchał wózek inwalidzki.

- Mamo! - wrzasnął.

Otworzyły się drzwi po stronie pasażera - po lewej stronie, czyli tam, gdzie w amerykańskim samochodzie znajdowałaby się kierownica. Człowiek w Masce Przeciwigazowej wsiadł, zamknął drzwi, wykręcił się w fotelu i wycelował z rewolweru w twarz Wayne'a.

- Albo się zamkniesz - powiedział - albo wywiercę ci w głowie dziurkę. Napakuję cię ołowiem. Co wolisz? Założę się, że to pierwsze!

Popatrzył na swoją prawą rękę. Zęby Wayne'a zostawiły bezkształtny siniak w nawiasach jasnej krwi, gdzie przebiły skórę.

Manx wsunął się za kierownicę. Położył srebrny młotek

między sobą a Człowiekiem w Masce Przeciwigazowej. Silnik już pracował, emitując niski, dźwięczny pomruk, bardziej odczuwalny niż słyszalny, rozkoszne wibracje.

Garbus z wózkiem inwalidzkim wyłonił się z mgły, przybierając kształt kobiety z wysiłkiem pchającej motocykl, z rękami zaciśniętymi na kierownicy.

Wayne otworzył usta, żeby znów krzyknąć do matki. Człowiek w Masce Przeciwigazowej pokręcił głową. Wayne wlepił oczy w czarny okrąg lufy. To nie było straszne. To było fascynujące – jak widok z wysokiego szczytu na skraju przepaści.

– Koniec śmiechu – oznajmił Człowiek w Masce Przeciwigazowej. – Dość zabawy. Zaczęły się milczków sprawy.

Charlie Manx przesunął dźwignię zmiany biegów, która zareagowała z głośnym zgrzytem. Spojrzał przez ramię.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział. – On z reguły psuje zabawę. Ja uważam, że możemy się trochę zabawić. Jestem tego całkowicie pewien. Prawdę mówiąc, właśnie mam zamiar to zrobić.

Droga numer 3

Motor nie chciał zapalić. Nie chciał nawet wykrztusić niczego, co rokowałoby jakąś nadzieję. Vic podskakiwała na nim, aż zmęczyły się jej nogi, ale ani razu nie wydał niskiego, głębokiego, gardłowego dźwięku, który by sugerował, że silnik się budzi. Zamiast tego sapał po cichu jak człowiek syczący z pogardą: ffft.

Nie miała innego wyjścia, jak pójść piechotą.

Pochyliła się nad kierownicą i zaczęła pchać. Z wysiłkiem zrobiła trzy kroki, przystanęła i spojrzała przez ramię. Mostu nie było. Nigdy nie było żadnego mostu.

Vic szła i próbowała wykombinować, jak zacząć rozmowę z

Wayne'em.

Hej, mały, złe wiadomości: coś się oblużowało i motor się zepsuł. Poza tym coś oblużowało się w mojej głowie i ja też się zepsułam. Muszę pójść do naprawy. Kiedy się urządzę na oddziale psychiatrycznym, dam ci znać.

Parsknęła śmiechem. Śmiech zabrzmiał w jej uszach jak szloch.

Wayne, bardziej niż czegokolwiek pragnę być mamą, na jaką zasługujesz. Ale nie mogę. Nie umiem.

Na samą myśl, że mówi coś takiego, zebrało jej się na wymioty. Jeśli nawet tak wyglądała prawda, ani trochę nie czuła się przez to mniejszym tchórzem.

Wayne, mam nadzieję, że wiesz, jak cię kocham. Mam nadzieję, że wiesz, że się starałam.

Mgła płynęła w poprzek drogi i Vic miała wrażenie, że przez nią przepływa. Dzień zrobił się nietypowo zimny jak na początek lipca.

W jej myślach przemówił inny głos, silny, czysty, męski, głos jej ojca: Bujać to my, a nie nas, mała. Ty chciałaś znaleźć most. Pojechałaś go szukać. Dlatego przestałaś brać leki. Dlatego wyszykowałaś motor. Czego naprawdę się boisz? Boisz się, że zwariowałaś? A może boisz się tego, że nie zwariowałaś?

Vic często słyszała, jak ojciec mówi jej rzeczy, o których nie chciała wiedzieć, mimo że w ciągu ostatnich dziesięciu lat rozmawiała z nim tylko kilka razy. Zastanawiała się nad tym, dlaczego wciąż potrzebuje głosu człowieka, który porzucił ją bez oglądania się za siebie.

Pchała motocykl przez wilgotny chłód mgły. Kropelki wody pokryły dziwną, woskową powierzchnię jej kurtki motocyklowej. Licho wie, z czego została zrobiona – jakaś mieszanina płótna, teflonu i przypuszczalnie smoczej skóry.

Vic zdjęła kask i zawiesiła go na kierownicy, ale nie chciał tam wisieć, wciąż spadał na jezdnię. W końcu wbiła go na głowę. Pchała, brnąc poboczem. Przyszło jej na myśl, że może zostawić motor, wrócić po niego później, ale nie brała tego pomysłu na poważnie. Kiedyś odeszła od innego

jednoślądu, raleigha, i zostawiła z nim najlepszą część samej siebie. Kiedy masz kółka, które mogą cię zanieść wszędzie, to ich nie porzucasz.

Vic żałowała, być może po raz pierwszy w życiu, że nie ma komórki. Czasami się wydawało, że jest ostatnią osobą w Stanach bez telefonu komórkowego. Udawała, że to manifestacja wolności, że jest wolna od technicznych sideł dwudziestego pierwszego wieku. W rzeczywistości nie mogła znieść myśli, że przez cały czas miałyby przy sobie telefon, obojętnie dokąd by szła. Zbyt ciężka do zniesienia była świadomość, że w każdej chwili może odebrać telefon z Gwiazdkowej Krainy i usłyszeć jakiegoś martwego dzieciaka, który mówi: „Cześć, panno McQueen, czy za nami tęsknisz?”.

Pchała i szła, szła i pchała. Nuciała coś pod nosem. Przez długi czas nie zdawała sobie z tego sprawy. Wyobrażała sobie, jak Wayne stoi przy oknie w domu, patrząc w deszcz i mgłę, nerwowo przestępując z nogi na nogę.

Vic była świadoma narastającej paniki, nieadekwatnej do sytuacji, i próbowała ją stłumić. Czuła, że jest potrzebna w domu. Nie było jej zbyt długo. Bała się łez i złości Wayne'a i jednocześnie nie mogła się ich doczekać, chciała go zobaczyć, wiedzieć, że wszystko jest w porządku. Pchała. Śpiewała.

- Cicha noc, święta noc...

Usłyszała samą siebie i urwała, ale kolęda płynęła dalej w jej głowie, żałosna i brzmiąca fałszywie.

Pokój niesie ludziom wszem...

W kasku czuła się tak, jakby dostała gorączki. Nogi miała przemoczone i zimne od mgły, twarz gorącą i spoconą z wysiłku. Chciała usiąść - nie, położyć się - w trawie, na plecach, patrząc na niskie, jakby zwarzone niebo. Ale w końcu zobaczyła wynajęty dom, ciemny prostokąt po lewej stronie, niemal bezkształtny we mgle.

Ściemniało się i była zaskoczona, że w domku nie palą się światła, poza nikłym niebieskawym blaskiem telewizora. Była też zaskoczona, że Wayne nie czeka przy oknie, nie macha do niej.

Nagle go usłyszała.

- Mamo! - krzyknął. W kasku głos był stłumiony, daleki.

Zwiesiła głowę. Nic mu nie jest.

- Idę - zawołała słabym głosem.

Dochodziła do podjazdu, gdy usłyszała pomruk samochodu na jałowym biegu. Spojrzała. Reflektory płonęły we mgle. Samochód, do którego należały, stał na poboczu, ale gdy go zauważyła, ruszył, wjeżdżając na asfalt.

Vic stała i patrzyła. Gdy auto jechało, szatkując mgłę, nie mogłaby powiedzieć, że jest całkowicie zaskoczona. Posłała go do więzienia i czytała jego nekrolog, ale w głębi duszy przez całe dorosłe życie czekała na to, żeby znowu zobaczyć Charliego Manxa w jego rolls-roysie.

Upiór wyśliznął się z mgły, czarne sanie przedzierające się przez chmurę i wlokące za sobą grudniowy mróz. Grudniowy mróz w lipcu. Skłębiony biały dym wrzał przed tablicą rejestracyjną, starą, powyginaną, zardzewiałą: NOS4A2.

Vic puściła motor, który upadł z potężnym hukiem. Lewe lustro wybuchło w fontannie srebrnych odłamków.

Odwróciła się i pobiegła. Po lewej stronie stało ogrodzenie z żerdzi. Przypadła do niego w dwóch krokach, wskoczyła na nie. Przełaziła nad górną poprzeczką, gdy usłyszała samochód pędzący za nią po skarpie. Odbiła się, wylądowała na murawie i zrobiła jeszcze jeden krok, a potem Upiór przedarł się przez ogrodzenie.

Drąg zawirował w powietrzu jak śmigło helikoptera i spadł jej na barki. Zbił ją z nóg i strącił z krawędzi świata, rzucił w bezdenną przepaść, w zimny, kłębiący się bez końca dym.

Dom nad jeziorem

Upiór uderzył w ogrodzenie z okorowanych drągów i Wayne spadł z siedzenia na podłogę. Jego zęby kłapnęły z ostrym klekotem.

Bale pękły i wyleciały w powietrze. Jeden z nich zabębnił o maskę. Wayne pomyślał, że samochód uderzył w jego matkę, i zaczął krzyczeć.

Manx zatrzymał wóz i odwrócił się w stronę Człowieka w Masce Przeciwigazowej.

- Nie chcę, żeby na to patrzył - powiedział. - Wystarczy, że widział śmierć swojego psa. Uspisz go? Zrobisz to dla mnie, Bingu? Przecież widać, że chłopiec jest wykończony.

- Powiniennem panu pomóc z kobietą.

- Dziękuję, Bingu. Miło, że o tym pomyślałeś. Ale nie, sam sobie poradzę.

Samochód się zakołysał, gdy obaj wysiedli.

Wayne dźwignął się na kolana. Uniósł głowę, żeby spojrzeć nad przednim fotelem, przez okno na podwórko.

Charlie Manx ze srebrnym młotkiem w ręce obchodził przód samochodu. Mama leżała na trawie wśród rozrzuconych żerdzi.

Tylne drzwi po lewej stronie się otworzyły i Człowiek w Masce Przeciwigazowej usiadł obok niego. Wayne rzucił się w prawo, próbując sięgnąć do drugich drzwi, ale mężczyzna złapał go za ramię i przyciągnął do siebie.

W ręce trzymał niebieską puszkę z jakimś aerozolem. Widniał na niej napis ODSWIEŻACZ POWIETRZA O ZAPACHU PIERNIKÓW i obrazek przedstawiający kobietę wyciągającą z piekarnika blachę piernikowych ludzików.

- Powiem ci, co tutaj jest - rzekł Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Może jest napisane „odświeżacz o zapachu pierników”, ale tak naprawdę pachnie jak pora spania. Odetchniesz głęboko i będziesz spać do przyszłej środy.

- Nie! - krzyknął Wayne. - Nie odetchnę!

Zatrzepotał rękami jak ptak z jednym skrzydłem przybitym do deski. Nigdzie nie poleci.

- Zrobisz to, za chwilę - powiedział Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Ugryzłeś mnie, gówniarzu. Skąd wiesz, że nie mam AIDS? Mogłeś się zarazić. Może masz teraz moje AIDS w swojej wielkiej brudnej gębie.

Wayne patrzył nad przednim fotelem na podwórze. Manx podchodził do jego mamy, która się nie poruszała.

- Powiniennem cię ugryźć, wiesz - mówił Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Powiniennem ugryźć cię dwa razy, raz za to, co zrobiłeś, i raz za twojego wstrętnego psa. Mógłbym pokąsać twoją śliczną buźkę. Masz buźkę jak dziewczynka, ale nie byłaby taka śliczna, gdybym wygryzł ci kawałek policzka i wypluł na podłogę. Ale zamiast tego po prostu sobie tutaj posiedzimy. Będziemy tu siedzieć i oglądać widowisko. Patrz, a zobaczysz, co pan Manx robi z wrednymi dziwkami, które opowiadają wredne kłamstwa. A gdy z nią skończy... gdy skończy, przyjdzie moja kolej. A ja nie jestem ani w połowie tak miły jak pan Manx.

Matka poruszyła prawą ręką, otwierała i zamykała dłoń, słabo zaciskając pięść. Wayne czuł, że coś się w nim rozluźnia. Było tak, jakby ktoś stał mu na piersi i nagle zszedł, wreszcie pozwalając odetchnąć. Żyje. Żyje, mama żyje.

Lekko poruszyła ręką, jakby szukała w trawie czegoś, co upuściła. Podciągnęła i zgięła prawą nogę. Wyglądało na to, że chce się podnieść.

Manx pochylił się nad nią z tym swoim wielkim srebrnym młotkiem, uniósł go i opuścił. Wayne nigdy wcześniej nie słyszał trzasku pękających kości. Młotek uderzył ją w lewe ramię i Wayne usłyszał trzask, jakby sęk wybuchł w ognisku. Siła ciosu rzuciła ją z powrotem na brzuch.

Krzyczał do niej. Wykrzyczał całe powietrze z płuc, zamknął oczy i spuścił głowę.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej złapał go za włosy, poderwał mu głowę. Coś metalowego uderzyło go w usta. Człowiek w Masce Przeciwigazowej przyłożył mu do twarzy puszkę odświeżacza.

- Otwórz oczy i patrz - polecił.

Matka poruszyła prawą ręką, próbując się podnieść, odczołgać, i Manx znów ją uderzył. Jej kręgosłup pękł z takim dźwiękiem, jakby ktoś upuścił stos porcelanowych talerzy.

- Patrz uważnie - przykazał Człowiek w Masce

Przeciwgazowej. Dyszał tak ciężko, że oddech zaparował wnętrze maski. - Zaraz będzie najlepsze.

Pod

Vic płynęła.

Była pod wodą w jeziorze. Zanurkowała prawie do dna, gdzie świat jest ciemny i powolny. Nie brakowało jej powietrza, nie była świadoma, że wstrzymuje oddech. Zawsze lubiła schodzić głęboko, w nieruchome, milczące, cieniste królestwo ryb.

Mogłaby zostać tam na zawsze, gotowa przemienić się w pstrąga, ale Wayne wołał ją ze świata na powierzchni. Głos płynął z bardzo daleka, a jednak słyszała w nim natarczywość, słyszała, że syn nie woła, lecz wrzeszczy. Jej ręce i nogi nie chciały się ruszyć. Próbowwała skupić uwagę na jednej ręce, poruszyć nią w wodzie. Rozczapierzyła palce. Zamknęła dłoń. Otworzyła.

Otworzyła rękę w trawie. Leżała na ziemi, na brzuchu, choć wciąż odczuwała ociężałość, jaka towarzyszyła jej pod wodą. Nie mogła zgłębić - ha, ha, zgłębić! - jak to się stało, że leży na podwórku. Nie mogła sobie przypomnieć, co ją uderzyło. Coś ją uderzyło. Nie mogła unieść głowy.

- Jesteś ze mną, przemądrzała Victorio McQueen? - zapytał ktoś.

Słyszała go, ale nie rozumiała, co mówi. To nie miało znaczenia. Najważniejszy jest Wayne. Słyszała, jak do niej krzyczy, była tego pewna. Czuła jego krzyk w kościach. Musi się podnieść i zobaczyć, czy nic mu się nie stało.

Podjęła wysiłek, żeby się dźwignąć na kolana, i Manx spuścił swój srebrny młotek na jej ramię. Usłyszała trzask kości i ręka się pod nią ugięła. Vic upadła, uderzając podbródkiem o ziemię.

- Nie mówiłem, że możesz wstać. Pytałem, czy słuchasz.

Wysłuchasz, co mam do powiedzenia.

Manx. Manx jest tutaj, nie martwy. Manx i jego rolls-royce. Wayne jest w rolls-roycie. Była tego równie pewna jak własnego imienia. Wayne jest w tym samochodzie i ona musi go stamtąd wyciągnąć.

Zaczęła się podnosić i Charlie Manx uderzył ją srebrnym młotkiem, tym razem w plecy. Usłyszała trzask kręgosłupa, który pękł z takim dźwiękiem, jakby ktoś nastąpił na tandetną zabawkę: kruche, plastikowe chrupnięcie. Tępa siła ciosu pozbawiła ją tchu i rzuciła z powrotem na brzuch.

Wayne krzyczał, teraz bez słów.

Vic chciała się rozejrzeć, poszukać go wzrokiem, ale nie mogła unieść głowy. Wydawała się ciężka i obca, zbyt wielka, żeby jej szczupła szyja zdołała ją podźwignąć. Kask, pomyślała. Wciąż mam na sobie kask i kurtkę Lou.

Kurtka Lou.

Vic poruszyła nogą, podciągnęła kolano. Pierwsza część jej planu polegała na tym, żeby stanąć na nogach. Czuła ziemię pod kolanem, czuła drżący mięsień z tyłu uda. Słyszała, jak drugi cios Manxa rozbija w proszek jej kręgosłup, i nie była pewna, dlaczego wciąż ma czucie w nogach. Nie rozumiała, dlaczego nie odczuwa większego bólu. Najbardziej bolały ją ścięgna podkolanowe, nadwyrężone po pchaniu motoru przez kilkaset metrów. Wszystko ją bolało, ale nic nie zostało złamane. Nawet ramię, w którym słyszała trzaśnięcie. Z drzeniem wciągnęła wielki haust powietrza i jej płuca rozszerzyły się bez wysiłku, choć słyszała, jak żebra trzeszczą niczym gałęzie na burzowym wietrze.

Tylko że wcale nie trzeszczały jej kości. Słyszała trzask kevlarowych płytek wszytych w plecy i ramiona masywnej kurtki motocyklowej. Lou powiedział, że w tej kurtce można z prędkością trzydziestu kilometrów zderzyć się ze słupem telefonicznym i wyjść z tego bez szwanku.

Gdy Manx uderzył ją po raz kolejny, krzyknęła – bardziej z zaskoczenia niż z bólu – i znowu usłyszała głośny trzask.

– Masz odpowiadać, kiedy do ciebie mówię – powiedział Manx.

Poczuła cios, pulsujący ból w boku, ale trzask oznaczał jedynie, że pękła kolejna płytka. Vic zachowała jasność umysłu i pomyślała, że jeśli podejmie wielki wysiłek, zdoła się podnieść.

„Nie”, powiedział ojciec tak blisko, jakby szeptał do ucha. „Leż i pozwól mu się bawić. To nie jest odpowiednia chwila, Szkrabie”.

Machnęła na ojca ręką. Nie potrzebowała go i zawsze starała się skracać ich nieliczne rozmowy. Nie chciała od niego niczego. Ale teraz był tutaj i mówił do niej tym samym spokojnym, wyważonym tonem, którego używał, gdy wyjaśniał, jak schwycić „szczura” w polu gry albo dlaczego Hank Williams jest taki ważny.

„Myśli, że naprawdę ci dołożył, mała. Myśli, że cię pokonał. Spróbuj wstać, a się połapie, że wcale nie jest z tobą tak źle, i wtedy cię załatwi. Czeka. Czeka na właściwą chwilę. Będiesz wiedziała, kiedy nadejdzie”.

Głos ojca, kurtka kochanka. Przez chwilę czuła, że obaj mężczyźni jej życia nad nią czuwają. Kiedyś myślała, że im jest lepiej bez niej, a jej jest lepiej bez nich, ale teraz, tutaj, na ziemi, uświadomiła sobie, że bez nich niczego by nie osiągnęła.

- Słyszysz mnie? Słyszysz mój głos? - zapytał Manx.

Nie odpowiedziała. Leżała w idealnym bezruchu.

- Może tak, a może nie - powiedział po chwili namysłu. Nie słyszała jego głosu przez ponad dziesięć lat, ale wciąż zaciągał jak palant z jakiegoś zadupia. - Wyglądasz jak kurwa, pełzając w brudzie w swoich kusych dżinsowych spodenkach. Pamiętam czasy, niezbyt dawno temu, kiedy nawet kurwa byłaby zawstydzona, gdyby w takim stroju pojawiła się w miejscu publicznym i rozkładała nogi, żeby jeździć na motocyklu w lubieżnej parodii aktu płciowego. - Po chwili milczenia dodał: - Ostatnim razem też jeździłaś na dwóch kółkach. Nie zapomniałem. Nie zapomniałem też mostu. Czy ten pojazd jest równie wyjątkowy jak tamten? Wiem o twoich wyjątkowych przejażdżkach, Victorio McQueen, i o tajemnych drogach. Mam nadzieję, że

nawłoczyłaś się do woli. Bo już więcej nie będziesz się włóczyć.

Trzasnęła ją młotkiem w plecy na wysokości pasa. Poczowała się tak, jakby dostała kijem baseballowym po nerkach, i wrzasnęła przez zaciśnięte zęby. Miała wrażenie, że jej wnętrzności przemieniły się w galaretę.

W tym miejscu nie było płytek, które zamortyzowałyby cios. Żadne z wcześniejszych uderzeń nie było równie paskudne. Jeszcze jeden taki cios, a będzie potrzebowała kul, żeby stanąć na nogi. Jeszcze jeden taki cios, a będzie sikała krwią.

- Nie pojedziesz na swoim motorze do baru ani do apteki, żeby kupić lekarstwo na swoją chorą głowę. Och, wiem o tobie wszystko, Victorio McQueen. Panna Kłamczucha, łgarz, łgarz, w majtkach ogień masz. Wiem, że jesteś żalosną pijaczką, nieudolną matką i że wylądowałaś w wariatkowie. Wiem, że masz nieślubnego syna, jak zresztą przystało na kurwę. Pomyśleć, że żyjemy w świecie, w którym takim zerom wolno mieć dziecko. No cóż! Twój chłopak jest teraz ze mną. Swoimi kłamstwami odebrałaś mi moje dzieci, a teraz ja zabieram ci syna.

Ścisnęło ją w brzuchu, skurcz był tak bolesny, jakby Manx znów ją uderzył. Bała się, że zwymiotuje w kask. Prawą rękę miała mocno przyciśniętą do boku, do bolącego brzucha. Jej palce namacały coś w kieszeni kurtki. Coś w kształcie półksiężyca, sierpa.

Manx pochylił się nad nią. Przemówił łagodnym głosem.

- Twój syn jest ze mną i nigdy go nie odzyskasz. Nie spodziewam się, Victorio, że uwierzysz w moje słowa, ale lepiej będzie mu ze mną. Dam mu więcej szczęścia, niż ty byłabyś w stanie mu zapewnić. Obiecuję ci, że w Gwiazdkowej Krainie już nigdy nie będzie nieszczęśliwy. Jeśli masz w sobie choć odrobinę wdzięczności, to mi podziękujesz. - Trącił ją młotkiem i pochylił się niżej. - Śmiało, Victorio. Powiedz to. Powiedz: dziękuję.

Wepchnęła prawą rękę do kieszeni. Jej palce zamknęły się na kluczu w kształcie noża. Kciuk namacał litery, które

układały się w napis TRIUMPH.

„Teraz. Teraz nadeszła odpowiednia chwila. Nie zmarnuj tej szansy”, powiedział jej ojciec.

Lou pocałował ją w skroń, jego usta musnęły ją delikatnie.

Vic się poderwała. Drżenie przebiegło jej plecy, mięśnie naprężyły się tak bardzo, że się zachwiała, ale nie pozwoliła sobie nawet na stęknienie z bólu.

Ujrzała go w postaci rozmytej plamy. Był groteskowo wysoki, nasunęło jej się skojarzenie z gabinetem luster: nogi chude jak patyki i ręce tak długie, że nie miały końca. Miał wielkie, nieruchome, wytrzeszczone oczy i po raz drugi w ciągu kilku minut przyszła jej na myśl ryba. Wyglądał jak spreparowana ryba. Górne zęby zachodziły na dolną wargę, nadając jego twarzy wyraz komicznej, tępej konsternacji. To niepojęte, że jej całe życie było karuzelą nieszczęścia, pijaństwa, niedotrzymanych obietnic i samotności i wszystko to obracało się wokół jednego popołudniowego spotkania z tym człowiekiem.

Chwyciła klucz, żeby go wyjąć z kieszeni. Zahaczył o materiał i przez jedną straszną chwilę się bała, że wypadnie jej z palców. Szarpnęła mocniej, wyrwała go i zamierzyła się na Manxa. Chciała uderzyć w oczy. Cios poszedł trochę za wysoko. Ostry koniec klucza trafił go w lewą skroń i oddał długi na dziesięć centymetrów płat dziwnie obwisłej, luźnej skóry. Poczowała, jak narzędzie zgrzytnęło o kość.

- Dziękuję - powiedziała.

Manx poderwał do czoła wychudzoną rękę. Miał minę człowieka, któremu nagle wpadła do głowy niepokojąca myśl. Odsunął się chwiejnie, pośliznął w trawie. Wycelowała kluczem w gardło, ale już był poza zasięgiem, osuwając się na maskę Upiora.

- Mamo, mamó! - krzyczał gdzieś Wayne.

Vic miała roztrzęsione, niepewne nogi. Nie myślała o tym. Ruszyła za nim. Teraz, gdy stała, mogła zobaczyć, że jest stary, bardzo stary. Kwalifikował się do domu opieki, gdzie siedziałby z kocem na kolanach, z odżywczym koktajlem w ręce. Zdoła go pokonać. Przycisnie go do maski i wydłubie

mu oczy swoim spiczastym kluczem.

Była już prawie przy nim, gdy uniósł srebrny młotek. Zrobił szeroki zamach - słyszała melodyjny świst w powietrzu - i uderzył ją w bok kasku tak mocno, że obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i upadła na kolano. Słyszała w głowie trzask czyneli, jak efekt dźwiękowy z kreskówki. Manx wyglądał tak, jakby z osiemdziesiątki szło mu na tysiąc, ale w jego zamachu była gibkość, swobodna siła, która sugerowała krzepę tyczkowatego nastolatka. Na trawę posypały się szkliste odłamki kasku motocyklowego. Gdyby go nie miała, czerwone fragmenty czaszki wbiłyby się w jej mózg.

- Och! - wrzasnął Charlie Manx. - O Boże, rozplatała mnie jak wołową tuszę! Trach! Trach!

Vic podniosła się szybko. Późne popołudnie ściemniało wokół niej, gdy krew zalała jej oczy. Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu.

Odwróciła się, przytrzymując głowę - kask - rękami, próbując uciszyć huczące w niej straszne pogłosy. Świat trochę się trząsał, jakby znów siedziała na motorze z silnikiem pracującym na luzie.

Manx wciąż leżał na masce. Jego przerażona, bezmyślna twarz lśniła od krwi. Ale przy samochodzie stał drugi mężczyzna, w każdym razie ktoś o męskiej figurze. Miał głowę ogromnego owada z jakiegoś czarno-białego filmu z lat pięćdziesiątych, głowę gumowego potwora z groteskowo wydłużonym pyskiem i szklistymi pustymi ślepiami.

Człowiek owad miał rewolwer. Vic patrzyła, jak broń się unosi, i spojrzała w czarną lufę, w zaskakująco mały otwór, nie większy niż tęczęwka ludzkiego oka.

- Bang, bang - powiedział człowiek owad.

Podwórze

Kiedy Bing zobaczył pana Manxa rozpostartego na masce

samochodu, poczuł coś w rodzaju fizycznego wstrząsu, przebiegło go drzenie. Coś takiego wędrowało mu w górę ramienia tego dnia, kiedy strzelał z pistoletu do wbijania gwoździ w skroń ojca, tylko że teraz wrażenie odrzutu ulokowało się w samym centrum jego istoty. Ta dziwka dźgnęła pana Manxa, Dobrego Człowieka, w twarz i teraz go atakuje. Ta dziwka chce go zabić - myśl była tak niewyobrażalna, tak straszna, jak gdyby samo słońce gasło. Ta dziwka jest blisko celu, pan Manx go potrzebuje.

Bing chwycił puszkę odświeżacza o zapachu piernikowym, wycelował w twarz chłopca i puścił syczący strumień jasnego dymu w jego usta i oczy - powinien to zrobić kilka minut temu, zrobiłby to, gdyby nie był tak przeraźliwie wściekły, gdyby nie postanowił zmusić chłopca do patrzenia. Dzieciak się wzdrygnął, próbował odwrócić twarz, ale Bing trzymał go za włosy i rozpylał gaz. Wayne Carmody zamknął oczy i zacisnął usta.

- Bing! Bing! - krzyknął Manx.

Bing sam wrzeszczał, rozpaczliwie pragnąc wysiąść z samochodu i pospieszyć mu z pomocą, jednocześnie świadom, że dał chłopakowi za małą dawkę. Zresztą to nieważne. Nie ma czasu, a chłopak siedzi w samochodzie, nie będzie mógł wyjść. Bing go puścił i wrzucił puszkę do kieszeni bluzy. Sięgnął do drugiej po broń.

Wysiadł, zatrzasnął drzwi i wyciągając wielki naoliwiony rewolwer. Kobieta miała czarny kask motocyklowy, przez który widać było tylko jej oczy, teraz szeroko otwarte. Patrzyła na broń w jego ręce, widziała ostatnią rzecz, jaką kiedykolwiek zobaczy. Wystarczy zrobić trzy kroki, a dziwka znajdzie się w strefie śmiertelnego strzału.

- Bing nalega - wymamrotał - rób, co trzeba!

Już naciskał na spust, kiedy pan Manx podniósł się z maski i wyprostował. Broń wypaliła i lewe ucho Manxa eksplodowało w gejzerze krwi.

Manx wrzasnął, przycisnął rękę do boku głowy, gdzie wisiały poszarpane strzępy ucha.

Bing też wrzasnął i znowu strzelił, w mgłę. Huk wstrząsnął nim tak paskudnie, że pierdnął, z jego spodni popłynął wysoki pisk.

- Panie Manx! O mój Boże! Panie Manx, nic panu nie jest?

Pan Manx osunął się na bok samochodu, wykręcając głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Co ty sobie myślisz? Zostałem dźgnięty w twarz i moje ucho zostało rozstrzelane! Mam szczęście, że mózg nie spływa mi po koszuli, debilu!

- Mój Boże! Jaki ze mnie dupek! Nie chciałem! Panie Manx, wolałbym umrzeć, niż pana skrzywdzić! Co ja zrobiłem? O Boże! Powinienem sam się zastrzelić!

- Powinieneś zastrzelić ją, oto, co powinieneś zrobić! - ryknął na niego Manx, odsuwając rękę od głowy. Czerwone strzępy ucha zakołysały się. - Zrób to! Zastrzel ją! Dobij! Do piachu z nią, niech to się skończy!

Bing oderwał spojrzenie od Dobrego Człowieka, serce łomotało mu w piersi, brzdąkało fałszywie jak fortepian spadający ze schodów w wielkim rumorze dysharmonijnych dźwięków i pękającego drewna. Omiótł wzrokiem podwórce i znalazł Vic McQueen, już w biegu, uciekającą na długich brązowych nogach. W uszach dzwoniło mu tak głośno, że ledwo słyszał rewolwer, gdy strzelił. Płomień rozdzierał jedwabistego ducha mgły.

Lotnisko Logana

Lou Carmody przeszedł przez ochronę i miał jeszcze godzinę, więc ruszył do McDonalda. Powiedział sobie, że weźmie sałatkę z grillowanego kurczaka i wodę, ale w powietrzu unosił się zaostarzający apetyt zapach frytek, kiedy więc Lou doszedł do kasy, usłyszał, że zamawia u pryszczatego młokosa dwie kanapki Big Mac, duże frytki i superduży waniliowy koktajl mleczny - to samo, co zawsze,

odkąd skończył trzynaście lat.

Czekając, spojrział w prawo i zobaczył małego chłopca, nie więcej niż ośmioletniego, z ciemnymi oczami Wayne'a, stojącego z matką przy sąsiedniej kasie. Chłopiec patrzył na niego - na jego dwa podbródki i męskie cycki - nie z odrazą, lecz z dziwnym smutkiem. Ojciec Lou był taki gruby, że kiedy zmarł, musieli zapłacić za specjalną, wykonaną na zamówienie trumnę, podwójnego grzmota, który z zamkniętym wiekiem wyglądał jak stół w jadalni.

- Niech koktajl będzie mały - powiedział obsługującemu. Nie mógł znów spojrzeć na chłopca, bał się wlepionych w siebie oczu.

Zawstydzalo go nie to, że jest, jak powiedział lekarz, patologicznie otyły (co za określenie, „patologicznie”, jakby po przekroczeniu pewnego punktu nadwaga pod względem moralnym upodabniała się do nekrofilii). Tym, czego nienawidził, co skręcało go w środku i sprawiało, że czuł się chory, była niemożność zmiany nawyków. Naprawdę nie mógł zamówić tego, co powinien, nie mógł zamówić sałatki, gdy czuł zapach frytek. W ubiegłym roku, kiedy jeszcze byli razem, wiedział, że Vic potrzebuje pomocy - że potajemnie pije, że odbiera wyimaginowane telefony - ale nie potrafił wytyczyć granicy, nie umiał wysunąć żądań ani postawić ultimatum. I gdy się nawaliła i chciała z nim pieprzyć, nie mógł powiedzieć, że się o nią martwi; po prostu zaciskał ręce na jej tyłku i wtulał twarz w jej nagie piersi. Był jej współnikiem do dnia, kiedy zapakowała telefony do piekarnika i spaliła ich dom do gołej ziemi. Miał w tym swój udział, tyle tylko, że nie on zapalił zapałkę.

Usadowił się przy stoliku zaprojektowanym dla anorektycznego karła, na krzeselku odpowiednim dla tyłka dziesięciolatka - czy McDonald's nie rozumie swojej klienteli? Co oni sobie myślą, dając takie krzesła ludziom takim jak on? Wyjął laptopa i skorzystał z darmowego Wi-Fi.

Sprawdził pocztę i obejrzał dziewczyny w kostiumach Power Girl. Zajrzał na stronę Millarworld; forumowicze dyskutowali, jaki powinien być następny kolor Hulka. Był

zażenowany sprzeczką fanów komiksów. Przecież to jasne, że Hulk musi być szary albo zielony. Inne kolory są denne.

Lou się zastanawiał, czy może zajrzeć na stronę SuicideGirls w taki sposób, żeby nie zauważył tego ktoś przechodzący za jego plecami, kiedy zaczęła pomrukiwać jego komórka w kieszeni spodnek. Podniósł zad i jej poszukał.

Miał ją w ręce, kiedy z głośników lotniska popłynęła muzyka. Nie do wiary, puścili starą piosenkę Johnny'ego Mathisa *Sleigh Ride*. Nie do wiary, bo przecież w to szczególne lipcowe popołudnie temperatury w Bostonie dorównywały tym na Wenus; Lou się pocił od samego wyglądu na zewnątrz. Co więcej, w chwili, gdy zadzwonił telefon, nadawali coś zupełnie innego, jakiś hit Lady Gagi, Amandy Palmer albo coś w tym stylu. Śpiewała jakaś porębana laska z akompaniamentem fortepianu.

Lou wyciągnął telefon, ale znieruchomiał, żeby spojrzeć na kobietę przy sąsiednim stoliku, mamuszkę do posunięcia, nieco podobną do Sarah Palin.

- O ja cię... - mruknął. - Słyszysz to? - Wskazał na sufit.

- Puszczają bożonarodzeniowe kawałki w samym środku lata! Zamarła z widelcem pełnym sałatki w połowie drogi do ust tak wydatnych, jakby ukąsiła ją pszczoła, po czym spojrzała na niego z mieszaniną zażenowania i niepokoju.

- Piosenka - dodał Lou. - Słyszysz tę piosenkę? Zmarszczyła czoło. Popatrzyła na niego jak na kałużę wymiocin - coś, czego należy unikać.

Lou rzucił okiem na komórkę, zobaczył, że dzwoni Wayne. Dziwne, przecież rozmawiali parę minut temu. Może Vic wróciła z przejażdżki na triumfie i chce z nim pogadać, jak spisuje się motor.

- Nieważne - powiedział do prawie Sarah Palin i pomachał ręką, zamykając temat.

Odebrał.

- Co jest, kolego? - zapytał.

- Tato - zaczął Wayne chrapliwym szeptem, powstrzymując się od płaczu. - Tato... Jestem w samochodzie. Nie mogę

wyjsć.

Lou poczuł przytłumiony, niemal łagodny ból za mostkiem, w karku i, co ciekawe, za lewym uchem.

- Co to znaczy? W jakim samochodzie?

- Chcą zabić mamę. Dwóch facetów. Jest tu dwóch facetów, zamknęli mnie w samochodzie i nie mogę się wydostać. To Charlie Manx, tato. I ktoś w masce przeciwigazowej. Ktoś... - Wrzasnął.

W tle Lou usłyszał pyknięcia. Najpierw pomyślał, że to petardy. Ale to nie były petardy.

- Strzelają, tato! Strzelają do mamy! - krzyknął Wayne.

- Uciekaj z tego samochodu - usłyszał swój głos, piskliwy, zbyt wysoki. Nawet nie zauważył, że wstał. - Otwórz drzwi i uciekaj.

- Nie mogę. Nie mogę. Nie chcą się otworzyć, a kiedy spróbowałem przejść na przód, znowu wylądowałem z tyłu. - Wayne zdusił szloch.

Głowa Lou przemieniła się w balon na ogrzane powietrze. Powłoka pełna lekkiego gazu unosiła go z podłogi w stronę sufitu. Groził mu odlot z realnego świata.

- Można otworzyć drzwi. Rozejrzyj się, Wayne.

- Muszę kończyć. Wracają. Zadzwoń, gdy będę mógł. Nie dzwoń do mnie, mogą usłyszeć. Mogą usłyszeć, nawet jeśli wyłączę dzwonek.

- Wayne! Wayne! - wrzasnął Lou. Dziwnie dzwoniło mu w uszach.

Telefon ucichł.

Wszyscy w barze gapili się na niego. Nikt nie mówił ani słowa. Zbliżało się dwóch ochroniarzy, jeden z dłonią spoczywającą na plastikowym uchwycie czterdziestki piątki.

Lou pomyślał: wezwij policję stanową. Wezwij policję stanu New Hampshire. Zrób to, natychmiast. Ale kiedy opuścił komórkę, żeby wybrać 911, wysliznęła mu się z ręki. I kiedy się po nią schylił, nagle złapał się za pierś, ból się nasilił, dźgając go ostrymi kantami. Jakby ktoś wstrzelił mu zszywkę w cycek. Przytrzymał się stolika, żeby nie stracić równowagi, lecz ręka zgięła się w łokciu. Zahaczył brodą o brzeg stołu,

zęby mu zagrzechotały, stęknął i upadł na podłogę. Za nim poleciał koktajl. Papierowy kubek eksplodował i Lou spoczął w zimnej, słodkiej kałuży lodów waniliowych.

Miał tylko trzydzieści sześć lat. Był o wiele za młody na atak serca, pomimo historii choroby w rodzinie. Wiedział, że zapłaci za to, że nie wziął sałatki.

Jeziro Winnipesaukee

Kiedy Człowiek w Masce Przeciwigazowej pojawił się z bronią, Vic próbowała się wycofać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Lufa rewolweru zatrzymała ją w miejscu, przykuwała uwagę jak zegarek kieszonkowy hipnotyzera. Równie dobrze mogłaby być zakopana w ziemi po biodra.

Nagle Manx stanął między nią i uzbrojonym mężczyzną. Trzydziestkaósemka wypaliła i lewe ucho Manxa zniknęło w czerwonym błysku.

Manx wrzasnął - żałosny krzyk nie bólu, lecz furii. Rewolwer wypalił po raz drugi. Vic zobaczyła, że mgła zawirowała na prawo od niej, prosta linia czystego powietrza znaczyła przejście kuli.

„Jeśli będziesz tak stać chwilę dłużej, zastrzeli cię na oczach Wayne'a”, powiedział jej ojciec, kładąc rękę na jej plecach. „Nie stój, niech Wayne tego nie widzi”.

Rzuciła okiem na samochód, spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła swojego syna na tylnym siedzeniu. Twarz miał zaczerwienioną, rysy stężałe i wściekle machał do niej ręką: Rusz się! Uciekaj!

Vic nie chciała, żeby widział, jak ucieka, zostawiając go samego. Wszystkie dotychczasowe zawody, jakie mu sprawiła, były niczym w porównaniu z tą ostatnią, niewybaczalną porażką.

Myśl przeszła jej głowę jak kula pędząca przez mgłę: jeśli tu umrzesz, nikt nie znajdzie Manxa.

- Wayne! - krzyknęła. - Przyjdę! Gdziekolwiek będziesz, znajdę cię!

Nie wiedziała, czy ją usłyszał. Ledwie słyszała samą siebie. W uszach jej wyło, była niemal głucha po huku rewolweru Człowieka w Masce Przeciwigazowej. Głos Manxa wrzeszczącego: „Zastrzel ją! Zastrzel ją natychmiast!” płynął przez mgłę, dosłownie i w przenośni.

Obcas zapiszczał na trawie, gdy się odwróciła. W końcu mogła się ruszyć. Spuściła głowę, łapiąc za kask, chcąc go zdjąć, zanim wystartuje. Czuła się komicznie powolna, kiedy stopy bębniły po ziemi, nigdzie jej nie niosąc, podczas gdy trawa falowała pod nią jak dywan. Świat milczał, słyszała tylko ciężkie dudnienie kroków wzmocnione przez wnętrze kasku.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej będzie chciał strzelić jej w plecy, wpakować kulkę w kręgosłup. Miała nadzieję, że kula ją zabije. Nie chciała bezsilnie leżeć, sparaliżowana, i czekać, aż on ją dobije. W plecy, myślała, w plecy, w plecy, jedyne słowa, które zdołał sklecić jej umysł. Cały jej słownik zredukowany został do tych słów.

Była w połowie zbocza.

Wreszcie zerwała kask, rzuciła go na bok.

Huknął strzał.

Coś musnęło wodę na prawo od niej, jakby dziecko puszczało kaczki.

Stopy Vic zadudniły na deskach pomostu. Pomost wznosił się pod nią i opadał. Zrobiła trzy kroki i wskoczyła do wody.

Uderzyła w powierzchnię - pomyślała, że kula rozcina mgłę - a potem znalazła się w jeziorze, pod wodą.

Zanurkowała prawie do dna, gdzie świat był mroczny i spowolniony.

Zdawało jej się, że ledwie przed chwilą była w mrocznej zieleni zatopionego świata jeziora, że wraca do cichego, spokojnego stanu nieświadomości.

Żeglowała przez chłodny bezruch.

Kula uderzyła w jezioro, na lewo od niej, może piętnaście centymetrów dalej, wyrywając tunel w wodzie, wirując w

ciemności, zwalniając szybko. Vic cofnęła się i na oślep machnęła ręką, jakby mogła ją odpędzić. Jej dłoń zacisnęła się na czymś gorącym. Otworzyła ją, spojrzała na przedmiot, który wyglądał jak ołowiany ciężarek wędkarski. Poruszona woda wytoczyła go z jej ręki. Dopiero gdy zatonął, zrozumiała, że chwyciła kulę.

Przekręciła się, machnęła nogami, patrząc teraz w górę, czując ból w płucach. Zobaczyła powierzchnię jeziora, jasną srebrną płachtę wysoko nad głową. Trzy, cztery metry dalej unosiła się tratwa.

Vic ruszyła przez wodę.

Jej klatka piersiowa stała się pulsującą, pełną ognia grota.

Machała nogami, zagarniała wodę rękami. Nagle znalazła się pod tratwą, pod czarnym prostokątem.

Popłynęła w górę. Myślała o swoim ojcu, o materiale, którego używa do wysadzania skał, o śliskich białych foliowych paczkach ANFO. Jej pierś była szczelnie napakowana ANFO, gotowa eksplodować.

Jej głowa wystrzeliła z wody. Vic sapnęła, napełniając płuca powietrzem.

Znajdowała się w głębokim cieniu, pod deskami, między rdzewiejącymi metalowymi beczkami. Pachniały kreozotem i zgnilizną.

Starła się oddychać po cichu. Każdy wydech budził echa w niewielkiej, niskiej przestrzeni.

- Wiem, gdzie jesteś! - wrzasnął Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Nie ukryjesz się przede mną!

Głos miał piskliwy, urywany, dziecinny. Jest dzieckiem, uświadomiła sobie Vic. Miał może trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat, ale mimo to był tylko jednym z zatrutych przez Manxa dzieci.

I tak, prawdopodobnie wiedział, gdzie ona jest.

Przyjdź po mnie, mały skurwielu, pomyślała i otarła twarz.

Potem usłyszała głos Manxa. Wołał do niej niemal łagodnym tonem.

- Victorio, Victorio, Victorio McQueen!

Między dwiema metalowymi beczkami biegła szczelina

szeroka może na dwa centymetry. Vic podpłynęła do niej i spojrzała. Zobaczyła Manxa, który stał dziesięć metrów dalej, na końcu pomostu, i Człowieka w Masce Przeciwigazowej za jego plecami. Twarz Manxa była zakrwawiona, jakby ustami łowił jabłka w kuble pełnym krwi.

- No nie! Nieźle mnie pocięłaś, Victorio McQueen. Zrobiłaś kotlet z mojej twarzy, a mojemu towarzyszowi udało się odstrzelić mi ucho. I licz tu na przyjaciół! No tak. Jestem cały we krwi. Od tej pory będę ostatnim kawalerem proszonym do tańca, zobaczysz! - Roześmiał się, po czym podjął: - To prawda, co mówią. Życie naprawdę zatacza bardzo małe kręgi. Znów jesteśmy razem. Wywijasz się jak piskorz. Jezioro jest dla ciebie idealnym miejscem. - Zamilkł, a kiedy zaczął mówić, w jego głosie brzmiała niemal nutka humoru. - Może to sprawiedliwe. Nie zabiłaś mnie. Tylko odizolowałaś od moich dzieci. Wet za wet. Mogę odjechać i po prostu cię zostawić. Ale zrozum, twój syn jest teraz ze mną i nigdy go nie odzyskasz. Choć się spodziewam, że czasami zadzwoni do ciebie z Gwiazdkowej Krainy. Będzie tam szczęśliwy. Nigdy go nie skrzywdzę. Jakkolwiek teraz się czujesz, kiedy znów usłyszysz jego głos, będziesz wiedziała, co się wtedy czuje. I zrozumiesz, że lepiej jest mu ze mną niż z tobą.

Pomost zatrzeszczał. Silnik rolls-royce'a pracował na jałowym biegu. Vic uwolniła się od przesiąkniętej wodą, ciężkiej kurtki Lou. Myślała, że kurtka od razu pójdzie na dno, ale nie, unosiła się na powierzchni jak czarne, toksyczne odpady.

- Oczywiście, może będziesz chciała nas znaleźć - mówił Manx chytrym głosem. - Jak znalazłaś mnie wcześniej. Miałem całe lata na rozmyślanie o tym moście w lesie. O twoim nieprawdopodobnym moście. Wiem wszystko o takich mostach. Wiem wszystko o drogach, które można znaleźć tylko umysłem. Tak znalazłem moją drogę do Gwiazdkowej Krainy. Jest tam Nocna Droga i tory kolejowe do Kręgocińca, i drzwi do Śródświata, i stary szlak do Zmyślonego Domku na Drzewie, i cudowny kryty most Victorii. Wciąż wiesz, jak się tam dostać? Znajdź mnie, Vic, jeśli potrafisz, będę czekać na

ciebie w Domu Snu. Tam się zatrzymam przed powrotem do Gwiazdkowej Krainy. Znajdź mnie, a znów pogadamy.

Odwrócił się i jego ciężkie kroki zadudniły na pomoście.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej z potężnym nieszczęśliwym westchnieniem podniósł rewolwer i płomień bluznął z lufy.

Sosnowa deska nad jej głową pękła, wybuchła w deszczu drzazg. Druga kula przeszorowała przez wodę po prawej stronie, rysując kreskę na powierzchni jeziora. Vic rzuciła się w tył, odsuwając się od wąskiej szczeliny, przez którą obserwowała obu mężczyzn. Trzecia kula odbiła się od zardzewiałej stalowej drabinki. Z cichym, zwyczajnym pluskiem spadła do wody przed tratwą.

Vic cięła wodę rękami.

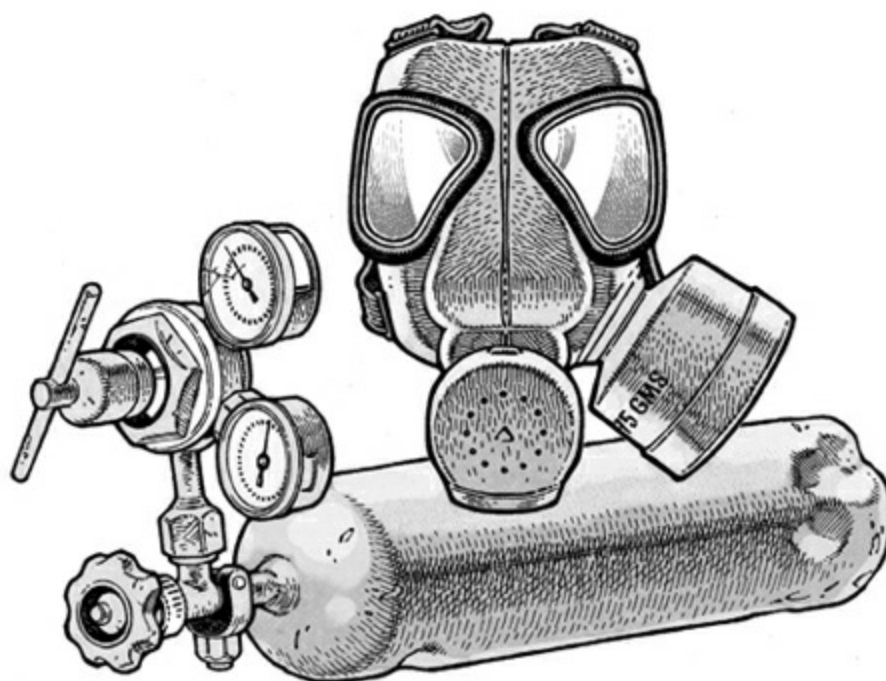
Trzasnęły drzwi samochodu.

Usłyszała chrzęst opon, gdy samochód jechał tyłem przez podwórko, usłyszała, jak podskoczył na wyrwanych drągach ogrodzenia.

Pomyślała, że może to podstęp, że może Manx wsiadł do auta, a ten drugi, Człowiek w Masce Przeciwigazowej, został ukryty z bronią. Zamknęła oczy. Nadśłuchiwała pilnie.

Kiedy uniosła powieki, miała przed sobą wielkiego, kosmatego pająka zawieszzonego na szarych strzępach pajęczyny. Coś – kula, może jej ręka – podarło sieć. Jak w jej wypadku, nic nie zostało z misternie utkanego świata.

WYSZUKIWARKA 6-7 LIPCA



Jezioro

Wayne, gdy tylko został sam na tylnym siedzeniu Upiora, zrobił jedyną sensowną rzecz: spróbował się wydostać.

Jego matka uciekała w dół zbocza – wydawało się, że nie tyle biegnie, ile frunie – a Człowiek w Masce Przeciwigazowej sadił za nią jakby pijackimi, chwiejnymi susami. Potem nawet Manx ruszył w stronę jeziora, z ręką przyciśniętą do głowy.

Widok odchodzącego Manxa na długą chwilę przykuł jego uwagę. Zapadał wodnisty niebieskawy zmierzch, świat stawał się płynny. Wśród drzew wisiała gęsta mgła o barwie jeziora. Jezioro o barwie mgły czekało u stóp wzgórza. Wayne, siedzący w głębi samochodu, z ledwością widział tratwę na wodzie.

Na tle dryfujących oparów Manx wyglądał niczym cudak z cyrku: ludzki szkielet skrzyżowany ze szczudlarzem, nieprawdopodobnie wysoka, wychudzona, wyniszczona postać w archaicznym fraku. Jego bulwiasta łysa głowa z haczykowatym nosem przywodziła na myśl sępy. Mgła płatała figle z jego cieniem, więc się wydawało, że idzie w dół przez szereg ciemnych drzwi o jego kształcie, przy czym każde kolejne były większe od poprzednich.

Oderwanie od niego oczu okazało się najtrudniejszą rzeczą w świecie. Piernikowy dym, pomyślał Wayne. Wciągnął do płuc trochę tego świństwa, gdy Człowiek w Masce Przeciwigazowej je rozpylał, i to go spowalniało. Oburącz potarł twarz, w nadziei, że odzyska pełnię świadomości, a potem przystąpił do działania.

Już próbował otworzyć tylne drzwi, ale blokady nie chciały ustąpić bez względu na to, jak mocno je ciągnął, i szyby nie chciały się opuścić. Przednie fotele – to zupełnie inna historia. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, szyba opuszczona do połowy. To wystarczy, zdoła się precyzyjnie, jeśli drzwi odmówią współpracy.

Wayne się zmusił, żeby wstać z kanapy i odbyć długą, mozolną podróż przez tylną część samochodu, pokonując odległość mniej więcej jednego metra. Chwycił za oparcie przedniego fotela, przeciągnął się i...

Spadł na podłogę z tyłu samochodu.

Szybki ruch przyprawił go o dziwne zawroty głowy. Przez

kilka sekund trwał na czworakach, oddychając głęboko, próbując zapanować nad mdlącymi skurczami w brzuchu. Próbował również ocenić, co właśnie go spotkało.

Przez ten gaz był tak otumaniony, że miał kłopot z określeniem, gdzie jest dół, a gdzie góra. Stracił orientację i upadł na tylne siedzenie; na tym polegał problem.

Wstał, żeby spróbować jeszcze raz. Świat podskakiwał niestabilnie wokół niego, ale Wayne odczekał chwilę i w końcu wszystko się uspokoiło. Wziął głęboki oddech (znów czując smak piernika), podciągnął się na oparcie, stracił równowagę i klapnął na podłogę przed tylnym siedzeniem.

Jego żołądek fiknął kozła i śniadanie podeszło mu do gardła. Przełknął je. Za pierwszym razem smakowało znacznie lepiej.

Na dole Manx niespiesznie i spokojnie przemawiał do jeziora.

Wayne pokręcił głową, próbując zrozumieć, jak to się stało, że znów tu wylądował. Było tak, jakby tylne siedzenie ciągnęło się w nieskończoność. Było tak, jakby nie istniało nic oprócz tylnego siedzenia. Czuł się oszołomiony, jak gdyby właśnie wysiadł z gravitronu w wesołym miasteczku, obracającym się coraz szybciej, aż siła odśrodkowa przykleja człowieka do ściany.

Wstawaj. Nie poddawaj się. Zobaczył te słowa w wyobraźni tak wyraźnie, jak czarne litery namalowane na białych deskach płotu.

Tym razem schował głowę w ramiona, odbił się, skoczył na oparcie i... wrócił tam, skąd wystartował. Spadł na wyłożoną dywanikiem podłogę. Z kieszeni spodenek wysunął się iPhone.

Podniósł się na ręce i kolana, ale musiał wbić palce w kudłaty dywanik, żeby z powrotem nie upaść, tak bardzo kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że samochód jedzie, ślizga się po czarnym lodzie, zatacza szerokie kręgi w opadającej, przyprawiającej o mdłości spirali. Wrażenie ruchu w bok było niemal przytłaczające i musiał na chwilę zamknąć oczy, żeby się go pozbyć.

Kiedy odważył się unieść głowę i rozejrzeć, pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był jego telefon.

Sięgnął po niego w zwolnionym tempie, jak astronauta po unoszący się w powietrzu batonik.

Zadzwoił do swojego ojca, pod jedyny numer, który miał w ulubionych, wystarczyło nacisnąć. Czuł, że to jedno muśnięcie ekranu jest prawie wszystkim, na co go stać.

- Co jest, kolego? - zapytał Lou Carmody głosem tak ciepłym, życzliwym i beztroskim, że na sam jego dźwięk w gardle Wayne'a wezbrał szloch.

Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bliski jest łez. Gardło zacisnęło mu się niebezpiecznie. Nie był pewien, czy da radę oddychać, a co dopiero mówić. Zamknął oczy i naszło go przelotne, niemal paraliżująco namacalne wspomnienie własnego policzka przyciśniętego do szorstkiej twarzy ojca, do szorstkiego, trzydniowego zarostu kłującego jak niedźwiedzia sierść.

- Tato - powiedział. - Tato... Jestem w samochodzie. Nie mogę wyjść.

Próbował wyjaśnić, ale to było trudne. Trudno było nabrać powietrza, którego potrzebował, żeby mówić, trudno było mówić przez łzy. Czuł pieczenie pod powiekami, w oczach mu się ćmiło. Trudno było opowiedzieć o Człowieku w Masce Przeciwigazowej, o Charliem Manxie, o Hooperze, o dymie piernikowym i o tym, jak tylne siedzenie ciągnie się w nieskończoność. Nie był pewien, co powiedział. Coś o Manxie. Coś o samochodzie.

Potem Człowiek w Masce Przeciwigazowej znów krzyknął. Wypalił rewolwer, strzały huczały jeden po drugim, gdy celował w tratwę. Broń podskakiwała mu w ręce, ogień z lufy błyskał w półmroku. Kiedy zrobiło się tak ciemno?

- Strzelają, tato! - powiedział chrapliwym, wytężonym głosem, który ledwie rozpoznawał. - Strzelają do mamy!

Wayne spojrział przez przednią szybę w mrok. Nie umiał ocenić, czy kule trafiły jego matkę. Nie widział jej. Stała się częścią jeziora, stopiła się z ciemnością. Jak ona lubiła ciemność! Jak łatwo mu się wysmyknęła!

Manx nie został, żeby patrzeć, jak Człowiek w Masce Przeciwigazowej strzela w wodę. Był już w połowie zbocza. Przykładał rękę do głowy, jakby miał w uchu słuchawkę i właśnie odbierał ważną wiadomość od swoich przełożonych. Chociaż trudno było sobie wyobrazić, kto mógłby być zwierzchnikiem Manxa.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej opróżnił bębenek i odwrócił się od wody. Kołysał się, idąc pod górę, jakby dźwigał wielki głaz na ramionach. Zaraz obaj dotrą do samochodu. Wayne nie wiedział, co się wtedy stanie, ale zachował dość przytomności umysłu, żeby rozumieć, że jeśli zobaczą jego telefon, to natychmiast mu go zabiorą.

- Muszę kończyć - powiedział do ojca. - Wracają. Zadzwoń, gdy będę mógł. Nie dzwoń do mnie, mogą usłyszeć. Mogą usłyszeć, nawet jeśli wyłączę dzwonek.

Ojciec wykrzykiwał jego imię, ale nie było czasu, żeby powiedzieć mu coś więcej. Wayne nacisnął ZAKOŃCZ i przełączył telefon na tryb wyciszenia.

Rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mógłby go schować. Najpierw pomyślał, że może wepchnie go między siedzenia, ale potem zobaczył umieszczone pod przednimi fotelami orzechowe szuflady z polerowanymi srebrnymi gałkami. Wysunął jedną, wrzucił do niej telefon i zatrzaskał ją, gdy Manx otwierał drzwi po stronie kierowcy.

Manx rzucił srebrny młotek na drugi fotel i wsiadł. Przykładał jedwabną chusteczkę do policzka, ale ją opuścił, kiedy zobaczył Wayne'a klęczącego na wyłożonej dywanikiem podłodze. Wayne pisnął z przerażenia na jego widok. Długą, wymizerowaną twarz Manxa pokrywały czerwone smugi krwi. Ucho miał rozerwane. Z czoła zwisał płat skóry, z kępką brwi, odsłaniając lśniąca kość.

- Pewnie wyglądam jak straszycło - powiedział Manx i uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby poplamione na różowo. Wskazał na swoją głowę. - Dzisiaj masz ucho, jutro go nie masz.

Wayne'owi zrobiło się słabo. Wnętrze samochodu wydało się niewytłumaczalnie ciemne, jakby Manx sprowadził ze

sobą noc, kiedy otworzył drzwi.

Wysoki mężczyzna opadł za kierownicę. Drzwi zatrzasnęły się same - a potem podniosła się szyba. To nie Manx, on nie mógł tego zrobić. Znowu przyciskał rękę do ucha, a drugą delikatnie przykładał luźny płat skóry do czoła.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej podszedł do drugich drzwi i pociągnął klamkę. W tej samej chwili zamek się zatrzasnął.

Dźwignia zmiany biegów przesunęła się na wsteczny. Samochód przetoczył się kawałek do tyłu, wyrzucając kamyki spod kół.

- Nie! - wrzasnął Człowiek w Masce Przeciwigazowej. Trzymał klamkę, gdy auto ruszyło, i o mało nie stracił równowagi. Pobiegł za samochodem, próbując złapać maskę, jakby mógł zatrzymać rolls-royce'a. - Nie! Panie Manx! Niech pan nie odjeżdża! Przepraszam! Nie chciałem! To był błąd!

Jego głos był pełen przerażenia i rozpacz. Dobiegł do drzwi pasażera, chwycił klamkę i szarpnął jeszcze raz.

Manx pochylił się w jego stronę. Przez okno powiedział:

- Jesteś teraz na mojej liście tych niegrzecznych, Bingu Partridge. Jeśli sądzisz, że zabiorę cię do Gwiazdkowej Krainy po tym, co zrobiłeś, to grubo się mylisz. Boję się wpuścić cię do auta. Jeśli pozwolę ci jechać z nami, to skąd mogę wiedzieć, czy nie poszatkujeś kulami karoserii?

- Przysięgam, będę grzeczny! Będę grzeczny, naprawdę, będę grzeczny i słodki jak polne stokrotki. Niech pan mnie nie zostawia! Przepraszam, bardzo przepraaaaszaaaam! - Wnętrze maski przeciwigazowej zaparowało i szloch przerywał słowa Binga. - Wolałbym się zastrzelić! Naprawdę! Żałuję, że to nie moje ucho! Och, Bing, Bing, ty palancie!

- Dość tego hałasowania. Głowa mi pęka.

Blokada podskoczyła. Człowiek w Masce Przeciwigazowej szarpnął drzwi i wskoczył do samochodu.

- Nie chciałem! Przysięgam, że nie chciałem. Zrobię wszystko! Wszystko! - Jego oczy rozszerzyły się w przebłysku

inspiracji. – Mogę odciąć sobie ucho! Moje własne ucho! Nie obchodzi mnie! Nie potrzebuję go, mam drugie! Chce pan, żebym odciął sobie ucho?

– Chcę, żebyś się zamknął. Jeśli uważasz, że powinieneś coś sobie odciąć, zacznij od języka. Wtedy przynajmniej będziemy mieć trochę spokoju.

Samochód przyspieszył, jadąc tyłem, wpadł na asfalt, podwozie zachręściło. Na jezdni skręcił w prawo, zwracając się przodem ku autostradzie. Dźwięgnia zmiany biegów znów zmieniła położenie. Przez cały ten czas Manx nie dotknął kierownicy ani gałki, tylko trzymał się za ucho, obrócony na fotelu, patrząc na Człowieka w Masce Przeciwigazowej.

Dym piernikowy, pomyślał Wayne ze swego rodzaju tępym zdumieniem. Z powodu dymu mam zwidy. Samochody nie prowadzą się same. Tylne siedzenia nie ciągną się w nieskończoność.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej kołysał się do przodu i do tyłu, pojękując żałośnie i kiwając głową.

– Głupi – szepnął. – Jestem taki głupi. – Uderzył czołem w deskę rozdzielczą, mocno, dwa razy.

– Albo natychmiast się uciszysz, albo zostawię cię na drodze. Nie ma powodu, żebyś niszczył piękne wnętrze mojego wozu – przestrzegł Manx.

Samochód ruszył, oddalając się od domku. Manx ani na chwilę nie oderwał rąk od twarzy. Kierownica przekręcała się nieznacznie, rolls trzymał się drogi. Wayne zmrużył oczy, wbił spojrzenie przed siebie. Uszczypnął się w policzek, bardzo mocno, skręcając skórę, ale wcale nie pojaśniało mu w oczach. Samochód sam się prowadził, więc albo dym piernikowy powodował halucynacje, albo... Ale ten tok rozumowania nie uwzględniał żadnego „albo”. Wayne nie chciał nawet myśleć o „albo”.

Odwrócił głowę i spojrzał przez tylną szybę. Ostatni raz zobaczył jezioro, spowite niskim kocem mgły. Woda była gładka jak świeżo wylana płyta stali, gładka jak ostrze noża. Jeśli mama gdzieś tam była, to jej nie zobaczył.

– Bing, zajrzyj do schowka. Jestem pewien, że znajdziesz

tam nożyczki i plaster.

- Mam sobie obciąć język? - zapytał z nadzieją Człowiek w Masce Przeciwigazowej.

- Opatrzysz mi głowę. Chyba że wolisz siedzieć i patrzeć, jak się wykrwawiam na śmierć. Przypuszczam, że byłby to zabawny widok.

- Nie! - wrzasnął Człowiek w Masce Przeciwigazowej.

- W takim razie będziesz musiał zrobić, co tylko można, dla dobra mojego ucha i mojej głowy. I zdejmij tę maskę. Niepodobna rozmawiać, gdy masz ją na sobie.

Głowa Binga wyskoczyła z maski z pyknięciem, jak korek wyciągnięty z butelki wina. Twarz miał zarumienioną i łzy spływały po jego obwisłych, drżących policzkach. Sięgnął do schowka, wyjął rolkę plastra i niewielkie srebrne nożyczki. Zdjął bluzę, odsłaniając poplamioną białą koszulkę i ramiona tak kosmate, że przywodziły na myśl grzbiet goryla. Ściągnął koszulkę i zapiął bluzę.

Włączył się migacz. Samochód zwolnił przed znakiem stopu, po czym skręcił na autostradę.

Bing pociął koszulkę na długie pasy. Zwinął jeden i przyłożył prowizoryczny opatrunek do ucha Manxa.

- Proszę przytrzymać - powiedział i czknął żałośnie.

- Chciałbym wiedzieć, czym mnie pocięła - mruknął Manx. Spojrzał do tyłu, napotkał wzrok Wayne'a. - Wiesz, to nie pierwsze moje spotkanie z twoją matką. To było szczególnie niemiłe. Jak walka z workiem kotów.

- Chciałbym, żeby zeżarły ją robaki. Chciałbym, żeby robaki wyżarły jej oczy - powiedział Bing.

- To obrzydliwe.

Bing pasem materiału okręcił głowę Manxa, mocując opatrunek na uchu i zakrywając rozcięte czoło. Zaczął przyklejać bandaże paskami plastra.

Manx wciąż patrzył na Wayne'a.

- Cichy jesteś. Masz coś do powiedzenia?

- Niech pan mnie puści - poprosił Wayne.

- Puszczę - zapewnił Manx.

Przemknęli obok Greenbough Diner, gdzie dziś rano

Wayne jadł z mamą kanapki na śniadanie. Wracanie myślą do poranka było jak próba przypomnienia sobie na wpół zapamiętanego snu. Czy rzeczywiście widział cień Charliego Manxa, gdy zbudził się nad ranem? Wyglądało na to, że tak.

- Wiedziałem, że pan przyjedzie - powiedział i był zaskoczony, gdy usłyszał własne słowa. - Wiedziałem przez cały dzień.

- W Wigilię trudno powstrzymać dzieci od myślenia o prezentach - stwierdził Manx. Skrzywił się, gdy Bing przykleił następny kawałek plastra.

Kierownica obracała się lekko, samochód płynnie pokonywał zakręty.

- Czy ten wóz sam się prowadzi? - zapytał Wayne. - A może tak mi się zdaje, bo on psiknął mi w twarz jakimś świństwem?

- Przestań gadać! - wrzasnął na niego Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Zaczęły się milczków sprawy! Koniec śmiechu, dość zabawy, bo jak nie, wytniemy ci ten głupi język!

- Zechcesz nie mówić o wycinaniu języków? - zapytał Manx. - Dochodzę do przekonania, że masz na tym punkcie obsesję. Rozmawiam z chłopcem. Nie potrzebuję twoich komentarzy.

Stropiony Człowiek w Masce Przeciwigazowej wrócił do przyklejania plastra.

- To nie zwidy, a ten samochód jest mną. To autentyczny rolls-royce wraith, wyprodukowany w Bristolu w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym, przywieziony do Ameryki w trzydziestym ósmym jako jeden z niespełna pięciuset egzemplarzy na tych brzegach. Ale jest również przedłużeniem moich myśli i może zabrać mnie na drogi, które istnieją tylko w wyobraźni.

- Gotowe - oznajmił Bing. - Wszystko na swoim miejscu.

Manx parsknął śmiechem.

- Dla mnie wszystko byłoby na swoim miejscu, gdybyśmy wrócili i przetrząsnęli trawnik tej kobiety w poszukiwaniu reszty mojego ucha.

Twarz Binga się skurczyła, oczy zwęziły w szczeliny, ramiona zadrżały w milczącym szlochu.

- Ale czymś prysnął mi w twarz - przypomniał im Wayne. - Czymś, co pachniało jak piernik.

- To tylko coś dla odprężenia umysłu. Gdyby Bing właściwie użył tego aerozolu, już byś smacznie spał. - Manx obrzucił swojego towarzysza podróży chłodnym spojrzeniem pełnym pogardy.

Wayne rozważał jego słowa. Myślenie przypominało przesuwanie ciężkiej paki przez pokój - wymagało ogromnego wysiłku.

- Jak to się stało, że wy dwaj nie śpicie? - zapytał po jakimś czasie.

- Hm? - mruknął Manx. Patrzył na swoją białą jedwabną koszulę, teraz poplamioną szkarłatną krwią. - Aha. Tam z tyłu jesteś w swoim kieszonkowym wszechświecie. Nie pozwalam niczemu stamtąd się wydostać. - Westchnął ciężko. - Nic nie uratuje tej koszuli! Uważam, że powinniście poświęcić jej chwilę ciszy. To jedwabny wyrób Riddle-McIntyre'a, od stu lat najlepszego producenta koszul na Zachodzie. Gerald Ford nosił tylko koszule Riddle-McIntyre'a. Teraz równie dobrze mogę jej użyć do czyszczenia części silnika. Krew nigdy nie zejdzie z jedwabiu.

- Krew nigdy nie zejdzie z jedwabiu - szepnął Wayne. Słowa miały epigramatyczny charakter, sprawiały wrażenie stwierdzenia ważnego faktu.

Manx patrzył na niego chłodno z przedniego fotela. Wayne widział go w stroboskopowych błyskach, jakby pędzące chmury przysłaniały słońce. Ale tego dnia słońce się nie pokazało. I ta pulsująca jasność migotała w jego głowie, za oczami. Był na krawędzi potężnego szoku, w miejscu, gdzie czas płynie inaczej, skokowo, zatrzymuje się i raptownie rusza do przodu.

Wayne usłyszał jakiś dźwięk, dalekie, pełne złości natarczywe zawroźnienie. Przez chwilę był przekonany, że ktoś krzyczy. Przypomniał sobie, jak Manx uderzał jego mamę srebrnym młotkiem, i pomyślał, że może jest chory.

Ale gdy dźwięk się zbliżał i nasilał, rozpoznał syrenę policyjną.

- Nic jej nie jest i wezwała gliny - domyślił się Manx. - Muszę oddać sprawiedliwość twojej matce. Nie zwleka, gdy chodzi o sprawianie mi kłopotów.

- Co pan zrobi, gdy policja nas zobaczy? - zapytał Wayne.

- Nie sadzę, żeby zawracali nam głowę. Jadą do twojej matki.

Samochody przed nimi zaczęły zjeżdżać na bok.

Błękitnosrebrne migające światło pojawiło się na szczycie niskiego wzniesienia, opadło po zboczu i popędziło w ich kierunku. Upiór skręcił na pobocze i zwolnił, ale się nie zatrzymał.

Radiowóz przemknął obok nich z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę. Wayne odwrócił głowę, żeby patrzeć w ślad za nim. Kierowca nawet na nich nie spojrział. Manx jechał dalej - a raczej samochód jechał dalej. Manx nadal nie dotykał kierownicy. Rozłożył osłonę przeciwsłoneczną i przejrzał się w lusterku.

Jasno-ciemne błyski następowały wolniej, zwalniały jak koło ruletki, kulka niebawem wpadnie na czerwone lub czarne. Wayne wciąż nie odczuwał prawdziwego przerażenia, zostawił je na podwórzu wraz z mamą. Podniósł się z podłogi i usiadł na kanapie.

- Powinien pan pójść do lekarza - powiedział. - Jeśli wysadzi mnie pan gdzieś tu w lesie, będzie pan mógł jechać do lekarza. Opatrzy panu ucho i głowę, zanim dotrę do miasteczka albo ktoś mnie znajdzie.

- Dziękuję ci za troskę, ale wolałbym nie otrzymywać pomocy medycznej w kajdankach - odparł Manx. - Droga sprawi, że poczuje się lepiej. Droga zawsze tak robi.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Wayne. Jego głos zdawał się płynąć z daleka.

- Do Gwiazdkowej Krainy.

- Do Gwiazdkowej Krainy - powtórzył Wayne. - Co to takiego?

- Wyjątkowe miejsce. Wyjątkowe miejsce dla wyjątkowych

dzieci.

- Poważnie? - Wayne dumął nad tym przez jakiś czas, po czym oznajmił: - Nie wierzę panu. Tylko pan tak mówi, żebym się nie bał. - Znów zamilkł, później ośmielił się zadać jeszcze jedno pytanie: - Pan mnie zabije?

- Dziwię się, że musisz o to pytać. Zabicie cię byłoby bardzo łatwe już w domu twojej matki. Nie. I Gwiazdkowa Kraina jest najzupełniej prawdziwa, choć niełatwo ją znaleźć. Nie można do niej dotrzeć żadną drogą w tym świecie, ale są inne drogi niż te, które znajdziesz na mapie. Gwiazdkowa Kraina leży na zewnątrz naszego świata i jednocześnie tylko kilka kilometrów od Denver. Istnieje też tutaj, w mojej głowie... - postukał placem w prawą skroń - i zabieram ją wszędzie ze sobą. Są tam inne dzieci i żadne nie jest przetrzymywane wbrew własnej woli. Nie chcą stamtąd odejść za skarby świata. Wszystkie dzieci pragną cię poznać, Wayne Carmody. Pragną się z tobą zaprzyjaźnić. Niebawem je zobaczysz... i kiedy to nastąpi, poczujesz się tak, jakbyś wrócił do domu.

Asfalt szemrał i mruczał pod kołami.

- Ostatnia godzina była ogromnie podniecająca - dodał Manx. - Połóż się, dziecko. Jeśli zdarzy się coś interesującego, na pewno cię obudzę.

Wayne nie miał powodu, żeby spełniać polecenia Charliego Manxa, ale niedługo później stwierdził, że leży na boku, z głową na miękkiej, obitej skórą kanapie. Jeśli na świecie jest bardziej uspokajający dźwięk niż pomruk drogi pod kołami, to on go nie znał.

Koło ruletki terkotało coraz wolniej i w końcu znieruchomiało. Kulka wpadła do czarnej przegródki.

Jeziro

Vic popłynęła żabką na płyciznę, przepęzła kawałek

dzielący ją od plaży. Przewróciła się na plecy, z nogami wciąż w wodzie. Wstrząsały nią wściekłe, niemal obezwładniające spazmy, a z jej gardła płynęły dźwięki zbyt przepełnione złością, żeby być szlochami. Być może płakała. Nie miała pewności. Bolał ją brzuch, jakby wymiotowała przez cały dzień i całą noc.

W wypadku porwania najważniejsze jest pierwsze pół godziny, pomyślała; jej umysł odtwarzał coś, co kiedyś słyszała w telewizji.

Vic nie sądziła, żeby to, co zrobi w ciągu najbliższych trzydziestu minut, miało jakieś znaczenie, nie sądziła, że jakiś gliniarz zdoła znaleźć Charliego Manxa i Upiora. A jednak dźwignęła się z ziemi, ponieważ musiała zrobić to, co mogła, bez względu na to, czy to coś zmieni, czy nie.

Szła jak pijak w silnym porywistym wietrze, kołysząc się, brnąc zygzakami do drzwi na tyłach domu. Upadła przed schodami, weszła na nie na rękach i kolanach, podniosła się, przytrzymując poręczy. Zaczął dzwonić telefon. Vic zmusiła się, żeby iść dalej, znosząc kolejny wybuch przeszywającego bólu, tak ostrego, że wycisnął z niej oddech.

Przeszła chwiejnie przez kuchnię, sięgnęła do telefonu, podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku, zanim włączyła się poczta głosowa.

- Potrzebuję pomocy - powiedziała. - Kto mówi? Musisz mi pomóc. Ktoś zabrał mojego syna.

- Nic nie szkodzi, panno McQueen - zapewniła ją jakaś mała dziewczynka. - Tatuś przywiezie go bezpiecznie i dopilnuje, żeby Wayne dobrze się bawił. Niebawem będzie z nami. Będzie tutaj, w Gwiazdkowej Krainie, i pokażemy mu wszystkie nasze zabawy. Czy to nie super?

Vic wcisnęła ZAKOŃCZ, potem wybrała 911.

Jakaś kobieta ją poinformowała, że dodzwoniła się pod numer alarmowy. Głos miała chłodny i obojętny.

- Jak się pani nazywa i w jakiej sprawie dzwoni?

- Victoria McQueen. Zostałam napadnięta. Mężczyzna porwał mojego syna. Mogę opisać samochód. Odjechali przed chwilą. Proszę kogoś przysłać.

Dyspozytorka starała się zachować ten sam neutralny ton, ale nie całkiem się jej udało. Adrenalina wszystko zmienia.

- Czy jest pani ranna?

- Mniejsza z tym. Porozmawiajmy o porywaczu. Nazywa się Manx, Charles Talent Manx. Jest... nie wiem, stary. - Martwy, pomyślała Vic, ale tego nie powiedziała. - Po siedemdziesiątce. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, łysiejący, około stu kilogramów. Jest z nim drugi mężczyzna, młodszy. Nie widziałam go dobrze. - Bo, kurwa, z jakiegoś powodu miał, kurwa, maskę przeciwgazową. Tego też nie powiedziała. - Jada rolls-royce'em wraithem, klasykiem z lat trzydziestych. Mój syn jest na tylnym siedzeniu. Ma dwanaście lat. Ma na imię Bruce, ale nie lubi tego imienia. - Vic się rozpląkała, nie mogła temu zaradzić. - Ma czarne włosy, metr pięćdziesiąt i nosił białą koszulkę, bez żadnego nadruku.

- Victorio, policja jest w drodze. Czy ci mężczyźni mieli broń?

- Tak. Młodszy ma rewolwer. A Manx jakiś młotek. Uderzył mnie kilka razy.

- Wysyłam ambulans, obejrzą pani obrażenia. Widziała pani tablicę rejestracyjną?

- To rolls-royce, kurwa, z lat trzydziestych i z moim synem na tylnym siedzeniu. Jak pani myśli, ile takich jeździ w okolicy? - Szloch uciął jej słowa. Zaniósł się kaszlem i wykasłała: - En-o-es-four-a-two. To tablica na zamówienie. Litery i cyfry układają się w niemieckie słowo. Nosferatu.

- Co to znaczy?

- Co to znaczy? Sama niech pani sprawdzi.

- Przepraszam. Rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Wysyłamy patrol. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odnaleźć pani syna. Wiem, że pani się boi. Proszę się uspokoić. Proszę spróbować się uspokoić.

Vic miała wrażenie, że dyspozytorka mówi na wpół do siebie. Drżał jej głos, jakby starała się powstrzymać od płaczu.

- Pomoc jest w drodze. Victorio...

- Wystarczy Vic. Dziękuję. Przepraszam, że się wyrażałam.
 - Nic nie szkodzi, tym się nie przejmuj. Vic, jeśli mają takie charakterystyczne auto jak rolls-royce, to dobrze. Będzie się wyróżniać. W takim samochodzie daleko nie zajadą. Jeśli są gdzieś na drodze, ktoś ich zobaczy.
- Ale nikt nie zobaczył.



Kiedy ratownicy próbowali zaprowadzić ją do ambulansu, wyrwała się i kazała im, kurwa, trzymać łapy z daleka.

Policjantka, niewysoka, korpulentna Hinduska, ustawiła się między nią i mężczyznami.

- Możecie obejrzeć ją tutaj - powiedziała, prowadząc Vic do kanapy. Mówiła z leciutkim akcentem, z zaśpiewem, który sprawiał, że wszystkie zdania brzmiały melodyjnie i trochę pytająco. - Będzie lepiej, jeśli ją zostawicie. A jeśli porywacz zadzwoni?

Vic skuliła się na kanapie w mokrych spodenkach, owinięta w narzutę. Ratownik noszący niebieskie rękawiczki stanął obok niej i poprosił, żeby odrzuciła koc i zdjęła koszulę. To przyciągnęło uwagę obecnych w pokoju gliniarzy, którzy rzucali w jej stronę ukradkowe spojrzenia, ale Vic posłuchała bez słowa, bez namysłu. Rzuciła mokrą koszulę na podłogę. Nie nosiła stanika i ręką zasłoniła piersi, garbiąc się, żeby ratownik mógł obejrzeć jej plecy.

Ratownik ze świstem wciągnął powietrze.

Hinduska policjantka - na identyfikatorze widniało imię CHITRA - stanęła po drugiej stronie Vic, patrząc na krzywiznę jej pleców. Krzyknęła cicho ze współczucia.

- Mówiłaś, że próbował cię rozjechać - powiedziała. - Nie mówiłaś, że mu się udało.

- Będzie musiała podpisać formularz - zaznaczył ratownik.
- Stwierdzający, że odmówiła przewiezienia do szpitala. Pod tym względem muszę kryć dupę. Może ma złamane żebra albo pękniętą śledzionę, a ja mogłem tego nie wykryć. Chcę mieć czarno na białym, że moim zdaniem udzielanie jej

pomocy na miejscu nie leży w jej najlepszym interesie.

- Może leży nie w moim - odezwała się Vic - lecz w twoim.

Usłyszała cichy dźwięk - niezupełnie śmiech, ale blisko, niski odgłos męskiej wesołości. Było ich sześciu czy siedmiu, stojących dokoła, udających, że nie patrzą na jej piersi, na wytatuowany nad nimi silnik V-6.

Jakiś gliniarz usiadł obok niej. Pierwszy, którego widziała po cywilnemu. Miał niebieski blezer z przykrótkimi rękawami, czerwony krawat z plamą po kawie i twarz, która wygrałaby konkurs chodzącej szpetoty: krzaczaste białe brwi żółknące na końcach, zęby żółte od nikotyny, komicznie bulwiasty nos i wystający podbródek z dołeczkiem.

Wsadził rękę do kieszeni, potem drugą, dźwignął szeroki, płaski zad i wyjął z tylnej kieszeni reporterski notes. Otworzył go, wbił oczy w kartkę z głębokim zdumieniem, jakby poproszono go o napisanie eseju długości pięciuset słów na temat malarstwa impresjonistycznego.

Spojrzenie było przede wszystkim puste i Vic zrozumiała, że nie jest Facetem. Był zastępcą. Osoby, która się liczyła - tej, która miała pokierować poszukiwaniami jej syna, koordynować pracę i zbierać informacje - jeszcze tu nie było.

Mimo to odpowiedziała na pytania. Zaczął we właściwym miejscu, od Wayne'a: wiek, wzrost, waga, ubranie. Zapytał ją, czy ma zrobione niedawno zdjęcie syna. W pewnym momencie Chitra wyszła z pokoju. Wróciła z wielką bluzą z nadrukiem POLICJA STANOWA NH na piersi. Vic ją zarzuciła. Bluza sięgała jej do kolan.

- Ojciec? - zapytał brzydki mężczyzna, który nazywał się Daltry.

- Mieszka w Kolorado.

- Rozwiedzeni?

- Nigdy się nie pobraliśmy.

- Nie ma zastrzeżeń, że pani jest opiekunką prawną dziecka?

- Nie jestem opiekunką. Wayne jest u mnie tylko... Umiemy się dogadać co do syna. Wayne nie jest powodem kłótni.

- Ma pani numer, pod którym możemy się z nim

skontaktować?

- Tak, ale teraz jest w samolocie. Wpadł z wizytą na czwartego lipca. Dziś wieczorem wraca do domu.

- Jest pani pewna? Skąd pani wie, że wsiadł do samolotu?

- Jestem pewna, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą, jeśli o to pan pyta. Nie walczymy o naszego syna. Mój były jest najbardziej nieszkodliwym i wyrozumiałym człowiekiem na świecie.

- No nie wiem. Spotkałem kilku całkiem wyrozumiałych facetów. Znam pewnego faceta z Maine, który prowadzi buddyjską terapię grupową, uczy ludzi, jak z pomocą medytacji transcendentalnej mają sobie radzić z wybuchowym usposobieniem i nałogami. Sam tylko raz wyszedł z siebie, a stało się to w dniu, kiedy jego żona wręczyła mu zakaz zbliżania się do niej. Najpierw stracił swoje zen, a potem stracił dwie kule, pakując je w jej potylicę. Ale buddyjska terapia grupowa, którą kieruje, z pewnością cieszy się popularnością na jego bloku w Shawshank. Jest tam wielu facetów z problemem panowania nad złością.

- Lou nie miał z tym nic wspólnego. Mówiłam panu, że wiem, kto zabrał mojego syna.

- W porządku. Muszę pytać o takie rzeczy. Proszę mi powiedzieć o facecie, który skatował pani plecy. Nie, chwileczkę. Najpierw niech pani opisz samochód.

Zrobiła to.

Daltry pokręcił głową i parsknął - parsknięcie mogłoby ujść za śmiech, gdyby wyrażało choć odrobinę humoru. Wyrażało przede wszystkim niedowierzenie.

- Ten facet nie jest zbyt rozgarnięty. Jeśli jest na drodze, damę mu mniej niż pół godziny.

- Zanim?

- Zanim będzie leżał z głową na ziemi i butem jakiegoś stanowego gliny na karku. Nie porywa się dzieciaka w zabytkowym samochodzie. To mniej więcej równie mądre, jak skorzystanie z furgonetki lodziarza. Rzuca się w oczy. Ludzie patrzą. Każdy zwróci uwagę na starego rolls-royce'a.

- Nie będzie się rzucać w oczy.

- Co ma pani na myśli? - zapytał.

Nie wiedziała co, więc nic nie powiedziała.

- Rozpoznała pani jednego z napastników - podjął Daltry.

- To... Charles... Manx. - Patrzył na coś nabazgranego w notesie. - Skąd pani go zna?

- Porwał mnie, kiedy miałam siedemnaście lat. I przetrzymywał przez dwa dni.

W pokoju zapadła cisza.

- Proszę sprawdzić - dodała. - To jest w jego aktach. Charles Talent Manx. Jest dobry w uciekaniu. Niełatwo go schwytać. Muszę się przebrać, mam mokre spodenki. Chciałabym to zrobić w sypialni, jeśli nie ma pan nic przeciwko. Wystarczy tego świecenia golizną jak na jeden dzień.



Vic miała przed oczami Wayne'a w chwili, gdy widziała go po raz ostatni, uwięzionego na tylnym siedzeniu rollsa. Widziała, jak macha ręką - Rusz się, uciekaj - niemal jakby był na nią zły. Był blady jak trup.

Widziała Wayne'a w błyskach, jakby znów uderzał ją młotek, ale nie w plecy, tylko w pierś. Tu siedzi na golasa w piaskownicy, za ich domem w Denver, puciołowaty trzylatek ze strzechą czarnych włosów, plastikową łopatką zakopujący plastikowy telefon. Tu w Boże Narodzenie w ośrodku odwykowym siedzi na kanapie obitej spękaną, pomarszczoną sztuczną skórą i skubie zapakowany prezent, potem rozdziera papier, żeby pokazać iPhone'a w białym pudełku. Tu idzie po pomoście ze skrzynką z narzędziami, która jest dla niego zbyt ciężka.

Łup, każdy obraz ją uderzał i ból skręcał jej już potłuczone wnętrzności. Łup, Wayne jest niemowlęciem, śpi nago na jej nagiej pierś. Łup, klęczy w żwirze obok niej, z rękami usmarowanymi po łokcie, pomagając jej naciągnąć łańcuch motocykla na koła zębate. Czasami ból był tak silny, tak

czysty, że pokój ciemniał na skraju jej pola widzenia i zaczynała omdlewać.

W pewnym momencie musiała się ruszyć, nie mogła dłużej siedzieć beczynnie.

- Jeśli ktoś jest głodny, mogę coś przyrządzić - oznajmiła. Dochodziło wpół do dziesiątej wieczorem. - Mam pełną lodówkę.

- Poślemy kogoś po coś - powiedział Daltry. - Proszę nie robić sobie kłopotu.

Mieli włączony telewizor, nastawiony na informacje NECN, New England Cable News. Godzinę temu obejrżeli komunikat o uprowadzeniu Wayne'a. Vic widziała go już dwa razy i wiedziała, że trzeci raz tego nie zniesie.

Najpierw pokazano zdjęcie, które dała policji. Wayne, ubrany w koszulkę z Aerosmith i wełnianą czapkę Avalanche, mrużył oczy w jasnym wiosennym słońcu. Już żałowała, że wybrała akurat tę fotografię, bo czapka skrywała jego czarne włosy i odchyłała mu uszy.

Potem ukazało się jej zdjęcie, to ze strony internetowej *Wyszukiwarki*. Założyła, że jąpokazują, żeby mieć niezłą laskę na ekranie - miała makijaż, czarną spódniczkę, kowbojki i śmiała się na całe gardło, rażące zdjęcie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Nie pokazali Manxa. Nawet nie podali jego nazwiska. Opisali porywaczy jako dwóch białych mężczyzn w zabytkowym rolls-roysie, to wszystko.

- Dlaczego nie powiadomili ludzi, kto jest poszukiwany? - zapytała Vic, gdy po raz pierwszy obejrzała komunikat.

Daltry wzruszył ramionami, odparł, że się dowie, i wyszedł na podwórze porozmawiać z innymi policjantami. Kiedy wrócił, nie podał żadnych informacji, a kiedy materiał poleciał drugi raz, wciąż poszukiwano dwóch białych mężczyzn wśród mniej więcej czternastu milionów białych mężczyzn w Nowej Anglii.

Vic pomyślała, że jeśli zobaczy wiadomości po raz trzeci i nie pokażą zdjęcia Charliego Manxa - i nie podadzą jego nazwiska - rzuci krzesłem w telewizor.

- Żaden kłopot - powiedziała - mam trochę surówki z kapusty i szynkę. Cały bochenek chleba. Mogę zrobić kanapki.

Daltry przesunął się na kanapie i spojrzał niepewnie na innych policjantów, rozdarty między głodem a poczuciem przyzwoitości.

- Zgoda - powiedziała Chitra. - Oczywiście. Pomogę pani.

Vic z ulgą wyszła z salonu, w którym panował zbyt wielki rozgardiasz, gliniarze wchodzili i wychodzili, krótkofalówki popiskiwały bez przerwy. Zatrzymała się przed otwartymi drzwiami frontowymi, żeby spojrzeć na trawnik. W blasku reflektorów było tam jaśniej niż podczas mglistego dnia. Zobaczyła przewrócone ogrodzenie i męczyznę w gumowych rękawiczkach, mierzącego ślady opon odcisnięte w miękkiej glebie.

Światła radiowozów błyskały jak na miejscu nagłego zdarzenia, choć nagłe zdarzenie odjechało kilka godzin temu. Twarz Wayne'a migiała w jej wyobraźni tak samo jak światła i przez chwilę czuła się niebezpiecznie zamroczona.

Chitra spostrzegła, w jakim stanie jest Vic, chwyciła ją za łokieć i pomogła przejść do kuchni. Tu było lepiej. Miały pomieszczenie tylko dla siebie.

Kuchenne okna wychodziły na pomost i jezioro. Pomost też oświetlały reflektory na trójnogach. Głina z latarką brodził w wodzie po uda; Vic nie miała pojęcia, po co to robi. Policjant w cywilnym ubraniu nadzorował jego pracę z końca pomostu, wskazując ręką i wydając polecenia.

Tratwa unosiła się dwanaście metrów od brzegu. Stał na niej jakiś chłopiec z psem, patrząc na gliniarzy, światła, dom. Na widok psa Vic przypomniała sobie o Hooperze. Nie pomyślała o nim ani razu od chwili, gdy zobaczyła reflektory Upiora we mgle.

- Niech ktoś... poszuka psa - powiedziała. - Jest... gdzieś na zewnątrz. - Przerzywała co parę słów, żeby złapać oddech.

Chitra popatrzyła na nią z wielkim smutkiem.

- Proszę się teraz nie martwić o psa, panno McQueen. Chce pani wody? Nie wolno się odwodnić, to ważne.

- Dziwię się, że nie... że nie szczeka... jak najęty. W całym tym zamieszaniu.

Chitra pogładziła ją po ramieniu, raz i drugi, po czym ścisnęła jej łokieć. Vic spojrzała na nią z nagłym zrozumieniem.

- Ma pani ważniejsze powody do zmartwienia - dodała policjantka.

- Boże... - Vic się rozplakała, jej całe ciało drżało.

- Nikt nie chciał przysparzać pani zmartwień.

Kołysała się, obejmując ramiona, płacząc tak, jak nie płakała od tamtych pierwszych dni, kiedy ojciec zostawił ją samą z matką. Przez chwilę opierała się o blat, nie była pewna, czy jej nogom wystarczy siły, żeby ją podtrzymać. Chitra niepewnie pogładziła ją po karku.

- Sza - powiedziała matka Vic, nieżyjąca od dwóch miesięcy. - Oddychaj, Vicki. Oddychaj dla mnie. - Powiedziała to z lekkim hinduskim akcentem, ale mimo to Vic rozpoznała jej głos. Rozpoznała dotyk jej ręki na plecach. - Wszyscy, których utraciłaś, wciąż są tutaj z tobą, i może tak naprawdę nikogo nie straciłaś.

Chyba że odjechali z Charliem Manxem.

Po chwili Vic usiadła i wypła szklanek wody, pięcioma łykami, bez przerw na złapanie powietrza, rozpaczliwie spragniona. Woda była letnia, słodka i dobra i smakowała jeziorem.

Chitra otwierała szafki, szukając papierowych talerzyków. Vic wstała i nie zwracając uwagi na jej sprzeciw, zaczęła pomagać w szykowaniu kanapek. Ustawiła talerzyki w rzędzie, na każdym położyła po dwie kromki białego chleba, a łyżki skapywały z jej nosa na pieczywo.

Miała nadzieję, że Wayne nie wie o śmierci Hoopera. Czasami myślała, że Hooper jest mu bliższy niż ona czy Lou.

Vic wyjęła szynkę, surówkę, torbę chipsów tortilla i zaczęła robić kanapki.

- Kanapki dla gliniarzy mają swój sekret - powiedziała jakaś kobieta, która stanęła za jej plecami.

Vic rzuciła na nią okiem i od razu poznała, że to Facet,

nawet jeśli Facet nie był facetem. Ta kobieta miała kędzierzawe włosy i trochę perkaty nos. Na pierwszy rzut oka jej uroda wydawała się pospolita, a na drugi oszalamiająca. W tweedowym żakiecie ze sztruksowymi łątkami na łokciach i w niebieskich dżinsach mogłaby uchodzić za absolwentkę humanistyki, gdyby nie pistolet kalibru dziewięć milimetrów w kaburze pod lewym ramieniem.

- Jaki to sekret? - zapytała Vic.

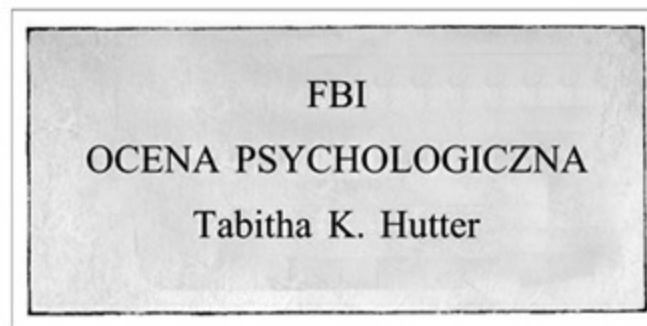
- Pokażę pani - odparła kobieta. Wzięła łyżkę i na kanapkę z szynką nałożyła surówkę. Na surówce spiętrzyła chipsy, na chipsy strzyknęła kleks musztardy, posmarowała masłem kromkę chleba i przycisnęła nią wszystko razem. - Masło jest najważniejsze.

- Działa jak klej, prawda?

- Tak. A gliniarze z natury są magnesami cholesterolu.

- Myślałam, że FBI angażuje się w sprawy porwań tylko wtedy, gdy dzieciak zostaje przerzucony przez granicę stanu.

Kędzierzawa kobieta ściągnęła brwi, potem spojrzała na laminowany identyfikator przypięty na piersi żakietu, gdzie nad fotografią jej poważnej twarzy widniał napis:



- Formalnie rzecz biorąc, jeszcze nie wzięliśmy tej sprawy - powiedziała. - Ale ten dom stoi trzydzieści minut jazdy od granicy stanu i niespełna dwie godziny od Kanady. Pani napastnicy mają pani syna od prawie...

- Moi napastnicy? - powtórzyła Vic. Poczula żar rumieńca

na policzkach. - Dlaczego ludzie wciąż mówią o moich napastnikach, jakbyśmy nic o nich nie wiedzieli? To zaczyna mnie wkurzać. Charlie Manx to mężczyzna. Charlie Manx i jego koleś zabrali moje dziecko.

- Charles Manx nie żyje, panno McQueen. Zmarł w maju.

- Macie ciało?

Pytanie sprawiło, że Hutter ściągnęła usta i dopiero po chwili odparła:

- Został wystawiony akt zgonu. Są zdjęcia zrobione w kostnicy. Przeprowadzono autopsję. Rozcięto mu klatkę piersiową. Koroner wyjął i zważył jego serce. To przekonujące dowody, by wierzyć, że nie on panią zaatakował.

- A ja mam pół tuzina powodów, by wierzyć, że to zrobił - oświadczyła stanowczo Vic. - Są na moich plecach. Mam zdjąć koszulę i pokazać pani siniaki? Każdy inny glina w tym domu dobrze się im przyjrzał.

Hutter patrzyła na nią bez słowa. Jej spojrzenie wyrażało naiwną ciekawość małego dziecka. Vic była wstrząśnięta, bo nigdy dotąd nie została poddana tak wnikliwym oględzinom. Niewielu dorosłych pozwala sobie na takie spojrzenia.

W końcu agentka skierowała wzrok na kuchenny stół.

- Usiądzie pani ze mną?

Nie czekając na odpowiedź, podniosła swoją skórzaną torbę i usiadła. Spojrzała wyczekująco, zachęcając Vic, żeby zrobiła to samo.

Vic spojrzała na Chitrę, prosząc o radę, pamiętając, że przed chwilą policjantka ją pocieszała i szeptała do niej jak matka. Ale Hinduska skończyła robić kanapki i już z nimi wychodziła.

Vic usiadła.

Hutter wyjęła z aktówki iPada i zielony ekran się rozjarzył. Bardziej niż dotychczas przypominała magistrantkę, która przygotowuje pracę, może na temat sióstr Bronte. Przeciągnęła palcem po ekranie, przekładając jakiś plik, potem uniosła głowę.

- Z ostatniego badania lekarskiego wynika, że Charlie

Manx miał około osiemdziesięciu pięciu lat.

- Sądzi pani, że jest za stary, żeby zrobić to, co zrobił? - zapytała Vic.

- Sądzę, że jest na to zbyt martwy. Ale proszę mi powiedzieć, co się stało, a ja spróbuję poukładać to sobie w głowie.

Vic się nie poskarżyła, że już trzy razy opowiedziała przebieg zdarzeń od początku do końca. Tamte razy nie miały znaczenia, ponieważ dopiero teraz rozmawiała z osobą, która się liczyła. O ile w ogóle jakiś glina się liczył. Vic nie była tego pewna. Charlie Manx przez długi czas uchodził za żywego i nie dał się złapać, przenikał przez zastawione na niego sieci stróżów prawa jak srebrny dym. Ile dzieci wsiadło do jego samochodu i słuch po nich zaginął?

Setki, napłynęła odpowiedź, szept myśli.

Vic opowiedziała swoją historię - czyli to, co według siebie mogła powiedzieć. Pomięła spotkania z Maggie Leigh. Nie wspomniała, że wjechała motocyklem na nieprawdopodobny kryty most z wyobraźni, krótko przed tym, zanim Manx próbował ją rozjechać. Nie powiedziała o przerwaniu leczenia psychotropami.

Kiedy doszła do tego, jak Manx uderzał ją młotkiem, Hutter ściągnęła brwi. Poprosiła, żeby Vic szczegółowo opisała młotek, stukając po klawiaturze na ekranie iPada. Przerwała, kiedy Vic opowiadała, jak podniosła się z ziemi i rzuciła na Manxa ze spiczastym kluczem.

- Czym spiczastym? - zapytała.

- Kluczem - odparła Vic. - Triumph produkował je specjalnie dla swoich motorów. Pracowałam przy motocyklu i miałam go w kieszeni.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem. Miałam go w ręku, kiedy rzuciłam się do ucieczki. Pewnie wciąż go trzymałam, gdy wskoczyłam do jeziora.

- Wtedy ten drugi mężczyzna zaczął do pani strzelać. Proszę o tym opowiedzieć.

Opowiedziała.

- Strzelił Manxowi w twarz? - zapytała Hutter.

- Niezupełnie. Odstrzelił mu ucho.

- Vic, chcę, żeby pani pomogła mi to przemyśleć. Zgodziłyśmy się, że ten człowiek, Charlie Manx, w czasie ostatniego badania lekarskiego miał prawdopodobnie osiemdziesiąt pięć lat. Większość pacjentów wychodzących ze śpiączki zaczyna poruszać się dopiero po miesiącach rehabilitacji. Pani mówi, że cięła go tym kluczem, a potem został postrzelony, lecz mimo to miał siłę, żeby kierować pojazdem.

Vic nie mogła jej powiedzieć, że Manx nie jest taki jak inni ludzie. Czowała to, kiedy zamachnął się młotkiem, czowała sprężystą siłę, która przeczyła jego zaawansowanemu wiekowi i szczupłej budowie ciała. Hutter się upierała, że Manxa poddano sekcji, że wyjęto mu serce, i Vic w to nie wątpiła. Dla człowieka, któremu wyjęto serce i włożono je z powrotem, utrata ucha nie była niczym poważnym.

- Może prowadził ten drugi - odparła. - Chce pani, żebym ja to wyjaśniła? Nie mogę. Mogę tylko powiedzieć, co się stało. Do czego pani zmierza? Manx ma w swoim samochodzie mojego dwunastoletniego syna i zamierza go zabić, żeby wyrównać ze mną rachunki, ale z jakiegoś powodu dyskutujemy o granicach wyobraźni FBI. Dlaczego?

- Spojrzała w twarz Hutter, w jej pozbawione emocji spokojne oczy, i zrozumiała. - Jezu... pani nie wierzy, kurwa, w ani jedno moje słowo, prawda?

Hutter namyślała się przez jakiś czas, a kiedy się odezwała, Vic miała wrażenie, że starannie dobiera słowa.

- Wierzę, że pani syn zaginął, i wierzę, że została pani ranna. Wierzę, że w tej chwili przeżywa pani piekło. Poza tym mam otwarty umysł. Mam nadzieję, że uzna pani za zaletę i będzie ze mną współpracować. Obie chcemy tego samego. Chcemy bezpiecznego powrotu chłopca. Gdybym uważała, że to pomoże, jeździłabym po okolicy i go szukała. Ale nie w taki sposób znajduję złych facetów. Znajduję ich przez zbieranie informacji, a następnie oddzielanie tych pożytecznych od tych, które nie są przydatne. W zasadzie

przypomina to pani książki. Historie o Wyszukiwarce.

- Zna je pani? Ile pani ma lat?

Hutter uśmiechnęła się lekko.

- Nie aż tak mało. To jest w pani aktach. Poza tym pewien instruktor w Quantico wykorzystuje na swoich wykładach ilustracje z *Wyszukiwarki*, żeby nam pokazać, jak trudno jest znaleźć istotne szczegóły w natłoku wizualnych informacji.

- Co jeszcze jest w moich aktach?

Uśmiech Hutter nieco przygasł. Jej spojrzenie pozostało niewzruszone.

- W dwa tysiące dziewięćmiesiątym została pani uznana za winną podpalenia w Kolorado. Spędziła pani miesiąc w tamtejszym szpitalu psychiatrycznym, gdzie zdiagnozowano u pani ostry zespół stresu pourazowego i schizofrenię. Bierze pani leki przeciwpsychotyczne i była pani uzależniona od alkoholu...

- Jezu... Pani myśli, że z przerażenia dostałam halucynacji?

- zapytała Vic, czując skurcz w brzuchu. - Myśli pani, że wyobraziłam sobie, że do mnie strzelano?

- Jeszcze nie potwierdziliśmy, że miała miejsce strzelanina.

Vic odsunęła krzesło.

- Strzelał do mnie. Wystrzelił sześć kul. Opróżnił bębenek.

- Myśl! Stała tyłem do jeziora. Prawdopodobnie każda kula, nawet ta, która przeszła przez ucho Manxa, wpadła do wody.

- Nadal szukamy pocisków.

- A moje siniaki?

- Nie wątpię, że z kimś pani walczyła - powiedziała agentka FBI. - Nie sądzę, by ktokolwiek w to wątpił.

W tym stwierdzeniu było coś - jakaś niebezpieczna implikacja - czego Vic nie potrafiła rozgryźć. Z kim walczyła, jeśli nie z Manxem? Była zbyt wyczerpana, zbyt emocjonalnie wykończona, żeby próbować to zrozumieć. Nie miała siły się zastanawiać, wokół czego krąży Hutter.

Spojrzała na jej laminowaną odznakę. OCENA PSYCHOLOGICZNA.

- Chwileczkę. Kurwa... przecież pani nie jest detektywem. Pani jest lekarką.

- Może przejrzymy kilka zdjęć? - zapytała Hutter.

- Nie. To kompletna strata czasu. Nie muszę oglądać policyjnych fotek. Mówiłam pani. Jeden z nich miał maskę przeciwgazową. Drugim był Charlie Manx. Wiem, jak wygląda Charlie Manx. Jezu, kurwa, dlaczego rozmawiam z lekarzem? Chcę rozmawiać z detektywem.

- Nie zamierzałam prosić o obejrzenie galerii przestępców. Chciałam, żeby obejrzała pani zdjęcia młotków.

Słowa agentki były takie zaskakujące, takie niespodziewane, że Vic po prostu siedziała z otwartymi ustami, niezdolna wykrztusić słowa.

Zanim cokolwiek do niej dotarło, w pokoju wybuchło jakieś zamieszanie. Usłyszała podniesiony ton Chitry, załamujący się i swarliwy, Daltry też coś powiedział, a potem odezwał się ktoś trzeci. Był wyraźnie zdenerwowany, mówił z akcentem ze Środkowego Zachodu. Vic natychmiast rozpoznała przybysza, ale nie potrafiła zrozumieć, co robi w tym domu, ponieważ powinien być w samolocie, o ile nie w Denver. Zamieszanie spowolniło czas jej reakcji, więc jeszcze nie zdążyła podnieść się z krzesła, kiedy Lou wszedł do kuchni na czele orszaku gliniarzy.

Zmienił się nie do poznania. Twarz miał popielatą, oczy wysadzone z orbit w dużej, okrągłej twarzy. Wyglądał tak, jakby stracił pięć kilogramów na wadze, odkąd ostatnio go widziała, dwa dni temu. Wstała i wyciągnęła do niego rękę, a on w tej samej chwili wziął ją w ramiona.

- Co zrobimy? - zapytał ją. - Do licha, Vic, co teraz zrobimy?

Kuchnia

Kiedy usiedli przy stole, Vic złapała Lou za rękę, i była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Z zaskoczeniem poczuła ciepło jego grubych palców i spojrzała na niezdrowo

bladą, lśniącą od potu twarz. Uznała, że wygląda na poważnie chorego, ale przypisała winę strachowi.

Było ich teraz w kuchni pięcioro. Lou, Vic i Hutter siedzieli przy stole. Daltry opierał się o ladę, wysiąkując swój nos alkoholika w chusteczkę. Policjantka Chitra stała w drzwiach, wyprosiwszy pozostałych gliniarzy na polecenie agentki FBI.

- Pan Louis Carmody - powiedziała Hutter. Mówiła jak reżyserka szkolnego przedstawienia, informująca, kto wystąpi w wiosennym przedstawieniu. - Pan jest ojcem.

- Winny - mruknął Lou.

- Mógłby pan powtórzyć? - poprosiła.

- Winny zarzucanych mu czynów. Jestem tatą. A kim pani jest? Pracownikiem społecznym?

- Jestem agentką FBI. Nazywam się Hutter, Tabitha Hutter. Wielu facetów w biurze nazywa mnie Tabby the Hutt.

- Uśmiechnęła się lekko.

- Zabawne. Wielu facetów w moim miejscu pracy nazywa mnie Jabba the Hutt. Tylko dlatego, że jestem grubasem.

- Myślałam, że jest pan w Denver - powiedziała agentka.

- Uciekł mi samolot.

- Nie chrzań - wtrącił Daltry. - Coś się stało?

- Detektywie Daltry, ja zajmę się zadawaniem pytań, dziękuję - oświadczyła stanowczo Hutter.

Daltry sięgnął do kieszeni blezera.

- Mogę zapalić?

- Nie - odparła Hutter.

Daltry patrzył na nią przez chwilę, trzymając paczkę, po czym schował ją do kieszeni. Jego oczy były puste, nieskupione. Vic przyszedł na myśl oczy rekina, zasnutę błoną tuż przed tym, nim wbije zęby w fokę.

- Dlaczego spóźnił się pan na samolot, panie Carmody? - zapytała Hutter.

- Bo usłyszałem Wayne'a.

- Usłyszał go pan?

- Zadzwoił do mnie z samochodu, ze swojego iPhone'a. Powiedział, że chcą zastrzelić Vic, Manx i ten drugi facet.

Rozmawialiśmy może minutę. Musiał skończyć, bo Manx i ten drugi wracali do samochodu. Był przerażony, naprawdę przerażony, ale się trzyma. Jest małym mężczyzną, wie pani. Zawsze był małym mężczyzną. – Lou zacisnął pięści na stole i spuścił głowę. Skrzywił się, jakby ostry ból przeszył mu brzuch, zamrugał i łzy ściekły na stół. Wszystko to spadło na niego nagle, bez ostrzeżenia. – Musi być dojrzały, bo Vic i ja jesteśmy jako dorośli kompletnie do bani.

Vic nakryła dłońmi jego ręce.

Hutter i Daltry wymienili spojrzenia, ledwie zauważając, że Lou zalewa się łzami.

– Sądzi pan, że pański syn wyłączył telefon po waszej rozmowie? – zapytała Hutter.

– Myślałem, że jeśli ma kartę SIM, to będzie bez znaczenia, czy komórka jest włączona, czy wyłączona – odezwał się Daltry. – Myślałem, że federalni potrafią sobie z tym poradzić.

– Możecie wykorzystać jego telefon, żeby go znaleźć – powiedziała Vic, czując przyspieszający puls.

Hutter ją zignorowała, zwróciła się do Daltry'ego:

– Możemy to zrobić. To zajmie jakiś czas. Musiałabym zadzwonić do Bostonu. Ale jeśli Wayne ma iPhone'a i jest on włączony, możemy teraz i tutaj użyć aplikacji „Znajdź mój iPhone”, żeby go zlokalizować. – Lekko podniosła swój tablet.

– Zgadza się – potwierdził Lou. – To prawda. Ustawiłem tę funkcję w dniu, kiedy kupiliśmy mu smartfona, bo nie chciałem, żeby go zgubił.

Obszedł stół, by spojrzeć nad ramieniem Hutter na ekran. W nienaturalnym blasku monitora jego cera wyglądała jeszcze gorzej.

– Jaki jest adres e-mailowy i hasło syna? – zapytała agentka, odwracając głowę, żeby na niego spojrzeć.

Wyciągnął rękę, chcąc samemu je wpisać, ale złapała go za nadgarstek. Przycisnęła dwa palce do jego skóry, jakby mierzyła mu puls. Vic dostrzegła miejsce, gdzie skóra Lou lśniła, jakby posmarowana jakąś maścią.

Hutter przeniosła spojrzenie na jego twarz.

- Miał pan dziś robione EKG?

- Zemdlałem, z nerwów. Ja cię, miałem coś w rodzaju ataku paniki. Jakiś obłąkany sukinsyn porwał mojego dzieciaka. Taki jest parszywy los grubasów.

Do tej pory Vic była zbyt skupiona na Wayne, żeby pomyśleć o Lou: jaki jest szary, jaki wyczerpany. Ale teraz opadło ją nagle, mdlące zrozumienie.

- Lou... Co to znaczy, że zemdlałeś?

- To było zaraz po tym, jak Wayne się rozłączył. Straciłem przytomność na jakąś minutę. Nic mi się nie stało, ale ochroniarze kazali mi siedzieć na podłodze, a potem zrobiono mi EKG dla pewności, że nie wykorkuję na ich rękach.

- Powiedział im pan o porwaniu syna? - zapytał Daltry.

Hutter obrzuciła go ostrzegawczym spojrzeniem, a on udał, że niczego nie zauważył.

- Nie jestem pewien, co im powiedziałem. Z początku byłem zdezorientowany. Jakby oszołomiony. Mówiłem, że mój syn mnie potrzebuje. Wiem, że to im powiedziałem. Tylko o tym mogłem myśleć. Że muszę dotrzeć do swojego samochodu. W pewnym momencie powiedzieli, że zapakują mnie do ambulansu, a ja im na to, żeby się pier... ach... żeby się ze sobą zabawili. Wstałem i odszedłem. Możliwe, że jakiś facet złapał mnie za ramię i że wlokłem go przez kilka kroków. Spieszyłem się.

- Więc nie powiadomił pan policji na lotnisku, co się stało z pańskim synem? - dociekał Daltry. - Nie przyszło panu do głowy, że dotarłby pan tu szybciej, gdyby miał pan policyjną eskortę?

- Nie przyszło mi to do głowy. Chciałem najpierw porozmawiać z Vic - odparł Lou, a Vic zauważyła, że Daltry i Hutter wymienili kolejne spojrzenia.

- Dlaczego chciał pan najpierw porozmawiać z Vic? - zapytała Hutter.

- Czy to ważne? - krzyknęła Vic. - Nie możemy skoncentrować się wyłącznie na Wayne?

- Tak - odparła agentka, mrugając i z powrotem patrząc na swój tablet. - Racja. Skoncentrujmy się na Wayne. Co z tym

hasłem?

Vic odsunęła krzesło, gdy Lou grubym palcem zaczął stukać w ekran. Wstała, obeszła narożnik stołu, żeby patrzeć. Oddech miała przyspieszony i urywany. Czekwała z niecierpliwością tak dojmującą, że miała wrażenie, jakby ktoś dźgał ją nożem.



Na ekranie ukazała się strona „Znajdź mój iPhone”, z mapą świata, jasnoniebieskimi kontynentami na tle ciemnoniebieskich oceanów. Napis w okienku w prawym górnym rogu oznajmiał:

iPhone Wayne'a
Lokalizowanie
Lokalizowanie
Lokalizowanie
Lokalizowanie
Zlokalizowany

Jednolicie szare pole przysłoniło mapę świata. W

srebrzystej gładkości ukazała się niebieska kropka. Zaczęły pojawiać się kwadraty, mapa się przemodelowała, żeby pokazać lokalizację iPhone'a w powiększeniu. Vic zobaczyła, że błękitna kropka wędruje drogą opisaną jako ALEJA ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA.

Wszyscy się pochyłali, Daltry tak blisko, że Vic czuła jego nacisk na tyłek, czuła jego oddech łaskoczący jej szyję. Pachniał kawą i nikotyną.

- Proszę powiększyć - powiedział. Hutter trzy razy stuknęła w ekran.

Mapa przedstawiała kontynent, który nieco przypominał Amerykę. Wyglądało to tak, jakby ktoś stworzył wersję Stanów Zjednoczonych z ciasta chlebowego, a potem przekłuł je pośrodku. W tej nowej wersji państwa Cape Cod miał wielkość prawie połowy Florydy, a Góry Skaliste przypominały Andy, tysiące kilometrów groteskowo pofałdowanej ziemi, wielkie bryły kamienia piętrzące się jedno na drugich. Kraj jako całość był znacznie mniejszy, zapadający się ku środkowi.

Większość wielkich miast zniknęła, a zamiast nich pojawiły się inne interesujące miejsca. W Vermoncie rósł gęsty las, otaczający KRĘGOCINIEC; w New Hampshire leżało miejsce opisane jako ZMYŚLONY DOMEK NA DRZEWIE. Nieco na północ od Bostonu było coś o nazwie DZIURKA OD KLUCZA LOVECRAFTA; był to krater trochę przypominający kłódkę. W Maine, wokół Lewiston-Auburn-Derry leżało miejsce zwane CYRK ZA TRZY GROSZE. Wąska autostrada NOCNA DROGA wiodła na południe, im dalej, tym czerwiejsza, aż w końcu strumyczek krwi ściekał na Florydę.

Aleja Świętego Mikołaja upstrzona była przystankami. W Alabamie - CZUJNE BAŁWANY. W Kansas - OGROMNE ZABAWKI. W Pensylwanii - DOM SNU i CMENTARZ TEGO, CO MOŻE SIĘ WYDARZYĆ.

A w górach Kolorado wysoko wśród szczytów znajdowało się miejsce, w którym kończyła się Aleja Świętego Mikołaja:

GWIAZDKOWA KRAINA.

Sam kontynent unosił się na morzu czarnej, usianej gwiazdami pustki; mapa była podpisana nie STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI, ale KRAJOBRAZY ZJEDNOCZONE AMERYKI.

Błękitna kropka przesuwiała się przez to, co powinno być zachodnim Massachusetts, w kierunku Gwiazdkowej Krainy. Ale Krajobrazy Zjednoczone niezupełnie korespondowały z samą Ameryką. Laconię w New Hampshire i Springfield w Massachusetts dzieli może około osiemdziesięciu kilometrów, lecz na tej mapie odległość była o połowę mniejsza.

Wszyscy wytrzeszczali oczy.

Daltry wyjął z kieszeni chusteczkę i w zamyśleniu wysiąkał nos.

- Czy ktoś z was widzi Krainę Słodkiej Przygody? - Chrząknął, było to niezupełnie kasznięcie, niezupełnie śmiech.

Vic poczuła, że kuchnia się przechyla. Świat na skraju jej pola widzenia stał się zniekształcony i rozmyty. iPad i stół pozostały wyraźne, lecz dziwnie dalekie.

Potrzebowała czegoś, co by ją zakotwiczyło. Czuła, że zaraz oderwie się od podłogi... balonik wymykający się z ręki dziecka. Złapała Lou za nadgarstek, żeby się czegoś przytrzymać. Zawsze był, gdy go potrzebowała.

Kiedy jednak na niego spojrzała, na jego twarzy ujrzała odbicie własnego głębokiego szoku. Żrenice miał małe jak łebki od szpilek, a oddech krótki i wyteżony.

Zaskakująco normalnym tonem głosu Hutter powiedziała:

- Nie wiem, na co tu patrzę. Czy to coś państwu mówi? Ta dziwna mapa? Gwiazdkowa Kraina? Aleja Świętego Mikołaja?

- Mówi? - zapytał Lou, bezradnie patrząc na Vic.

Vic rozumiała, że w rzeczywistości pyta: Czy mamy jej powiedzieć o Gwiazdkowej Krainie? O wszystkim, w co wierzyłaś, gdy byłaś wariatką?

- Nie - szepnęła, odpowiadając na wszystkie pytania,

wypowiedziane i niewypowiedziane, jednocześnie.

Sypialnia

Vic powiedziała, że musi odpocząć. Zapytała, czy może się położyć na jakiś czas, a Hutter odparła, że oczywiście, że nikt nie będzie miał z niej żadnego pożytku, jeśli w końcu padnie z wyczerpania.

Ale w sypialni to Lou rzucił się na łóżko. Vic nie mogła się odprężyć. Podeszła do okna, rozchyliła żaluzje, spojrzała na podwórko przed domem. Noc była pełna trajkotania odbiorników radiowych, pomruku męskich głosów. Ktoś zaśmiał się cicho. Dziwnie było myśleć, że niespełna sto kroków od domu możliwe jest istnienie szczęścia.

Jeśli któryś z policjantów na ulicy zauważył, że patrzy, to pewnie pomyślał, że spogląda pustym wzrokiem na drogę, z nadzieją, żalostí, wypatrując nadjeżdżającego radiowozu z błyskającymi światłami, z syrenami rozdzierającymi powietrze, z jej synem na tylnym siedzeniu. Bezpiecznym, wracającym do domu. Z ustami lepkiemi i różowymi od lodów, które kupili mu gliniarze.

Ale Vic nie patrzyła na drogę, nie liczyła na to, że ktoś przywiezie Wayne'a. Jeśli ktoś to zrobi, to tylko ona sama. Vic patrzyła na triumpha leżącego w tym samym miejscu, w którym go rzuciła.

Lou dyszał na łóżku jak manat wyrzucony na brzeg. Kiedy się odezwał, mówił do sufitu:

- Wyciągniesz się ze mną na chwilę? Tylko... po prostu żeby tu ze mną pobyc?

Puściła żaluzje i podeszła do łóżka. Przełożyła nogę przez jego nogi i przytuliła się do jego boku, czego nie robiła od lat.

- Znasz tego faceta, który wygląda jak wredny bliźniak Mickeya Rooneya? Tego Daltry'ego? Mówił, że zostałam

ranna.

Zrozumiała, że nie słyszał historii. Nikt mu nie powiedział, co ją spotkało.

Opowiedziała mu. Z początku tylko powtarzała to, co usłyszała od niej Hutter i detektywi. Opowieść już miała cechy kwestii wyuczonych do występu w sztuce; mogła recytować je bezmyślnie.

Ale gdy zaczęła mówić o przejażdżce triumphem, zrozumiała, że wcale nie musi opuszczać tej części o moście. Że może i powinna mu powiedzieć o odkryciu Krótszej Drogi we mgle, ponieważ tak właśnie się stało. Naprawdę się stało.

- Zobaczyłam most - powiedziała cicho, podnosząc się, żeby spojrzeć mu w twarz. - Wjechałam na niego, Lou. Szukałam go i znalazłam. Wierzysz mi?

- Uwierzyłem ci za pierwszym razem, gdy mi o nim opowiadałaś.

- Pieprzony kłamca - fuknęła, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Położył rękę na jej lewej piersi.

- Dlaczego miałbym ci nie wierzyć? To wyjaśniało twoje zachowanie lepiej niż wszystko inne. A ja jestem jak ten plakat na ścianie w *Archiwum X*: „Chcę wierzyć”. Historia mojego życia, moja pani. Mów dalej. Przejechałaś przez most. Co potem?

- Nie przejechałam. Przeraziłam się. Naprawdę się przeraziłam, Lou. Pomyślałam, że mam halucynacje. Że znowu mi odbija. Wcisnęłam hamulec tak mocno, że części się posypały z motoru.

Opowiedziała mu, jak zawróciła triumpha, jak opuściła most z zamkniętymi oczami i na drżących nogach. Opisała, co słyszała na Krótszej Drodze, szum i ryk, jakby stała za wodospadem, i że wiedziała, iż most zniknął, kiedy dźwięk ucichł, a potem miała przed sobą długą drogę z powrotem do domu.

Opowiedziała, jak Manx czekał z tym drugim mężczyzną, jak rzucił się na nią z młotkiem. Lou nie był stoikiem. Podrygiwał, wiercił się i kłął. Kiedy doszła do tego, jak

uderzyła Manxa w twarz kluczem, skomentował: „Szkoda, że nie rozpieprzyłaś mu czerepu”. Zapewniła go, że nie szczędziła starań. Lou uderzył pięścią w udo, gdy relacjonowała, jak Człowiek w Masce Przeciwigazowej odstrzelił Manxowi ucho. Słuchał jej całym ciałem, drżąc z napięcia, jak łuk naciągnięty do granic wytrzymałości, gotów do wypuszczenia strzały.

Słuchał bez przerywania, dopóki nie doszła do biegu nad jezioro, do ucieczki przed napastnikami.

- Właśnie wtedy zadzwonił Wayne - odezwał się.

- Co ci się stało na lotnisku? Tak naprawdę.

- To, co powiedziałem. Zemdlałem. - Pokręcił głową, jakby chciał rozluźnić mięśnie karku, i dodał: - Ta mapa z drogą do Gwiazdkowej Krainy... Co to za miejsce?

- Nie wiem.

- Nie w naszym świecie. Mam rację?

- Nie wiem. Myślę... myślę, że to jest nasz świat. W każdym razie jakaś jego wersja. Wersja, którą Charlie Manx nosi w głowie. Każdy żyje w dwóch światach, prawda? Jest świat materialny... ale są również nasze własne prywatne światy wewnętrzne, światy naszych myśli. Świat zbudowany z idei, nie z materii, jest równie prawdziwy jak ten, w którym żyjemy, ale istnieje w nas. To pejzaż wewnętrzny. Każdy ma taki pejzaż i wszystkie one są powiązane w taki sam sposób, jak New Hampshire z Vermontem. I niektórzy ludzie mogą wjechać do tego świata myśli, jeśli mają odpowiedni środek transportu. Klucz. Samochód. Rower. Cokolwiek.

- Jak twój świat myśli może być powiązany z moim?

- Nie wiem. Ale... ale posłuchaj, jeśli Keith Richards wymyśla piosenkę, a potem ty słuchasz jej w radiu, masz w głowie jego myśli. Moje fantazje mogą wpaść do twojej głowy z równą łatwością, jak ptak może przelecieć przez granicę stanu.

Lou ściągnął brwi i powiedział:

- Więc Manx jakimś sposobem wywozi dzieciaka ze świata materialnego do własnego prywatnego świata fantazji. Dobra. Mogę to przełknąć. Dziwne, ale mogę tego dokonać.

Wracaj do swojej opowieści. Facet w masce przeciwigazowej miał rewolwer.

Vic opowiedziała mu o swoim skoku do wody, o strzelającym do niej Człowieku w Masce Przeciwigazowej i o tym, jak Manx wygłaszał swoją mowę, gdy się chowała pod tratwą. Kiedy skończyła, zamknęła oczy, wtuliła twarz w jego szyję. Była wyczerpana – bardziej niż wyczerpana, osiągnęła jakiś nowy poziom zmęczenia. W tym nowym świecie panowała mniejsza siła ciężenia. Gdyby nie była przywiązana do Lou, odpłynęłyby w kosmos.

- On chce, żebyś poszła go szukać – powiedział Lou.

- Mogę go znaleźć. Mogę znaleźć ten Dom Snu. Mówiłam ci. Przejeżdżałam przez most, zanim rozjebałam motor.

- Pewnie spadł łańcuch. Masz szczęście, że nic ci się nie stało.

Otworzyła oczy.

- Musisz go zreperować, Lou. Musisz zrobić to dzisiaj. Jak najszybciej. Powiedz Hutter i policji, że nie możesz spać. Powiedz, że musisz coś zrobić, żeby się wyluzować. Ludzie w stresie reagują rozmaicie, a ty jesteś mechanikiem. Nie będą się czepiać.

- Manx mówi, żebyś poszła go szukać. Jak myślisz, co z tobą zrobi, gdy go znajdziesz?

- Powinien myśleć, co ja zrobię z nim.

- A jeśli nie ma go w tym Domu Snu? Czy motor zabierze cię do niego, gdziekolwiek przebywa? Nawet jeśli jest w drodze?

- Nie wiem – odparła Vic, chociaż w głębi duszy uważała, że nie. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta pewność, ale pamiętała, że kiedyś wyruszyła na poszukiwanie zaginionego kota – Taylora, pomyślała – i była przekonana, że go znajdzie, i faktycznie znalazła, tylko że martwego. Gdyby był żywy i grasował, most nie miałby stałego punktu zaczepienia. Most mógł łączyć zgubę z miejscem zagubienia, ale tylko wtedy, gdy zguba nie ruszała się z miejsca.

Lou wyczytał wątpliwości z jej twarzy.

- Zresztą to nieważne – podjęła. - Manx musi się gdzieś

zatrzymać, prawda? Żeby się przespać? Żeby coś zjeść?

W gruncie rzeczy nie była pewna, czy Manx potrzebuje jedzenia albo odpoczynku. Zmarł, poddano go sekcji, wyjęto mu serce... a potem wstał i wyszedł, pogwizdując. Kto wie, czego potrzebuje taki człowiek? Zresztą samo rozpatrywanie go w takich kategoriach, uważanie za człowieka, może być przyjmowaniem błędnych założeń. A jednak krwawił. Można go zranić. Widziała, że był blady i słaniał się na nogach. Uznała, że chcąc dojść do siebie, będzie się musiał zatrzymać i zdrzemnąć przez jakiś czas, jak każde ranne stworzenie. Jego tablica rejestracyjna była żartem albo przechwałką: „nosferatu”, słowo z przedwojennego niemieckiego filmu o wampirze – oznajmienie, czym jest na pewnym poziomie. Ale w opowieściach nawet wampiry od czasu do czasu wpełzają do swoich trumien i zamykają wieko. Vic odsunęła od siebie te myśli.

- Prędzej czy później z jakiegoś powodu będzie się musiał zatrzymać i kiedy to zrobi, będę mogła go dopaść.

- Zapytałaś mnie, czy uważam cię za wariatkę, z całym tym gadaniem o moście. Zaprzeczyłem. Ale to? To czysty obłąd. Chcesz wsiąść na motor i jechać na poszukiwanie Manxa... żeby mógł cię załatwić. Zakończyć robotę, którą zaczął dziś rano.

- Nic więcej nie mamy. - Spojrzała w stronę drzwi. - I, Lou, to jedyny sposób, w jaki możemy... w jaki odzyskamy Wayne'a. Ci ludzie nie zdołają go znaleźć. Ja mogę tego dokonać. Naprawisz motor?

Westchnął - zrobił potężny, niepewny wydech i obiecał:

- Spróbuję, Vic. Spróbuję. Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Kiedy go naprawię - powiedział - zabierzesz mnie ze sobą.

Aleja Świętego Mikołaja

Wayne spał przez długi czas – niekończący się czas ciszy i spokoju – a kiedy otworzył oczy, wiedział, że wszystko jest w porządku.

NOS4A2 rozcinał mrok niczym torpeda, która sunie przez bezdenne głębie. Jechali wśród niskich wzgórz, Upiór pokonywał zakręty jak na szynach. Wayne wypatrywał czegoś cudownego i pięknego.

Śnieg padał delikatnymi płatkami, jak gęsi puch. Wycieraczki szumiały, zgarniając je z szyby.

Minęli samotną latarnię, rozpraszającą ciemność, wysoką na trzy i pół metra cukrową laskę w biało-czerwone paski, zwieńczoną żelkiem, rzucającą wesołe światło, które przemieniało śnieżynki w piórka ognia.

Upiór wszedł w zakręt na dużej wysokości. Roztaczał się stamtąd widok na leżący w dole rozległy płaskowyż, srebrny i gładki, i na pnące się za nim góry! Wayne nigdy nie widział takich gór – w porównaniu z nimi Góry Skaliste wyglądały jak skromne pagórki. Najmniejsza z nich była wielka jak Everest. Było to ogromne pasmo kamiennych zębów, zakrzywiony rząd kłów dość ostrych i wielkich, żeby pożreć niebo. Skały wysokości dwunastu tysięcy metrów przeszywały noc, podtrzymując ciemność, dżgając gwiazdy.

Ponad szczytami płynął srebrzysty sierp bladego księżyca. Wayne spojrzał na niebo i odwrócił wzrok, a później znowu popatrzył. Księżyc miał haczykowaty nos, usta zaciśnięte z zadumą i jedno oko, zamknięte we śnie. Kiedy zrobił wydech, wiatr przemknął po równinach i srebrne ławice chmur popędziły przez noc. Wayne o mało nie klasnął w ręce zachwycony.

A jednak nie mógł na długo oderwać wzroku od gór. Surowe, gigantyczne szczyty przyciągały jego spojrzenie jak magnes opiłki żelaza, bo tam, na wysokości dwóch trzecich najwyższego z nich jaśniał klejnot przypięty do skalnej ściany. Świecił jaśniej niż księżyc, jaśniej niż którakolwiek gwiazda. Płonął w nocy jak pochodnia.

Gwiazdkowa Kraina

- Opuść szybę i spróbuj złapać jeden z tych cukrowych płatków! - poradził pan Manx z przedniego fotela.

Wayne na chwilę zapomniał, kto prowadzi samochód. Przestał się tym przejmować. To nie było ważne. Najważniejsze, żeby tam dotrzeć. Wayne pragnął tam być, z całego serca pragnął przejechać między cukrowymi laskami bramy.

- Cukrowy płatek? Nie płatek śniegu?

- Gdyby mi chodziło o płatek śniegu, powiedziałbym: płatek śniegu! Te płatki są z czystego cukru trzcinowego i gdybyśmy byli w samolocie, rozczinalibyśmy chmury z waty cukrowej! Śmiało! Opuść szybę! Złap jeden i sprawdź, czy nie kłamie!

- Nie będą zimne? - zapytał Wayne.

Pan Manx popatrzył na niego w lusterku wstecznym, ze zmarszczkami śmiechu w kąciakach oczu.

Już nie budził przerażenia. Był młody i jeśli nie przystojny, to przynajmniej elegancki w czarnych skórzanych rękawiczkach i czarnym płaszczu. Włosy miał teraz czarne, wsunięte pod kapelusz ze skórzanym otokiem, odsłaniającym wysoką nagą przestrzeń jego czoła.

Obok niego Człowiek w Masce Przeciwigazowej spał ze słodkim uśmiechem na tłustej, zarosniętej twarzy. Miał biały marynarski mundur i pierś obwieszoną złotymi medalami. Drugie spojrzenie ujawniało, że w rzeczywistości medale są czekoladowymi monetami w pozłotce. Miał ich dziewięć.

Wayne teraz rozumiał, że dostanie się do Gwiazdkowej Krainy jest lepsze niż przyjęcie do Hogwartu, do fabryki czekolady Willy'ego Wonki, do Miasta w Chmurach z *Gwiezdnych wojen*, a nawet Rivendell z *Władcy Pierścieni*. Nawet jedno dziecko na milion nie ma szans na wstęp do Gwiazdkowej Krainy; trafiają tam tylko te dzieci, które naprawdę na to zasługują. Tam nie można być

nieszczęśliwym, tam każdy poranek jest porankiem Bożego Narodzenia, a każdy wieczór Wigilią, tam łązy są sprzeczne z prawem, a dzieci fruują jak anioły. Albo się unoszą. Dla Wayne'a różnica nie była jasna.

Wiedział coś jeszcze: jego matka nienawidzi pana Manxa, ponieważ nie ją zabrał do Gwiazdkowej Krainy. I skoro sama nie mogła tam pojechać, nie chciała, żeby on tam trafił. Jego matka piła, ponieważ tylko dzięki temu mogła poczuć się tak, jak w Gwiazdkowej Krainie – mimo że butelka ginu różni się od Gwiazdkowej Krainy tak, jak psi herbatnik od filetu z polędwicy.

Jego matka zawsze wiedziała, że pewnego dnia on właśnie tam odejdzie. Dlatego nie znosiła, gdy byli razem. Dlatego uciekała od niego przez wszystkie te lata.

Wayne nie chciał o tym myśleć. Zadzwoń do niej, gdy tylko się znajdzie w Gwiazdkowej Krainie. Powie jej, że ją kocha, że wszystko jest w porządku. Jeśli trzeba, będzie dzwonić do niej codziennie. To prawda, czasami go nienawidziła, nienawidziła być matką, ale chciał kochać ją mimo wszystko i dzielić się z nią swoim szczęściem.

- Zimne? - krzyknął Manx, wyrywając Wayne'a z zamyślenia. - Zamartwiasz się jak moja ciotka Mathilda! Śmiało. Opuść szybę. Poza tym znam cię, Brusie Wayne Carmody. Po twojej głowie snują się smętne myśli. Jesteś poważnym małym facetem! Musimy cię z tego wyleczyć! I wyleczymy! Doktor Manx przepisuje ci kubek miętowego kakao i przejażdżkę Arktycznym Ekspresem z innymi dziećmi. Jeśli po czymś takim nadal będziesz się chmurzyć, nie widzę dla ciebie ratunku. Śmiało, otwórz okno! Niech nocne powietrze zdmuchnie ponurość! Nie bądź starą babą! Jest tak, jakbym wiozł czyjąś babcie zamiast małego chłopca!

Wayne się odwrócił, żeby opuścić szybę, ale kiedy to zrobił, spotkała go paskudna niespodzianka. Obok niego siedziała Linda, jego babcia. Nie widział jej od miesiąca. Trudno odwiedzać krewnych, kiedy są martwi.

Teraz też była martwa. Siedziała w rozwiązanej koszuli

szpitalnej, więc widział jej chude jak szkielet plecy, kiedy się pochyliła. Siedziała gołym tyłkiem na kanapie obitej porządną beżową skórą. Nogi też miała chude, okropne, bardzo białe w ciemności, pokryte czarnymi żyłami. Jej oczy skrywały się za dwiema lśniącymi, srebrnymi, świeżo wybitymi półdolarówkami.

Wayne otworzył usta do krzyku, ale babcia Linda poniosła palec do ust. Sza.

- .spowolnić to możesz ,wspak myślał będziesz Jeśli .Wayne ,prawdy od cię zabiera On - przestrzegła go z powagą.

Manx przekrzywił głowę, jakby nasłuchiwał jakiegoś hałasu pod maską, który mu się nie podobał. Linda mówiła na tyle wyraźnie, że powinien ją słyszeć, ale się nie rozglądał i jego mina sugerowała, że chyba coś słyszy, choć wcale nie jest tego pewien.

Babcia wyglądała koszmarnie, ale Wayne'em wstrząsnął strach z innego powodu - z powodu bredni, które wygłaszała. Błysnęły monety na jej oczach.

- Odejdź - szepnął.

- .młodość twoją siebie dla zachowa i duszę ci Odbierze .pęknie nie dopóki ,recepturkę gumkę jak rozciągać cię Będzie .duszę twoją Wypędzi - wyjaśniła babcia Linda, zimnym palcem naciskając na jego mostek dla podkreślenia słów.

Wayne ze zduszonym jękiem kulił się pod wpływem jej dotyku. Jednocześnie mimo woli próbował zrozumieć jej recytowany ponuro bełkot. Duszę ci odbierze - to rozumiał. Recepturka gumka? Nie, gumka recepturka. O to chodzi. Mówiła wspak i na jakimś poziomie rozumiał, że właśnie dlatego pan Manx niezupełnie ją słyszy na przednim siedzeniu. Nie mógł jej słyszeć, ponieważ on parł naprzód, a ona zmierzała wstecz. Próbował sobie przypomnieć, co jeszcze powiedziała, bo chciał się przekonać, czy zdoła rozwikłać zagadkę martwej kobiety, ale babcia Linda już płowiała.

- Opuść szybę, chłopczyku! - polecił pan Manx. - Natychmiast! - Jego głos nagle stwardniał, już nie był taki

życzliwy jak wcześniej. – Chcę, żebyś złapał sobie trochę tych słodkości! Pospiesz się! Dojeżdżamy do tunelu!

Ale Wayne nie mógł otworzyć okna. Żeby to zrobić, musiałby sięgnąć obok Lindy, a tego się bał. Bał się jej tak bardzo, jak kiedyś Manxa. Chciał zakryć oczy, żeby jej nie widzieć. Oddychał płytko i urywanie, jak biegacz na ostatnim etapie wyścigu – i wydechy dymiły, jakby z tyłu samochodu panował wielki chłód, choć wcale nie było mu zimno.

Spojrzał na przedni fotel, szukając pomocy, ale pan Manx się zmienił. Brakowało mu lewego ucha – przy jego policzku kołysały się strzępy ciała, drobne szkarłatne sznurki. Nie miał kapelusza, jego głowa była teraz łysa, bulwiasta i plamista, z zaczesanymi w poprzek czaszki paroma srebrnymi pasemkami. Z czoła zwisał duży płat luźnej czerwonej skóry. Jego oczy zniknęły, w ich miejscu ziały brzęczące czerwone dziury – nie krwawe oczodoły, lecz kraterzyki wypełnione rozżarzonymi węglami.

Obok niego spał Człowiek w Masce Przeciwigazowej, w wykrochmalonym mundurze, uśmiechając się jak ktoś, kto ma pełen brzuch i rozgrzane stopy.

Przez przednią szybę Wayne widział, że zbliżają się do tunelu wywierconego w ścianie skalnej, do czarnej rury wiodącej w głąb wzgórza.

– Kto jest tam z tobą? – zapytał Manx bzykliwym, strasznym głosem. Nie był to głos człowieka. Był to głos tysiąca brzęczących much.

Wayne spojrzał, szukając wzrokiem babci Lindy, ale już odeszła, zostawiła go.

Tunel połknął Upiora. W ciemności jarzyły się tylko te czerwone dziury, wpatrzone w niego zamiast oczu Manxa.

– Nie chcę jechać do Gwiazdkowej Krainy – oznajmił Wayne.

– Wszyscy chcą jechać do Gwiazdkowej Krainy – powiedziała istota na przednim fotelu, to coś, co kiedyś było człowiekiem, ale przestało nim być może sto lat temu.

Szybko zmierzali ku jasnemu kręgowi światła słonecznego po drugiej stronie tunelu. Kiedy wjeżdżali do tej dziury w

górze, panowała noc, ale teraz mknęli ku letniemu blaskowi i choć trzydzieści metrów dzieliło ich od wylotu, jasność raziała Wayne'a w oczy.

Zakrył twarz rękami, jęcząc w udreće. Światło przepalało się przez palce, coraz silniejsze, prześwietliło dłonie, aż zobaczył czarne patyki własnych kości pogrzebanych w łagodnie jarzącej się tkance. Czuł, że lada chwila całe to słońce może go spalić.

- Nie chcę! Nie chcę! - krzyknął.

Samochód podskoczył i wyjechał na wyboistą drogę ze wstrząsem, który oderwał jego ręce od twarzy. Zamrugał w porannym słońcu.

Bing Partridge, Człowiek w Masce Przeciwigazowej, wyprostował się i obrócił w fotelu, żeby na niego spojrzeć. Jego mundur zniknął, teraz miał na sobie ten sam poplamiony dres co wczoraj.

- Nie - mruknął, wiercąc palcem w uchu. - Ja też nie jestem rannym ptaszkiem.

Sugarcreek, Pensylwania

- Słoneczko, słoneczko, niebożę - powiedział Człowiek w Masce Przeciwigazowej i ziewnął. - Zaświeć o innej porze. - Po chwili milczenia nieśmiało dodał: - Miałem ładny sen. Śniłem o Gwiazdkowej Krainie.

- Mam nadzieję, że ci się podobał - warknął Manx. - Bo za bałagan, jakiego narobiłeś, sny o Gwiazdkowej Krainie będą wszystkim, co dostaniesz!

Człowiek w Masce Przeciwigazowej skurczył się w fotelu i zakrył uszy rękami.

Jechali wśród wzgórz porośniętych wysoką trawą, pod błękitną kopułą letniego nieba. Po lewej stronie lśniła odnoga jeziora, długi odłamek lustra rzucony między trzydziestometrowe drzewa. W dolinach snuły się pasma

porannej mgły, które niebawem wyparują w promieniach słońca.

Wayne mocno przetarł oczy rękami, jego mózg jeszcze spał. Czoło i policzki wydawały się rozgorączkowane. Westchnął i z zaskoczeniem zobaczył jasny opar płynący z nozdrzy, jak w swoim śnie. Nie zdawał sobie sprawy, że na tylnym siedzeniu jest tak zimno.

- Zmarzłem na kość - powiedział, choć jeśli coś czuł, to ciepło, nie ziąb.

- Poranki bywają bardzo surowe - powiedział Manx. - Niebawem poczujesz się lepiej.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał Wayne.

Manx spojrział na niego.

- W Pensylwanii. Jechaliśmy przez całą noc, a ty spałeś jak niemowlę.

Wayne mrugał, patrząc na niego, zaniepokojony i zdezorientowany, choć dopiero po chwili zrozumiał powód konsternacji. Rozerwane lewe ucho zasłaniała łatka białej gazy, ale Manx zerwał opatrunek z czoła. Długa na piętnaście centymetrów rana była czarna i oślizła, blizna Frankensteina - a jednak wyglądała tak, jakby goiła się od dwunastu dni, nie dwunastu godzin. Cera Manxa znacznie się poprawiła, oczy miał bystrzejsze, skrzące się humorem i życzliwością.

- Pańska twarz wygląda znacznie lepiej - stwierdził Wayne.

- Nieco przyjemniejsza dla oczu, jak sądzę, ale przez długi czas nie będę się kwalifikował do konkursu piękności.

- Jak to się stało, że tak szybko się panu polepszyło?

Po krótkiej chwili namysłu Manx odparł:

- Samochód się o mnie troszczy. Tobą też się zaopiekuje.

- To dlatego, że jesteśmy w drodze do Gwiazdkowej Krainy - dorzucił Człowiek w Masce Przeciwigazowej, patrząc z uśmiechem przez ramię. - Grymasy do góry nogami stają się uśmiechami, prawda, panie Manx?

- Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania twoich rymowanych idiotyzmów, Bingu - mruknął Manx. - Może sam pobawisz się w milczka?

NOS4A2 jechał na południe i przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Wayne w ciszy oceniał swoją sytuację.

W całym swoim życiu nigdy nie był równie przerażony jak wczorajszego popołudnia. Gardło wciąż miał obolałe od krzyku. Teraz jednak było tak, jakby przemienił się w dzban, z którego wylały się wszystkie złe, nieprzyjemne uczucia, co do kropelki. Wnętrze rolls-royce'a przepełniał złoty blask słońca. Drobiny kurzu płonęły w snopie jasności. Wayne uniósł rękę, żeby je przegonić, i patrzył, jak się kłębią, niczym piasek wirujący w wodzie...

Przypomniał sobie, jak jego mama wskoczyła do wody, żeby uciec przed Człowiekiem w Masce Przeciwigazowej, i aż się wzdrygnął. Przez chwilę czuł wstrząs wczorajszego strachu, tak świeży i ostry, jakby dotknął odstłoniętego miedzianego przewodu i został porażony prądem. Nie przerażała go myśl, że jest więźniem Charliego Manxa, ale to, że na chwilę zapomniał, że jest więźniem. Przed chwilą podziwiał światło i czuł się niemal szczęśliwy.

Przeniósł spojrzenie na orzechową szufladę umieszczoną pod przednim fotelem, gdzie schował swój telefon. Potem uniósł wzrok i spostrzegł, że Manx obserwuje go w lusterku wstecznym, uśmiechając się leciutko. Wayne skulił się na siedzeniu.

- Powiedział pan, że jest mi winien przysługę - odezwał się.
- W istocie - zgodził się Manx.
- Chcę zadzwonić do mamy. Chcę jej powiedzieć, że nic mi nie jest.

Manx pokiwał głową, nie odrywając oczu od drogi, z ręką na kierownicy. Czy wczoraj samochód sam się prowadził? Wayne pamiętał samodzielnie obracającą się kierownicę, podczas gdy Manx jęczał, a Człowiek w Masce Przeciwigazowej ocierał mu krew z twarzy - ale wspomnienie to cechowała hiperrealistyczna przejrzystość typowa dla snów, które czasem nachodzą przy wyjątkowo paskudnej grypie. Teraz, w jasnym, czystym blasku poranka Wayne nie był pewien, czy to naprawdę miało miejsce. Poza tym robiło się coraz cieplej, już nie widział własnego oddechu.

- Bardzo dobrze, że chcesz do niej zadzwonić i powiedzieć, że wszystko w porządku. Spodziewam się, że gdy dotrzemy do celu podróży, będziesz chciał dzwonić do niej codziennie! To po prostu świadczy o szacunku i liczeniu się z innymi! I oczywiście ona też będzie chciała wiedzieć, jak się masz. Postaramy się zatelefonować do niej jak najszybciej. W zasadzie nie uważam tego za przysługę, jaką jestem ci winien. Tylko najgorsza bestia nie pozwoliłaby dziecku zadzwonić do mamy. Niestety, nie ma tu miejsca, żeby się zatrzymać i zadzwonić, a żaden z nas nie pomyślał, żeby zabrać ze sobą telefon - powiedział Manx. Przekręcił głowę i znowu spojrzął na Wayne'a. - Nie sądzę, żebyś ty o tym pomyślał. - I się uśmiechnął.

Wie, pomyślał Wayne. Poczul, że coś się w nim kurczy, i przez chwilę był niebezpiecznie bliski płaczu.

- Nie - odparł głosem, który brzmiał prawie normalnie. Musiał się powstrzymać od spoglądania na drewnianą szufladę przy swoich stopach.

Manx zwrócił oczy na drogę.

- No tak. W każdym razie jest za wcześnie, żeby do niej dzwonić. Nie ma jeszcze szóstej, a po wczorajszym dniu będzie lepiej, jeśli pozwolimy jej się wyspać! - Westchnął i dodał: - Twoja matka ma więcej tatuaży niż marynarz.

- Pewna panna z Gwadelupy słynęła z dawania dupy - zaczął Człowiek w Masce Przeciwigazowej. - Miała na niej tatuaże, podtykała je pod twarze. Kiedy była po koktajlu, kazała je zrobić w brajlu. Żeby ślepi też widzieli...

- Za dużo rymujesz - zauważył Wayne.

Manx parsknął śmiechem - potężnym, nieokrzęsianym rzeniem - i plasnął dłonią w kierownicę.

- Niewątpliwie! Dobry stary Bing Partridge jest demonem rymów! Jeśli zajrzysz do Biblii, zobaczysz, że to najniższy rodzaj demona, ale się przydaje.

Bing oparł czoło o szybę, patrząc na faliste tereny, na których pasły się owce.

- Baś, baś, baranku, chodź na śniadanko - nucił Bing pod nosem.

- Wszystkie te tatuaże na ciele twojej matki... - powiedział Manx.

- Tak? - mruknął Wayne, myśląc, że jeśli zajrzy do szuflady, prawdopodobnie nie znajdzie tam telefonu. Pomyślał, że mieli idealną okazję go zabrać, gdy spał.

- Może jestem staroświecki, ale postrzegam coś takiego jako zaproszenie dla mężczyzn nikczemnego charakteru, żeby się na nią gapili. Myślisz, że lubi przyciągać tego rodzaju uwagę?

- Kiedyś była dziwka z Peru... - szepnął Człowiek w Masce Przeciwigazowej i zachichotał cicho.

- Są ładne - powiedział Wayne.

- Czy dlatego twój ojciec się z nią rozwiódł? Ponieważ nie lubił, gdy paradowała z gołymi, pełnymi obrazków nogami, żeby przyciągać spojrzenia mężczyzn?

- Wcale się z nią nie rozwiódł. Nigdy nie wzięli ślubu.

Manx znów się roześmiał.

- To ci dopiero niespodzianka!

Zjechali z autostrady, opuścili wzgórze i znaleźli się w sennym miasteczku. Było żałosne i wyglądało jak wymarłe. Witryny sklepów były zamazane mydłem, tablice informowały, że lokale są do wynajęcia. Drzwi kina zabito sklejką, a na afiszu widniał napis: WESO YCH ŚWIĄT SUGAR EEK PA! Zwisały z niego sznury świątecznych lampek, chociaż był lipiec.

Wayne nie mógł przestać myśleć o telefonie. Przecież może sięgnąć do szuflady stopą. Wsunął paluch pod uchwyt.

- Ma wysportowaną figurę, trzeba jej to oddać - powiedział Manx, choć Wayne prawie nie słuchał. - Przypuszczam, że ma chłopaka.

- Mówi, że ja jestem jej chłopakiem.

- Ha, ha. Każda matka tak mówi swojemu synowi. Ojciec jest starszy od twojej matki?

- Nie wiem. Chyba. Trochę.

Wayne pociągnął szufladę i lekko ją wysunął. Przez wąską szczelinę zobaczył, że telefon wciąż w niej leży. Zamknął szufladę. Później. Jeśli wyjmie go teraz, po prostu mu go

odbiorą.

- Jak sądzisz, lubi się podobać starszym mężczyznom? - zapytał Manx.

Wayne był zdumiony tą rozmową o swojej mamie, jej tatuażach i o tym, co myśli o starszych mężczyznach. Nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby Manx zaczął go wypytywać o lwy morskie albo sportowe wozy. Już nawet nie pamiętał, jak zeszli na ten właśnie temat, a kiedy próbował sobie przypomnieć, przebiegał myślą rozmowę od końca do początku.

Jeśli będziesz myślał wspak, przypomniał sobie. Wspak. Myślał. Będziesz. Jeśli. Martwa babcia Linda gościła w jego śnie i właśnie tak mówiła, wspak. Większość tego, co mu powiedziała, przepadło - zapomniane - ale te słowa wróciły do niego z idealną wyrazistością, jak wiadomość wypisana niewidzialnym atramentem, który ciemnieje i pojawia się na papierze trzymanym nad płomieniem. Jeśli będziesz myślał wspak, to co? Tego nie wiedział.

Samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu. Na skraju chodnika, dwa i pół metra dalej, stała kobieta w średnim wieku. Miała spodenki i opaskę na głowie, dreptała w miejscu. Czekwała na zielone światło, chociaż nie było ruchu.

Wayne zareagował bez namysłu. Rzucił się na drzwi i załomotał pięściami w szybę.

- Pomocy! - wrzasnął. - Pomocy!

Kobieta ściągnęła brwi i się rozejrzała. Spojrzała na rolls-royce'a.

- Pomocy, proszę! - krzyczał Wayne, uderzając w szybę.

Uśmiechnęła się i pomachała ręką.

Światła się zmieniły. Upiór statecznie potoczył się przez skrzyżowanie.

Na lewo, po drugiej stronie ulicy Wayne zobaczył mężczyznę w mundurze wychodzącego ze sklepu z pączkami. Miał na głowie czapkę, która wyglądała jak policyjna, i nosił niebieską wiatrówkę.

Wayne przesunął się na siedzeniu i zabębnił pięściami w drugą szybę. Teraz wyraźnie zobaczył mężczyznę: to nie

policjant, tylko listonosz. Przysadzisty mężczyzna po pięćdziesiątce.

- Pomocy! Porwali mnie! Pomocy, pomocy, pomocy! - wrzeszczał Wayne łamiącym się głosem.

- Nie usłyszysz cię - powiedział Manx. - A raczej nie usłyszysz tego, co chcesz, żeby usłyszał.

Listonosz popatrzył na przejeżdżającego rollsa. Uśmiechnął się i uniósł dwa palce do daszka czapki w żartobliwym salucie. Manx jechał dalej.

- Skończyłeś robić harmider? - zapytał.

- Dlaczego mnie nie słyszysz? - chciał wiedzieć Wayne.

- Jest tak, jak zawsze mówi się o Las Vegas: Co się dzieje w Upiorze, zostaje w Upiorze.

Przejechali przez małe śródmieście, zaczęli przyspieszać, zostawiając za sobą długie na cztery przecznice ciągi ceglanych budynków i zakurzonych witryn sklepowych.

- Nie martw się - powiedział Manx. - Jeśli zmęczyła cię jazda, niedługo będzie koniec. Wiem, ja też mam ochotę odpocząć od całej tej autostrady. Jesteśmy bardzo blisko celu.

- Gwiazdkowej Krainy? - zapytał Wayne.

Manx ściągnął usta w pełnym zadumy grymasie.

- Nie. Do Gwiazdkowej Krainy jeszcze daleka droga.

- Dom Snu - powiedział Człowiek w Masce Przeciwigazowej.

Jeziro

Vic na chwilę zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, miała przed nimi budzik, który stał na szafce nocnej. Wskazywał 5.59. Potem celuloidowe klapki przewinęły się na 6.00 i w tej samej chwili zadzwonił telefon.

Dwie rzeczy nastąpiły w tak małym odstępie czasu, że z początku pomyślała, że włączył się budzik, i nie mogła

wykombinować, dlaczego nastawiła go na tę wczesną godzinę. Telefon znów zadzwonił i zaraz potem otworzyły się drzwi sypialni. Tabitha Hutter skierowała na nią oczy błyszczące za okrągłymi szklami okularów.

- Numer zaczynający się od sześćset trzy - poinformowała.
- Firma rozbiórkowa w Dover. Lepiej niech pani odbierze.

Pewnie nie on, ale...

- To nie on - stwierdziła Vic, sięgając po telefon.
- Dowiedziałem się późno w nocy - odezwał się jej ojciec.
- I dopiero po jakimś czasie skojarzyłem, że to twój numer.

Czekałem najdłużej, jak mogłem, na wypadek gdybyś próbowała się przespać. Trzymasz się, mała?

Vic odsunęła słuchawkę od ust i powiedziała:

- To mój tata.

- Proszę mu powiedzieć, że rozmowa jest nagrywana - poleciła Tabitha Hutter. - Wszystkie rozmowy prowadzone z tym numerem będą przez jakiś czas nagrywane.

- Słyszałeś, Chris?

- Tak, w porządku. Niech robią wszystko, co trzeba. Chryste, dobrze słyszeć twój głos, mała.

- Czego chcesz?

- Chcę wiedzieć, jak sobie radzisz. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem tutaj, gdybyś mnie potrzebowała.

- Po raz pierwszy, co?

Wypuścił powietrze w cichym, pełnym frustracji wydechu.

- Rozumiem, przez co przechodzisz. Wiesz, ja też kiedyś przez to przechodziłem. Kocham cię, dziewczyno. Powiedz mi, jeśli jest coś, co mogę zrobić.

- Nie możesz - odparła. - Akurat teraz nie masz czego wysadzać w powietrze. Wszystko już zostało wysadzone. Nie dzwoń więcej, tato. Wystarczająco cierpię i bez tego. Tylko pogarszasz sprawę.

Rozłączyła się. Tabitha Hutter patrzyła na nią z progu.

- Czy wasi eksperci próbowali zlokalizować komórkę Wayne'a? Czy uzyskaliście coś innego niż wtedy, gdy próbowaliśmy tu, w domu? Nic nie macie. Gdybyście mieli jakieś nowe informacje, nie pozwolilibyście mi spać.

- Nie mogą zlokalizować jego telefonu.

- Nie mogą go zlokalizować? A może wytropili go na Alei Świętego Mikołaja, gdzieś na wschód od Gwiazdkowej Krainy?

- Czy to coś dla pani znaczy? Charlie Manx miał dom w Kolorado. Drzewa wokół domu obwieszane były świątecznymi ozdobami. Prasa nazwała go Saniami Mikołaja. Czy to Gwiazdkowa Kraina?

Nie, pomyślała Vic odruchowo. Ponieważ Sanie Mikołaja znajdują się w naszym świecie. Gwiazdkowa Kraina leży w wewnętrznym pejzażu Manxa. W Manxpejzażu.

Hutter miała twarz pokerzysty, przyglądała się jej z miną wystudiowanego spokoju. Vic pomyślała, że jeśli powie, że Gwiazdkowa Kraina istnieje w czwartym wymiarze, gdzie martwe dzieci śpiewają kolędy i stamtąd nawiązują zamiejscowe połączenia telefoniczne, mina Hutter nie zmieni się ani na jotę. Agentka mierzyłaby Vic tym samym chłodnym, beznamietnym spojrzeniem, podczas gdy policjanci trzymaliby Vic, a lekarz robiłby zastrzyk uspokajający.

- Nie wiem, gdzie ani czym jest Gwiazdkowa Kraina - odparła i w znacznej mierze jej słowa były zgodne z prawdą.

- Nie mam pojęcia, dlaczego wyskakuje coś takiego, gdy szukacie telefonu Wayne'a.

- Zechce pani rzucić okiem na młotki?

Dom wciąż był pełen ludzi, choć teraz wyglądali nie tyle jak gliniarze, ile jak ekipa maniaków komputerowych z Best Buy. Trzech młodych mężczyzn rozłożyło laptopy na stoliku w salonie: tyczkowaty Azjata z plemiennymi tatuażami, chudy młodzieniec z rudą fryzurą afro i mniej więcej miliardem piegów i czarnoskóry mężczyzna w czarnym golfie, wyglądającym tak, jakby został ściśnięty z garderoby Steve'a Jobsa. Dom pachniał kawą. W kuchni stał dzbanek świeżo zaparzonego napoju. Hutter naląła kawę do kubka, dodała nieco śmietanki i łyżeczkę cukru, jak Vic lubiła.

- To też jest w moich aktach? - zapytała. - Jaką kawę lubię?

- Śmietanka była w lodówce. Czasami musi jej pani używać. A w cukiernicze tkwiła łyżeczka do kawy.

- To proste, mój drogi Watsonie - powiedziała Vic.

- W Halloween przebierałam się za Holmesa. Miałam fajkę, czapkę z daszkiem z tyłu i z przodu i całą resztę. A pani? Co pani wkładała na chodzenie po domach?

- Kaftan bezpieczeństwa. Przebierałam się za pacjentkę zbiegłą z zakładu dla obłąkanych. To było dobre ćwiczenie na resztę mojego życia.

Uśmiech Hatter pobladł i zgasł.

Usiadła przy stole z Vic i podała jej iPada. Wyjaśniła, jak obsługiwać galerię, żeby obejrzeć różnego rodzaju młotki.

- Dlaczego to niby takie ważne, czym mnie uderzył? - zapytała Vic.

- Nie będziemy tego wiedzieć, dopóki pani nie rozpozna narzędzia. Dlatego proszę spróbować obejrzeć wszystkie.

Vic przeskoczyła młoty kowalskie, młotki ze sklepów żelaznych, młotki do krokieta.

- Do licha, co to takiego? Baza danych poświęcona mordercom młotkarzom?

- Tak.

Vic spojrzała na nią. Twarz Hutter odzyskała swój zwykły beznamiętny wyraz.

Vic powróciła do przeglądania zdjęć. W pewnym momencie przerwała.

- Ten. Był taki.

Hutter spojrzała na ekran. Widniało na nim zdjęcie młotka z prostokątnym obuchem ze stali nierdzewnej, z trzonkiem długości trzydziestu centymetrów i ostrym hakiem zakrzywiającym się na końcu.

- Jest pani pewna?

- Tak. Z powodu tego haka. To ten. Do licha, co to za młotek?

Hutter przygryzła dolną wargę, odsunęła krzesło i wstała.

- Nie taki, który można kupić w sklepie żelaznym. Muszę zadzwonić.

Zawahała się, stojąc z ręką na oparciu krzesła Vic.

- Da pani radę dziś po południu wygłosić oświadczenie dla prasy? Mamy dobry czas na kanałach informacyjnych w kablówce. Takie wystąpienie ma wiele pozytywnych aspektów. Wszyscy znają historie o Wyszukiwarce, więc warto spróbować. Z przykrością dodam, że wiele stacji nazywa zaistniałą sytuację prawdziwą grą na śmierć i życie Wyszukiwarki. Osobisty apel o pomoc pomoże podtrzymać zainteresowanie. Czujność obywateli jest naszą najlepszą bronią.

- Czy media już doszły do tego, że Manx porwał również mnie, gdy byłam nastolatką?

Hutter zmarszczyła czoło jakby z zadumą.

- Hm. Nie, jeszcze do tego nie doszli. I nie sądzę, że powinna pani wspominać o tym w oświadczeniu. Ważne, żeby media skupiały się na informacjach, które mają znaczenie. Ludzie mają wypatrywać pani syna i samochodu, to jest najważniejsze. O tym mówimy. Wszystko inne w najlepszym wypadku jest nieistotne, a w najgorszym odwraca uwagę.

- Mojego syna, samochodu i Manxa - uzupełniła Vic. - Chcemy, żeby wszyscy wypatrywali Manxa.

- Tak, oczywiście. - Hutter zrobiła dwa kroki w stronę drzwi, odwróciła się i dodała: - Była pani wspaniała, Victorio. Bardzo silna w strasznej chwili. Zrobiła pani tak wiele, że nie mam sumienia prosić o więcej. Ale kiedy będzie pani gotowa, usiądziemy razem i opowie mi pani wszystko własnymi słowami. Muszę wiedzieć więcej o tym, co zrobił pani Manx. To może ogromnie zwiększyć nasze szanse na odnalezienie pani syna.

- Już pani mówiłam, co mi zrobił. Wczoraj opowiedziałam wszystko od początku do końca. Tłukł mnie młotkiem, ścigał do jeziora, odjechał z moim dzieckiem.

- Przepraszam, nie wyraziłam się jasno. Nie mówię o tym, co Manx zrobił pani wczoraj. Mówię o roku dziewięćdziesiątym szóstym. Mówię o czasie, kiedy panią porwał.



Vic czuła, że Hutter jest skrupulatna, cierpliwa i wrażliwa. W swój cierpliwy, wrażliwy, skrupulatny sposób dochodziła do wniosku, że Vic wprowadza ją w błąd co do Charliego Manxa. Ale skoro nie wierzyła, że Manx uprowadził Wayne'a, to co według niej się stało?

Vic miała świadomość zagrożenia, które niezupełnie umiała sprecyzować. Było tak, jakby jechała samochodem i nagle spostrzegła, że pod oponami jest czarny lód, i zrozumiała, że każdy nagły ruch może spowodować utratę panowania nad kierownicą.

„Nie wątpię, że z kimś pani walczyła – powiedziała Hutter. – Nie sądzę, by ktokolwiek w to wątpił”.

I: „Spędziła pani miesiąc w szpitalu psychiatrycznym w Kolorado, gdzie zdiagnozowano u pani ostry zespół stresu pourazowego i schizofrenię”.

Siedząc z kubkiem kawy przy stole we względnej ciszy i spokoju, Vic w końcu wszystko sobie poukładała. Kiedy to do niej dotarło, poczuła suchy chłód na karku i mrowienie na głowie, fizyczne objawy zdumienia i grozy; była świadoma, że odczuwa jedno i drugie w równym stopniu. Wypiła trochę ciepłej kawy, żeby przepędzić mdlące zimno i towarzyszące mu wrażenie niepokoju. Starła się zachować idealny spokój, przemyślując to wszystko.

Tak. Hutter uważa, że ona sama zabiła Wayne'a w ataku psychotycznego szału. Zabiła psa, później utopiła syna w jeziorze. Mieli tylko jej słowo, że ktoś do niej strzelał; nikt nie znalazł ani jednego pocisku, ani jednej łuski. Ołów zniknął w wodzie, mosiądz został w rewolwerze. Rozwalone ogrodzenie i ślady opon na podwórzu stanowiły jedyne elementy, których jeszcze nie zdołali rozpracować. Prędzej czy później na to też znajdą jakieś wytłumaczenie. Coś wymyślą i na siłę dopasują do pozostałych faktów.

Zaszufladkowali ją jako Susan Smith, kobietę z Karoliny Południowej, która utopiła swoje dzieci, a potem opowiadała horrendalne kłamstwa, że zostały porwane przez czarnego

mężczyznę, wskutek czego społeczeństwo na jakiś tydzień wpadło w gorączkową histerię rasistowską. Dlatego w wiadomościach nie wspomniano o Manxie. Policjanci nie wierzyli, że Manx jest sprawcą. Co więcej, nie wierzyli nawet w porwanie, ale na razie robili dobrą minę do złej gry, prawdopodobnie chcąc zabezpieczyć się pod względem prawnym.

Vic przełknęła resztę kawy, wstawiła kubek do zlewu i wyszła tylnymi drzwiami.

Poszła na podwórko za domem, przez chłodną od rosy trawę do powozowni. Zajrzała przez okno.

Lou spał na podłodze obok motocykla. Motor był rozłożony na części, boczne odsłony zostały zdjęte, łańcuch wisiał luźno. Głowa Lou leżała na złożonej plandecie, służącej za prowizoryczną poduszkę. Ręce miał ubrudzone smarem. Na policzku, gdzie dotknął się we śnie, widniały czarne odciski palców.

- Pracował przez całą noc - powiedział ktoś za jej plecami.

Daltry wyszedł za nią na trawnik. Rozciągnął usta w uśmiechu, pokazując złoty ząb. W ręce trzymał papierosa.

- Już to widziałem, wiele razy. Tak ludzie reagują, gdy czują się bezradni. Nie dałaby pani wiary, ile kobiet robi na drutach, gdy czekają pod salą operacyjną, gdzie lekarze ratują życie ich dziecka. Kiedy człowiek czuje się bezradny, robi to, na czym się zna, żeby wyłączyć myślenie.

- Tak - mruknęła Vic. - To prawda. Lou jest mechanikiem. Tym się zajmuje zamiast robienia na drutach. Poczęstuje mnie pan papierosem?

Pomyślała, że może palenie ją uspokoi, ukoji jej nerwy.

- Nie widziałem w domu popielniczek - zauważył. Wyłuskał z kieszeni paczkę marlboro, wytrząsnął papierosa.

- Rzuciłam dla syna - wyjaśniła.

Skinął głową, nie skomentował. Podsunął zapalniczkę, wielką mosiężną zippo z przyklejoną na boku jakąś postacią z kreskówki. Pstryknął, zapalniczka zgrzytnęła i strzeliła iskrami.

- Kończy się paliwo - powiedział.

Wzięła ją od niego, pstryknęła i nad zaworem zakołysał się żółty płomyczek. Zapaliła papierosa, zamknęła oczy i zaciągnęła się dymem. Było to jak zanurzenie się w ciepłej kąpeli. Uniosła powieki, wzdychając, i przyjrzała się rysunkowej postaci na zapalniczce. Popeye zamierzał się pięścią. ŁUBUDU! - głosił napis na kłębach żółtego dymu po wybuchu.

- Wie pani, co mnie zaskakuje? - zapytał, gdy się zaciągała, napełniając płuca słodkim dymem. - Że nikt nie widział wielkiego starego rolls-royce'a. Zastanawiam się, jak taki samochód może nie zwrócić uwagi. Czy pani nie dziwi, że nikt go nie widział?

Patrzył na nią jasnymi, niemal szczęśliwymi oczami.

- Nie - odparła i taka była prawda.

- Nie - powtórzył. - Pani nie jest zdziwiona. A dlaczego?

- Ponieważ Manx jest dobry w ukrywaniu się.

Daltry odwrócił głowę i spojrzał na wodę.

- To dopiero. Dwóch mężczyzn w samochodzie marki Rolls-Royce Wraith z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Sprawdziłem w bazie danych. Wie pani, że na całym świecie zostało mniej niż czterysta takich modeli? Mniej niż sto w całym kraju. To cholernie rzadko spotykany samochód. I pani jest jedyną osobą, która go widziała. Pewnie czuje się pani jak wariatka.

- Nie jestem wariatką - oznajmiła Vic. - Jestem przerażona. To różnica.

- Przypuszczam, że pani dobrze ją zna - powiedział Daltry. Rzucił papierosa w trawę i zmiażdżył go podeszwą.

Zniknął w domu, zanim Vic spostrzegła, że wciąż trzyma jego zapalniczkę.

Dom Snu

W ogródku Binga jaskrawe wiatraczki obracały się w

porannym słońcu.

Dom z białym wykończeniem i kiwającymi się liliami przypominał różowe ciastko. Było to miejsce, do którego życzliwa starsza pani zaprosiłaby dziecko na pierniczki, zamknęła je w klatce, tuczyła przez tygodnie, a na koniec zapakowała do piekarnika. Był to Dom Snu. Wayne zrobił się senny na sam widok wirujących foliowych kwiatów.

Na wzgórzu niedaleko domu Binga Partridge'a kiedyś stał kościół, który spłonął prawie do gołej ziemi. Została tylko fasada z wysoką szpiczastą wieżyczką, wysokimi białymi drzwiami i okopconymi witrażami w oknach. Tylna część kościoła zawałowała się i utworzyła rumowisko zwęglonych krokwi i poczerniałego betonu. Z przodu stała tablica z ruchomymi literami, żeby pastor mógł informować wiernych o porządku mszy. Ktoś jednak poprzestawiał litery i ułożył komunikat, który prawdopodobnie niezupełnie reprezentował poglądy parafian. Brzmiał następująco:

**NEW AMERICAN
FAITH TABERNACLE
BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM
ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ**

W potężnych starych dębach okalających parking wokół osmalonych ruin kościoła szumiał wiatr. Wayne czuł swąd spaleniźny, choć okna były zamknięte.

NOS4A2 skręcił i zwolnił, jadąc podjazdem w kierunku wolno stojącego garażu. Bing się poruszył, sięgnął do kieszeni i wyjął pilota. Drzwi się uniosły, samochód wjechał.

Garaż był wydrążonym blokiem cementu, chłodnym i cienistym, przesiąkniętym wonią ropy i żelaza. Metaliczny zapach płynął z butli. Było ich sześć - zielone, wysokie, pokryte cętkami rdzy butle z czerwonymi napisami: ŁATWOPALNE, ZAWARTOŚĆ POD CIŚNIENIEM i SEWOFLURAN. Stały w szeregu jak żołnierze jakiejś kosmicznej armii robotów czekający na inspekcję. Wąskie schody za nimi prowadziły na strych.

- O rany, czas na śniadanie - powiedział Bing. Popatrzył na Charliego Manxa. - Przyrządzą panu takie śniadanie, jakiego pan jeszcze nie jadł. Daję słowo, jak babcię kocham. Najlepsze. Niech pan tylko powie, co sobie życzy.

- Chcę spędzić trochę czasu w samotności, Bingu - odparł Manx. - Chcę mieć trochę czasu, żeby dać odpocząć głowie. Nie jestem szczególnie głodny, prawdopodobnie dlatego, że się nasyciłem twoją paplaniną. To mnóstwo pustych kalorii.

Bing się skulił. Jego ręce podpełzły do uszu.

- Nie zasłaniaj uszu i nie udawaj, że mnie nie słyszysz. Byłeś kompletnie beznadziejny.

Bing skrzywił twarz. Zaciśnął oczy. Zaczął okropnie płakać.

- Mogłem po prostu się zastrzelić! - krzyknął.

- Och, dość tych głupot - mruknął Manx. - Tak czy siak, najpewniej byś chybił i wpakował kulkę we mnie.

Wayne się roześmiał.

Zaskoczył wszystkich, łącznie z samym sobą. Śmiech zabrzmiał jak kichnięcie, całkowicie mimowolna reakcja. Manx i Bing się obejrzeli. Bing płakał rzewnymi łzami, żalność wykrzywiła jego tłąstą, brzydką twarz. Manx natomiast obserwował Wayne'a ze swego rodzaju zdziwionym rozbawieniem.

- Zamknij się! - wrzasnął Bing. - Nie śmieć się ze mnie! Potnę ci gębę! Wezmę nożyczki i potnę cię na kawałki!

Manx podniósł srebrny młotek i uderzył nim Binga w pierś, rzucając go na drzwi.

- Cicho - polecił. - Każde dziecko będzie się śmiało z wygłupów klauna. To najzupełniej normalne.

Wayne przez chwilę myślał, jak byłoby zabawnie, gdyby Manx trzasnął Binga w twarz i rozkwasił mu nos. W jego wyobraźni nos Binga pękał niczym balon napełniony czerwonym napojem, co wyglądało tak śmiesznie, że o mało znowu się nie roześmiał.

Jakaś cząstka jego umysłu, bardzo daleka i cicha cząstka, zastanawiała się, co w tym śmiesznego. Może wciąż był otumaniony od gazu, którym potraktował go Bing Partridge. Przespał całą noc, ale wcale nie czuł się wypoczęty. Czuł się

chory, wyczerpany i rozgrzany. Rozgrzany przede wszystkim: gotował się we własnej skórze, marzył o chłodnym prysznicu, o skoku do chłodnego jeziora, o garści zimnego śniegu w ustach.

Manx jeszcze raz spojrział na niego i mrugnął. Wayne się wzdrygnął, jego żołądek powoli fiknął kozła.

Ten człowiek jest trucizną, pomyślał, a potem powiedział to sobie jeszcze raz, tyle że na odwrót. Trucizną jest człowiek ten. Ułożywszy to osobliwe, sztywne zdanie, poczuł się dziwnie lepiej, choć nie mógłby dokładnie powiedzieć dlaczego.

- Jeśli koniecznie chcesz coś upichcić, możesz usmażyć plaster bekonu dla rosnącego młodego człowieka. Jestem pewien, że mu zasmakuje.

Bing płakał ze spuszczoną głową.

- Śmiało - mówił Manx. - Idź i mazgaj się w kuchni, gdzie nie będę musiał tego słuchać. Niebawem się tobą zajmę.

Bing wysiadł, zamknął drzwi i ruszył w kierunku podjazdu. Gdy mijał tylne okna, obrzucił Wayne'a nienawistnym spojrzeniem. Wayne nigdy nie widział, żeby ktoś patrzył na niego w ten sposób, jakby pragnął go zabić, udusić. Mało brakowało, a znów wybuchnąłby śmiechem.

Powoli, niepewnie wypuścił powietrze. Nie chciał myśleć o tym, co mu chodziło po głowie. Było tak, jakby ktoś odkręcił słoik pełen czarnych ciem, które teraz kotłowały się wewnątrz jego czaszki, wir pomysłów: zabawnych pomysłów. Zabawnych jak złamany nos albo człowiek strzelający sobie w głowę.

- Wolę jeździć w nocy - powiedział Charlie Manx. - W głębi serca jestem nocnym markiem. Wszystko, co jest dobre za dnia, w nocy jest jeszcze lepsze. Karuzela, diabelski młyn, pocałunek dziewczyny. Wszystko. Poza tym, kiedy skończyłem osiemdziesiąt pięć lat, słońce zaczęło dokuczać moim oczom. Chcesz iść psipsi?

- To znaczy... wysikać się?

- Albo zrobić tort czekoladowy?

Wayne znów się roześmiał - ostre, głośne szczeknięcie -

potem plasnął ręką w usta, jakby chciał połknąć dźwięk.

Manx patrzył na niego jasnymi, zafascynowanymi, nieruchomymi oczami. Wayne nie sądził, żeby widział choć jedno mrugnięcie przez cały ten czas, odkąd byli razem.

- Co pan ze mną zrobi? - zapytał.

- Zabiorę cię od wszystkiego, co kiedykolwiek sprawiło, że byłeś nieszczęśliwy - odparł Manx. - I kiedy dotrzemy do celu podróży, zostawisz za sobą swoje smutki. Chodź. W garażu jest łazienka.

Wysiadł zza kierownicy. W tej samej chwili drzwi po prawej stronie Wayne'a się otworzyły, blokada wyskoczyła z tak głośnym pyknięciem, że aż się wzdrygnął.

Wayne zamierzał uciec, gdy tylko poczuje ziemię pod stopami, ale powietrze było zbyt wilgotne, gorące i ciężkie. Spadło na niego, a może to on w nim utknął jak mucha na lepie. Zrobił tylko jeden krok, a potem ręka Manxa spoczęła na jego karku. Zacisnęła się, nie boleśnie czy szorstko, ale mocno. Bez wysiłku obróciła go od otwartych drzwi garażu.

Spojrzenie Wayne'a przyciągnął rząd poobijanych zielonych butli. Patrzył na nie ze ściągniętymi brwiami. SEWOFLURAN.

Manx prześledził kierunek jego spojrzenia i kącik jego ust uniósł się w porozumiewawczym uśmiechu.

- Pan Partridge pracuje w ochronie zakładów chemicznych pięć kilometrów stąd. Sewofluran jest narkotykiem i środkiem usypiającym stosowanym przez stomatologów. Za moich czasów dentysta znieczulał pacjentów, nawet dzieci, za pomocą brandy, ale sewofluran uważany jest za środek znacznie bardziej humanitarny i skuteczny. Czasami butle są spisywane ze stanu jako niesprawne i Bing je zabiera. Czasami nie są takie niesprawne, na jakie wyglądają.

Manx poprowadził Wayne'a ku schodom, które wiodły na poddasze garażu. Pod schodami znajdowały się uchylone drzwi.

- Czy możesz nadstawić ucha, Wayne? - zapytał Manx.

Wayne sobie wyobraził, że Manx chwyta go za lewe ucho i skręca, aż on z wrzaskiem pada na kolana. Jakaś straszna,

przyczajona cząstka jego umysłu również to uznała za śmieszne; jednocześnie skóra na karku pod ręką Manxa zrobiła się dziwna, pokryta gęsią skórką.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Manx podjął:

- Zastanawia mnie parę rzeczy. Mam nadzieję, że wyjaśnisz mi pewną tajemnicę.

Drugą ręką sięgnął w zanadrze fraka i wyjął złożoną kartkę, brudną i poplamioną. Rozwinął ją przed jego twarzą.

ZAGINAŁ INŻYNIER BOEINGA

- Do domu twojej matki przyszła kobieta o absurdalnie kolorowych włosach. Z pewnością ją pamiętasz. Miała teczkę pełną artykułów dotyczących mojej osoby. Twoja matka i ta pani urządziły niezłą scenę przed domem. Bing mi o tym opowiedział. Będiesz zaskoczony, gdy wyjaśnię, że obserwował zajście z domu po drugiej stronie ulicy.

Wayne zmarszczył czoło, zastanawiając się, jak Bing mógł to obserwować z drugiej strony ulicy. Przecież tam mieszkają de Zoetowie. Odpowiedź sama się nasunęła. Nie była ani trochę zabawna.

Doszli do drzwi pod schodami. Manx pociągnął za gałkę i otworzył je na całą szerokość, ukazując małą łazienkę pod skośnym dachem.

Pociągnął za łańcuszek zwisający z gołej żarówki, ale nic się nie zmieniło. Pomieszczenie pozostało ciemne.

- Bing pozwala, żeby to miejsce zeszło na psy. Zostawię otwarte drzwi, żebyś miał trochę światła.

Wepchnął Wayne'a do mrocznej łazienki. Drzwi były uchylone na jakieś piętnaście centymetrów, ale stary się odsunął, żeby zapewnić mu trochę prywatności.

- Jak twoja matka poznała tę panią i dlaczego o mnie rozmawiała?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

- Ale przeczytałeś artykuły, które przyniosła. Artykuły o mnie, w większości. Chciałbym ci zakomunikować, że doniesienia dotyczące mojej osoby pełne są skandalicznych

oszczerstw. Nigdy nie zabiłem ani jednego dziecka. Ani jednego. Nie jestem też pedofilem. Ognie piekielne nie są dość gorące dla takich ludzi. Ta pani chyba uważała, że wcale nie umarłem. Nadzwyczajny pomysł, zważywszy, że gazety rozpisywały się nie tylko o moim zgonie, ale również o autopsji. Jak sądzisz, dlaczego tak bardzo wierzyła, że żyję?

- Tego też nie wiem. - Wayne stał, trzymając ptaszka, nie mogąc się wysikać. - Mama powiedziała, że to wariatka.

- Nie bujasz, Wayne?

- Nie, proszę pana.

- Co mówiła o mnie ta kobieta o dziwnych włosach?

- Mama posłała mnie do domu. Nie słyszałem.

- Bujasz, Brusie Wayne Carmody. - Ale ton jego głosu nie sugerował, że jest zły z tego powodu. - Masz kłopoty ze swoim smyczkiem?

- Z czym?

- Ze swoim pisiorkiem. Ze swoim siusiakiem?

- Aha. Może trochę.

- To dlatego, że rozmawiamy. Niełatwo sikać, gdy ktoś słucha. Odsunę się o trzy kroki.

Wayne usłyszał zgrzyt obcasów na betonie. Jego pęcherz prawie natychmiast puścił i mocz popłynął strumieniem.

Sikając, wydał długie westchnienie ulgi i zadarł głowę.

Nad sedesem wisiał plakat. Przedstawiał nagą kobietę na kolanach, z rękami związanymi za plecami. Na głowie miała maskę przeciwgazową. Nad nią stał mężczyzna w mundurze nazistowskim, trzymający smycz przypiętą do obroży na jej szyi.

Wayne zamknął oczy, wetknął smyczek - nie, penis, „smyczek” to groteskowe słowo - w spodenki i się odwrócił. Umył ręce nad umywalką z przylepionym karaluchem. Gdy to robił, z ulgą stwierdził, że nie znalazł niczego zabawnego w tym wstrętnym plakacie.

To samochód. To pobyt w samochodzie sprawia, że wszystko wydaje się zabawne, nawet kiedy jest straszne.

Gdy tylko ta myśl wpadła mu do głowy, zrozumiał, że taka jest prawda.

Wyszedł z łazienki i Manx tam był, trzymając otwarte tylne drzwi Upiora. W drugiej ręce miał srebrny młotek. Uśmiechnął się szeroko, pokazując poplamione zęby. Wayne pomyślał, że może zdąży uciec na podjazd, zanim stary roztrzaska mu głowę.

- Coś ci powiem - odezwał się Manx. - Naprawdę chciałbym wiedzieć coś więcej o znajomej twojej matki. Jestem pewien, że jeśli się skoncentrujesz, przypomnisz sobie jakieś zapomniane szczegóły. Może wsiądziesz do samochodu i poświęcisz temu chwilę? Przyniosę ci śniadanie. Zanim wrócę, może coś ci przyjdzie do głowy. Co ty na to?

Wayne wzruszył ramionami, ale jego serce rosło na myśl, że będzie sam w samochodzie. Telefon. Potrzebuje tylko minuty, żeby zadzwonić do taty i wszystko mu powiedzieć: Sugarcreek, Pensylwania; różowy dom u stóp wzgórza ze spalonym kościołem. Gliny się zjawią, zanim Manx wróci z jajami na boczk. Wsiadł do samochodu chętnie, bez wahania.

Manx zatrzaskał drzwi i zapukał w szybę.

- Wrócę za moment! Nie uciekaj! - Roześmiał się, gdy blokada opadła.

Wayne ukląkł na siedzeniu, żeby przez tylne okno patrzeć, jak Manx odchodzi. Odczekawszy, aż stary zniknie za domem, odwrócił się, osunął na podłogę, chwycił uchwyt pod siedzeniem kierowcy i otworzył szufladę z orzecha, żeby wyjąć telefon.

Komórka zniknęła.

Garaż Binga

Gdzieś czekał pies, warczała kosiarka do trawy i świat się toczył, ale tutaj, w rolls-roysie, świat stanął w miejscu, ponieważ telefon zniknął.

Wayne wyciągnął szufladę i wsunął do niej rękę,

obmacując beżowe wnętrze, jakby telefon mógł się schować gdzieś pod podszewką. Wiedział, że się nie pomylił, że włożył go do tej szuflady, ale gdy ją zamknął, na wszelki wypadek zajrzał do drugiej, pod fotelem pasażera. Była tak samo pusta.

- Gdzie jesteś? - krzyknął, choć już znał odpowiedź. Podczas gdy mył ręce, Manx wsiadł do samochodu i zabrał telefon. Pewnie w tej chwili miał go w kieszeni swojego fraka. Wayne'owi zbierało się na płacz. W głębi serca wzniosł kruchą katedrę nadziei, a Manx ją rozdeptał i podłożył ogień. **BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM, ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ.**

To było głupie - bezsensowne - ale Wayne wrócił do pierwszej szuflady i znowu ją otworzył, żeby jeszcze raz do niej zajrzeć.

W szufladzie leżały ozdoby choinkowe.

Przed chwilą ich nie było. Przed chwilą szuflada była absolutnie pusta. Teraz zawierała emaliowanego aniołka ze spuszczonej oczami, duży srebrny płatek śniegu oprószony brokatem i śpiący błękitny księżyc w czapce Świętego Mikołaja.

- Co to jest? - wymamrotał Wayne, prawie nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

Podnosił je po kolei.

Anioł wisiał na złotej pętelce, obracając się powoli, trąbiąc w róg.

Śnieżynka wyglądała zabójczo, jak broń, jak gwiazdka ninja.

Księżyc uśmiechał się do swoich prywatnych myśli.

Wayne włożył ozdoby do szuflady i zasunął ją delikatnie.

Potem znów otworzył.

Pusta.

Sapnął ze złości i frustracji. Zatrzasnął szufladę, szepcząc wściekle:

- Chcę odzyskać mój telefon.

Coś trzasnęło na przednim siedzeniu. Wayne poderwał głowę i zobaczył, że otwiera się schowek.

Jego komórka leżała na pliku map drogowych.

Stanął na tylnym siedzeniu. Musiał się zgarbić, przyciskając tył głowy do sufitu, ale dał radę. Czuł się tak, jakby właśnie zobaczył magiczną sztuczkę – magik przesunął dłoń nad bukietem kwiatów i przemienił je w iPhone'a. Z jego zaskoczeniem – nawet zdumieniem – mieszało się nieprzyjemne mrowienie wielkiego niepokoju.

Upiór się z nim droczy.

Upiór albo Manx. Przyszło mu do głowy, że stanowią jedność, że jeden stanowi przedłużenie drugiego. Pomyślał, że Upiór jest nieodłączną częścią Manxa, jak ręce i nogi.

Wayne wlepił oczy w komórkę, już wiedząc, że musi spróbować ją zabrać ze schowka – już wiedząc, że samochód znajdzie sposób, żeby mu to uniemożliwić.

Ale mniejsza o telefon; drzwi po stronie kierowcy nie są zamknięte, nic mu nie przeszkodzi wydostać się z samochodu i uciec co sił w nogach. Nic z wyjątkiem tego, że gdy ostatnio próbował przedostać się na przedni fotel, za każdym razem jakoś lądował z tyłu.

Chociaż wtedy był oszołomiony. Człowiek w Masce Przeciwigazowej rozpylił piernikowy dym i to go otumaniło. Z ledwością podniósł się z podłogi. Nic dziwnego, że spadał na siedzenie. Prawdziwy cud, że tak długo zdołał zachować przytomność.

Wayne uniósł prawą rękę, przygotowany sięgnąć nad oparciem fotela, i w tej samej chwili zauważył, że wciąż trzyma ozdobę choinkową w kształcie księżyca. Co więcej, pocierał kciukiem gładką, sierpowatą krzywizną przez całą minutę: bezmyślny ruch, który uznał za dziwnie kojący. Zamrugął, przez chwilę zdezorientowany – mógłby przysiąc, że odłożył wszystkie ozdoby do szuflady.

Teraz zauważył, że ten księżyc z pulchnymi policzkami, dużym nosem i długimi rzęsami nieco przypomina jego ojca. Schował go do kieszeni, potem znowu podniósł rękę i sięgnął w stronę schowka.

Jego palce, gdy tylko znalazły się nad oparciem fotela, nagle zmalowały. Przemieniły się w cieliste guzki, jakby zostały ucięte przy pierwszym stawie. Kiedy zobaczył, co się dzieje,

jego ramiona podskoczyły w nerwowym odruchu, ale nie cofnął ręki. To było groteskowe, ale również fascynujące.

Czuł końce palców. Mógł je potrzebować, czuł, jak opuszek kciuka gładzi palec wskazujący. Po prostu ich nie widział.

Sięgnął dalej nad fotelem, wsunął całą rękę za niewidzialną barierę. Jego ramię skurczyło się do gładkiego różowego kikuta, jakby poddano je bezbolesnej amputacji. Otworzył i zamknął dłoń, której nie widział. Była tam; czuł swoją rękę. Tylko nie był pewien, gdzie jest to „tam”.

Sięgnął trochę dalej mniej więcej w kierunku schowka i swojego telefonu.

Coś trąciło go w plecy. W tej samej chwili palce niewidzialnej ręki uderzyły w coś twardego.

Wayne odwrócił głowę.

Ręka - jego ręka - wysuwała się z kanapy. Nie przedzierała się przez oparcie, ale jakby z niego wyrastała. Dłoń i przedramię wyglądały naturalnie, lecz bliżej oparcia ciało ciemniało, stawało się bardziej szorstkie i płynnie przechodziło w podniszczone obicie, naciągając beżową skórę.

W takiej sytuacji wrzask byłby naturalną reakcją, ale Wayne wyczerpał zasoby krzyku. Zacisnął pięść. Dłoń wyrastająca z siedzenia zacisnęła palce. Kontrolowanie oderwanej od ciała ręki, która stanowiła przedłużenie oparcia kanapy, sprawiło, że jego żołądek zwariował.

- Powinieneś spróbować sam ze sobą walki kciuków - powiedział Manx.

Wayne podskoczył i gwałtownie cofnął rękę. Kończyna wystająca z oparcia skurczyła się, została wchłonięta w skórę obicia i w następnej chwili znów znalazła się tam, gdzie trzeba, przy jego barku. Wayne przycisnął rękę do piersi. Pod nią biło szybko jego serce.

Manx się pochylał, zaglądając przez tylne boczne okno. Uśmiechał się, pokazując zakrzywione, wystające górne zęby.

- Z tyłu tego starego samochodu musi być mnóstwo zabawy! Nie znajdziesz więcej zabawy na czterech kółkach!

W ręce trzymał talerz z jajecznicą na boczku i tostem. W drugiej miał szklanę soku pomarańczowego.

- Z radością się dowiesz, że w tym posiłku nie ma absolutnie niczego zdrowego. Samo masło, sól i cholesterol! Nawet sok pomarańczowy jest dla ciebie szkodliwy. W rzeczywistości jest to coś, co nosi nazwę „napój pomarańczowy”. Ale powiem ci, że sam nigdy w życiu nie brałem witamin i doczekałem podeszłego wieku. Szczęście zrobi dla ciebie więcej niż wszelkie cudowne leki, które mogą wymyślić aptekarze!

Wayne usiadł na kanapie. Manx otworzył drzwi, podał mu talerz i sok. Wayne spostrzegł, że nie ma widelca. Stary może zachowywał się tak, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi, jednak nie miał zamiaru dawać swojemu pasażerowi żadnej ostrej broni... proste, idealnie jasne przypomnienie, że nie jest kumplem, tylko więźniem. Wayne wziął talerz, a potem Manx usiadł obok niego.

Manx powiedział, że piekło nie jest za gorące dla ludzi, którzy zabawiają się z dziećmi, ale Wayne się przygotował, spodziewał się, że Manx zacznie go dotykać. Sięgnie między jego nogi, zapyta go, czy bawił się kiedyś swoim smyczkiem.

Wayne postanowił, że kiedy Manx wykona swój ruch, będzie się bronić, choć wiedział, że przegra, że padnie ofiarą molestowania. Rzuci w faceta śniadaniem. Będzie gryzł.

To nie będzie miało znaczenia. Jeśli Manx zechce ściągnąć mu spodnie i zrobić - coś mu zrobić - to zrobi. Jest większy. Proste. Wayne postanowił, że dołoży wszelkich starań, żeby jakoś to przeżyć. Będzie udawać, że jego ciało należy do kogoś innego, będzie myślał o lawinie, którą kiedyś widział ze swoim tatą. Wyobraził sobie, że jest pogrzebany pod śniegiem i spoczywa tam z cichą ulgą. Pewnego dnia zostanie gdzieś pogrzebany (raczej prędzej niż później, pomyślał) i to, co zrobił mu Manx, nie będzie miało znaczenia. Miał tylko nadzieję, że jego mama nigdy się nie dowie. Już jest nieszczęśliwa. Tak bardzo się starała, żeby nie wariować i nie pić. Nie cierpiał myśli, że stanie się dla niej kolejnym źródłem bólu.

Ale Manx go nie dotknął. Westchnął i rozprostował nogi.

- Widzę, że już znalazłeś ozdobę, żeby ją powiesić na choince, kiedy dotrzemy do Gwiazdkowej Krainy - powiedział. - Na znak twojego przejścia do tamtego świata.

Wayne spuścił oczy na swoją prawą rękę i z zaskoczeniem zobaczył, że znów trzyma ten śpiący księżyc i pociera kciukiem jego krzywiznę. Nie pamiętał, kiedy go wyjął z kieszeni.

- Moje córki przyniosły małe aniołki, żeby zaznaczyć kres swojej podróży - mówił Manx z roztargnieniem, zadumany głosem. - Dbaj o niego, Wayne. Strzeż go tak, jakby to było twoje własne życie!

Poklepał go po plecach i skinął głową, wskazując przód samochodu. Wayne spojrział w tamtą stronę... i ujrzał otwarty schowek. A w nim swój telefon.

- Naprawdę myślałeś, że zdołasz coś ukryć przede mną? - zapytał Manx. - Tutaj, w tym samochodzie?

Nie brzmiało to jak pytanie, które wymaga odpowiedzi.

Manx skrzyżował ręce na piersi, niemal jakby sam obdarzał się uściskiem. Uśmiechał się do siebie. Ani trochę nie wyglądał na rozgniewanego.

- Ukrywanie czegokolwiek w tym samochodzie jest niemądre. Równie dobrze mógłbyś coś włożyć do kieszeni mojego płaszcza. Po prostu nie umknie mojej uwadze. Co nie znaczy, że mam do ciebie pretensje o podjęcie próby! Każdy chłopak by spróbował. Powinieneś zjeść te jaja. Ostygną.

Wayne walczył z płaczem. Rzucił księżyc na podłogę.

- Dobrze już, dobrze! Nie smuć się! Nie mogę znieść, gdy dziecko jest nieszczęśliwe! Poczujesz się lepiej, jeśli porozmawiasz ze swoją matką?

Wayne zamrugał. Jedna łza rozbryznięła się na tłustym kawałku boczku. Myśl o usłyszeniu głosu mamy spowodowała małą eksplozję w jego ciele, pulsowanie pragnienia.

Skinął głową.

- Czy wiesz, co mnie poprawi samopoczucie? Opowieść o tej kobiecie, która przyniosła artykuły twojej matce. Jeśli ty

wyświadczysz mi przysługę, ja ją odwzajemnię.

- Nie wierzę panu - szepnął Wayne. - Nie zadzwoni pan do niej. Bez względu na to, co zrobię.

Manx spojrział na przednie siedzenie.

Schówek zamknął się z głośnym trzaskiem. Nastąpiło to tak niespodziewanie, że Wayne o mało nie upuścił talerza z jajecznicą.

Szuflada pod fotelem kierowcy wysunęła się zupełnie sama, niemal bezszelestnie.

Leżał w niej telefon.

Wayne wbił w niego oczy, oddychając płytko, z wysiłkiem.

- Jeszcze nie usłyszałeś ode mnie ani jednego kłamstwa - powiedział Manx. - Ale rozumiem, że nie chcesz mi zaufać. Posłuchaj: nie dam ci telefonu, jeśli mi nie powiesz o pani, która odwiedziła twoją mamę. Położę komórkę na podłodze garażu i ją rozjadę. To będzie zabawne! Szczerze mówiąc, uważam, że telefony komórkowe zostały wymyślone przez diabła. A teraz pomyśl: jeśli mi powiesz, co chcę wiedzieć, nauczysz się czegoś ważnego. Jeśli ci nie pozwolę zadzwonić do matki, nauczysz się, że jestem wielkim kłamcą, i już nigdy mi nie zaufasz. Ale jeśli pozwolę, wtedy będziesz wiedział, że dotrzymuję słowa.

- Ale ja o Maggie Leigh nie wiem niczego, czego by pan nie wiedział.

- Ha, właśnie mi podałeś jej nazwisko. A widzisz! Już się rozpoczął proces uczenia.

Wayne się skulił, czując, że właśnie dopuścił się niewybaczalnej zdrady.

- Panna Leigh powiedziała coś, co wystraszyło twoją mamę - podjął Manx. - Co takiego? Powiedz mi, a zaraz potem pozwolę ci zadzwonić!

Wayne otworzył usta, niepewny, co zamierza powiedzieć, ale Manx go powstrzymał. Złapał go za ramię i delikatnie je ścisnął.

- Nie zmyślaj, Wayne! Umowa zostanie zerwana, jeśli od samego początku nie będziesz ze mną szczery! Choć trochę przekreśl prawdę, a pożałujesz!

Manx skubnął kawałek bekonu z talerza. Lśniła na nim łąza Wayne'a, jasna, oleista perła. Manx ugryzł połowę i zaczął żuć, łązę i całą resztę.

- I jak? - zapytał.

- Powiedziała, że ruszył pan w drogę - odparł Wayne. - Że uciekł pan z więzienia i że mama musi się strzec. I chyba to ją wystraszyło.

Manx ściągnął brwi, powoli żując boczek, przesadnie poruszając szczęką.

- Nic więcej nie słyszałem. Naprawdę.

- Jak twoja matka i ta kobieta się poznały?

Wayne wzruszył ramionami.

- Maggie Leigh powiedziała, że poznała moją mamę, gdy była mała, ale mama twierdziła, że nigdy wcześniej się nie spotkały.

- Jak sądzisz, która z nich mówi prawdę?

Pytanie zaskoczyło Wayne'a.

- Moja... mama - odparł powoli.

Manx przełknął kęs i uśmiechnął się promiennie.

- Widzisz. To było łatwe. Tak. Jestem pewien, że twoja matka się ucieszy, gdy cię usłyszy. - Zaczął się pochylać, żeby sięgnąć po telefon, i z powrotem opadł na siedzenie. - Aha! Jeszcze jedno. Czy ta Maggie Leigh mówiła coś o moście?

Wayne miał wrażenie, że całe jego ciało reaguje na to pytanie, przenikało go pulsujące mrowienie. Pomyślał: Nie mów mu tego.

- Nie - odparł, zanim się zastanowił. Głos miał gruby i zdławiony, jakby kłamstwo było kawałkiem tost, który na chwilę utknął mu w gardle.

Manx obdarzył go przebiegłym, sennym uśmiechem. Jego powieki do połowy przysłoniły oczy. Ruszył się, wysunął nogę za drzwi, gotów wysiąść. W tej samej chwili szuflada z telefonem zatrzęsła się hałaśliwie.

- To znaczy tak! - krzyknął Wayne, chwytając go za ramię. Nagły ruch sprawił, że talerz się przechylił, jajecznic, i grzanka spadły na podłogę. - Tak, w porządku! Powiedziała,

że musi pana znaleźć! Zapytała mamę, czy wciąż może korzystać z mostu, żeby pana odszukać!

Manx zamarł na wpeł wysunięty z samochodu. Spojrzał na jego rękę z tym samym sennym rozbawieniem.

- Sądziłem, że uzgodniliśmy, iż od początku będziesz mówić prawdę.

- Mówiłem! Tylko na chwilę się zapomniałem! Proszę!

- Zapomniałeś się, w porządku. Zapomniałeś mówić mi prawdę!

- Przepraszam!

Manx wcale nie wydawał się zdenerwowany.

- No tak. To było jednorazowe potknięcie. Może pozwolę ci zadzwonić. Ale najpierw zadam ci jeszcze jedno pytanie i chcę, żebyś dobrze się zastanowił przed udzieleniem odpowiedzi. A kiedy odpowiesz, masz mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak ci dopomóż Bóg. Czy Maggie Leigh powiedziała coś o tym, jak twoja matka ma dotrzeć do tego mostu? Czy mówiła o dwóch kółkach?

- Nie... nie mówiła. Nie, przysięgam! - krzyknął, ponieważ Manx zaczął się wyrywać. - Nie sądzę, żeby wiedziała o triumfie.

Manx się zawahał.

- O triumfie?

- O motocyklu mamy. Pamięta pan. Tym, który pchała drogą. Naprawiała go od tygodni. Zajmuje się nim przez cały czas, nawet wtedy, kiedy powinna spać. Czy o to panu chodziło?

Oczy Manxa stały się chłodne, dalekie. Jego mina złagodniała. Przygryzł dolną wargę drobnymi zębami. Z takim wyrazem twarzy wyglądał jak osoba chora na umyśle.

- Ha! Twoja matka próbuje zbudować nowy pojazd. Jeśli tego dokona, będzie mogła powtórzyć swoją sztuczkę. Będzie mogła mnie znaleźć. Wiesz, gdy zobaczyłem, jak pcha ten motocykl, zacząłem się zastanawiać, czy wróci do swoich starych przyzwyczajzeń. I czy wie o tych, którzy podróżują innymi drogami. No tak. Mam więcej pytań, ale będzie lepiej, gdy skieruję je bezpośrednio do panny Leigh. - Manx wsunął

rękę do kieszeni fraka, wyjął skopiowany artykuł o Nathanie Demeterze i obrócił kartkę, żeby Wayne mógł na nią spojrzeć. Postukał w nagłówek starej papeterii:

BIBLIOTEKA PUBLICZNA W HERE
HERE, IOWA

- Trzeba jej szukać w Here! - powiedział. - To dobra wiadomość.

Wayne oddychał szybko, jakby właśnie skończył bieg długodystansowy.

- Chcę zadzwonić do mamy.

- Nie - odparł Manx i uwolnił ramię. - Mieliśmy umowę. Prawda, cała prawda i tylko prawda. Uszy wciąż mnie pieką od twoich łgarstw, które próbowałeś w nie wcisnąć.

- Nie! - wrzasnął Wayne. - Powiedziałem panu wszystko, co chciał pan wiedzieć! Pan obiecał! Mówił, że mam jeszcze jedną szansę.

- Powiedziałem, że może pozwolę ci zatelefonować, jeśli powiesz mi prawdę o pojeździe twojej matki. Ale ty nic nie wiedziałeś, a poza tym nie mówiłem, że pozwolę ci zadzwonić dzisiaj. Sądzę, że będziemy musieli poczekać do jutra. Sądzę, że jeśli będziesz musiał poczekać do jutra, dostaniesz bardzo cenną lekcję: Nikt nie lubi kłamczuchów, Wayne.

Zamknął drzwi. Blokada opadła.

- Nie! - wrzasnął Wayne, ale Manx już się odwrócił i szedł przez garaż. Mijał wysokie zielone butle, zmierzając ku schodom na strych. - Nie! To nie fair!

Wayne spadł z siedzenia na podłogę. Chwytał mosiężny uchwyt i szarpnął, ale szuflada ani drgnęła, równie dobrze mogła być zabita gwoździami. Zaparł się stopą o oparcie przedniego fotela i rzucił się w tył. Śliskie od potu ręce zsunęły się z uchwytu i upadł na siedzenie.

- Proszę! - zawył. - Proszę!

Manx zatrzymał się u stóp schodów i odwrócił głowę. Na jego twarzy malował się wyraz zmęczenia. Oczy miał wilgotne ze współczucia. Pokręcił głową, choć niepodobna

powiedzieć, czy w geście odmowy, czy po prostu rozczarowania.

Wcisnął guzik na ścianie. Automatyczne drzwi garażu opadły z łoskotem. Pstryknął włącznikiem i zapalił światła, po czym poszedł na górę i zostawił Wayne'a samego z Upiorem.

Jeziro

Kiedy Hutter skończyła ją maglować tego popołudnia, Vic czuła się kompletnie wypompowana, jak po ciężkim ataku grypy jelitowej. Bolały ją stawy, łupało w plecach. Była koszmarnie głodna, ale gdy poczęstowano ją kanapką z indykiem, z trudem pohamowała wymioty. Nie mogła przełknąć nawet kawałka tostu.

Powtórzyła Hutter wszystkie stare kłamstwa o Manxie: jak coś jej wstrzyknął i zabrał do swojego samochodu, jak uciekła z domu Sanie Mikołaja w Kolorado. Siedziały w kuchni, Hutter zadawała pytania, a ona odpowiadała najlepiej, jak umiała, podczas gdy gliniarze wchodzili i wychodzili.

Kiedy opowiedziała historię swojego porwania, Hutter chciała posłuchać o późniejszych latach. Chciała wiedzieć o obłądnie, który doprowadził do tego, że Vic trafiła do szpitala psychiatrycznego. Chciała wiedzieć, jak doszło do tego, że spaliła własny dom.

- Nie chciałam spalić domu - oznajmiła Vic. - Ja tylko próbowałam pozbyć się telefonów. Włożyłam je wszystkie do piekarnika. Wydawało się to najprostszym sposobem, żeby w końcu przestały dzwonić.

- Dzwonili umarli?

- Tak. Martwe dzieci.

- Czy to jest dominujący temat pani urojeń? Czy zawsze obracają się wokół dzieci?

- Był. Obracały. Czas przeszły - zaznaczyła Vic.

Hutter patrzyła na nią z uczuciem, z jakim treser węży podchodzi do jadowitej kobry. Wystarczy, że mnie spytasz, pomyślała Vic. Zapytaj mnie, czy zabiłam mojego synka. Rzuć karty na stół. Patrzyła Hutter prosto w twarz bez zmrużenia oka czy drgnienia. Bito ją młotkiem, strzelano do niej i niemal została rozjechana, trafiła do zakładu zamkniętego, była uzależniona, bliska spalenia żywcem i przy kilku okazjach musiała ratować życie. W porównaniu z tym wszystkim nieprzyjazne spojrzenie było błahostką.

- Może chce pani odpocząć i się odświeżyć? - zapytała Hutter. - Przewidziałam pani oświadczenie na siedemnastą dwadzieścia. To powinno nam zapewnić sam szczyt oglądalności.

- Chciałabym wiedzieć coś, co mogłabym pani powiedzieć, co pomogłoby go znaleźć.

- Była pani bardzo pomocna - zapewniła ją Hutter. - Dziękuję. Uzyskałam wiele cennych informacji.

Odwróciła wzrok i Vic uznała, że przesłuchanie dobiegło końca. Ale gdy tylko wstała, agentka sięgnęła po coś, co opierało się o ścianę: kilka arkuszy brystolu.

- Vic, jeszcze jedno.

Vic zastygła w bezruchu, z ręką na oparciu krzesła.

Hutter położyła arkusze na stole, odwróciła je, żeby Vic mogła spojrzeć na ilustracje. Jej ilustracje, strony do nowej książki, *Piąty bieg Wyszukiwarki*, opowieści świątecznej. Nad tym pracowała, gdy nie składała triumpha. Hutter zaczęła przekładać duże karty, dając jej chwilę na przyjrzenie się każdemu obrazkowi, naszkicowanemu niebieską kredką, poprawionemu tuszem, następnie wykończonemu akwarelami. Szelest papieru sprawił, że Vic pomyślała o wróżce tasującej karty tarota, szykującej się do wygłoszenia bardzo niepomysłnej wróżby.

- Mówiłam pani, że w Quantico korzystają z puzzli *Wyszukiwarki*, żeby nauczać studentów uważnej obserwacji. Kiedy w powozowni zobaczyłam część pani nowej książki, nie mogłam się powstrzymać. Jestem oszołomiona

tym, co pani narysowała. Pani naprawdę rzuca wyzwanie Escherowi. Potem przyjrzałam się uważniej i zaczęłam się zastanawiać. To do książki o Bożym Narodzeniu, prawda?

Vic czuła, jak wzbiera w niej pragnienie oderwania oczu od stosu brystolu na stole – pragnienie ucieczki od własnych rysunków, jakby były zdjęciami odartych ze skóry zwierząt – ale po chwili przeminęło. Chciała powiedzieć, że nigdy wcześniej nie widziała tych obrazków, chciała wrzasnąć, że nie wie, skąd się wzięły. Oba stwierdzenia byłyby w zasadzie prawdziwe, lecz je zdusiła, a kiedy się odezwała, głos miała obojętny, wyrażający jedynie zmęczenie.

- Tak. Pomysł mojego wydawcy.

- Cóż – mruknęła Hutter – sądzi pani... czy to możliwe, że to jest Gwiazdkowa Kraina? Że porwacz pani syna wie, nad czym pani pracuje, i że istnieje jakieś powiązanie między pani nową książką a tym, co zobaczyliśmy, gdy próbowaliśmy namierzyć iPhone'a?

Vic patrzyła na pierwszą ilustrację. Przedstawiała Wyszukiwarkę i małą Bonnie, trzymających się wzajemnie na tafli lodu, gdzieś na Oceanie Arktycznym. Vic przypomniała sobie, jak rysowała mechaniczną kałamarnicę, pilotowaną przez Szaloną Wstęgę Mobiusa, przebijającą się przez lód pod nimi. Ale ten rysunek ukazywał dzieci o martwych oczach pod lodem, sięgające przez szczeliny białymi kościanymi szponami. Uśmiechały się, pokazując wnętrza ust wypełnione drobnymi haczykowatymi kłami.

Na drugiej karcie Wyszukiwarka szukał drogi przez labirynt wysokich cukrowych lasek. Vic pamiętała, jak to rysowała – w słodkim, leniwym transie, kołysząc się w rytm utworów Black Keys. Nie pamiętała, jak rysowała dzieci, które ukrywają się w kątach i bocznych uliczkach, uzbrojone w nożyczki. Nie pamiętała, jak rysowała małą Bonnie, idącą chwiejnym krokiem, ślepą, z rękami przyciśniętymi do oczu. Bawią się w nożyczki dla włóczęgi, pomyślała ni z tego, ni z owego.

- Nie rozumiem, skąd mógłby o tym wiedzieć – powiedziała. - Nikt nie widział tych ilustracji.

Hutter przeciągnęła kciukiem po skraju stosu papieru.

- Trochę mnie zdziwiło, że w środku lata rysuje pani bożonarodzeniowe sceny. Proszę pomyśleć. Czy jest jakaś szansa, że to, nad czym pani pracuje, może mieć związek z...

- Z decyzją Charliego Manxa, że mi się odpłaci za posłanie go do więzienia? - dokończyła Vic. - Nie sądzę. Uważam, że to całkiem proste. Weszłam mu w drogę i teraz nadszedł czas na wyrównanie rachunków. Jeśli pani skończyła, chciałabym się położyć.

- Tak. Z pewnością jest pani zmęczona. I kto wie? Może jeśli pani odpocznie, przypomni się pani coś innego.

Głos Hutter brzmiał w miarę spokojnie, ale Vic pomyślała, że w tym ostatnim zdaniu kryje się insynuacja, sugestia, że obie rozumieją, iż Vic ma więcej do powiedzenia.

Dom zmienił się nie do poznania. W salonie stały białe tablice magnetyczne oparte o kanapy. Na jednej z nich wisiała mapa północnego wschodu, na drugiej biegła linia czasowa wyrysowana czerwonym markerem. Na każdej dostępnej powierzchni piętrzyły się teczki pełne wydruków. Komputerowcy siedzieli ściśnięci na kanapie jak studenci przed konsolą gier wideo; jeden mówił do słuchawki Bluetooth, podczas gdy pozostali pracowali na laptopach. Nikt nawet na nią nie spojrział. Ona się nie liczyła.

Lou był w sypialni, siedział na bujaku w kącie. Vic zamknęła za sobą drzwi i podeszła do niego w ciemności. Zasłony były zaciągnięte, pokój ponury i duszny.

Miał czarne ślady palców na koszuli. Pachniał motorem i powozownią - w miarę przyjemna woda kolońska. Na piersi miał przyklejoną kartkę szarego papieru. Jego okrągła, ciężka twarz była szara w nikłym świetle i ze zwisającą kartką wyglądał jak dagerotyp martwego rewolwerowca: **TAK POSTĘPUJEMY Z WYJĘTYMI SPOD PRAWA.**

Vic patrzyła na niego początkowo z troską, potem z trwogą. Sięgnęła do jego pękatego przedramienia, żeby sprawdzić puls - była pewna, że Lou nie oddycha - gdy nagle wciągnął powietrze, aż zaświszczało mu w nosie. Po prostu spał. Padł z nóg i zasnął w butach.

Odsunęła rękę. Nigdy nie widziała go takiego zmęczonego ani takiego chorego. W jego zaroście pojawiło się srebro. Wydawało się niesprawiedliwe, że Lou, który uwielbia komiksy, swojego syna, cycki, piwo i przyjęcia urodzinowe, zaczyna się starzeć.

Przymrużyła oczy, żeby przeczytać list.

Motor jeszcze niegotowy. Brakuje części, realizacja zamówienia potrwa tygodnie. Zbudź mnie, kiedy będziesz chciała o tym pogadać.

Przeczytanie tych trzech słów - „motor jeszcze niegotowy” - było niemal równie bolesne, jakby przeczytała „Wayne znaleziony martwy”. Czuła, że znaczenie tych dwóch zdań jest niebezpiecznie bliskie.

Nie po raz pierwszy w życiu żałowała, że Lou zabrał ją swoim motocyklem tamtego dnia, żałowała, że nie spadła na dno zsypu na pranie i nie udusiła się w dymie, co oszczędziłoby jej kłopotu wleczenia dupska przez resztę żalosego życia. Nie straciłaby Wayne’a, ponieważ nie byłoby żadnego Wayne’a. Uduszenie się dymem byłoby łatwiejsze niż to, co czuła teraz, niesłabnące ani na chwilę wrażenie, że coś się w niej rozdziera. Była prześcieradłem szarpanym we wszystkie strony i niebawem zostaną z niej tylko strzępy.

Siedziała na brzegu łóżka, patrząc nieobecny wzrokiem w ciemność i widząc własne rysunki, ilustracje do nowej książki o Wyszukiwarce pokazane jej przez Tabithę Hutter. Nie wiedziała, jak ktoś mógłby zobaczyć taką pracę i wierzyć w jej niewinność: wszystkie te utopione dzieci, wszystkie te zasy śniegu, wszystkie te cukrowe laseczki, cała ta beznadzieja. Niebawem ją zamkną, a wtedy będzie za późno, żeby coś zrobić dla Wayne’a. Zamierzają ją zamknąć i ani trochę nie mogła ich za to winić; zaczęła podejrzewać, że Tabitha Hutter jest słabsza, niż się wydaje, bo jeszcze jej nie zakuła w kajdanki.

Ciężar ciała Vic pomarszczył materac. Lou rzucił na kołdrę pieniądze i telefon komórkowy i teraz rzeczy te przesunęły się ku niej, oparły o jej udo. Żałowała, że nie ma nikogo, do

kogo mogłaby zadzwonić, kto mógłby jej powiedzieć, co zrobić, i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Nagle przyszło jej na myśl, że jednak jest ktoś taki.

Podniosła telefon Lou, wysmyknęła się do łazienki, zamknęła drzwi. Naprzeciwko znajdowały się drugie drzwi, do sypialni Wayne'a. Vic podeszła, żeby je zamknąć, zawahała się.

On tam jest: Wayne tam jest, pod łóżkiem, patrzący na nią z bładą, przerażoną twarzą. Poczuała się tak, jakby muł kopnął ją w pierś, serce dziko kołatało się pod mostkiem. Spojrzała jeszcze raz i zobaczyła, że to tylko pluszowa małpka leżąca na boku. Brązowe oczka były szkliste i rozpaczliwe. Vic zamknęła drzwi do pokoju i oparła o nie czoło, czekając, aż wróci jej oddech.

Z zamkniętymi oczami zobaczyła w wyobraźni numer telefonu Maggie: 319 – kierunkowy stanu Iowa, następnie data urodzin jej, Vic, i litery FUFU. Domyślała się, że Maggie sporo zapłaciła za ten numer – wybrała akurat taki, ponieważ wiedziała, że Vic go zapamięta. Może Maggie wiedziała, że Vic będzie musiała go zapamiętać. Może wiedziała, że Vic ją spławi. Wszelkiego rodzaju „może”, ale Vic obchodziło tylko jedno: Może jej syn żyje?

Telefon dzwonił i dzwonił, i nikt nie odbierał. Vic pomyślała, że jeśli odezwie się poczta głosowa, nie będzie mogła zostawić wiadomości, nie będzie w stanie wydobyć głosu przez zaciśnięte gardło. Po czwartym dzwonku, kiedy już była pewna, że Maggie nie odbierze, usłyszała jej głos.

– V-V-V-Vic! – powiedziała, zanim Vic mogła wykrztusić słowo. Identyfikator rozmówcy musiał ją powiadomić, że odbiera telefon z Carmody's Car Carma. Nie mogła wiedzieć, że to ona dzwoni, a jednak wiedziała i Vic wcale nie była tym zaskoczona. – Chciałam zadzwonić, gdy t-t-t-ty-tylko usłyszałam, ale nie byłam pewna, czy to dobry pomysł. Jak się trzymasz? S-s-słyszałam w wiadomościach, że zostałam napadnięta.

– Daj sobie spokój. Muszę wiedzieć, czy z Wayne'em wszystko w porządku. Wiem, że możesz się dowiedzieć.

- Już wiem. Nie został ranny.

Nogi jej się trzęsły i musiała położyć rękę na blacie, żeby nie stracić równowagi.

- Vic? V-V-Vic?

Nie mogła odpowiedzieć od razu. Musiała się koncentrować, żeby nie wybuchnąć płaczem.

- Tak - powiedziała w końcu. - Jestem. Ile mam czasu? Ile czasu ma Wayne?

- Nie wiem, jak to działa. Po prostu nie wiem. Co powiedziałaś p-p-po-po-policji?

- To, co musiałam. Nic o tobie. Dołożyłam starań, żeby moja opowieść brzmiała wiarygodnie, ale chyba jej nie kupili.

- Vic, p-p-proszę. Chcę po-pomóc. Powiedz mi, jak mogę pomóc.

- Właśnie pomogłaś - odparła Vic i się rozłączyła.

Wayne żyje. I jeszcze jest czas. Powtarzała to w myśli na okrągło, jak mantrę, jak pieśń pochwalną: Żyje, żyje, żyje.

Chciała wrócić do sypialni, potrząsnąć Lou i powiedzieć mu, że motor musi być na chodzie, że musi go zreperować, ale wątpiła, by spał dłużej niż kilka godzin, i nie podobała jej się jego szarawa bladeść. W jakimś zakamarku jej umysłu kołatała się świadomość, że z nikim nie był całkowicie szczery w sprawie tego, co go powaliło na lotnisku Logana.

Może sama rzuci okiem na motocykl. Nie rozumiała, co mogło się zepsuć tak bardzo, że Lou nie dał rady tego naprawić. Przecież wczoraj jeździł.

Wyszła z łazienki i rzuciła telefon na łóżko. Prześliznął się po prześcieradle i spadł z grzechotem na podłogę. Lou poruszył ramionami i Vic wstrzymała oddech, ale się nie zbudził.

Otworzyła drzwi sypialni i podskoczyła zdumiona. Za progiem stała Tabitha Hutter. Unosiła rękę, żeby zapukać.

Dwie kobiety patrzyły na siebie i Vic pomyślała: Stało się coś złego. Jej druga myśl oczywiście dotyczyła Wayne'a - znaleźli go, gdzieś w jakimś rowie, wykrwawionego, z gardłem poderżniętym od ucha do ucha.

Ale Maggie powiedziała, że jej syn żyje, a przecież Maggie

wie, więc na pewno nie o to chodzi. Chodzi o coś innego.

Vic spojrzała w głąb korytarza. Zobaczyła detektywa Daltry'ego i policjanta ze stanówki, czekających kilka metrów od drzwi sypialni.

- Victorio - odezwała się Tabitha neutralnym tonem - musimy porozmawiać.

Vic wyszła na korytarz i po cichu zamknęła drzwi.

- Co się dzieje?

- Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności?

Vic spojrzała na Daltry'ego i umundurowanego gliniarza. Policjant był wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt, miał opaloną twarz i szyję szerokości głowy. Daltry stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, z dłońmi wetkniętymi pod pachy, jego usta tworzyły cienką białą linię. W ręce trzymał jakąś puszkę - prawdopodobnie gaz łzawiący.

Vic skinęła w stronę drzwi sypialni Wayne'a.

- Tam nikt nam nie będzie przeszkadzać.

Weszła za niewysoką kobietą do małego pokoju, który należał do Wayne'a tylko przez parę tygodni. Jego pościel - z wydrukowanymi scenami z *Wyspy Skarbów* - była rozłożona, jakby czekała, żeby się pod nią wśliznął. Vic usiadła na skraju materaca.

Wróc, poprosiła syna z całego serca. Miała ochotę zwinąć pościel w rękach i wtulić w nią nos, poczuć zapach swojego chłopca. Wróc do mnie, Wayne.

Hutter oparła się o komodę i jej zakiet się rozchylił, odsłaniając glocka w kaburze pod ramieniem. Vic uniosła głowę i zobaczyła, że kobieta ma tego popołudnia kolczyki: złote pięciokąty z emaliowymi insygniami Supermana.

- Nie pozwól, żeby Lou zobaczył cię w tych kolczykach - powiedziała. - Może go opaść niepohamowane pragnienie zamknięcia cię w uścisku. Fani komiksów są jego kryptonitem.

- Musisz być ze mną szczerą - oświadczyła Hutter stanowczo.

Vic sięgnęła pod łóżko i wyjęła spod niego pluszową małpkę. Maskotka miała szare futro, długie, chude ramiona,

skórzaną kurteczkę i kask motocyklowy. Na naszywce na piersi widniało słowo MECHANIK. Vic nie przypomniała sobie, żeby kupiła mu tego pluszaka.

- W związku z czym? - zapytała, nie patrząc na Hutter. Położyła małąkę na łóżku, z głową na poduszce, na miejscu Wayne'a.

- Nie byłaś ze mną szczerą. Ani razu. Nie wiem dlaczego. Może są rzeczy, o których boisz się mówić. Prawdopodobnie są rzeczy, o których wstydzisz się mówić w pokoju pełnym ludzi. A może uważasz, że w pewien sposób chronisz swojego syna. Może chronisz kogoś innego. Nie wiem, o co chodzi, ale masz mi to wyjaśnić.

- Ani razu nie skłamałam.

- Przestać ze mną pogrywać - powiedziała Tabitha Hutter tym swoim cichym, beznamiętnym głosem. - Kim jest Margaret Leigh? Co cię z nią łączy? Skąd wie, że twój syn nie został ranny?

- Podśłuchujecie komórkę Lou? - Już mówiąc te słowa, Vic poczuła się trochę głupio.

- Oczywiście, że tak. Z tego, co wiemy, miał w tym pewien udział. Z tego, co wiemy, ty też. Powiedziałaś Margaret Leigh, że próbowałaś wiarygodnie przedstawić swoją historię, ale my tego nie kupiliśmy. Masz rację. Ja jej nie kupuję. Nigdy nie kupiłam.

Vic zaczęła się zastanawiać, czy może skoczyć na Tabithę Hutter, przyprzeć ją do komody, zabrać jej glocka. Ale ta przemyślała dziwka pewnie zna kung-fu, a poza tym co by to dało? Co zrobiłaby później?

- Ostatnia szansa, Vic. Chcę, żebyś dobrze to zrozumiała. Każę cię aresztować pod zarzutem zamieszania...

- W co? W napaść na samą siebie?

- Nie wiemy, kto cię posiniaczył. Przypuszczamy, że twój syn, próbujący się bronić.

No tak. O to chodzi. Vic z zainteresowaniem stwierdziła, że wcale nie jest zaskoczona. Być może prawdziwą niespodzianką było tylko to, że nie doszli do tego znacznie wcześniej.

- Nie chcę wierzyć, że odegrałaś jakąś rolę w zniknięciu swojego syna. Ale znasz kogoś, kto dostarczył ci informacje, że Wayne ma się dobrze. Zataiłaś fakty. Twoje wyjaśnienia dotyczące niedawnych wydarzeń brzmią jak cytaty zaczerpnięte z podręcznika o urojeniach paranoidalnych. Masz ostatnią okazję, żeby wszystko wyprostować. Pomyśl, zanim coś powiesz. Ponieważ gdy z tobą skończę, zabiorę się do Lou. On też ukrywał dowody, jestem tego pewna. Żaden tata nie spędza dziesięciu godzin na próbie naprawienia motocykla na drugi dzień po uprowadzeniu syna. Zadaję mu pytania, na które nie chce odpowiadać, zapuszcza silnik, żeby mnie zagłuszyć. Zachowuje się jak nastolatek, który głośno puszcza muzykę, żeby nie musiał słuchać, kiedy mama mówi, że pora posprzątać pokój.

- Co masz na myśli, mówiąc, że zapuszcza silnik? - zapytała Vic. - Uruchomił triumpha?

Hutter powoli, przeciągle, ze zmęczeniem wypuściła powietrze. Zwiesiła głowę, ramiona jej opadły. Wreszcie na jej twarzy pojawiło się coś poza zawodowym spokojem. Było to przede wszystkim wyczerpanie i może również poczucie klęski.

- W porządku - szepnęła. - Vic, przepraszam. Naprawdę. Miałam nadzieję, że możemy...

- Mogę o coś spytać?

Hutter spojrzała na nią.

- Młotek. Kazałaś mi obejrzeć pięćdziesiąt różnych młotków. Wydawałaś się zaskoczona, gdy wskazałam ten, którym, jak mówiłam, uderzał mnie Manx. Dlaczego?

Vic dostrzegła coś w jej oczach - przelotny błysk niepewności.

- To tak zwany młotek do kości - wyjaśniła agentka. - Używają go podczas autopsji.

- Czy zniknął z kostnicy w Kolorado, gdzie przechowywali zwłoki Charliego Manxa?

Hutter nie odpowiedziała, ale mimo woli wysunęła język i przeciągnęła nim po górnej wardze - Vic po raz pierwszy widziała u niej coś zbliżonego do nerwowej reakcji.

Stanowiła ona swego rodzaju odpowiedź.

- Powiedziałam prawdę, co do słowa - rzekła Vic. - Jeśli coś opuściłam, to tylko dlatego, że wiedziałam, że nie uwierzycie w te części historii. Uznałabyś je za urojenia i nikt nie miałby do ciebie o to pretensji.

- Musimy już iść, Vic. Muszę cię skuć. Jeśli chcesz, możesz położyć sweter na kolanach i schować pod nim ręce. Nikt nie musi widzieć kajdanek. Będziesz siedziała obok mnie w moim samochodzie. Nikt nie pomyśli, że to jakaś afera, gdy odjedziemy.

- A co z Lou?

- Niestety, nie mogę wam pozwolić na rozmowę. Będzie w samochodzie za nami.

- Nie możecie dać mu się wyspać? Nie jest zdrowy, poza tym był na nogach przez bite dwadzieścia cztery godziny.

- Przykro mi. Martwienie się o stan Lou to nie moja sprawa. Moje zadanie polega na martwieniu się o dobro waszego syna. Wstań, proszę. - Odchyliła prawą połę tweedowego żakietu i Vic zobaczyła kajdanki przypięte do paska.

Drzwi na prawo od komody się otworzyły i z łazienki wyszedł chwiejnym krokiem Lou, zapinając rozporek. Oczy miał czerwone ze zmęczenia.

- Zbudziłem się. Co jest grane? O co chodzi, Vic?

- Wsparcie! - krzyknęła Hutter, gdy Lou zrobił krok do przodu.

Jego cielsko zajmowało jedną trzecią pokoju i kiedy przesunął się na środek, znalazł się między kobietami. Vic wstała i za jego plecami podeszła do drzwi łazienki.

- Muszę iść - oznajmiła.

- No to idź - powiedział Lou, stojąc między nią i Tabithą Hutter.

- Wsparcie! - powtórzyła Hutter nagłym tonem.

Vic przez łazienkę przeszła do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi. Nie miały zamka, więc przepchnęła szafę po sosnowych deskach, żeby zabarykadować drzwi łazienki. Zasunęła rygiel na drzwiach prowadzących na korytarz.

Zrobiła dwa kroki i stanęła przy oknie wychodzącym na podwórkę za domem.

Podciągnęła żaluzje, otworzyła okno.

Mężczyźni krzyczeli w korytarzu.

Słyszała podniesiony głos Lou, przepełniony oburzeniem.

- Ja cię, w czym problem? Skończmy ten cyrk, dobra? - mówił.

- Wsparcie! - krzyknęła Hutter po raz trzeci, po czym dodała rozkazującym tonem: - Schować broń!

Vic podniosła dolną połówkę okna, przyłożyła stopę do siatki i pchnęła. Moskitiera wyskoczyła z ramy i spadła na ziemię. Vic usiadła na parapecie, zwiesiła nogi i z wysokości półtora metra zeskoczyła na trawę.

Miała te same obcięte dżinsy co wczoraj, koszulkę z Bruce'em Springsteenem z The Rising Tour, bez kasku, bez kurtki. Nawet nie wiedziała, czy kluczyki są w stacyjce motoru, czy może leżą wśród drobnych Lou na łóżku.

Usłyszała, że ktoś uderzył w drzwi sypialni.

- Spokojnie! - krzyknął Lou. - No ja cię, poważnie!

Jezioro było płaskim srebrnym arkuszem odbijającym niebo.

Wyglądało jak stopiony chrom. Gęste od wilgoci powietrze wydawało się ciężkie, niemal płynne.

Vic miała podwórkę dla siebie. Dwaj opaleni mężczyźni w szortach i słomkowych kapeluszach wędkowali w aluminiowej łodzi jakieś sto metrów od brzegu. Jeden z nich pokiwał do niej ręką, jakby uznał, że widok kobiety wychodzącej przez okno na tyłach domu jest czymś najzupełniej zwyczajnym.

Vic bocznymi drzwiami weszła do powozowni.

Triumph stał na stopce. Kluczyk tkwił w stacyjce.

Główne drzwi, wielkie jak wrota stodoły, były otwarte i Vic widziała przez nie podjazd, gdzie zebrali się ludzie z mediów, żeby nagrać jej oświadczenie, którego nigdy nie wygłosi. Na końcu podjazdu wyrósł las kamer skierowanych w stronę mikrofonów ustawionych w kącie podwórza. Pęki kabli wiły się do furgonetek zaparkowanych po lewej stronie. Nie było

łatwego sposobu, żeby skrócić w lewo i przemknąć między tymi pojazdami, ale po prawej stronie droga na północ stała otworem.

Do powozowni nie docierały odgłosy zamieszania, jakie wybuchło w domu. Panowała tu stłumiona cisza skwarne go popołudnia w środku lata. Nastał czas drzemki i spokoju, psy spały pod werandami. Było za gorąco nawet dla much.

Vic przerzuciła nogę przez siodełko, przekręciła kluczyk. Lampa się zapaliła, dobry znak.

Motor jeszcze niegotowy, przypomniała sobie wiadomość Lou. Nie zastartuje. Wiedziała. Kiedy Tabitha Hutter wejdzie do powozowni, ona będzie gorączkowo naciskać dźwignię rozrusznika, na sucho pompować siodełko. Hutter już uważa ją za wariatkę; ten śliczny obrazek tylko utwierdzi ją w słuszności tych podejrzeń.

Podniosła się i całym ciężarem nacisnęła na starter. Triumph zbudził się z rykiem, który rozmiótł liście i piasek po podłodze, wstrząsnął szybami w oknach.

Vic wrzuciła jedynekę, zwolniła sprzęgło i motocykl wyśliznął się z powozowni.

Gdy wyjechała w blask, spojrzała w prawo, rzuciła okiem na podwórko. Tabitha Hutter stała w połowie drogi do powozowni, zarumieniona, z kosmykiem kręconych włosów przyklepionym do policzka. Nie wyjęła broni. Nawet nie krzyknęła, tylko stała i patrzyła. Vic skinęła do niej głową, jakby zawarły umowę i była zadowolona, że agentka jej dotrzymała. Chwilę później zostawiła ją za plecami.

Między skrajem podwórza i wysepką najeżoną kamerami był może metr wolnej przestrzeni i Vic w nią wycelowała. Gdy dojeżdżała, w luce stanął jakiś mężczyzna, mierząc w nią obiektywem swojej kamery. Trzymał kamerę na wysokości talii, patrząc w rozłożony z boku monitor. Nie odrywał wzroku od ekranu, choć widział na nim zagrażający życiu obraz: dwieście kilogramów żelaza, kierowanego przez wariatkę, pędzącego z górki prosto na niego. Wyglądało na to, że nie zamierza się ruszyć – a jeśli nawet, to nie zdąży uskoczyć na czas.

Vic nacisnęła hamulec. Usłyszała sapnięcie i na tym koniec.

Motor jeszcze niegotowy.

Coś ją uderzyło w wewnętrzną stronę lewego uda i zobaczyła wiszącą luźno czarną plastikową rurkę. Linka tylnego hamulca. Nie była do niczego przymocowana.

Nie miała miejsca, żeby wyminąć tego ćwoka z kamerą, nie bez zjeżdżania z podjazdu. Dodała gazu, wrzuciła drugi bieg, przyspieszyła.

Niewidzialna ręka gorącego powietrza naciskała na jej tors. Było to jak przyspieszanie w otwartym piecu.

Przednia opona zjechała na trawę, za nią podążyła tylna. Kamerzysta jakby w końcu usłyszał ryk triumpha, wstrząsający ziemią warkot silnika. Poderwał głowę i zdążył zobaczyć, jak Vic przemyka obok niego tak blisko, że mogłaby go spoliczkować. Cofnął się szybko, stracił równowagę, zaczął się chwiać.

Vic nawet nie próbowała zwolnić. Kamerzysta zawirował jak bąk w strumieniu ryczącego powietrza za motorem i upadł na drogę, upuszczając kamerę. Kamera uderzyła o asfalt z chrzęstem, który sugerował, że należała do sprzętu z górnej półki.

Gdy motocykl zjechał z trawnika na asfalt, tylna opona wydarła kępę trawy z odgłosem, z jakim Vic w trzeciej klasie na zajęciach praktyczno-technicznych zrywała z dłoni wysuszony klej Elmer's. Triumph się przechylił i czuła, że zaraz upadnie, miażdżąc jej nogę.

Ale jej prawa ręka pamiętała, co zrobić, i dodała gazu. Silnik zagrział i motocykl wystrzelił z zakrętu jak korek, który został wciągnięty pod wodę i puszczone. Gumy znalazły drogę i triumph odjechał, pozostawiając za sobą kamery, mikrofony, Tabithę Hutter, Lou, wynajęty domek i zdrowy rozsądek.

Dom Snu

Wayne nie mógł zasnąć i nie miał czym zająć myśli. Zbierało mu się na wymioty, ale miał pusty żołądek. Chciał wysiąść z samochodu, ale nie wiedział, jak mógłby tego dokonać.

Wpadł na pomysł, że wyciągnie jedną z tych drewnianych szuflad i trzaśnie nią w szybę z nadzieją, że pęknie. Ale oczywiście szuflady nie chciały się otworzyć, gdy je szarpał. Zacisnął pięść i uderzył w okno z taką siłą, jaką tylko udało mu się zmobilizować. Drżąca, paląca strzała bólu przeszła go od kostek palców do nadgarstka.

Ból go nie zniechęcił – przeciwnie, tym bardziej zwiększył jego desperację i lekkomyślność. Wayne odchylił głowę do tyłu i czołem walnął w szkło. Miał takie wrażenie, jakby ktoś przyłożył mu do czoła gwóźdź do mocowania szyn i trzasnął w niego srebrnym młotkiem Charliego Manxa. Pograżył się w ciemności. Było to straszne, jak spadanie po długich schodach, nagły, powodujący mdłości skok w ciemność.

Po chwili odzyskał wzrok. W każdym razie uznał, że nastąpiło to po chwili – równie dobrze mogła minąć godzina. Może nawet trzy godziny. Jakkolwiek długo to trwało, kiedy tylko pojaśniało mu w oczach i w głowie, stwierdził, że odzyskał również spokój. Wnętrze jego czaszki wypełniała rezonująca pustka, jakby parę minut temu ktoś zagrał potężny dudniący akord na fortepianie i dopiero teraz cichły ostatnie echa.

Ogarnęło go senne oszołomienie, nie całkiem nieprzyjemne. Nie miał ochoty się ruszać, krzyczeć, planować, płakać, martwić się o to, co będzie dalej. Delikatnie zbadał językiem jeden z przednich dolnych zębów, które wydawały się obłuzowane i smakowały krwią. Zastanawiał się, czy uderzył głową tak mocno, że udało mu się częściowo wysadzić ząb z zębodołu. Podniebienie mrowiło w kontakcie z językiem, wydawało się szorstkie jak papier ścierny. Nie przejmował się tym za bardzo, po prostu było to coś, co zauważył.

W końcu się ruszył, ale tylko po to, żeby wyciągnąć rękę i podnieść z podłogi księżycową ozdobę. Była gładka jak ząb

rekina, a jej kształt trochę przypomniał mu klucz, którego mama używała podczas reperowania motocykla. To jest swego rodzaju klucz, pomyślał. Jego księżyc jest kluczem do bram Gwiazdkowej Krainy i ta myśl sprawiła mu przyjemność - nie mógł temu zaradzić. Po co przeciwstawiać się zadowoleniu? To jak widok ślicznej dziewczyny ze słońcem we włosach, jak naleśniki z gorącą czekoladą przy ogniu trzaskającym w kominku... Przyjemność jest jedną z fundamentalnych sił istnienia, jak grawitacja.

Po drugiej stronie szyby przysiadł duży brązowy motyl, z kosmatym odwłokiem grubym jak palec Wayne'a. Obserwowanie, jak się porusza, od czasu do czasu rozkładając skrzydła, niosło ukojenie. Gdyby okno było otwarte, uchylone choćby odrobinę, motyl mógłby do niego dołączyć i wtedy Wayne miałby własnego pupilka.

Gładził swój szczęśliwy księżyc, kciuk poruszał się tam i z powrotem w prostym, bezmyślnym, masturbacyjnym geście. Jego matka miała swój motocykl, pan Manx miał Upiora, ale on miał dla siebie cały księżyc.

Śnił na jawie o tym, co zrobiłby ze swoim motylem. Spodobał mu się pomysł, że nauczyłby go lądować na palcu, na wzór wyszkolonego sokoła. Widział go w wyobraźni, siedzącego na czubku palca wskazującego, machającego skrzydłami w powolny, uspokajający sposób. Dobry stary motylek. Nazwie go Sunny.

W dali zaszczekał pies: ścieżka dźwiękowa leniwego letniego dnia. Wayne wyjął z dziąsła obłuzowany ząb i schował go do kieszeni spodenek. Wytarł krew z koszulki. Kiedy wrócił do pocierania księżycy, jego palce rozsmarowały na nim krew.

Zastanawiał się, co jedzą motyle. Był całkiem pewien, że żywią się pyłkiem. Zastanawiał się, czego jeszcze mógłby nauczyć swojego motyla: może latania przez płonące obręcze albo chodzenia po miniaturowej linii. Ujrzał samego siebie jako ulicznego artystę, w cylindrze, z doklejonym zabawnym czarnym wąsikiem: Nadzwyczajny Motyli Cyrk Kapitana Bruce'a Carmody'ego! W wyobraźni nosił na klapie swoją

księżycową ozdobę jako generalską odznakę.

Zastanawiał się, czy mógłby nauczyć motyla robienia dzikich pętli i korkociągów, takich, jakie wykonuje samolot na pokazach lotniczych. Nagle przyszło mu do głowy, że mógłby wyrwać mu skrzydełko, bo wtedy motyl na pewno fruwałby w spirali. Wyobrażał sobie, jak odrywa skrzydełko niczym kawałek papieru z klejem, z początku napotykać lekki opór, potem słysząc satysfakcjonujący cichy dźwięk.

Okno opuściło się o parę centymetrów, korbka popiskiwała cicho. Wayne nie wstał. Motyl dotarł do końca szyby, zatrzepotał skrzydłami i wylądował na jego kolanie.

- Cześć, Sunny - powitał go Wayne. Wyciągnął palec, chcąc go dotknąć, a wówczas motyl spróbował odlecieć. To wcale nie było zabawne. Wayne usiadł prosto na siedzeniu i złapał go w rękę.

Przez jakiś czas próbował go uczyć sztuczek, ale motyl szybko się zmęczył. Wayne postawił go na podłodze i wyciągnął się na kanapie, sam będąc trochę zmęczony. Był zmęczony, ale poza tym czuł się dobrze. Skłonił motyla do zrobienia kilku dobrych pętli, zanim owad przestał się ruszać.

Zamknął oczy. Jego język niespokojnie badał szorstkie podniebienie. Z dziąsła wciąż sączyła się krew, ale to mu nie przeszkadzało. Jego własna krew miała dobry smak. Nawet gdy zapadł w drzemkę, bezwiednie gładził kciukiem mały księżyc, jego szklisto-gładką krzywiznę.

Wayne otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał dudnienie drzwi podjeżdżających do sufitu garażu. Usiadł z niejakim wysiłkiem, bo w jego mięśniach zagnieździło się przyjemne rozleniwienie.

Manx zwolnił, podchodząc do samochodu. Pochylił się i przekrzywił głowę - jak zaciekawiony pies - i popatrzył na niego przez okno.

- Co się stało z motylem? - zapytał.

Motyl leżał na podłodze zmasakrowany, miał wydarte skrzydełka i wszystkie odnóża. Wayne z konsternacją zmarszczył brwi. Przecież owad był cały i zdrowy, gdy zaczęli

się bawić.

Manx mlasnął językiem.

- No tak, spędziliśmy tutaj zbyt wiele czasu. Będzie najlepiej, jeśli ruszymy w dalszą drogę. Chcesz psipsi?

Wayne pokręcił głową. Znów spojrzał na motylka. Narastało w nim poczucie zaniepokojenia, może nawet wstydu. Pamiętał, jak wyrywał mu ostatnie skrzydełko, ale w owym czasie wydawało się to... ekscytujące. Jak zdzieranie taśmy z idealnie zapakowanego gwiazdkowego prezentu.

Zamordowałeś Sunny'ego, pomyślał. Nieświadomie ścisnął w dłoni księżycową ozdobę. Rozczłonkowałeś swojego pupilka.

Nie chciał sobie przypominać, jak wyrywał mu nóżki. Jak wyskubywał je jedną po drugiej, gdy poruszały się szaleńczo. Zgarnął w rękę szczątki Sunny'ego. W drzwiach były osadzone małe popielniczki z orzechowymi wieczkami. Otworzył jedną, wrzucił do niej motyla, pozwolił jej się zamknąć. Tak. Poczuł się znacznie lepiej.

Kluczyk sam przekręcił się w stacyjce, silnik zamruczał. Włączyło się radio. Elvis Presley obiecywał, że będzie w domu na Boże Narodzenie. Manx wsunął się za kierownicę.

- Chrapałeś przez cały dzień - powiedział. - I wcale się nie dziwię, po całym tym wczorajszym podnieceniu. Niestety, przespałeś lunch. Zbudziłbym cię, ale uznałem, że bardziej niż jedzenia potrzebujesz snu.

- Nie jestem głodny - oznajmił Wayne.

Wspomnienie Sunny'ego, rozerwanego na kawałki, źle podziało na jego żołądek i sama myśl o jedzeniu - z jakiegoś powodu ujrzał kiełbaski ociekające tłuszczem - przyprawiała go o mdłości.

- No tak. Wieczorem będziemy w Indianie. Mam nadzieję, że do tej pory odzyskasz apetyt. Znam pewną restauracyjkę przy międzystanowej osiemdziesiątce, gdzie możesz dostać koszyk frytek batatowych z cynamonem i cukrem. To jedyne w swoim rodzaju wrażenie smakowe! Człowiek nie może przestać jeść, dopóki wszystkie nie znikną, a potem wylizuje talerz do czysta. - Manx westchnął. - Uwielbiam słodczyce. To

istny cud, że zęby mi nie spróchniały i nie wypadły ze szczęki!

Odwrócił się i uśmiechnął do Wayne'a, pokazując usta pełne brązowych nakrapianych kłów, sterczących we wszystkie strony. Wayne widział stare psy z czystszyimi, zdrowszymi zębami.

Manx trzymał w ręce plik papierów spiętych wielkim żółtym spinaczem i przeglądał je pobieżnie. Kartki wyglądały tak, jakby już były przeglądane. Manx poświęcił im tylko pół minuty, po czym zamknął je w schowku.

- Bing posiedział przy komputerze - powiedział. - Pamiętam epokę, kiedy mogłeś stracić nos za zbyt głębokie wtykanie go w cudze sprawy. Teraz wystarczy kliknąć, żeby dowiedzieć się wszystkiego o każdym. Nie ma prywatności ani żadnych względów i każdy wściubia nos w nie swoje sprawy. Pewnie wystarczyłoby zajrzeć do internetu, żeby się przekonać, jaki kolor dziś ma moja bielizna. A jednak muszę przyznać, że technika tej bezwstydnej nowej epoki oferuje pewne udogodnienia. Nie uwierzyłbyś, jakie informacje Bing wykopał o tej Margaret Leigh. Z przykrością powiem, że przyjaciółka twojej matki jest narkomanką i kobietą nikczemnego charakteru. Nie powiem, że odjęło mi mowę z wrażenia. Tatuaze twojej matki i jej mało kobiecego styl wypowiedzi sugerują, że zadaje się z osobami właśnie takiego pokroju. Jeśli chcesz, możesz przeczytać wszystko o pannie Leigh. Nie chciałbym, żebyś się nudził, gdy będziemy w drodze.

Szuflada pod siedzeniem kierowcy sama się wysunęła. Leżały w niej wydruki dotyczące Maggie Leigh. Wayne już kilka razy widział tę sztuczkę i powinien się przyzwyczać, ale wcale nie przywykł.

Pochylił się i wyjął plik papierów, a szuflada zamknęła się tak szybko i z tak głośnym trzaskiem, że krzyknął i upuścił kartki na podłogę. Charlie Manx parsknął śmiechem, potężnym, chrapliwym rykiem wsiowego półgłówka, który właśnie usłyszał kawał o żydku, czarnuchu i feministce.

- Nie straciłeś palca, prawda? W dzisiejszych czasach

samochody mają wszelkiego rodzaju opcje, jakich nikt nie potrzebuje. Mają radia satelitarne, podgrzewacze foteli i GPS dla ludzi, którzy są zbyt zajęci, żeby zwracać uwagę na to, dokąd jadą... zwykle nigdzie, ale za to szybko! Ale ten rolls ma wyposażenie dodatkowe, jakiego nie znajdziesz w wielu współczesnych pojazdach: poczucie humoru! Lepiej zachowaj czujność, kiedy jesteś w Upiorze, Wayne. Starsza pani prawie cię zaskoczyła!

Śmieszne, że boki zrywać. Wayne przez chwilę się zastanawiał, czy gdyby był trochę wolniejszy, szuflada połamałaby mu palce. Zostawił papiery na podłodze.

Manx położył rękę na oparciu fotela i odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę, gdy wyprowadzał samochód z garażu. Blizna na jego czole stała się sinoróżowa i wyglądała tak, jakby pochodziła sprzed dwóch miesięcy. Zdjął bandaż z ucha. Ucho nie odrosło, ale poszarpane ciało się zagoiło i nierówny kikut wyglądał trochę mniej odrażająco niż krwawe strzępy.

NOS4A2 dotarł do połowy podjazdu i tam Manx go zatrzymał. Przez podwórko szedł Bing Partridge, Człowiek w Masce Przeciwigazowej, niosąc kraciatą walizkę. Na głowie miał poplamioną, brudną czapkę bejsbolówkę FDNY, idealnie pasującą do poplamionej, brudnej koszulki z nadrukiem FDNY. Nosił groteskowe dziewczęce różowe okulary.

- Ach - mruknął Manx. - Byłoby dobrze, gdybyś przespał również tę część dnia. Obawiam się, młody panie Wayne, że następne minuty mogą być nieprzyjemne. Widok kłócących się dorosłych nigdy nie jest przyjemny dla dziecka.

Bing szybko podszedł do bagażnika i spróbował go otworzyć. Tyle że bagażnik ani drgnął. Bing zmarszczył czoło, szarpiąc klapę. Manx wykręcił się w fotelu, żeby popatrzeć na niego przez tylną szybę. Chociaż uprzedzał, że zaraz zrobi się nieprzyjemnie, w kącikach jego ust igrał uśmiech.

- Panie Manx! - zawołał Bing. - Nie mogę otworzyć bagażnika!

Manx nie odpowiedział.

Bing pokuśtykał do drzwi po stronie pasażera, próbując odciążyć kostkę, w którą wgrzył się Hooper. Walizka uderzała o jego nogę, gdy szedł.

Gdy tylko położył rękę na klamce, blokada opadła z własnej inicjatywy.

Bing ściągnął brwi, szarpiąc klamkę.

- Panie Manx?

- Nie mogę ci pomóc - odparł Manx. - Samochód cię nie chce.

Upiór zaczął się cofać.

Bing nie chciał puścić klamki i rolls pociągnął go za sobą. Szarpnął jeszcze raz. Zatrząsał mu się podbródek.

- Panie Manx! Niech pan nie odjeżdża! Panie Manx, proszę na mnie poczekać! Powiedział pan, że mogę jechać!

- To było zanim pozwoliłeś jej uciec, Bingu. Zawiodłeś nas. Ja może bym ci wybaczył. Wiesz, że zawsze traktowałem cię jak własnego syna. Ale ja w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. Pozwoliłeś jej uciec, a teraz Upiór pozwala odejść tobie. Upiór jest jak kobieta, wiesz. Nie można się kłócić z kobietą! One są inne niż mężczyźni. Nie kieruje nimi rozsądek! Czuję, że jest na ciebie wściekły za to, że nieostrożnie obchodziłeś się z bronią.

- Nie! Panie Manx! Proszę mi dać jeszcze jedną szansę. Proszę! Chcę jeszcze jedną szansę!

Potknął się i uderzył walizką w nogę. Walizka się otworzyła, jego koszulki, bielizna i skarpety rozsypały się po podjeździe.

- Bingu - odezwał się Manx. - Bingu, Bingu, odejdz, moje nieboże. Przyjadę i zabawimy się o innej porze.

- Poprawię się! Zrobię wszystko, co tylko pan chce! Proszę, proszę, panie Manx! Chcę mieć drugą szansę! - wrzeszczał Człowiek w Masce Przeciwigazowej.

- Jak my wszyscy - powiedział Manx. - Ale jedyną osobą, która dostała drugą szansę, jest Victoria McQueen. A to niedobrze, Bingu.

Samochód się cofnął i zaczął skręcać, żeby ustawić się przodem w kierunku jazdy. Bing został zбитy z nóg i upadł na

asfalt. Upiór włókł go kawałek, zawodzącego i szarpiącego klamkę.

- Wszystko! Wszystko, panie Manx! Dla pana wszystko! Moje życie! Dla pana!

- Mój biedny chłopcze. Mój biedny, słodki chłopcze. Nie zasmucaj mnie. Przez ciebie czuję się okropnie! Puść drzwi, proszę! To już jest wystarczająco trudne!

Bing puścił klamkę, choć Wayne nie umiałby powiedzieć, czy tamten spełnił polecenie Manxa, czy może po prostu zabrakło mu sił. Padł brzuchem na drogę i leżał, szlochając.

Upiór zaczął przyspieszać, oddalając się od domu Binga, od osmalonych ruin kościoła na wzgórzu. Bing pozbierał się z jezdni i truchtał za nimi może z dziesięć metrów, choć dzieląca ich odległość szybko się zwiększała. W końcu stanął pośrodku drogi i zaczął bić się pięściami po głowie, po uszach. Różowe okulary słoneczne się przekrzywiły, jedna soczewka pękła. Jego szeroka, brzydka twarz miała jaskrawy, jadowity odcień czerwieni.

- Zrobię wszystko! - wrzasnął. - Wszystko! Tylko niech pan mi da jeszcze jedną szansę!

Upiór zatrzymał się przy znaku stopu, potem skręcił i Bing zniknął z pola widzenia.

Wayne odwrócił się przodem w kierunku jazdy.

Manx zerknął na niego w lusterku wstecznym.

- Przepraszam, że widziałeś to wszystko - powiedział. - Przykro jest oglądać kogoś w stanie takiego wzburzenia, zwłaszcza takiego pocziwca jak Bing. Wyglądał po prostu strasznie. Ale również... również trochę głupio, nie sądzisz? Widziałeś, jak nie chciał puścić drzwi? Myślałem, że będziemy go wlec przez całą drogę do Kolorado! - Manx znów się roześmiał, z całego serca.

Wayne dotknął ust i z mdlącym skurczem żołądka zdał sobie sprawę, że się uśmiecha.

Droga numer 3, New Hampshire

Droga pachniała żywicą, wodą, lasem.

Vic myślała, że będzie ją ścigać ryk syren, ale gdy spojrzała w lusterko, zobaczyła tylko kilkaset metrów pustego asfaltu. Słyszała tylko kontrolowany warkot triumpha.

Siedem tysięcy metrów nad nią po niebie sunął samolot pasażerski: jasna strzała kierująca się na zachód.

Na następnym zakręcie zjechała z drogi prowadzącej nad jezioro. Też ruszyła na zachód przez zielone wzgórza spiętrzone nad Winnipесаukee.

Nie wiedziała, jak rozegra następną część planu, nie wiedziała, co zrobić, żeby się udało. Przyszło jej na myśl, że ma bardzo mało czasu, by to rozpracować. Wczoraj znalazła drogę do mostu, ale miała wrażenie, że było to niesamowicie dawno temu, niemal tak dawno jak dzieciństwo.

Dzień wydawał się zbyt słoneczny i jasny, żeby mogło wydarzyć się coś nieprawdopodobnego. Jasność dnia sprawiała, że świat uporczywie trzymał się rzeczywistości, funkcjonował w oparciu o znane prawa. Za każdym kolejnym zakrętem rozciągała się droga, czarna nawierzchnia wyglądała świeżo i aksamitnie w promieniach słońca.

Vic jechała serpentyną coraz wyżej na wzgórza, coraz dalej od jeziora. Ręce miała śliskie i stopa bolała ja od naciskania odpornej dźwigni zmiany biegów. Jechała coraz szybciej, jakby dzięki samej prędkości mogła wyrwać w świecie tę upragnioną dziurę.

Przemknęła przez miasteczko, w którym było niewiele więcej poza żółtym światłem ostrzegawczym zawieszonym nad skrzyżowaniem. Vic postanowiła, że będzie jechać, dopóki nie skończy się paliwo, a wtedy porzuci motocykl, zostawi triumpha w kurzu, i zacznie biec środkiem drogi, będzie biegła, dopóki nie pojawi się pieprzony Most Krótsza Droga albo nogi nie odmówią jej posłuszeństwa.

Tylko że most się nie pojawi, bo przecież nie ma żadnego mostu. Krótsza Droga istniała tylko w jej umyśle. Z każdym przejechanym kilometrem ten fakt stawał się dla niej coraz bardziej oczywisty.

Przy tym właśnie upierał się jej psychiatra: stworzyła luk

ratunkowy, przez który przeskakiwała, kiedy nie mogła poradzić sobie z rzeczywistością. Most był niosącą pociechę, inspirującą fantazją kobiety, która przeżyła poważną traumę i cierpi na głęboką depresję.

Przyspieszyła, pokonując zakręty z prędkością ponad dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Chciała jechać jak najszybciej, żeby móc udawać, że łzy spływające z oczu są reakcją na wiatr dmuchający jej w twarz.

Triumph znów zaczął się wspinać, drogą między zboczami. Na zakręcie niedaleko wierzchołka Vic minęła radiowóz mknący w przeciwnym kierunku. Jechała blisko podwójnej linii i wpadła w strumień powietrza za pojazdem. Przez krótką chwilę kołysała się niebezpiecznie. Zdążyła zobaczyć, że kierowca ma opuszczoną szybę i prowadzi z wysuniętym łokciem, facet z podwójnym podbródkiem i wykałaczką w kąciku ust. Była tak blisko, że mogłaby ją wyrwać.

W następnej chwili zniknął, a ona znalazła się za grzbietem wzniesienia. Pewnie pędził do tego skrzyżowania z żółtym światłem, żeby tam się na nią zasadzić. Będzie musiał jechać krętą drogą do miasteczka, żeby zawrócić i ruszyć za nią w pościg. Vic oceniła, że ma może minutę przewagi.

Motor pokonał ostry zakręt i Vic ujrzała w dole zatokę Paugus, ciemnoniebieską i chłodną. Zastanawiała się, gdzie ją zamkną i kiedy następnym razem zobaczy wodę. Tyle czasu w dorosłym życiu spędziła w zakładach, jedząc tamtejsze posiłki i żyjąc zgodnie z obowiązującymi tam zasadami. Światła gaszone o dwudziestej trzydziści. Pigułki w papierowym kubku. Woda, która smakowała rdzą, jak stare rury. Klapy sedesów z nierdzewnej stali. Człowiek widział błękitną wodę tylko wtedy, gdy po sobie spłukiwał.

Droga wzniosła się i nieco opadła. W kotlinie po lewej stronie stał wiejski sklep. Był piętrowy, zbudowany z okorowanych bali, z białym plastikowym szyldem nad drzwiami: NORTH COUNTRY VIDEO. Tutaj wciąż istniały wypożyczalnie - nie tylko DVD, ale również kaset wideo. Vic prawie go minęła, gdy postanowiła skrócić na parking, żeby

się ukryć. Parking rozciągał się za sklepem i zaciemiały go sosny.

Nacisnęła na nożny hamulec, już skręcając, gdy nagle sobie przypomniała, że przecież nie ma hamulca. Nacisnęła ręczny. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że ten też może nie działać.

Działał. Zaskoczył twardo i o mało nie przeleciała nad kierownicą. Tylna opona przeraźliwie zapiszczała na asfalcie, rysując czarny pas gumy. Motocykl z poślizgiem wpadł na parking. Opona orała ziemię, wzbijając chmury brązowego dymu.

Triumph przetoczył się jeszcze cztery metry, mijając North Country Video, i wreszcie zatrzymał się w głębi parkingu.

Pod gałęziami drzew czekała nocna ciemność. Zwisający łańcuch barykadował wstęp na ścieżkę, pylisty rowek wycięty wśród chwastów i paproci. Może była to ścieżka rowerowa albo zamknięty szlak turystyczny. Vic nie widziała go z drogi; nikt inny też nie zobaczy pograżonej w cieniach ścieżki.

Usłyszała wóz policyjny dopiero wtedy, gdy był bardzo blisko, bo miała w uszach szmer własnego oddechu i bicie przecpracowanego serca. Radiowóz przemknął z wyciem i rumorem, podskakując na drodze. Asfalt był pełen dziur po zimie.

Kątem oka dostrzegła, że coś się poruszyło. Spojrzała na okno w połowie zalepione plakatami reklamującymi Powerball. Patrzyła na nią grubaska z kolczykiem w nosie. Miała szeroko otwarte, przestraszone oczy. Trzymała telefon przy uchu, jej usta otwierały się i zamykały.

Vic spojrzała na ścieżkę po drugiej stronie łańcucha. Wąska koleina, zasypana sosnowym igliwem, biegła stromo w dół. Vic próbowała odgadnąć, dokąd prowadzi. Najpewniej do drogi numer jedenaście. Jeśli nie, będzie mogła nią jechać, dopóki się nie skończy, a potem zostawi motocykl w lesie. Wśród drzew będzie spokojnie: dobre miejsce, żeby usiąść i czekać na policję.

Wrzuciła jałowy bieg i obeszała łańcuch. Położyła stopy na

podnóżkach i pozwoliła, żeby siła ciężenia zrobiła swoje.

Jechała przez aksamitny półmrok, który słodko pachniał świerkami, Bożym Narodzeniem – ta myśl przyprawiła ją o drżenie. Przypomniała jej o Haverhill, o tamtejszym lesie i o zboczu za domem, w którym się wychowała. Koła podskakiwały na korzeniach i kamieniach, motor kołysał się na nierównym gruncie. Jazda wąską koleiną wymagała dużej koncentracji. Vic stanęła na podnóżkach, żeby obserwować przednie koło. Musi przestać myśleć, musi oczyścić umysł, przepędzić z głowy policję, Lou i Manxa, a nawet Wayne’a. Może darować sobie próby rozwikłania problemów, bo w tej chwili trzeba się skupić na zachowaniu równowagi.

Poza tym uwolnienie się od tego wszystkiego okazało się całkiem nietrudne w sosnowym półmroku, ze światłem padającym skośnie przez korony drzew i pod atłasem białych chmur na niebie. Plecy jej zeszywniały z napięcia, ale ból był słodki, dzięki niemu była świadoma, że jej ciało współpracuje z motocyklem.

Wiatr szumiał w koronach sosen, pomrukiwał łagodnie jak wezbrana rzeka.

Żałowała, że nie miała okazji przewieźć Wayne’a motocyklem. Gdyby mu pokazała te lasy z rozpostartym dywanem rdzawego igliwia, pod niebem rozjaśnionym pierwszym, najlepszym blaskiem lipca, stałoby się to dla nich obojga wspomnieniem, które zachowałoby do końca życia. To byłoby niesamowite, jechać przez aromatyczne cienie z Wayne’em za plecami, trzymającym się jej mocno, podążać ścieżką, aż znajdą spokojne miejsce, żeby się zatrzymać, zjeść wspólnie przygotowany w domu posiłek i napić się wody sodowej, a potem razem zapaść w drzemkę przy motorze w tym prastarym domu snu, z podłogą z porośniętej mchem ziemi i wysokim sufitem z krzyżujących się gałęzi. Kiedy zamknęła oczy, niemal poczuła ręce syna wokół talii.

Ale ośmieliła się zamknąć oczy tylko na chwilę. Odetchnęła i spojrzała – i w tej samej chwili motocykl znalazł się u stóp wzniesienia i wjechał na płaski teren, gdzie sześć metrów przed nią czekał stary kryty most.

Krótsza Droga

Vic odruchowo nacisnęła stopą na hamulec, co oczywiście nic nie dało. Motocykl jechał dalej, docierając prawie do wjazdu na Most Krótsza Droga, zanim przypomniała sobie o hamulcu ręcznym i zahamowała.

Wyglądało to dziwnie, prawie stumetrowy kryty most leżał na ziemi w środku lasu, nie spinając żadnych brzegów. Za obrośniętym bluszczem wejściem czyhały przerażające ciemności.

- Tak - mruknęła Vic. - W porządku. Masz freudowskie skojarzenia.

Tyle że prawda wyglądała inaczej. To nie była wagina, to nie był kanał rodny; motocykl nie był dla niej symbolem penisa ani metaforą stosunku płciowego. Miała przed sobą most łączący miejsca zgubienia i znalezienia, most przerzucony nad tym, co jest możliwe.

Coś załopotало wśród krokwi. Vic gwałtownie wciągnęła powietrze i poczuła nietoperze: stęchły zwierzęcy zapach, dziki i ostry.

Spośród wszystkich przejazdów przez ten most ani jedna wyprawa nie była wymysłem kobiety cierpiącej na zaburzenia emocjonalne. W grę wchodziło pomieszanie przyczyny i skutku. W jej życiu zdarzały się chwile, kiedy miała zaburzenia emocjonalne, ponieważ przejeżdżała przez most. Może most nie był symbolem, ale na pewno stanowił wyraz myśli, wyraz jej myśli, i za każdym razem, gdy go przekraczała, wrzał wewnętrznym życiem. Trzaskały deski. Śmieci się poruszały. Nietoperze się zbudziły i latały jak szalone.

Tuż za progiem widniały wypisane zieloną farbą słowa

DOM SNU →

Vic wrzuciła jedynekę i wjechała przednim kołem na most.

Nie pytała samej siebie, czy Krótsza Droga naprawdę tu jest, nie zastanawiała się, czy przypadkiem go sobie nie uroiła. Sprawa została rozstrzygnięta. Most istnieje.

Strop był wyłożony dywanem nietoperzy, złożone skrzydła zasłaniały głowy, skrywały mordki – nie mordki, twarze, z których każda była jej twarzą. Zwierzęta poruszały się niespokojnie.

Deski klekotały pod kołami motocykla. Były obłuzowane i nieregularne, w niektórych miejscach ich brakowało. Cała konstrukcja drżała pod wpływem ciężaru i dudnienia maszyny. Kurz opadał z belek niczym strużki deszczu. Kiedy ostatni raz tędy jechała, most nie był w aż takim rozpaczliwym stanie. Teraz był naprawdę mocno przekrzywiony, ściany wyraźnie nachylały się w prawo, jak korytarz w lunaparkowym pałacu śmiechu.

Dotarła do luki w ścianie, gdzie brakowało deski. Za wąską szczeliną szalała śnieżycą świetlistych cząstek. Vic zwolniła, niemal stanęła, żeby się lepiej przyjrzeć. W tej samej chwili deska pod przednim kołem chrupnęła tak głośno, że zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu, i koło opadło o pięć centymetrów. Przekręciła manetkę i motor skoczył do przodu. Usłyszała, że pękła druga deska pod tylną oponą, gdy ruszyła gwałtownie.

Ciężar motocykla był zbyt wielki dla starego drewna. Uznała, że jeśli się zatrzyma, spróchniałe deski mogą się pod nią zarwać i spadnie w... w to... cokolwiek to jest. W przepaść między myślą i rzeczywistością, może między wyobrażaniem i posiadaniem.

Nie widziała, co jest po drugiej stronie tunelu. Widziała tylko blask, jasność rażącą w oczy. Odwróciła głowę, a wtedy dostrzegła swój stary niebiesko-żółty rowerek z kierownicą i szprychami w festonach pajęczyn. Leżał pod ścianą.

Przednia opona triumpfa zadudniła na drewnianym progu i motor wyniósł ją na asfalt.

Vic się zatrzymała i postawiła nogę na ziemi. Ocieniła oczy ręką i się rozejrzała.

Most doprowadził ją do ruin. Znajdowała się za kościołem

strawionym przez ogień. Zachował się tylko fronton. Wyglądał jak dekoracja z planu filmowego, jedna ściana złudnie sugerująca, że za nią istnieje cały budynek. W środku walało się kilka poczerniałych ławek i mnóstwo okopconego, potłuczonego szkła zasłanego rdzewiejącymi puszkami po piwie. Nie ocalało nic więcej. Wybielony przez słońce parking, nieogrodzony i pusty, zdawał się ciągnąć bez końca.

Vic wrzuciła jedynekę i przejechała przed frontem tego, co, jak założyła, jest Domem Snu. Znowu się zatrzymała. Silnik pomrukiwał nierówno, od czasu do czasu się zacinając.

Z przodu stała plastikowa tablica z literami, które można przesuwac, żeby układać komunikaty; wydawało się, że taki znak bardziej pasuje do restauracji sieci Dairy Queen niż do kościoła. Vic przeczytała napis i chłód przebiegł jej po krzyżu.

**NEW AMERICAN
FAITH TABERNACLE
BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM
ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ**

Dalej biegła podmiejska ulica, drzemiąca w otępiającym skwarze późnego popołudnia. Vic zastanawiała się, dokąd trafiła. To wciąż mogło być New Hampshire. Ale nie, światło było inne, czyste, błękitne i jaskrawe. Panowała wyższa temperatura, przygnębiająco ciemne chmury powoli zasnuwały jasne niebo. Wyglądały na burzowe. Podejrzenie Vic się potwierdziło, gdy z dali napłynęło dudnienie gromu. Pomyślała, że za parę minut zacznie się ulewa.

Jeszcze raz przyjrzała się kościołowi. Przy fundamencie znajdowały się nachylone dwuskrzydłowe drzwi. Drzwi do piwnicy. Były zamknięte na ciężki łańcuch spięty lśniąca mosiężną kłódką.

Dalej wśród drzew stała jakaś szopa czy stodoła, biała, kryta niebieskawym gontem, na którym rósł mech, a nawet chwasty i mlecze. Z przodu były wrota dość wielkie, żeby zmieścił się w nich samochód, a z boku drzwi z okienkiem.

Na wewnętrznej stronie szyby naklejony był arkusz papieru.

Tam, pomyślała. Przełknęła ślinę, czując suchość w gardle. On jest tam.

Powtarzała się sytuacja z Kolorado. W szopie stoi Upiór, Wayne i Manx siedzą w samochodzie, przeczekując dzień.

Zerwał się wiatr, gorący, szumiący w liściach. Gdzieś za jej plecami zabrzmiało coś innego: szaleńcze, mechaniczne terkotanie, stalowy szelest. Spojrzała w dół drogi. Najbliżej stał zadbane domek w stylu farmerskim, pomalowany na kolor truskawkoworóżowy z białym wykończeniem. Przypominał lukrowaną babeczkę oprószoną wiórkami kokosowymi. Vic pomyślała, że takie babeczki nazywają się chyba Sno Balls. Na trawniku stało mnóstwo obracających się foliowych kwiatów, które ludzie umieszczają w ogródkach, żeby chwytały wiatr. Teraz dostawały wariacji.

Na podjeździe stał krępy, brzydki emeryt z sekatorem w ręce. Patrzył na nią podejrzliwie. Pewnie należy do straży sąsiedzkiej, co znaczyło, że za pięć minut może mieć do czynienia nie tylko z burzą z piorunami, ale też z policją.

Pojechała na koniec parkingu, wyłączyła silnik, zostawiła kluczyki w stacyjce. Chciała być przygotowana do pospiesznego odwrotu. Spojrzała na szopę stojącą obok spalonego kościoła. Zauważyła, niemal z roztargnieniem, że zaschło jej w ustach. Wnętrze ust było suche jak liście szeleszczące na wietrze.

Poczuła ciśnienie narastające za lewym okiem, wrażenie, które pamiętała z dzieciństwa.

Zostawiła motor, ruszyła w stronę szopy na nagle niepewnych nogach. W połowie drogi schyliła się i podniosła wykruszoną bryłę asfaltu wielkości talerza. Powietrze zawibrowało, wstrząśnięte przez potężne, choć jeszcze dalekie dudnienie grzmotu.

Zdawała sobie sprawę, że wykrzykiwanie imienia syna będzie błędem, ale stwierdziła, że jej usta same układają się w słowo: Wayne, Wayne.

Krew pulsowała jej za oczami, świat wokół niej drgał, wydawał się niestabilny. Gorący wiatr pachniał opiłkami

stali.

Stała pięć kroków od drzwi. Stąd mogła przeczytać wypisaną odręcznie informację na kartce po drugiej stronie szyby:

WSTĘP WZBROJONY
TYLKO DLA PERSONELU!

Kawałek asfaltu z cichym trzaskiem przeleciał przez okno, rozrywając kartkę. Vic już nie myślała, tylko działała. Już kiedyś przeżyła tę scenę i wiedziała, co będzie dalej.

Może da radę nieść syna, jeśli będzie z nim coś nie w porządku, jak z Bradem McCauleyem. Jeśli stał się podobny do McCauleya – jeśli przemienił się ni to w upiora, ni to w zamrożonego wampira – ona odwróci zmiany. Zabierze go do najlepszych lekarzy. Naprawi go, jak naprawiła motocykl. Stworzyła go we własnym ciele. Manx nie może tak po prostu „odtworzyć” go w tym swoim samochodzie.

Wsunęła rękę przez wytłuczoną szybę, żeby sięgnąć do klamki po drugiej stronie. Odciągnęła zasuwę, chociaż już widziała, że Upiora tam nie ma. Było miejsce na samochód, tak, ale nie zajmował go żaden pojazd. Pod ścianami piętrzyły się worki nawozu.

- Hej! Co pani robi? – zapytał ktoś piskliwym, wysokim głosem gdzieś za jej plecami. – Mogę zadzwonić na policję! Zaraz to zrobię!

Vic pchnęła drzwi i stała, zasapana, patrząc na niewielkie, chłodne, mroczne wnętrze pustej szopy.

- Już powinienem wezwać policję! Każę was aresztować, całą bandę, za włamanie!

Vic prawie go nie słyszała. Nawet gdyby mogła się skupić, być może nie rozpoznałaby tego głosu. Był trochę ochryply i wytężony, jakby mężczyzna niedawno płakał albo miał zamiar to zrobić. Tu, na tym wzgórzu, nie przyszło jej do głowy, że już go kiedyś słyszała.

Odwróciła się na pięcie i spojrzała na brzydkiego grubasa

w koszulce FDNY, emeryta, który stał w ogródku z nożycami do strzyżenia żywopłotu. Wciąż trzymał narzędzie. Wybałuszał oczy za szklami okularów w grubej oprawie z czarnego plastiku. Miał krótkie, najeżone czarne włosy upstrzone srebrem.

Vic go zignorowała. Rozejrzała się po ziemi, znalazła błękitnawy kamień, podniosła go i podeszła do nachylonych drzwi, które zamykały wejście do piwnicy spalonego kościoła. Przyklękała i zaczęła uderzać kamieniem w duży mosiężny zamek yale. Skoro Wayne'a i Manxa nie było w szopie, zostało tylko jedno miejsce. Nie wiedziała, gdzie Manx ukrył auto, ale jeśli znajdzie go tam na dole, nie będzie go o nic pytać przed uprzednim walnięciem kamieniem po głowie.

- No dalej - szepnęła pod nosem. - No, otwórz się, ty cholero.

Trzasnęła kamieniem w zamek. Strzeliły iskry.

- To własność prywatna! - krzyknął brzydki mężczyzna. - Pani i pani znajomi nie mają prawa tam wchodzić! Tak! Dzwonię na policję!

Wtedy zwróciła uwagę, co wykrzykuje. Nie to o policji. O znajomych.

Odrzuciła kamień, starła pot z twarzy i podniosła się z ziemi. Kiedy na niego spojrzała, cofnął się dwa kroki i prawie przewrócił o własne nogi. Podniósł sekator.

- Nie! Nie rób mi krzywdy!

Vic przypuszczała, że wygląda jak obłąkana kryminalistka. Jeśli tak właśnie ją widział, nie mogła mieć do niego pretensji. W różnych okresach życia bywała i jednym, i drugim.

Podniosła ręce, poklepując powietrze w uspokajającym geście.

- Nie zrobię panu krzywdy. Nie chcę niczego od pana. Po prostu kogoś szukam. Pomyślałam, że może jest tam - powiedziała, ruchem głowy wskazując drzwi piwnicy. - Co pan mówił o moich znajomych?

Brzydki kurdupel głośno przełknął ślinę.

- Tu ich nie ma. Ludzi, których pani szuka. Odeszli. Odjechali przed chwilą. Może pół godziny temu. Może mniej.

- Kto? Proszę mi pomóc. Kto odjechał? Czy był to ktoś w...

- W starym samochodzie - dokończył konus. - Zabytkowym. Zaparkował go w tamtej szopie... a tu chyba spędził noc! - Wskazał drzwi do piwnicy. - Pomyślałem, żeby wezwać policję. Nie po raz pierwszy włamali się tam ludzie, którzy biorą narkotyki. Ale odjechali! Już ich tu nie ma. Odjechali jakiś czas temu. Pół godziny...

- Już pan to mówił - przerwała mu Vic. Miała ochotę złapać go za tłusty kark i potrząsnąć. - Czy był z nim chłopiec? Chłopiec z tyłu samochodu?

- Nie wiem! - odparł mężczyzna, przyłożył palec do ust i spojrzał w niebo z wyrazem niemal komicznego zdumienia na twarzy. - Pomyślałem, że ktoś z nim jest. Z tyłu. Tak. Tak, założę się, że w samochodzie był dzieciak! - Znów na nią popatrzył. - Dobrze się pani czuje? Wygląda pani okropnie. Chce pani skorzystać z mojego telefonu? Powinna pani się czegoś napić.

- Nie. Tak... dziękuję. W porządku.

Zachwiała się, jakby wstała zbyt szybko i dostała zawrotu głowy. On tu był. Wayne tu był i zniknął. Pół godziny temu.

Most doprowadził ją w niewłaściwe miejsce. Most, który zawsze pozwalał jej przebyć odległość między zgubionym i znalezionym, doprowadził ją w niewłaściwe miejsce. Może ten zrujnowany kościół, to gruzowisko zwęglonych belek i potłuczonego szkła, był Domem Snu i ona chciała znaleźć to miejsce, pragnęła tego z całego serca, ale przecież tylko dlatego, że tutaj miał być Wayne. Wayne miał być tutaj - nie gdzieś w drodze z Charliem Manxem.

W tym problem, pomyślała ze zmęczeniem. Tak jak płytki scrabble Maggie Leigh nie mogły podawać imion i nazwisk - Vic teraz to sobie przypomniwała, wiele zapamiętała z tamtego dnia - tak most potrzebował solidnego zakotwiczenia na twardej ziemi z obu swoich końców. Jeśli Manx jechał gdzieś teraz międzystanową most nie mógł znaleźć połączenia. Byłoby to jak próba strącenia kijem wystrzelonej kuli. (Vic

wróciła myślą do ołowianego pocisku w jeziorze, jak go odganiała, a potem znalazła w ręce). Krótsza Droga nie wiedział, jak doprowadzić ją do czegoś, co się porusza, więc zrobił to, co w tym wypadku było najlepsze. Nie mogąc doprowadzić jej tam, gdzie Wayne jest, doprowadził ją tam, gdzie się ostatnio zatrzymał.

Wzdłuż fundamentu truskawkoworóżowego domu rosły nienaturalnie czerwone kwiaty. Dom stał z dala od ulicy i od innych domów, niemal tak odludny jak chata czarownicy z bajki – i na swój sposób równie fantastyczny jak chatka z piernika. Trawnik był wypielegnowany. Brzydki mały mężczyzna zaprowadził ją na tyły do siatkowych drzwi, za którymi znajdowała się kuchnia.

- Chciałbym mieć drugą szansę – powiedział.

- Na co?

Potrzebował dłuższej chwili, żeby się nad tym zastanowić.

- Szansę na dokończenie pewnych spraw. Mogłem zapobiec ich odjazdowi. Tego mężczyzny i pani syna.

- Skąd pan mógł wiedzieć? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Przebyła pani długą drogę? – zapytał cienkim, nienaturalnym głosem.

- Tak. Na swój sposób – odparła. – Nie naprawdę.

- Aha. Teraz rozumiem – powiedział bez cienia sarkazmu.

Przytrzymał jej drzwi i Vic weszła przed nim do kuchni.

Znalezienie się w klimatyzowanym pomieszczeniu przyniosło jej ulgę, było niemal równie dobre jak szklanka zimnej wody z gałązką mięty.

Była to kuchnia babci, która umie piec kruche ciasteczka i piernikowe ludziki. Dom nawet pachniał trochę piernikami. Na ścianach wisiały kuchenne makatki z rymowankami.

*MODLĘ SIĘ DO BOGA CODZIENNIE PO TROCHU
ŻEBY MAMA NIE DAWAŁA MI ZA DUŻO GROCHU.*

Vic zobaczyła opartą o krzesło poobijaną zieloną butlę. Przypominała butle z tlenem, które przez ostatnie miesiące

życia jej matki dostarczano co tydzień do domu. Założyła, że ten mężczyzna ma chorą żonę.

- Mój telefon jest pani telefonem - powiedział donośnie, fałszywie brzmiącym głosem.

Grzmot huknął na zewnątrz, dość mocno, by wstrząsnąć podłogą.

Vic minęła stół, idąc do starego czarnego telefonu przyśrubowanego do ściany obok otwartych drzwi piwnicy. Na stole leżała otwarta walizka, a w niej kłębowisko bielizny i koszulek, a także zimowych czapek i grubych rękawic z jednym palcem. Na podłodze obok stołu leżały koperty, ale zwróciła na to uwagę dopiero wtedy, gdy zaszeleściły jej pod nogami. Szybko zrobiła krok w bok.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nic nie szkodzi. To mój bałagan. Mój bałagan i ja posprzątam. - Pochylił się i zgarnął pocztę w duże, sękatę dłonie. - Bingu, Bingu, niebożę, jesteś do chrzanu o każdej porze!

Była to żalosna rymowanka i Vic wolałaby, żeby jej nie zaśpiewał. Jakby coś, co miało wyjść jak marzenie, zaczynało nadpsuwać się na skrajach.

Odwróciła się w stronę telefonu, wielkiego, masywnego aparatu z obracaną tarczą. Chciała podnieść słuchawkę, ale nagle oparła głowę o ścianę i zamknęła oczy. Była zbyt zmęczona i bardzo bolało ją lewe oko. Poza tym nie wiedziała, do kogo zadzwonić. Chciała, żeby Tabitha Hutter dowiedziała się o kościele na szczycie wzgórza, o spalonym Domu Bożym (BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM, ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ), gdzie Manx i jej syn spędzili noc. Chciała, żeby Tabitha Hutter tu przyjechała i porozmawiała z tym starym, który ich widział, ze starym o imieniu Bing (Bing?). Ale jeszcze nawet nie wiedziała, gdzie jest, i co więcej, nie była pewna, czy telefonowanie na policję leży w jej interesie.

Bing. To imię w pewien sposób ją niepokoiło.

- Mówił pan, że jak się nazywa? - zapytała, zastanawiając się, czy się nie przesłyszała.

- Bing.

- Jak wyszukiwarka Bing?

- Zgadza się. Ale ja używam Google.

Roześmiał się - odgłos wyrażał bardziej wyczerpanie niż dobry humor - i Vic spojrzała na niego z ukosa. Stał odwrócony do niej plecami, zdejmował coś z haczyka wbitego przy drzwiach. Wyglądało to jak bezkształtny czarny kapelusz. Rzuciła okiem na starą, powgniataną zieloną butlę i zobaczyła, że wcale nie zawiera tlenu. Naniesione przez szablon litery układały się w napisy: SEWOFLURAN. ŁATWOPALNE.

Skierowała wzrok z powrotem na telefon. Podniosła słuchawkę, ale wciąż nie wiedziała, do kogo chce zadzwonić.

- To zabawne - mruknęła. - Mam własną wyszukiwarkę. Mogę zadać panu dziwne pytanie, Bing?

- Jasne.

Wsunęła palec w otworek tarczy, ale jej nie obróciła.

Bing. Bing. Nie tyle imię, ile dźwięk srebrnego młoteczka uderzającego w szklany dzwonek.

- Jestem trochę skołowana i nazwa tego miasta uciekła mi z głowy - powiedziała. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie ja, do cholery, jestem?

Manx miał srebrny młotek, a towarzyszący mu mężczyzna rewolwer. „Bang”, powiedział. „Bang”. Tuż zanim do niej strzelił. Tylko że powiedział to w dziwny, śpiewny sposób, więc słowa bardziej przypominały fragment dziecięcej wyliczanki niż groźbę.

- No pewnie - wymamrotał za jej plecami stłumionym głosem, jakby przyciskał chusteczkę do nosa.

Wtedy rozpoznała jego głos. Był głuchy, jak wówczas, gdy słyszała go ostatnio, przez dzwonienie w uszach spowodowane hukami strzału. W końcu go rozpoznała.

Obróciła się na pięcie, już wiedząc, co zobaczy. Bing miał na głowie tę staroświecką maskę przeciwgazową z drugiej wojny światowej. W prawej ręce trzymał sekator.

- Jesteś w Domu Snu - powiedział. - Koniec pieśni, dziwko.

Uderzył ją w twarz sekatorem, łamiąc jej nos.

Dom Snu

Vic zrobiła trzy małe, chwiejne kroki w tył i uderzyła obcasami w próg. Jedyne otwarte drzwi prowadziły do piwnicy. Zdążyła to sobie przypomnieć, gdy nogi się pod nią ugięły i poleciała do tyłu, jakby chciała usiąść, ale przecież nie było za nią żadnego krzesła. Nie było też podłogi. Przewróciła się i zaczęła spadać.

To będzie bolało, pomyślała, choć nie czuła niepokoju. Po prostu akceptowała fakt.

Doświadczyła krótkiego uczucia zawieszenia, jej wnętrzności stały się elastyczne i dziwne. Powietrze szumiało w uszach. Ujrzała w przelocie gołą żarówkę i sklejkę między belkami.

Klapnęła na schody tyłkiem, aż zachrzęściły kości, i fiknęła kozła z gracją poduszki ciśniętej w powietrze. Pomyślała o ojcu wyrzucającym papierosa za okno jadącego samochodu, jak niedopałek spada na asfalt i strzela iskrami w chwili zderzenia.

Uderzyła ramieniem w następny stopień i znowu się odbiła. Zahaczyła o coś kolanem, trafiła w coś policzkiem – miała wrażenie, że została kopnięta.

Vic założyła, że u stóp schodów rozbije się jak zrzucony wazon. Zamiast tego wylądowała na nierównym pagórku czegoś miękkiego, opakowanego w folię. Uderzyła w to twarzą, ale dolna część ciała jeszcze nie zakończyła podróży, jej stopy szaleńczo pedałowwały w powietrzu. „Patrz, mamo, staję na rękach!”. Vic przypomniała sobie, jak krzyczała w Święto Niepodległości, spoglądając na świat, w którym niebo stało się trawą, a ziemia gwiazdami. W końcu znieruchomiała, leżąc na wznak na miękkiej folii, z kłatką schodową za plecami.

Patrzyła na strome schody, widząc je do góry nogami. Nie czuła prawej ręki. Lewe kolano zdrętwiało. Była przekonana, że niebawem wybuchnie w nim ból nie do wytrzymania.

Bing schodził po schodach z zieloną butlą w ręce, trzymając ją za zawór. Sekator zostawił w kuchni. Zaszła w nim straszna przemiana, maska przeciwgazowa zastąpiła jego twarz, w miejscu ust pojawiła się groteskowa gałka, jak u jakiejś pozaziemskiej istoty, a oczy zniknęły za plastikowymi okienkami. Vic chciała wrzasnąć, ale była zbyt oszołomiona, żeby wydać jakikolwiek dźwięk.

Bing zszedł z ostatniego stopnia i stanął w taki sposób, że jej głowa znalazła się między jego butami. Za późno przyszło jej na myśl, że znowu ją skrzywdzi. Oburącz podniósł butlę i opuścił na jej brzuch, wyciskając z niej powietrze. Vic zakaszła gwałtownie i przekręciła się na bok. Kiedy odzyskała dech, pomyślała, że zaraz zwymiotuje.

Butla zagrzecotała, gdy ją postawił. Człowiek w Masce Przeciwgazowej złapał ją za włosy i szarpnął. Rozdzierający ból spowodował, że krzyknęła, na przekór postanowieniu, że będzie milczeć. Chciał, żeby podniosła się na ręce i kolana, a ona posłuchała, ponieważ tylko w ten sposób mogła złagodzić cierpienia. Wsunął pod nią wolną rękę i złapał ją za pierś, ściskając, jakby oceniał dojrzałość grejpfruta. Zachichotał.

Potem pociągnął. Pełzła na czworakach, gdy tylko mogła, ponieważ wtedy mniej bolało, ale dla niego nie miało znaczenia, czy sprawia jej ból, czy nie. Kiedy ręce odmówiły jej posłuszeństwa, powłókł ją za włosy. Z przerażeniem usłyszała własny krzyk:

- Proszę!

Miała mętne pojęcie, jak wygląda piwnica, było to nie tyle pomieszczenie, ile długi korytarz. Zobaczyła pralkę i suszarkę, nagi manekin kobiety w masce przeciwgazowej, uśmiechnięte popiersie Jezusa, który rozdzierał szatę, żeby pokazać anatomicznie poprawne serce, z policzkiem zbrązowiałym i pokrytym bąblami, jakby poparzył go ogień. Słyszała płynące skądś metaliczne pobrząkiwanie. Trwało bez chwili przerwy.

Człowiek w Masce Przeciwgazowej zatrzymał się na końcu korytarza i Vic usłyszała stalowy szczęk, gdy odsuwał ciężkie

żelazne drzwi na przewodnicy. Jej zmysły nie nadażały za tempem wypadków. Jakaś jej część wciąż przebywała w głębi korytarza, patrząc na tego spalonego Jezusa. Inna część była w kuchni i spoglądała na poobijaną zieloną butlę opartą na krześle, SEWOFLURAN. ŁATWOPALNE. Część jej klęczała przy wypalonych ruinach kościoła New American Tabernacle Faith, trzymając w rękach kamień i waląc nim w lśniący zamek, dość twardy, by krzesać miedziane iskry. Część jej była w New Hampshire, paląc z detektywem Daltrym, obracając w palcach jego mosiężną zapalniczkę, tę z marynarzem Popeye.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej zmusił ją, żeby przeszła na kolanach przez przewodnicę, wciąż szarpiąc ją za włosy. W drugiej ręce włókł zieloną butlę, SEWOFLURAN. To ona tak dzwoniła - podstawa butli dzwoniła cicho i bez przerwy, ciągnięta po betonie. Brzęczała jak tybetańska misa modlitewna, mnich toczył malet wokół świętego naczynia.

Za progiem szarpnął ją do przodu, mocno, i znowu znalazła się na czworakach. Kopnął ją w tyłek i ręce się pod nią ugięły.

Upadła na podbródek. Zęby jej się zatrzasnęły i wszystkie przedmioty w pomieszczeniu - lampa w kącie, łóżko polowe, zlew - rozbłysły czernią, jakby każdy z nich miał tajemne cieniste ja, które można zbudzić, spłoszyć do lotu jak stado wróbli.

Przez chwilę to stado cieni groziło, że zaraz na nią opadnie. Przepłoszyła je okrzykiem. Pomieszczenie pachniało starymi rurami, betonem, brudną pościelą i gwałtem.

Vic chciała się podnieść, ale już samo zachowanie przytomności było wystarczająco trudne. Wyczuwała tę drżącą, żywą ciemność, gotową się rozwinąć i spowić wszystko wokół niej. Jeśli teraz zemdleje, przynajmniej nie będzie czuła, jak ten bydlak ją gwałci. Nie będzie też czuła, jak ją zabija.

Drzwi zagrzechotały i zamknęły się ze srebrzystym dźwiękiem, który zawibrował w powietrzu. Człowiek w Masce Przeciwigazowej złapał ją za ramię, przewrócił na

plecy. Jej głowa zakołysała się bezwładnie, czaszka stuknęła w dziobaty beton. Kurdupel ukląkł nad nią z przejrzystą plastikową maską w ręce, profilowaną, dostosowaną do kształtu ust i nosa. Chwycił ją za włosy, szarpnął głowę, założył jej maskę na twarz. Przycisnął dłonią. Przejrzysta plastikowa rurka biegła od maski do zbiornika.

Vic uderzyła w rękę przyciskając maskę do jej twarzy, próbowała drapać go po nadgarstku, ale miał grube płócienne rękawice ogrodnicze. Nie mogła znaleźć ciała.

- Oddychaj głęboko - powiedział. - Poczujesz się lepiej. Po prostu się odpręż. Dzionek dobiegł końca, słońce zaszło za górami, Pan Bóg płonął żywcem, ja dobiłem go kulami.

Jedną ręką trzymał maskę, drugą sięgnął do tyłu i przekręcił zawór butli. Vic usłyszała syk i poczuła na ustach tchnienie chłodnego powietrza, a potem podmuch czegoś, co pachniało jak piernik.

Złapała rurkę, okręciła ją wokół ręki i szarpnęła. Rurka z cichym pyknięciem wyskoczyła z zaworu. Z butli wystrzelił biały opar. Człowiek w Masce Przeciwigazowej spojrzał na zieloną butlę, ale nie wydawał się wcale przejęty.

- Mniej więcej połowa z nich to robi - powiedział. - Nie lubię tego, bo marnuje się gaz, ale jeśli nie chcesz po dobroci, załatwimy to inaczej.

Zerwał maskę z jej twarzy, rzucił ją w kąt. Gdy Vic zaczęła podnosić się na łokciach, uderzył ją pięścią w brzuch. Skuliła się, obejmując bolesne miejsce, trzymając mocno, jak kochanka. Odetchnęła przeciągle. Piwnica była pełna przyprawiającego o zawrót głowy gazu o zapachu piernika.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej był niski - piętnaście centymetrów niższy od niej - i korpulentny, lecz mimo to poruszał się ze zwinnością artysty ulicznego, faceta, który gra na bandzo, jednocześnie chodząc na szczudłach. Podniósł butlę oburącz i ruszył w jej stronę, celując w nią otwartym zaworem. Płynęła z niego biała mgiełka gazu, który szybko się rozpraszał, znikał, stawał się niewidzialny. Wciągnęła kolejny haust powietrza, które smakowało jak deser. Cofała się, odpychając od podłogi rękami i piętami, sunąc na tyłku.

Chciała wstrzymać oddech, ale nie mogła. Jej drżącym mięśniom brakowało tlenu.

- Dokąd idziesz? - zapytał kurdupel przez maskę przeciwgazową. Szedł za nią z butlą, rozpylając gaz. - Pomieszczenie jest hermetyczne. Dokądkolwiek byś poszła, musisz oddychać. Mam w tym zbiorniku trzysta litrów. Taką ilością mógłbym uspić namiot pełen słońi, skarbie.

Kopnął jej stopę, rozsuwając nogi, potem czubkiem tenisówki nacisnął na jej krocze. Krzyknęła z odrazy. Opadło ją przelotne, ale dojmujące wrażenie, że jest gwałcona. Przez chwilę żałowała, że gaz jeszcze nie pozbawił jej przytomności, nie chciała czuć tam jego stopy, nie chciała wiedzieć, co się stanie później.

- Suko, suko, kładź się spać - wymamrotał Człowiek w Masce Przewodzącej. - Śpij, gdy będę cię dymać. - Znowu zachichotał.

Vic wcisnęła się w kąt, uderzyła głową w otynkowaną ścianę. On wciąż się zbliżał, trzymając butlę, rozpylając białą mgłę. Sewofluran zmiękczał kontury każdego przedmiotu, rozmywał krawędzie. Vic wiedziała, że po drugiej stronie piwnicy stoi łóżko, ale teraz dostrzegła zarysy trzech łóżek, nakładających się na siebie, na wpół ukrytych za dymem. W gęstniejącej mgłę sam Człowiek w Masce Przewodzącej się rozdzielił, a potem scalił.

Podłoga przechylała się pod nią powoli, przemieniała w zjeżdżalnię, i Vic w każdej chwili mogła się po niej zsunąć, od rzeczywistości w nieświadomość. Kopała nogami, zapierała się obcasami o podłogę, żeby nie zjechać, żeby utrzymać się w kącie pokoju. Wstrzymała oddech, ale jej płuca wypełniało nie powietrze, lecz ból, a serce dudniło jak silnik triumpha.

- Jesteś tutaj i wszystko będzie lepiej! - wykrzyczał Człowiek w Masce Przewodzącej, nagle oszalały z podniecenia. - Jesteś moją drugą szansą! Jesteś tutaj, i teraz pan Manx wróci i zabierze mnie do Gwiazdkowej Krainy! Jesteś tutaj, a ja w końcu dostanę, co mi się należy!

Przez jej głowę przemykały obrazy, szybko, jak karty tasowane przez magika. Znowu była na podwórzu za domem,

Daltry pocierał kciukiem swoją zapalniczkę, płomień się nie pojawił, więc wzięła ją od niego i przy pierwszej próbie skoczyła błękitna iskra. Przez chwilę oglądała rysunek na boku zapalniczki, Popeye zadaje potężny cios, efekt dźwiękowy wyrażony jakimś słowem, nie pamiętała jakim. Potem przed oczami stanęło jej ostrzeżenie wypisane na butli z gazem: ŁATWOPALNE. Później jego miejsce zajęła prosta myśl. Nie obraz, lecz decyzja. Zabiorę go ze sobą. Zabiję tego gnojka.

Zapalniczka, pomyślała, jest w prawej kieszeni. Spróbowała po nią sięgnąć, ale równie dobrze mogłaby próbować ją wyłowić z bezdenne go woreczka scrabble Maggie; kieszeń nie miała końca.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej stanął przy jej stopach, celując w nią zaworem, trzymając butlę w obu rękach. Słyszała, jak butla do niej szepcze, jak wydaje długie, zabójcze polecenie zachowania ciszy: Szszszsz.

Jej palce dotknęły metalu, zamknęły się wokół niego. Wyszarpnęła rękę z kieszeni i podniosła zapalniczkę, trzymając ją między sobą i Człowiekiem w Masce Przeciwigazowej, jak krzyż do odstraszania wampira.

- Nie zmuszaj mnie - wysapała i znów zaczerpnęła haust trującego piernikowego dymu.

- Nie zmuszać cię do czego? - zapytał.

Otworzyła wieczko zapalniczki. Człowiek w Masce Przeciwigazowej usłyszał pstryknięcie, dopiero teraz zobaczył zapalniczkę, cofnął się o krok.

- Hej - powiedział z nutą ostrzeżenia w głosie. Zrobił kolejny krok do tyłu, trzymając butlę w ramionach jak dziecko. - Nie! To nie jest bezpieczne! Zwariowałaś?

Vic przeciągnęła kciukiem po stalowej zębatce. Kółko przekręciło się ze zgrzytem i z kamienia strzelił pęk białych iskier, i przez jedną cudowną chwilę wstążka błękitnego ognia płonęła w powietrzu. Płomień rozwinął się jak ognisty wąż, pędząc prosto w stronę butli. Delikatny biały opar tryskający z zaworu przemienił się w dziki jęzor ognia.

Butla z sewofluranem na chwilę stała się miotaczem ognia

o niewielkim zasięgu, rzygającym płomieniem z boku na bok, gdy Człowiek w Masce Przeciwigazowej chwiejnie odsuwał się od Vic. Zrobił trzy kroki, mimowolnie ratując jej życie. W jaskrawym świetle zdążyła przeczytać, co było napisane na zapalnicze:

ŁUBUDU!

Wyglądało to tak, jakby Człowiek w Masce Przeciwigazowej wycelował wyrzutnię raketową w swoją pierś i odpalił ją z bliskiej odległości. Butla eksplodowała, dno odpadło. Biały strumień płonącego gazu poderwał go w powietrze i rzucił na drzwi. Trzysta litrów sprężonego sewofluranu wybuchło, przemieniając butlę w ogromną laskę trotylu. Vic nie umiałaby znaleźć porównania dla dźwięku, z jakim to się stało: potężny trzask sprawił, że poczuła się tak, jakby igły przebiły jej bębenki.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej uderzył w żelazne drzwi z siłą wystarczającą, żeby je wyrwać z prowadnic. Vic zobaczyła coś, co wydawało się wybuchem czystego światła. Powietrze rozjarzone gazową jasnością sprawiało, że połowa pomieszczenia zniknęła w oślepiającym białym rozbłysku. Vic odruchowo poderwała rękę, żeby osłonić twarz, i zobaczyła, jak delikatne złote włoski na gołych ramionach skręcają się i kurczą z gorąca.

W następstwie eksplozji świat się zmienił. Piwnica rozszerzała się i kurczyła jak serce. Przedmioty pulsowały zgodnie z jej przyspieszonym tętnem. W powietrzu wirował złoty dym.

Kiedy tu weszła, widziała cienie wyskakujące zza mebli. Teraz meble rozsiewały błyski jasności. Wydawało się, że puchną i próbują wybuchnąć jak butla z gazem.

Vic poczuła wilgoć ściekającą po policzku i pomyślała, że to łzy, ale kiedy dotknęła twarzy, palce zrobiły się czerwone.

Zadecydowała, że powinna odejść. Wstała i zrobiła krok, a wtedy pomieszczenie gwałtownie przechyliło się w lewo. Osunęła się z powrotem na podłogę.

Przyklękła, jak każą robić w Małej Lidze, gdy ktoś odniesie obrażenia. Płonące strzępy unosiły się w powietrzu. Piwnica

przechyliła się w prawo, a ona wraz z nią. Runęła na bok.

Jasne promienie wyskakiwały z łóżka, ze zlewu, błyskały wokół drzwi. Do tej pory nie miała pojęcia, że każdy przedmiot na świecie może zawierać tajemne jądra ciemności i światła i że potrzeba tylko gwałtownego szoku, aby ujawnić jedno bądź drugie. Z każdym uderzeniem serca światło stawało się coraz jaśniejsze. Nie słyszała żadnego dźwięku z wyjątkiem chrapliwej, nierównej pracy własnych płuc.

Odetchnęła głęboko, wdychając aromat przypalonego piernika. Świat stał się jasną bańką światła, która rosła na jej oczach, puchła, przysłaniała wszystko inne, zbliżając się do nieuchronnego... Puf!

GWIAZDKOWA KRAINA 7-9 LIPCA



Aleja Świętego Mikołaja

Na północ od Columbus Wayne na chwilę zamknął oczy, a kiedy je otworzył, na nocnym niebie spał bożonarodzeniowy księżyc, a po obu stronach autostrady tłoczyły się bałwany, które obracały głowy, żeby patrzeć na przejeżdżającego

Upiora.

Przed nimi wznosiły się góry, kolosalna ściana czarnego kamienia na krawędzi świata. Szczyty były takie wysokie, że wyglądało, jakby księżyc mógł o nie zahaczyć.

W kotlinie nieco poniżej szczytowych partii najwyższej góry znajdował się koszyk światła. Płonął w mroku, widoczny z odległości setek kilometrów, wielka rozjarzona świąteczna ozdoba. Widok był tak ekscytujący, że Wayne z trudem mógł usiedzieć na miejscu. Był to puchar ognia, szufelka gorących węgla. Żar pulsował i Wayne pulsował razem z nim.

Pan Manx luźno trzymał jedną rękę na kierownicy. Droga biegła idealnie prosto, jak wytyczona przy linii. Radio było włączone, chłopięcy chór śpiewał *O Come All Ye Faithful*. Serce Wayne'a śpiewało odpowiedź na ich święte zaproszenie: Jesteśmy w drodze. Jedziemy jak najszybciej. Zachowajcie dla nas odrobinę Bożego Narodzenia.

Bałwany stały w gromadach, całymi rodzinami: bałwankowi ojcowie, bałwankowe matki z bałwankowymi dziećmi i bałwankowymi zwierzakami. Podmuch wzbudzony przez samochód tarosił ich pasiaste szaliki. Wayne widział ich cylindry, kukurydziane fajki i marchewkowe nosy. Wszystkie bałwany wymachiwały wygiętymi patykami rąk, salutując panu Manxowi, jemu i NOS4A2, gdy przejeżdżali. Czarne węgielki ich oczu połyskiwały, rozświetlając noc, jaśniejsze niż gwiazdy. Jeden bałwankowy pies trzymał kość w pysku. Jeden bałwankowy tata stał z uniesioną nad głową jemiołą, podczas gdy bałwankowa mama zamarzała w akcie dawania mu całusa w okrągły biały policzek. Jedno bałwankowe dziecko stało między pozbawionymi głów rodzicami, z siekierą w ręce. Wayne śmiał się i klaskał, żywe bałwany były najrozkoszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widział. Ależ głupstwa wyczyniają!

- Co będziesz chciał zrobić zaraz po tym, jak tam dojedziemy? - zapytał pan Manx z mroku przedniego fotela. - Kiedy dotrzemy do Gwiazdkowej Krainy?

Wachlarz możliwości był tak ekscytujący, że Wayne miał kłopot z ich uporządkowaniem.

- Pójdę do skalno-cukrowej groty, żeby zobaczyć człowieka śniegu. Nie! Wybiorę się na przejażdżkę saniami Mikołaja i uratuję go przed chmurzastymi piratami!

- Doskonały plan! - pochwalił Manx. - Najpierw przejażdżka! Później zabawy!

- Jakie zabawy?

- Dzieci mają swoją ulubioną grę zwaną nożyczki dla włóczęgi, najlepszą zabawę, jaką znasz! Jest też kij w oko. Synu, nie poznasz prawdziwej zabawy, dopóki nie zagrasz w kij w oko z kimś naprawdę zważym. Spójrz! Spójrz w prawo! Śnieżny lew odgryza głowę śnieżnej owcy!

Wayne obrócił się całym ciałem, żeby wyrzeć przez okno, ale kiedy to zrobił, jego babcia zasłoniła mu widok.

Wyglądała tak samo jak poprzednim razem. Była jaśniejsza niż cokolwiek innego z tyłu samochodu, jasna jak śnieg w księżycowej poświacie. Oczy miała ukryte za błyszczącymi srebrnymi półdolarówkami. Przysyłała mu półdolarówki na urodziny, ale sama nigdy się nie zjawiała - tłumaczyła się, że nie lubi latać.

- .niebo fałszywe To - powiedziała Linda McQueen. - .samym tym są nie zabawa i Miłość .odwracać próbujesz nie ,walczyć próbujesz Nie

- Co to znaczy, że niebo jest fałszywe? - zapytał Wayne.

Wskazała za okno i Wayne wykręcił szyję, żeby spojrzeć w górę. Przed chwilą niebo przysłaniał wirujący śnieg. Teraz wypełniał je śnieg zakłóceń - milion miliardów drobnych cętek czerni, szarości i bieli brzęczało wściekle nad szczytami gór. Wayne poczuł pulsujący ból gdzieś za oczami. Widok nie raził - w rzeczywistości był całkiem przymglony - ale szaleńczy ruch sprawiał, że trudno mu było patrzeć. Wzdrygnął się, zamknął oczy, odsunął od okna. Babcia zwróciła ku niemu twarz z oczyma ukrytymi za monetami.

- Gdybyś chciała się ze mną bawić, powinnaś mnie odwiedzać w Kolorado - powiedział. - Moglibyśmy mówić wstecz, ile byś tylko chciała. Kiedy żyłaś, nie rozmawialiśmy nawet normalnie. Nie rozumiem, dlaczego teraz chcesz rozmawiać.

- Do kogo mówisz, Wayne? - zapytał Manx.

- Do nikogo - odparł. Sięgnął obok Lindy McQueen, otworzył drzwi i wypchnął ją z samochodu.

Nic nie ważyła. To było łatwe, jak wypchnięcie torby patyków. Babcia wypadła z samochodu i uderzyła w asfalt z suchym chrzęstem i niemal melodyjnym grzechotem, i w tej samej chwili Wayne zbudził się w stanie

Indiana

Odwrócił głowę i spojrzał przez tylne okno. Butelka rozbiła się na drodze, sproszkowane szkło utworzyło pajęczynę na asfalcie, odłamki turlały się i dzwoniły. Manx wyrzucił jakąś butelkę. Wayne widział to nie po raz pierwszy. Charlie Manx nie sprawiał wrażenia faceta, który zawraca sobie głowę recyklingiem.

Kiedy Wayne usiadł - wbijając kostki palców w oczy - bałwany zniknęły. Podobnie jak śpiący księżyc, góry i płonąca w dali perła Gwiazdkowej Krainy.

Widział wysoką zieloną kukurydzę i knajpę z krzykliwym dziesięciometrowym neonem w kształcie blondynki w krótkiej spódniczce i kowbojskich butach. Gdy neon zamrugał, dziewczyna poderwała nogę, odchyliła głowę, zamknęła oczy i pocałowała ciemność.

Manx spojrzał na niego w lusterku wstecznym. Wayne czuł rumieńce na policzkach i miał mętlik w głowie po głębokim śnie. Być może z tego powodu wcale nie był zaskoczony, że Manx wygląda młodo i zdrowo.

Nie miał kapelusza i był łysy jak zawsze, ale czaszkę miał gładką i różową, nie białą i plamistą. Wczoraj wyglądała jak globus z mapą kontynentów, których nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby odwiedzić: Wyspa Mięsaka, Północna Plama Wątrobowa. Oczy, patrzące na niego spod łuków brwi koloru szronu, były nadzwyczaj bystre. Wayne nie sądził,

żeby w ciągu spędzonego razem czasu widział bodaj jedno mrugnięcie. Równie dobrze Manx mógł wcale nie mieć powiek.

Wczoraj rano przypominał żywego trupa. Teraz wyglądał jak zdrowy, energiczny mężczyzna po sześćdziesiątce. Ale z jego oczu wyczierała tępota – zachłanna bezmyślność ptaka, który wbija ślepią w leżącą na jezdni padlinę i zastanawia się, czy zdoła skubnąć parę smakowitych kąsków i uniknąć rozjechania.

- Czy pan mnie zjada? – zapytał Wayne.

Manx się zaśmiał, z jego gardła popłynęło chrapliwe krakanie. Nawet pod tym względem przypominał wronę.

- Jeszcze nie ugryzłem ani kawałeczka i raczej tego nie zrobię – odparł. - Nie jestem pewien, czy nadawałbyś się na posiłek. Niewiele na tobie mięsa, a na dodatek już lekko trącisz. Wolę zaczekać na te frytki z batatów.

Wayne czuł, że coś jest z nim nie w porządku. Nie potrafił tego dokładnie określić. Był obolały, potłuczony i rozpalony, ale może tylko skutek spania w samochodzie. Do tego dochodziło coś więcej. Odnosił wrażenie, że niewłaściwie reaguje na zachowanie i słowa Manxa. Kiedy Manx powiedział „trącisz”, o mało nie parsknął śmiechem. Nigdy dotąd nie słyszał, żeby takie słowo padło w rozmowie, i uznał to za śmieszne. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nikt normalny nie śmiałby się z doboru słów swojego porywacza.

- Przecież jest pan wampirem – powiedział. - Zabiera pan coś ze mnie i bierze dla siebie.

Manx przyglądał mu się przez chwilę w lusterku wstecznym.

- Samochód sprawia, że obu nam się polepsza. Jest jak jeden z tych pojazdów, które obecnie nazywa się hybrydami. Wiesz, co to są hybrydy? Jeżdżą w połowie na benzynie, w połowie na dobrych chęciach. Ale Upiór jest oryginalną hybrydą! Jeździ na benzynie i na złych zamiarach. Myśli i uczucia są po prostu kolejnym rodzajem źródła energii, jak ropa. Ten stary model rolls-royce'a może przejechać wiele kilometrów, napędzany wszystkimi twoimi złymi uczuciami

oraz tym, co kiedykolwiek cię skrzywdziło i przestraszyło. Wcale nie używam przerośniętych. Masz jakieś blizny?

- Kiedyś pośliznąłem się ze szpachelką i została mi szrama.
- Wayne podniósł prawą rękę, ale gdy na nią spojrział, nie mógł znaleźć cienkiej jak włos blizny na opuszku kciuka. Nie miał pojęcia, co mogło się z nią stać.

- Droga do Gwiazdkowej Krainy usuwa wszelkie smutki, koi ból i wymazuje blizny. Zabiera wszystko, co nie daje ci niczego dobrego, a to, co zostaje, jest jasne i czyste. Gdy przybędziemy do celu podróży, będziesz wolny nie tylko od bólu, ale również od jego wspomnień. Całe twoje nieszczęście jest jak brud na szybie. Kiedy samochód skończy cię uzdrawiać, szyba będzie idealnie przejrzysta, a ty będziesz lśnić czystością. Podobnie jak ja.

- Aha - mruknął Wayne. - A gdyby nie było mnie tu z panem? Gdyby pan sam jechał do Gwiazdkowej Krainy? Czy wtedy samochód by pana... odmłodził? Czyby sprawił, że lśniłby pan czystością?

- No nie, zadajesz mnóstwo pytań! Założę się, że jesteś piątkowym uczniem. Nie. Nie mogę sam jechać do Gwiazdkowej Krainy. Sam nie potrafię znaleźć drogi. Bez pasażera ten samochód jest po prostu zwyczajnym samochodem. I właśnie to jest najlepsze! Mogę być szczęśliwy i zdrowy tylko wtedy, gdy uszczęśliwiam i uzdrawiam innych. Uzdrawiająca droga do Gwiazdkowej Krainy dostępna jest tylko dla niewinnych. Samochód nie pozwoli, żebym zagarnął ją całą wyłącznie dla siebie. Muszę wyświadczać dobro innym, jeśli sam chcę je otrzymać. Gdybyż tak reszta świata podlegała tej samej regule!

- Czy to uzdrawiająca droga do Gwiazdkowej Krainy? - zapytał Wayne, spoglądając przez okno. - Bardziej wygląda na międzystanową osiemdziesiątkę.

- To jest międzystanowa osiemdziesiątka... bo się przebudziłeś. Ale minutę temu śniłeś słodkie sny i jechaliśmy Aleją Świętego Mikołaja pod starym panem Księżycem. Nie pamiętasz? Nie pamiętasz bałwanów i gór w dali?

Wayne nie byłby bardziej wstrząśnięty, gdyby wjechali w

głęboki wybój. Nie podobała mu się myśl, że Manx był z nim w jego śnie. Na chwilę wrócił do wspomnienia tego obłąkańczego nieba wypełnionego śniegiem zakłóceń. Niebo fałszywe jest to. Wayne wiedział, że babcia Linda próbowała mu coś powiedzieć - usiłowała podsunąć mu sposób na ochronę przed tym, co robił mu Manx wraz z tym samochodem - ale jej nie rozumiał. Wydawało mu się, że rozgryzienie, o co jej chodziło, wymagałoby zbyt wielkiego wysiłku. Poza tym uznał, że jest trochę za późno na dawanie i wysłuchiwanie dobrych rad. Niezupełnie się starała powiedzieć mu coś pożytecznego za życia i podejrzewał, że nie lubiła jego ojca tylko dlatego, że jest gruby.

- Kiedy zaśniesz, znów znajdziemy drogę - podjął Manx.

- Im prędzej dotrzemy do Gwiazdkowej Krainy, tym prędzej przejedziesz się na saneczkowej kolejce górskiej, tym prędzej zagrasz w kij w oko z moimi córkami i ich przyjaciółmi.

Jechali wężozem wyciętym w lesie kukurydzy. Nad rzędami roślin piętrzyły się jakieś urządzenia, czarne łuki prosceniów na niebie. Wayne'owi wpadła do głowy myśl, że te maszyny są spryskiwaczami pełnymi trucizny. Skropią kukurydzę zabójczym deszczem, żeby uchronić ją od zjedzenia przez gatunki inwazyjne. Właśnie takie słowa - „gatunki inwazyjne” - dźwięczały w jego mózgu. Później kukurydza zostanie lekko przemyta i trafi na stoły ludzi.

- Czy ktoś kiedyś opuścił Gwiazdkową Krainę? - zapytał.

- Kiedy raz tam trafisz, nie będziesz chciał stamtąd odejść. Znajdziesz tam wszystko, czego tylko zapragniesz. Tam są najlepsze zabawy. I więcej waty cukrowej niż mógłbyś zjeść przez sto lat.

- Ale jeśli będę chciał, mogę opuścić Gwiazdkową Krainę?
Manx niemal wrogo spojrzął na niego w lusterku.

- Z drugiej strony może niektórzy nauczyciele uważają, że nękaś ich tymi wszystkimi pytaniami. Jakie masz stopnie?

- Niezbyt dobre.

- No tak. W takim razie z przyjemnością się dowiesz, że w Gwiazdkowej Krainie nie ma szkoły. Sam nie cierpiałem

szkoły. Wolałem tworzyć historię, niż o niej czytać. Wmawiają ci, że uczenie się jest przygodą. Ale to bzdury. Uczenie się to uczenie. Przygoda to przygoda. Moim zdaniem wystarczy umieć dodawać, odejmować i w miarę dobrze czytać. Wszystko inne z reguły prowadzi do wydumanych pomysłów i kłopotów.

Wayne zrozumiał, że nie będzie mógł opuścić Gwiazdkowej Krainy.

- Czy mogę mieć ostatnie życzenie?

- Posłuchaj. Zachowujesz się jak skazaniec. Nie jesteś w celi śmierci. Przybędziesz do Gwiazdkowej Krainy w lepszej kondycji, niż kiedykolwiek byłeś.

- Ale jeśli nie wrócę, jeśli będę musiał zostać tam na zawsze... chciałbym najpierw zrobić pewne rzeczy. Czy mogę zjeść ostatni posiłek?

- O co ci chodzi? Sądzisz, że w Gwiazdkowej Krainie nie dostaniesz jeść?

- Czy w Gwiazdkowej Krainie można dostać do jedzenia wszystko, czego dusza zapagnie?

- Jest wata cukrowa, kakao, hot dogi i lizaki, po których zawsze bolą mnie zęby. Jest wszystko, czego może chcieć dziecko.

- Zjadłbym kolbę kukurydzy. Z masłem - powiedział Wayne. - I napił się piwa.

- Jestem pewien, że nie będzie kłopotu z załatwieniem dla ciebie kukurydzy i... co powiedziałaś? Piwo korzenne? Tu na Środkowym Zachodzie mają dobre piwo korzenne. Jeszcze lepsza jest sarsaparyla.

- Nie piwo korzenne. Prawdziwe piwo. Chcę coorsa silver bullet.

- Dlaczego?

- Mój tata mówi, że wypiję z nim piwo na werandzie, kiedy będę miał dwadzieścia jeden lat. Powiedział, że będę mógł wypić jedno w Dzień Niepodległości i oglądać fajerwerki. Nie mogłem się doczekać. Przypuszczam, że teraz to się nie zdarzy. Poza tym pan powiedział, że w Gwiazdkowej Krainie każdego dnia jest Boże Narodzenie. Przypuszczam, że to

wyklucza obchody czwartego lipca. Mieszkańcy Gwiazdkowej Krainy nie są zbyt patriotyczni. Chciałbym też trochę zimnych ogni. W Bostonie miałem zimne ognie.

Jechali przez długi, niski most. Żłobkowany metal pomrukiwał smętnie pod kołami. Manx się odezwał dopiero wtedy, gdy wyjechali po drugiej stronie.

- Dzisiaj buzia ci się nie zamyka. Przejechaliśmy tysiąc kilometrów i dopiero teraz się rozgadałeś. Przekonajmy się, czy dobrze rozumiem. Chciałbyś, żebym ci kupił piwo, kaczan kukurydzy i fajerwerki na twój prywatny Dzień Niepodległości. Jesteś pewien, że nie chcesz nic więcej? Nie planowałeś, że zjesz ze swoją matką pasztet z wątróbek i kawior z okazji ukończenia ogólniaka?

- Wcale nie chcę mieć prywatnego Dnia Niepodległości. Po prostu chcę kilka zimnych ogni. I może parę fajerwerków. - Po chwili dodał: - Pan mówił, że jest moim dłużnikiem. Za zabicie mojego psa.

Zapadło ponure, przedłużające się milczenie.

- Tak - przyznał w końcu Manx. - Wypadło mi to z głowy. Nie jestem z tego dumny. Uznasz dług za spłacony, jeśli dam ci piwo, kolbę kukurydzy i kilka fajerwerków?

- Nie, ale nie poproszę o nic więcej. - Wayne spojrzął w okno i wypatrzył księżyc. Był wyszczerbionym kawałkiem kości, anonimowym i dalekim. Ani trochę nie był tak dobry jak księżyc w Gwiazdkowej Krainie. Wayne przypuszczał, że tam wszystko jest lepsze. - Skąd się pan dowiedział o Gwiazdkowej Krainie?

- Jeździłem tam z córkami - odparł Manx. - Iz moja pierwszą żoną. - Po chwili dodał: - Moja pierwsza żona była trudną kobietą. Trudno ją było zadowolić. Większość rudych jest taka. Miała długą listę skarg na mnie i doprowadziła do tego, że moje własne dzieci przestały mi ufać. Mieliśmy dwie córki. Jej ojciec dał nam pieniądze na prowadzenie interesów, a ja wydałem je na samochód. Ten samochód. Pomyślałem, że Cassie, moja pierwsza żona, będzie szczęśliwa, gdy przyjadę nim do domu. Zamiast tego była impertynencka i trudna jak zawsze. Powiedziała, że

zmarnowałem pieniądze. Oznajmiłem, że zostanę szoferem. Ona na to, że zostanę nędzarzem i ten sam los spotka ją wraz z córkami. Odnosiła się do mnie z pogardą i ubliżała mi przy dzieciach, czego żaden mężczyzna nie powinien doświadczyć. - Manx zacisnął ręce na kierownicy, aż pobiełały mu kostki palców. - Pewnego razu żona rzuciła mi w plecy lampą naftową i zapalił się mój najlepszy płaszcz. Myślisz, że przeprosiła? Ha! Pomyśl jeszcze raz. Wyśmiewała się ze mnie w Święto Dziękczynienia i na rodzinnych spotkaniach, przedrzeźniała mnie, udając, że stoi w płomieniach. Biegała, gulgocząc jak indor, wymachując rękami i wrzeszcząc: „Zgaś mnie, zgaś!”. Jej siostry zawsze miały z tego wielką uciechę. Coś ci powiem. Krew rudowłosych jest o trzy stopnie chłodniejsza niż krew normalnych kobiet. Potwierdziły to badania medyczne. - Spojrzał drwiąco na Wayne'a w lusterku wstecznym. - Oczywiście, te same cechy, które uniemożliwiają życie z nimi, sprawiają, że trudno jest trzymać się od nich z daleka, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Wayne tylko pokiwał głową.

- No tak. W takim razie w porządku - podjął Manx. - Chyba doszliśmy do porozumienia. Znam pewien lokal, gdzie możemy kupić fajerwerki tak głośne i jasne, że ogłuchniesz i oślepniesz, zanim je wszystkie wystrzelamy! Jutro po zmroku powinniśmy dojechać do biblioteki w Here. Tam możemy je wystrzelić. Gdy będziemy wystrzeliwać rakiety i rzucać wiśniowe petardy, ludzie pomyślą, że wybuchła trzecia wojna światowa. - Urwał, po czym dodał chytrym tonem: - Może panna Margaret Leigh dołączy do nas i razem będziemy świętować. Nie miałbym nic przeciwko, żeby zapalić pod nią lont i dać jej małą nauczkę, że nie należy wściubiać nosa w cudze sprawy.

- Dlaczego ona jest ważna? - zapytał Wayne. - Dlaczego po prostu nie zostawimy jej w spokoju?

Duża zielona ćma uderzyła w przednią szybę z miękkim, suchym odgłosem, zostawiając na szkle szmaragdową smugę.

- Jesteś bystrym młodym człowiekiem, Wayne Carmody - powiedział Manx. - Czytałeś artykuły na jej temat. Jestem pewien, że gdy nad tym pomyślisz, zrozumiesz, dlaczego mnie interesuje.

Kiedy jeszcze było jasno, Wayne przewertował papiery, które Manx przyniósł do samochodu, wyszperane przez Binga informacje o Margaret Leigh. Dziesiątki artykułów składały się na jedną wielką opowieść o porzuceniu, o uzależnieniu, o samotności... i o dziwnych, niepokojących cudach.

Pierwszy artykuł pochodził z początku lat dziewięćdziesiątych i ukazał się w „Cedar Rapids Gazette”: *Jasnowidzenie czy ślepy traf? Przeczucie miejscowej bibliotekarki ratuje dzieci.* Była to historia niejakiego Hayesa Archera, który mieszkał w Sacramento. Archer zapakował dwóch synów do nowiutkiej cessny i zabrał ich na nocny lot wzdłuż wybrzeża Kalifornii. Nie tylko samolot był nowy. To samo odnosiło się do jego licencji pilota. Czterdzieści minut po starcie jednosilnikowa cessna wykonała kilka chaotycznych manewrów, po czym zniknęła z radaru. Obawiano się, że w gęstniejącej mgle pilot stracił widoczność ziemi i rozbił się na morzu, próbując znaleźć horyzont. Zdarzenie nagłośniono w wiadomościach krajowych, gdyż Archer był wart małą fortunę.

Margaret Leigh zadzwoniła na policję w Kalifornii z wiadomością, że Archer i dzieci żyją, że nie rozbili się na morzu, tylko wylądowali i zniknęli w wąwozie. Nie mogła podać dokładnego położenia, ale uważała, że należy przeszukiwać wybrzeże w miejscu, gdzie może być sól.

Cessnę znaleziono dwanaście metrów nad ziemią, leżącą do góry kołami na sekwoi w - uwaga! - parku stanowym Solny Punkt. Chłopcom nic się nie stało. Ojciec miał złamane kręgi szyjne, ale spodziewano się, że przeżyje. Maggie powiedziała, że miała przebłysk nieprawdopodobnej wizji, kiedy grała w scrabble. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie samolotu na drzewie i drugie, przedstawiające Maggie pochyloną nad planszą scrabble podczas turnieju. Podpis

informował: „Mając takie przeczucia, Maggie może żałować, że wybrała scrabble, a nie grę na loterii!”.

W ciągu kolejnych lat miały miejsce inne zdarzenia: dziecko znalezione w studni, informacja o mężczyźnie zaginionym na morzu podczas próby opłynięcia świata. Ale stawały się coraz rzadsze, dzieliły je coraz dłuższe odstępy czasu. Ostatni krótki artykuł o Maggie pomagającej znaleźć zbiega ukazał się w roku 2000. Do 2008 panowała cisza, a późniejsze doniesienia dotyczyły nie cudów, lecz czegoś wręcz przeciwnego.

Najpierw Here w stanie Iowa nawiedziła powódź, spowodowała wielkie zniszczenia i zalała bibliotekę. Maggie o mało nie utonęła, próbując ratować książki, i doznała poważnego wyziębienia organizmu. Kwestarze zebrali za mało pieniędzy na odnowienie budynku i biblioteka została zamknięta.

W 2009 Maggie została oskarżona o wzniesienie pożaru w opuszczonym budynku. W chwili aresztowania miała przy sobie akcesoria narkotykowe.

W 2010 została aresztowana i oskarżona o bezprawne zajmowanie lokalu i posiadanie heroiny.

W 2011 została aresztowana za nagabywanie w celach uprawiania nierządu. Może Maggie Leigh umiała przepowiadać przyszłość, ale dar parapsychiczny jej nie uprzedził, że ma się trzymać z daleka od tajniaka w holu motelu Cedar Rapids. Dostała trzydzieści dni. Później tego samego roku znowu ją zgarnęli, ale tym razem trafiła do szpitala, nie do więzienia. Przyczyną było wyziębienie organizmu. Jej stan opisano jako „zbyt częsty wśród bezdomnych w stanie Iowa” i stąd Wayne się dowiedział, że mieszkała na ulicy.

- Chce się pan z nią zobaczyć, ponieważ wiedziała, że pan przybędzie, i powiedziała o tym mojej mamie.

- Muszę się z nią zobaczyć, ponieważ wiedziała, że ruszyłem w drogę, i chciała narobić mi kłopotów - poprawił Manx. - I jeśli z nią nie porozmawiam, nie będę miał pewności, czy znów nie sprawi mi kłopotów. Nie po raz

pierwszy mam do czynienia z osobą jej pokroju. Ilekroć to możliwe, staram się unikać takich ludzi jak ona. Zawsze są irytujący.

- Ludzi takich jak ona... To znaczy innych bibliotekarzy?

Manx parsknął.

- Przekomarzasz się ze mną. Cieszę się, widząc, że odzyskałeś poczucie humoru. Chciałem powiedzieć, że poza mną są inni, którzy mają dostęp do tajemnych wspólnych światów myśli. - Postukał się w skroń, żeby pokazać, gdzie znajduje się ten świat. - Ja mam swojego Upiora i kiedy wsiadam za kierownicę, mogę znaleźć wjazd na tajemne drogi, które wiodą do Gwiazdkowej Krainy. Znałem innych, którzy mogli używać własnych totemów, żeby przenicować rzeczywistość. Żeby kształtować ją jak miękką glinę. Niejaki Craddock McDermott twierdził, że jego duch istnieje w jego ulubionym garniturze. Człowiek, Który Chodzi do Tyłu miał straszny zegarek chodzący wstecz. Nie chciałbyś spotkać Człowieka, Który Chodzi do Tyłu w ciemnej uliczce, dziecko. Ani nigdzie indziej! Jest Wierna Gromada mieszkająca na drodze i zajmująca się mniej więcej tym samym co ja. Zostawiam ich w spokoju, a oni z radością się odwzajemniają. Nasza Maggie Leigh będzie miała własny totem, którego używa do podglądania i szpiegowania. Prawdopodobnie te płytki scrabble, o których wspomniała. Wygląda na to, że jest mną zainteresowana. Przypuszczam, że złożenie jej wizyty będzie po prostu uprzejmością. Chciałbym ją poznać i zobaczyć, czy nie zdołam jej uleczyć z tej niezdrowej ciekawości.

Pokręcił głową i parsknął śmiechem. Brzmiało to jak chrapliwe krakanie sędziwego człowieka. Droga do Gwiazdkowej Krainy może odmłodziła jego ciało, ale w żaden sposób nie wpłynęła na brzmienie jego śmiechu.

Jechali dalej, po lewej stronie przemykała przerywana żółta linia.

Po jakimś czasie Manx westchnął i podjął:

- Powiem ci szczerze, Wayne, że prawie wszystkie kłopoty, jakie miałem, zaczynały się od tej czy innej kobiety. Margaret

Leigh, twoja matka i moja pierwsza żona były ulepione z tej samej gliny. Bóg świadkiem, nie były jedyne. Wiesz co? Najszczęśliwszymi chwilami w moim życiu były te wolne od wpływu kobiet, kiedy nie musiałem się dostosowywać. Mężczyźni przez większość życia są przekazywani z rąk jednej kobiety w ręce następnej, i muszą im służyć. Nie wyobrażasz sobie, przed jakim życiem cię uchroniłem! Mężczyźni nie mogą przestać myśleć o kobietach. Myślą o jakiejś pani tak, jak głodny myśli o krwistym steku. Kiedy jesteś głodny i czujesz zapach steku pieczonego na grillu, rozprasza cię ściskanie w gardle i przestajesz myśleć. Kobiety są tego świadome. Wykorzystują to. Dyktują warunki, tak samo jak twoja matka przed kolacją. Jeśli nie posprzątasz pokoju, nie zmienisz koszuli i nie umyjesz rąk, nie wolno ci usiąść do stołu. Większość mężczyzn wyobraża sobie, że będą coś warci, jeśli spełnią warunki narzucone przez kobiety. Ale kiedy usunie się kobietę z obrazka, mężczyzna może odzyskać odrobinę wewnętrznego spokoju. Kiedy nie masz się z kim targować, z wyjątkiem samego siebie i innych mężczyzn, możesz się w końcu odnaleźć. To wspaniałe uczucie.

- Dlaczego nie rozwiódł się pan z pierwszą żoną? - zapytał Wayne. - Skoro jej pan nie lubił?

- W tamtych czasach nikt się nie rozwodził. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Wpadłem na pomysł, żeby odejść. I parę razy nawet odszedłem. Ale zawsze wracałem.

- Dlaczego?

- Miałem apetyt na stek.

- Jak dawno temu był pan żonaty?

- Pytasz, ile mam lat?

- Tak.

Manx się uśmiechnął.

- Coś ci powiem: na naszej pierwszej randce poszliśmy z Cassidy na niemy film! To było tak dawno temu.

- Jaki film?

- Niemiecki horror, choć napisy były po angielsku. W czasie przerażających scen Cassie wtulała twarz w moje

ramię. Byliśmy na seansie z jej ojcem i jestem przekonany, że gdyby nie on, wpełzłaby mi na kolana. Miała wtedy zaledwie szesnaście lat, rozkwitający pączek, była pełna wdzięku, troskliwa i nieśmiała. Tak to jest z wieloma kobietami. W młodości są bezcennymi klejnotami możliwości. Drżą z chęci gorączkowego życia i pragnienia. Kiedy stają się złośliwe, to przypomina pierzenie się ptaka, zrzucanie puszek młodości na rzecz ciemniejszych piór. Kobiety często tracą swoją wczesną delikatność, jak dziecko, które gubi mleczne zęby.

Wayne pokiwał głową i z zadumą wyjął z ust jeden z górnych zębów. Wsunął język w lukę, z której sączył się ciepły strumyczek krwi. Wyczuł nowy ząb, który zaczynał wyrastać w miejscu starego, choć sprawiał wrażenie nie tyle zęba, ile małego haczyka na ryby.

Wsunął ząb do kieszeni spodenek, gdzie wcześniej schował inne. W ciągu trzydziestu sześciu godzin, które spędził w Upiorze, stracił pięć zębów. Wcale się tym nie przejmował. Czuł kiełkujące liczne rzędy małych nowych zębów.

- Później, wiesz, żona mnie oskarżyła, że jestem wampirem, podobnie jak ty to zrobiłeś - kontynuował Manx.
- Powiedziała, że jestem jak diabeł z tego pierwszego filmu, który razem oglądaliśmy, z niemieckiego filmu. Powiedziała, że wysysam życie z naszych dwóch córek, że się nimi karmię. Ale minęło wiele lat, a moje córki wciąż są silne, szczęśliwe, młode i pełne radości! Gdybym rzeczywiście próbował wyssać z nich życie, wyszłoby na to, że kiepsko się starałem. W ciągu kilku lat moja żona unieszczęśliwiła mnie do tego stopnia, że gotów byłem zabić ją, siebie i dzieci, byle tylko położyć temu kres. Teraz jednak mogę spojrzeć wstecz i roześmiać się na całe gardło. Rzuć kiedyś okiem na moje tablice rejestracyjne. Pożyczyłem od żony jej chore pojęcie o mojej osobie i przemieniłem je w żart. To sposób na przetrwanie! Musisz nauczyć się śmiać, Wayne. Musisz znajdować sposoby, żeby się dobrze bawić. Zapamiętasz?

- Chyba tak - odparł Wayne.

- W takim razie w porządku - powiedział Manx. - Dwóch facetów jadących razem w nocy! To wspaniałe. Pozwolę

sobie zauważyć, że jesteś znacznie lepszym towarzyszem podróży niż Bing Partridge. Przynajmniej nie odczuwasz potrzeby śpiewania głupkowatych piosenek na każdy temat. - Przeraźliwie piskliwym głosem zaśpiewał: - Ja kocham cię, ja kocham się, uwielbiam bawić się siusiakiem! - Pokręcił głową. - Odbyłem z Bingiem wiele długich podróży i każda z nich była dłuższa niż poprzednia. Nie wyobrażasz sobie, jaką ulgę niesie przebywanie z kimś, kto nie zawsze śpiewa głupie piosenki albo zadaje głupie pytania.

- Możemy coś zjeść? - zapytał Wayne.

Manx plasnął ręką w kierownicę i parsknął śmiechem.

- Chyba za wcześnie to powiedziałem... bo jeśli nie jest to głupie pytanie, jest temu bardzo bliskie, paniczku Wayne! Obiecałem ci frytki z batatów i, na Boga, będziesz je miał. W ubiegłym stuleciu zawiozłem do Gwiazdkowej Krainy ponad setkę dzieci i jeszcze żadnego nie zagłodziłem na śmierć.

Po dwudziestu minutach jazdy na zachód zajechali przed restaurację serwującą już legendarne frytki z batatów. Obok budynku z chromu i szkła rozciągał się parking wielkości boiska do futbolu. Sodowe lampy na dziewięciometrowych stalowych słupach zalewały asfalt blaskiem tak jasnym, jakby świeciło słońce. Na parkingu stały wielkie ciężarówki. Wayne przez okna zobaczył, że wszystkie stołki przy barze są zajęte, jakby była dwunasta w południe, a nie dwunasta w nocy.

Cały kraj wypatrywał starca z dzieckiem w zabytkowym rolls-roysie, ale ani jedna osoba w restauracji nie wyjrzała na zewnątrz. Nikt nie zwrócił na nich uwagi i Wayne wcale nie był tym zaskoczony. Już zdążył pogodzić się z faktem, że samochód można zobaczyć, lecz nie zauważyć. Był jak nieczynny kanał w telewizji - gdy na ekranie widać tylko śnieg, wszyscy szybko przełączają na inny kanał. Manx zaparkował przed wejściem, przodem do budynku, ale Wayne'owi ani razu nie przyszło na myśl, żeby wyskoczyć, wrzasnąć albo załomotać pięściami w szybę.

- Nigdzie nie odchodź - przykazał Manx i mrugnął do niego, po czym wysiadł z samochodu i ruszył do restauracji.

Wayne widział przez przednią szybę, jak Manx kluczy

przez tłum skupiony wokół baru. Na ekranie telewizora umieszczonego nad barem samochody pędziły po torze wyścigowym, potem prezydent na mównicy potrząsał palcem, a następnie zimna blondynka mówiła coś do mikrofonu, stojąc na tle jeziora.

Wayne ściągnął brwi. Nastąpiło cięcie i nagle zobaczył dom wynajęty nad Winnepesaukee, radiowozy stojące na podwórzu. W restauracji Manx też oglądał telewizję, zadzierając głowę, żeby lepiej widzieć.

Znów cięcie i Wayne zobaczył, jak jego mama wyjeżdża z powozowni na triumfie. Nie miała kasku i włosy jej powiewały, gdy jechała prosto na kamerę. Kamerzysta nie zdążył uskoczyć na czas. Matka go potrąciła, gdy przemykała obok niego. Kamera pokazała wirujące niebo, trawę i żwir, zanim upadła na ziemię.

Charlie Manx zwawym krokiem wyszedł z restauracji, wsiadł za kierownicę i NOS4A2 płynnie wrócił na drogę.

Oczy miał zasnutę mgiełką i ściągał kąciki ust w twardym, nieprzyjemnym grymasie.

- Chyba jednak nie zjemy tych frytek z batatów - powiedział Wayne.

Ale jeśli Charlie Manx go słyszał, to tego nie okazał.

Dom Snu

Vic nie czuła obrażeń, nie czuła bólu; ból przyjdzie później.

Poza tym miała wrażenie, że wcale się nie zbudziła, że wciąż jedna chwila dzieli ją od odzyskania pełni świadomości. Poszczególne części jej ciała z niechęcią zaczęły się mobilizować. Była to powolna, długa praca, tak długa i powolna jak naprawianie triumpha.

Nazwę motocykla przypomniała sobie przed własnym imieniem.

Gdzieś dzwonił telefon. Wyraźnie słyszała głośnie,

staroświeckie terkotanie, gdy młoteczek uderzał w czaszę dzwonka. Sygnał nie cichł, jeden, drugi, trzeci, czwarty... Dźwięk przywołał ją do świata, ale ucichł, zanim zdała sobie sprawę, że jest przytomna.

Policzek miała wilgotny i chłodny. Leżała na brzuchu, na podłodze, z głową przekręconą na bok, z twarzą w jakiejś kałuży. Usta miała suche i spękane. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu była równie spragniona. Liznęła, szukając wody, i poczuła smak cementu, ale kałuża była chłodna i dobra. Oblizwała wargi, żeby je zwilżyć.

W pobliżu jej twarzy leżał but. Widziała czarny wzór na gumowej podeszwie i zwisające sznurowadło. Patrzyła na ten but co jakiś czas od godziny, zauważając go, ale gdy tylko zamykała oczy, natychmiast o nim zapominała.

Nie wiedziała, gdzie jest. Przypuszczała, że powinna wstać i się dowiedzieć. Pomyślała, że istnieje ryzyko, że gdy spróbuje się podnieść, ostrożnie scalone części jej ciała znowu się rozpadną w połyskliwy proszek. Przeczuwała, że nikt tu szybko jej nie znajdzie.

Miała jakiś wypadek. Na motocyklu? Nie. Jest w jakiejś piwnicy. Widziała poplamione betonowe ściany, tynk się łuszczył, odsłaniając kamienie. Rozpoznała lekki piwniczny zapach przytłumiony przez inne wonie: smród spalonego metalu i odór fekaliiów, jak z otwartej kloaki.

Wsunęła ręce pod siebie i dźwignęła się na kolana.

Nie bolało tak bardzo, jak się obawiała. Czuła ból w stawach, plecach, tyłku, ale był on niczym w porównaniu z tym, który towarzyszy grypie albo nie przymierzając złamaniom kości.

Kiedy go zobaczyła, wszystko się jej przypomniało, nagle i niespodziewanie, w całości. Jej ucieczka znad jeziora Winnepesaukee, zrujnowany kościół. Mężczyzna o imieniu Bing, który próbował ją zagazować i zgwałcić.

Człowiek w Masce Przeciwigazowej leżał w dwóch częściach połączonych przez jedno grube pasmo jelit. Górna połowa ciała wypadła na korytarz. Nogi spoczywały tuż za progiem, z butami blisko głowy Vic.

Metalowa butla sewofluranu została rozerwana, ale trup wciąż zaciskał rękę na regulatorze ciśnienia, który ocalał z fragmentem zbiornika, kopułą w kształcie kasku z poszarpanym brzegiem. To on cuchnął jak wysadzone w powietrze szambo, pewnie dlatego, że zostało rozerwane jego wewnętrzne szambo. Czuła smród jego trzewi.

Pokój się przekrzywił, jak kopnięty. Rozglądając się, Vic dostała zawrotów głowy, jakby wstała za szybko. Łóżko się przewróciło, widziała jego spodnią część, sprężyny i nóżki. Zlew odsunął się od ściany i wisiał pod kątem czterdziestu pięciu stopni, podtrzymywany tylko przez rury wyrwane z uchwytów. Z pękniętej złączki lała się spieniona woda, tworząc kałużę na podłodze. Vic pomyślała, że gdyby leżała nieprzytomna jeszcze przez jakiś czas, to mogłaby się utopić.

Pozbieranie się z podłogi wymagało nie lada zachodu. Lewa noga nie chciała się wyprostować, a kiedy wreszcie się udało, Vic poczuła dźgnięcie bólu tak silne, że wessała powietrze przez zaciśnięte zęby. Kolano pokrywały siniaki w odcieniach zieleni i błękitu. Nie miała odwagi go obciążyć, bo podejrzewała, żełoży się pod ciężarem ciała. Ostatni raz rozejrzała się po piwnicy, jak zwiedzający po niechlujnej ekspozycji w jakimś muzeum cierpienia. Nie, tu nie ma już czego oglądać. Ruszajmy dalej, ludziska. Mamy parę nadzwyczajnych eksponatów w sąsiednim pokoju.

Przeszła między nogami Człowieka w Masce Przeciwigazowej i nad nim, uważając, żeby nie nastąpić na ten lont z flaka. Widok był tak nierealny, że w zasadzie wcale nią nie wstrząsnął.

Vic ominęła górną połowę ciała Binga. Nie chciała patrzeć na jego twarz i odwracała wzrok, gdy przechodziła. Ale zanim zrobiła dwa kroki, nie mogła się powstrzymać i spojrzała przez ramię.

Leżał z głową przekręconą na bok. Oczy miał wytrzeszczone, zszokowane, puste. Siła eksplozji wbiła pochłaniacz w jego rozdziawione usta, knebel ze stopionego plastiku i zwęglonego włókna.

Ruszyła w głąb korytarza. Miała wrażenie, że idzie po

pokładzie statku, który zaczyna się wywracać. Wciąż ściągało ją w prawą stronę i musiała przykladać głowę do ściany, żeby nie stracić równowagi. Tylko że z korytarzem było wszystko w porządku. Ona sama była łodzią, której groziła wywrotka, pogrążenie się w skłębionej ciemności. Raz się zapomniała i pozwoliła, żeby jej ciężar opadł na lewą nogę. Kolano natychmiast się ugięło i gwałtownie wyciągnęła rękę, szukając oparcia. Dłoń zamknęła się na popiersiu Jezusa Chrystusa, z pokrytym bąblami, osmalonym policzkiem. Popiersie stało na półce pełnej pornografii. Jezus uśmiechnął się do niej lubieżnie, więc szybko zabrała rękę. Była pokryta popiołem. BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM, ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ.

Tym razem będzie pamiętać o lewej nodze. Przez jej głowę przemknęła przypadkowa myśl, nawet niezupełnie zrozumiała: Dzięki Bogu, to brytyjski motor.

U stóp schodów wpadła na pagórek worków na śmieci, na opakowany w folię ciężar, potknęła się i przewróciła – po raz drugi. Wylądowała na tych samych workach, gdy Człowiek w Masce Przeciwigazowej stracił ją ze schodów; złagodziły upadek i prawdopodobnie uchroniły ją przed skręceniem karku albo pęknięciem czaszki. Były zimne i ciężkie, ale niezupełnie twarde. Vic wiedziała, co jest pod folią, poznała po zaokrągleniu biodra i płaszczyźnie klatki piersiowej. Nie chciała widzieć ani wiedzieć, lecz mimo to jej ręce rozdzierały folię. Zwłoki okrywał całun worka na śmieci, szczelnie zamknięty srebrną taśmą klejącą.

Zapach, który wybuchnął, nie był odorem rozkładu, ale w pewien sposób był gorszy: dławiący aromat piernika. Mężczyzna był szczupły i kiedyś prawdopodobnie przystojny. Uległ nie tyle rozkładowi, ile mumifikacji: skóra się pomarszczyła i zżółkła, oczy zapadły w oczodołach. Usta miał rozchylone, jakby zmarł, krzycząc, choć mogło być to skutkiem kurczenia się mięśni.

Vic wypuściła powietrze z odgłosem, który zabrzmiał jak szloch. Położyła rękę na zimnej twarzy mężczyzny.

- Przepraszam - powiedziała do niego.

Nie mogła się opanować i wybuchła płaczem. Nigdy nie była beksą, ale w pewnych momentach łzy są jedyną sensowną reakcją. Płacz był swego rodzaju luksusem; martwi nie czują straty, płacz nikomu i niczemu nie służy.

Jeszcze raz pogładziła go po policzku, musnęła kciukiem jego wargi i wtedy zobaczyła kawałek papieru, zmięty i wciśnięty do ust.

Martwy patrzył na nią błagalnie.

- W porządku, przyjacielu - szepnęła i wyjęła karteczkę. Zrobiła to bez odrazy. Tego mężczyznę spotkał tu zły koniec, stawił mu czoło sam, został wykorzystany, zraniony, porzucony. Cokolwiek miał do powiedzenia, Vic chciała posłuchać, jeśli nawet było za późno, żeby wynikło z tego coś dobrego.

List napisany został ołówkiem, drżącą ręką. Strzępek papieru pochodził z opakowania gwiazdkowego prezentu.

Mam dość jasno w głowie, by pisać. Pierwszy raz od iluś dni. Najważniejsze:

- *Jestem Nathan Demeter z Brandenbura. KY*
- *Przetrzymuje mnie Bing Partridge*
- *Pracuje dla człowieka o nazwisku Manks*
- *Mam córkę. Michelle, która jest piękna i miła. Dzięki Bogu samochód zabrał mnie, nie ją. Dopilnujcie. żeby przeczytała. co następuje:*

Kocham cię, dziewczyno. On nie może mnie skrzywdzić, ponieważ gdy zamykam oczy, widzę ciebie.

Płacz, to nie zaszkodzi, ale nie rezygnuj ze śmiechu.

Nie rezygnuj ze szczęścia.

Potrzebujesz jednego i drugiego. Ja miałem jedno i drugie.

Kocham Cię, mała - Twój ojciec

Vic czytała, siedząc przy martwym mężczyźnie i uważając, żeby nie spływały na niego jej łzy.

Jakiś czas później otarła twarz grzbietami rąk. Spojrzała w górę schodów. Myśl, jak je pokonała w drodze na dół, przyprawiła ją o krótki, ale silny zawrót głowy. Była

zdumiona, że spadła i przeżyła. Droga na górę będzie znacznie powolniejsza. Lewe kolano pulsowało wściekle, dźgnięcia białego bólu wystrzeliwały z niego zgodnie z biciem jej serca.

Myślała, że będzie miała czas do końca świata, żeby wejść po schodach, ale w połowie drogi na górę zaczął dzwonić telefon. Przystanęła w rozterce, słuchając nieprzyjemnego terkotania. Ruszyła dalej, przytrzymując się poręczy, ledwie dotykając stopni lewą nogą. Jestem małą Holenderką w niebieskiej sukience. Skaczę na jednej nodze, rozkładając ręce. Piskliwy głosik w jej głowie śpiewał piosenkę do gry w klasy, której nie słyszała od dziesiątków lat.

Dotarła na szczyt schodów i wyszła przez drzwi w oślepiający, obezwładniający blask słońca. Świat był tak jasny, że ją zamroczyło. Telefon dzwonił po raz trzeci czy czwarty. Za chwilę dzwoniący zrezygnuje z próby nawiązania połączenia.

Vic sięgnęła do czarnego aparatu, który wisiał na ścianie tuż przy drzwiach do piwnicy. Lewą ręką przytrzymała się futryny, jak przez mgłę widząc, że wciąż trzyma list od Nathana Demetera. Przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Boże święty, Bing - odezwał się Charlie Manx. - Gdzieś ty się podziewał? Dzwonię i dzwonię. Zacząłem się martwić, że zrobiłeś coś nierozważnego. To nie koniec świata, wiesz, że nie jedziesz ze mną. Będzie jeszcze okazja, a tymczasem możesz coś dla mnie zrobić. Najpierw przekaż mi najnowsze informacje o naszej dobrej przyjaciółce pannie McQueen. Jakiś czas temu słyszałem w wiadomościach, że uciekła z domu w New Hampshire i zniknęła. Czy coś o niej wiadomo? Jak sądzisz, co kombinuje?

Vic przełknęła powietrze, powoli zrobiła wydech.

- Ostatnio była bardzo zajęta - powiedziała. - Pomagała Bingowi zmienić wystrój jego piwnicy. Uznała, że jest tam za mało kolorów, więc pomalowała ściany tym skurwysynem.



Manx milczał przez tak długi czas, że Vic zaczęła się zastanawiać, czy nie przerwał połączenia. Już miała wypowiedzieć jego nazwisko, żeby się dowiedzieć, czy wciąż tam jest, gdy znowu się odezwał.

- Dobry Boże - rzekł. - Czy chcesz mi powiedzieć, że biedny Bing nie żyje? Przykro mi to słyszeć. Rozstaliśmy się w niezgodzie. Teraz jest mi przykro z tego powodu. Pod wieloma względami był jak dziecko. Zrobił parę strasznych rzeczy, jak sądzę, ale nie można go za to winić! Nie umiał postępować inaczej.

- Zamknij się i słuchaj. Chcę odzyskać mojego syna i ruszam po niego, Manx. Ruszam i możesz mi wierzyć, nie chcesz z nim być, kiedy go znajdę. Gdziekolwiek jesteś, zjedź na pobocze, wysadź mojego chłopca, całego i zdrowego. Przykaż mu, żeby na mnie czekał, i powiedz, że mama się zjawi, ani się obejrzy. Zrób to, a nie będziesz musiał się martwić, że cię znajdę. Pozwolę ci się wysliznąć. Uznamy rachunki za wyrównane. - Nie wiedziała, czy naprawdę tak uważa, ale zabrzmiało nieźle.

- Jak dostałaś się do Binga Partridge'a, Victorio? Chcę to wiedzieć. Czy tak jak tamtym razem w Kolorado? Czy dojechałaś tam po swoim moście?

- Czy Wayne'owi nie stała się krzywda? Czy nic mu nie jest? Chcę z nim porozmawiać. Daj go do telefonu.

- Ludzie w piekle pragną wody z lodem. Odpowiedz na moje pytania, a zobaczymy, czy ja odpowiem na twoje. Powiedz mi, jak dotarłaś do Binga, i wtedy zobaczę, co da się zrobić.

Vic dygotała gwałtownie, co było pierwszym objawem szoku.

- Najpierw mi powiedz, czy żyje. Niech Bóg ma cię w opiece, jeśli nie. Jeśli nie, Manx, jeśli nie, wtedy to, co zrobiłam Bingowi, będzie niczym w porównaniu z tym, co zrobię tobie.

- Ma się dobrze. Jest idealnym promyczkiem słońca! Masz, co chciałaś, i to na razie wszystko. Powiedz mi, jak przybyłaś

do Binga. Na swoim motocyklu? W Kolorado miałaś rower. Ale przypuszczam, że masz nowy pojazd. I ten nowy pojazd zabrał cię na twój most? Odpowiedz, a pozwolę ci z nim porozmawiać.

Vic próbowała zdecydować, co powiedzieć, ale żadne kłamstwo nie przychodziło jej na myśl. Poza tym nie była pewna, czy to coś zmieni, jeśli wyjawi mu prawdę.

- Tak. Wjechałam na most, a on doprowadził mnie tutaj.

- No tak. Załatwiłaś sobie marny komplet kółek. Masz rower z dodatkowym napędem, prawda? Ale nie przywiózł cię do mnie. Zabrał cię do Domu Snu. Sądzę, że jest ku temu powód. Sam mam pojazd z paroma dodatkami i wiem coś o tym, jak działają. Te rzeczy mają swoje dziwactwa. - Po chwili namysłu podjął: - Powiedziałaś, żebym się zatrzymał i zostawił twojego syna na poboczu drogi. Powiedziałaś, że się zjawisz, ani się obejrzy. Most może doprowadzić cię tylko do stałego punktu, prawda? To ma sens. Przecież to most. Obydwa końce muszą się na czymś opierać, jeśli nawet są to tylko dwie stałe idee.

- Mój syn - przypomniała mu. - Mój syn. Chcę usłyszeć jego głos. Obiecałeś.

- Umowa to umowa - powiedział Charlie Manx. - On tu jest, Vic. Oto mały mężczyzna we własnej osobie.

Fajerwerkiem Księżycowi w Oko, Illinois

W pyliste wczesne popołudnie pan Manx zjechał z drogi i zatrzymał Upiora na placu przed magazynem fajerwerków. Na tablicy reklamowej widniał wściekły księżyc z rakieta wbita w oko, krwawiący ogniem. Wayne zaśmiał się na ten widok, śmiał się i ścisnął swoją księżycową ozdobę.

Sklep był długim budynkiem, przed którym stał drąg do przywiązywania koni. Wayne'owi przyszło na myśl, że dotarli daleko na zachód, gdzie mieszkał przez większość życia. Na

północy można czasami spotkać słupki do wiązania koni, jeśli ktoś chce nadać swojej posesji rustykalny charakter, ale gdy pojedziesz na zachód, niedaleko takich słupków zobaczysz kupki końskiego nawozu i stąd wiesz, że jesteś w kraju kowbojów. Choć w dzisiejszych czasach mnóstwo kowbojów jeździ quadami i słucha Eminema.

- Czy w Gwiazdkowej Krainie są konie? - zapytał Wayne.

- Renifery - odparł Manx. - Oswojone białe renifery.

- Można na nich jeździć?

- Można karmić je z ręki!

- A co jedzą?

- Cokolwiek im dasz. Siano. Cukier. Jabłka. Nie są wybredne.

- I wszystkie są białe?

- Tak. Nie widuje się ich zbyt często, ponieważ trudno odróżnić je od śniegu. W Gwiazdkowej Krainie zawsze jest śnieg.

- Moglibyśmy je pomalować! - wykrzyknął Wayne, podniecony tą myślą. - Wtedy łatwiej byłoby je zobaczyć. - Ostatnio miał wiele podniecających myśli.

- Tak, to będzie doskonała zabawa.

- Pomalujemy je na czerwono. Czerwone renifery. Czerwone jak wozy strażackie.

- Wyglądałyby odświętnie.

Wayne uśmiechnął się na myśl o oswojonym reniferze cierpliwie stojącym w miejscu, podczas gdy on maluje go wałkiem, nadając mu czerwony kolor kandyzowanego jabłka. Przeciągnął językiem po kłujących nowych zębach, rozważając możliwości. Pomyślał, że gdy przybędzie do Gwiazdkowej Krainy, wywierci dziurki w swoich starych zębach, nawlecze je na sznurek i będzie nosić jako naszyjnik.

Manx sięgnął do schowka i wyjął jego telefon. Używał go od czasu do czasu przez cały poranek. Wayne wiedział, że dzwonił do Binga Partridge'a i nie doczekał się odpowiedzi. Nie zostawił wiadomości.

Spojrzał przez okno. Z magazynu wyszedł mężczyzna z workiem. Trzymał za rękę jasnowłosą dziewczynkę, która

podskakiwała obok niego. Fajnie byłoby pomalować tę małą na czerwono. Zabrać jej ubrania, przytrzymać ją i malować wijące się, napięte, drobne ciało. Pomalować ją całą. Żeby pomalować ją, jak trzeba, należałoby zgolić jej włosy. Wayne zaczął się zastanawiać, co można by zrobić z torbą pełną jasnych włosów.

- Boże święty, Bing - powiedział pan Manx. - Gdzieś ty się podziewał? - Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu na parking.

Dziewczynka i jej ojciec wsiedli do pick-upa, wyjechali z parkingu. Wayne pomachał ręką. Dziewczynka go zobaczyła i zrobiła to samo. Rany, miała cudowne włosy. Z wszystkich tych gładkich, złotych włosów można by upleść sznur długi na metr dwadzieścia. Można by zrobić jedwabisty złoty stryczek i ją na nim powiesić. Niesamowity pomysł! Wayne się zastanawiał, czy ktoś kiedyś został powieszony na własnych włosach.

Manx przez jakiś czas rozmawiał przez telefon. Krążył, jego buty wzbijały kredowe chmury w białym zmierzchu.

Blokada podskoczyła na drzwiach przy siedzeniu kierowcy. Manx powrócił i wsunął głowę do samochodu.

- Wayne? Pamiętasz, jak wczoraj powiedziałem, że jeśli będziesz grzeczny, pozwolę ci porozmawiać z mamą? Nie zniósłbym, gdybyś pomyślał, że Charlie Manx nie umie dotrzymać słowa. Oto ona. Chciałaby usłyszeć, jak się masz.

Wayne wziął telefon.

- Mamo? Mamo, to ja. Jak się masz?

Usłyszał syk i trzask, a potem głos matki, zdławiony z emocji.

- Wayne...

- Jestem. Słyszysz mnie?

- Wayne - powtórzyła. - Wayne. Dobrze się czujesz?

- Tak! Zatrzymaliśmy się, żeby kupić fajerwerki. Pan Manx da mi kilka zimnych ogni i może raketę z butelki. A ty? Mówisz tak, jakbyś płakała.

- Tęsknię za tobą. Mama chce, żebyś wrócił, Wayne. Musisz wrócić, jadę po ciebie.

- Aha. Dobra - mruknął. - Wypadł mi ząb. Właściwie kilka zębów. Mamo, kocham cię! Wszystko jest w porządku. Nic mi nie jest. Dobrze się bawimy!

- Wayne, nie jest w porządku. On coś ci robi. Majstruje ci w głowie. Musisz go powstrzymać. Musisz z nim walczyć. On nie jest dobrym człowiekiem.

Wayne poczuł nerwowe skurcze w żołądku. Przesunął językiem po nowych, najeżonych, haczykowatych zębach.

- On mi kupi fajerwerki - powiedział obrażonym tonem. Przez cały ranek myślał o fajerwerkach, o wybijaniu dziur w nocy raketami, o stawianiu nieba w ogniu. Chciałby, żeby było możliwe podpalenie chmur. To dopiero byłby widok! Mnóstwo płonących chmur spadających z nieba. Wlokących za sobą kłęby buchającego czarnego dymu.

- On zabił Hoopera, Wayne - powiedziała matka i zabrzmiało to jak policzek. Wayne się wzdrygnął. - Hooper zginął, walcząc o ciebie. Ty też musisz walczyć.

Hooper. Miał wrażenie, jakby nie myślał o nim od lat. Wspominał go teraz, jego duże smutne oczy patrzące badawczo z posiwiałego pyska yeti. Wayne pamiętał jego brzydki oddech, jego ciepłe jedwabiste futro, jego wygłupy... a teraz Hooper nie żyje. Ugryzł w kostkę Człowieka w Masce Przeciwigazowej, a potem pan Manx... pan Manx...

- Mamo - zaczął nagle. - Mamo, chyba jestem chory. Chyba jestem zatruty w środku.

- Och, dziecko - wyszeptała przez łzy. - Och, dziecko, trzymaj się. Trzymaj się siebie. Niedługo będę z tobą.

Wayne'a szczypały oczy, na chwilę świat się zamazał i podwoił. Zaskoczyło go to, że jest bliski łez. W zasadzie wcale nie czuł się smutny, bardziej przypominał sobie, jak to jest, gdy jest się smutnym.

Powiedz jej coś, co będzie mogła wykorzystać, pomyślał. Pomyślał to samo znowu, ale tym razem powoli i wstecz: .wykorzystać mogła będzie co ,coś jej Powiedz.

- Widziałem babcię Lindę - wybuchnął nagle. - We śnie. Mówiła szyfrem, ale próbowała powiedzieć mi coś o walce. Tylko że to jest trudne. Jak próba podniesienie głazu za

pomocą łyżeczki.

- Zrób, co powiedziała - poleciała mu mama. - Postaraj się.

- Tak, postaram się. Mamo... Mamo, jeszcze coś - rzekł z nagłym pośpiechem. - On zabiera nas na spotkanie z...

Manx sięgnął do wnętrza samochodu i wyrwał mu telefon z ręki. Długą, wychudzoną twarz miał zarumienioną, i Wayne pomyślał, że jego oczy wyrażają strapienie, jakby przegrał rozdanie, które spodziewał się wygrać.

- Dość tej pogawędki - powiedział radosnym głosem, który nie pasował do wyrazu jego oczu, i zatrzasnął drzwi przed nosem Wayne'a.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, było tak, jakby został odcięty dopływ prądu elektrycznego. Wayne opadł na skórzaną kanapę, kark mu zeszywniał, krew pulsowała w skroniach. Zrozumiał, że jest wytrącony z równowagi. Głos matki, jej płacz, wspomnienie walczącego i zdychającego Hoopera głęboko go zmartwiło i przyprawiło o nerwowy ból brzucha.

Jestem zatruty, pomyślał. Zatruty jestem. Dotknął kieszeni, namacał wybrzuszenie zrobione przez wszystkie zęby, które mu wypadły, i pomyślał o zatruciu popromiennym. Jestem napromieniowany, pomyślał. Nagle słowo „napromieniowany” stało się bardzo zabawne. Przypomniał sobie gigantyczne mrówki z czarno-białych filmów, z takich filmów, jakie oglądał ze swoim tatą.

Zaczął się zastanawiać, co się stanie z mrówkami włożonymi do mikrofalówki. Przypuszczał, że się po prostu upieką; wydawało się mało prawdopodobne, że urosną. Ale nie można mieć pewności, zanim się nie spróbuje! Pogłodził małą księżycową ozdobę, wyobrażając sobie mrówki pękające jak ziarna kukurydzy. W jakimś dalekim zakamarku jego umysłu kołatała się myśl - coś o myśleniu wstecz - ale nie zdołał jej przywołać. Nie była zabawna.

Gdy Manx wszedł do samochodu, Wayne znów się uśmiechał. Nie był pewien, ile czasu minęło, ale Manx skończył rozmawiać przez komórkę i poszedł do sklepu Fajerwerkiem Księżycowi w Oko. Przyniósł smukłą papierową torbę, z której wystawała długa zielona rurka w

celofanie. Etykieta na boku rurki informowała: LAWINA GWIAZD - IDEALNE ZAKOŃCZENIE IDEALNEJ NOCY!

Manx spojrzał na niego nad oparciem fotela, oczy miał wytrzeszczone, usta rozciągnięte w grymasie niezadowolenia.

- Kupiłem ci zimne ognie i rakiety - powiedział. - Pytanie, czy będziemy ich używać. Jestem przekonany, że chciałeś powiedzieć matce, że jesteśmy w drodze na spotkanie z panną Maggie Leigh. To zepsułoby mi zabawę. Nie jestem pewien, dlaczego miałbym zapewniać ci rozrywkę, podczas gdy ty chcesz mnie pozbawić moich małych przyjemności.

- Okropnie boli mnie głowa - poskarżył się Wayne.

Manx ze złością pokręcił głową, zatrzęsął drzwiami i wyjechał z zakurzonego parkingu, wlokąc za sobą chmurę brązowego dymu. Nie miał humoru przez cztery czy pięć kilometrów. Niedaleko granicy Iowa gruby jeź próbował przejść przez drogę i Upiór przejechał go z głośnym łoskotem. Dźwięk był tak hałaśliwy i niespodziewany, że Wayne nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Manx rzucił okiem przez ramię i posłał mu ciepły, zazdrosny uśmiech, po czym włączył radio i razem zaśpiewali kolędę *O Little Town of Bethlehem*, i od razu zrobiło się lepiej.

Dom Snu

- Mamo, jeszcze coś. On zabiera nas na spotkanie z... - powiedział Wayne, a zaraz potem rozległ się brzęk, stuknięcie i głośny trzask drzwi.

- Dość tej pogawędki - oznajmił Manx tym swoim pogodnym tonem naganiacza z wesołego miasteczka. - Nasz dobry mały mężczyzna ostatnio wiele przeszedł. Nie chciałbym, żeby go dopadło wyczerpanie nerwowe.

Vic płakała. Oparła pięść o kuchenną ladę i kołysała się, płacząc do słuchawki.

Dziecko, które słyszała na drugim końcu linii, mówiło głosem Wayne'a... ale to nie był Wayne. Niezupełnie. Wykryła dysonans między tym sennym, przymulonym dzieckiem a swoim synem, zawsze tak bardzo odważnym i samodzielnym. Dopiero pod koniec rozmowy, gdy przypomniała mu o Hooperze, zaczął mówić jak dawny on. Przez chwilę wydawał się zmieszany i przestraszony, ale był sobą. Ogólnie rzecz biorąc, sprawiał wrażenie oszołomionego, jak człowiek, który właśnie wybudza się z głębokiej narkozy.

Samochód w jakiś sposób go usypiał. Usypiał, jednocześnie odbierając mu jego prawdziwy charakter, pozostawiając tylko szczęśliwe, bezmyślne coś. Wampira, przypuszczała Vic, jak Brad McCauley, zimny mały chłopiec, który próbował ją zabić w domku nad Gunbarrel wszystkie te lata temu. Uznała, że nie wolno jej kontynuować tego toku rozumowania, że musi się od niego oderwać, bo jeśli tego nie zrobi, zaraz zacznie krzyczeć.

- Dobrze się czujesz, Victorio? Mam zadzwonić kiedy indziej?

- Zabijasz go - powiedziała. - On umiera.

- Nigdy nie był bardziej żywy! Jest świetnym chłopcem. Dogadujemy się jak Butch i Sundance! Możesz mi wierzyć, że dobrze go traktuję. Co więcej, dam ci słowo, że go nie skrzywdzę. Nigdy nie skrzywdziłem dziecka... co nie znaczy, że ktokolwiek o tym wie, nie po tych wszystkich kłamstwach, które o mnie naopowiadałaś. Przez całe życie służyłem dzieciom, ale ty z perwersyjną radością mówiłaś każdemu, kto się nawinął, jaki to ze mnie okropny pedofil. Wiesz, miałbym wszelkie prawo zrobić najgorsze rzeczy twojemu synowi. Przecież w ten sposób tylko postąpiłbym zgodnie z niestworzonymi historiami, jakie o mnie opowiadałaś. Nie cierpię rozwiewać mitu. Ale nie jestem złośliwy wobec dzieci.

- Po chwili milczenia dodał: - Dorośli jednak to zupełnie inna historia.

- Puść go. Proszę, pozwól mu odejść. Przecież nie chodzi o niego. Wiesz, że nie o niego. Chcesz wyrównać rachunki ze

mną. Rozumiem. Zaparkuj gdzieś. Po prostu zatrzymaj samochód i czekaj. Skorzystam z mojego mostu. Znajdę cię. Możemy się wymienić. Ty wypuścisz go z samochodu, a ja wsiądę i będziesz mógł ze mną zrobić, co tylko zechcesz.

- Miałabyś wiele do nadrobienia. Powiedziałaś całemu światu, że napastowałem cię seksualnie. Złe się czuję w związku z tym, że zostałem oskarżony o coś, czego nigdy nie miałem przyjemności zakosztować.

- Chcesz tego? Czy chcesz, żeby cię uszczęśliwić?

- Gdybym cię zgwałcił? Mój Boże, nie! Po prostu jestem rozgoryczony. Nie rozumiem takiego zdeprawowania. Jestem świadom, że wiele kobiet bawi brutalny seks na tylnym siedzeniu samochodu i słuchanie poniżających wyzwisk, ale to tylko swego rodzaju rozrywka. Brać kobietę na przekór jej woli? Powiem ci, czasami dochodzę do przekonania, że ty i ja źle rozpoczęliśmy naszą znajomość! Przykro mi z tego powodu. Nigdy nie mieliśmy okazji się poznać. Założę się, że byś mnie polubiła, gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach.

- Gówno prawda - mruknęła.

- To nie jest wcale takie niewiarygodne. Byłem dwa razy żonaty i rzadko się obywałem bez damskiego towarzystwa. Każda kobieta znajdowała we mnie coś, co się jej podobało.

- O czym ty gadasz? Chcesz się, kurwa, umówić na randkę? Zagwizdał.

- Jak ty się wyrażasz? Przy tobie dorożkarz oblałby się rumieńcem! Znając wynik twojej pierwszej randki z Bingiem Partridge'em, przypuszczam, że wyjdzie mi na zdrowie, jeśli ograniczymy nasze kontakty tylko do rozmowy telefonicznej. Gdy się nad tym zastanowić, nasze pierwsze spotkanie też nie było zbyt romantyczne. Ty po prostu wykańczasz mężczyzn, Victorio. - Zaśmiał się. - Pocięłaś mnie, obrzuciłaś oszczerstwami i posłałaś do więzienia. Jesteś gorsza niż moja pierwsza żona. A jednak... masz coś, co sprawia, że mężczyzna wraca po więcej! Nie potrafi o tobie zapomnieć! Nie potrafi przestać o tobie myśleć!

- Dam ci inny temat do myślenia. Pomyśl: Nie możesz

jechać bez końca. Prędzej czy później będziesz musiał się zatrzymać, żeby na chwilę przymrużyć oko. I kiedy je otworzysz, ja tam będę. Z twoim przyjacielem Bingiem poszło łatwo, Charlie. Jestem wredną, zdegenerowaną dziwką i, kurwa, spalę cię żywcem w twoim samochodzie, i odzyskam syna.

- Jestem pewien, że spróbujesz, Victorio - powiedział. - Ale może poświęcisz chwilę na zastanowienie, co zrobisz, jeśli w końcu nas znajdziesz, a Wayne nie będzie chciał pójść z tobą?

W słuchawce zapadła cisza.



Gdy Manx się rozłączył, Vic się zgięła, zasapana, jakby właśnie skończyła długi, zaciekły wyścig. Jej płacz był skutkiem złości, fizyczny i wyczerpujący jak wymiotowanie. Już chciała złapać słuchawkę i zacząć walić nią w ścianę, ale chłodniejsza część jej natury powstrzymała rękę.

„Jeśli zamierzasz wpaść w szal - usłyszała swojego ojca - w takim razie wykorzystaj swoje szaleństwo i nie pozwól, żeby ono wykorzystało ciebie”.

Czy rzeczywiście kiedyś powiedział coś takiego? Nie miała pojęcia. Wiedziała tylko tyle, że słyszy w głowie jego głos.

Kiedy przestała płakać, piekły ją oczy i miała gorącą twarz. Ruszyła do zlewu, poczuła, że coś ją szarpnęło za rękę, i zdała sobie sprawę, że wciąż trzyma słuchawkę połączoną długim czarnym spiralnym przewodem ze ściennym telefonem.

Wróciła do aparatu i stanęła, patrząc na obrotową tarczę. Czowała się pusta i obolała, a jednak teraz, gdy minął atak płaczu, po raz pierwszy od kilku dni ogarnął ją swego rodzaju spokój, podobny to tego, jaki towarzyszył jej podczas szkicowania ilustracji do *Wyszukiwarki*.

Może do kogoś zadzwonić. Musi zdecydować, do kogo.

W wymyślonych przez nią łamigłówkach zawsze było mnóstwo rozpraszających uwagę informacji wizualnych,

mnóstwo zakłóceń. Pierwsza książka osiągała punkt kulminacyjny w pozaziemskim statku kosmicznym. Wyszukiwarka musiał znaleźć drogę przez statek, pstrykając różnymi wyłącznikami autodestrukcji, żeby dotrzeć do kapsuły ratunkowej. Między nim i wolnością znajdowały się lasery, zamknięte drzwi, napromieniowane przedziały i wściekli kosmici, którzy wyglądali jak kubki galaretki kokosowej. Dorośli radzili sobie z wykonaniem zadania gorzej niż dzieci i Vic z czasem zrozumiała dlaczego. Dorośli zawsze próbowali zobaczyć drogę od początku do końca, a nie mogli tego zrobić, ponieważ było zbyt wiele danych. Za wiele do patrzenia, za wiele do myślenia. Dzieci jednak nie odsuwały się od łamigłówek i nie spoglądały na całość. Wcielały się w Wyszukiwarke, bohatera opowieści, wędrowały przez labirynt i patrzyły tylko na fragment, który mogły zobaczyć, na kolejne etapy drogi. Vic doszła do przekonania, że różnica między dzieciństwem i dorosłością jest różnicą między wyobraźnią i rezygnacją. Człowiek wymienia jedno na drugie i gubi drogę.

Vic już wiedziała, że tak naprawdę nie musi szukać Manxa. Byłoby to równie beznadziejne jak próba trafienia strzałą w inną lecącą strzałę. Manx myślał - kazała mu tak myśleć - że będzie próbowała użyć mostu, żeby go dogonić. Ale wcale nie musi tego robić. Wiedziała, dokąd jedzie. Dokąd musi pojechać. Może się tam skierować w dowolnej chwili.

Nie chciała wyprzedzać biegu wypadków. Do Gwiazdkowej Krainy daleka droga, dosłownie i w przenośni.

Musi być gotowa do walki, kiedy znowu zobaczy Manxa. Pomyślała, że będzie musiała go zabić, a w takim wypadku należy znaleźć sposób, jak tego dokonać. Co ważniejsze, pozostawała sprawa Wayne'a. Musi wiedzieć, czy Wayne wciąż będzie sobą, gdy dotrze do Gwiazdkowej Krainy, czy możliwe będzie odwrócenie zachodzących w nim zmian.

Vic знаła kogoś, kto mógłby powiedzieć jej o Wayne, i znała kogoś innego, kto mógłby jej powiedzieć, jak walczyć z Manxem. Kogoś, kto może nawet zaopatrzyć ją w broń, żeby zagrozić jedynej rzeczy, na której najwyraźniej ogromnie mu

zależy. Ale te osoby też mogą zaczekać. Zobaczy się z każdą z nich po kolei. Niedługo.

Wszystko w swoim czasie. Najpierw ta dziewczyna, Michelle Demeter. Straciła ojca i musi wiedzieć, co się z nim stało. Wystarczająco długo żyła w niepewności.

Vic spojrzała, pod jakim kątem światło wpada przez okno kuchni, i osądziła, że zbliża się wieczór. Niebo było ciemnoniebieską kopułą; burza, na którą się zbierało, kiedy tu przyjechała, już się oddaliła. Jeśli ktoś usłyszał wybuch butli sewofluranu, która rozerwała Binga Partridge'a na dwoje, z pewnością uznał to za dudnienie gromu. Przypuszczała, że była nieprzytomna trzy, może cztery godziny. Spojrzała na stos kopert na podłodze. Widniał na nich adres Człowieka w Masce Przeciwigazowej:

BING PARTRIDGE
25 BLOCH LANE
SUGARCREEK, PENNSYLVANIA, 16323

Trudno to będzie wyjaśnić. Cztery godziny to zdecydowanie za mało, żeby dotrzeć do Pensylwanii z New Hampshire, nawet z gazem do deski przez całą drogę. Potem przyszło jej na myśl, że wcale nie musi niczego tłumaczyć. Niech inni się tym martwią.

Wykręciła numer. Znała go na pamięć.

- Słucham - odezwał się Lou.

Nie miała pewności, czy to on odbierze - spodziewała się, że usłyszy głos agentki Hutter. A może tego szpetnego faceta z krzaczastymi białymi brwiami, Daltry'ego. Mogłaby mu powiedzieć, gdzie znajdzie swoją zapalniczkę.

Brzmienie głosu Lou trochę ją osłabiło, na chwilę odebrało jej pewność siebie. Czują, że nigdy nie kochała go tak, jak na to zasługiwał, i że on zawsze kochał ją bardziej, niż zasłużyła.

- To ja - powiedziała. - Słuchają?

- Cholera, Vic, a jak myślisz?

- Jestem tu, Vic - Tabitha Hutter wtrąciła się do rozmowy.

- Zdenerwowałaś mnóstwo ludzi. Czy chcesz porozmawiać o

powodach swojej ucieczki?

- Pojechałam po swoje dziecko.

- Wiem, że nie wszystko mi powiedziałaś. Może się bałaś powiedzieć. Ale musisz to zrobić, Vic. Jestem pewna, że uważasz za słuszne to, co robiłaś przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Z pewnością wierzysz, że musiałaś to...

- Dwadzieścia cztery godziny? Jak mam to rozumieć?

- Tak długo cię szukamy. Potrafisz cholernie dobrze znikać. Kiedyś musimy porozmawiać o tym, jak tego dokonałaś. A teraz może powiesz, gdzie...

- Minęły dwadzieścia cztery godziny?! - krzyknęła Vic. Myśl, że straciła cały dzień, wydawała się w pewien sposób równie niewiarygodna jak koncepcja samochodu, który zamiast na bezołowiowej jeździ na ludzkich duszach.

- Vic, chcę, żebyś została tam, gdzie jesteś - powiedziała Hutter cicho, cierpliwie.

- Nie mogę.

- Musisz...

- Nie, zamknij się. Po prostu słuchaj. Musisz zlokalizować dziewczynę, Michelle Demeter. Mieszka w Brandenburgu, w Kentucky. Jej ojciec zaginął jakiś czas temu. Prawdopodobnie córka odchodzi od zmysłów ze zmartwienia. On jest tutaj. Na dole. W piwnicy. Nie żyje. Nie żyje od kilku dni, jak sądzę. Rozumiesz?

- Tak...

- Obejdźcie się z nim przyzwoicie, cholera. Nie wystarczy go zapakować do jakiejś szuflady w jakiejś pieprzonej kostnicy. Niech ktoś przy nim siedzi, dopóki nie zjawi się córka. Wystarczająco długo był sam.

- Co mu się stało?

- Zabił go niejaki Bing Partridge. Bing to facet w masce przeciwigazowej, ten, który do mnie strzelał. Człowiek, w którego istnienie nie wierzycie. Pracował z Manxem. Myślę, że łączy ich długa współpraca.

- Vic, Charlie Manx nie żyje.

- Nieprawda. Żyje. Widziałam go, podobnie jak Nathan Demeter. Demeter potwierdzi moje słowa.

- Vic, przecież przed chwilą powiedziałaś, że Nathan Demeter nie żyje. Niby jak ma potwierdzić twoje słowa? Vic, zwolnij tempo. Wiele przeszłaś. Sądzę, że straciłaś...

- Nie straciłam, kurwa, kontaktu z rzeczywistością. Nie prowadziłam wyimaginowanych rozmów z martwym człowiekiem. Demeter zostawił list, rozumiesz? W liście podał nazwisko Manxa. Lou! Lou, jesteś jeszcze?

- Tak, Vic, jestem. Nic ci nie jest?

- Dziś rano rozmawiałam z Wayne'em, Lou. Żyje, jeszcze żyje, a ja zamierzam go odzyskać.

- O Jezu... - mruknął głosem ochrypłym z emocji i Vic poznała, że powstrzymuje się od płaczu. - O Jezu. Co powiedział?

- Nie został ranny.

- Victorio - wtrąciła Tabitha Hutter. - Kiedy...

- Chwileczkę! - krzyknął Lou. - Vic, ja cię, nie możesz zrobić tego sama. Nie możesz sama przejść przez ten most.

Vic się przygotowała, jakby mierzyła z karabinu do dalekiego celu, po czym z takim spokojem i klarownością, na jakie mogła się zdobyć, powiedziała:

- Posłuchaj mnie, Lou. Muszę zrobić jeden przystanek, a potem chcę się zobaczyć z człowiekiem, który może dać mi trochę ANFO. Mając ANFO, mogę wysadzić świat Manxa w powietrze.

- Jakie info? - zapytała Tabitha Hutter. - Victorio, Lou ma rację. Nie możesz zajmować się tym sama. Wróć. Wróć i porozmawiaj z nami. Z kim masz zamiar się spotkać? Jakich informacji potrzebujesz?

- Zmykaj, Vic - powiedział Lou powoli, rwącym się głosem. - Możemy odłożyć to gównu na kiedy indziej. Oni już po ciebie idą. Wynoś się stamtąd i zrób to, co musisz.

- Panie Carmody? - odezwała się Tabitha. W jej tonie brzmiała nuta napięcia. - Panie Carmody?

- Ruszam, Lou. Kocham cię.

- Ja ciebie też - zapewnił. Głos miał zdławiony ze wzruszenia, zupełnie się rozklejał.

Vic delikatnie odłożyła słuchawkę na widełki.

Pomyślała, że rozumiał, co chciała mu powiedzieć. Odparł: „Możemy odłożyć to gówno na kiedy indziej”. Zdanie miało sens w kontekście rozmowy, ale było tam drugie znaczenie. Nikt poza nimi nie zdoła go rozszyfrować. Gówno, końskie gówno: podstawowy składnik ANFO, substancji, której jej ojciec przez dziesiątki lat używał do wysadzania skał.

Pokuśtykała do zlewu, starając się oszczędzać lewą nogę. Puściła zimną wodę, ochlapała twarz i ręce. Krew i brud spływały w ładnych różowych wirach. Vic miała na sobie strzępy Człowieka w Masce Przeciwigazowej, krople płynnego Binga ściekały z jej koszuli, miała zbryzgane ramiona, na pewno również włosy. Usłyszała dobiegające z dala zawrozczenie policyjnej syreny. Przyszło jej do głowy, że przed rozmową z Lou powinna wziąć prysznic. Albo przetrząsnąć dom w poszukiwaniu broni. Pewnie przydałaby się jej bardziej niż szampon.

Otworzyła siatkowe drzwi i zeszła po schodach, ostrożnie, żeby nie przeciążyć lewego kolana. Będzie musiała jechać z wyprostowaną nogą. Przeżyła chwilę zwątpienia, zastanawiając się, jak będzie zmieniać biegi – potem sobie przypomniała, że to przecież brytyjski motocykl. Prawa noga. Dźwignia zmiany biegów znajduje się po prawej stronie motoru, co jeszcze w niezbyt odległej przeszłości, w czasach przed jej urodzeniem, było zabronione w Stanach Zjednoczonych.

Vic ruszyła na wzgórze z twarzą zwróconą ku słońcu. Zamknęła oczy, żeby skupić zmysły na przyjemnym cieple. Syrena wyła coraz głośniejsze, efekt Dopplera sprawiał, że dźwięk wznosił się i opadał, narastał i przycichał. Tabitha Hutter pourywa im głowy, kiedy się dowie, że podjeżdżają pod dom z ryczącymi syrenami, uprzedzając zbiega o swojej wizycie na długo przed przybyciem do celu.

Na szczycie wzgórza, na parkingu New American Faith Tabernacle, obejrzała się i zobaczyła radiowóz wjeżdżający na Bloch Lane. Kierowca zahamował przed domem Binga. Nawet nie skręcił na podjazd, tylko zatrzymał wóz pod kątem, blokując połowę jezdni. Wysiadł tak szybko, że

uderzył głową w futrynę i czapka spadła na drogę. Był taki młody. Vic nie mogła sobie wyobrazić, że umawia się z nim na randkę, a co dopiero, że zostaje przez niego aresztowana.

Ruszyła dalej i po zrobieniu trzech kroków straciła dom z oczu. Miała chwilę na zastanowienie, co zrobi, jeśli nie zobaczy swojego motoru, jeśli jakieś dzieciaki znalazły go z kluczykami w stacyjce i wybrały się na przejażdżkę. Ale triumph stał tam, gdzie go zostawiła, oparty na zardzewiałej stopce.

Wyprostowanie go nie było łatwe. Vic szlochała z bólu, zapierając się obiema nogami, żeby tego dokonać.

Przekręciła kluczyk, włączyła zapłon i kopnęła pedał rozrusznika.

Motor stał na deszczu przez całą noc i nie byłaby wcale zaskoczona, gdyby nie chciał zapalić, ale zadudnił od razu, niemal jakby niecierpliwie pragnął jazdy.

- Cieszę się, że jedno z nas jest gotowe - powiedziała.

Zrobiła kółko i wyprowadziła triumpha z cienia. Okrążyła ruiny kościoła. Zaczęło mżyć. Deszcz wydawał się lśniący i jasny, padając z oświetlonego przez słońce nieba, krople były zimne jak w październiku. Przyjemnie chłodziły jej skórę i nawilżały suche, zakrwawione, brudne włosy.

- Deszczu, deszczu, nie trzeba cudu - powiedziała cicho - żebyś uwolnił mnie od tego brudu.

Kobieta na triumphie zakreśliła szeroką pętlę wokół zwęglonych belek, które kiedyś były Domem Bożym.

Kiedy wróciła tam, skąd wyruszyła, most już czekał w głębi lasu, jak dzień wcześniej. Tylko że się obrócił, więc wjechała na niego od wschodniej strony. Na ścianie po lewej widniało wypisane zielonym sprayem słowo.

HERE →

Wtoczyła się na stare, spróchniałe deski, które zagrzechotały pod oponami. Gdy dźwięk silnika ścichł w dali, wrona usiadła przed wlotem mostu i zajrzała w ciemną

gardziel.

Dwie minuty później most zniknął jak pęknięty balon, z głośnym hukiem. Spowodował falę uderzeniową, która trzasnęła we wronę niczym pędzący samochód, zdmuchując jej połowę piór i odrzucając ją na odległość sześciu metrów. Była martwa, zanim spadła na ziemię – po prostu kolejna ofiara ruchu drogowego.

Laconia, New Hampshire

Hutter zorientowała się przed innymi, mimo że scena rozgrywała się na oczach wszystkich. Lou Carmody zaczął się osuwać. Prawa noga się pod nim ugięła i oparł się ręką o duży owalny stół w pokoju konferencyjnym.

- Panie Carmody? - powiedziała.

Opadł na obrotowe krzesło biurowe, siadł na nim z miękkim trzaskiem. Jego skóra zmieniła kolor, duża twarz stała się mlecznoblada, złana potem. Przyłożył rękę do czoła, jakby sprawdzał, czy ma gorączkę.

- Panie Carmody! - powtórzyła Hutter, wołając do niego przez pokój.

Otaczali go mężczyźni; nie rozumiała, jak mogą tak stać i nie widzieć, że facet ma atak serca.

- Ruszam, Lou - powiedziała Vic McQueen. Hutter słyszała ją dzięki słuchawce Bluetooth w uchu. - Kocham cię.

- Ja ciebie też - wymamrotał Carmody. Miał słuchawki jak Tabitha Hutter; mieli je prawie wszyscy w pokoju, cały zespół przysłuchiwał się rozmowie.

Przebywali w pokoju konferencyjnym komendy policji pod Laconią. Mogłaby to być sala konferencyjna w Hiltonie albo Courtyard Marriotcie: duża, nijaka przestrzeń z ustawionym pośrodku długim owalnym stołem i oknami wychodzącymi na parking.

McQueen się rozłączyła. Hutter wyrwała słuchawkę.

Cundy, naczelny technik, pracował na laptopie, przeglądając Google Maps. Miał przed sobą powiększenie Sugarcreek w Pensylwanii, ulicę Bloch Lane. Oderwał oczy od ekranu i spojrzał na Hutter.

- Będą tam za trzy minuty. Może mniej. Właśnie rozmawiałem z miejscowymi, pędzą na sygnale.

Hutter otworzyła usta, chciała powiedzieć: Każ im wyłączyć te pieprzone syreny. Nie ostrzega się uciekiniera, że nadciąga pościg. To podstawowa zasada.

Ale wtedy Lou się pochylił, głowa mu opadła, uderzył nosem w stół. Stęknął cicho i ścisnął blat, jakby był na morzu i przywierał do wielkiego kawałka pływającego drewna.

Dlatego Hutter powiedziała coś innego.

- Karetka, natychmiast.

- Chce pani... karetka ma jechać na Bloch Lane? - zapytał Cundy.

- Nie, tutaj - odparła, szybko obchodząc stół. Podniosła głos: - Panowie, odsuńcie się, żeby pan Carmody miał czym oddychać. Cofnąć się. Cofnąć się, proszę.

Krzeseł na kółkach powoli odtoczyło się do tyłu i Lou Carmody zsunął się ze stołu na podłogę, jakby otworzyła się pod nim zapadnia.

Daltry stał najbliżej, tuż za krzesłem. Trzymał w ręce kubek z napisem NAJWSPANIALSZY TATA ŚWIATA. Uskoczył i wylał czarną kawę na różową koszulkę.

- Kurwa, co mu się stało? - zapytał.

Hutter przykłękała obok Carmody'ego, który w połowie leżał pod stołem. Przyłożyła ręce do jego wielkiego spadzistego ramienia i pchnęła. Przypominało to próbę przewrócenia materaca na drugą stronę. Wreszcie opadł na plecy, jego prawa ręka ścisnęła koszulkę z Iron Manem, skręcała materiał w supeł na wysokości piersi. Policzki miał obwisłe, usta szare. Sapnął przeciągle, urywanie. Jego oczy poruszały się we wszystkie strony, jakby próbował ustalić, gdzie jest.

- Zostań z nami, Lou - powiedziała Tabitha. - Niedługo przybędzie pomoc.

Pstryknęła palcami i w końcu znalazł ją spojrzeniem.

Zamrugnął i uśmiechnął się niepewnie.

- Podobają mi się pani kolczyki. Supergirl. Nie wyobrażam sobie pani jako Supergirl.

- Nie? A jako kogo? - zapytała, żeby go skłonić do mówienia. Zaciśnęła palce na jego nadgarstku. Przez długą chwilę niczego nie czuła, potem nastąpiło jedno silne uderzenie, potem znowu cisza, potem seria szybkich uderzeń.

- Jako Velmę - odparł. - Wie pani? Ze *Scooby-Doo*.

- Dlaczego? Bo obie jesteśmy lekko puszyste? - zapytała Hutter.

- Nie. Ponieważ obie jesteście sprytne. Boję się. Potrzymaj mnie pani za rękę?

Ujęła ją w dłonie, a on delikatnie gładził kciukiem kostki jej palców.

- Wiem, że nie wierzy pani w nic, co Vic powiedziała o Manxie - zaczął nagłym, pełnym przejęcia szeptem. - Wiem, że uważa ją pani za wariatkę. Nie może pani pozwolić, żeby fakty weszły w drogę prawdzie.

- O rany. Co za różnica?

Zaskoczył ją, bo się zaśmiał - był to szybki, bezsilny, zadyszany dźwięk.

Musiała z nim jechać karetką do szpitala. Nie chciał puścić jej ręki.

Here, Iowa

Wyjeżdżając z mostu, Vic zwolniła i wrzuciła luz. Żywo pamiętała swoją ostatnią wizytę w Bibliotece Publicznej w Here, jak wpadła na krawężnik i przeszorowała kolaniem po betonowym chodniku. W obecnym stanie nie mogła sobie pozwolić na wypadek. Silnik odmówił pracy na jałowym biegu i gdy wjechała na asfaltową drogę, która znajdowała się za biblioteką, zgasł z cichym, przygnębionym sapnięciem.

Poprzednim razem, kiedy była w Here, wąski park za biblioteką był zagrabiony, czysty i cienisty – dobre miejsce do rozpostarcia koca i poczytania książki. Teraz zobaczyła spłacheć błota rozoranego przez opony koparek i wywrotek. Stuletnie dęby i brzozy zostały wyrwane z ziemi i zepchnięte w jedno miejsce przez spychacze. Czterometrowy stos martwego drewna piętrzył się na skraju dawnego parku.

Została jedna parkowa ławka. Kiedyś była ciemnozielona, z poręczami i nogami z kutego żelaza, ale farba się złuszczyła, a drewno spękało, wypalone przez słońce tak bardzo, że niemal straciło barwę. Maggie drzemiała na siedząco, z podbródkiem opartym o piersi, na brzegu ławki, w bezpośrednim, bezlitosnym blasku słońca. W ręce trzymała kartonik lemoniady, mucha brzęczała wokół jej ust. Miała koszulkę bez rękawów, więc widać było jej chude, obciążnięte obwisłą skórą ramiona, pełne blizn po dziesiątkach oparzeń papierosem. Jakiś czas temu ufarbowała włosy na jaskrawy pomarańczowy kolor, ale widać już było brązowe i siwe odrosty. Vic pomyślała, że jej matka nie wyglądała tak staro, kiedy umierała.

Widok Maggie – takiej zniszczonej, wychudzonej, zmaltretowanej i samotnej – zabolął ją bardziej niż lewe kolano. Zmusiła się do przypomnienia sobie, w najdrobniejszych szczegółach, jak w chwili złości i paniki rzuciła jej papiery w twarz, jak groziła jej policją. Poczucie wstydu było dotkliwe, ale nie odsunęła go od siebie. Pozwalała, żeby ją paliło jak rozżarzony papieros mocno przyciśnięty do skóry.

Przedni hamulec zapiszczał, gdy się zatrzymała. Maggie uniosła głowę, odgarnęła z oczu cienkie włosy koloru oranżady w proszku i uśmiechnęła się sennie. Vic opuściła stopkę.

Uśmiech Maggie zniknął równie nagle, jak się pojawił. Niepewnie podniosła się z ławki.

- Och, V-V-Vic. Co ty sobie zrobiłaś? Jesteś cała we krwi.
- Jeśli to poprawi ci samopoczucie, większość nie jest moja.
- Nie poprawiło. S-s-s-ssłabo mi. Czy nie musiałam cię

opatrywać wtedy, gdy byłaś tu poprzednim razem?

- Tak, chyba tak - odparła Vic. Spojrzała na bibliotekę. Okna na parterze przecinała krzyżująca się żółta taśma policyjna. - Co się stało z twoją biblioteką, Maggie?

- W-w-widziała lepsze czasy. Jak j-j-jjja - powiedziała Maggie i uśmiechnęła się, żeby pokazać brakujące zęby.

- Maggie... - szepnęła Vic i przez chwilę znów była bardzo bliska płaczu. Przez te usta, nierówno umalowane fioletową szminką. Przez martwe drzewa na stosie. Przez słońce, zbyt gorące i jasne. Maggie zasłużyła na trochę cienia.

- Nie wiem, która z nas bardziej potrzebuje lekarza.

- O rany, nic mi nie jest! Tylko j-j-ja-jąkanie się pogorszyło.

- I twoje ręce...

Maggie ze zdumieniem spojrzała na konstelację oparzeń, potem uniosła wzrok.

- To pomaga mi normalnie mówić. Pomaga też w czymś innym.

- Co ci pomaga?

- B-b-b-ból. Daj spokój. Wejdźmy do środka. Mama Maggie cię opatrzy.

- Potrzebuję czegoś więcej, Maggie. Mam pytania do twoich płytek.

- M-m-mo-może nie być odpowiedzi - powiedziała Maggie, ruszając w górę ścieżki. - Już się t-t-tak dobrze nie sprawiają. Teraz one te-też się jākają. Ale spróbuję. Zaraz po tym, jak się umyjesz i ci po-po-pomatkuje.

- Nie wiem, czy mam na to czas.

- Jasne, że masz - zapewniła Maggie. - On jeszcze nie do-do-dojechał do Gwiazdkowej Krainy. Obie wiemy, że wcześniej nie zdołasz go dorwać. To byłoby jak próba z-z-zzłapania garści mgły.

Vic ostrożnie zsiadła z motocykla. Szła, niemal skakała na jednej nodze, żeby nie obciążać tej zranionej. Maggie objęła ją w talii. Vic chciała jej powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy, ale prawda była taka, że potrzebowała - wątpiła, czy sama dałaby radę dojść do biblioteki - i odruchowo zarzuciła rękę na jej ramiona. Przeszły parę kroków. Maggie

się zatrzymała i wykręciła głowę, żeby spojrzeć na Krótszą Drogę, która znów spinała brzegi rzeki Cedar. Rzeka wydawała się szersza, niż Vic pamiętała, wzburzona woda podeszła do skraju wąskiej drogi za biblioteką. Porośnięta krzakami skarpa, która kiedyś ciągnęła się wzdłuż rzeki, została zalana.

- Co tym razem jest na drugim końcu mostu?

- Dwóch martwych mężczyzn.

- Czy ktoś będzie cię ś-ś-śścigał?

- Nie sądzę. Policja mnie tam szuka, ale most zniknie, zanim go znajdą.

- Tu była p-p-po-policja.

- Szukali mnie?

- Nie wiem! M-m-m-mo-momoże! Wracalam z drogerii i zobaczyłam radiowóz przed bi-bi-biblioteką. Zrobiłam w tył zwrot. Czasami t-t-tu się zatrzymuję, czasami w innych miejscach.

- Gdzie? Zdaje się, że gdy się poznałyśmy, wspomniałaś coś o mieszkaniu u krewnych... u wuja czy kogoś?

Maggie pokręciła głową.

- Już go nie ma. Nie ma całego p-p-pa-parkingu przyczep. Woda zabrała.

Dwie kobiety pakuowały do tylnych drzwi.

- Prawdopodobnie szukali ciebie, ponieważ zadzwoniłam. Mogli namierzyć twoją komórkę - powiedziała Vic.

- Też tak pomyślałam. Wyrzuciłam ją po naszej rozmowie. Wiedziałam, że nie będziesz już musiała do m-m-mnie dzwonić. Nie ma obawy!

Na żółtej taśmie na zardzewiałych drzwiach widniał napis NIEBEZPIECZEŃSTWO. Arkusz papieru wsunięty w przezroczystą foliową koszulkę informował, że konstrukcja grozi zawaleniem. Drzwi były uchylone, z kawałkiem betonu wsuniętym w szczelinę. Maggie podniosła taśmę i pchnęła drzwi. Vic weszła za nią w ciemność ruiny.

Rozległy, przepastny loch był kiedyś bibliotecznym magazynem pachnącym dziesięcioma tysiącami książek, które spokojnie starzały się w cieniach. Regały wciąż tam

były, choć całe szeregi przewróciły się jak wysokie na trzy i pół metra żelazne kamienie domina. Większość książek zniknęła, pozostałe murszały na stosach cuchnących pleśnią i rozkładem.

- Wielka p-p-po-powódź była w dwa tysiące ósmym, i mu-mu-mury wciąż są wilgotne.

Vic musnęła ręką zimny, wilgotny beton.

Maggie ją podtrzymywała, gdy ostrożnie kluczyły przez rumowisko. Vic kopnęła stertę puszek po piwie. Gdy jej oczy przywykły do mroku, zobaczyła graffiti na ścianach, zwyczajną galerię dwumetrowych kutasów i cyków wielkości talerzy. Ale był tam również ważny komunikat, nabazgrany ociekającą czerwoną farbą:

**PROSZE BYĆ GIHO W BIBLOTEGE LUDZIE
PRUBUJOM BYĆ NA NAJU!**

- Przykro mi, Maggie - powiedziała Vic. - Wiem, że kochałaś to miejsce. Czy ktoś coś robi, żeby pomóc? Czy książki zostały przeniesione gdzie indziej?

- Jasne - mruknęła Maggie.

- W pobliżu?

- C-c-ca-całkiem blisko. Miejskie wysypisko jest półtora kilometra stąd w dół rzeki.

- Czy nikt nie może nic zrobić z tym budynkiem? Ile ma? Sto lat? Na pewno jest zabytkowy.

- Masz rację - powiedziała Maggie i przez chwilę wcale się nie jąkała. - To historia, mała.

Vic dostrzegła w cieniach jej minę. Tak wyglądała prawda: ból naprawdę łagodził jej wadę wymowy.

Biblioteka

Biuro Maggie Leigh za akwarium nadal istniało, w pewnym sensie. Zbiornik był pusty, na dnie leżały brudne płytki scrabble, przez zmatowiałe szkło widać było dawną bibliotekę dziecięcą. Stalowe biurko Maggie zostało, chociaż blat był pożłobiony i podrapany, a z boku ktoś namalował sprayem rozwarty czerwony srom. Świeczka pochylała się nad kałużą fiołkowego wosku. Przycisk do papieru - rewolwer Czechowa^[2], i tak, teraz Vic załapała żart - przytrzymała kartki otwartej książki, *Fikcje* Borgesa. Stała tam obita tweedem kanapa, której nie pamiętała. Pochodziła z wyprzedaży garażowej, większe rozdarcia zaklejono taśmą izolacyjną, mniejsze dziury nie, ale przynajmniej nie była wilgotna, nie śmierdziała pleśnią.

- Co się stało z twoim koi? - zapytała Vic.

- Nie jestem pewna. Chyba ktoś go z-z-zjadł. M-m-mam nadzieję, że ktoś miał smaczny p-p-po-posiłek. Nikt nie p-p-po-powinien być głodny.

Na podłodze leżały strzykawki i gumowa rurka. Vic starała się nie nastąpić na igły, gdy szła do kanapy, żeby usiąść.

- To nie m-m-moje - powiedziała Maggie, wskazując strzykawki. Poszła po miotłę stojącą w kącie, który kiedyś zajmował wieszak. Teraz miotła pełniła funkcję wieszaka; wisiał na niej brudny kapelusz Maggie. - Nie robiłam strzału od zzze-zeszłego roku. Za drogo. Nie wiem, jak ludzi na to stać w obecnej sytuacji gospodarczej.

Maggie ulokowała kapelusz na pomarańczowych włosach z godnością pijanego dandysa, który dopił absynt i ma zamiar wyjść z kawiarni w deszczową paryską noc. Wzięła miotłę i zaczęła zamiatać. Strzykawki grzechotały dźwięcznie na betonie.

- Mogę owinąć ci nogę i dać ci trochę oxy - powiedziała. - Znacznie tańsze niż heroina.

Pochyliła się przy biurku, znalazła klucz, otworzyła dolną szufladę. Wyjęła butelkę pomarańczowych pigułek, paczkę papierosów i spleśniały fioletowy woreczek scrabble.

- Abstynencja jest jeszcze tańsza niż oksykodon - powiedziała Vic.

Maggie wzruszyła ramionami.

- Biorę tylko wtedy, gdy potrzeba. - Wsunęła papierosa w kącik ust, zapaliła zapalniczkę o kciuk: niezła sztuczka.

- Kiedy potrzeba?

- To środek przeciwbólowy. Biorę go, żeby zabić ból. - Zaciągnęła się dymem, odłożyła zapalniczkę. - To wszystko. Co ci się s-s-stało, V-V-Vic?

Vic ułożyła się na kanapie, oparła głowę o podłokietnik. Nie mogła ani zgiąć, ani wyprostować lewej nogi; ledwie mogła nią poruszać. Ledwie mogła na nią patrzeć; kolano było dwa razy większe niż to drugie, pokryte fioletowo-brązową mapą siniaków.

Zacząła relacjonować wypadki dwóch ostatnich dni najlepiej, jak pamiętała, niezupełnie po kolei, nie szczędząc wyjaśnień, które wydawały się bardziej zagmatwane niż to, co miały wyjaśniać. Maggie słuchała bez przerywania, nie zadawała pytań. Woda z kranu ciekła przez pół minuty, potem przestała. Vic gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy Maggie położyła mokrą, zimną ścierkę na jej lewym kolanie, a potem delikatnie ją przytrzymywała.

Maggie otworzyła butelkę z lekarstwem i wytrząsnęła małą białą pigułkę. Aromatyczny niebieskawy dym snuł się z jej papierosa, spowijając ją jak duch szala.

- Nie mogę tego łyknąć - powiedziała Vic.

- Jasne, że m-mo-możesz. Nie m-mu-musisz p-połykać na sucho. Mam lemoniadę. Trochę ciepła, ale całkiem smaczna.

- Nie, chodzi mi o to, że zasnę. Ostatnio i tak za dużo spałam.

- Na betonowej podłodze? Po zagazowaniu? To nie jest s-s-sen. - Podała Vic tabletkę oksykodonu. - To utrata przytomności.

- Może po tym, jak porozmawiamy.

- Jeśli spróbuję ci p-p-po-pomóc znaleźć to, co chcesz wiedzieć, czy obiecasz, że nie odjedziesz, p-p-póki nie odpoczniesz?

Vic ścisnęła jej rękę.

- Obiecuję.

Maggie uśmiechnęła się i poklepała ją po palcach, ale Vic nie chciała puścić jej dłoni.

- Dziękuję, Maggie. Za wszystko. Za to, że próbowałaś mnie ostrzec. Że mi pomagasz. Oddałabym wszystko, żeby cofnąć czas i zachować się inaczej, kiedy zobaczyłam cię w Haverhill. Bałam się ciebie. To nie jest usprawiedliwienie. To żadne usprawiedliwienie. Mnóstwo rzeczy chciałabym zmienić. Nawet sobie nie wyobrażasz. Chciałabym w jakiś sposób ci pokazać, jak bardzo jest mi przykro. Chciałabym dać ci coś poza słowami.

Cała twarz Maggie pojaśniała: buzia dziecka, które patrzy, jak latawiec wzbija się coraz wyżej w błękitne, błękitne niebo.

- Cholera, V-V-V-Vic. Doprowadzasz mnie do p-p-płaczu! Czy na świecie jest coś lepszego niż słowa? Poza tym już coś robisz - powiedziała Maggie. - Jesteś tutaj. Miło, gdy jest z kim porozmawiać. Co nie znaczy, że rozmowa ze m-m-mną sprawia wielką f-f-frajdę.

- Sza. Daj spokój. Twoje jąkanie ani w połowie nie przeszkadza mi tak, jak tobie. Kiedy się poznałyśmy, powiedziałaś mi, że twoje płytki scrabble i mój rower są nożami do przecinania szwów między rzeczywistością i myślą. Miałaś rację. Ale tną nie tylko to. Ranią, wycinając z nas dobro. Wiem, że mój most, Krótsza Droga, mnie zniszczył. Tutaj. - Postukała się w lewą skroń. - Podróżowałam nim o parę razy za dużo i to mi padło na umysł. Nigdy nie byłam normalna. Spaliłam własny dom. Spaliłam swoje życie. Uciekłam od obu chłopaków, których kocham, ponieważ się bałam, że ich zniszczę albo nie będę dla nich dobra. Oto, co zrobił mi mój nóż. A ty masz ten problem z wymową...

- Jest tak, jakbym m-m-mo-moim nożem obcięła sobie język.

- Wygląda na to, że jedyną osobą, która nie będzie krwawić z powodu używania swojego psychicznego noża, jest Manx.

- Wcale nie! Nie, V-V-V-Vic! M-M-Ma-Manx to najgorszy przypadek! Wykrwawił się zupełnie do sucha! - Maggie

opuściła powieki i głęboko, zachłannie zaciągnęła się dymem. Rozżarzony koniuszek papierosa pulsował w ciemności. Wyjęła papierosa z ust, popatrzyła na niego z zadumą, a potem zgasila na gołym udzie, przez jedną z dziur w dżinsach.

- Jezu! - krzyknęła Vic. Usiadła tak szybko, że pokój przechylił się w jedną stronę, a jej żołądek skoczył w drugą. Padła z powrotem na podłokietnik, pokonana przez zawrót głowy.

- Wyjdzie mi to na dobre - wycedziła Maggie przez zaciśnięte zęby. - Chcę z tobą rozmawiać. Nie tylko trytryaskać śliną. - Oddychała szybko, z wyraźnym bólem. - Tylko w ten sposób mogę skłonić płytki, żeby mi coś powiedziały, a czasami nawet to nie wystarcza. To było konieczne. O czym mówiliśmy?

- Och, Maggie...

- Nie przejmuj się. Przejdźmy do rzeczy, bo inaczej będę musiała powtórzyć ten zabieg. A im częściej to robię, tym gorzej działa.

- Mówiłaś, że Manx wykrwawił się do sucha.

- Zgadza się. Dzięki Upiorowi jest młody i silny. Samochód go konserwuje. Ale zapłacił za to utratą zdolności do odczuwania żalu czy współczucia. Właśnie to wyciął z niego nóż: człowieczeństwo.

- Tak. Co więcej, zamierza wyciąć to samo również z mojego syna. Samochód zmienia dzieci, które Manx zabiera ze sobą w podróż do Gwiazdkowej Krainy. Przemienia je w pieprzone wampiry czy coś. Mam rację?

- Mniej więcej - odparła Maggie. Kołysała się do przodu i do tyłu, z zamkniętymi oczami walcząc z bólem w nodze. - Gwiazdkowa Kraina jest pejzażem wewnętrznym, prawda? Miejscem, które wymyślił Manx.

- Wyobrażonym.

- Nie, jest prawdziwe. Idee są równie realne jak skały. Twój most też jest prawdziwy, wiesz. Oczywiście tak naprawdę nie jest krytym mostem. Krokwie, dach, deski pod kołami to sceniczne dekoracje, przebranie czegoś bardziej

podstawowego. Kiedy opuściłaś dom Człowieka w Masce Przeciwigazowej i przybyłaś tutaj, nie przecięłaś mostu. Przekroczyłaś ideę mostu. I kiedy M-M-Ma-Manx dotrze do Gwiazdkowej Krainy, przybędzie do idei szczęścia, która wygląda jak... nie wiem... pracownia Świętego Mikołaja?

- Myślę, że to wesołe miasteczko.

- Wesołe mm-miasteczko. Tak, brzmi, jak trzeba. Manx już nie zna szczęścia. Została mu tylko wesołość. Idea nieskończonej zabawy, nieskończonej młodości przyobleczone w postać, jaką może zrozumieć tępy mały umysł. Jego pojazd jest narzędziem, które otwiera drogę. Cierpienie i nieszczęście dostarczają energii, która napędza samochód i o-otwiera p-p-przejsście do tego miejsca. Również dlatego Manx musi zabierać ze sobą dzieci. Samochód potrzebuje czegoś, czego on już nie ma. Wysąca szczęście z dzieci jak w-w-wa-wampir, który w filmie klasy B wysysa krew.

- I kiedy już je wykorzysta, stają się potworami.

- Wciąż są dziećmi, jak sądzę. Są dziećmi, które nie potrafią zrozumieć niczego z wyjątkiem zabawy. Zostały przemodelowane w taki sposób, żeby pasowały do koncepcji idealnego dzieciństwa według M-Manxa. On chce, żeby dzieci były w-w-wiecznie niewinne. Niewinność wcale nie jest taka super, wiesz. Niewinne dzieci wyrrywają skrzydełka muchom, ponieważ nie zdają sobie sprawy, że postępują źle. To nie jest niewinność. Samochód zabiera to, czego potrzebuje Manx, i zmienia pasażerów, żeby mogli żyć w jego świecie myśli. Ta zmiana ostrzy im zęby i odziera z potrzeby ciepła. Świat czystej myśli, założę się, jest bardzo zimny. A teraz weź pigułkę, Vic. Musisz odpocząć i nabrać sił, zanim pojedziesz znowu się z nim zmierzyć. - Wyciągnęła rękę z tabletką.

- Może faktycznie masz rację. Wezmę, nie tylko na kolano. Głowa mi pęka - powiedziała Vic i się skrzywiła, gdy igła bólu przeszła jej lewą gałkę oczną. - Zastanawiam się, dlaczego zawsze czuję ból za lewym okiem, ilekroć korzystam z mostu. Od czasów dzieciństwa. - Roześmiała się

drżąco. – Kiedyś płakałam krwią, wiesz?

– Twórcze idee rodzą się w prawej półkuli mózgu. Poza tym wypchnięcie myśli z głowy do realnego świata musi wymagać mnóstwa energii. Cała ta energia trafia cię prosto... – Maggie wskazała na jej lewe oko – tutaj.

Vic spojrzała tęsknie na pigułkę. Wciąż się wahała.

– Odpowiesz na moje pytania, tak? Swoimi płytkami.

– Jeszcze nie zapytałaś o nic, do czego byłyby mi one potrzebne.

– Muszę wiedzieć, jak go zabić. Zmarł w więzieniu, ale nic to nie dało.

– Sądzę, że już znasz odpowiedź na to pytanie.

Vic wzięła tabletkę z ręki Maggie i przyjęła zaproponowany przez nią kartonik lemoniady. Była ciepła, lepka, słodka i dobra. Połknęła oksykodon przy pierwszym łyku. Pigułka zostawiła lekki gorzkawy posmak w jej ustach.

– Samochód – powiedziała Vic. – Upiór.

– Tak. Kiedy samochód się rozpadł, jego spotkało to samo. W pewnym momencie ktoś prawdopodobnie wyrwał silnik i Manx w końcu padł martwy. Ale potem silnik został zamontowany i samochód naprawiony, i proszę. Dopóki samochód będzie na chodzie, on też.

– Jeśli więc zniszczę samochód... zniszczę jego.

Maggie zaciągnęła się papierosem. Koniuszek jarzył się w ciemności.

– Założę się.

– W porządku.

Minęły może dwie minuty, ale pigułka już zaczynała działać. Kiedy Vic zamknęła oczy, czuła się tak, jakby sunęła bezdźwięcznie na swoim starym tuff burnerze, jadąc przez mroczny, cienisty las...

– Vic – odezwała się Maggie łagodnym tonem.

Vic uniosła głowę z podłokietnika i zamrugnęła szybko, zdając sobie sprawę, że prawie zasypiała.

– Niezła pigułka – powiedziała.

– O co chcesz zapytać moje płytki? – ponagliła Maggie. – Lepiej powiedz, póki jeszcze możesz.

- O mojego syna. Zamierzam jechać do Gwiazdkowej Krainy, żeby go odzyskać. Będą tam dzisiaj wieczorem, jak sądzę, albo jutro wczesnym rankiem, i ja też mam zamiar tam być. Ale w tym czasie Wayne będzie już... zupełnie inny. Słyszałam to w jego głosie, kiedy z nim rozmawiałam. Walczy z tym, ale samochód przemienia go w jednego z tych żywych trupów. Czy zdołam go uleczyć? Muszę wiedzieć. Jeśli go odzyskam, czy jest jakiś sposób, żeby to wszystko odwrócić?

- Nie wiem. Żadne dziecko nie wróciło z Gwiazdkowej Krainy.

- No to zapytaj. Twój woreczek płytek może ci odpowiedzieć, prawda?

Maggie zsunęła się z kanapy na podłogę. Delikatnie potrząsnęła nadgryzionym przez mole woreczkiem. Płytki zagrzecgotały.

- Zobaczymy, co z-z-zo-zobaczymy - powiedziała i wsunęła rękę do środka. Przemieszała płytki, wyciągnęła garść i rzuciła je na podłogę.



Maggie patrzyła na nie z pełną zmęczenia konsternacją.

- To wszystko, co ostatnio dostaję. Pocałunki i uściski d-d-dla samotnej, jękającej się dziewczyny. - Maggie przeciągnęła ręką po podłodze, zgarniając literki, i schowała je do woreczka.

- W porządku. Nic nie szkodzi. Warto było spróbować. Nie można wiedzieć wszystkiego. Nie można znaleźć wszystkiego.

- Nie - zaprzeczyła Maggie. - Kiedy przychodzisz do biblioteki, żeby coś znaleźć, powinnaś dostać to, czego chcesz.

Sięgnęła do woreczka ze sztucznego aksamitu i wyjęła drugą garść płytek, rzuciła je na podłogę.

PPPPPPPPPP

- Nie pokazujcie mi języka - powiedziała do literek.

Zebrała płytki, wrzuciła je do woreczka i jeszcze raz wsunęła rękę, tym razem prawie po łokieć. Vic usłyszała klekot setki zderzających się płytek. Maggie wyjęła garść, rzuciła.

FUFUFUFUFU

- Pieprzycie mnie? Pieprzycie? - krzyknęła. - Rzucacie mi w twarz moimi kolczykami? To ja was p-p-pieprzę.

Wyjęła papierosa z ust, ale zanim zdążyła zgasić go na ramieniu, Vic usiadła i chwyciła ją za nadgarstek.

- Nie - powiedziała. Pokój się zakołysał, jakby siedziała na huśtawce. Wciąż trzymała Maggie za ramię. Maggie patrzyła na nią, jej oczy błyszczały w głębokich oczodołach... jasne, przerażone i zmęczone. - Spróbujemy kiedy indziej, Maggie. Może nie tylko ja potrzebuję odpoczynku. Półtora tygodnia temu byłaś w Massachusetts. Wróciłaś autobusem?

- Autostopem.

- A kiedy ostatnio coś jadłaś?

- Wczoraj zjadłam k-k-ka-kanapkę z-z-z-... - I zaniemówiła. Jej czerwona twarz zyskała ciemny, groteskowy odcień fioletu, jakby się dusiła. W kącikach ust wystąpiła spieniona ślina.

- Sza - powiedziała Vic. - Sza. W porządku. Zorganizujemy ci coś do jedzenia.

Maggie wydmuchnęła dym, rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca do zgaszenia papierosa i wybrała przeciwległy podłokietnik. Obicie zasyczało, czarna smużka dymu popłynęła ku sufitowi.

- Po drzemce, V-V-Vic.

- Po wspólnej drzemce - zaznaczyła Vic. - Potem

znajdziemy coś do jedzenia i jakieś ubrania. Ocal Wayne'a. Ocal bibliotekę. Popraw sytuację. Zrób, co trzeba. Moce Cudownych Bliźniaczek aktywowane. Kładź się.

- Dobra. Ty zajmij kanapę. Ja mam miły stary koc. Mogę rozłożyć go na p-p-po-po...

- Kładź się ze mną, Maggie. Na kanapie jest miejsce dla nas obu. - Vic była przytomna, ale miała wrażenie, że znowu utraciła zdolność otwierania oczu.

- Nie masz nic przeciwko?

- Nie, skarbie - powiedziała Vic tak, jakby mówiła do swojego syna.

Maggie wśliznęła się na kanapę i przylgnęła do jej boku, naciskając kościstym biodrem na jej biodro, kościstym łokciem na brzuch.

- Przytulisz mnie, Vic? - zapytała drżącym głosem. - M-m-minął długi czas, odkąd obejmował m-m-mnie ktoś m-m-miły i w ogóle, ale...

Vic objęła ją w talii. Przytuliła do siebie chudą, drżącą kobietę.

- Teraz możesz się zamknąć, wiesz - mruknęła.

- Aha. Dobra. Co za ulga.

Laconia

Nie chcieli pozwolić, żeby Lou chodził, nie chcieli ryzykować, że otyły mężczyzna dostanie zawrotów głowy i padnie na twarz, więc po badaniu posadzili go na wózku inwalidzkim i pielęgniarz zawiózł go na oddział.

Pielęgniarz był w jego wieku, miał zaspane, podkrążone oczy i wypukłe czoło człowieka z Cro-Magnon. Identyfikator informował, że ma na imię, nie do wiary, BILBO. Na kosmatym przedramieniu miał wytatuowany statek kosmiczny *Serenity* z serialu *Firefly*.

- Jestem liściem na wietrze - powiedział Lou.

- Stary, nie mów tak. Nie chcę rozplakać się w robocie.

Za nimi szedł detektyw, niosąc ubranie Lou w papierowej torbie. Lou nie podobał się jego zapach, nikotyny i mentolu, z przewagą nikotyny, i nie podobało mu się to, że facet wydaje się za mały dla swoich ubrań, więc wszystko na nim wisiało: koszula, spodnie w cielistym kolorze, wyświechtana marynarka.

- O czym rozmawiacie? - zapytał Daltry.

- O *Firefly* - odparł pielęgniarz, nie oglądając się. - Jesteśmy Brązowe Płaszczce.

- Co to znaczy? Jesteście gejami, którzy zamierzają się pobrać? - zapytał Daltry i zaśmiał się ze swojego żartu.

- Jezu, wracaj do lat pięćdziesiątych, stary - mruknął pielęgniarz Bilbo, ale nie na tyle głośno, żeby Daltry usłyszał.

Weszli do dużej sali z dwoma rzędami łóżek, każde łóżko stało w boksie wydzielonym przez bladezielone zasłony. Bilbo zawiózł Lou prawie na sam koniec i skręcił do wolnego boksu po prawej stronie.

- Pański apartament, monsieur.

Lou przeniósł się na materac, a pielęgniarz w tym czasie zawiesił duży worek z jakimś płynem na stojaku z nierdzewnej stali. Lou wciąż miał wenflon wkłuty w prawe ramię i Bilbo podłączył do niego rurkę kroplówki. Lou od razu poczuł płyn, silny, lodowaty strumień, który miarowo obniżał ciepłość jego ciała.

- Mam się bać? - zapytał.

- Angioplastyki? Nie. Na skali skomplikowanych zabiegów medycznych to tylko odrobinę trudniejsze niż usunięcie zęba mądrości. Zwyczajny zabieg. Nie ma się czego bać.

- Aha - mruknął Lou. - Ale nie mówię o angioplastyce. Chodzi mi o to, co we mnie pompujecie. Co to jest? Coś poważnego?

- Nie, nic takiego. Dzisiaj nie idziesz pod nóż, więc nie dostajesz niczego porządnego. To środek rozrzedzający krew. Poza tym cię wyluzuje.

- Uśpi mnie?

- Szybciej niż maraton *Doktor Quinn*.

Daltry rzucił papierową torbę na krzesło przy łóżku. Ubranie Lou zostało ułożone w stosik, bokserki leżały na wierzchu, wielkie jak poszewka na poduszkę.

- Jak długo on tu będzie? - zapytał Daltry.

- Zatrzymamy go na noc na obserwację.

- To niezbyt dobry czas.

- Zwężenie tętnic z reguły sprawia kłopoty - powiedział Bilbo. - Nigdy nie uprzedza. Po prostu wpada na imprezę, gdy jest w odpowiednim humorze.

Daltry wyjął telefon komórkowy.

- Tutaj nie wolno ich używać - zaznaczył pielęgniarz.

- A gdzie można?

- Musi pan przejść przez pogotowie i wyjść na zewnątrz.

Daltry skinął głową, obrzucił Lou długim, niezadowolonym spojrzeniem.

- Proszę nigdzie nie chodzić, panie Carmody. - Odwrócił się i ruszył przez salę.

- I odpłynął swoim wypasionym kajakiem - skomentował Bilbo.

- A jeśli ja będę chciał skorzystać z telefonu? - zapytał Lou.

- Mogę zadzwonić, zanim odpłynę? Ja cię, człowieku. Słyszałeś o moim synu. Muszę zadzwonić do swoich staruszków. Nie zdołam zasnąć, dopóki nie dam im znać, co się dzieje.

Kłamstwo. Gdyby zadzwonił do swojej matki i zaczął jej mówić o Wayne, nie miałyby pojęcia, o co mu chodzi. Przebywała w domu spokojnej starości i nieczęsto go rozpoznawała. Byłoby jeszcze dziwniejsze, gdyby jego ojciec okazał zainteresowanie najnowszymi informacjami. Zmarł cztery lata temu.

- Mogę przemyścić ci aparat - powiedział Bilbo. - Coś, co można podłączyć obok łóżka. Tymczasem spróbuj się odprężyć. Wrócę za pięć minut.

Odsunął się od łóżka, zaciągnął zasłonę i odszedł.

Lou nie czekał i ani myślał tego robić. Znów był młokosem na motocyklu, wiozącym na siodełku chudą Vic McQueen, czującym jej drżące ręce wokół talii.

Spuścił nogi z łóżka i wyrwał igłę z ramienia. Z nakłucia popłynęły kropelki krwi.

Gdy tylko usłyszał głos Vic w słuchawce, poczuł, że krew uderza mu do głowy i puls zaczyna łomotać w skroniach. Głowa zrobiła się ciężka, jakby czaszkę wypełniał płynny metal zamiast tkanki mózgowej. Co gorsza, pokój zaczął się poruszać na skraju pola widzenia. Uczucie, że świat zaczyna się obracać wokół niego, przyprawiło go o chorobę lokomocyjną i musiał wbijać oczy w stół, żeby jej nie ulec. Ale wtedy głowa zrobiła się taka ciężka, że opadła na blat, a krzesło wysunęło się spod niego.

- To nie był atak serca, prawda? - zapytał lekarkę, gdy osłuchiwała mu szyję. - Bo jeśli to był atak serca, nie było tak źle, jak się obawiałem.

- Nie, nie atak serca. Ale być może miał pan przemijający atak niedokrwienny - wyjaśniła ładna ciemnoskóra kobieta o gładkiej, niezdradzającej wieku twarzy.

- Otóż to. Pomyślałem, że to albo atak serca, albo przekwitający atak niedokrwienny. Przekwitający atak niedokrwienny zajmował drugie miejsce.

- Przemijający. To swego rodzaju miniudar. Słyszę głuchy szum w arterii szyjnej.

- Aha. To tego pani słucha. Już miałem pani powiedzieć, że moje serce jest chyba niżej.

Uśmiechnęła się. Wyglądała tak, jakby chciała uszczypnąć go w policzek i dać mu cukierka.

- Słyszę poważne narastanie płytek.

- Poważnie? Szczotkuję zęby dwa razy dziennie.

- Innych płytek. Miażdżycowych. W pańskiej krwi. Za dużo bekonu. - Poklepała go po brzuchu. - Zbyt wiele masła na popcornie. Będzie pan musiał poddać się angioplastyce. Być może trzeba będzie wszczepić stent. Bez tego czeka pana poważny, nawet śmiertelny udar.

- Zamawiam sałatki, gdy chodzę do McDonalda - powiedział jej i był zaskoczony, gdy łyzy zapiekły go pod powiekami. Niedorzeczne, ale czuł ulgę, że tej uroczej niskiej agentki FBI nie ma w pobliżu. Nie chciał, żeby widziała, że

znowu płacze.

Lou zabrał z krzesła papierową torbę, wbił się w bieliznę i dżinsy, wciągając je pod szpitalną koszulę.

Zemdlał po rozmowie z Vic; świat zrobił się tłusty i śliski, nie mógł go utrzymać. Wysmyknął mu się z palców. Ale do chwili omdlenia słuchał jej uważnie. Z tonu jej głosu zrozumiał, że chce coś zrobić, że próbuje mu coś powiedzieć. „Muszę zrobić jeden przystanek, a potem chcę się zobaczyć z człowiekiem, który może dać mi trochę ANFO. Mając ANFO, mogę wysadzić świat Manxa w powietrze”.

Tabitha Hutter i wszyscy inni gliniarze przysłuchujący się rozmowie usłyszeli to, co Vic chciała. Usłyszeli „info” zamiast „ANFO”. To było jak jeden z obrazków o Wyszukiwarce, tylko że z dźwięku, nie z koloru. Człowiek nie zauważa tego, co ma wprost przed sobą, ponieważ nie umie patrzeć – albo, w tym wypadku, słuchać. Ale on zawsze umiał słuchać Vic.

Lou ściągnął koszulę szpitalną, włożył swoją.

ANFO. Jej ojciec był człowiekiem, który za pomocą ANFO wysadzał w powietrze różne rzeczy – występy skalne, pniaki drzew, stare pale – i który wysadził własną córkę bez oglądania się za siebie. Nigdy nawet nie miał Wayne’a na rękach i Vic rozmawiała z nim może dwanaście razy w ciągu dwunastu lat. Lou rozmawiał z nim częściej, pocztą elektroniczną posyłał mu zdjęcia wnuka i filmy wideo. Ze słów Vic wynikało, że jej ojciec nadal jest damskim bokserem i oszustem. Z tego, czego mu nie powiedziała, wiedział, że za nim tęskni i kocha go z głębią dorównującą może tylko miłości do syna.

Lou nigdy go nie poznał, ale znał jego adres i numer telefonu i wiedział, że Vic ma zamiar się z nim zobaczyć. Będzie na nią czekał, kiedy tam dotrze. Chciała, żeby tam był, inaczej by mu tego nie powiedziała.

Wytknął głowę za zasłonę, spojrzał w głąb przejścia między rzędami wiszących płacht.

Zobaczył lekarza i pielęgniarkę, z podkładkami do pisania, sprawdzali coś w papierach, stali tyłem do niego. Wziął tenisówki w rękę, wymknął się w przejście, skręcił w prawo

i przez wahadłowe drzwi wyszedł na szeroki biały korytarz.

Wędrował przez budynek, oddalając się od pogotowia. Po drodze wciągnął tenisówki.

W wysokim na piętnaście metrów holu z sufitu zwisały wielkie płyty różowego kryształu, nadając wnętrzu atmosferę Fortecy Samotności. W czarnej fontannie pluskała woda. Głosy odbijały się echem. Zapach kawy i muffinek z baru Dunkin' Donuts sprawił, że głód ścisnął mu żołądek. Myśl o jedzeniu ocukrzonego pączka z galaretką była jak wyobrażenie lufy naładowanego pistoletu w ustach.

Nie muszę żyć wiecznie, pomyślał. Wystarczy, że doczekam chwili, gdy odzyskam swojego syna.

Dwie zakonnice wysiadały z taksówki tuż przed obrotowymi drzwiami. Jeśli o niego chodzi, to był znak cholernie bliski boskiej interwencji. Przytrzymał dla nich drzwi, wsiadł do taksówki. Tył opadł na resorach.

- Dokąd jedziemy? - zapytał taksówkarz.

Do więzienia, pomyślał Lou, ale powiedział:

- Na dworzec kolejowy.



Bilbo Prince spojrział, jak taksówka odjeżdża w chmurze brudnoniebieskich spalin, spisał numery i odszedł. Szedł korytarzami, schodami do góry i na dół i w końcu wyszedł przez pogotowie po przeciwnej stronie szpitala. Czekał tam ten stary glina, Daltry, paląc papierosa.

- Odjechał - zameldował Bilbo. - Jak pan powiedział. Złapał taksówkę przed holem.

- Zanotował pan numer?

- I numery rejestracyjne - odparł Bilbo i podyktował mu dane.

Daltry skinął głową i wyjął komórkę. Wcisnął klawisz i przyłożył ją do ucha, potem lekko odwrócił się od Bilba.

- Tak, jedzie - powiedział do rozmówcy. - Hutter każe go tylko obserwować, więc obserwujemy. Zobacz, dokąd jedzie, i bądźcie gotowi interweniować, gdyby ten gruby drań spróbował zniknąć.

Daltry się rozłączył, zgasił papierosa i ruszył na parking. Bilbo potruchtał za nim i poklepał go po ramieniu. Starszy mężczyzna się obejrzał. Zmarszczył czoło i jego mina sugerowała, że rozpoznał pielęgniarza, ale już niezupełnie pamiętał, kto to taki ani jak się poznali.

- Już, człowieku? - odezwał się Bilbo. - A gdzie wyrazy miłości?

- Aha, racja. - Daltry wyjął z kieszeni dziesięć dolarów i wcisnął banknot w rękę Bilba. - Proszę. Żyj długo i szczęśliwie. Czy nie tak mówią fani *Star Treka*?

Bilbo przeniósł spojrzenie z brudnej dziesięciodolarówki - spodziewał się co najmniej dwudziestki - na statek *Serenity* wytatuowany na włochatym ramieniu.

- Tak, chyba. Ale nie jestem fanem *Star Treka*. Mój tatuaż? To *Serenity*, nie *Enterprise*. Jestem Brązowym Płaszczem, człowieku.

- Bardziej farbowanym lisem - rzucił Daltry i parsknął śmiechem. Drobiny śliny trysnęły w twarz pielęgniarza.

Bilbo chciał rzucić mu pieniądze pod nogi i odejść, chciał pokazać temu szpetnemu, pyskatemu kutasowi, co myśli o jego forsie, ale po chwili zmienił zdanie i schował gotówkę do kieszeni. Ciął na tatuaż Buffy na drugim ramieniu. Tusz nie jest tani.

Here, Iowa

Maggie zbudziła się z ręką zarzuconą na talię Vic, z jej głową na mostku. Vic była najładniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek miała w łóżku, i chciała ją pocałować, ale Vic się nie zgodziła. Chciała uczesać jej splątane, rozwichrzone przez wiatr włosy, wyprostować je, przywrócić im połysk. Chciała umyć jej nogi i natrzeć stopy olejkiem. Żałowała, że nie spędzą razem więcej czasu, że nie będzie okazji porozmawiać o czymkolwiek poza Charliem Manxem. Nie

znaczy to, że naprawdę zależało jej na rozmowie. Chciała słuchać. Maggie w każdej rozmowie bała się tej chwili, kiedy nadejdzie kolej na otworzenie jej wielkiej, głupiej g-gę-gę-gęby.

Czuła, że nie spała długo, ale wiedziała, że już nie zdoła zasnąć. Uwolniła się od śpiącej Vic, odgarnęła jej włosy z twarzy i wstała z kanapy. Nadszedł czas na literowanie i teraz, gdy Vic spała, Maggie mogła zrobić to, co trzeba, żeby literki dobrze się sprawiły.

Zapaliła papierosa. Zapaliła świeczkę. Poprawiła kapelusz. Położyła przed sobą woreczek scrabble i rozluźniła złoty sznureczek. Przez pewien czas wbijała oczy w ciemność, głęboko zaciągając się dymem. Zrobiło się późno, miała ochotę skruszyć i wciągnąć trochę oxy, ale nie mogła tego zrobić, dopóki nie spełni prośby Vic. Pociągnęła dekolt białej koszulki, odsłaniając lewą pierś. Wyjęła papierosa z ust, zamknęła oczy. Przez długi czas przyciskała rozżarzony koniec do piersi, wkręcając go w delikatne ciało, ze świstem wypuszczając powietrze przez zaciśnięte zęby. Czuła swąd przypalanej skóry.

Odrzuciła niedopałek i pochyliła się nad biurkiem, przyciskając nadgarstki do krawędzi, mruganiem przepędzając łzy. Ból piersi był dojmujący, głęboki i cudowny. Był święty.

Teraz, pomyślała, teraz, teraz. Miała niewiele czasu, żeby ułożyć płytki, wycisnąć sens z bełkotu: minutę, najwyżej dwie. Czasami jej się zdawało, że jest to jedyna walka, która ma znaczenie: walka o zapanowanie nad chaosem świata i o sprawienie, żeby nabrał sensu, ubranie go w słowa.

Wzięła garść literek, rzuciła je przed siebie i zaczęła układać. Przesuwała płytki tu i tam. Grała w tę grę przez całe dorosłe życie i była w tym dobra. Ułożyła litery po paru minutach, tym razem bez najmniejszego kłopotu.

Kiedy zobaczyła ułożone zdanie, odetchnęła przeciągle, z zadowoleniem, jakby właśnie wielkie brzemię spadło z jej barków. Nie miała pojęcia, co oznacza wiadomość. Pewnie miała jakiś ukryty sens, lecz nie sprawiała wrażenia faktu,

bardziej przypominała ostatnią linijkę kołysanki. A jednak Maggie była pewna, że ułożyła literki właściwie. Zawsze wiedziała, kiedy zrobiła to, jak trzeba. To było jasne i proste, jak wsunięcie właściwego klucza do dziurki i otworzenie zamka. Może Vic coś z tego zrozumie. Zapyta ją, kiedy tylko się zbudzi.

Przepisała wiadomość z Wielkiego Worka Scrabble Przeznaczenia na poplamioną kartkę z papeterii Biblioteki Publicznej w Here. Przeczytała. Dobrze, bardzo dobrze. Czowała nieznajomy rumieniec satysfakcji, nie była przyzwyczajona do tego, że jest zadowolona z samej siebie.

Zebrała literki, po jednej, i schowała je do aksamitnego woreczka. Pulsujący ból przenikał jej pierś, już nie było w nim nic transcendentnego. Sięgnęła po papierosy, nie po to, żeby się sparzyć, ale po prostu zapalić.

Jakiś chłopiec szedł przez bibliotekę dziecięcą, trzymając zimny ogień.

Zobaczyła go przez brudne szkło starego akwarium, czarną postać na tle bledszej ciemności pokoju. Gdy szedł, machał prawą ręką i z zimnego ognia strzelała gorąca fontanna miedzianych iskier, rysujących czerwone linie w mroku. Widziała go tylko przez chwilę – zniknął z pola widzenia, zabierając swoją strzelającą ogniem pochodnię.

Maggie pochyliła się w stronę akwarium, żeby zabębnić w szkło, napędzić mu stracha i zmusić go do ucieczki, ale nagle przypomniała sobie o Vic i się powstrzymała. Dzieciaki włamywały się do budynku, żeby rzucać petardy, palić papierosy i gryzmolić po ścianach, i serdecznie tego nienawidziła. Kiedyś natknęła się w magazynie na bandę nastolatków przekazujących sobie skręta wokół ogniska rozpalonego ze starych książek. Wpadła w szal i ścigała ich z nogą połamanego krzesła, świadoma, że jeśli zajmie się tapeta, straci swój najlepszy dom. „Podpalacze książek! – wrzasnęła do nich i choć raz wcale się nie zająknęła. – Podpalacze książek! Obetnę wam jaja i zgwałcę wasze kobiety!”. Było ich pięciu, ale uciekli, jakby zobaczyli ducha. Czasami sama uważała, że jest duchem, że naprawdę zginęła

w powodzi, umarła wraz z biblioteką i tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy.

Ostatni raz rzuciła okiem na Vic, skuloną na kanapie z pięściami zaciśniętymi pod brodą. Tym razem nie mogła się powstrzymać. Drzwi były niedaleko kanapy i gdy przechodziła, przystanęła, pochyliła się i pocałowała ją w skroń, lekko. Kącik ust śpiącej Vic uniósł się w cierpkim uśmiechu.

Maggie ruszyła na poszukiwanie chłopca w cieniach. Weszła do pomieszczenia, które kiedyś było biblioteką dziecięcą, i zamknęła za sobą drzwi. Szła po gołym, wilgotnym betonie. Wykładzina została zdarta i leżała w cuchnących rolkach pod ścianą. W kącie pomieszczenia stała połowa wielkiego globusa, odwrócona półkula północna, pełna wody i gołębic piór, z bokami usmarowanymi ptasim łajnem. Ameryka do góry nogami i obesrana. Maggie z roztargnieniem zobaczyła, że wciąż trzyma w ręce woreczek scrabble, zapomniała odłożyć go na biurko. Głupia.

Usłyszała dźwięk przypominający skwierczenie masła na patelni. Dobiegał skądś po prawej stronie. Ruszyła wokół orzechowego biurka w kształcie litery U, gdzie kiedyś wypożyczała *Koralinę*, *The House with a Clock in Its Walls* i *Harry'ego Pottera*. Gdy zbliżyła się do kamiennej galerii, która wiodła do głównego budynku, zobaczyła skaczący złoty blask.

Chłopiec stał na końcu galerii ze swoim zimnym ogniem. Mała, przysadzista czarna postać z naciągniętym kapturem, żeby ukryć twarz. Stał i patrzył, z zimnym ogniem opuszczonym ku podłodze, strzelającym iskrami i dymem. W drugiej ręce miał długą srebrną puszkę. Maggie poczuła zapach wilgotnej farby.

- .powstrzymać się mogę Nie - powiedział chrapliwym, dziwnym głosem i parsknął śmiechem.

- Co? - zapytała. - Dzieciaku, zmiataj stąd.

Pokręcił głową, odwrócił się i odszedł, dziecko cienia, poruszając się jak postać we śnie, oświetlająca ścieżkę do jakiejś groty podświadomości. Zatoczył się pijacko, o mało

nie wpadł na ścianę. Był pijany. Maggie z daleka czuła zapach piwa.

- Hej! - zawołała.

Zniknął. Usłyszała echo śmiechu. W dalekim mroku pokoju periodyków dostrzegła nowe światło - migoczący, ponury blask ognia.

Zaczęła biec. Kopała strzykawki i butelki rozrzucone po betonowej podłodze, mijała zabite deskami okna. Ktoś, prawdopodobnie ten dzieciak, na ścianie po prawej stronie czerwonym sprayem napisał: BÓG SPŁONAŁ ŻYWCEM ZOSTAŁ TYLKO DIABEŁ. Farba wciąż ociekała, jasnoczerwona, jakby mury krwawiły.

Maggie wpadła do pokoju periodyków, ogromnego jak średniej wielkości kaplica z równie wysokim sufitem. W czasie powodzi było tu płytkie Morze Sargassowe, na wodzie unosił się kozuch czasopism, spuchnięte numery „National Geographic” i „New Yorkera”. Była to duża, pusta cementowa komora z wyschłymi, stwardniałymi gazetami przyklejonymi do podłogi i ścian, ze zgniłymi stertami czasopism naniesionych w kąty, z kilkoma śpiworami rozpostartymi tam, gdzie koczowali włóczędzy. W drucianym koszu na śmieci wrzał tłusty dym. Mały pijany gnojek rzucił zimny ogień na czasopisma i broszury. Z głębi płonącego gniazda strzelały zielone i pomarańczowe iskry. Maggie dostrzegła kurczący się, czerniejący egzemplarz *Fahrenheita* 451.

Chłopak patrzył na nią z drugiego końca pomieszczenia, z mroku pod wysokim kamiennym łukiem.

- Hej! - wrzasnęła. - Hej, gówniarzu!

- .późno za jest ale ,mogę tylko jak ,Walczę - powiedział, kołysząc się z boku na bok. - .mną za idź nie ,proszę ,proszę ,Proszę

- Hej! - krzyknęła, nie słuchając, niezdolna słuchać, a poza tym jego słowa i tak nie miały sensu.

Rozejrzała się za czymś, żeby zdusić płomienie, podniosła jeden ze śpiworów, niebieski, śliski, lekko cuchnący rzygowinami. Przytrzymując łokciem woreczek scrabble,

rzuciła śpiwór na płomień, przycisnęła mocno, dławiąc ogień. Wzdrygnęła się, czując gorąco i zapach, smród wrzącego fosforu, płonącego metalu i zwęglającego się nylonu.

Kiedy uniosła głowę, chłopaka już nie było.

- Zabieraj dupę z mojej biblioteki, gadzino! Spierdalaj, zanim cię dopadnę!

Zaśmiał się gdzieś. Trudno było powiedzieć, gdzie się podział. Jego zadyszany śmiech rozbrzmiewał echem, nie dawał się wytropić, jak ptak uderzający skrzydłami o strop w jakimś opuszczonym kościele. Mimo woli pomyślała: Bóg spłonął żywcem, został tylko diabeł.

Szła w kierunku holu, nogi jej się trzęsły. Jeśli złapie tego obłąkanego pijanego małego łajdaka, nie będzie myślał o Bogu, który spłonął żywcem. Dojdzie do wniosku, że Bóg jest lesbą bibliotekarką, i nauczy się jej bać.

Maggie była w połowie sali periodyków, kiedy rakietę odpaliła z głośnym gwizdem. Dźwięk poraził jej zakończenia nerwowe, sprawił, że chciała krzyknąć i szukać kryjówki. Zamiast tego popędziła, skulona jak żołnierz pod ostrzałem, zupełnie bez tchu.

Wbiegła do wielkiej głównej sali z sufitem na wysokości osiemnastu metrów i zdążyła zobaczyć, jak butelkowa rakietę uderza w sufit, wiruje, odbija się od łuku i rykoszetuje w dół w kierunku matowej marmurowej posadzki, pocisk szmaragdowego płomienia i strzelających iskier. W powietrzu kłębił się chemiczny dym. Z góry spadały nieziemskie zielone światełka, sypiące się jak płatki jakiegoś piekielnego, radioaktywnego śniegu. Spalić bibliotekę - ten mały pojeb przyszedł tu, żeby spalić bibliotekę. Spadając, rakietę uderzyła w ścianę i eksplodowała w jasnym syczącym błysku, z hukiem głośnym jak strzał pistoletowy. Maggie krzyknęła, skuliła głowę i osłoniła twarz. Węgielek spadł na nagą skórę jej prawego przedramienia i wzdrygnęła się, czując ostre ukłucie bólu.

Dalej, w czytelni, chłopiec zaśmiał się bez tchu i ruszył biegiem.

Rakieta zgasła, ale dym w holu wciąż migotał, jarzył się nieziemskim odcieniem nefrytu.

Maggie popędziła za wandalą, już nie myśląc, roztrzęsiona, wściekła i przestraszona. Chłopak nie ucieknie przez drzwi frontowe – są zamknięte od zewnątrz na łańcuch – ale w czytelni znajdowały się drzwi pożarowe, zablokowane przez bezdomnych, żeby się nie zatrzasnęły. Za nimi leżał wschodni parking. Tam go dopadnie. Nie wiedziała, co z nim zrobi, kiedy go dorwie, i w głębi duszy bała się tego dowiedzieć. Gdy wpadła do czytelni, zobaczyła, że drzwi na zewnątrz już się przymykają.

- Gówniarzu – szepnęła. – Ty gówniarzu.

Wybiegła na parking. Po drugiej stronie brukowanej przestrzeni jedyna czynna latarnia rzucała aureolę światła. Środek parkingu był jasno oświetlony, ale skraje ginęły w ciemności. Chłopak czekał przy słupie latarni. Mały drań trzymał następny zimny ogień i stał niedaleko kontenera na śmieci pełnego książek.

- Odbiło ci? – zapytała Maggie.

- Widzę cię przez moje magiczne okno! – krzyknął chłopak. Zakreślił płonąca pętlę w powietrzu na wysokości twarzy. – Głowa ci płonie!

- Z-Z-Za-Zaproszysz ogień i ktoś może zginąć, ty mały dupku! – wrzasnęła. – Na przykład ty!

Brakowało jej tchu i drżała, ręce i nogi dziwnie ją mrowiły. Ruszyła przez parking. Za jej plecami drzwi pożarowe zamknęły się ze szczękiem. Niech to lichy! Dzieciak wykopał kamień, który je blokował. Będzie musiała pójść na drugą stronę budynku, żeby wrócić do środka.

- Patrz! – krzyknął dzieciak. – Patrz! Umiem pisać płomieniami!

Ciął zimnym ogniem powietrze. Białe kreski światła były tak jaskrawe, że zostawiały powidok, tworząc iluzję pulsujących liter.

U
C
I
E
K
A
J

- Kim jesteś? - zapytała, słaniając się lekko, przystając w połowie parkingu, niepewna, czy rzeczywiście widziała to, co być może widziała. Czy napisał w powietrzu to, co być może napisał.

- Spójrz! Umieję zrobić płatek śniegu! Mogę zrobić Boże Narodzenie w lipcu! - I wyrysował śnieżynkę w powietrzu.

Gęsia skórka pokryła jej ramiona.

- Wayne?

- Słucham?

- Wayne... O Boże...

Dwa reflektory zapłonęły w cieniach za kontenerem po jej prawej stronie. Samochód jechał wzdłuż krawężnika, stare auto z blisko osadzonymi lampami, tak czarne, że wcześniej nie dostrzegła go w ciemności.

- Halo! - zawołał ktoś z mroku za blaskiem reflektorów. Siedział po stronie pasażera... nie, zaraz, po stronie kierowcy; w brytyjskim samochodzie wszystko jest na odwrót. - Co za noc na jazdę! Proszę podejść, panno Margaret Leigh. Margaret Leigh, prawda? Wygląda pani dokładnie jak na zdjęciu w gazecie.

Maggie przymrużała oczy, patrząc w światła. Powtarzała sobie: rusz się, uciekaj, ale jej nogi jakby wrosły w ziemię. Drzwi pożarowe znajdowały się nieprawdopodobnie daleko, dwanaście kroków mogło być dwunastoma tysiącami, a poza tym słyszała, jak się zatrzasnęły.

Przyszło jej na myśl, że w najlepszym wypadku została jej może minuta życia. Zapytała się w duchu, czy jest na to przygotowana. Jej myśli śmigają jak wróble o zmierzchu, akurat wtedy, gdy rozpaczliwie potrzebowała spokoju umysłu.

Jeszcze nie wie, że Vic tu jest, pomyślała.

I: Złap chłopca. Złap chłopca, zabierz go stąd.

I: Dlaczego Wayne po prostu nie ucieka?

Ponieważ już nie może. Ponieważ nie wie, że powinien to zrobić. Albo wie, lecz nie może.

Ale próbował jej powiedzieć, żeby uciekała, wypisał to płomieniem na tle ciemności. Może nawet próbował, w swój bełkotliwy sposób, ostrzec ją w bibliotece.

- Panie Manx? - zawołała, wciąż niezdolna się ruszyć.

- Szukała mnie pani przez całe swoje życie, panno Leigh! - odkrzyknął. - Doskonale! W końcu jestem! Z pewnością ma pani do mnie mnóstwo pytań. Wiem, że ja mam mnóstwo pytań do pani! Proszę wsiąść do auta. Poczęstuję panią kukurydzą.

- P-p-p-pu-pu... - zaczęła Maggie i nie mogła wykrztusić słowa, jej język stał się równie bezradny jak nogi. Chciała powiedzieć: Puść tego chłopca, ale wada wymowy to uniemożliwiła.

- K-k-kot odgryzł ci-ci-ci język? - krzyknął Manx.

- Pierdol się - powiedziała. I proszę. Jasno i wyraźnie. A przecież „p” zawsze sprawiało jej największe kłopoty.

- Chodź tutaj, chuda suko - polecił Charlie Manx. - Wsiadaj do samochodu. Albo pojedziesz z nami, albo cię rozjedziemy. Ostatnia szansa.

Odetchnęła głęboko i poczuła zapach przemoczonych książek, perfumy butwiejącej tektury i papieru, schnących w piecu lipcowego słońca. Gdyby jeden oddech mógł podsumować całe życie, to przypuszczała, że ten by się nadawał. Już czas.

Przyszło jej na myśl, że nie ma już nic do powiedzenia Manxowi. Powiedziała mu wszystko. Odwróciła głowę i spojrzała na chłopca.

- Musisz uciekać, Wayne! Uciekaj, ukryj się!

Zimny ogień zgasł. Z drucika snuł się brudny dym.

- Dlaczego miałbym to robić? - zapytał. - .mi Przykro - Zakasłał. Jego drobne ramiona opadły. - Dziś wieczorem jedziemy do Gwiazdkowej Krainy! Ale będzie zabawa! .mi

Przykro - Znowu zakaszał i wrzasnął: - Może zamiast tego ty uciekniesz! Będzie zabawne polowanie! !sobą być mogę nie Dłużej

Opony zapiszczały na asfalcie. Paraliż minął - a może ani przez chwilę nie była sparaliżowana. Może jej mięśnie i nerwy - ciało i przewody - zawsze rozumiały to, czego nie chciał wiedzieć świadomy umysł: jest za późno, żeby uciec z drogi. Pobieгла przez parking w kierunku Wayne'a z jakąś nie do końca sformułowaną, absurdalną myślą, że zdąży do niego dotrzeć, zabrać go do lasu, w bezpieczne miejsce. Przebiegła przed Upiorem w blasku lodowatych świateł. Ryknął silnik. Spojrzała kątem oka, myśląc: Proszę, niech będę gotowa, i samochód ruszył, tak blisko, że serce podeszło jej do gardła. On jednak wcale w nią nie celował, wyminął ją i wyprzedził. Manx trzymał jedną rękę na kierownicy i wysuwał górną połowę ciała przez otwarte okno. Wiatr zdmuchnął jego czarne włosy z wysokiego, gołego czoła. Oczy miał szeroko otwarte i rozbawione, a na jego twarzy malował się wyraz triumfalnej radości. W prawej ręce trzymał srebrny młotek wielki jak Bóg.

Nie czuła, gdy młotek zetknął się z jej karkiem. Rozległ się taki dźwięk, jakby nastąpiła na żarówkę, pyknięcie i trzask. Zobaczyła błysk, białe, jaskrawe mrugnięcie światła. Jej kapelusz zawirował jak frisbee. Jej stopy kontynuowały bieg po asfalcie, ale kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że pedałuują w powietrzu. Cios oderwał ją od ziemi.

Maggie uderzyła w bok samochodu, gdy się przewracała. Okręciła się, upadła na asfalt i potoczyła bezwładnie. Przekoziółkowała parę razy i znieruchomiła na plecach przy krawężniku. Spoczęła z policzkiem przyciśniętym do szorstkiej nawierzchni. Biedna Maggie, pomyślała ze szczerym, jakkolwiek nieco przytłumionym współczuciem.

Stwierdziła, że nie może podnieść głowy ani nawet jej odwrócić. Kątem oka widziała, że jej lewa noga jest nienaturalnie wygięta, staw złożył się w kierunku, w jakim nigdy nie powinien się złożyć.

Aksamitny woreczek upadł w pobliżu jej głowy i

zwymiotował płytki na parking. Zobaczyła M, R, U, parę innych liter. Można by ułożyć RUM. Czy wiesz, że umierasz, panno Leigh? Tak, przydałaby ci się flaszka rumu dla kurażu, pomyślała i zakaszła w sposób, który mógł być śmiechem. Zrobiła wydech i na jej wargach wyrósł różowy balonik. Kiedy usta napełniły się krwią?

Wayne wszedł na parking, wymachując ramionami. Twarz miał lśniąca, chorobliwie białą, ale się uśmiechał, żeby pokazać usta pełne połyskliwych nowych zębów. Łzy spływały mu po twarzy.

- Wyglądasz śmiesznie - oznajmił. - To było zabawne! - Mruganiem przepędził łzy. Bezmyślnie przetarł twarz grzbietem ręki, rozcierając jasną smugę po pokrytym delikatnym meszkiem policzku.

Samochód zwolnił, zatrzymał się trzy metry dalej. Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Buty zachrzęściły na asfalcie.

- Nie sądzę, żeby było coś zabawnego w tym, jak wpadła na Upiora - powiedział Manx. - Paskudnie wgniotła karoserię. Chociaż, szczerze mówiąc, ta cherlawa suka jest bardziej pogięta. Wracaj do samochodu, Wayne. Musimy przejechać parę kilometrów, jeśli chcemy dotrzeć do Gwiazdkowej Krainy przed wschodem słońca.

Wayne przykląkł obok niej. Łzy zostawiły czerwone linie na jego bladych policzkach.

Maggie wyobrażała sobie, że mówi: Twoja mama cię kocha, ale zamiast słów z jej ust popłynęło charczenie i krew. Spróbowała powiedzieć mu to oczami. Ona chce cię odzyskać. Sięgnęła po jego rękę, a on ujął jej dłoń i ścisnął.

- mi Przykro - wydukał. - .pomóc mogłem Nie

- W porządku - szepnęła, w zasadzie nie mówiąc, tylko poruszając ustami.

Wayne puścił jej rękę.

- Odpocznij - powiedział do niej. - Po prostu odpocznij. Niech ci się przyśni coś miłego. Śnij o Gwiazdkowej Krainie!

Maggie przeniosła spojrzenie na buty Manxa. Stał tuż przy rozrzuconych płytkach scrabble. Teraz dostrzegła też inne

literę: F, T, I. Mogłaby ułożyć FIUT. Chyba złamał mi kark, co za FIUT! – pomyślała i znowu się uśmiechnęła.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytał Manx głosem drżącym z nienawiści. – Nie masz powodów do śmiechu! Zaraz umrzesz, a ja będę żył. Ty też mogłabyś żyć, wiesz. W każdym razie jeszcze przez jeden dzień. Chciałem zadać ci kilka pytań... Na przykład kto inny ci o mnie powiedział. Chciałem... Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Musiała zamknąć oczy. Nie miała ochoty patrzeć z ziemi na jego odwróconą twarz. Nie dlatego, że był brzydki. Dlatego, że był głupi. Dlatego, że rozdziawiał gębę, szczerząc wystające, krzywe, brązowe zęby. Dlatego, że wytrzeszczone oczy wyłaziły mu z orbit.

Postawił nogę na jej brzuchu. Gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, nie powinna tego poczuć, ale sprawiedliwości nie ma i nigdy nie było na tym świecie. Krzyknęła z bólu. Kto wie, ile można wycierpieć i nie zemdleć?

– Teraz posłuchaj. Nie musiałaś tak umierać! Wcale nie jestem taki zły. Jestem przyjacielem dzieci i nie życzę źle nikomu z wyjątkiem tych, którzy próbują burzyć moje dzieło. Nie musiałaś występować przeciwko mnie. A jednak to zrobiłaś i spójrz, jaka spotkała cię nagroda. Zamierzam żyć wiecznie, podobnie jak ten chłopiec. Obaj będziemy wiedli dobre życie, podczas gdy ty zgnijesz w trumnie. I...

Wtedy zrozumiała. Zobaczyła, co wyrażają literki. Zrozumiała i parsknęła, wyrzucając bryzg krwi na buty Manxa. Był to niedwuznaczny dźwięk: parsknięcie śmiechu.

Manx cofnął się o pół kroku, jakby próbowała go ugryźć.

– Co cię tak bawi? Co jest zabawnego w tym, że ty umierasz, a ja żyję? Zaraz odjadę i nikt mnie nie powstrzyma, a ty wykrwawisz się tutaj na śmierć. Co w tym śmiesznego?

Spróbowała mu powiedzieć. Poruszała ustami, próbując ułożyć jedno słowo. Ale mogła tylko charczeć i pluć krwią. Zupełnie straciła głos i kiedy o tym pomyślała, przebiegło ją słodkie mrowienie ulgi. Już więcej nie będzie się jąkać. Koniec rozpaczliwych prób zrozumiałego wysławiania się,

podczas gdy język odmawiał współpracy.

Manx się wyprostował, kopnął literki, nie poświęcając chwili na odczytanie słowa, które można z nich było ułożyć: TRIUMF.

Odszedł szybkim krokiem, przystając tylko po to, żeby podnieść z chodnika jej kapelusz, odkurzyć rondo i włożyć go sobie na głowę. Trzasnęły drzwi rolls-royce'a. Włączyło się radio. Maggie usłyszała brzęk świątecznych dzwonek i ciepły, męski głos: *Gnając przez śnieg...*

Samochód ryknął i ruszył. Maggie zamknęła oczy.

TRIUMF: 51 punktów, jeśli ułoży się na potrójnej premii słownej i podwójnej literowej. TRIUMF, pomyślała. Vic zwycięży.

Hampton Beach, New Hampshire

Vic pchnęła drzwi i weszła do Terry's Primo Subs, gdzie zalegało ciepłe, wilgotne powietrze, ciężkie od zapachu krążków cebuli smażących się w głębokim tłuszczu.

Pete pracował za ladą - dobry stary Pete, z twarzą paskudnie poparzoną przez słońce i kreską maści cynkowej na nosie.

- Wiem, czego tu szukasz - odezwał się, sięgając pod ladę.

- Mam coś dla ciebie.

- Nie - burknęła Vic. - Gównu mnie obchodzi bransoletka mojej matki. Szukam Wayne'a. Widziałeś Wayne'a?

Była zdezorientowana, gdy znalazła się w tym barze, schylając głowę pod paskami lepu na muchy. Pete nie pomoże jej znaleźć Wayne'a. Złościła się na siebie, bo traciła tutaj czas, kiedy powinna szukać swojego syna.

W uliczce zaskrzeczała syrena policyjna. Może ktoś widział Upiora. Może znaleźli jej syna.

- Nie - powiedział Pete. - To nie bransoletka. To coś innego. - Sięgnął za kasę i położył na ladzie srebrny młotek.

Była na nim krew i przyklepione włosy.

Vic czuła zaciskający się wokół niej sen, jakby świat był ogromną celofanową torbą i nagle zaczął się marszczyć i kurczyć ze wszystkich stron.

- Nie. Nie chcę go. Nie po to tu przyszedłam. To na nic.

Na zewnątrz policyjna syrena ucichła ze zduszonym piskiem.

- Ja sądzę, że się przyda - powiedział Charlie Manx, kładąc rękę na ponacinanym trzonku. To on od samego początku stał po drugiej stronie lady, Charlie Manx w stroju kucharza, w poplamionym krwią fartuchu i kucharskiej czapce, z linią maści cynkowej na kościstym nosie. - A to, co dobre, pozostaje dobre bez względu na to, ile głów się tym rozszczepi.

Uniósł młotek. Vic z wrzaskiem rzuciła się do tyłu i prosto ze snu wpadła w

Prawdziwe życie

Vic zbudziła się ze świadomością, że jest późno i że stało się coś złego.

Słyszała głosy, stłumione przez kamienne mury i odległość. Rozpoznała, że to mężczyźni, choć nie rozumiała, co mówią. Czuła słabą woń spalonego fosforu. Przyszła jej do głowy niejasna myśl, że przespała jakieś zamieszanie, zamknięta w dźwiękoszczelnym sarkofagu farmaceutyków Maggie.

Usiadła, czując, że powinna się ubrać i wyjść.

Po dłuższej chwili uznała, że jest już ubrana. Przed położeniem się spać nawet nie zdjęła trampek. Lewe kolano miało jadowity odcień fioletu i było grube jak kolana Lou.

W ciemności migotała czerwona świeczka, odbijając się w szkle akwarium. Na biurku leżał list; Maggie przed wyjściem zostawiła jej wiadomość. Miło z jej strony. Na kartce leżał przycisk do papieru, rewolwer Czechowa kalibru .38. Vic

miała nadzieję, że znajdzie instrukcje, zestaw prostych kroków, które pozwolą jej odzyskać Wayne'a, poprawią stan nogi i głowy, a także jej życie. O ile nie jest to po prostu liścik informujący, dokąd poszła Maggie:*Lecę do nocnego po ramen i prochy niedługo wrócę xoxo.*

Vic znowu usłyszała głosy. Ktoś kopnął puszkę po piwie, niedaleko. Szli w jej stronę, byli blisko. Jeśli nie zdmuchnie świeczki, wejdą do biblioteki dziecięcej i zobaczą światło przez akwarium. W chwili, gdy ta myśl wpadła jej do głowy, zrozumiała, że już jest prawie za późno. Słyszała chrzęst szkła pod butami, zbliżające się kroki.

Poderwała się. Kolano ustąpiło pod jej ciężarem. Upadła na nie, zdusiła krzyk.

Kiedy spróbowała się podnieść, kolano nie chciało współpracować. Ostrożnie wyciągnęła nogę - zamykając oczy i starając się zapomnieć o bólu - a potem powlekła się po podłodze, na rękach i prawym kolanie. Oszczędziła sobie cierpienia, ale nadrobiła to poniżeniem.

Prawą ręką chwyciła oparcie krzesła na kółkach. Lewą złapała skraj biurka. Podciągnęła się oburącz i pochyliła nad blatem. Mężczyźni byli w sąsiednim pomieszczeniu, po drugiej stronie ściany. Ich latarki jeszcze nie skierowały się na akwarium i pomyślała, że być może jeszcze nie zauważyli przyćmionego, miedzianego blasku płomyka świeczki. Pochyliła się, żeby ją zdmuchnąć, i nagle znieruchomiała, patrząc na słowa napisane na kartce z papeterii biblioteki.

KIEDY ANIOŁY UPADNĄ, DZIECI WRÓCĄ DO DOMU.

Na papierze widniały plamy po wodzie, jakby dawno temu ktoś przeczytał tę wiadomość i zapłakał.

Vic usłyszała głos w sąsiednim pomieszczeniu: „Hank, światło”. Chwilę później zabrzmiały trzeszczące głosy z krótkofalówki, dyspozytor przekazywał wiadomość numerycznym szyfrem. „Dziesięć-pięćdziesiąt siedem w bibliotece publicznej, zgłosiło się sześciu funkcjonariuszy, martwa ofiara na miejscu zdarzenia”. Vic chciała zgasić

świeczkę, ale powstrzymały ją słowa „martwa ofiara”. Pochyliła się, ściągnęła usta i zapomniała, co zamierzała zrobić.

Drzwi za nią się poruszyły, drewno zazgrzytało o kamień, zagrzecotały kawałki szkła.

- Przepraszam - powiedział ktoś za jej plecami. - Proszę pani, mogłaby pani tu podejść? Proszę trzymać ręce na widoku.

Vic podniosła rewolwer Czechowa, odwróciła się i wycelowała mu w pierś.

- Nie.

Było ich dwóch. Żaden nie dobył broni, co wcale jej nie zaskoczyło. Nie przypuszczała, żeby większość policjantów wyjmowała broń z kabury częściej niż raz w roku. Obaj byli młodzi, puciołowate białe chłopaki. Ten z przodu celował w nią silnym światłem latarki. Drugi tkwił w drzwiach za jego plecami, między biurem i biblioteką dziecięcą.

- A! - pisnął ten z latarką. - Broń! Broń!

- Zamknij się. Nie ruszać się z miejsca - poleciła. - Trzymać ręce z daleka od pasów. I rzuć tę latarkę. Razi mnie, kurwa, w oczy.

Gliniarz posłuchał. Latarka zgasła w chwili, gdy zagrzecotała na podłodze.

Stali, piegowaci, przysadziści i przestraszeni, blask świecy pełgał po ich twarzach. Jeden pewnie jutro będzie trenować drużynę Małej Ligi swojego syna. Drugi pewnie został gliną dlatego, że oznaczało to darmowe koktajle mleczne w McDonalddie. Przypominali jej dzieciaków, którzy się bawią w przebieranki.

- Kto nie żyje? - zapytała.

- Proszę pani, niech pani odłoży tę pukawkę. Nikt nie chce zostać ranny - powiedział ten z przodu. Głos mu się łamał jak u dorastającego chłopca.

- Kto? - powtórzyła, dławiąc się własnym głosem, balansującym na granicy krzyku. - Przez radio poinformowano, że ktoś nie żyje. Kto? Mówcie.

- Jakaś kobieta - odparł ten z tyłu, znieruchomiały w

drzwiach.

Pierwszy uniósł ręce, pokazując puste dłonie. Vic nie widziała, co robi drugi – pewnie wyciąga pistolet – ale to jeszcze nie miało znaczenia. Tkwił za swoim partnerem i musiałby strzelać przez niego, żeby ją trafić.

- Nie miała dokumentów – dodał.

- Jakiego koloru ma włosy?

- Znała ją pani?

- Kurwa, jakiego koloru ma włosy?

- Pomarańczowe. Jak pomarańczowa lemoniada. Zna ją pani? – zapytał drugi glinka, który prawdopodobnie wyciągnął pistolet.

Trudno było pogodzić się ze śmiercią Maggie. Przypominało to mnożenie ułamków wtedy, gdy ma się katar – zbyt wielki wysiłek, zadanie nie do wykonania. Jeszcze niedawno leżały razem wyciągnięte na kanapie, Maggie obejmowała ją ręką, z nogami przytulonymi do jej ud. Jej ciepło od razu ją uspiło. Vic nie mogła pogodzić się z faktem, że Maggie ją zostawiła, żeby gdzieś umrzeć, podczas gdy ona spała. Było dostatecznie źle, kiedy kilka dni temu Vic na nią nawrzeszczała, skłęła ją i jej groziła. Znacznie gorsze, bezwzględne i bezduszne było jednak to, że ona spała spokojnie, gdy Maggie umierała gdzieś na ulicy.

- Jak? – zapytała.

- Może samochód. Wygląda na to, że potrafił ją samochód. Jezu... Niech pani odłoży broń. Proszę odłożyć broń, a pogadamy.

- Nie – burknęła Vic, odwróciła głowę i zdmuchnęła świeczkę. Całą trójkę spowiła

Ciemność

Vic nie próbowała uciekać. Równie dobrze mogłaby spróbować pofrunąć.

Cofnęła się szybko, obesza biurko i stanęła pod ścianą, mając gliniarzy przed sobą. Czerń była absolutna, geografia ślepoty. Jeden z gliniarzy krzyknął, potknął się w ciemności. Słysząc było szuranie obcasów. Vic przypuszczała, że ten z tyłu odepchnął drugiego z drogi.

Rzuciła przycisk do papieru. Zazgrzytał, ślizgając się po podłodze. To da im do myślenia, nie będą wiedzieli, gdzie ona jest. Ruszyła, ostrożnie stąpając na sztywnej lewej nodze, starając się jej nie obciążać. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła żelazny regał po lewej stronie i wśliznęła się za niego. Gdzieś w ślepych świetle nocy gliniarz potrącił miotłę opartą o ścianę. Upadła z łoskotem, po którym rozległ się krzyk przestrawu.

Jej stopa znalazła krawędź stopnia. „Jeśli kiedykolwiek będziesz musiała ewakuować się w pośpiechu, trzymaj się prawej strony i zbiegaj po schodach”, powiedziała jej Maggie, choć Vic nie mogła sobie przypomnieć, kiedy to było. Jest wyjście z tej ciemności, gdzieś na dole, za schodami o niewiadomej liczbie stopni. Zaczęła schodzić.

Posuwała się w podskokach i kiedy nastąpiła na wilgotną gąbczastą książkę, o mało nie wylądowała na tyłku. Zatoczyła się na ścianę, odzyskała równowagę i ruszyła dalej. Gdzieś za sobą słyszała krzyki, teraz więcej niż dwóch mężczyzn. Oddech zaświszczał jej w gardle i to jej przypominało, że Maggie nie żyje. Chciała rozplakać się z żalu, ale oczy miała takie suche, że aż bolały. Chciała, żeby śmierć Maggie przyniosła ciszę i spokój – tak powinno być w bibliotece – lecz zamiast tego słyszała krzyczących gliniarzy, swój świszczący oddech i łomotanie własnego pulsu.

W końcu znalazła się u stóp ostatniego krótkiego ciągu schodów i zobaczyła pionowy pas nocnej ciemności na tle pełniejszego, głębszego mroku magazynu. Drzwi były uchylone, podparte kamieniem.

Vic zwolniła, kiedy się do nich zbliżyła. Spodziewała się, że wyjrzy i zobaczy korowód gliniarzy na błotnistym polu za biblioteką, ale nie dostrzegła żywego ducha. Wszyscy przebywali po drugiej, wschodniej stronie budynku. Jej

motocykl stał samotnie blisko ławki, gdzie go zostawiła. Rzeka Cedar pieniała się i szumiała. Krótszej Drogi nie było, ale przecież wcale nie liczyła na to, że będzie.

Otworzyła drzwi i przeszła pod żółtą taśmą, ciągnąc za sobą sztywną lewą nogę. Pokuśtykała dalej. W aksamitnym, wilgotnym ciepłe nocy niósł się dźwięk policyjnych krótkofalówek. Nie widziała radiowozów, ale jeden miał włączonego koguta i światło migotało w pochmurnym mroku nad biblioteką.

Vic wsiadła na triumpha, podciągnęła stopkę, nacisnęła pedał rozrusznika.

Triumph zadudnił.

Otworzyły się tylne drzwi biblioteki. Gliniarz, który przez nie wyszedł, rozdzierając taśmę, oburącz trzymał pistolet wycelowany w ziemię.

Vic powoli zrobiła kółko, pragnąc, żeby pojawił się most spinający brzegi rzeki. Nie pojawił się. Jechała nie więcej niż dziesięć kilometrów na godzinę i to po prostu nie wystarczyło. W takim tempie nigdy nie znajdzie Krótszej Drogi. Przywołanie mostu było kwestią prędkości i pustki – oczyszczenia głowy ze wszystkich myśli i jazdy przed siebie.

- Hej! Zsiadaj z motoru! - ryknął gliniarz. Zaczął biec w jej stronę, teraz z pistoletem w jednej ręce, celując w bok.

Skręciła na wąską drogę za biblioteką, wrzuciła drugi bieg i popędziła na wzgórze. Wiatr targał jej zakrwawionymi, pozlepianymi włosami.

Pokonała zakręt i znalazła się przed budynkiem. Przed biblioteką ciągnęła się szeroka aleja zastawiona radiowozami, ich światła cięły noc. Na dźwięk jej silnika mężczyźni w niebieskich mundurach odwrócili głowy. Oprócz nich zgromadził się tam tłumek gapiów powstrzymywanych przez żółte drewniane płotki. Ciemne postacie wyciągały szyje w nadziei, że zobaczą trochę krwi. Jeden radiowóz parkował po drugiej stronie wąskiej drogi, która znikwała za biblioteką.

Ślepa uliczka, pomyślała.

Zawróciła i pojechała tą samą drogą, którą tu przyjechała.

Triumph podskoczył na wyboju, jakby spadał z urwiska. Wrzuciła trójkę i przyspieszyła. Mknęła obok biblioteki w kierunku tego błotnistej poletka, gdzie czekała na nią Maggie. Teraz czekał tam gliniarz, obok ławki Maggie.

Vic rozwinęła prędkość prawie sześćdziesięciu kilometrów. Pędziła ku rzece.

- Tylko mnie nie zawieź, skurczybyku - wycedziła. - Nie mam czasu na twoje wygłupy.

Wrzuciła czwarty bieg. Samotne światło lampy sunęło po asfalcie, po ziemi, dosięgło błotnistej, brązowej, wzburzonej wody. Rzeka płynęła tuż przed nią. Może, jeśli dopisze jej szczęście, utonie. Lepsze to niż wyłowienie, a potem aresztowanie i siedzenie ze świadomością, że Wayne jedzie do Gwiazdkowej Krainy, a ona nie może nic z tym zrobić.

Zamknęła oczy i pomyślała: Pieprzyć to, pieprzyć to, pieprzyć to, pieprzyć to. Być może były to jedyne szczere słowa modlitwy, jaka kiedykolwiek popłynęła z głębi jej serca. W uszach słyszała głośny szum krwi.

Motor wpadł na błotnisty grunt, zmierzając ku rzece, gdy nagle usłyszała klekotanie i koła zaczęły się ślizgać. Otworzyła oczy, zobaczyła, że mknie przez mrok po gnijących starych deskach Mostu Krótsza Droga. Na drugim końcu czekała tylko ciemność. Teraz ryk w jej uszach był nie szumem krwi, lecz zakłóceń. Burza białego światła wirowała w szczelinach. Zdawało się, że cały przekrzywiony most dygocze wokół niej pod ciężarem motocykla.

Minęła swój stary, obwieszony pajęczynami rowerek i wyjechała w wilgotną, pełną komarów, pachnącą sosnami noc, tylna opona rozorała miękką ziemię. Vic położyła stopę na hamulcu, który nie działał, i odruchowo chwyciła ręczny. Motor obrócił się i pośliznął. Ziemię pokrywała sprężysta kołdra mchu, miękka i marszczona przez koła triumpha.

Vic wyjechała na łagodnie nachylone zbocze gdzieś w sosnowych lasach. Woda ściekała z gałęzi, choć nie padało. Przejechała kawałek na ślizgającym się motorze, zgasiła silnik i odchyliła stopkę.

Obejrzała się na most. Na drugim końcu widziała

bibliotekę i gliniarza o bladej jak serwatka piegowatej twarzy, stojącego przy wjeździe na Krótszą Drogę. Powoli kręcił głową, patrząc na most. Za chwilę na niego wejdzie.

Vic zacisnęła powieki i spuściła głowę. Lewe oko bolało, jakby miała metalową śrubę wkręconą w oczodół.

- Znikaj! - wrzasnęła, zgrzytając zębami.

Rozległ się huk, jakby ktoś zatrasnął ogromne drzwi, i fala gorącego powietrza - powietrza, które pachniało jak ozon, jak przypalony metalowy rondel - niemal zdmuchnęła motor i ją razem z nim.

Uniosła głowę. Z początku niewiele widziała lewym okiem, które zasnuwały niewyraźne plamy, jak bryzgi błotnistej wody na szybie. Ale drugim zobaczyła, że most zniknął, zostawiając wysokie sosny z czerwonymi pniami lśniącymi po niedawnym deszczu.

I co się stało z gliniarzem po drugiej stronie? Vic się zastanawiała, czy postawił stopę na progu, czy wetknął głowę do wnętrza. Co się stało, jeśli jakaś część jego ciała znajdowała się w obrębie mostu?

- Nie możesz nic z tym zrobić - powiedziała z drżeniem.

Odwróciła się, rozglądając po otoczeniu. Stała za parterowym domem z bali, światło płynęło z okna w kuchni. Dalej, po drugiej stronie chaty, długi zwirowy podjazd prowadził do drogi. Nigdy wcześniej nie widziała tego miejsca, ale pomyślała, że wie, gdzie jest, i w następnej chwili zyskała całkowitą pewność. Gdy stała, wciąż okraczając motocykl, tylne drzwi się otworzyły i za siatką pojawił się niski, chudy mężczyzna patrzący na nią z dołu. W ręce trzymał kubek kawy. Nie widziała jego twarzy, nie widziała go od ponad dziesięciu lat, ale rozpoznała go po samej sylwetce, po nachyleniu głowy.

Wreszcie zjawiała się w domu swojego ojca. Zwiąła gliniarzom i wróciła do Chrisa McQueena.

Dover, New Hampshire

Głośny huk, jakby zatrzęsnęły się największe drzwi świata. Elektroniczny pisk. Ogłuszający ryk zakłóceń.

Tabitha Hutter krzyknęła i zerwała słuchawki.

Daltry, który siedział obok niej, wzdrygnął się, ale wytrzymał ze słuchawkami chwilę dłużej, krzywiąc twarz z bólu.

- Co się stało? - Hutter zwróciła się z pytaniem do Cundy'ego.

Siedzieli w piątce w furgonetce z napisem DELIKATESY KING BOAR na boku - odpowiednim, biorąc pod uwagę, że byli ściśnięci jak sardynki w puszcze. Furgonetka stała przy stacji CITGO, po drugiej stronie drogi i trzydzieści metrów na południe od podjazdu prowadzącego do domu Christophera McQueena.

Mieli zespoły rozmieszczone w lesie, bliżej chaty McQueena, wyposażone w kamery wideo i mikrofony paraboliczne. Materiał wizyjny i dźwiękowy przesyłany był do furgonetki. Jeszcze chwilę temu Hutter widziała podjazd na dwóch monitorach, w nienaturalnym szmaragdowym kolorze. Teraz ekrany pokazywały tylko zieloną śnieżycę.

Obraz zanikł jednocześnie z dźwiękiem. W jednej chwili Hutter słuchała prowadzonej ściszonymi głosami rozmowy Chrisa McQueena i Louisa Carmody'ego w kuchni. McQueen pytał Lou, czy chce się napić kawy. W następnej chwili głosy ucichły, zastąpione przez wściekły wybuch szumu zakłóceń radiowych.

- Nie wiem - odparł Cundy. - Po prostu wszystko padło.

- Stukał w klawiaturę laptopa, ale ekran był gładką czarną taflą.

- Jakby uderzył w nas zajebisty impuls elektromagnetyczny. - Cundy był śmieszny, gdy przeklinał: filigranowy czarnoskóry mężczyzna o piskliwym głosie, mówiący z lekkim brytyjskim akcentem, udający, że skończył szkołę życia na ulicy, a nie MIT.

Daltry zdjął słuchawki. Spojrzał na zegarek i parsknął śmiechem: suchy odgłos zaskoczenia nie miał nic wspólnego z rozbawieniem.

- O co chodzi? - zapytała Hutter.

Daltry przekreślił rękę, żeby mogła zobaczyć zegarek. Wyglądał równie staro jak on, z cyferblatem i zmatowiałą srebrną kopertą, która prawdopodobnie kiedyś była zabarwiona w taki sposób, żeby wyglądała na złotą. Wokół tarczy krążyła wskazówka sekundnika - do tyłu. Godzinowa i minutowa zamarły w idealnym bezruchu.

- To zepsuło mój zegarek - burknął i znowu się zaśmiał. Zwrócił się do Cundy'ego: - Czy to samo zepsuło całą twoją elektronikę? Czy to gówno wybuchło i uszkodziło mój zegarek?

- Nie wiem, co się stało - powiedział Cundy. - Może uderzył w nas piorun.

- Jaki, kurwa, piorun? Słyszałeś grzmot?

- Ja słyszałam głośny trzask - odezwała się Hutter. - W tej samej chwili wszystko padło.

Daltry wsunął rękę do kieszeni, wyjął papierosy, a potem jakby sobie przypomniał, kto siedzi obok niego, i obrzucił agentkę kosym spojrzeniem cierpkiego niezadowolenia. Wsunął paczkę z powrotem do kieszeni.

- Jak długo potrwa przywrócenie obrazu i dźwięku? - zapytała.

- Może to plama słoneczna - zasugerował Cundy, jakby wcale nie zabrała głosu. - Słyszałem, że zanoszą się na burzę na Słońcu.

- Plama na Słońcu - parsknął Daltry. Złożył ręce jakby w modlitwie. - Myślisz, że zawiniła plama na Słońcu, co? Wiesz, od razu poznać, że studiowałeś przez sześć lat i specjalizowałeś się w neuronauce czy czymś tam, bo tylko naprawdę genialny facet może wierzyć w takie bzdury. To zaćmienie, ty autystyczny dupku.

- Cundy - wycedziła Hutter, zanim technik zdążył się odwrócić i wziąć udział w tych męskich zawodach w porównywaniu długości kutasa. - Kiedy sprzęt zacznie działać?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pięć minut? Dziesięć? Zresetowanie systemu?

Chyba że wybuchła wojna nuklearna. W takim wypadku prawdopodobnie zajmie to więcej czasu.

- Pójdę sprawdzić, czy nie widać grzyba atomowego - powiedziała Tabitha Hutter, wstając i przesuając się w kierunku tylnych drzwi.

- Tak - mruknął Daltry. - Ja też. Jeśli latają rakiety, chcę zapalić, zanim zostaniemy starci z powierzchni ziemi.

Hutter nacisnęła kłamkę, otworzyła ciężkie metalowe drzwi, wpuszczając wilgotną noc, i wyskoczyła na zewnątrz. Mgła wisiała pod latarniami. Noc pulsowała brzęczeniem owadów. W paprociach i chwastach mrugały zielone gazowe błyski świetlików.

Daltry wysiadł i stanął obok niej. Strzeliło mu w stawach kolanowych.

- Chryste, pomyślałem, że w tym wieku na pewno na coś umrę.

Jego towarzyszka nie okazała wesołości. Stała się dotkliwie świadoma swojej samotności. Kiedyś wierzyła, że w tym wieku będzie miała więcej przyjaciół. Ostatni mężczyzna, z którym się spotykała, krótko przed zerwaniem coś jej powiedział: „Nie wiem, może przynudzam, ale za każdym razem, gdy wychodzimy na kolację, mam wrażenie, że ciebie ze mną nie ma. Żyjesz we wnętrzu własnej głowy. Ja nie mogę. Nie ma tam dla mnie miejsca. Nie wiem, może byłabyś bardziej mną zainteresowana, gdybym był książką”.

W tym czasie go znienawidziła, i trochę samą siebie, ale później, patrząc wstecz, doszła do wniosku, że gdyby nawet ten facet był książką, to z działu Biznes i Finanse. Minęłaby go i poszukała czegoś w SF i Fantasy.

Hutter i Daltry stali razem na prawie pustym parkingu. Mogli zajrzeć do CITGO przez wielkie tafle szyb. Pakistańczyk za kasą obrzucał ich nerwowymi spojrzeniami. Hutter mu powiedziała, że nie on jest obserwowany, że rząd federalny dziękuje mu za współpracę, ale mimo to prawie na pewno wierzył, że jego telefon jest na podsłuchu i że uważają go za potencjalnego terrorystę.

- Myśli pani, że powinniście jechać do Pensylwanii? -

zapytał Daltry.

- W zależności od rozwoju sytuacji, być może pojedę tam jutro.

- Popierdolony horror.

Hutter przez całą noc odbierała e-maile i wiadomości z poczty głosowej dotyczące domu przy Bloch Lane w Sugarcreek. Rozstawili nad nim ogromny namiot i każdy, kto do niego wchodził, musiał mieć gumowy kombinezon i maskę przeciwgazową. Traktowali dom tak, jakby został skażony wirusem Ebola. Dwunastu ekspertów kryminalistyki, stanowych i federalnych, rozbierało go na części. Przez całe popołudnie wydobywali kości ze ściany ziemiarki. Facet, który tam mieszkał, Bing Partridge, rozpuszczał zwłoki w ługu. To, czego nie zdołał zniszczyć, magazynował, jak pszczoła miód, w małych komórkach lekko obrzuconych błotem.

Jeszcze się nie zabrał do rozpuszczania swojej ostatniej ofiary, Nathana Demetera z Kentucky - trupa, o którym Vic McQueen wspomniała przez telefon. Facet zniknął nieco ponad dwa miesiące temu wraz ze swoim zabytkowym rolls-royce'em. Kupił samochód na aukcji federalnej ponad dziesięć lat wcześniej.

Poprzednim właścicielem był niejaki Charles Talent Manx, były pensjonariusz zakładu karnego Englewood w Kolorado.

Demeter wspomniał o Manxie w liście, który napisał krótko przed śmiercią przez uduszenie; zrobił błąd w nazwisku, ale było jasne, o kogo mu chodziło. Hutter widziała ksero listu, przeczytała go tuzin razy.

Tabitha Hutter nauczyła się systemu klasyfikacji książek Deweya i następnie zgodnie z nim uporządkowała książki w swoim mieszkaniu w Bostonie. Miała plastikowe pudełko pełne odręcznie wypisanych przepisów, ułożonych według regionu i rodzaju jedzenia (danie główne, przystawki, desery i jedna kategoria opatrzona etykietą „zps”: zakąski po stosunku). Czuła prywatną, niemal pełną winy przyjemność podczas defragmentacji swojego twardego dysku.

Czasami wyobrażała sobie własny umysł jako futurystyczne

mieszkanie z przejrzystą szklaną podłogą, przejrzystymi szklanymi schodami, meblami z przejrzystego plastiku, wszystko jakby unoszące się w powietrzu: czyste, uporządkowane, bez odrobiny kurzu.

Teraz jednak było inaczej i kiedy próbowała przemyśleć to, co się stało w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin, czuła się przytłoczona i zdezorientowana. Chciała wierzyć, że informacje klarują obraz. Nie po raz pierwszy w życiu naszała ją niepokojąca myśl, że często bywa przeciwnie. Informacje są słojem much i kiedy odkręci się pokrywkę, rozlatują się we wszystkie strony i złapanie ich wymaga naprawdę wielkiego szczęścia.

Hutter odetchnęła nocnym powietrzem przepojonym zapachem mchu, zamknęła oczy i skatalogowała muchy:

Victoria McQueen została uprowadzona w wieku siedemnastu lat przez Charlesa Manxa, człowieka, który prawie na pewno dokonał również innych porwań. W tym czasie jeździł rolls-royce'em wraithem, model z 1938 roku. Vic uciekła, a Manx trafił do więzienia za przewiezienie jej przez granicę stanu i zamordowanie żołnierza w służbie czynnej. W innym sensie Vic wcale mu nie uciekła. Jak wiele ofiar traumy i prawdopodobnie napaści seksualnej, stawała się więźniem - nałogów, szaleństwa. Kradła, brała narkotyki, urodziła nieślubne dziecko i miała za sobą szereg nieudanych związków. Od czasu porwania próbowała za Charliego Manxa zrobić to, czego on nie miał możliwości dokonać.

Manx prawie dwadzieścia lat spędził w więzieniu o zaostrowym rygorze w Englewood. Po prawie dziesięciu latach śpiączki zmarł wiosną tego roku. Koroner ocenił, że miał około dziewięćdziesięciu lat - nikt nie znał jego wieku, a sam Manx, gdy jeszcze jasno rozumował, twierdził, że ma sto szesnaście. Jacyś wandy ukradli zwłoki z kostnicy, wywołując drobny skandal, ale nie było żadnych wątpliwości co do jego śmierci. Jego serce ważyło 289 dekagramów, trochę mało jak na mężczyznę takiej postury. Hutter widziała zdjęcia narządu.

McQueen twierdziła, że zaledwie trzy dni temu znów

została napadnięta, przez Charliego Manxa i jakiegoś mężczyznę w masce przeciwwgazowej, i że obaj odjechali z jej dwunastoletnim synem w zabytkowym rolls-royse.

Ta opowieść budziła duże wątpliwości. Vic została poważnie pobita – ale obrażenia mogły zostać spowodowane przez dwunastolatka walczącego o życie. Na trawniku widniały ślady opon, ale równie dobrze mógł zostawić je motocykl – na miękkiej, wilgotnej, porośniętej trawą ziemi nie zachowały się przydatne odciski. Twierdziła, że do niej strzelano, ale technikom nie udało się znaleźć ani jednego pocisku.

Do tego wszystkiego dochodził bardziej obciążający fakt: McQueen potajemnie skontaktowała się z pewną kobietą z centrum kraju, niejaką Margaret Leigh, dziwką i narkomanką, która, jak się zdaje, miała informacje o zaginionym dziecku. Kiedy Hutter powiedziała, że wie o Leigh, McQueen uciekła na motocyklu, niczego ze sobą nie zabierając. I zniknęła, jakby wpadła do szybu w kopalni.

Zlokalizowanie panny Leigh okazało się niemożliwe. Przewinęła się przez szereg schronisk i ośrodków odwykowych w stanie Iowa i Illinois, nie płaciła podatków ani nie miała pracy od roku 2008. Jej życie zakreśliło niedwuznacznie tragiczny łuk: Kiedyś była bibliotekarką i uwielbianą, jakkolwiek ekscentryczną miejscową scrabblistką. Otaczała ją również sława jasnowidzącej; od czasu do czasu z jej usług korzystali nawet stróże prawa. Co to znaczyło?

Poza tym młotek, pomyślała Hutter. Młotek od wielu dni ciążył jej na sercu jak kamień. Im więcej się dowiadywała, tym cięższy się stawał. Jeśli Vic postanowiła zmyślić historię o napaści, dlaczego nie powiedziała, że Manx rzucił się na nią z kijem baseballowym, łopata, łomem? McQueen opisała i wskazała narzędzie, które zdecydowanie było młotkiem do kości, dokładnie takim jak ten, który zniknął wraz ze zwłokami Manxa – a tego szczegółu nie podano w żadnych wiadomościach.

Na koniec Louis Carmody, kochanek Vic McQueen, ojciec

jej dziecka, człowiek, który przed laty zabrał ją na motocyklu od Charliego Manxa. Carmody nie udawał, że się rozchorował; Hutter rozmawiała z lekarką, która się nim zajmowała. Potwierdziła, że w ciągu tygodnia doznał jednego, a być może dwóch miniudarów.

- Nie powinien opuszczać szpitala - oznajmiła lekarka, jakby sama Hutter była winna jego odejścia. W pewnym sensie rzeczywiście tak było. - Bez angioplastyki każdy wysięk serca może spowodować kaskadę niedokrwienia. Czy pani rozumie? Lawinę w mózgu. Poważny zawał.

- Mówi pani, że może mieć atak - powiedziała Hutter.

- W każdej chwili. W każdej minucie poza szpitalem jest jak człowiek kładący się na środku jezdni. Prędzej czy później zostanie rozjechany.

A jednak Carmody wyszedł ze szpitala, pojechał taksówką na odległą o kilkaset metrów stację kolejową. Tam kupił bilet do Bostonu, przypuszczalnie w jakiejś naiwnej próbie zmylenia policji, po czym udał się do CVS, skąd zadzwonił do Dover w New Hampshire. Czterdzieści pięć minut później zjawił się Christopher McQueen w pick-upie i Carmody wsiadł na fotel pasażera. I teraz byli tutaj.

- No tak. Jak pani sądzi, o jakie info chodzi Vic McQueen? - zapytał Daltry.

Koniuszek papierosa jarzył się w ciemności, rzucając piekielne światło na jego pobrużdżoną brzydką twarz.

- Info?

- Udała się najkrótszą drogą do tego Binga Partridge'a. Upolowała go, żeby zdobyć informacje o swoim synu. I zdobyła. Tak powiedziała, prawda? Najwyraźniej zadawała się z jakimiś szumowinami. Dlatego dzieciak został porwany, nie sądzi pani? Dostała nauczkę od swoich partnerów biznesowych.

- Nie wiem - powiedziała Hutter. - Zapytam, kiedy ją zobaczę.

Daltry uniósł głowę, wydmuchnął dym w bladą mgłę.

- Stawiam na handel ludźmi. Albo dziecięcą pornografię. To ma sens, prawda?

- Nie - odparła Hutter i odeszła.

Z początku chciała tylko rozprostować nogi, spragniona ruchu. Chodzenie pomagało jej myśleć. Wsunęła ręce do kieszeni wiatrówki z nadrukiem FBI, okrążyła furgonetkę i poszła skrajem drogi. Po drugiej stronie między sosnami widziała światła domu Christophera McQueena.

Lekarka powiedziała, że Carmody jest jak człowiek, który kładzie się na jezdni, czekając na rozjechanie, ale niezupełnie miała rację. Było znacznie gorzej. Carmody szedł środkiem drogi, rozmyślnie zmierzając ku nadjeżdżającym pojazdom. Ponieważ w tym domu było coś, czego potrzebował. Nie, poprawka: czego potrzebował Wayne. Było to na tyle ważne, że wszystko inne, łącznie z życiem Lou, zeszło na dalszy plan. To coś znajdowało się w tym domu. Sześćdziesiąt metrów dalej.

Daltry się z nią zrównał, gdy przechodziła przez drogę.

- I co teraz robimy?

- Chcę dołączyć do jednego z zespołów obserwatorów - odparła. - Jeśli chce pan iść ze mną, proszę zgasić papierosa. Rzucił niedopałek i rozgniół go na asfalcie.

Ruszyli zwirowym poboczem. Dwanaście metrów dzieliło ich od chaty Christophera McQueena, kiedy ktoś zawołał cicho:

- Proszę pani?

Spod gałęzi świerka wysunęła się niska, krępa kobieta w granatowej kurtce przeciwdeszczowej. Była to ta Hinduska, Chitra. Trzymała w ręce długą latarkę z nierdzewnej stali, ale jej nie zapaliła.

- To ja, Hutter. Kto tu jest?

- Ja, Paul Hoover i Gibran Peltier. - Tworzyli jeden z dwóch zespołów zajętych obserwacją domu. - Coś jest nie w porządku ze sprzętem. Padł talerz. Kamera nie chce się włączyć.

- Wiemy - powiedział Daltry.

- Co się stało? - zapytała Chitra.

- Plama na Słońcu.

Dom Christophera McQueena

Vic zostawiła triumpha w lesie, na niewielkim wzniesieniu za domem swojego ojca. Kiedy zsiadła z motoru, świat się zakołysał. Miała wrażenie, że jest figurką w szklanej śnieżnej kuli, przekrzywianej we wszystkie strony przez niewrażliwego berbecia.

Ruszyła w dół zbocza i z zaskoczeniem stwierdziła, że nie może iść prosto. Gdyby zatrzymał ją jakiś gliniarz, wątpiła, czy zdałaby podstawowy test trzeźwości, choć nie wypiła ani kropli. Potem przyszło jej na myśl, że gdyby zjawił tu się jakiś glina, prawdopodobnie zakułby ją w kajdanki i przy okazji przyłał jej pałką policyjną.

Do sylwetki ojca w tylnych drzwiach dołączył potężny, barczysty mężczyzna z ogromnym brzuchem i karkiem grubszym niż ogolona głowa. Wyłowiłaby go w tłumie z odległości stu pięćdziesięciu metrów. Dwóch z trzech facetów, których kochała w swoim życiu, patrzyło, jak chwiejnym krokiem idzie w dół wzniesienia; jedynym brakującym był Wayne.

Mężczyźni, pomyślała, stanowią jedną z nielicznych pociech świata, jak ogień w zimną październikową noc, jak kakao, jak dobrze rozdeptane kapcie. Ich nie zawsze dobrze wyrażane uczucia, ich zarośnięte twarze, ich chęć zrobienia tego, co trzeba zrobić - usmażyć omlet, zmienić żarówki, przytulić - czasami sprawiały kobietom prawdziwą frajdę.

Wolałaby nie być świadoma wielkiej przepaści między tym, za kogo uważali ją mężczyźni jej życia, i jej rzeczywistą wartością. Miała wrażenie, że zawsze prosiła o zbyt wiele i oczekiwała zbyt wiele, a sama dawała za mało. Naszła ją niemal perwersyjna myśl, żeby zmusić każdego, komu na niej zależy, by tego pożałował, znaleźć coś, co najbardziej ich zbulwersuje, a potem to robić, aż w końcu będą musieli uciec, by przetrwać.

Jej lewe oko przemieniło się w wielki śrubokręt, który

obracał się powoli, wkręcając coraz głębiej w oczodół.

Przez kilkanaście kroków lewe kolano nie chciało się zgiąć. Nagle w połowie podwórka za domem zgięło się bez ostrzeżenia i upadła na ziemię. Czuła się tak, jakby Manx uderzał ją swoim młotkiem.

Ojciec i Lou wybiegli z drzwi i popędzili ku niej. Pomachała ręką w geście, który miał oznaczać: nie ma obawy, nic mi nie jest. Stwierdziła jednak, że nie może wstać. Teraz, gdy klęczała na zranionym kolanie, noga nie chciała się wyprostować.

Ojciec objął ją w talii, drugą rękę przycisnął do jej policzka.

- Jesteś rozpalona - powiedział. - Jezu, kobieto... Chodźmy do środka.

Ujął ją pod jedno ramię, Lou pod drugie i podciągnęli ją na nogi. Na chwilę odwróciła głowę w stronę Lou i zrobiła głęboki wdech. Jego okrągła, zarośnięta twarz była blada, tłusta od potu, a na łysinie perliły się kropelki deszczu. Nie po raz pierwszy w życiu pomyślała, że pomylił stulecia i kraj: byłby świetnym Małym Johnem, idealnie wpasowanym w scenerię Lasu Sherwood podczas łowienia ryb.

Byłabym taka szczęśliwa, Lou Carmody, pomyślała, gdybyś znalazł kogoś wartego pokochania. Ojciec szedł po drugiej stronie, obejmując ją w pasie. W ciemności, spory kawałek od małej chaty z bali, był tym samym człowiekiem co wtedy, kiedy była dzieckiem - człowiekiem, który z nią żartował, opatrując zadrapania, i zabierał ją na przejażdżki na swoim harleyu. Ale gdy weszła w światło wylewające się z otwartych drzwi, zobaczyła białowłosego mężczyznę o twarzy pomarszczonej ze starości. Miał żałośnie obwisłe wąsy i pożółkłą skórę - skórę palacza - z głębokimi bruzdami na policzkach. Workowate dzinsy wisiały luźno na nieistniejących pośladkach i chudych jak patyki nogach.

- Co ten kosmaty łechtacz cipek robi na twojej twarzy, tato? - zapytała.

Obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem, potem pokręcił głową. Otworzył i zamknął usta. Znowu pokręcił głową.

Ani Lou, ani ojciec nie chcieli jej puścić, więc musieli

ustawić się bokiem, żeby przejść przez drzwi. Chris zrobił to pierwszy i pomógł jej przejść przez próg.

Przystanęli w korytarzu, gdzie z jednej strony stała pralka i suszarka, a z drugiej spiżarniane półki. Ojciec znowu na nią spojrzał.

- Vic, na litość boską, co ci się stało? - Zaskoczył ją, wybuchając płaczem.

Był to hałaśliwy, zdławiony, brzydki płacz, który wstrząsał jego chudymi ramionami. Płakał z otwartymi ustami, więc mogła zobaczyć metalowe plomby w jego zębach. Czuła się tak, jakby sama płakała, nie mogła uwierzyć, że wygląda gorzej niż on. Wydawało jej się, że widziała go krótki czas temu - jakby w ubiegłym tygodniu - i wtedy był wysportowany, gibki i energiczny, ze spokojnymi jasnymi oczami, które sugerowały, że przed niczym nie ucieknie. Chociaż uciekł. I co z tego? Sama nie sprawiła się lepiej. Pod wieloma względami prawdopodobnie postąpiła gorzej.

- Żałuj, że nie widziałeś tamtego faceta - powiedziała.

Z gardła ojca popłynął ni to szloch, ni to śmiech.

Lou odwrócił głowę i spojrzał przez siatkowe drzwi. Noc za nimi pachniała komarami - trochę jak goły drut, trochę jak deszcz.

- Usłyszeliśmy hałas - rzekł. - Jakby łupnięcie.

- Myślałem, że to strzał w gaźniku. Albo strzał z pistoletu - powiedział ojciec. Łzy spływały po jego wyniszczonych policzkach, wisiały jak perły w krzaczastych, żółtych od tytoniu wąsach. Brakowało mu tylko złotej gwiazdy na piersi i pary coltów.

- To był twój most? - zapytał Lou. Głos miał ściszony i łagodny ze zdumienia. - Właśnie przez niego przejechałaś?

- Tak - odparła. - Właśnie przejechałam.

Zaprowadzili ją do małej kuchni. Paliło się tylko jedno światło, klosz z przydymionego szkła wiszący nad stołem. Kuchnia była czysta jak na pokaz, jedynym znakiem, że ktoś z niej korzysta, były zgniecione niedopałki w bursztynowej popielniczce i mgiełka dymu papierosowego w powietrzu. I ANFO.

ANFO leżało na stole w rozpiętym szkolnym plecaku, w dwukilogramowych workach. Plastik był śliski i biały, pełen ostrzegawczych naklejek. Paczki były starannie, ciasno zapakowane. Każda miała wielkość mniej więcej bochenka chleba. Vic bez podnoszenia plecaka wiedziała, że będzie ciężki jak worek cementu.

Posadzili ją na krześle z drewna wiśniowego. Rozprostowała lewą nogę. Na policzkach i czole czuła oleisty pot, którego nic nie otrze. Lampa nad stołem świeciła zbyt jasno. Vic miała wrażenie, że ktoś delikatnie wciska zaostrzony ołówek przez jej lewe oko do mózgu.

- Możemy to zgasić? - zapytała.

Lou znalazł wyłącznik, pstryknął i w kuchni zapadły ciemności. Gdzieś w głębi korytarza paliła się druga lampa, rzucając brązowawy blask. Ta zbyt jej nie przeszkadzała.

Na zewnątrz kumkały ząby, rytmiczny dźwięk sprawiał, że Vic pomyślała o wielkim mruczącym generatorze elektrycznym.

- Sprawiałam, że zniknął - wyjaśniła. - Most. Żeby nikt za mną nie przeszedł. Dlatego... dlatego jestem rozpalona. Ale jest w porządku. To nic takiego.

Lou opadł na krzesło naprzeciwko niej. Drewno zaskrzypiało. Wyglądał śmiesznie, gdy tak na nim siedział przy małym drewnianym stole, jak niedźwiedź w spódniczce baletnicy.

Ojciec oparł się o ladę, skrzyżował ręce na szczupłej, zapadniętej piersi. Ciemność, pomyślała, przynosi ulgę nam obojgu. Oboje byli cieniami i w tym mroku on znów mógł być sobą, człowiekiem, który siadywał w jej sypialni, kiedy była chora. Opowiadał jej o miejscach, do których jeździł na swoim motocyklu, i o tarapatach, w jakie wpadał. Ona mogła być osobą, jaką była, kiedy mieszkali w tym samym domu, dziewczyną, którą bardzo lubiła, za którą bardzo tęskniła i z którą miała niewiele wspólnego.

- Właśnie tak się z tobą działo, kiedy byłaś mała - powiedział ojciec, być może jego myśli biegły tym samym torem. - Wracałaś z rowerowej przejażdżki po mieście,

zwykle z czymś w ręce. Zgubiona lalka. Zgubiona bransoletka. Dostawałaś gorączki i opowiadałaś kłamstwa. Twoja mama i ja rozmawialiśmy o tym przez cały czas. O tym, dokąd jeździsz. Myśleliśmy, że może masz lekkie palce, że... że pożyczasz różne rzeczy, a potem je oddajesz, kiedy ktoś zauważył, że coś mu zginęło.

- Ty tak nie myślałaś - rzekła. - Wcale nie myślałaś, że kradnę.

- Nie. To była teoria głównie twojej matki.

- A jaka była twoja teoria?

- Że używasz roweru jak różdżki. Wiesz, co to różdżka? W tych stronach starzy ludzie brali kawałek cisu albo leszczyny i machali nim w poszukiwaniu wody. Brzmi obłądnie, ale tam, gdzie się wychowałem, nikt nie wykopał studni bez uprzedniej rozmowy z różdżkarzem.

- Jesteś całkiem blisko. Pamiętasz Krótszą Drogę?

W zamyśleniu spuścił głowę.

- Dzieciaki podpuszczały się wzajemnie, kto przejdzie na drugą stronę. Ten most przyprawiał mnie o ciarki. Wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał runąć do rzeki. Zburzyli go... w osiemdziesiątym piątym?

- W osiemdziesiątym szóstym. Tylko że dla mnie most się nie zawalił. Kiedy musiałam coś znaleźć, mogłam jechać do lasu i most się pojawiał, i jechałam nim po zgubę. W dzieciństwie używałam swojego raleigha. Pamiętasz tuff burnera, który dałeś mi na urodziny?

- Był dla ciebie za duży.

- Dorosłam. Jak powiedziałaś. - Umilkła i skinęła głową w kierunku siatkowych drzwi. - Teraz mam mojego triumpha. Kiedy następnym razem przejadę przez Most Krótsza Droga, to na spotkanie z Charliem Manxem. To on ma Wayne'a.

Ojciec nie odpowiedział. Stał ze schyloną głową.

- Jeśli ma to jakieś znaczenie, panie McQueen - odezwał się Lou - wierzę w każde jej zwariowane słowo.

- Właśnie przejechałaś? Właśnie teraz? - zapytał ojciec. - Przez ten swój most?

- Trzy minuty temu byłam w Iowa. Spotkałam się z pewną

kobietą, która wie... wiedziała o Manxie.

Lou ściągnął brwi, zwróciwszy uwagę na użycie czasu przeszłego, ale Vic podjęła, zanim miał szansę się wtrącić i zadać pytanie, na które nie chciała odpowiedzieć. Mogłaby tego nie znieść.

- Nie musisz brać moich słów na wiarę. Kiedy mi powiesz, jak używać ANFO, sprawię, że most się pojawi, żebym mogła ruszyć w drogę. Zobaczysz go. Jest większy niż twój dom. Pamiętasz pana Snuffleupagusa z *Ulicy Sezamkowej*?

- Wyimaginowanego przyjaciela Wielkiego Ptaka? - zapytał ojciec i Vic odgadła, że uśmiecha się w ciemności.

- Most jest inny. Nie jest wymysłem, który tylko ja widzę. Jeśli naprawdę chcesz go zobaczyć, mogę przywołać go teraz, ale... ale wolałabym tego nie robić, dopóki nie nadejdzie właściwy czas. - Nieświadomie potarła policzek pod lewym okiem. - Teraz jest tak, jakby bomba wybuchła mi w głowie.

- Tak czy owak, w tej chwili nie odjeżdżasz. Dopiero tu przyjechałaś. Spójrz na siebie. Potrzebujesz odpoczynku. I prawdopodobnie lekarza.

- Już odpoczęłam, a jeśli pojedę do szpitala, każdy lekarz, z którym się zobaczę, przepisze mi parę kajdanek i skierowanie do aresztu. Federalni uważają... nie wiem, co sądzą. Być może, że zabiłam Wayne'a. Albo że wmieszałam się w jakieś ciemne sprawy i Wayne został porwany, żeby dać mi nauczkę. Nie wierzą mi, gdy mówię o Charliem Manxie. Nie mogę ich za to winić. Manx nie żyje. Lekarz przeprowadził częściową autopsję. Według nich bredzę jak kompletna świruska. - Zająknęła się, spojrziała na niego w ciemności. - Jak to się stało, że ty mi uwierzyłeś?

- Bo jesteś moją dziewczynką - odparł.

Powiedział to tak prosto i łagodnie, że nie mogła nic poradzić, znienawidziła go, w jej piersi wezbrało nagle, nadspodziewanie nieprzyjemne uczucie. Musiała odwrócić wzrok. Musiała odetchnąć głęboko, żeby głos jej się nie załamał z emocji.

- Zostawiłeś mnie, tato. Zostawiłeś nie tylko mamę.

Zostawiłeś nas. Miałam problemy, a ty odszedłeś.

- Gdy zrozumiałem, że popełniłem błąd, było za późno na powrót. Zwykle tak to bywa. Poprosiłem twoją mamę, żeby mnie przyjęła, a ona się nie zgodziła, i miała ku temu wszelkie prawo.

- Mogłeś zamieszkać gdzieś w pobliżu. Mogłabym cię odwiedzać w weekendy. Moglibyśmy razem spędzać czas. Chciałam cię mieć przy sobie.

- Wstydzilem się. Nie chciałem, żebyś oglądała dziewczynę, z którą byłem. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem was razem, zrozumiałem, że do niej nie należę. - Po chwili milczenia dodał:

- Nie mogę powiedzieć, że byłem szczęśliwy z twoją matką. Nie mogę powiedzieć, że sprawiło mi przyjemność, gdy przez prawie dwadzieścia lat mnie osądzała i wiecznie doszukiwała się braków.

- Czy parę razy nie dałeś jej poznać, jak smakuje twoja pięść, tato? - zapytała głosem cierpkim z pogardy.

- Tak - przyznał. - W moich pijackich czasach. Przed śmiercią poprosiłem ją o wybaczenie i mi go udzieliła. To już coś, choć sam sobie tego nie wybaczyłem. Powiedziałbym, że oddałbym wszystko, żeby to odwrócić, ale nie sądzę, by takie teksty były wiele warte.

- Kiedy ci wybaczyła?

- Za każdym razem, gdy rozmawialiśmy. Rozmawiałem z nią codziennie przez ostatnie sześć miesięcy. Dzwoniła, kiedy chodziłaś na spotkania AA. Żeby pożartować. Opowiedzieć mi, jak sobie radzisz. Co rysujesz. Co robi Wayne. Jak układają się twoje stosunki z Lou. Przysłała mi e-mailem zdjęcia Wayne'a.

- Przez chwilę patrzył na nią w ciemności. - Nie spodziewam się, że mi wybaczysz. Popełniłem niewybaczalne błędy. Najgorsze rzeczy, jakie o mnie myślisz, są prawdą. Ale wiedz, że cię kocham i to się nigdy nie zmieni, i jeśli mogę coś zrobić, żeby ci pomóc, to możesz na mnie liczyć.

Pochyliła się, niemal opierając czoło o kolana. Czowała się wyczerpana, miała zawroty głowy. Ciemność wokół niej

zdawała się nabrzmiewać i kurczyć, przybierać i odpływać jak jakaś ciecz, falować jak powierzchnia czarnego jeziora.

- Nie podejmę próby usprawiedliwiania się przed tobą. Nie ma żadnego usprawiedliwienia - podjął. - Zrobiłem parę dobrych rzeczy, ale bez większego entuzjazmu.

Nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się. Bolały ją boki i śmiech trochę przypominał wymiotowanie, ale kiedy uniosła głowę, stwierdziła, że może na niego patrzeć.

- Tak. Ja też - powiedziała. - Zrobiłam parę dobrych rzeczy, ale bez większego entuzjazmu. Najlepiej mi szło wysadzanie wszystkiego wokół siebie w powietrze. Dokładnie jak tobie.

- Skoro o tym mowa - wtrącił Lou - co mamy z tym zrobić? - Wskazał na plecak pełen ANFO.

Miał papierową opaskę okręconą wokół nadgarstka. Vic spojrzała na nią. Zobaczył, że patrzy, zarumienił się i schował ją w rękawie flanelowej bluzy.

- To materiał wybuchowy, prawda? - kontynuował. - Czy palenie przy nim jest bezpieczne?

Christopher McQueen głęboko zaciągnął się papierosem, potem się pochylił i z rozmysłem zgasił niedopałek w popielniczce stojącej obok plecaka.

- W miarę bezpieczne, dopóki nie wrzuci się tego do ogniska. Detonatory są w torbie na krześle, Vic.

Vic się obejrzała i zobaczyła torbę na zakupy wiszącą na oparciu.

- Każdy z tych worków byłby idealny do wysadzenia budynku federalnego, który sobie wybierzesz. Mam nadzieję, że nie to planujesz.

- Nie - odparła. - Charlie Manx zmierza do miejsca zwanego Gwiazdkową Krainą. To małe królestwo, które sobie stworzył i gdzie, jak sądzi, nikt go nie może osiągnąć. Zamierzam się tam z nim spotkać i odzyskać Wayne'a, a przy okazji wysadzę to miejsce w powietrze, żeby nie został kamień na kamieniu. Ten pojeb chce, żeby każdy dzień był Bożym Narodzeniem, ale ja mu, kurwa, urządzę Dzień Niepodległości.

Na zewnątrz

Za każdym razem, gdy Tabitha Hutter przystawała i nieruchomiała, komary wracały, bzyząc jej przy uszach. Musnęła policzek i przepędziła dwa, odganiając je od siebie w noc. Gdy musiała prowadzić obserwację, wołała to robić z samochodu, najlepiej klimatyzowanego, i ze swoim iPadem.

Powstrzymywanie się od narzekania było kwestią zasad. Prędzej umarłaby z utraty krwi, wyssana do sucha przez te pieprzone małe wampiry. Poza tym nie miała zamiaru skarżyć się przy Daltrym, który kucnął wraz z innymi i zamarł jak posąg z na wpół przymkniętymi powiekami, ze złośliwym uśmieszkiem na ustach. Kiedy komar siadł mu na skroni, pacnęła go i zostawiła krwawą smugę na jego skórze. Drgnął, ale potem z wdzięcznością skinął głową.

- Kochają panią - powiedział. - Komary. Kochają to delikatne kobiece ciało, marynowane w studium podyplomowym. Prawdopodobnie smakuje pani jak cielęcina.

Na posterunku obserwacyjnym w lesie były jeszcze trzy osoby, łącznie z Chitrą, wszyscy ubrani w lekkie czarne kurtki przeciwdeszczowe narzucone na kamizelki kuloodporne. Jeden z agentów trzymał antenę akustyczną - czarny pistolet z lufą rozszerzoną jak megafon, ze spiralnym sznurem telefonicznym połączonym ze słuchawką w jego uchu.

Hutter się pochyliła, postukała go w ramię i szepnęła:

- Słyszysz coś?

Mężczyzna pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że drugi zespół coś odbiera. Słyszę tylko biały szum. Od czasu tego grzmotu są tylko zakłócenia.

- To nie był grzmot - zaznaczył Daltry. - To nie brzmiało jak uderzenie pioruna.

Facet wzruszył ramionami.

Przed domem, parterową chatą z bali, stał pick-up. W pokoju od frontu paliła się lampa. Jedna roleta była

podniesiona do połowy i Hutter widziała telewizor (wyłączony), kanapę, reprodukcję sceny myśliwskiej na ścianie. W drugim oknie od frontu wisały białe firanki, więc pewnie tam była sypialnia. W domu nie mogło być wiele więcej pomieszczeń: kuchnia na tyłach, łazienka, może druga sypialnia, choć na pewno ciasna. Carmody i Christopher McQueen przebywali w tylnej części domu.

- Czy jest możliwe, że szepczą? - zapytała Hutter. - I wasz sprzęt jest za mało czuły, żeby coś wychwycić?

- Kiedy działa, jest dość czuły, żeby wyłapać głośne myśli - odparł mężczyzna ze słuchawką. - Problem w tym, że jest zbyt czuły. Hałas był za silny, aparatura nie zdołała sobie z nim poradzić i może trzasnął kondensator.

Chitra sięgnęła do sportowej torby i wyjęła środek odstraszający komary.

- Dziękuję - powiedziała Hutter, biorąc od niej pojemnik. Zerknęła na Daltry'ego. - Chce pan?

Wstali razem, żeby mogła go spryskać.

Stojąc, widziała fragment zbocza za domem, wznoszącego się ku granicy lasu. Na trawę padały dwa prostokąty bursztynowego światła z okien na tyłach domu.

Nacisnęła przycisk i rozpyliła białą mgłą nad Daltrym.

Zamknął oczy.

- Wie pani, czym według mnie było to wielkie trzaśnięcie? - zapytał. - Ten gruby skurwiel walnął na glebę. Dzięki, wystarczy. - Otworzył oczy, gdy przestała rozpylać. - Nie będzie pani miała sobie za złe, jeśli padnie trupem?

- Nie musiał uciekać - powiedziała.

- Nie musiała pani mu na to pozwalać - skomentował i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - To pani umożliwiła temu biedakowi ucieczkę.

Hutter poczuła nagłą, czystą i prostą ochotę psiknięcia mu w oczy.

To, co powiedział Daltry, było źródłem jej konsternacji, niepokoju. Louis Carmody wydawał się zbyt ufny, zbyt dobroduszny, zbyt zmartwiony losem swojego syna, zbyt miły dla swojej byłej, żeby mieć cokolwiek wspólnego ze

zniknięciem Wayne'a. Uważała, że jest niewinny, ale i tak wydała na niego wyrok, żeby zobaczyć, dokąd ją zaprowadzi, nie przejmując się tym, że w każdej chwili może paść na udar. Jeśli tak się stanie, czy będzie go miała na sumieniu? Przypuszczała, że tak.

- Musieliśmy zobaczyć, co zrobi. Proszę o tym pamiętać. Nie chodzi o jego dobro, tylko o dobro chłopca.

- Wie pani, dlaczego panią lubię, Hutter? Naprawdę lubię? Jest pani większym sukinsynem niż ja.

Hutter pomyślała, nie po raz pierwszy, że nienawidzi wielu gliniarzy. Szpetnych, wrednych pijaków, którzy u każdego doszukują się najgorszych cech.

Zamknęła oczy i rozpyliła środek na twarz i szyję. Kiedy uniosła powieki i dmuchnęła, żeby odgonić truciznę, zobaczyła, że światła na tyłach domu zgasły, zniknęły z trawnika. Nie zauważyłaby tego, gdyby kuciała.

Przeniosła spojrzenie na pokój od frontu. Widziała korytarz wiodący na tyły domu, ale nikt nim nie przechodził. Spojrzała w okno sypialni, czekała, żeby ktoś zapalił tam światło. Nikt tego nie zrobił.

Daltry przykucnął z innymi, ale ona stała. Po minucie zadarł głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Udaje pani drzewo?

- Kto obserwuje tyły domu? - zapytała.

Drugi gliniarz stanowy, facet, który dotąd się nie odzywał, popatrzył na nią. Twarz miał bladą i piegowatą i z rudymi włosami trochę przypominał Conana O'Briena.

- Nikt. Ale tam nic nie ma. Kilometry lasu, żadnego szlaku. Nawet gdyby im kazać, nie uciekaliby...

Hutter już szła z rękami wyciągniętymi przed siebie, żeby chronić twarz przed gałęziami.

Chitra zrównała się z nią po czterech krokach. Musiała szybko przebierać nogami, żeby nadążyć, kajdanki pobrzękiwały jej u pasa.

- Martwi się pani? - zapytała.

Hutter usłyszała za plecami trzask pękającej gałęzi i szelest liści. To pewnie Daltry, idący za nimi bez

szczególne go pośpiechu. Był równie natrętny jak komary; przydałby się jakiś spray, żeby go przepędzić.

- Nie - odparła Hutter. - Zajęliście wyznaczone pozycje. Nie było powodu ich zmieniać. Jeśli wyjdą, to drzwiami od frontu. To najzupełniej sensowne.

- Więc...?

- Jestem zaintrygowana.

- Czym?

- Dlaczego siedzą po ciemku. Zgasili światła, ale nie przeszli do pokoju od frontu. To oznacza, że siedzą na tyłach ze zgaszonymi światłami. Czy to nie wydaje się dziwne?

Robiąc następny krok, weszła w zimną, błotnistą wodę, głęboką prawie na dziesięć centymetrów. Przytrzymała się smukłego pnia brzozy, żeby nie stracić równowagi. Metr dalej woda sięgnęła jej do kolan. Niewiele się różniła od ziemi, czarną powierzchnię zaścielały liście i gałązki.

Daltry je dopędził, wpadł w wodę po uda, zachwiał się i o mało nie upadł.

- Moglibyśmy zapalić latarkę - zaproponowała Chitra.

- Albo przydałaby się fajka do nurkowania - burknął Daltry.

- Żadnych świateł - oznajmiła Hutter. - Możecie zawrócić, jeśli nie chcecie się przemoczyć.

- Co? I stracić całą zabawę? Wolałbym utonąć.

- Nie rób nam nadziei - powiedziała do niego Hutter.

Wewnątrz

McQueen usiadł z nimi przy stole w ciemności. Położył na kolanach torbę z detonatorami, wyjął jeden i trzymał go w ręku. Widok detonatora, który pod żadnym względem nie przypominał supernowoczesnych urządzeń używanych do detonowania materiałów wybuchowych, znanych z serialu *24 godziny* albo z filmu *Mission: Impossible*, nie podniósł Lou na

duchu. Były to czarne zegary ze sklepu Home Depot, ze zwisającymi przewodami o odsłoniętych mosiężnych końcówkach.

- Panie McQueen? - zapytał Lou. - Ja cię, to wygląda jak zegar, którego używam do zapalania gwiazdkowych lampek, kiedy się ściemnia.

- To wszystko, co mam - odparł ojciec Vic. - Niczego lepszego nie mogłem zorganizować w tak krótkim czasie. Worki są przygotowane, co oznacza, że składniki zostały nasączone olejem napędowym i wyposażone w małe ładunki. Wystarczy podłączyć przewody, tak samo jak w twoich gwiazdkowych lampkach. Czarną wskazówką nastawiasz czas. Czerwona pokazuje, kiedy zapalą się lampki. Albo, w tym wypadku, kiedy nastąpi wybuch o sile około siedmiu kilogramów trotylu. Wystarczy, żeby rozerwać front dwupiętrowego budynku, jeśli ładunek zostanie podłożony właściwie. - Urwał i popatrzył na Vic. - Nie uzbrajaj ich, dopóki nie znajdziesz się tam, dokąd jedziesz. Nie chciałybyś podskakiwać na motorze z uzbrojonymi.

Lou nie był pewien, czego bardziej się boi: plecaka pełnego ANFO czy sposobu, w jaki ten facet patrzy na swoją córkę. Jego wodniste jasne oczy były tak czyste i chłodne, jakby wcale nie miały koloru.

- Ładunki są proste i prawdziwe jak w Al-Kaidzie - podjął McQueen i wrzucił zegar do torby. - Nie spełniłyby wymagań stanowych, ale w Bagdadzie nikt nie miałby zastrzeżeń. Dziesięćlatki okręcają się tym materiałem i wysadzają w powietrze bez najmniejszych problemów. Nic szybciej nie wyekspeduje cię do Allacha. Gwarantuję.

- Rozumiem - powiedziała Vic. Sięgnęła po plecak i dźwignęła go ze stołu. - Tato, muszę iść. Przebywanie tu nie jest dla mnie bezpieczne.

- Jestem pewien, że byś się nie zjawiała, gdybyś miała jakieś inne wyjście.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze - zapewnił.

Przyciągnął ją do siebie, obejmując w talii. Jego spojrzenie przypominało Lou pewne górskie jeziora, które wyglądają na krystalicznie czyste, ponieważ kwaśny deszcz zabił wszystko, co w nich żyło.

- Minimalna bezpieczna odległość od wybuchu na otwartej przestrzeni, kiedy bomba leży na ziemi, wynosi trzydzieści metrów. Każdemu, kto znajdzie się bliżej, fala uderzeniowa przemieni flaki w galaretkę. Zbadałaś to miejsce? Tę Gwiazdkową Krainę? Wiesz, gdzie podłożysz ładunki? Bezpieczne uzbrojenie zajmie prawdopodobnie ze dwie godziny.

- Będę miała czas - zapewniła.

Po tym, w jaki sposób patrzyła na ojca, po idealnym spokoju malującym się na jej twarzy Lou poznał, że kłamie.

- Nie pozwolę jej się zabić, panie McQueen - oznajmił, podnosząc się i sięgając po torbę pełną zapalników. Zdjął ją z kolan Christophera McQueena, zanim ten zdążył się ruszyć. - Może mi pan wierzyć.

Vic zbladła.

- O czym ty mówisz?

- Jadę z tobą - odparł. - Wayne jest także moim synem. Poza tym zawarliśmy umowę, pamiętasz? Ja zreperuję motor, a ty mnie zabierzesz ze sobą. Nie odjedziesz i nie wysadzisz niczego beze mnie. Muszę dopilnować, żebyś nie wysadziła was obojga. Nie martw się, będę siedział za tobą.

- A ja? - zapytał Chris McQueen. - Myślisz, że mógłbym przejechać przez ten magiczny tęczowy most moim pick-upem?

Vic ze świstem zassała powietrze.

- Nie. To znaczy... po prostu nie. Nie może jechać żaden z was. Wiem, że chcecie pomóc, ale żaden z was nie może ze mną jechać. Słuchajcie. Ten most... jest prawdziwy, sami go zobaczycie. Będzie tu, z nami, w naszym świecie. Ale jednocześnie w sposób, którego nie rozumiem, istnieje głównie w mojej głowie. Poza tym konstrukcja nie jest bezpieczna. Nie była bezpieczna już w czasach mojego dzieciństwa. Może się zarwać pod ciężarem innego umysłu.

Co więcej, może będę musiała wracać z Wayne'em za plecami. Prawdopodobnie będę musiała w ten sposób wrócić. Jeśli on będzie na motorze, to powiedz mi, Lou, gdzie ty usiądziesz?

- Może mógłbym pójść za tobą pieszo. Pomyślałaś o tym? - zapytał.

- To zły pomysł. Zrozumiesz, gdy zobaczysz most.

- Dobra, chodźmy go zobaczyć.

Obrzuciła go pełnym bólu, błagalnym spojrzeniem. Takim spojrzeniem, jakby walczyła z płaczem.

- Muszę go zobaczyć - powiedział Lou. - Muszę wiedzieć, że jest prawdziwy, i wcale nie dlatego, że się martwię, że jesteś obłąkana, ale ponieważ muszę uwierzyć, że jest szansa na powrót Wayne'a do domu.

Vic dziko potrząsnęła głową, okręciła się na pięcie i pokuśtykała do tylnych drzwi.

Zrobiła dwa kroki i zaczęła się przechylać. Lou złapał ją za ramię.

- Spójrz tylko na siebie - rzekł. - O ja cię... Ledwie się trzymasz na nogach.

Sam czuł się chory w bijącym od niej żarze.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Niebawem będzie po wszystkim.

Ale w jej oczach połyskiwało matowo coś gorszego od strachu - może desperacja. Jej ojciec powiedział, że każdy dziesięcioletni dupek może okręcić się ANFO i wyekspediować prosto do Allacha, i teraz Lou przyszło na myśl, że być może rzeczywiście właśnie taki plan ma Vic.

Pchnęli siatkowe drzwi, wyszli w chłód nocy. Lou zauważył, że Vic od czasu do czasu przeciera lewe oko. Nie płakała, ale z oka ciekła woda, sączyła się słabym, nieprzerwanym strumyczkiem. Widział to wcześniej, w złych czasach w Kolorado, kiedy odbierała telefony, które nie dzwoniły, i rozmawiała z ludźmi, których tam nie było.

Tylko że byli. Dziwne, jak szybko to zaakceptował, jak niewielkiej walki wymagało uznanie za fakt tego, co sprawiało wrażenie obłądu. Może zresztą wcale nie było to

takie dziwne. Dawno temu pogodził się z tym, że każdy ma swój wewnętrzny świat, równie realny jak ten dzielony przez wszystkich. Vic powiedziała, że może sprowadzać most do tego świata, ale że w pewien sposób istnieje on również tylko w jej umyśle. Brzmiało to jak bełkot wariatki, dopóki człowiek sobie nie przypomniał, że przecież ludzie przez cały czas urzeczywistniają wyobrażenia: słyszą w głowie muzykę, a potem ją nagrywają, widzą w wyobraźni dom, a potem go budują. Fantazja jest rzeczywistością, która czeka na włączenie.

Minęli stos drewna, wyszli spod okapu w łagodną, drżącą mgłę. Lou obejrzał się na siatkowe drzwi, bo znowu trzasnęły. Christopher McQueen szedł za nimi. Pstryknął zapalniczką i pochylił głowę, żeby zapalić następnego papierosa, potem, mrużąc oczy, spojrzął przez dym na motocykl Vic.

- Evel Knievel jeździł na triumphie - powiedział i były to ostatnie słowa, jakie któreś z nich miało okazję powiedzieć, zanim gliniarze wyskoczyli z lasu.

- EF BI AJ! - Spomiędzy drzew napłynął znajomy głos. - NIE RUSZAĆ SIĘ. RĘCE DO GÓRY, RĘCE DO GÓRY, WSZYSCY!

Tępy ból wystrzelił z lewej strony szyi, Lou poczuł go w szczęce, w zębach. Przemknęło mu przez głowę, że nie tylko Vic ma materiały wybuchowe - on miał odbezpieczony granat w mózgu.

Z całej trójki chyba tylko on pomyślał, że słowa „ręce do góry” są czymś więcej niż sugestią. Jego ręce zaczęły się unosić, choć wciąż trzymał torbę z detonatorami, z uchwytem okręconym wokół kciuka. Kątem oka widział Chrisa McQueena przy stosie drewna. Facet zastygł w idealnym bezruchu, z zapalniczką w ręce, w trakcie zapalania papierosa, koniuszek już się żarzył.

Vic skoczyła po pierwszym krzyku, zostawiając ich obu i biegnąc chwiejnie przez podwórko na sztywnej nodze, która nie chciała się zginać. Lou opuścił ręce, żeby ją zatrzymać, ale już była trzy metry dalej. Zanim kobieta wychodząca z

lasu krzyknęła „wszyscy!”, Vic zdążyła przerzucić nogę przez siodełko triumpha. Druga stopa opadła na dźwignię startera. Motocykl z rykiem zbudził się do życia, hałas brzmiał ogłuszająco. Trudno było sobie wyobrazić, że worek ANFO może eksplodować z głośniejszym hukiem.

- Nie, Vic, nie, Vic, nie! BĘDĘ MUSIAŁA CIĘ ZASTRZELIĆ! - krzyknęła Tabitha Hutter.

Drobna kobieta biegła truchtem przez wilgotną trawę, trochę bokiem, trzymając automatyczny pistolet w obu rękach, jak gliniarze w programach telewizyjnych. Była już blisko - pięć, sześć metrów od Lou, tak blisko, że zobaczył krople deszczu na szklach jej okularów. Towarzyszyły jej dwie osoby: detektyw Daltry i stanowa policjantka, którą rozpoznał, ta Hinduska. Daltry miał spodnie przemoczone po krocze, z nogawkami oblepionymi przez martwe liście, i wyglądało na to, że jest z tego powodu w złym humorze. Trzymał pistolet, ale z daleka od ciała, celując w bok i w ziemię. Patrząc na nich wszystkich, Lou zrozumiał - na wpełni świadomie - że tylko jedna osoba stanowi bezpośrednio zagrożenie. Daltry celował w bok, a Hutter nie widziała dobrze przez okulary. Hinduska mierzyła z pistoletu w tułów Vic, a jej oczy miały tragiczny wyraz - jej oczy zdawały się mówić: Proszę, błagam, nie zmuszaj mnie do zrobienia czegoś, czego nie chcę zrobić.

- Idę po Wayne'a, Tabitho! - krzyknęła Vic. - Jeśli mnie zastrzelisz, jego też zabijesz. Chcę tylko sprowadzić go do domu.

- Czekaj! - zawołał Lou. - Czekaj! Nikt nikogo nie zastrzeli!

- NIE RUSZAĆ SIĘ! - wrzasnęła Hutter.

Lou nie wiedział, do kogo, cholera, zwraca się ta kobieta - przecież Vic siedzi na motorze, a Chris stoi przy stosie drewna, nie zrobił ani kroku. Dopiero kiedy wycelowwała w niego, zdał sobie sprawę, że to on się rusza. Bez jednej myśli, z rękami nad głową, zaczął biec przez podwórko, ustawiając się między Vic i policjantami.

Hutter była już tylko trzy długie kroki od niego. Mrużyła oczy za szklami okularów, lufa pistoletu się zniżyła, mierząc

w jego wielki brzuch. Może nie widziała go zbyt dobrze, ale przypuszczał, że to będzie jak strzelanie do stodoły; wyzwaniem byłoby nie trafić.

Daltry skręcił w stronę Christophera McQueena, lecz jakby na znak głębokiej obojętności nawet nie próbował wziąć go na cel.

- Spokojnie - odezwał się Lou. - Nikt tutaj nie jest czarnym charakterem. Czarnym charakterem jest Charlie Manx.

- Charlie Manx nie żyje - zaznaczyła Tabitha Hutter.

- Powiedz to Maggie Leigh - krzyknęła Vic. - Charlie niedawno zamordował ją w Iowa, w Bibliotece Publicznej w Here. Godzinę temu. Sprawdź to. Byłam tam.

- Byłaś... - zaczęła Hutter, potem pokręciła głową, jakby chciała odpędzić komara od twarzy. - Zsiądź z motoru i połóż się twarzą do ziemi, Vic.

W dali Lou słyszał inne podniesione głosy, słyszał trzask pękających gałęzi, ludzie przedzierali się przez krzaki. Dźwięki płynęły z drugiej strony domu, co znaczyło, że mają prawdopodobnie dwadzieścia sekund, zanim zostaną okrążeni.

- Muszę jechać - oznajmiła Vic i wrzuciła pierwszy bieg.

- A ja z nią - dodał Lou.

Hutter wciąż się zbliżała. Lufa pistoletu była prawie w zasięgu jego ręki.

- Funkcjonariuszko Surinam, skujecie tego człowieka? - zapytała Hutter.

Chitra Surinam zaczęła ją mijać. Opuściła broń i sięgnęła prawą ręką po kajdanki wiszące u pasa. Lou zawsze chciał mieć taki uniwersalny pas, jak Batman, z pneumatyczną wyrzutnią haków magnetycznych i paroma bombami ogłuszającymi. Gdyby miał taki pas i bomby, mógłby jedną rzucić i oślepić gliniarzy, i oboje z Vic wymknęliby się bez problemu. Zamiast tego trzymał torbę zegarów z Home Depot do zapalania lampek świątecznych.

Cofnął się o krok, więc znalazł się blisko motoru, dość blisko, żeby poczuć gorąco dygoczących rur.

- Daj mi torbę, Lou - poleciała Vic.

- Panno Hutter, proszę, niech pani skontaktuje się przez radio ze swoimi ludźmi i zapyta o Maggie Leigh. Niech pani zapyta, co niedawno się stało w Iowa. Szykuje się pani do aresztowania jedynej osoby, która może odzyskać mojego syna. Jeśli chce pani pomóc naszemu synowi, musi pani pozwolić nam odejść.

- Dość gadania, Lou - ucięła Vic. - Muszę jechać.

Agentka zmrużyła oczy, jakby miała kłopoty z patrzeniem przez okulary. Niewątpliwie tak było.

Chitra Surinam zbliżyła się do niego. Lou wyciągnął rękę, jakby chciał ją zatrzymać, usłyszał stalowy trzask i stwierdził, że założyła mu jedną obręczkę kajdanek.

- Hola! - krzyknął. - O ja cię, hola!

Hutter wyjęła z kieszeni telefon komórkowy, srebrny prostokąt wielkości hotelowego mydła. Nie wybrała numeru, tylko wcisnęła jeden guzik. Telefon ożył i w szumie zakłóceń usłyszeli męski głos.

- Tu Cundy. Macie już wszystkich?

- Cundy, są jakieś wiadomości w sprawie Margaret Leigh? Telefon zasyczał.

Chitra powiedziała do Lou:

- Proszę drugą rękę, panie Carmody. Drugą rękę.

Nie podsunął ręki. Wysunął ją spoza jej zasięgu, z foliową torbą zapętloną na kciuku, jakby była to torebka skradzionych cukierków, a on był szkolnym łobuzem, który ją ukradł i nie zamierza zwrócić.

Przez syk przebił się głos Cundy'ego. Brzmiał nieszczęśliwie.

- Ma pani dzisiaj zdolności parapsychiczne? Niedawno dostaliśmy wiadomość. Pięć minut temu. Chciałem pani przekazać, kiedy pani wróci.

Krzyki po drugiej stronie domu brzmiały coraz bliżej.

- Mów teraz - ponagliła Hutter.

- Co się, kurwa, dzieje? - zapytał Daltry.

- Ona nie żyje - powiedział Cundy. - Margaret Leigh została pobita na śmierć. Tamtejsi gliniarze winią za to McQueen. Widzieli, jak odjeżdża na motocyklu z miejsca

zdarzenia.

- Nie - mruknęła Hutter. - Nie, to... to niemożliwe. Gdzie to się stało?

- Here, w stanie Iowa. Nieco ponad godzinę temu. Dlaczego to takie niemo...

Ale Hutter wcisnęła guzik, rozłączyła się. Spojrzała na Vic, która wykręcała się na siodełku. Motocykl dudnił.

- To nie ja - oznajmiła. - To Manx. Stwierdzą, że została zabita młotkiem.

W pewnym momencie Hutter zupełnie opuściła pistolet. Schowała telefon do kieszeni, otarła wodę z twarzy.

- Młotkiem do kości - powiedziała. - Tym, który Manx zabrał ze sobą, kiedy wyszedł z kostnicy w Kolorado. Nie mogę... nie potrafię tego zrozumieć. Staram się, Vic, ale po prostu nie mogę doszukać się w tym sensu. Jak to się stało, że wstał z martwych? Jak to możliwe, że jesteś tutaj, skoro niedawno byłaś w stanie Iowa?

- Nie mam czasu na wyjaśnianie wszystkiego. Ale jeśli chcesz wiedzieć, jak dostałam się tutaj z Iowa, to zaczekaj chwilę. Zaraz ci pokażę.

- Surinam, proszę... zdjęć kajdanki panu Carmody'emu - poleciła Hutter, zwracając się do Chitry. - Nie będą potrzebne. Może powinniśmy po prostu porozmawiać. Może wszyscy powinniśmy po prostu porozmawiać.

- Nie mam czasu na... - zaczęła Vic, ale nikt nie usłyszał końca zadania.

- Co jest, kurwa? - warknął Daltry, odwracając się od Chrisa McQueena i podnosząc pistolet, żeby wycelować w Vic. - Zsiadaj z motocykla.

- Schować broń! - krzyknęła agentka.

- Akurat, kurwa. Odbiło ci, Hutter. McQueen, wyłącz motor. Natychmiast.

- Wydałam rozkaz! - ryknęła Hutter. - Ja tu dowodzę, i powiedziałam...

- Na ziemię! - wrzasnął pierwszy agent FBI, który wyłonił się po wschodniej stronie domu. Miał karabin. Lou pomyślał, że może to M16. - NA ZIEMIĘ, DO KURWY NĘDZY!

Lou miał wrażenie, że wszyscy zaczęli krzyczeć. Znowu poczuł tępe walnięcie bólu w skroni i po lewej stronie szyi. Chitra nie patrzyła na niego, przekręciła głowę, żeby spojrzeć na Hutter z mieszaniną niepokoją i zdumienia.

Chris McQueen pstryknął papierosem w twarz Daltry'ego. Papieros trafił go pod prawym okiem, strzelając fontanną czerwonych iskier. Daltry się wzdrygnął, lufa jego broni odskoczyła od celu. Chris wolną ręką wymacał polano na wierzchu stosu, odwrócił się i trzasnął go w ramię z taką siłą, że policjant się zachwiał.

- Uciekaj, Szkrabie! - ryknął.

Daltry zrobił trzy chwiejne kroki po błotnistej ziemi, odzyskał równowagę, uniósł pistolet i wpakował jedną kulę w brzuch McQueena, a drugą w szyję.

Vic wrzasnęła. Lou odwrócił się w jej stronę i przy tym ruchu uderzył ramieniem Chitrę Surinam. Trochę przypominało to potrącenie przez galopującego konia. Surinam cofnęła nogę, pośliznęła się i poleciała do tyłu, siadając na mokrej trawie.

- Wszyscy opuścić broń! - krzyknęła Hutter. - Cholera jasna, NIE STRZELAĆ!

Lou doskoczył do Vic. Najlepszy sposób na to, żeby ją objąć, polegał na przełożeniu nogi przez siodełko.

- Z motocykla, z motocykla! - ryknął jeden z mężczyzn w kamizelce kuloodpornej. Było ich trzech, biegli ku nim z bronią gotową do strzału.

Vic patrzyła na ojca z ustami otwartymi po ostatnim krzyku, z oczami ślepyimi ze zdumienia. Lou pocałował jej rozgorączkowany policzek.

- Musimy jechać - ponaglił. - Teraz.

Objął ją w talii i w następnej chwili triumph ruszył, a noc rozdarł grzmiący terkot karabinowego ognia.

Za domem

Huk broni wstrząsał ciemnością. Vic czuła, jak cały ten hałas się przez nią przedziera, mylnie wzięła go za uderzenia kul i odruchowo przekręciła manetkę. Tylne opony dymiły i ślizgały się po mokrej ziemi, wrywając długie, przemoczone pasy trawy. Nagle triumph skoczył do przodu, w ciemność.

Jedną jej część chciała wciąż patrzeć wstecz, patrzeć, jak ojciec zgina się we dwoje, sięgając do gardła, z włosami spadającymi na oczy, z otwartymi ustami, jakby próbował wymiotować.

Jedną część chwyciła go, zanim upadnie na kolana, trzymała go w ramionach.

Kolejną całowała jego twarz. Jestem tutaj, tato, mówiła. Jestem z tobą. Była tak blisko, że czuła miedziany zapach świeżo rozlanej krwi.

Miękki, najeżony policzek przylegał do jej karku. Lou przytulał się do niej z plecakiem pełnym materiałów wybuchowych między ich ciałami.

- Jedź - powiedział. - Zabierz nas tam, gdzie trzeba. Nie oglądaj się, jedź.

Fontanna ziemi wystrzeliła z prawej strony, gdy Vic skręciła, jadąc pod górę w kierunku drzew. Jej uszy rejestrowały dźwięk kul uderzających w glebę za ich plecami. W jazgocie strzałów wyłowiła głos Tabithy Hutter, załamujący się z wysiłku:

- NIE STRZELAĆ! NIE STRZELAĆ!

Vic nie mogła myśleć i wcale nie potrzebowała. Jej ręce i nogi wiedziały, co robić, prawa stopa wrzuciła drugi bieg, potem trzeci. Motor z desperacją rwał w górę wilgotnego zbocza. Przed nimi wznosiła się ciemna ściana sosen. Vic schyliła głowę, gdy wjechali między pnie drzew. Gałązka smagnęła ją w usta, aż zapiekło. Przedarli się przez krzaki, opony znalazły deski Mostu Krótsza Droga i zaczęły na nich grzechotać.

- Co jest, kurwa? - krzyknął Lou.

Vic nie wjechała prosto i wciąż miała pochyloną głowę. Uderzyła w ścianę, ramię jej zdrętwiało, a siła uderzenia pchnęła ją na Lou.

W jej wyobraźni ojciec znowu wpadał w jej ramiona.

Przekręciła kierownicę, skręcając w lewo, oddalając się od ściany.

Pod przednią oponą pękła deska, kierownica wyrwała się z jej rąk.

Pocałowała ojca w skroń. Jestem tu, tato.

Triumph zrzuciło na lewą ścianę. Lou uderzył w nią ramieniem i stęknął, a most zadygotał.

Vic czuła zapach włosów ojca. Chciała go zapytać, jak długo żył sam, dlaczego w jego domu nie było kobiety. Chciała wiedzieć, jak się trzymał, co robił wieczorami. Chciała mu powiedzieć, że jest jej przykro i że wciąż go kocha, pomimo całego zła wciąż go kocha.

Potem Chris McQueen zniknął. Musiała pozwolić mu odejść, pozwoliła, by wysunął się z jej ramion. Musi jechać dalej bez niego.

Nietoperze popiskiwały w ciemności. Dźwięk przypominał szelest tasowanej talii kart, tylko był znacznie głośniejszy. Lou wykręcił głowę, żeby spojrzeć między krokwie. Wielki, łagodny, niewzruszony Lou nie krzyknął, w zasadzie nie wydał żadnego dźwięku, tylko hałaśliwie wciągnął potężny haust powietrza i wtulił głowę w ramiona, gdy dziesiątki, może setki zaniepokojonych nietoperzy oderwały się od stropu i lunęły na nich jak ulewny deszcz, wirując w cuchnącej przestrzeni. Były wszędzie, muskając ich ramiona i nogi. Jeden przemknął obok głowy Vic, ocierając skrzydłem jej policzek. W przelocie ujrzała jego mordkę: małą, różową, zdeformowaną, a jednak dziwnie ludzką. Oczywiście, patrzyła we własną twarz. Robiła, co w jej mocy, żeby powstrzymać się od wrzasku i nie stracić panowania nad triumphem.

Motor był już prawie na drugim końcu mostu. Kilka nietoperzy leniwie pofrunęło w noc i wtedy pomyślała: Oto odlatują cząstki mojego umysłu.

Zobaczyła swój stary rowerek, raleigh tuff burner. Zdawało się, że pędzi jej na spotkanie, gdy przemykał po nim blask reflektora. Zrozumiała, ułamek sekundy za późno, że się z

nim zderzy, że będzie to fatalne w skutkach. Przednia opona uderzyła w rower.

Triumph wpadł na zardzewiały, obwieszony pajęczynami rower, odbił, skręcił i już się przechylał, gdy wyjeżdżał z krytego mostu. Wraz z nimi wypadły dziesiątki nietoperzy.

Opony wściekle darły najpierw gołą ziemię, potem trawę. Vic zobaczyła, że grunt opada, że zaraz przekoziółkują na szczycie skarpy. Ujrzała jodły ozdobione aniołkami i śnieżynkami.

Przeskoczyli nad stromizną. Motor skręcił, zrzucając ich z siebie. Runął w ślad za nimi, uderzając w oboje niczym lawina gorącego żelaza. Świat pękł i spadli w ciemność.

Sanie Mikołaja

Lou był przytomny prawie od godziny, gdy usłyszał suchy, cichy szmer i zobaczył białe płatki spadające w otaczające go martwe liście. Zadarł głowę i przymrużył oczy, patrząc w noc. Zaczął padać śnieg.

- Lou? - odezwała się Vic.

Kark mu sztywniał i ból sięgał po szczękę. Popatrzył na Vic leżącą na ziemi niedaleko od niego. Przed chwilą spała, ale już była z nim, szeroko otwierając oczy.

- Tak - mruknął.

- Czy moja mama wciąż tu jest?

- Twoja mama jest z aniołami, maleńka.

- Z aniołami. Anioły są na drzewach - powiedziała Vic. - Pada śnieg.

- Wiem. W lipcu. Przez całe życie mieszkałem w górach. Znam miejsca, gdzie śnieg leży przez cały rok, ale nigdy nie widziałem, żeby padał o tej porze roku. Nawet tutaj.

- Gdzie? - zapytała.

- Nad Gunbarrel. Gdzie wszystko się zaczęło.

- Zaczęło się w Terry's Primo Subs, kiedy moja mama

zostawiła bransoletkę w łazience. Dokąd poszła?

- Nie było jej tutaj. Ona nie żyje, Vic. Pamiętasz?

- Siedziała z nami przez jakiś czas. Tam. - Vic uniosła rękę i wskazała skarpe wznoszącą się nad nimi. Opony motocykla wyryły w zboczu głębokie bruzdy, błotniste koleiny. - Mówiła coś o Wayne. Powiedziała, że będzie miał jeszcze trochę czasu, kiedy dotrze do Gwiazdkowej Krainy, ponieważ posuwał się do tyłu. Dwa kroki wstecz na każde trzy kilometry do przodu. Nie stanie się jednym z tych żywych trupów. Jeszcze nie.

Leżała na plecach, z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków, ze złączonymi kostkami. Lou okrył ją swoją flanelową bluzą; była tak duża, że sięgała jej po kolana, jak dziecięcy kocyk. Vic przekręciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Na jej twarzy malowała się pustka, która go przeraziła.

- Och, Lou - szepnęła prawie bezdźwięcznie. - Twoja twarz...

Dotknął prawego policzka, obolałego i opuchniętego od kącika ust po kącik oka. Nie pamiętał, skąd to się wzięło. Grzbiet lewej ręki miał paskudnie poparzony, czuł miarowe pulsowanie bólu. Kiedy się zatrzymali, ręka utknęła pod motocyklem, pod gorącą rurą. Nie mógł na nią patrzeć. Skóra była czarna, spękana i lśniaca. Trzymał ją przy boku, żeby Vic jej nie zobaczyła.

Jego ręka nie miała znaczenia. Nie sądził, żeby zostało mu wiele czasu. Doskwierał mu ból, bez chwili przerwy, czuł ucisk w gardle i w lewej skroni. Jego krew wydawała się gęsta jak płynne żelazo. Od dawna chodził z pistoletem przystawionym do głowy i w pewnym momencie pomyślał, że zanim noc się skończy, pożegna się z tym światem. Chciał zobaczyć Wayne'a, zanim to nastąpi.

Ściągnął Vic z motocykla, gdy spadali ze skarpy, przetoczył się w taki sposób, że osłonił ją własnym ciałem. Motor przeszorował mu po plecach. Gdyby uderzył w Vic - która prawdopodobnie ważyła pięćdziesiąt kilo z cegłą w każdej kieszeni - jej kręgosłup pękłby jak sucha gałązka.

- Jesteś pewna, że to śnieg? - zapytał.

Zamrugnęła, poruszyła zuchwą i wbiła spojrzenie w noc. Płatki śniegu osiadały na jej twarzy.

- To oznacza, że Manx jest blisko.

Lou pokiwał głową. Pomyślał to samo.

- Wyleciało wiele nietoperzy - dodała. - Opuściły most razem z nami.

Stłumił drżenie, ale nie mógł się pozbyć uczucia mrowienia na skórze. Wolałby, żeby Vic nie wspominała o nietoperzach. Widział jednego, gdy przemykał obok niego, z pyszczkiem otwartym w słyszalnym pisku. Gdy tylko na niego spojrzał, pożałował, że go zobaczył, chciałby go... „odzobaczyć”. Skurczona różowawa mordka w okropny sposób przypominała twarz Vic.

- Tak, chyba tak.

- One są... mną. Tym, co mam w głowie. Kiedy korzystam z mostu, zawsze istnieje ryzyko, że część z nich ucieknie. - Przekręciła głowę, żeby na niego popatrzeć. - To cena. Zawsze jest jakaś cena. Maggie się jąkała, coraz gorzej i gorzej za każdym razem, gdy używała płytek scrabble. Manx kiedyś miał duszę, prawdopodobnie, ale wykorzystał ją jego samochód. Rozumiesz?

Pokiwał głową.

- Chyba.

- Jeśli zacznę mówić coś, co nie będzie miało sensu - podjęła - musisz dać mi znać. Jeśli zacznę wydawać się skołowana, musisz przywołać mnie do porządku. Słyszysz mnie, Lou Carmody? Charlie Manx niebawem tu będzie. Muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć.

- Zawsze - zapewnił.

Oblizła usta, przełknęła ślinę.

- Dobrze. To dobrze. Masz złote serce. To, co złote, na zawsze zostaje złote, wiesz? Dlatego Wayne wyjdzie z tego bez szwanku.

Płatek śniegu spadł jej na rzęsy. Ten widok sprawił, że smutek ścisnął mu serce. Wyglądała tak pięknie. Wątpił, czy kiedykolwiek w swoim życiu zobaczy coś równie pięknego. Szczerze mówiąc, nie spodziewał się, że przeżyje noc.

- Motor - powiedziała i zamruła. Trwoga odmalowała się na jej twarzy. Usiadła, wspierając się na łokciach. - Motor musi być sprawny.

Lou podniósł go z ziemi i oparł o pień czerwonej sosny. Reflektor zwisał z oprawy. Lusterko po prawej stronie było złamane. Teraz brakowało obu.

- Jest w porządku - oznajmiła.

- No nie wiem. Nie próbowałem go zapalić. Nie wiemy, co mogło się obłuzować. Chcesz, żebym...

- Nie. Jest w porządku - odparła. - Zapali.

Dmuchał wiatr, śnieg zaciął z ukosa. Noc wypełniło brzęczenie dzwoneczków.

Vic uniosła podbródek, spojrzała na gałęzie nad nimi, pełne aniołków, mikołajów, płatków śniegu, srebrnych i złotych bombek.

- Ciekawe, dlaczego nie popękały - powiedział Lou.

- To horkruksy - odparła Vic.

Lou popatrzył na nią w skupieniu, ze zmartwieniem.

- Jak w Harrym Potterze?

Zaśmiała się - przestraszonym, nieszczęśliwym śmiechem.

- Spójrz na nie wszystkie. Na tych drzewach jest więcej złota i rubinów niż w całym Ofirze. I koniec tutaj będzie taki sam jak tam.

- W ofierze? - zapytał. - Mówisz bez sensu, Vic. Wróc do mnie.

Spuściła głowę, potrząsnęła nią, jakby chciała oczyścić myśli, po czym położyła rękę na karku, krzywiąc się z bólu.

Spojrzała na niego przez woalkę włosów. To nim wstrząsnęło - nagle wydała się taka jak dawniej. Miała na twarzy ten swój uśmiezek, a w oczach psotny wyraz, który zawsze go podniecał.

- Jesteś dobrym człowiekiem, Lou Carmody - powiedziała.

- Może jestem obłąkaną dziwką, ale cię kocham. Przepraszam za wiele przykrości, jakie ci sprawiłam, i chciałabym, bardzo bym chciała, żebyś spotkał kogoś lepszego ode mnie. Ale nie żałuję, że mamy razem dziecko. Ma moją urodę i twoje serce. Wiem, co jest więcej warte.

Wsparł pięści na ziemi i przesunął się, żeby być bliżej niej. Objął ją i przytulił do piersi. Wtulił twarz w jej włosy.

- Kto mówi, że jest ktoś lepszy od ciebie? - zapytał. - Mówisz o sobie różne rzeczy, ale musisz wiedzieć, że nie pozwoliłbym na to nikomu innemu na świecie. - Pocałował ją w czubek głowy. - Mamy dobrego chłopaka. Czas go odzyskać.

Odsunęła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Co się stało z zegarami? Z materiałami wybuchowymi? Sięgnął po plecak leżący kawałek dalej. Był otwarty.

- Zacząłem nad nimi pracować - odparł. - Jakiś czas temu. Chciałem zająć czymś ręce, gdy czekałem, aż się zbudzisz.

- Machnął rękami, jakby chciał pokazać, że nie ma z nich pożytku, kiedy są puste. Obciągnął lewy mankiet, mając nadzieję, że Vic nie zauważy paskudnego oparzenia.

Kajdanki zwisały z nadgarstka jego drugiej ręki. Vic znów się uśmiechnęła. Szarpnęła za nie.

- Później zrobimy z nimi coś perwersyjnego - powiedziała, ale jej ton, pełen niewymownego zmęczenia, wcale nie sugerował erotycznych igraszek. Przywodził na myśl dalekie wspomnienie czerwonego wina i leniwych pocałunków.

Lou się zarumienił, zawsze przychodziło mu to bardzo łatwo. Vic się roześmiała i cmoknęła go w policzek.

- Pokaż mi, co zrobiłeś - poprosiła.

- Cóż, niewiele. Niektóre zegary są zepsute, rozbiły się w trakcie naszej wielkiej ucieczki. Podłączyłem cztery. - Sięgnął do plecaka i wyjął jedną śliską białą paczkę ANFO. Zwisał z niej czarny zegar, dwa przewody, czerwony i zielony, były połączone z workiem zawierającym przygotowany materiał wybuchowy. - W zasadzie te zegary to po prostu małe budziki. Jedna wskazówka pokazuje godzinę, druga - kiedy zadzwonią. Widzisz? Trzeba wcisnąć tutaj, żeby zaczęły chodzić.

Samo trzymanie worka ANFO sprawiało, że pocił się ze strachu. Pieprzony zegar do lampek był jedyną rzeczą między nimi obojgiem a eksplozją, która rozerwałaby ich na strzępy.

- Jednego nie rozumiem - powiedział. - Kiedy je podłożysz? I gdzie?

Wstał i wyciągnął szyję, rozglądając się jak dziecko przed przejściem przez ruchliwą ulicę.

Siedzieli wśród drzew, na lesistym obniżeniu. Za nimi znajdował się podjazd prowadzący do Sań Mikołaja, zwirowa alejka biegnąca wzdłuż skarpy, ledwie dość szeroka dla jednego samochodu.

Dalej na lewo ciągnęła się autostrada, gdzie prawie szesnaście lat temu gruby dwudziestolatek zabrał na swojego harleya chudą nastolatkę o długich, patykowatych nogach, która wyskoczyła z krzaków z twarzą poczerwiałą od sady. Lou wybrał się wtedy na przejażdżkę po gorzkiej kłótni ze swoim ojcem. Poprosił go o trochę pieniędzy, bo chciał zrobić maturę, a potem złożyć podanie na studia o kierunku wydawniczym. Kiedy ojciec zapytał dlaczego, Lou odparł, że chciałby założyć własne wydawnictwo komiksów. Ojciec ryknął, że równie dobrze można by użyć tych pieniędzy zamiast papieru toaletowego, bo wyjdzie na to samo. Powiedział, że jeśli Lou chce zdobyć wykształcenie, to może pójść w jego ślady i zaciągnąć się do marines. Może w konsekwencji straci trochę tłuszczu i będzie miał przyzwoitą fryzurę.

Lou odjechał na swoim motorze, żeby mama nie widziała jego łez. Chciał jechać do Denver, zaciągnąć się do wojska i zniknąć z życia ojca, spędzić parę lat w służbie za granicą. Chciał wrócić dopiero wtedy. Gdy stanie się innym człowiekiem, kimś chudym, twardym i w ogóle super, kimś, kto pozwoli, by ojciec go uściskał, ale sam nie odwzajemni uścisku. Na pytania odpowiadałby „tak jest”, siedział na krześle sztywno, w postawie na baczność, z kamiennym wyrazem twarzy. „Podoba się panu moja fryzura? - zapytałby ojca. - Czy spełnia pańskie wysokie wymagania?”. Chciał odjechać i wrócić jako inny człowiek, taki, którego rodzice nie znali. I właśnie tak się stało, choć nigdy nie dotarł do Denver.

Po prawej stronie stał dom, w którym Vic o mały nie

spłonęła. W zasadzie nie stał i już nie był domem, nie w pełnym znaczeniu tego słowa. Została tylko okopcona betonowa płyta i platanina spalonych belek. Wśród zgliszcz leżała pokryta bąblami i poczerniała staroświecka lodówka, okopcona rama łóżka, część schodów. Jedna ściana tego, co kiedyś było garażem, wydawała się prawie nietknięta. Osadzone w niej drzwi były otwarte, sugerując zaproszenie do wejścia. Każdy chętny mógłby ułożyć sobie siedzisko ze zwęglonych belek i zatrzymać się tam na jakiś czas. Rumowisko zasłane było potłuczonym szkłem.

- To znaczy... to nie jest Gwiazdkowa Kraina, prawda?

- Nie - odparła Vic. - To drzwi. Prawdopodobnie nie musi tu przebywać, żeby przez nie przejść, ale tutaj jest dla niego najłatwiej.

Aniołki trzymały trąbki przy ustach, kołysząc się w padającym śniegu.

- Twoje drzwi... - zaczął. - Most. Zniknął. Zniknął, gdy stoczyliśmy się ze skarpy.

- Mogę go przywołać, kiedy będzie potrzebny.

- Szkoda, że nie mogliśmy zabrać ze sobą wszystkich tych gliniarzy. Przyprowadzić ich prosto do celu. Może skierowaliby swoje pistolety na właściwego faceta.

- Myślę, że im mniejszy ciężar na moście, tym lepiej. To droga ostatecznego ratunku. Nie chciałam zabrać nawet ciebie.

- No tak. Ale teraz tu jestem. - Lou wciąż trzymał w ręce lśniący worek ANFO. Ostrożnie włożył go do plecaka, który następnie podniósł. - Jaki jest plan?

- Pierwsza część planu jest taka, że dasz to mnie. - Chwyliła szelkę plecaka. Patrzył na nią przez chwilę, nad plecakiem, niepewny, czy pozwolić jej go zabrać. W końcu puścił. Miał, czego chciał, był tutaj i Vic w żaden sposób nie mogła się go pozbyć. Zarzuciła plecak na ramię.

- Druga część planu... - zaczęła, po czym odwróciła głowę i spojrzała w kierunku autostrady.

Jechał jakiś samochód, światła pomykały po pniach sosen, które rzucały absurdalnie długie cienie na żwirowy podjazd.

Zwolnić, gdy zbliżył się do zakrętu. Lou czuł tępe pulsowanie bólu za lewym uchem. Śnieg padał wielkimi płatkami, jak gęsi puch, i zbierał się na drodze gruntowej.

- Jezu... - mruknął, z trudem rozpoznając własny głos. - To on. Nie jesteśmy gotowi.

- Chodź tutaj - poleciała Vic.

Złapała go za rękaw i pociągnęła do tyłu po dywanie suchych, martwych liści i igliwia. Schowali się w kępie brzoź. Lou po raz pierwszy zauważył, że ich oddechy bieleją w osrebrzonej przez księżyc nocy.

Rolls-royce skręcił na długi podjazd. Po przedniej szybie pełgało odbicie księżyca koloru kości, pochwycone w kocia kołyskę czarnych gałęzi.

Patrzyli, jak zbliża się statecznie. Lou czuł, że drżą mu grube nogi. Muszę być dzielny tylko jeszcze trochę dłużej, pomyślał. Całym sercem wierzył w Boga, wierzył od dzieciństwa, kiedy zobaczył na wideo George'a Burnsa w filmie *O mój Boże!* Posłał mentalną modlitwę do chudego, pomarszczonego George'a Burnsa: Proszę, kiedyś byłem dzielny, pozwól mi na to znowu. Pozwól mi być dzielnym dla Wayne'a i Vic. I tak niedługo umrę, więc niech umrę, jak trzeba. Przyszło mu na myśl, że właśnie tego pragnął, że często o tym marzył: chciał mieć ostatnią szansę, żeby pokazać, że potrafi zapomnieć o swoich lękach i zrobić to, co trzeba. Wreszcie jego wielka szansa nadeszła.

Rolls-royce przejechał obok nich, opony chrzęściły na żwirze. Zdawało się, że zwolnić, gdy ich mijają, niespełna pięć metrów dalej, jakby kierowca ich dostrzegł i na nich spoglądał. Ale samochód się nie zatrzymał, jechał dalej niespiesznie.

- Druga część? - wysapał Lou, czując w gardle przyspieszony, bolesny puls. Chryste, miał nadzieję, że nie dostanie udaru, zanim to wszystko się skończy.

- Co? - zapytała Vic, obserwując samochód.

- Jaka jest druga część planu?

- Och... - mruknęła, szybko chwyciła kajdanki i zamknęła bransoletkę na pniu brzozy. - Druga część jest taka, że

zostajesz tutaj.

W lesie

Na słodkiej, okrągłej, zarośniętej twarzy Lou malowała się mina dziecka, które właśnie zobaczyło, jak samochód rozjeżdża jego ulubioną zabawkę. Łzy zabłyśły w jego oczach, jaśniejąc w ciemności. Vic zasmuciło, że jest bliski płaczu, zaskoczony i rozczarowany, ale szcęk zatrzasowanych kajdanek - ostry, czysty, niosący się w lodowatym powietrzu - był dźwiękiem ostatecznej decyzji, dokonanego i nieodwracalnego wyboru.

- Lou - szepnęła i przyłożyła rękę do jego policzka. - Lou, nie płacz. Wszystko w porządku.

- Nie chcę, żebyś szła sama. Chciałem być tu dla ciebie. Powiedziałem, że będę dla ciebie.

- Jesteś. Wciąż będziesz. Jesteś ze mną, gdziekolwiek idę. Stanowisz część mojego wewnętrznego pejzażu. - Pocałowała go w usta, czując smak łez, ale nie wiedziała, czyje to łzy, jej czy jego. Odsunęła się i dodała: - W taki czy inny sposób Wayne tej nocy powróci i jeśli mnie z nim nie będzie, będzie potrzebować ciebie.

Zamrugął szybko, płacząc bez wstydu. Nie szarpał kajdanek. Brzoza była gruba, wysoka prawie na dziesięć metrów. Bransoletka kajdanek ledwo obejmowała pień. Lou patrzył na Vic z żalem i oszołomieniem. Otworzył usta, ale zabrakło mu słów.

Upiór podjechał do zgliszcz i zatrzymał się przy samotnej stojącej ścianie, z włączonym silnikiem. Vic spojrzała w tamtą stronę. Z dali płynął śpiew Burla Ivesa.

- Nie rozumiem - powiedział Lou.

Sięgnęła do papierowej opaski na jego nadgarstku. Założono mu ją w szpitalu, zwróciła na nią uwagę w domu swojego ojca.

- Co to jest, Lou? - zapytała.

- To? - mruknął i ni to się zaśmiał, ni to zaszlochał. - Znowu zemdląłem. Nic takiego.

- Nie wierzę ci. Niedawno straciłam ojca. Nie mogę stracić też ciebie. Jeśli sądzisz, że będę narażać twoje życie bardziej niż do tej pory, to jesteś bardziej obłąkany niż ja. Wayne potrzebuje taty.

- Potrzebuje też matki - zaznaczył. - I ja cię potrzebuję.

Vic się uśmiechnęła - tym swoim starym uśmiechem, nieco zawadiackim, nieco drapieżnym.

- Żadnych obietnic - oznajmiła. - Jesteś najlepszy, Lou Carmody. Jesteś nie tylko dobrym człowiekiem. Jesteś autentycznym, najprawdziwszym bohaterem. I nie chodzi o to, że zabrałeś mnie na swój motocykl i wywiozłeś z tego miejsca. To była łatwizna. Chodzi mi o to, że każdego dnia byłeś dla Wayne'a. Przygotowywałeś mu drugie śniadanie do szkoły, chodziłeś z nim do dentysty i czytałeś mu wieczorami. Kocham cię, panie.

Znowu spojrzała na drogę. Manx wysiadł z samochodu. Przeszedł przez snopy reflektorów i po raz pierwszy od czterech dni mogła mu się dobrze przyjrzeć. Włosy miał czarne i lśniące, zaczesane od wielkiej wypukłości czoła. Wyglądał tak, jakby miał trzydzieści lat. W jednej ręce trzymał swój duży srebrny młotek, a w drugiej ścisnął coś małego. Wyszedł ze światła między drzewa, na krótko znikając w cieniu.

- Muszę iść - oświadczyła zdecydowanie. Pochyliła się i pocałowała Lou w policzek.

Chciał ją objąć, ale się wysmyknęła i podeszła do triumpha. Zmierzyła motocykl wzrokiem. W baku było wgniecenie wielkości pięści i jedna rura wisiała luźno, wyglądało na to, że będzie się wlec po ziemi. Ale motor zapali. Vic czuła, że na nią czeka.

Manx wyszedł z lasu i stanął między tylnymi światłami Upiora. Miała wrażenie, że patrzy prosto na nią, choć wydawało się niemożliwe, żeby ją widział w ciemności i padającym śniegu.

- Halo! - zawołał. - Jesteś z nami, Victorio? Jesteś tu ze swoją wredną maszyną?

- Puść go, Charlie! - krzyknęła. - Puść go, jeśli chcesz żyć! Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów widziała, że Manx uśmiecha się do niej promiennie.

- Chyba już wiesz, że niełatwo mnie zabić! Ale chodź tutaj, Victorio! Jedź za mną do Gwiazdkowej Krainy! Chodźmy do Gwiazdkowej Krainy i zakończmy tę sprawę! Syn ucieszy się na twój widok!

Nie czekając na odpowiedź, wsiadł za kierownicę Upiora. Tylne światła pojaśniały i samochód ruszył.

- Jezu, Vic - jęknął Lou. - O Jezu... To błąd. On na ciebie czeka. Musi być jakiś inny sposób. Nie rób tego. Nie jedź za nim. Zostań ze mną, a znajdziemy inny sposób.

- Pora jechać, Lou - powiedziała. - Wypatruj Wayne'a. Niedługo będziecie razem.

Przerzuciła nogę przez siodełko i przekręciła kluczyk w stacyjce. Reflektor zamigotał i zgasł. Vic trzęsa się w krótkich spodenkach i tenisówkach. Nacisnęła piętą na pedał rozrusznika. Motor kaszlnął i zamruczał. Skoczyła jeszcze raz i usłyszała apatyczne pierdnięcie.

- Śmiało, skarbie - szepnęła. - Ostatnia przejażdżka. Sprowadźmy naszego chłopca do domu.

Wstała, żeby naskoczyć na dźwignię całym ciężarem ciała. Śnieg osiadał na delikatnych włoskach na jej ramionach. Skoczyła. Triumph z rykiem zbudził się do życia.

- Vic! - zawołał Lou

Nie mogła na niego spojrzeć. Gdyby to zrobiła i zobaczyła, że Lou płacze, chciałyby go objąć i być może opuściłyby ją odwaga. Wrzuciła bieg.

- Vic!

Na pierwszym biegu dodała gazu, wjeżdżając na strome, krótkie zbocze skarpy. Tylne opony sunęły zygzakiem po śliskiej od śniegu trawie. Vic musiała postawić stopę na ziemi i przepchać motocykl przez garb.

Straciła Upiora z oczu. Samochód okrążył zgliszcza starego domku myśliwskiego i zniknął w luce między drzewami po

drugiej stronie. Wrzuciła drugi bieg, potem trzeci, przyspieszając, żeby go dopędzić. Kamienie strzelały spod kół. Motocykl wydawał się rozkołysany i niepewny na żwirze pokrytym warstwą śniegu.

Za ruiną wjechała w wysoką trawę, a potem na dukt wśród jodeł, taki wąski, że Upiór ledwo się na nim mieścił. W zasadzie była to tylko podwójna linia wąskich kolein, między którymi rósł gąszcz paproci.

Konary sosen pochylały się nad nią, tworząc niski, ciemny, ciasny korytarz. Upiór zwolnił, pozwalając się dopędzić, i dzieliło ich tylko pięć metrów. Vic jechała za jego tylnymi światłami, widząc tablicę NOS4A2. Lodowate powietrze przenikało przez jej cienką koszulkę, napełniało płuca surowym, zamarznętym tchnieniem.

Drzewa zaczęły się odsuwać po obu stronach, okalając zasłaną kamieniami polanę. Przed nimi wznosił się kamienny mur ze starym ceglany tunelem, ledwo dość szerokim, żeby Upiór się zmieścił. To jego most, pomyślała. Obok wejścia do tunelu do muru była przyśrubowana biała metalowa tablica. **PARK JEST OTWARTY CODZIENNIE PRZEZ CAŁY ROK! PRZYGOTUJCIE SIĘ NA KRZYK HIP, HIP, ŚNIEG-RA, DZIECIAKI!**

Upiór wśliznął się do tunelu. Głos Burla Ivesa budził echa w głębi wyłożonego cegłami przejazdu – korytarza, który, jak Vic wierzyła, nie istniał dziesięć minut temu.

Wjechała za nim. Prawa rura wlokła się po bruku, krzesząc iskry. Dudnienie silnika odbijało się echem w otoczonej kamieniami przestrzeni.

Upiór wyjechał po drugiej stronie. Vic sunęła blisko za nim. Z rykiem wypadła z ciemności, przejechała przez otwartą bramę z cukrowych laseczek, obok stojących na straży trzymetrowych dziadków do orzechów, i wreszcie znalazła się w Gwiazdkowej Krainie.

**TRIUMF
WIECZNA WIGILIA
BOŻEGO NARODZENIA**



Gwiazdkowa Kraina

Upiór prowadził ją wzdłuż głównego bulwaru, Alei Żelkowej. W trakcie jazdy Charlie Manx miarowo naciskał klakson: da-da-da, da-da-da, charakterystyczne pierwsze takty *Jingle Bells*.

Vic jechała za nim, dygocząc z zimna, starając się nie szczekać zębami. Kiedy zerwał się wiatr, przenikał przez jej koszulkę - równie dobrze mogłaby być naga - a drobiny śniegu cięły jej skórę jak okruchy szkła.

Opony niepewnie trzymały się bruku śliskiego od śniegu. Aleja Żelkowa, ciemna i pusta, biegła przez środek wymarłego dziewiętnastowiecznego miasteczka. Vic widziała stare żelazne latarnie, wąskie kamieniczki ze spadzistymi dachami i wykuszami, ciemne okna i cofnięte wejścia.

Tyle że gdy Upiór się toczył, latarnie gazowe rozbłyskiwały, błękitne płomyki mrugały w oszronionych kloszach. Za oknami sklepów zapalały się lampy naftowe, oświetlając ekscentryczne wystawy. Vic przejechała na dudniącym motocyklu obok sklepu ze słodczymi. W witrynie wystawione były czekoladowe sanki, czekoladowe renifery, duża czekoladowa mucha i czekoladowe niemowlę z czekoladową głową kozy. Minęła sklep Punch i Judy z drewnianymi lalkami wiszącymi w oknie. Dziewczynka w błękitnej krynolinie podnosiła do twarzy drewniane ręce, miała usta otwarte w idealnym kółku zaskoczenia. Chłopiec w krótkich spodenkach trzymał siekiere czerwona od krwi. U jego stóp leżała kolekcja odciętych głów i rąk.

Za małym rynkiem leżało wesołe miasteczko, równie wymarłe i ciemne jak główna ulica, zanim na nią wjechali. Vic zobaczyła kolejkę górską, piętrzącą się w nocy jak szkielet jakiegoś prehistorycznego stworzenia. Zobaczyła wielkie czarne koło diabelskiego młyna. Dalej wznosiła się góra, niemal pionowa ściana pokryta tysiącami ton śniegu.

A jednak to wielka przestrzeń powyżej przyciągnęła i przykuła jej uwagę. Połowę nocnego nieba zasnuwała ławica srebrnych chmur, z których prószyły delikatne, duże płatki śniegu. Reszta nieba była bezchmurna, zatoka ciemności i gwiazd z wiszącym pośrodku medalionem...

Ogromnym srebrnym półksiężycem z ludzką twarzą.

Miał wykrzywione usta, haczykowany nos i wielkie oko. Księżyc drzemał, wielkie oko było zamknięte. Jego niebieskie wargi drżały, gdy chrapał głośno jak startujący boeing 747. Jego oddech wprawiał chmury w drżenie. Z profilu księżyc nad Gwiazdkową Krainą przypominał samego Charliego Manxa.

Vic przez wiele lat była obłąkana, ale w tym czasie ani razu nie przyśniło jej się nic takiego. Gdyby na drodze była jakaś przeszkoda, z pewnością by na nią wpadła; minęło blisko dziesięć sekund, zanim oderwała wzrok od księżycy.

Skłoniło ją do tego mignięcie ruchu na skraju pola widzenia.

W cienistej uliczce między Sklepem z Zegarami i Pijalnią Grzanego Wina Pana Manxa stało dziecko. Zegary zaczęły chodzić, kiedy Upiór je minął, tykały, cykały, terkotały i dzwoniły. Chwilę później lśniące miedziane ustrojstwo w oknie pijalni zaczęło sapać, pufać i wyrzucać kłęby pary.

Dziecko miało wyliniały futrzany płaszcz i długie, potargane włosy, więc Vic pomyślała, że to dziewczynka, ale bez stuprocentowej pewności. Zwróciła uwagę na kościste palce z długimi, żółtymi paznokciami. Twarz dziecka była gładka, biała, z delikatnym czarnym żyłkowaniem pod skórą, wskutek czego przypominała emaliowaną maskę pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Dziecko – to coś – patrzyło na nią bez słowa, gdy przejeżdżała. Oczy połyskiwały czerwienią, jak lisie ślepie, odbijając blask przemysłowych reflektorów.

Vic wykręciła głowę, żeby jeszcze raz spojrzeć na dziecko. Zobaczyła troje innych dzieci wyłaniających się z uliczki. Zdawało się, że jedno z nich trzyma kosę. Dwoje nie miało butów. Chodziły boso po śniegu.

Paskudnie, pomyślała. Już jesteś otoczona.

Spojrzała przed siebie i zobaczyła rondo, pośrodku którego stała największa choinka, jaką kiedykolwiek widziała. Miała około czterdziestu metrów wysokości, a gdyby została ścięta, na pniu zmieściłby się niewielki dom.

Od ogromnego ronda odchodziły dwie inne drogi, a

pozostałą część kręgu otaczał wysoki do pasa mur, za którym było... Było tak, jakby świat się tam kończył, opadając w bezkresną noc. Vic miała dobry widok, gdy przejechała za wraithem połowę kręgu. Powierzchnia muru lśniła od świeżego śniegu. Za nim rozciągała się oleista ciemność usiana gwiazdami: gwiazdami tworzącymi zamarzniete strumienie i impresjonistyczne wiry. Były tysiące razy bardziej żywe, ale w każdym calu równie sztuczne jak niebo, które Vic rysowała w swoich książkach o Wyszukiwarce. Tam świat się kończył: patrzyła na zimne, niezgłębione granice wyobraźni Charliego Manxa.

Bez żadnego ostrzeżenia zapłonęła wielka choinka i tysiąc elektrycznych lampek oświetliło zgromadzone wokół niej dzieci.

Kilkoro siedziało na najniższych gałęziach, ale większość – może trzydziestka – stała pod choinką w koszulach nocnych, futrach i sukniach balowych sprzed pięćdziesięciu lat, w futrzanych czapkach z ogonami, w kombinezonach i mundurach policyjnych. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że wszystkie noszą delikatne maski z białego szkła, z ustami zbyt pełnymi i zbyt czerwonymi, zastygłymi w uśmiechach, z dołeczkami na policzkach. Przy bliższym spojrzeniu maski przemieniały się w twarze. Delikatne pęknięcia w tych twarzach były żyłami widocznymi przez przejrzystą skórę; usta rozciągnięte w nienaturalnych uśmiechach były pełne maleńkich, spiczastych zębów. Dzieci przypominały Vic zabytkowe chińskie lalki. Dzieci Manxa wcale nie były dziećmi. Patrzyła na zimne, zębate lalki.

Jeden chłopiec siedział na gałęzi i trzymał ząbkowany nóż myśliwski, długi jak jego przedramię.

Mała dziewczynka kołysała łańcuchem z hakiem na końcu.

Trzecie dziecko – chłopiec albo dziewczynka, Vic nie mogła poznać – dzierżyło tasak i nosiło naszyjnik z zakrwawionych palców.

Vic podjechała już dość blisko, żeby zobaczyć ozdoby dekorujące choinkę. Powietrze uciekło jej z płuc w twardym, szokowanym wydechu. Na choince wisały głowy

obciążnięte pomarszczoną skórą, poczerniałe, ale nie zepsute, częściowo zakonserwowane przez zimno. Każda twarz miała dziury w miejscu, gdzie kiedyś znajdowały się oczy. Usta rozdziawiały się w bezgłośnym krzyku. Jedna odcięta głowa – mężczyzny o pociągłej twarzy z jasną kocią bródką – miała okulary, zielone szkła w nabitej kryształami oprawce w kształcie serca. Widać było tylko twarze dorosłych.

Upiór skręcił i zatrzymał się, blokując drogę. Vic wrzuciła pierwszy bieg, nacisnęła hamulec i też się zatrzymała, dziesięć metrów od niego.

Dzieci wyległy spod choinki, większość ruszyła w stronę Upiora, ale niektóre ustawiły się w półkolu za jej plecami, tworząc ludzką barykadę.

Albo nieludzką, jak mogło być w tym wypadku.

– Puść go, Manx! – krzyknęła Vic. Przebiegały ją dreszcze zimna i strachu, a zapanowanie nad nogami wymagało całej siły woli. Nie miała na czym zatrzymać wzroku, wszystko wokół budziło grozę. Drzewo było obwieszane głowami nieszczęśników, którzy mieli pecha znaleźć drogę do Gwiazdkowej Krainy. Otaczały ją martwe lalki z martwymi oczami i martwymi uśmiechami.

Drzwi Upiora się otworzyły i Charlie Manx wysiadł.

Kiedy się wyprostował, włożył na głowę kapelusz – Vic zobaczyła, że to fedora Maggie. Poprawił rondo, lekko je przekrzywił. Wyglądał młodziej niż ona i był prawie przystojny, z wysoko zarysowanymi kośćmi policzkowymi i ostrym podbródkiem. Wciąż brakowało mu kawałka lewego ucha, ale blizna zrobiła się różowa, lśniąca i gładka. Wystające górne zęby zachodziły na dolną wargę, co nadawało jego twarzy charakterystyczny głupkowaty wyraz. W ręce trzymał srebrny młotek i kołysał nim leniwie, wahadło zegara odmierzającego chwile w miejscu, w którym czas nie miał znaczenia.

Księżyc chrapnął. Ziemia się zatrzęsła.

Manx uśmiechnął się do Vic i uchylił kapelusza na znak pozdrowienia, ale zaraz potem się odwrócił, żeby spojrzeć na

dzieci, które szły ku niemu spod gałęzi swojej nieprawdopodobnej choinki. Długie poły płaszczka okręciły się wokół jego nóg.

- Witajcie, maleństwa - powiedział. - Tęskniłem za wami, bardzo mi was brakowało! Zapalmy trochę światła, żebym mógł się wam przyjrzeć.

Wolną ręką pociągnął wyimaginowany sznur wiszący w powietrzu.

Kolejka górską zapłonęła, splątany szlak niebieskich światel. Diabelski młyn rozbłysnął. Gdzieś w pobliżu zaczęła obracać się karuzela i z niewidzialnych głośników popłynęła muzyka. Eartha Kitt śpiewała brudno-słodkim, wstętnie miłym głosem. Mówiła Mikołajowi, że była bardzo grzeczna, ale jej ton sugerował coś zupełnie innego.

W jasnych światłach wesołego miasteczka Vic mogła zobaczyć, że ubrania dzieci są pobrudzone i zakrwawione. Widziała, jak mała dziewczynka biegnie do Manxa z otwartymi ramionami. Miała krwawe ślady rąk na złachmanionej koszuli nocnej. Przypadła do Charliego Manxa i objęła jego nogę. Położył rękę na jej głowie, przytulił ją do siebie.

- Och, mała Lorrie - powiedział do niej. Druga, nieco wyższa dziewczynka z długimi prostymi włosami podbiegła i objęła go z drugiej strony. - Moja słodka Millie.

Wyższa dziewczynka nosiła czerwono-niebieski mundur Dziadka do Orzechów, z bandoletami skrzyżowanymi na wątlej piersi. Miała nóż wetknięty za złoty pas, nagie wypolerowane ostrze lśniło niczym tafla górskiego jeziora.

Charlie Manx się wyprostował, ale nie przestał obejmować dziewczynek. Popatrzył na Vic, jego napięta twarz promieniała czymś, co mogło być dumą.

- Wszystko, co zrobiłem, Victorio, to dla moich dzieci - powiedział. - W tym miejscu nie znajdziesz smutku, nie znajdziesz poczucia winy. Tutaj codziennie jest Boże Narodzenie, na wieki wieków. Codziennie jest kakao i prezenty. Spójrz, co podarowałem moim córkom, ciało z mojego ciała, krew z mojej krwi! Spójrz, co podarowałem

wszystkim tym szczęśliwym, idealnym dzieciom! Czy naprawdę dałaś synowi coś lepszego? Kiedykolwiek?

- Jest ładna - powiedział chłopiec za plecami Vic, mały chłopiec o cichym głosie. - Jest piękna jak moja mama.

- Ciekawe, jak będzie wyglądać bez nosa - odezwał się drugi i zaśmiał bez tchu.

- Co możesz dać Wayne'owi poza nieszczęściem, Victorio? - zapytał Charlie Manx. - Czy możesz podarować mu jego własne gwiazdy, jego własny księżyc, kolejkę górską, która codziennie się przebudowuje, tworząc nowe zjazdy i pętle, sklep z czekoladą, w którym nigdy nie brakuje czekolady? Przyjaciół i zabawy, i wolność od choroby, wolność od śmierci?

- Nie przyszłam się targować, Charlie! - krzyknęła Vic. Miała kłopot, żeby zatrzymać na nim spojrzenie. Wciąż zerknęła z boku na bok i walczyła z impulsem, który jej nakazywał obejrzeć się za siebie. Wyczuwała, że dzieci podkradają się do niej ze swoimi łańcuchami, toporkami, nożami i naszyjnikami z odciętych kciuków. - Przyszłam cię zabić. Jeśli nie oddasz mi mojego syna, wszystko to diabli wezmą. Ciebie i twoje dzieci, i całą tę głupkowaną fantazję. Ostatnia szansa.

- Jest prześliczna - odezwał się mały chłopiec o cichym głosie. - Ma piękne oczy. Ma oczy jak moja mama.

- Dobra - powiedział drugi chłopiec. - Możesz zabrać jej oczy, ale ja wezmę nos.

Z ciemności pod drzewami napłynął obłąkańczy, histeryczny śpiew:

*W Gwiazdkowej Krainie ulepimy Bałwanę
i będziemy udawać, że jest głupim klaunem!
Będziemy się bawić z Panią Bałwankową,
aż w końcu zapłaci za zabawę głową!*

Mały chłopiec zachichotał.

Pozostałe dzieci milczały. Vic nigdy nie słyszała straszliwszej ciszy.

Manx podniósł mały palec do ust: afektowany gest namysłu. Po chwili opuścił rękę.

- Nie sądzisz - zaczął - że powinniśmy zapytać Wayne'a, czego on chce? - Pochylił się i szepnął coś do wyższej dziewczynki.

Dziewczynka w mundurze Dziadka do Orzechów - Millie, pomyślała Vic - podreptała boso do Upiora.

Vic usłyszała szuranie po lewej stronie, odwróciła głowę i zobaczyła dziecko niespełna dwa metry dalej. Była to pulchna dziewczynka w skołtunionym białym futerku, rozpiętym, więc było widać, że nie ma pod nim niczego z wyjątkiem brudnych majtek Wonder Woman. Kiedy Vic na nią spojrzała, dziewczynka zastygła w bezruchu, jakby bawiły się w jakąś obłąkańczą zabawę „raz, dwa, trzy, czarownica patrzy”. Mała trzymała toporek. W jej otwartych ustach Vic widziała gniazdo ostrych zębów. Dostrzegła trzy odrębne rzędy sięgające w głąb gardła.

Spojrzała na samochód, gdy Millie otworzyła tylne drzwi.

Przez chwilę nic się nie działo. Za otwartymi drzwiami panowała aksamitna ciemność.

Nagle Wayne jedną ręką chwycił krawędź drzwi, wystawił nogę. Zsunął się z kanapy i stanął na bruku.

Otwierał usta ze zdumienia, patrząc na światła, na noc. Był czysty i piękny, z ciemnymi włosami odgarniętymi ze straszliwie białego czoła, z czerwonymi ustami rozchyłonymi w zdumionym uśmiechu...

I Vic zobaczyła zęby, rzędy drobnych, spiczastych, kościanych ostrzy. Jak u wszystkich innych dzieci.

- Wayne... - powiedziała. Jej głos był zduszonym szlochem.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią z pełnym radości zdumieniem.

- Mamo! - krzyknął. - Hej, mamó, czy to nie jest niewiarygodne? To prawdziwe! Naprawdę prawdziwe!

Patrzył na kamienny mur, na niebo, na wielki niski księżyc ze śpiącą srebrną twarzą. Na jego widok wybuchnął śmiechem. Vic nie pamiętała, kiedy ostatni raz śmiał się tak swobodnie, tak radośnie.

- Mamo! Księżyc ma twarz!

- Chodź tutaj, Wayne. W tej chwili. Musimy jechać.

Spojrzał na nią, między jego ciemnymi brwiami pojawiły się kreski konsternacji.

- Dlaczego? - zapytał. - Przecież dopiero co przyjechaliśmy.

Millie objęła go w talii, przytuliła się do niego jak do kochanka. Drgnął, patrząc na nią z zaskoczeniem, ale zaraz potem znieruchomiał. Millie szeptała mu coś do ucha. Była nieziemsko piękna, z wysoko zarysowanymi kośćmi policzkowymi, pełnymi wargami i zapadniętymi skroniami. Wayne słuchał pilnie, szeroko otwierając oczy - i nagle rozchylił usta, ukazując jeszcze więcej haczykowatych zębów.

- No nie! Żartujesz! - Ze zdumieniem popatrzył na mamę.

- Ona mówi, że nie możemy jechać! Nigdzie nie możemy jechać, bo muszę rozpakować mój świąteczny prezent!

Dziewczynka znowu się pochyliła i zaczęła gorączkowo szeptać mu do ucha.

- Odsuń się od niej, Wayne - powiedziała Vic. Grubaska w białym futerku przysunęła się o parę kroków, niemal na tyle blisko, żeby wbić toporek w jej nogę. Vic słyszała za plecami kroki innych dzieci, zbliżających się innych dzieci.

Wayne obrzucił dziewczynkę zaintrygowanym, ukradkowym spojrzeniem i z zadumą ściągnął brwi

- Jasne, że możesz rozpakować mój prezent - powiedział. - Wszyscy mogą pomóc! Gdzie on jest? Chodźmy po niego, zaraz będziesz mogła rozedrzeć opakowanie.

Dziewczynka wyjęła nóż i wskazała szpicem na Vic.

Pod wielką choinką

- Co przed chwilą powiedziałaś, Victorio? - zapytał Manx. - Ostatnia szansa? Sądzę, że to twoja ostatnia szansa. Ja

zawróciłbym ten motocykl, póki jeszcze można.

- Wayne! - zawołała Vic, nie zwracając uwagi na Manxa i patrząc synowi prosto w oczy. - Słuchaj, czy nadal myślisz wspak, jak kazała ci twoja babcia? Powiedz mi, czy wciąż myślisz wspak.

Patrzył na nią pustym wzrokiem, jakby zadała mu pytanie w jakimś obcym języku. Usta miał rozchylone. Po chwili powoli powiedział:

- .mamo ,próbuję ale ,trudne To Manx się uśmiechnął, ściągając górną wargę, odsłaniając krzywe zęby. Vic pomyślała, że dostrzegła cień irytacji na jego wychudłej twarzy.

- Co to za błazeństwa? Czy ty w coś grasz, Wayne? Bo popieram wszelkie zabawy... pod warunkiem że nie jestem z nich wykluczony. Co przed chwilą powiedziałeś?

- Nic - odparł Wayne tonem, który sugerował, że naprawdę tak uważa, że jest równie skonsternowany jak Manx. - O co chodzi? Jak brzmiało to, co powiedziałem?

- On powiedział, że jest mój, Manx - oznajmiła Vic. - Powiedział, że nie możesz go mieć.

- Przecież już go mam, Victorio - zapewnił Manx. - Mam go i nie puszczę.

Vic zsunęła plecak z ramienia na kolana. Otworzyła torbę, wsunęła do niej rękę, wyjęła jeden z twardych foliowych worków ANFO.

- W takim razie proszę bardzo, Boże Narodzenie się skończy, kurwa, dla każdego z was. Rozpierdolę to miejsce w drobny mak.

Manx trącił kciukiem rondo kapelusza.

- Jej, jak ty się wyrażasz! Zawsze mnie raziło takie słownictwo u młodych kobiet. Zawsze uważałem, że przeklinająca dziewczyna to najgorszego rodzaju śmieć!

Grubaska w futrzanym płaszczu szurnęła nogą, przesuając się o pół kroku. Jej oczy, osadzone głęboko w fałdach tłuszczu, błysnęły czerwienią. Vic pomyślała o wściekliwości. Lekko dodała gazu i przejechała kawałek do przodu. Chciała zwiększyć odległość między sobą i dziećmi

za plecami. Przewróciła worek ANFO, znalazła zegar, nastawiła go na pięć minut, wcisnęła guzik, żeby zaczął odmierzać czas. Spodziewała się, że lada chwila ujrzy oślepiający błysk białego światła, które unicestwi świat. Mimo woli napięła mięśnie, przygotowując się na ostatni rozdzierający wybuch bólu. Nic takiego się nie stało. W ogóle nic się nie stało. Vic nawet nie była pewna, czy zegar chodzi. Nie wydawał dźwięku.

Podniosła foliową paczkę ANFO nad głowę.

- W tym worku jest zasrany mały zegar, Manx. Myślę, że ładunek wybuchnie za jakieś trzy minuty, ale mogę się mylić o minutę w tę albo w drugą stronę. W plecaku mam tego więcej. Poślij Wayne'a do mnie, natychmiast. Kiedy wsiądzie na motor, wyłączę zegar.

- A co tam masz? Wygląda jak poduszeczka, jakie dają w samolocie. Kiedyś leciałem z St. Louis do Baton Rouge. Nigdy więcej tego nie zrobię! Miałem szczęście, że przeżyłem. Samolot podskakiwał przez całą drogę, jakby był na sznurku i Bóg grał nami w jo-jo.

- To worek gówna - powiedziała Vic. - Jak ty.

- To... Co powiedziałaś?

- To ANFO. Wzbogacony nawóz. Nasącz to gówno olejem napędowym, a otrzymasz potężny materiał wybuchowy dorównujący skrzynce TNT. McVeigh paroma takimi workami zniszczył dwunastopiętrowy budynek federalny. Ja mogę zrobić to samo z całym tym twoim światkiem i wszystkim, co tu się znajduje.

Nawet z odległości dziesięciu metrów Vic mogła poznać, że Manx kalkuluje, przemyśliwując jej słowa. Nagle uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie wierzę, że to zrobisz. Nie wysadzisz w powietrze siebie i swojego syna. Musiałabyś być wariatką.

- Człowieku... Dopiero do tego doszedłeś?

Temperatura jego uśmiechu spadła o kilka stopni. Przymknął powieki, jego oczy stały się matowe i pełne rozczarowania.

Otworzył usta i wrzasnął, a kiedy to zrobił, księżyc

otworzył swoje jedyne oko i wrzasnął razem z nim.

Oko księżycyca było nabiegłe krwią i wytrzeszczone, worek ropy z pływającą w niej tęczę. Jego usta były poszarpanym rozdarciem w tkaninie nocy. Jego głos był głosem Manxa, tak bardzo wzmocnionym, że prawie ogłuszał.

BRAĆ JĄ! ZABIĆ! PRZYSZŁA TUTAJ,
ŻEBY ZAKOŃCZYĆ BOŻE NARODZENIE! ZABIĆ JĄ,
NATYCHMIAST!

Skalna półka, na której leżała Gwiazdkowa Kraina, gwałtownie zadygotała. Gałęzie kolosalnej choinki zatrzepotały w ciemności. Vic puściła hamulec i triumph skoczył do przodu o piętnaście centymetrów. Plecak pełen ANFO zsunął się z jej kolan i upadł na bruk.

Budynki drżały pod wpływem wrzasku księżycyca. Vic nigdy dotąd nie przeżyła trzęsienia ziemi i dech jej zapało. Jej przerażenie było nieme, nieubrane w słowa, istniejące gdzieś poniżej poziomu świadomych myśli, poniżej poziomu języka. Księżyc zaczął wrzeszczeć - tylko wrzeszczeć - nieartykułowany ryk furii sprawiał, że padający śnieg wirował i kłębił się szaleńczo.

Gruba dziewczynka zrobiła krok i rzuciła w nią toporkiem, jak Apacz tomahawkami na Dzikim Zachodzie. Tępy skraj ciężkiego obucha uderzył ją w ranne lewe kolano. Ból był niewyobrażalny.

Vic ponownie puściła hamulec i triumph znowu skoczył. Plecak nie został, włókł się za motocyklem. Szelka zahaczyła o tylny podnózek, który Lou opuścił, kiedy wskoczyła na siodło. Lou Carmody, jak zawsze, okazał się ostatnią deską ratunku. Dzięki niemu wciąż miała ANFO, chociaż plecak znajdował się poza zasięgiem.

ANFO. Nawet w tej chwili trzymała jedną paczkę, przyciśniętą do piersi lewą ręką, z prawdopodobnie tykającym zegarem. Nie znaczy to, że naprawdę tykał albo wydawał jakiś inny dźwięk świadczący, że działa.

Rozwał coś, pomyślała. To mu pokaże, jak wielkie zniszczenia możesz spowodować.

Runęła na nią fala dzieci. Wyskakiwały spod choinki, wylegając na bruk. Słyszała za plecami miękkie plaskanie stóp. Znalazła wzrokiem Wayne'a i zobaczyła, że wciąż go trzyma ta wysoka dziewczynka. Stali obok Upiora, ona za nim, delikatnie obejmując jego pierś ramieniem. W drugiej ręce trzymała zakrzywiony nóż, którym, jak Vic przeczuwała, zaszlachtuje jej syna, zanim go puści.

W następnej chwili jedno z dzieci odbiło się od ziemi i rzuciło na nią. Vic przekręciła manetkę. Triumph wystartował, dziecko chybiło celu i padło brzuchem na drogę. Plecak pełen ANFO ślizgał się i podskakiwał na zaśnieżonych kocich łbach, wleczony przez tylny podnózek.

Vic pędziła prosto na rolls-royce'a, jakby zamierzała się z nim zderzyć. Manx chwycił małą dziewczynkę – Lorrie? – i cofnął się w kierunku otwartych drzwi, w ochronnym geście każdego ojca. Wtedy Vic wszystko zrozumiała. Po tym geście poznała, że czymkolwiek stały się te dzieci, cokolwiek on im zrobił, uczynił to dla ich bezpieczeństwa, żeby je uchronić przed zagrożeniami świata. Całym sercem wierzył w swoją prawość. Vic przypuszczała, że podobnie rzecz się ma z każdym potworem w ludzkiej skórze.

Nacisnęła hamulec, zgrzytając zębami w obronie przed kłującym, dojmującym bólem w lewym kolanie, i przekręciła kierownicę. Motor zrobił zwrot prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Za nią drogą biegła gromada dzieci, a były ich dziesiątki. Dodała gazu i triumph ruszył na nie z rykiem, i prawie wszystkie rozproszyły się jak suche liście podczas huraganu.

Jedna wiotka dziewczynka w różowej koszulce nocnej przykucnęła i nie ruszyła się z miejsca. Vic chciała ją rozjechać, rozjechać, kurwa, na placek, ale w ostatniej chwili skręciła, próbując ją ominąć. Nie mogła temu zaradzić, nie mogła się zdobyć na to, żeby przejechać dziecko.

Motor zachybotał się niebezpiecznie na śliskich kamieniach i wytracił prędkość. Dziewczynka nagle znalazła

się na nim. Jej szpony - naprawdę miała szponiaste ręce starej wiedźmy z długimi, poszarpanymi paznokciami - złapały Vic za nogę i mała wciągnęła się na siodełko.

Z jej gardła płynęły stłumione, warkliwe dźwięki, jakby była psem. Jedną ręką chwyciła Vic w talii. Vic o mało nie krzyknęła, czując jej zimno, tak wielkie zimno, że parzyło.

W drugiej ręce dziewczynka trzymała łańcuch, który uniosła i spuściła na jej lewe kolano, jak gdyby skądś dokładnie wiedziała, co najbardziej zaboli. Pod rzepką kolanową wypalił fajerwerk i Vic zaszłochała, dźgając łokciem do tyłu. Łokieć uderzył w białą twarz obciążoną spękaną emaliowaną skórą.

Dziewczynka krzyknęła, wydała zduszony, załamany dźwięk. Vic się obejrzała, serce zamarło jej w piersi i natychmiast straciła panowanie nad motocyklem.

Śliczna dziewczęca buzia się zdeformowała, usta rozciągnęły się szeroko jak przyssawka gębowa przywry: poszarpana czarna dziura pełna zębów sięgających w głąb gardła. Dziewczynka otwierała usta, aż zrobiły się tak wielkie, że można by włożyć w nie pięść, a potem zacisnęła zęby na ramieniu Vic.

Było to jak muśnięcie piłą łańcuchową. Rękaw koszulki i skóra pod nim zostały podarte na krwawe strzępy.

Motocykl przechylił się na prawo, uderzył w ziemię w fontannie złotych iskier i ze zgrzytem poszorował po kamieniach. Vic nie wiedziała, czy zeskoczyła, czy spadła, miała tylko świadomość, że toczy się, koziółkuje po bruku.

SPADŁA, SPADŁA, POCIĄĆ JĄ, ZABIĆ JĄ!

wrzasnął księżyc i ziemia się pod nią zatrzęsała, jakby obok przejeżdżał dudniący konwój wielkich ciężarówek.

Vic leżała na plecach z rozrzuconymi ramionami, z głową na kamieniach. Patrzyła na srebrzyste galeony chmur żeglujące po niebie (rusz się).

Próbowała oszacować powagę obrażeń. Już wcale nie czuła lewej nogi (rusz się).

Prawe biodro było otarte i obolałe. Lekko uniosła głowę i świat zakółsał się wokół niej, powodując nagłe mdłości (rusz się, rusz się).

Zamrugła i przez chwilę niebo zapełniały nie chmury, ale śnieg zakłóceń, śnieżycą czarnych i białych drobin (RUSZ SIĘ).

Podniosła się na łokciach i popatrzyła w lewo. Triumph dowiózł ją do połowy ronda, do jednej z dróg odchodzących do lunaparku. Spojrzała nad rondem i zobaczyła dzieci – może pięćdziesięcioro – bezgłośnie biegnące ku niej przez ciemność. Za nimi wznosiło się drzewo wysokie jak dziesięciopiętrowy budynek, a dalej gdzieś był Upiór i Wayne.

Księżyc groźnie patrzył na nią z nieba, wytrzeszczając straszne, przekrwione oko.

NOŻYCZKI DLA WŁÓCZĘGI! NOŻYCZKI DLA DZIWKI!

ryknął, ale po chwili zamigotał i zniknął, obraz telewizora nastawionego na pusty kanał. Niebo stało się chaosem białego szumu. Vic nawet słyszała jego syk.

RUSZ SIĘ, pomyślała i nagle stwierdziła, że stoi, trzymając motocykl za kierownicę. Pociągnęła, krzycząc, gdyż nowa błyskawica rozdzierającego bólu przeszła lewe kolano i biodro.

Mała dziewczynka z otworem gębowym przywry została rzucona na drzwi narożnego sklepu Kostiumy Karnawałowe Charliego. Leżała pod drzwiami, kręcąc głową, na wpół zamroczona. Vic zobaczyła, że biały foliowy worek ANFO jakimś sposobem znalazł się między jej nogami.

ANFO, pomyślała – powtarzała to słowo jak mantrę – pochyliła się i chwyciła plecak wciąż zahaczony o tylny podnózek. Odczepiła go, zarzuciła na ramię i przełożyła nogę przez motocykl.

Biegnące ku niej dzieci powinny wrzeszczeć, wydawać okrzyki wojenne czy coś, ale zbliżały się w milczącym pośpiechu, wylegając z zaśnieżonego centralnego kręgu na

brukowaną ulicę. Vic nacisnęła na dźwignię rozrusznika.

Triumph zakaszłał i na tym koniec.

Skoczyła jeszcze raz. Jedna rura, złamana i leżąca na ziemi, wypuściła trochę wodnistych spalin, ale silnik wydał tylko zmęczony, zdławiony dźwięk i zgasł.

Kamień uderzył ją w tył głowy i czarny błysk eksplodował za jej oczami. Kiedy odzyskała wzrok, niebo znów było zaśniewane - przez chwilę - potem się rozmyło i przeobraziło w chmury na tle ciemności. Kopnęła starter.

Usłyszała zawrozczenie zębatek, które nie chciały zaskoczyć, zepsute.

Dotarło do niej pierwsze dziecko. Chłopiec nie miał żadnej broni - może to on rzucił kamieniem - ale rozdziawił szczęki, pokazując obsceniczną różową jamę pełną licznych rzędów drobnych zębów. Chwycił nimi jej gołą nogę. Haczykowate zęby przebiły skórę, wbiły się w mięsień.

Vic krzyknęła z bólu i kopnęła prawą nogą, strząsnęła go. Jej obcas trafił w pedał rozrusznika i silnik zamruczał. Przekręciła manetkę przyspieszenia i motocykl wystrzelił do przodu. Chłopiec stracił równowagę i upadł na kamienie.

Spojrzała przez lewe ramię, gdy pędziła boczną drogą w kierunku kolejki górskiej i reniferowej karuzeli.

Dwadzieścioro, trzydzieścioro, może czterdzieścioro dzieci biegło za nią, wiele na bosaka, bębniąc piętami po kamieniach.

Dziewczynka, która została rzucona na drzwi sklepu Kostiumy Karnawałowe Charliego, teraz siedziała. Pochyliła się, sięgnęła po biały foliowy worek ANFO leżący między jej stopami.

Nastąpił biały błysk.

Eksplozja sprawiła, że powietrze zafalowało i skręciło się z żaru. Vic przez chwilę była przekonana, że fala uderzeniowa poderwie motocykl z drogi i rzuci go w powietrze.

Wszystkie szyby na ulicy popękały. Biały błysk stał się ogromną kulą płomienia. Sklep z kostiumami zapadł się i rozsypał w lawinie płonących gruzów i śnieżycy lśniącego, sproszkowanego szkła. Ogień rzygnął na ulicę, porywając

tuzin dzieci jak suche patyki, i rzucił je w noc. Kamienie wybuchły i wzbily się w powietrze.

Księżyc otworzył usta, by krzyknąć z przerażenia, wielkie oko niemal wyskoczyło z orbity, a potem fala uderzyła w fałszywe niebo i całość się zakołysała jak odbicie w krzywym zwierciadle. Księżyc, gwiazdy i chmury rozpuściły się w białe pole elektrycznego śniegu. Wybuch poniósł się w głąb ulicy. Budynki zadygotały. Vic wciągnęła do płuc haust parzącego powietrza, dymu ze spalonego oleju napędowego i sproszkowanej cegły. W końcu huczące echa wybuchu ucichły i niebo zamigotało, pojawiając się z powrotem.

Księżyc wrzeszczał i wrzeszczał, jego ryk niemal dorównywał hukowi eksplozji.

Vic przemknęła obok gabinetu krzywych zwierciadeł oraz gabinetu figur woskowych i dotarła do jasno oświetlonej, obracającej się karuzeli, gdzie zamiast koni podskakiwały drewniane renifery. Chwyciła hamulec i gwałtownie zatrzymała motor, aż tył zarzucił. Włosy miała poskręcane od żaru wybuchu. Jej serce łomotało w piersi.

Obejrzała się na rumowisko, które przed chwilą było rynkiem. Potrzebowała chwili, żeby zarejestrować - zaakceptować to, co widzi. Dzieci kolejno wylaniały się z dymu, idąc ku niej drogą. Jedno wciąż dymiło, włosy miało zwęglone. Inne podnosiły się z drugiej strony ulicy. Vic zobaczyła chłopca pieczołowicie wytrzepującego szło z włosów. Powinien być martwy, powinien mieć połamane wszystkie kości, bo podmuch poderwał go z ziemi i rzucił na ceglany mur, ale wstawał na nogi. Vic stwierdziła, że jej zmęczony umysł nie jest tym zbyt zaskoczony. Dzieci pochwycone przez eksplozję oczywiście były martwe już przed wybuchem bomby. Teraz nie stały się bardziej martwe ani skłonne do zaprzestania pościgu.

Zdjęła plecak z ramienia i sprawdziła zawartość. Niczego nie zgubiła. Lou podłączył zegary do czterech paczek ANFO, z których jedna już zniknęła. Głębiej leżało więcej worków bez zegarów.

Vic zarzuciła plecak na ramię i przejechała kilkaset

metrów, mijając karuzelę, zmierzając na tyły parku do wielkiej kolejki górskiej.

Była czynna, wagoniki w kształcie czerwonych sań opadały i przemykały z rykiem po szynach, robiły pętle i wznosiły się w noc. Była to staroświecka kolejka górską, z rodzaju tych popularnych w latach trzydziestych, zbudowana z drewna. Wchodziło się do niej przez wielką rozjarzoną twarz Świętego Mikołaja - wchodziło się przez usta.

Vic wyciągnęła worek ANFO, nastawiła zegar na pięć minut, wrzuciła go w rozdziawione szczęki. Już miała odjechać, kiedy przypadkiem spojrzała na kolejkę i zobaczyła zmumifikowane ciała: tuziny ukrzyżowanych mężczyzn i kobiet, z pomarszczoną, poczerniałą skórą, bez oczu, w brudnych, zamrożonych łachmanach. Kobieta w różowych getrach, które niemal krzykiem oznajmiały swoje pochodzenie z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego, była rozebrana do pasa; świąteczne ozdoby zwisały z jej przekłutych piersi. Był tam skurczony mężczyzna w dżinsach i grubej kurtce, z brodą, która przywodziła na myśl Chrystusa, z wieńcem z ostrokrzewu zamiast korony cierniowej na głowie.

Vic wciąż patrzyła na trupy, kiedy z ciemności wyszło dziecko i dźgnęło ją w plecy kuchennym nożem.

Chłopiec nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat i uśmiechał się słodko i ślicznie, aż w policzkach robiły się dołeczki. Był boso, ubrany w kombinezon i kraciastą koszulę, i ze złotymi kędziorami i pogodnymi oczyma byłby idealnym małym Tomkiem Sawyerem. Nóż wniknął po rękę, zatapiając się w mięśniach i sprężystej tkance, być może przebijając jelita. Poczula ból, jakiego nigdy dotąd nie doznała, ostre i błogosławione mrowienie w trzewiach, i pomyślała z prawdziwym zaskoczeniem: Właśnie mnie zabił. Już umarłam.

Tomek Sawyer wyciągnął nóż i zaśmiał się wesoło. Jej własny syn nigdy się nie śmiał z taką beztroską radością. Nie wiedziała, skąd się wziął ten mały. Zdawało się, że po prostu się pojawił, że noc zgęstniała i utworzyła dziecko.

- Chcę się z tobą bawić - powiedział. - Zostań i zagraj w nożyczki dla włóczęgi.

Mogła go uderzyć łokciem, kopnąć, zrobić cokolwiek. Zamiast tego dodała gazu i odjechała z rykiem. Odsunął się i patrzył za nią, wciąż trzymając nóż, wilgotny i lśniący od jej krwi. Wciąż się uśmiechał, ale oczy miał zaintrygowane, czoło zmarszczone z konsternacji, jakby się zastanawiał: Czy zrobiłem coś złego?

Zegary były nieprecyzyjne. Pierwszy worek ANFO wybuchł nie po pięciu minutach, lecz prawie po dziesięciu. Vic nastawiła zegar przy kolejce saneczkowej mniej więcej tak samo i powinna mieć mnóstwo czasu, żeby odjechać na bezpieczną odległość. Ale kiedy znalazła się niespełna sto metrów dalej, nastąpił wybuch. Grunt podskoczył pod nią, przetoczył się jak fala. Miała wrażenie, że samo powietrze się gotuje. Gdy nim odetchnęła, okazało się dość gorące, żeby sparzyć jej płuca. Motor jechał chwiejnie, palący wiatr uderzał ją w ramiona, w plecy. Czowała świeże, ostre ukłucia bólu w brzuchu, jakby co chwilę była dżgana.

Kolejka górską rozsypała się jak dygocząca, rycząca sterta drewna. Jeden z wózków wypadł z szyn i pomknął w noc. Płonący pocisk zakreślił łuk i runął na karuzelę, rozbijając białe renifery na kawałki. Zgrzytnęła stal. Vic się obejrzała. Zdążyła zobaczyć wznoszącą się chmurę płomieni i czarnego dymu w kształcie grzyba, gdy kolejka się przewracała.

Odwróciła głowę i przyspieszyła, omijając dymiącą głowę drewnianego renifera i strzaskane poroże. Skręciła w kolejną boczną uliczkę, która, jak miała nadzieję, doprowadzi ją z powrotem do ronda. Miała zły smak w ustach. Splunęła krwią.

Umieram, pomyślała z zaskakującym spokojem.

Nieco zwolniła u stóp wielkiego diabelskiego młyna. Koło było piękne, tysiąc błękitnych błędnych ogników mrugało wzdłuż piętnastometrowych szprych. Obracało się sennie, unosząc kabiny wagoników z czarnymi szybami i płonącymi wewnątrz lampami gazowymi, dość przestronne, żeby pomieścić tuzin osób.

Vic wyłowiła następny worek ANFO, nastawiła zegar mniej więcej na pięć minut, i rzuciła go w górę. Pakunek zahaczył o jedną ze szprych, blisko osi. Vic pomyślała o swoim raleighu tuff burnerze, jak obracały się koła, jak kochała jesienne światło w Nowej Anglii. Nie wróci. Już nigdy nie zobaczy tego światła. Z jej ust płynęła krew. Siedziała w krwi. Od czasu do czasu czuła klucie w plecach. Tylko nie był to ból w żadnym konwencjonalnym sensie. Wiedziała, że ją boli, ale odbierała to również jak poród, doświadczenie większe niż ból, uczucie, że coś nieprawdopodobnego staje się możliwe, że niedługo zakończy jakieś ogromne przedsięwzięcie.

Jechała dalej i niebawem znalazła się na centralnym rondzie.

Sklep Kostiumy Karnawałowe Charliego - sześcian płomieni, ledwo rozpoznawalny jako budynek - stał na rogu sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów dalej. Po drugiej stronie wielkiej choinki stał rolls-royce. Vic pod gałęziami widziała blask jego wysoko umieszczonych reflektorów. Nie zwolniła, jechała prosto na choinkę. Zsunęła plecak z lewego ramienia. Sięgnęła do niego, jedną ręką trzymając kierownicę, i znalazła ostatni worek ANFO z zegarem. Przekręciła tarczę i wcisnęła guzik.

Przednia opona przeskoczyła nad niskim kamiennym krawężnikiem i Vic wjechała na oprószoną śniegiem trawę. Ciemność scalała się w postaci, dzieci stawały przed nią. Nie była pewna, czy zaatakują, ale bez wątpienia nie ustąpią z drogi i zmuszą ją do tego, żeby przez nie przejechała.

Światło wzniosło się wokół niej, wielki błysk czerwonej jasności, i przez chwilę widziała przed sobą własny cień, nieprawdopodobnie długi. Dzieci stały w poszarpanej, nierównej linii, ciemne lalki w zakrwawionych piżamach, stworzenia uzbrojone w kawałki desek, noże, młotki, nożyczki.

Świat wypełnił się rykiem i jękiem torturowanego metalu. Śnieg zaciął z ukosa i fala uderzeniowa rzuciła dzieci na ziemię. Wyrwane z obsady koło diabelskiego młyna wystrzeliło w górę w dwóch strugach płomieni i runęło na

dół. Siła uderzenia wstrząsnęła światem i niebo nad Gwiazdkową Krainą znowu przemieniło się w śnieg zakłóceń. Gałęzie ogromnej jodły historycznie darły czarną noc, olbrzym walczący o życie.

Vic przemknęła pod dziko rozkołysanymi gałęziami. Poderwała plecak z kolan, rzuciła go pod pień - jej gwiazdkowy prezent dla Charliego Talenta Manxa.

Koło diabelskiego młyna toczyło się na miasteczko z potężnym dudnieniem i zgrzytem żelaza na kamieniach. W pewnym momencie straciło pęd, jak moneta turlająca się po stole, przekrzywiło się i runęło na kilka budynków.

Za przewróconym kołem, za ruinami kolejki, ze szczytu wysokiej, ciemnej góry oberwała się ogromna półka śniegu i lawina zaczęła schodzić na Gwiazdkową Krainę. Ogłuszający ryk eksplozji i huk zawałających się budynków był niczym w porównaniu z tym dźwiękiem. Lawina uderzyła w wieże i dziwaczne sklepy na tyłach parku. Mury z kolorowej skały wystrzeliły przed nadciągającą lawiną i zostały całkowicie zasypane. Część miasta zapadła się i zniknęła w skotłowanej fali śniegu, fali przyływu dość wielkiej, żeby pochłonąć całą Gwiazdkową Krainę. Płyta skalna dygotała tak mocno, że Vic się zastanawiała, czy może oderwać się od góry i cały park osunie się w... co? W pustkę, która czekała za granicami wyobraźni Manxa. Wąskie kaniony dróg zalała błyskawiczna powódź śniegu, dość wysoka, żeby pochłaniać wszystko, co napotykała na swojej drodze. Lawina nie tyle zeszła na Gwiazdkową Krainę, ile ją skasowała.

Gdy triumph niósł ją przez rondo, w polu widzenia pojawił się Upiór. Stał pokryty delikatną warstwą ceglanego pyłu, z pracującym silnikiem i reflektorami płonącymi w powietrzu pełnym drobin, miliardów płatków popiołu, śniegu i pyłu skalnego wirującego w gorącym, roziskrzonym wietrze. Vic dostrzegła małą dziewczynkę Manxa, tę o imieniu Lorrie, na siedzeniu pasażera w samochodzie, spoglądającą przez boczne okno w nagłą ciemność. Zgasły wszystkie światła Gwiazdkowej Krainy i teraz jedynym źródłem jasności było białe, syczące niebo zakłóceń.

Wayne stał przy otwartym bagażniku, próbując wyrwać się drugiej dziewczynce, Millie. Chwytała go od tyłu, jedną ręką obejmując tors, ściskając w garści jego brudną białą koszulkę. W drugiej ręce zaciskała ten dziwnie zakrzywiony nóż. Próbowwała go podnieść, żeby poderżnąć mu gardło, ale Wayne trzymał ją za nadgarstek, kierował szpic w dół i odsuwał twarz od ostrza.

- Musisz zrobić to, czego chce tatuś! - wrzeszczała do niego. - Musisz wejść do bagażnika! Za długo stroisz fochy!

I Manx. Manx, który ledwie przed chwilą stał przy drzwiach kierowcy, wpychając do samochodu swoją ukochaną Lorrie, teraz szedł po nierównej ziemi, wymachując srebrnym młotkiem. Wyglądał jak żołnierz w swoim płaszczu legionisty zapiętym pod samą szyję. Mięśnie pęczniały po bokach jego szczęki.

- Zostaw go, Millie! Nie ma czasu! - ryknął do niej. - Zostaw go i chodźmy!

Millie wbiła haczykowate zęby w ucho Wayne'a. Chłopiec wrzasnął, szarpnął się i potrzęsnał głową, i płatek ucha rozstał się z resztą jego twarzy. Skulił się, jednocześnie wykonując dziwny spiralny ruch, i zdołał się uwolnić, zostawiając w dłoni Millie zakrwawioną koszulkę.

- Mamo! Mamo...! - krzyczał. Zrobił dwa kroki, pośliznął się na śniegu, upadł na ręce i kolana.

Pył wirował w powietrzu. Ciemnością wstrząsała kanonada, bloki kamieni spadały na inne kamienie, sto pięćdziesiąt tysięcy ton śniegu, całego śniegu, jaki Charlie Manx kiedykolwiek widział i kiedykolwiek sobie wyobrażał, pędziło ku nim z hukiem, spłaszczając wszystko przed sobą.

Manx szedł dalej, sześć kroków od Wayne'a, już unosząc rękę, żeby spuścić swój srebrny młotek na jego schyloną głowę. Młotek był przeznaczony do otwierania czaszek i rozprawienie się z chłopcem będzie dziecinną igraszką.

- Z drogi, Charlie! - ryknęła Vic.

Manx lekko się obrócił, gdy przemykała obok niego. Strumień powietrza pochwyił go i okręcił dokoła, spowodował utratę równowagi.

Potem pod choinką eksplodowała reszta ANFO, pełen plecak, i wydawało się, że zabiera ze sobą cały świat.

Aleja Żelkowa

Wysokie zawodzenie.

Wir kurzu i dryfujących płomieni.

Świat wśliznął się do koperty ciszy, w której jedynym dźwiękiem było przytłumione buczenie, trochę podobne do syreny alarmowej.

Czas zwolnił, płynął jak słodki syrop ściekający po butelce.

Vic jechała przez rumowisko i patrzyła, jak kawał płonącego drzewa wielkości cadillaca podskakuje przed nią w zwolnionym tempie, jakby poruszał się z mniej niż jedną piątą rzeczywistej prędkości.

W milczącej burzy szczątków – wirującego różowego dymu – Vic straciła z oczu Charliego Manxa i jego samochód. Widziała niewyraźnie Wayne'a podnoszącego się na czworakach jak biegacz, który przygotowuje się do startu. Za nim stała dziewczynka o długich rudych włosach, oburącz trzymając nóż. Ziemia się zatrzęsała, zbiła ją z nóg i rzuciła na kamienny mur na krawędzi przepaści.

Vic przemknęła obok niej. Dziewczynka, Millie, odwróciła głowę, żeby na nią spojrzeć, jej obrzydliwie wykrzywiona gęba przywry wyrażała wściekłość, rzędy zębów jeżyły się wewnątrz gardła. Odepchnęła się od muru i gdy to zrobiła, mur się zawalił i pociągnął ją za sobą. Vic zobaczyła, jak Millie spada w nicość, w burzę białego światła.

Usłyszała przeciągłe zawodzenie. Była przekonana, że wykrzykuje imię Wayne'a. Uciekał od niej – biegł ślepy i głuchy – nie oglądając się za siebie.

Triumph niósł ją obok niego. Vic wykręciła się, pochyliła, złapała go za tył spodenek i wciągnęła na siodełko za sobą, nie zwalniając. Miała mnóstwo czasu, żeby tego dokonać.

Wszystko poruszało się tak cicho i powoli, że mogłaby policzyć każdy węgielek pomykający w powietrzu. Nagły skręt ciała poruszył przebitą nerkę i spowodował potężny szok, ale Vic, która szybko umierała, nie pozwoliła, żeby to ją strapiło.

Ogień sypał się z nieba.

Gdzieś za nią śnieg stu zim wygładzał Gwiazdkową Krainę, jak poduszka przyciśnięta do twarzy nieuleczalnie chorego człowieka.

Dobrze się czuła w ramionach Lou Carmody'ego, wdychając jego zapach sosen i garażu, a jeszcze lepiej, gdy czuła wokół siebie ramiona syna ściskającego ją w pasie.

W brzęczącej, apokaliptycznej ciemności wreszcie nie brzmiała świąteczna muzyka. Jak ona znienawidziła świąteczną muzykę. Zawsze jej nienawidziła.

Na prawo od niej upadła kolejna płonąca kłoda, uderzyła w bruk i eksplodowała, wyrzucając w powietrze rozżarzone kawałki wielkości talerzy. Ognista strzała, długa jak jej przedramię, zaświszczała w powietrzu i rozcięła jej czoło nad prawą brwią. Vic nie poczuła bólu, chociaż widziała, jak strzała przemyka przed jej oczami.

Bez wysiłku wrzuciła czwarty bieg.

Syn ścisnął ją mocniej. Nerka znów zaboląła. Wyciskał z niej życie, lecz było jej z tym dobrze.

Położyła lewą rękę na jego dłoniach splecionych na jej pępku. Pogładziła jego drobne białe palce. Wciąż należał do niej. Wiedziała, ponieważ miał ciepłą skórę, nie zamarznął i martwą, jak te małe wampiry Charliego Manxa. Zawsze będzie jej. Był złotem, a złoto nie schodzi.

NOS4A2 wystrzelił z kłębiącego się dymu za jej plecami. Vic usłyszała go w martwej, brzęczącej ciszy, usłyszała nieludzkie warczenie, mechaniczny, idealnie artykułowany ryk nienawiści. Samochód dygotał i podskakiwał, pędząc przez pole strzaskanych skał. W blasku reflektorów burza pyłowa - śnieżycy żwiru - lśniła jak brylantowa zawierucha. Manx pochylał się nad kierownicą i miał opuszczoną szybę.

- ZAMORDUJĘ CIĘ, ŻAŁOSNA SUKO! - wrzasnął i to też

usłyszała, jakkolwiek niewyraźnie, jak szum w muszelce. - ROZJADĘ CIĘ, WAS OBOJE! ZABIŁAŚ WSZYSTKO, CO MOJE, I TERAZ JA ZABIJĘ WAS!

Zderzak rąbnął w tylne koło i mocno pchnął triumpfa. Kierownica szarpnęła się w rękach Vic, próbując się wyrwać. Utrzymała ją. Gdyby tego nie zrobiła, przednie koło skręciłoby ostro w jedną albo drugą stronę, motocykl by ich zrzucił, a Upiór rozjechał.

Zderzak samochodu znowu ich popchnął. Vic poleciała do przodu, gwałtownie, niemal uderzając czołem w kierownicę.

Kiedy uniosła głowę i spojrzała, zobaczyła przed sobą Most Krótsza Droga, z wlotem czerniejącym w mgiełce o barwie waty cukrowej. Przeciągle wypuściła powietrze i niemal zadrżała z ulgi. Most czeka i zabierze ją z tego miejsca tam, dokąd musi jechać. Cienie, które skrywały się w nim na ich drodze, niosły pociechę jak chłodna ręka matki na rozgorączkowanym czole. Tęskniła za swoją mamą, za swoim tatą, za Lou, i było jej przykro, że więcej czasu nie spędzili razem. Miała wrażenie, że oni wszyscy, nie tylko Louis, będą na nią czekać po drugiej stronie mostu, czekać, żeby zsiadła z motoru i wpadła w ich ramiona.

Triumph wjechał na most, przeskakując nad drewnianym progiem, i deski zagrzecotały pod kołami. Po lewej stronie Vic zobaczyła starą znajomą zieloną farbę w sprayu, trzy niechlujnie nagryzmolone litery:

LOU →

Upiór z rykiem wjechał za nimi na most, potracił zardzewiały stary rowerek i wyrzucił go w powietrze. Rower przemknął ze świstem po prawej stronie Vic. Za nim wpadły tumany śniegu, przysłaniając wszystko, blokując wylot mostu, czopując go jak korek butelkę.

- TY WYTATUOWANA CIPO! - wrzasnął Charlie Manx głosem, który odbijał się echem w wielkiej pustej przestrzeni. - TY WYTATUOWANA DZIWKO!

Zderzak kolejny raz trącił tył triumpha. Motor przechylił się w prawo i Vic uderzyła ramieniem w ścianę z taką siłą, że niemal spadła z siodełka. Deska pękła, a za nią ukazała się wściekła burza białych zakłóceń. Krótsza Droga zadygotała i zadudniła.

- Nietoperze, mamó - odezwał się Wayne cicho, głosem młodszego, mniejszego dziecka. - Spójrz na te wszystkie nietoperze.

Nietoperze odpadły od stropu i zapełniły powietrze. Wirowały i śmigaly spanikowane. Vic spuściła głowę i jechała przez tę żywą zawieruchę. Jeden uderzył ją w klatkę piersiową, spadł na kolana, histerycznie łopocząc skrzydłami, i znowu wzbił się w powietrze. Inny musnął jej policzek jedwabistym skrzydłem. Emanował delikatnym, tajemnym kobiecym ciepłem.

- Nie bój się - powiedziała Vic do syna. - Nie zrobią ci krzywdy. Jesteś Bruce Wayne! Wszystkie te nietoperze są po twojej stronie, mały.

- Tak - zgodził się Wayne. - Tak. Jestem Bruce Wayne. Pamiętam. - Jakby na chwilę o tym zapomniał. Może faktycznie tak było.

Vic się obejrzała i zobaczyła, że nietoperz uderzył w przednią szybę Upióra z taką siłą, że szkło pokryła biała pajęczyna pęknięć, wprost przed twarzą Charliego Manxa. Drugi walnął w drugą część szyby, rozbryzgując się w fontannie krwi i sierści. Zahaczył o wycieraczkę i został na szybie, szaleńczo wymachując połamanym skrzydłem. Trzeci i czwarty trzasnęły w szkło, odbiły się i odleciały w ciemność.

Manx wrzeszczał bez chwili przerwy, nie ze strachu, ale w poczuciu niemocy. Vic wolałaby nie słyszeć innego głosu w samochodzie, głosu dziecka - „Nie, tato, za szybko, tato!” - ale słyszała, dźwięki wzmocnione i niesione przez zamkniętą przestrzeń mostu.

Upiór skręcił w lewo. Przedni zderzak uderzył w ścianę i wyrwał długi na metr fragment, odsłaniając syczące białe śnieżenie po drugiej stronie, pustkę poza myślą.

Manx szarpnął kierownicę, samochód skoczył w prawo i

uderzył w drugą ścianę. Trzask pękających desek przypominał strzały z karabinu maszynowego. Deski gięły się i pękały pod kołami Upiora. Nawałnica nietoperzy bębniła o przednią szybę, robiła w niej wgłębienia. W końcu się przebiły. Nietoperze zakłębiły się w kabinie, uderzając Manxa i dziecko po głowie. Dziewczynka zaczęła krzyczeć. Manx puścił kierownicę, żeby je odganiać.

- Uciekać! Precz ode mnie, wstrętne stworzenia! - krzyknął. Potem zabrakło mu słów, został tylko wrzask.

Vic przekręciła manetkę gazu i motocykl przyspieszył, pędząc po moście przez ciemność, w której wrzały nietoperze. Mknął ku wylotowi z prędkością osiemdziesięciu, stu, stu dziesięciu kilometrów na godzinę, jak rakietka.

Za nią przód Upiora zapadł się w podłogę mostu. Tył uniósł się w powietrze. Manx prześliznął się do przodu, na kierownicę, z ustami otwartymi w wyciu przerażenia.

Vic pomyślała, że wrzasnął „Nie!”. A może... a może „Śnieg!”.

Upiór wpadł w śnieg, w biały ryk, rozdzierając most. Krótsza Droga jak gdyby złożyła się pośrodku i nagle Vic zaczęła jechać pod górę. Most się zapadał, oba końce się unosiły, jakby most próbował zamknąć się jak książka, którą tak czytelnik, jak autor zamierzają odłożyć na bok.

NOS4A2 spadł przez spróchniałą, przegniłą podłogę mostu, spadł we wściekłe białe światło i brzęczący szum zakłóceń, runął z wysokości setek metrów o dwadzieścia sześć lat wstecz, spadając przez czas do rzeki Merrimack w roku 1986, gdzie uderzył w wodę i został zmiażdżony jak puszka po piwie. Blok silnika przebił się przez deskę rozdzielczą i wdarł w pierś Manxa, żelazne serce ważące dwieście kilogramów. Nurt wyssał ciało dziecka, które siedziało obok niego, i zawłókł je do Zatoki Bostońskiej. Kiedy cztery dni później znaleziono zwłoki dziewczynki, miała wplątane we włosy kilka martwych, utopionych nietoperzy.

Vic przyspieszała - sto trzydzieści, sto czterdzieści na godzinę. Nietoperze wyfruwały z mostu w noc, wszystkie,

wszystkie jej myśli, wspomnienia, fantazje i wyrzuty sumienia: całowanie szerokiej, nagiej piersi Lou, gdy po raz pierwszy zdjęła mu koszulę; jazda na rowerze w zielonym cieniu sierpniowego popołudnia; ocieranie kostek palców o gaźnik triumpfa, gdy dokręcała śrubę. Przyjemnie było patrzeć, jak się uwalniają, jak sama się od nich uwalnia, w końcu od wszystkich myśli. Triumph dotarł do wylotu mostu i wzbił się wraz z nimi. Vic przez chwilę szybowała przez noc, motocykl płynął przez zamarzną ciemność. Jej syn trzymał ją mocno.

Koła z wielką siłą uderzyły w ziemię. Vic padła na kierownicę i ból nerki stał się rozdzierający. Bezpiecznej jazdy, pomyślała cierpko, szybko zwalnając. Przednie koło kolebało się i trzęsło, lada chwila mogli się przewrócić. Silnik wył, gdy motor podskakiwał na porytej koleinami ziemi. Vic wróciła na leśną polanę, skąd Charlie Manx poprowadził ją do Gwiazdkowej Krainy. Trawa wściekle smagała boki motocykla.

Zwalniała, zwalniała i zwalniała, aż w końcu triumph sapnął i zgasł. Zatrzymali się blisko granicy lasu. Wreszcie mogła bezpiecznie odwrócić głowę i spojrzeć na syna. Wayne na nią patrzył, wciąż mocno ją obejmując, jakby nawet teraz pędzili setką na godzinę.

Po drugiej stronie polany Vic zobaczyła Most Krótsza Droga i chmurę nietoperzy wylatujących w rozgwieźdżoną noc. Potem, niemal łagodnie, wjazd na most się zapadł – nagle nic za nim nie było – i zniknął, zanim uderzył w ziemię z cichym pyknięciem. Słaba fala zakołysała wysoką trawą.

Chłopiec i jego matka siedzieli na martwym motorze, patrząc. Nietoperze cicho popiskiwały w ciemności. Vic czuła się bardzo rozluźniona. Nie była pewna, czy cokolwiek zostało w jej głowie, z wyjątkiem miłości, i to wystarczyło.

Nacisnęła piętą na starter. Triumph westchnął z żalem. Spróbowała jeszcze raz, czując, jak wszystko w niej pęka, wypłuka więcej krwi. Trzeci raz. Dźwignia protestowała, nie chciała opaść, i motocykl nie wydał żadnego dźwięku.

- Co się z nim stało, mamó? - zapytał Wayne swoim

nowym, łagodnym głosem małego chłopczyka.

Poruszyła motocyklem między nogami. Zatrzeszczał cicho, ale poza tym nie usłyszała innego dźwięku. Wtedy zrozumiała i się roześmiała - suchym, słabym, ale szczerym śmiechem.

- Skończyła się benzyna - odparła.

PRZYBĄDŹCIE DZIŚ WIERNI PAŹDZIERNIK



Gunbarrel

Wayne zbudził się w pierwszą niedzielę października, słysząc płynący wzdłuż ulicy dźwięk kościelnych dzwonów. Jego ojciec siedział przy nim na brzegu łóżka.

- Co ci się śniło? - zapytał jego nowy, prawie chudy tata. Wayne pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie pamiętam - skłamał.

- Myślałem, że może śniłeś o mamie - powiedział Nowy Lou. - Uśmiechałeś się.

- Pewnie myślałem o czymś zabawnym.

- O czymś zabawnym? Czy o czymś dobrym? - zapytał Nowy Lou, obserwując go swoimi ciekawymi oczami Nowego Lou, dociekliwymi i jasnymi. - Ponieważ to nie zawsze to samo.

- Już nie pamiętam - odparł.

Lepsze to niż przyznanie, że śnił o Bradzie McCauleyu, Marcie Gregorskiej i innych dzieciach z Gwiazdkowej Krainy. Co nie znaczy, że to była Gwiazdkowa Kraina. Przemieniła się w Biel, wściekły biały śnieg martwego kanału, i dzieci biegały w tym śniegu, bawiły się w swoje zabawy. Zabawa z ostatniej nocy nazywała się ugryź najmniejszego. Wayne wciąż czuł smak krwi. Poruszał językiem w lepkim wnętrzu ust.

- Biorę holownik - powiedział Lou. - Trzeba popracować. Chcesz jechać ze mną? Nie musisz. Tabitha może zostać z tobą.

- Jest tutaj? Nocowała?

- Nie! Nie - odparł Lou. Wydawał się szczerze zaskoczony tym pytaniem. - Chodzi mi tylko o to, że mógłbym do niej zadzwonić i ją zaprosić. - Zmarszczył czoło z koncentracji i po chwili, mówiąc wolniej, podjął: - Pomysł, żeby Tabitha tu nocowała, nie wydaje mi się teraz najlepszy. Chyba to byłoby dziwne... dla wszystkich.

Wayne uznał, że najbardziej interesującą częścią stwierdzenia było „teraz”, co sugerowało, że ojciec może zaprosić pannę Tabithę Hutter na noc w jakimś późniejszym terminie, do uzgodnienia.

Trzy dni temu wszyscy wyszli z kina - obecnie od czasu do czasu razem chodzili na filmy - Wayne obejrzał się i zdążył zobaczyć, że jego ojciec ujął Tabithę Hutter za łokieć i pocałował kącik jej ust. Po sposobie, w jaki skłoniła głowę, i

po lekkim uśmiechu poznał, że nie był to ich pierwszy pocałunek. Był zbyt spontaniczny, zbyt wypraktykowany. Tabitha zobaczyła, że się im przygląda, i uwolniła ramię z ręki Lou.

- Mnie to nie przeszkadza! - zapewnił. - Wiem, że ją lubisz. Ja też ją lubię.

- Wayne, twoja mama... twoja mama była... to znaczy, stwierdzenie, że była moją najlepszą przyjaciółką, ani trochę nie...

- Ale teraz nie żyje. A ty powinieneś być szczęśliwy. Powinieneś się bawić!

Lou spojrzał na niego poważnie - i ze smutkiem, pomyślał Wayne.

- No tak - mruknął. - Tylko mówię, że może z tobą zostać, jeśli chcesz. Tabitha mieszka niedaleko, może się zjawić w trzy minuty. Na pewno uwielbiasz opiekunkę, która przychodzi z własnym glockiem.

- Nie. Dotrzymam ci towarzystwa. Mówiłeś, że dokąd jedziemy?

- Nie mówiłem - odparł Lou.



Tabitha Hutter i tak przyszła, bez zapowiedzi. Zadzwoiła do mieszkania, gdy Wayne był jeszcze w piżamie. Robiła to od czasu do czasu, wpadała z rogalikami, które, jak mówiła, wymieni na kawę. Mogłaby kupić sobie kawę, ale twierdziła, że lubi taką, jaką robi Lou. Wayne potrafił poznać, że kręci. W kawie Lou nie było niczego wyjątkowego, chyba że ktoś lubi kawę z posmakiem WD-40.

Przeniosła się do biura w Denver, żeby uczestniczyć w śledztwie w sprawie McQueen - w sprawie, w której nie padły i nigdy nie padną żadne zarzuty. Miała mieszkanie w Gunbarrel i zwykle codziennie jadła posiłek z Lou i jego synem, na pozór po to, żeby wypytać Lou o wszystko, co wiedział. Głównie jednak rozmawiali o *Grze o tron*. Lou skończył czytać pierwszą książkę, zanim poszedł na angioplastykę i bajpas gastryczny, zabiegi przeprowadzone

w tym samym czasie. Tabitha Hutter była przy nim, kiedy się zbudził dzień po operacji. Powiedziała, że chciała mieć pewność, że przeżyje, żeby mógł przeczytać pozostałe książki serii.

- Hej, dzieciaki! - zawołała. - Chcecie mi się wymknąć?

- Jest robota - odparł Lou.

- W niedzielę rano?

- Wtedy też ludzie rozwalają samochody.

Ziewnęła, zasłaniając usta dłonią, miała kędzierzawa kobieta w spłowiałej koszulce Wonder Woman i niebieskich dżinsach, bez biżuterii, bez żadnych dodatków. Poza glockiem kalibru dziewięć milimetrów na biodrze.

- W porządku. Zrobicie mi kawę, zanim wyjdziemy?

Lou uśmiechnął się lekko, ale powiedział:

- Nie musisz wychodzić. To zajmie chwilę.

Wzruszyła ramionami.

- A co innego mam ze sobą zrobić? O tej porze wyjęci spod prawa jeszcze śpią. Przez osiem lat byłam agentką FBI i ani razu nie miałam powodu, żeby zastrzelić kogoś przed jedenastą. Przynajmniej dopóki nie wypłam kawy.



Lou zaparzył ciemno paloną kawę i wyszedł zapuścić ciężarówkę, a Tabitha odprowadziła go za drzwi. Wayne został sam w korytarzu, zakładając tenisówki, kiedy zadzwonił telefon.

Spojrzał na czarny plastikowy aparat stojący na brzegu stołu tuż bok niego. Było kilka minut po siódmej, za wcześnie na telefon - ale może chodziło o pracę, którą mieli się zająć. Może osobie, która wpadła samochodem do rowu, pomagał już ktoś inny. Tak się zdarzało.

Wayne odebrał.

Usłyszał syk, głośny ryk białego szumu.

- Wayne, kiedy wrócisz? - zapytała dziewczynka z rosyjskim akcentem. - Kiedy wrócisz, żeby się bawić?

Wayne nie mógł odpowiedzieć, język przykleił mu się do podniebienia, puls przyspieszył, łomocąc w gardle. Dzieci

dzwoniły nie po raz pierwszy.

- Jesteś nam potrzebny. Możesz odbudować Gwiazdkową Krainę. Możesz wszystko pomyśleć wstecz. Wszystkie atrakcje w lunaparku. Wszystkie sklepy. Wszystkie gry. Tu nie ma się czym bawić. Musisz nam pomóc. Po odejściu Manxa tylko ty nam zostałeś.

Wayne usłyszał szmer otwieranych drzwi frontowych. Wcisnął „zakończ”. Gdy Tabitha Hutter weszła na korytarz, odkładał telefon na podstawkę.

- Ktoś dzwonił? - zapytała ze spokojną dobroduszością w szarozielonych oczach.

- Pomyłka - odparł Wayne. - Założę się, że kawa już gotowa.



Wayne wiedział, że coś jest z nim nie w porządku. Dzieciaki, z którymi wszystko jest w porządku, nie odbierają telefonów od martwych dzieci. Dzieciaki, w porządku, nie mają takich snów jak on. Ale wcale nie to - telefony czy sny - było najwyraźniejszym wskaźnikiem jego odstępstwa od normy. Najważniejsze było to, jak się czuł, kiedy zobaczył zdjęcie katastrofy lotniczej: przejęty, roztrzęsiony z podniecenia i poczucia winy, jakby oglądał pornografię.

W ubiegłym tygodniu, kiedy jechał z ojcem, pręgowiec wpadł pod koła jakiegoś samochodu, a on nagle parsknął śmiechem. Lou odwrócił głowę i spojrzał na niego z głębokim zdumieniem, ściągnął usta, chcąc coś powiedzieć, ale zmilczał - być może uciszył go chory wyraz zszokowanej, nieszczęśliwej twarzy syna. Wayne nie chciał myśleć, że mały pręgowiec posuwający się zygzakiem, potrącony przez oponę, stanowi zabawny widok. Takie rzeczy rozśmieszały Charliego Manxa. Po prostu nie mógł się powstrzymać.

Kiedy indziej oglądał na YouTube film o ludobójstwie w Sudanie i stwierdził, że się uśmiecha.

W Salt Lake City została wprowadzona mała dziewczynka, śliczna dwunastoletnia blondynka o nieśmiałym uśmiechu. Wayne oglądał wiadomości w stanie urzeczzonego

podniecenia, zazdroszcząc jej.

Towarzyszyło mu powracające wrażenie, że ma trzy dodatkowe komplety zębów, ukryte gdzieś w podniebieniu. Wodził językiem po wnętrzu ust i wyobrażał sobie, że je czuje, szeregi drobnych wzniesień pod śluzówką. Teraz wiedział, że tylko sobie wyobraził utratę zwyczajnego chłopięcego uzębienia, że miał halucynacje pod wpływem sewofluranu, podobnie jak przywidziała mu się Gwiazdkowa Kraina (kłamstwa!). Ale wspomnienie zębów było bardziej prawdziwe, bardziej żywe niż codzienne sprawy, takie jak szkoła, wizyty u terapeuty, posiłki z tatą i Tabithą Hutter.

Czasami czuł, że jest talerzem, który pękł, a następnie został sklejonny, ale połówki niezupełnie do siebie pasują. Jedna strona – ta część talerza, która oznaczała jego życie przed Charliem Manxem – była wykruszona i nie stykała się dokładnie z drugą częścią. Kiedy stał i patrzył na ten pęknięty talerz, nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego ktokolwiek miałby chcieć go zatrzymać. Przecież już nie był dobry. Wayne nie myślał o tym z rozpaczą, i na tym polegała część problemu. Minał długi czas, odkąd czuł coś takiego jak rozpacz. Na pogrzebie matki z wielką przyjemnością słuchał pieśni.

Kiedy ostatnim razem widział swoją matkę żywą, wieźli ją na wózku do ambulansu. Ratownicy bardzo się spieszyli. Straciła wiele krwi. Wpompowano w nią trzy litry, dość, żeby utrzymać ją przy życiu przez noc, ale lekarze za późno zajęli się przebitą nerką i jelitami, nie zdając sobie sprawy, że jej organizm wrze, zatrutowany wewnętrzną trucizną.

Biegł obok niej, trzymając ją za rękę. Byli na żwirowym parkingu przed sklepem wielobranżowym, niedaleko ruin domu Manxa. Później Wayne się dowiedział, że jego rodzice na tym parkingu odbyli swoją pierwszą rozmowę.

– Nic ci nie jest, mały – powiedziała mu Vic. Uśmiechała się, choć twarz miała brudną i zbryzganą krwią. Krew sączyła się z rany nad prawą brwią. Miała w nosie rurkę, przez którą podawano tlen. – Złoto nie schodzi. To, co dobre, pozostaje dobre bez względu na to, jakie cięgi zbiera. Nic ci

nie jest. Nic ci się nie stanie.

Wiedział, o czym mówiła. Mama mówiła, że nie jest taki jak dzieci w Gwiazdkowej Krainie. Mówiła, że wciąż jest sobą.

Ale Charlie Manx powiedział coś innego. Charlie Manx powiedział, że krew nie schodzi z jedwabiu.

Tabitha Hutter pociągnęła pierwszy próbny łyk kawy i wyjrzała przez okno nad kuchennym zlewem.

- Twój tata wyprowadził ciężarówkę. Łap kurtkę, żebyś nie zmarzł. Idziemy.

- Na przejażdżkę - powiedział Wayne.



Ścisnęli się w kabinie samochodu pomocy drogowej, Wayne pośrodku. Był taki czas, kiedy razem by się nie zmieścili, ale teraz Nowy Lou zajmował znacznie mniej miejsca niż ten dawny. Nowy Lou wyglądał jak Boris Karloff we *Frankensteinie*, z chudymi rękami i zapadniętym brzuchem pod potężną klatką piersiową. Miał też blizny Frankensteina, biegnące pod kołnierzykiem koszuli wzdłuż szyi i za lewym uchem, gdzie zrobiono angioplastykę. W następstwie tego zabiegu i bajpasu gastrycznego jego tłuszcz po prostu się stopił jak lody zostawione na słońcu. Najbardziej uderzające były jednak oczy. To nie miało sensu, przecież utrata ciężaru nie powinna zmienić jego oczu, ale teraz Wayne był ich bardziej świadom, bardziej odczuwał skupione, pytające spojrzenie ojca.

Wayne usadowił się obok taty i zaraz potem zmienił pozycję, bo coś zakłuło go w plecy. Młotek - nie młotek używany podczas autopsji, ale taki zwykły, stolarski, z podniszczonym drewnianym trzonkiem. Wayne położył go przy udzie ojca.

Ciężarówka wspinała się, oddalając od Gunbarrel, jadąc zakosami wśród starych jodeł, coraz wyżej ku idealnie błękitnemu niebu. Na dole było dość ciepło w promieniach słońca, ale tutaj czuby drzew kołysały się bezustannie na zimnym wietrze, który pachniał żółknącymi osikami. Złoto słało się na zboczach.

- Złoto nie schodzi - szepnął Wayne, ale wystarczyło spojrzeć: liście spadały przez cały czas, pomykały po drodze, zeglując na wietrze.

- Co mówisz? - zapytała Tabitha.

Pokręcił głową.

- Może posłuchamy radia? - zaproponowała i wyciągnęła rękę, żeby włączyć jakąś muzykę.

Wayne nie mógł jej powiedzieć, że woli ciszę ani dlaczego myśli o muzyce go niepokoi.

W trzasku zakłóceń Bob Seger wyrażał swoją sympatię do staroświeckiego rock and rolla. Przestrzegał, że jeśli ktoś włączy disco, to w pośpiechu wyjdzie za drzwi.

- Gdzie się zdarzył ten wypadek? - zapytała Tabitha Hutter i Wayne z roztargnieniem zauważył, że w jej głosie pobrzmiwa nutka podejrzliwości.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - odrzekł Lou.

- Są ranni?

- Do wypadku doszło jakiś czas temu - odparł Lou.

Wayne nie wiedział, dokąd jada, dopóki nie minęli wiejskiego sklepu po lewej stronie. Oczywiście był nieczynny, zamknięty dziesięć lat temu. Dystrybutory zostały, jeden poczerniały, farba się spaliła tego dnia, gdy Charlie Manx przystanął tutaj, żeby zatankować. Wśród wzgórz nad Gunbarrel nie brakowało nieczynnych kopalni i opuszczonych miasteczek, więc w tym budynku z bali z wytłuczonymi szybami i wnętrzem pełnym cieni i pajęczyn nie było niczego godnego uwagi.

- Co pan zamierza zrobić, panie Carmody? - zapytała Tabitha Hutter.

- Spełnić prośbę Vic - odparł Lou.

- Może nie powinieneś zabierać Wayne'a.

- Prawdę mówiąc, chyba nie powinienem zabierać ciebie. Zamierzam manipulować dowodami.

- Aha. Dziś rano nie jestem na służbie.

Minęli sklep i kilkaset metrów dalej zaczęli zwalniać. Po prawej stronie zaczynała się żwirowa droga do domu Sanie Mikołaja. Gdy na nią wjechał, zakłócenia stały się

głośniejsze, zupełnie zagłuszając lekko chropawy, sympatyczny głos. W okolicach Sań Mikołaja nikt nie miał dobrego odbioru. Nawet karetki miały kłopoty z wysyłaniem wyraźnych wiadomości do szpitala. Być może miało to coś wspólnego z ukształtowaniem półki skalnej. W zakątkach Gór Skalistych łatwo stracić z oczu świat na dole, a wśród urwisk, drzew i przenikliwego wiatru dwudziesty pierwszy wiek jawił się tylko jako wyimaginowany konstrukt, wymyślone pojęcie, które ludzie nałożyli na świat, niemający żadnego znaczenia dla skał.

Lou zatrzymał samochód i wysiadł, żeby odstawić niebieską policyjną barierkę. Pojechali dalej.

Ciężarówka grzechotała na nierównej jak tarka drodze gruntowej, podjeżdżając prawie do podwórka przed zgliszczami. Sumak czerwieniał w jesiennym chłodzie. Gdzieś dziecięć atakował sosnę. Gdy Lou zatrzymał ciężarówkę, z radia płynął wyłącznie biały szum.

Kiedy Wayne zamknął oczy, mógł je sobie wyobrazić, te dzieci szumu zagubione w przestrzeni między rzeczywistością i myślą. Były tak blisko, że niemal słyszał ich śmiech pod sykiem radia. Zadrżał.

Ojciec położył rękę na jego nodze. Wayne otworzył oczy i spojrzał na niego. Lou wysliznął się z kabiny, ale jego duża dłoń została na kolanie syna.

- W porządku - powiedział. - Wszystko w porządku, Wayne. Jesteś bezpieczny.

Wayne pokiwał głową, ale ojciec źle go zrozumiał. Wcale się nie bał. Jeśli drżał, to z nerwowego podniecenia. Inne dzieci są tak blisko, czekają na niego, żeby wrócił i wyśnił nowy świat, nową Gwiazdkową Krainę z karuzelami, jedzeniem i grami. Miał moc, żeby tego dokonać. Każdy ją miał. Potrzebował czegoś, jakiegoś narzędzia, jakiegoś instrumentu przyjemności, zabawy, którego mógłby użyć, żeby wydrzeć dziurę w tym świecie i przejść do własnego tajemnego wewnętrznego pejzażu.

Wayne poczuł na biodrze metalowy obuch młotka, spojrzał na niego i pomyślał: Być może. Weź młotek i spuść go na

głowę ojca. Kiedy wyobraził sobie towarzyszący temu dźwięk – głębokie, głuche uderzenie stali o kość – przebiegły go ciarki przyjemności. Uderz w sam środek ładnej, okrągłej, zadowolonej, suczej twarzy Tabithy Hutter, zmiażdż jej okulary, strzaskaj zęby. To będzie zabawne. Myśl o jej ślicznych pełnych ustach zalanych krwią pobudziła go erotycznie. Kiedy z nimi skończy, będzie mógł pójść na spacer po lesie, do skarpy, gdzie był ceglany tunel prowadzący do Gwiazdkowej Krainy. Weź młotek i uderzaj w skałę, aż kamień się rozszczepi, aż zrobi się szczelina, w którą będziesz mógł się wcisnąć. Uderzaj, aż otworzysz świat, zrobisz miejsce, żeby się przeczołgać z powrotem do świata myśli, gdzie czekają dzieci.

Ale gdy o tym rozmyślał – gdy fantazjował – ojciec zabrał rękę z jego kolana i podniósł młotek.

– Po co to? – zapytała szeptem Tabitha Hutter. Odpięła pasy i wysiadła.

Wiatr szumiał w jodłach. Anioły się kołysały. Srebrne bombki załamywały światło, strzelając jasnymi, wielobarwnymi fontannami światła.

Lou zszedł z drogi, ruszył w dół skarpy. Uniósł głowę – teraz miał tylko jeden jędrny podbródek – i zwrócił spojrzenie mądrego żółwia na ozdoby wiszące na gałęziach. Po chwili ściągnął jedną z nich, białego anioła dmącego w złotą trąbkę. Położył go na kamieniu i roztrzaskał młotkiem.

Na chwilę szum zakłóceń ustąpił piskowi sprzężenia zwrotnego.

– Lou? – zapytała Tabitha, obchodząc maskę ciężarówki.

Wayne pomyślał, że jeśli wsunie się za kierownicę i wrzuci bieg, będzie mógł ją rozjechać. Wyobraził sobie odgłos uderzenia czaszki o osłonę chłodnicy i zaczął się uśmiechać – pomysł był całkiem zabawny – ale zaraz potem Tabitha weszła między drzewa. Zamrugał szybko, żeby przepędzić tę straszną, upiorną, cudowną wizję, i też wyskoczył z ciężarówki.

Poryw wiatru zmierzwił mu włosy.

Lou znalazł skrzącą się brokatem srebrną ozdobę, bombkę

wielką jak piłka do softballu, rzucił ją w powietrze i machnął młotkiem jak kijem baseballowym. Lśniąca kula eksplodowała w deszczu opalizującego szkła i kawałków miedzianego drucika.

Wayne stał blisko ciężarówki, przyglądając się poczynaniom ojca. Za nim przez głośny ryk zakłóceń przebił się chór dzieci śpiewających bożonarodzeniową piosenkę. Śpiewały o wierze. Ich głosy były dalekie, ale czyste i słodkie.

Lou zmiażdżył ceramiczną choinkę i porcelanową śliwkę oprószoną złotym brokatem, przybraną kilkoma cynowymi śnieżynkami. Zaczął się pocić i zdjął flanelową bluzę.

- Lou - odezwała się znowu Tabitha, stając na szczycie skarpy - dlaczego to robisz?

- Dlatego że jedna z tych ozdób należy do niego - odparł Lou, wskazując syna. - Vic go sprowadziła, ale nie w całości. Chcę odzyskać resztę.

Zawył wiatr, drzewa się zakołysały. Wyglądały trochę przerażająco, gdy zaczęły miotać się we wszystkie strony. Igły i liście fruwały w powietrzu.

- Co ja mam zrobić? - zapytała Tabitha.

- Czyste minimum? Nie aresztuj mnie.

Lou odwrócił się od niej, znalazł kolejną ozdobę. Pękła z melodyjnym podzwaniem.

Tabitha popatrzyła na Wayne'a.

- Nigdy nie należałam do tych, którzy ograniczają się do czystego minimum. Chcesz pomóc? Wygląda to na niezłą zabawę, prawda?

Wayne musiał przyznać jej rację.

Tabitha rozbijała ozdoby uchwytem swojego pistoletu. Wayne używał kamienia. W samochodzie świąteczny chór śpiewał coraz głośniej, aż w końcu nawet Tabitha zwróciła na to uwagę. Spojrzała na ciężarówkę z niepokojem i zdumieniem w oczach. Lou ignorował śpiew, metodycznie rozbijając szklane liście ostrokrzewu i drucziane korony. Po jakimś czasie ryknęły zakłócenia, zagłuszając pieśń.

Wayne rozbijał aniołki z trąbkami, aniołki z harfami,

aniołki z dłońmi złożonymi w modlitwie. Roztrzaskał Świętego Mikołaja, wszystkie jego renifery i wszystkie jego elfy. Z początku się śmiał. Po chwili stało się to mniej zabawne. Jakiś czas później rozboleły go zęby. Twarz zrobiła się gorąca, potem zimna, tak zimna, że parzyło, lodowato gorąca. Nie wiedział dlaczego; nie poświęcił temu jednej świadomej myśli.

Unosił błękitny kawałek łupku, żeby strzaskać ceramiczną owieczkę, kiedy dostrzegł ruch gdzieś powyżej i poderwał głowę. Wypatrzył dziewczynkę stojącą przy zgliszczach Sań Mikołaja. Miała brudną koszulę nocną – kiedyś była biała, ale teraz głównie rdzawa od smug zaschniętej krwi – i splątane włosy. Płakała bezgłośnie ze znękanym wyrazem ślicznej bladej buzi. Jej stopy były zakrwawione.

- *Pomoszcz* – szepnęła. Dźwięk prawie zaginął w świszczącym wietrze. - *Pomoszcz*.

Wayne nigdy nie słyszał rosyjskiego słowa oznaczającego „pomocy”, ale odgadł jego znaczenie.

Tabitha zobaczyła, że w coś się wpatruje, odwróciła głowę i ujrzała dziewczynkę.

- Mój Boże – powiedziała cicho. - Lou! Lou!

Lou Carmody spojrział przez podwórze na dziewczynkę, Martę Gregorską, zaginioną w roku 1991. Miała dwanaście lat, kiedy zniknęła z hotelu w Bostonie, i teraz, dwadzieścia lat później, była w tym samym wieku. Lou patrzył na nią bez szczególnego zaskoczenia. Miał szarą, zmęczoną twarz, pot lśnił na jego obwisłych policzkach.

- Muszę dokończyć zadanie, Tabby – powiedział. - Możesz jej pomóc?

Tabitha odwróciła głowę i obrzuciła go przerażonym, zdumionym spojrzeniem. Schowała pistolet do kabury i szybkim krokiem ruszyła po martwych liściach.

Zza krzaka za plecami Marty wyszedł chłopiec, czarnowłosy dziesięciolatek w niebiesko-czerwonym mundurze strażnika londyńskiego zamku Tower. Oczy Brada McCauleya były jednocześnie zbolełe, zdumione i przerażone; zerknął z ukosa na Martę i szloch wstrząsnął

jego piersią.

Wayne kołysał się na piętach, patrząc na nich oboje. Ostatniej nocy w jego śnie Brad nosił właśnie taki mundur. Wayne dostał zawrotu głowy, chciał usiąść, ale gdy znowu się zachwiał, bliski upadku, ojciec go podtrzymał, położył wielką rękę na jego ramieniu. Te ręce niezupełnie pasowały do ciała Nowego Lou, niezdarnej sylwetki, która wyglądała tak, jakby została złożona z części różnych osób.

- Hej, Wayne - powiedział Lou. - Hej. Jeśli chcesz, możesz wytrzeć twarz w moją koszulę.

- Co? - zapytał Wayne.

- Płaczesz, mały. - Lou wyciągnął drugą rękę. Leżały na niej ceramiczne skorupki: fragmenty rozbitego księżycy. - Płaczesz od jakiegoś czasu. Przypuszczam, że to było twoje, co?

Wayne poczuł, że jego ramiona poderwały się w konwulsyjnym ruchu. Chciał odpowiedzieć, ale żaden dźwięk nie mógł się wydostać ze ściśniętego gardła. Łzy paliły mu policzki na zimnym wietrze i zupełnie się rozkleiły. Przytulił twarz do brzucha ojca, przez chwilę tęskniąc na starym Lou z jego krzepiącą, niedźwiedzią masą.

- Przepraszam - szepnął zdławionym, dziwnym głosem. Poruszył językiem w ustach, ale już nie wyczuł swoich tajemnych zębów. Ta myśl spowodowała taką eksplozję ulgi, że musiał przytrzymać się taty, żeby nie upaść. - Przepraszam, tato. Tato, przepraszam. - Jego oddech wyrывał się w krótkich, urywanych sapnięciach.

- Za co?

- Nie wiem. Za płacz. Usmarkałem cię.

- O ja cię, przecież nikt nie musi przepraszać za łzy.

- Źle się czuję.

- Tak. Tak, wiem. Wszystko w porządku. Myślę, że cierpisz z powodu kondycji ludzkiej.

- Można od tego umrzeć? - zapytał Wayne.

- Tak - odparł Lou. - W każdym razie bywa to zgubne w skutkach.

Wayne pokiwał głową.

- W porządku. Tak. To chyba dobre.

Wayne słyszał płynący z daleka czysty, spokojny, krzepiący głos, gdy Tabitha Hutter mówiła dzieciom, że wszystko będzie dobrze, że się nimi zaopiekuje. Przyszło mu na myśl, że jeśli się odwróci, zobaczy być może już kilkanaścioro dzieci, i inne w drodze, wychodzące z lasu, zostawiające za sobą biały szum. Słyszał, jak niektóre z nich szlochają. Kondycja ludzka: najwyraźniej to zaraźliwe.

- Tato - powiedział. - Jeśli nie masz nic przeciwko, czy w tym roku możemy darować sobie Boże Narodzenie?

- Jeśli Mikołaj spróbuje wejść przez nasz komin, odeślę go z powrotem potężnym kopniakiem. Masz moje słowo.

Wayne się roześmiał, choć śmiech zabrzmiał trochę jak szloch. Tak było dobrze.

Od strony autostrady napłynął głośny ryk zbliżającego się motocykla. Wayne pomyślał - a była to straszna, rozpaczliwa myśl - że nadjeżdża jego mama. Wszystkie dzieci powróciły do życia ze stanu podobnego do śmierci i może nadeszła jej kolej. Ale był to tylko jakiś facet, może odbywał jazdę próbną na swoim harleyu. Przemknął z ogłuszającym rykiem, słońce lśniło na chromie. Zaczął się październik, ale w silnym, bezpośrednim świetle porannego słońca było jeszcze ciepło. Nastąpiła jesień, po niej nadejdzie zima, lecz na razie wciąż panowała dobra pogoda na przejażdżkę.



Rozpoczęte czwartego lipca 2009
Zakończone po świętach 2011
Joe Hill, Exeter, New Hampshire

PODZIĘKOWANIA

Lista grzecznych

Jeśli lektura sprawiła wam przyjemność, to największe podziękowania należą się mojemu wydawcy, Jennifer Brehl z William Morrow, która mnie nakierowała, żebym snuł opowieści w obrębie opowieści. Jeśli was rozczarowałem, wina leży wyłącznie po mojej stronie.

Gabriel Rodriguez jest jednym z moich braci. Dziękuję mu serdecznie za ilustracje, przyjaźń i wizję. Kiedy czuję się zagubiony, zawsze mogę liczyć, że Gabe wykreśli mi mapę.

Praca nad tą książką rozpoczęła się latem 2009 roku w garażu mojego przyjaciela Kena Schleichera. Ken naprawiał swojego triumpha bonneville z 1978 i zmobilizował mnie jako dodatkową parę rąk. Spędziliśmy razem wiele miłych wieczorów i to sprawiło, że zapragnąłem pisać o motocyklach. Dziękuję całemu klanowi Schleicherów za to, że otworzyli przede mną swój dom i garaż.

Praca nad tą opowieścią zakończyła się po tym, gdy przeczytała ją moja matka i powiedziała, że jej się podoba – z wyjątkiem ostatniego rozdziału. Miała rację. Zwykle ma rację. Wyrzuciłem ostatnie piętnaście stron i napisałem coś lepszego. Tabitha King, kreatywna myślicielka wyższego rzędu, nauczyła mnie kochać słowa, doszukiwać się w nich tajemnego znaczenia i dostrajać do ich prywatnych historii. Co ważniejsze, jej przykład jako rodzica nauczył mnie, jak być ojcem: słuchać więcej, niż mówię, przemieniać obowiązki w zabawę (albo medytację), pilnować, żeby dzieci obcinały paznokcie.

Pomiędzy początkiem i zakończeniem pracy wybrałem się z tatą na przejażdżkę motocyklową. On jechał swoim harleyem, ja wzięłem mojego triumpha. Powiedział, że lubi

mój motor, jeśli nawet silnik przypomina mu maszynę do szycia. Oto snobizm harleyowca. Była to fantastyczna wycieczka, jazda za nim po jego bocznych drogach ze słońcem na ramionach. Przypuszczam, że przez całe życie kursowałem jego bocznymi drogami. Nie żałuję tego.

Książka ta została poddana wnikliwej analizie nie jednego, ale dwojga adiustatorów: utalentowanej Maureen Sugden, która opracowała już trzy moje powieści, i mojego kumpla Liberty'ego Hardy'ego z RiverRun Books, który uganiał się za moimi błędami jak otumaniony kocimiętką kociak za kłębkim włóczki. Liana Faughnan wkroczyła w ostatniej chwili, żeby się upewnić, czy wyrobię się w terminie. Podejrzewam, że w książce wciąż roi się od błędów, ale to tylko świadczy, że nie pomaga się ludziom, robiąc za nich to, co sami mogą zrobić.

Serdeczne podziękowania dla nadzwyczajnego zespołu z William Morrow, który nie szczędzi starań, żebym dobrze wypadł. Są to: Liate Stehlik, Lynn Grady, Tavia Kowalchuk, Jamie Kerner, Lorie Young, Rachel Meyers, Mary Schuck, Ben Bruton i E.M. Krump. Odnosi się to również do zespołu w Gollancz: Jona Weira, Charliego Panayiotou i Marka Staya. Jestem szczególnie wdzięczny mojej brytyjskiej wydawczyni i przyjaciółce Gillian Redfearn, która podnosi morale i prostuje kręgosłup.

Mój agent, Mickey Choate, przeczytał tę książkę sam nie wiem ile razy i zawsze wracał ze spostrzeżeniami, pomysłami i słowami zachęty. Dzięki niemu powieść jest znacznie lepsza pod każdym możliwym względem.

Wiecie, kto jest odlotowy? Kate Mulgrew, współtwórczyni książek w formacie dźwiękowym. Byłem zauroczony i zbiło mnie z nóg, kiedy Kate czytała moje opowiadanie *By the Silver Waters of Lake Champlain*, i nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczny za jej chęć czytania tej znacznie dłuższej historii o dzieciństwie, cudach i stracie.

Twitter jest ulem pełnym brzęczących myśli, sprzeczek i pasji fanów i jestem wdzięczny każdej osobie, która kiedykolwiek wymieniła ze mną *tweet*. Jako świat dzielonych

pomysłów Twitter jest sam w sobie swego rodzaju pejzażem wewnętrznym, i dobrym.

Dziękuję wszystkim, którzy wybrali tę książkę, ściągnęli ją albo słuchali na audio. Mam piekielną nadzieję, że to sprawiło wam przyjemność. Co za ubaw - co za dar - zarabiać w ten sposób na życie. Nigdy nie będę chciał przestać.

Uściski, buziaki i kubły wdzięczności dla Christiny Terry, która była stałą powierniczką podczas tworzenia ostatecznych wersji książki i dopilnowała, żebym poza pracą miał trochę życia i zabawy. Dzięki za poparcie, pani.

Jestem wdzięczny również Andy'emu i Kerri Singhom, Shane'owi Leonardowi i Janice Grantom, Israelowi i Kathryn Skeltonom, Chrisowi Ryallowi, Tedowi Adamsowi, Jasonowi Ciamarellemu i jego chłopcom, Meaghan i Denisowi MacGlashingom, klanowi Bosa, Gail Simone, Neilowi Gaimanowi, Owenowi Kingowi, Kelly Braffet, Zeldzie i Naomi. Wyrazy miłości i wdzięczności kieruję do Leanory.

Jestem szczęśliwym facetem, będąc ojcem Ethana, Aidana i Ryana Kingów, najzabawniejszych, najbardziej pomysłowych mężczyzn, których znam. Tata was kocha.

Lista niegrzecznych

Do ludzi, którzy przeglądają pobieżnie albo zupełnie pomijają strony podziękowań: Proszę skontaktować się z kierownictwem w sprawie odbioru darmowego biletu z opłaconymi wszystkimi kosztami do Gwiazdkowej Krainy.

NOTKA O CZCIONCE

Książka ta złożona została odmianą czcionki Caslon, zaprojektowanej w osiemnastym stuleciu przez Williama Caslona I (1692-1766), angielskiego rusznikarza i znanego drukarza epoki. Nie jest on w żaden sposób spokrewniony z Paulem Caslonem, który w roku 1968 udał się do Gwiazdkowej Krainy i uciekł do Bieli z Millie Manx po strasznej Wigilii, kiedy runęła góra Cukrowa Laska. Po długim pozaczasowym czasie Millie wyprowadziła go wraz z dwójką innych dzieci - Francine Flynn i Howardem Hitchcockiem - z białego szumu do lasu. Spomiędzy drzew obserwowali, jak inne dzieci (mięczaki!) wychodzą z lasu, wszystkie zapłakane, szlochające i roztkliwiające się nad sobą, ze smarkami i łzami rozsmarowanymi po twarzach. Millie przedrzeźniała je po cichu, jak się mażą i smarczą i było to takie zabawne, że Paul musiał zagryźć dwa rzędy zębów, żeby powstrzymać się od śmiechu.

Świat rozliczy się z tymi dziećmiakami. Mięczaki są dobre tylko jako cele w zabawie nożyczki dla włóczęgi albo ugryź najmniejszego.

Kiedy pierwsza gromada skierowała się na drogę do domu Sanie Mikołaja, wiedzieli, że pora odejść. Millie poprowadziła pozostałą trójkę do srebrnego świerka, na którym wisiały ich ozdoby, daleko od miejsca, gdzie Wayne Carmody (Król Mięczaków!) wraz ze swoim ojcem rozbijał aniołki i bombki. Każde z Wiernych Dzieci Charliego zabrało swoją ozdobę i razem ruszyli w dół wzgórza, przez nikogo niezauważeni. To smutne, że Gwiazdkowa Kraina zniknęła, ale nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem czy katastrofalnymi lawinami, a poza tym teraz cały świat będzie ich placem zabaw!

I naprawdę nie ma znaczenia, że nie mogą już mieszkać w

wiecznej Gwiazdkowej Krainie. Ostatecznie Boże Narodzenie jest po prostu stanem umysłu i dopóki masz w sercu odrobinę świątecznego ducha, każdy dzień jest dniem Bożego Narodzenia.

Przypisy

[1] tłum. Michał Krotoszyński,
www.krotoszynski.wordpress.com

[2] Nawiązanie do „strzelby Czechowa”, zasady komponowania fabuły, zgodnie z którą każdy pojawiający się w niej element musi być wykorzystany.